UMIAŁAM ŻYĆ

BIOGRAFIA STEFANII GRODZIEŃSKIEJ

EMILIA PADOŁ

UMIAŁAM ŻYĆ

BIOGRAFIA STEFANII GRODZIEŃSKIEJ

MARGINESY

COPYRIGHT © BY Emilia Padoł
COPYRIGHT © BY Wydawnictwo Marginesy, Warszawa 2026

Nic na to nie poradzę.
Zawsze tkwi we mnie coś,
co nie przestaje się uśmiechać.

Romain Gary, *Obietnica poranka*
przeł. Jerzy Pański

Lublin, lato i jesień 1944 roku • powstaje nowy ośrodek władzy • wojna wciąż trwa, pełna skala Zagłady jest nieznana

W nieoficjalnej stolicy wszystko było pierwsze. Pierwsza radość, pierwsze powitania, pierwsze od lat radio – żywa, bo nadawana nareszcie na żywo kronika wydarzeń. Pierwsza spikerka Polskiego Radia w Lublinie, Stefania Grodzieńska, z tremą poprowadziła pierwszą ze swoich audycji. Program radiowy co wieczór kończył *Mazurek Dąbrowskiego* – niesłyszany publicznie przez lata. Choć nikt nie miał pieniędzy, a brzuchy zapychano kaszą jaglaną, nie wypadało się smucić. „Nie ma Niemców, nie ma gestapo. Przestań, nie ma gestapo!"[1] – powtarzano tym, którym trudno było podzielać powszechną radość.

Historia działa się codziennie – także na ulicy, gdzie radzieccy inżynierowie zainstalowali megafony. W domach odbiorników prawie nie było, skonfiskowali je okupanci. Żeby posłuchać wiadomości, szło się więc na plac.

Jednym z najwcześniejszych wydarzeń transmitowanych wówczas przez radio był pierwszy proces załogi Majdanka, niemieckiego nazistowskiego obozu koncentracyjnego, utworzonego w Lublinie. Miasto było zatłoczone i rozgorączkowane. Jeszcze przed pierwszą rozprawą nasyciły je gniew i nienawiść. Dwa pancerne samochody, wiozące czterech esesmanów i dwóch kapo, tłum próbował zatrzymać, obrzucając je kawałkami cegieł i kamieniami.

Na toczący się od 27 listopada do 2 grudnia proces postanowiła dostać się Stefania Grodzieńska.

To była dla mnie życiowa sprawa, proszę mi wierzyć[2] – opowie w 1974 roku. – Żeby tam wejść i patrzeć na tych sześciu na ławie oskarżonych... ile razy mówiliśmy w czasie okupacji: dożyć właśnie takiej chwili. Przed gmachem tłoczyły się tysiące ludzi, ale bez specjalnej karty wstępu nie ma co wejść. Podpatrzyłam więc, w jaki sposób dostają się do środka ważne osobistości. Otóż ktoś zawsze przed nimi idzie i krzyczy, żeby dać przejście. Zaryzykowałam. W momencie kiedy zaczął się kłębić największy tłum, zaczęłam pchać się z całej siły, wrzeszcząc: Proszę się rozejść! Państwo się rozsuną! Niech pan tu nie stoi, po co pan tu stoi?! Ogłupiali kontrolerzy nie tylko przepuścili mnie, nie sprawdzając, ale pomagali mi się przecisnąć, wtórując moim wrzaskom.

A ja, przedostawszy się na salę, mruczałam sobie pod nosem: proszę dać przejście pani Grodzieńskiej, ona musi być na tym procesie. Święcie jej się to należy.[3]

Bez wątpienia – święcie.



Rodzice Stefanii, Michel Grodensky i Eleonora Ney.
Z Łodzi dotarli do Genewy, żeby studiować prawo.
Ich zdjęcie odnalazło się dopiero w… 1977 roku

ROZDZIAŁ I

Lublin 1861 • Stołpce 1868 • Sandomierz 1887 •
Łódź 1886, 1914 • Genewa 1907

Z pozoru nie ma ona większego znaczenia, okaże się jednak kluczowa: mapa przodków. Ich migracje, ucieczki, powroty, przerywane linie i rodzinne tajemnice układają się w obraz domu niebędący dla dziecka wystarczającym schronieniem. Mapa też nie ma szczęścia – mnie i rozszarpuje ją wielki los. Czyli siła, która w tej historii przychodzi i na ogół zabiera, odsłaniając same straty.

Lecz bez mapy trudno o porządek. Trzeba spróbować ją odtworzyć, zwłaszcza że Stefania Grodzieńska miała o swoich przodkach wiedzę niepełną. Nic dziwnego: składała ją ze strzępów dawno podniszczonego planu.

Kim więc byli ci, którzy dali jej korzenie, wytyczyli najwcześniejsze drogi?[1]

Babcia, mama mamy, Frajda Halpern, primo voto Ney, secundo voto Bujaner, znana jako Franciszka, urodziła się w 1868 roku w Stołpcach[2], w guberni mińskiej Imperium Rosyjskiego. W oczach wnuczki była zawsze nienagannie uczesaną matroną i świetną gospodynią. Stefania pamiętała jednak, że bez oparcia w drugim mężu babcia bywała bezradna. Nie zapisała się w jej pamięci jako osoba szczególnie ciepła, za to dzięki Franciszce dom funkcjonował bez zarzutu: wszystko było uprane, wyprasowane i ugotowane. Nuciła stare rosyjskie pieśni.

Od strony mamy dziadków było dwóch: biologiczny i przyszywany. Dziadek biologiczny, Abram Icek Neü, urodził się jako syn kupca w Lublinie, w 1861 roku[3]. Mieszkał w domu numer 382,

dziś to róg Cyruliczej i Lubartowskiej. Stefania nie miała pojęcia, że dom jej dziadka stał zaledwie kilkaset metrów od miejsc, które w Lublinie były jej najbliższe. Mówiła o nich: „Nie, nie czuję się obco w Lublinie i nigdy nie będę się tu czuła obco, zwłaszcza kiedy przemierzam ulicę Chopina, Krakowskie Przedmieście, Plac Litewski. Zawsze wracam tutaj z ogromną przyjemnością i wielkim wzruszeniem"[4].

Dziadka Abrama Icka prawdopodobnie nigdy nie widziała, zmarł w 1918 roku, a pięć lat wcześniej kaliski sąd okręgowy rozpatrzył pozytywnie pozew Franciszki Ney, która postanowiła swoje małżeństwo z Abramem unieważnić. Rabin zaświadczył, że istnieją przyczyny umożliwiające rozstanie zgodne z prawem mojżeszowym[5], i tak babcia Frania pożegnała trzyliterowe nazwisko na „N", które – jak to bywało z nazwiskami żydowskimi w Europie Środkowo-Wschodniej – zapisywano rozmaicie, zależnie od języka i urzędowej praktyki.

Wyszła ponownie za mąż, za Szoela Mordkę Bujanera z Sandomierza[6], mężczyznę o siedem lat młodszego, darzącego ją uczuciem od dawna. Później mieszkali z wnuczką Stefcią w łódzkiej kamienicy, choć przez długi czas formalnie pozostawali związani z Sandomierzem, co potwierdzają spisy ludności stałej. Stefania kochała Bujanera szczerze i nazywała nie Szoelem, lecz Maksymilianem. Grał z pasją w brydża i do końca pozostał dla niej jednym z najwspanialszych mężczyzn, jakich poznała.

Drogi przodków Stefanii przecinały Łódź. Szukając informacji o wszystkich dziadkach, trzeba więc pójść tropem ich ostatniego adresu.

Płyta „Grobu Małżonków Bujaner", z takim właśnie napisem, zachowała się do dzisiaj na łódzkim cmentarzu żydowskim, jednej z największych żydowskich nekropolii w Europie. Dokładne miejsce spoczynku zdradza ważną informację: można z niego wnioskować, jaki był za życia status materialny pochowanego. A to pytanie zasadne, bo dokumenty dotyczące dziadków Stefanii pozostawiają

jedynie skąpe dane o mieszczańskim pochodzeniu Franciszki albo zawodzie kupieckim Szoela.

Kim więc byli w Łodzi przełomu XIX i XX wieku? W mieście wielkich dysproporcji, które przez dekady rozrastało się w zawrotnym tempie? W kotle wyznań i narodowości, gdzie ludność żydowska – napływająca nie tylko z innych części Królestwa Polskiego, lecz także z Imperium Rosyjskiego – stanowiła w 1914 roku trzecią co do liczebności grupę, po katolikach i ewangelikach? I gdzie od dawna współtworzyła koło zamachowe łódzkiego przemysłu?

Im bliżej głównej alei, przy której wznosi się monumentalne mauzoleum Izraela Poznańskiego, tym bardziej prestiżowe miejsce pochówku. Prawy skraj kwatery „N", drugiej po prawej od centralnego traktu cmentarza, to całkiem dobra lokalizacja. Można więc zaryzykować wniosek, że rodzina była dobrze sytuowana. Jednak z pewnością nie tak dobrze jak Grodzieńscy: Basza z Gincburgów i Nuchim, czyli dziadkowie Stefanii od strony ojca, Michała Grodzieńskiego, urodzonego w Łodzi w 1886 roku[7]. Ich groby znajdują się w kwaterach „A" i „Sz", bezpośrednio przylegających do alei głównej. Grodzieńscy, w 1895 roku przedstawiający się jako stali mieszkańcy Grodna, dwa lata później wybudowali w Łodzi reprezentacyjną kamienicę, na rogu ulic Zawadzkiej i Wólczańskiej. Ładną. Stoi do dzisiaj.

Wygląda na to, że Stefania Grodzieńska zupełnie nic o tych dziadkach nie wiedziała, zresztą Nuchim zmarł jeszcze w 1897 roku. Zostało jej po nich nazwisko, któremu jednak sama nadała znaczenie.

Co dziś wiadomo o rodzicach Grodzieńskiej? Podobnie jak w przypadku dziadków – prawdopodobnie więcej, niż mogła o nich powiedzieć sama Stefania.

Matka, Eleonora Ney, primo voto Grodzieńska, secundo voto Volpe, potem znowu Ney, urodziła się 12 listopada 1887 roku

w Sandomierzu[8]. Edukację gimnazjalną zakończyła w Łodzi, a potem ruszyła w wielką włóczęgę: zdobywała wyższe wykształcenie, urodziła córkę i tylko na krótko zatrzymała ją przy sobie. Ojca Stefania widziała raz w życiu, już jako dorosła osoba. O matce, jej prawdziwym wieku, ale również o wszystkich wyborach życiowych, Grodzieńska wiedziała zaskakująco niewiele.

Wspominała na przykład wielokrotnie, że ojciec był wykładowcą filozofii prawa na uniwersytecie w Genewie i pewnego dnia ożenił się ze swoją studentką, sporo od siebie młodszą.

Dokumenty pozwalają jednak ten obraz nieco skorygować. Eleonora i Michał byli niemal rówieśnikami – dzielił ich zaledwie rok. Czas i skąpe informacje mogły trochę pozakrzywiać perspektywy: ojca oddalić i postarzyć, matkę zamrozić w przeszłości, młodziuteńką, jak na tym jedynym wspólnym zdjęciu z ojcem. Być może łatwiej było widzieć w niej osobę zbyt młodą na macierzyństwo.

Ci bardzo eleganccy dwudziestolatkowie – mama w wielkim kapeluszu, w etoli i z mufką, tata w płaszczu z karakułowym kołnierzem – figurowali w 1907 roku w Genewie pod adresem rue des Eaux-Vives 114. Grodensky Eléonore i Grodensky Michel, czyli już małżeństwo, pochodzenie w dokumentach: Russie (Pologne) lub Russie (Lodz), *nationalité* zgodnie: *polonaise*. Na wydziale prawa studiować zaczęli w tymże 1907 roku jesienią[9] – Michel przybył na szwajcarski uniwersytet z dokumentami Uniwersytetu Paryskiego, Eleonora z dyplomem łódzkiego gimnazjum. Jego start był już więc łatwiejszy, trzeba pamiętać też, że wyjazd kobiety na studia za granicę (a nie istniała inna opcja studiowania) stanowił wówczas akt determinacji i świadczył o gotowości do przełamywania społecznych ograniczeń. Do tego sam fach adwokatki budził zbiorowy sprzeciw: w Galicji kobiet nie dopuszczano do studiów prawniczych, w Rosji w 1908 roku kilka z nich mogło zostać ledwie pomocniczkami adwokatów przysięgłych, a w Polsce pierwsza adwokatka Helena Wiewiórska, zresztą urodzona w graniczącym

z Łodzią Zgierzu, została wpisana na listę adwokatów dopiero w 1925 roku.

Rzecz jasna wyjazd na studia wymagał, poza odwagą, również nakładów finansowych. Jednak nawet w gorzej sytuowanych rodzinach bywało tak, że na edukację zrzucali się wszyscy krewni, wiedząc, że to jedyna furtka do lepszej przyszłości, w tym do asymilacji. Trudno przy tym przeoczyć fakt, że Eleonora, rozpoczynając studia, była mężatką – być może to umożliwiło jej uniwersytecką edukację.

W jej historii, jak to często bywa, wiele zależeć będzie od pieniędzy. Wszystko wskazuje na to, że Eleonora tylko raz w życiu doświadczyła, przelotnego zresztą, okresu prosperity. Nigdy nie miała własnego lokum ani własnych mebli. Z Michelem mieszkała w Genewie w sumie pod dwoma adresami – i sądząc po obfitych listach osób zameldowanych w obu przybytkach – były to domy studenckie.

Eleonora w 1912 roku zdobyła licencjat z prawa, Michel – z prawa i nauk społecznych. Sześć lat później został doktorem prawa, specjalizując się w „prawie na dobrach niematerialnych", czyli we własności intelektualnej. W latach dwudziestych i trzydziestych był aktywnym członkiem interdyscyplinarnego francuskojęzycznego stowarzyszenia filozoficznego. Przez lata, aż do ostatniego semestru w swoim życiu, czyli 1951/1952, prowadził kurs z filozofii prawa na Uniwersytecie Genewskim. Kariera naukowa niczego sobie. Podobno jednak pozostawał samotnikiem, a jedynym obrazem, jaki miał na ścianie swojego studia, był namalowany przez niego portret Eleonory Ney. Tak o tym pisała Stefania Grodzieńska, komentując przy tym żartobliwie ciemne, mało wyraźne zdjęcie ojca w pracowni, które ktoś kiedyś jej przysłał: „Niewiele widać, ale poziom wiedzy, jaką niesie to zdjęcie, odpowiada poziomowi mojej wiedzy na temat ojca"[10].

Stefanja Nina Grodzieńska urodziła się w Łodzi 2 września 1914 roku o godzinie trzeciej nad ranem, co potwierdza jej akt urodzenia, sporządzony dopiero siedem lat później[11] – już ręką polskich urzędników. Dokument wystawiono dokładnie 19 września 1921 roku. W czasie spisywania aktu ani Eleonory, ani Michała w Łodzi nie było. Znalazła się w nim informacja, że jest spóźniony z powodów rodzinnych.

Eleonora ponoć zostawiła męża kilka lat wcześniej, będąc w dziewiątym miesiącu ciąży, a córkę urodziła, zmierzając do Moskwy.

Zatem kierunek: stolica imperium. I Teatr Bolszoj.

ROZDZIAŁ II

Moskwa 1917 • Berlin-Charlottenburg 1917–1920/1921

Pewnego dnia, kiedy dziewczynka ma już trzy lata, mama ubiera ją i wychodzą wieczorem z domu. Ruszają na przedstawienie, lecz nie takie zwykłe: to będzie wielkie widowisko, *Jezioro łabędzie*. Z reguły podczas takich późnych wyjść Stefcia śpi na kolanach matki – jest przecież maleńka. Ale tym razem nie zasypia.

> Jak się zaczął ten balet, oszalałam od razu. Zaczęłam mamę szczypać, kopać, obłęd zupełny. Cały czas patrzyłam, wydawałam okrzyki... I całe moje życie się ułożyło od tego momentu. Dostałam 40 stopni gorączki, rano mama poprosiła lekarza, lekarz powiedział, że jakiś wstrząs to dziecko przeżyło. Co się u państwa stało? No i to był ten moment: wiedziałam, czym będę[1]

– opowie Grodzieńska w rozmowie z Magdą Umer.

Od tej chwili miała przeczucie: będzie tańczyć.

Działo się to wszystko w samym Bolszoj, jednym z najsławniejszych teatrów operowych i baletowych na świecie. Wchodziło się do niego przez olbrzymi ośmiokolumnowy portyk, a loże w czerwono-złotej sali wznosiły się na sześć poziomów. Pod sufitem wisiał żyrandol tak wielki, że ważył ponad dwie tony. Tu u schyłku imperialnej ery Aleksander Gorski kilkukrotnie wystawiał *Jezioro łabędzie*, dodając dramatyzmu baletowi z muzyką Piotra Czajkowskiego. Całe bogactwo opowieści ucieleśniali w nim tancerze, z perfekcją i lekkością opowiadając o zakochaniu i jego iluzji, sile miłości, lecz także złu i dwoistości postaci – Odetty i Odylii,

białego i czarnego łabędzia. W tej podwójnej roli wystąpiła jedna z najwybitniejszych primabalerin Teatru Bolszoj: Jekaterina Gielcer, o czym Grodzieńska będzie pamiętać po latach[2].

W Rosji właśnie wybucha rewolucja październikowa, carat już został obalony. Eleonora nie ma wyjścia: bierze córeczkę na ręce i ucieka na Zachód. „W czasie komuny zawsze mówiłam: mama uciekła przed bolszewikami. I to przechodziło, nigdy mi tego nie skonfiskowano"[3] – to późniejszy głos bohaterki w tej sprawie.

Eleonora ucieka z dzieckiem i ze swoim drugim mężem, Miszą, u którego obie mieszkały.

Gdy dorosła Stefania opowiadała o tej długiej, zakończonej w Berlinie podróży – pożyczając przecież wspomnienie z relacji dorosłych – męża matki w nim nie było. Pozostała tylko Eleonora, jej inteligencja, zaradność, ale i skłonności do ryzyka oraz drobnej manipulacji. Na zatłoczonym moskiewskim dworcu kazała dziecku krzyczeć: „Gdzie moja mamusia?! Ludzie, pomóżcie, zgubiłam się!"[4]. Przed dziewczynką, wyglądającą na mniej jeszcze niż przeżyte już trzy lata, tłum się szczęśliwie rozstępował, a nawet podsadzono ją do wagonu. „Matka pchała się za mną jak przylepiona i bardzo dobrze udawałyśmy, że się nie znamy. Gdy tylko wepchnęłyśmy się do przedziału, mama wmawiała pasażerom, że znalazła zgubioną w tłumie dziewczynkę. Wszyscy się wzruszali i robili tej szlachetnej kobiecie siedzące miejsce, żeby mogła mnie trzymać na kolanach"[5].

Misza pozostaje w tej historii na uboczu. Niewiele go we wspomnieniach Stefanii, bo trudno rozwlekle pisać o kimś, kto, jak można sądzić, nie pałał do dziecka sympatią. Nie udało się potwierdzić, czy Misza, którego nazwiska nigdy Grodzieńska nie wymieniła, rzeczywiście służył w carskiej armii – co dodatkowo przyspieszałoby ucieczkę z Moskwy[6]. Wydaje się to mało prawdopodobne. Z dokumentów wiadomo, że też był prawnikiem. Mikhail Volpe, albo nawet Mykolas, urodził się w Prenach pod Kownem,

w rodzinie żydowskiej, w 1892 roku. Był od Eleonory młodszy o pięć lat – i o tyle właśnie odmładzała się ona w dokumentach[7].

Gdzie się poznali? Tego nie sposób dziś ustalić. Grodzieńska przyznała kiedyś, że kochali się miłością nieprzytomną, byli o siebie zazdrośni i, o zgrozo, pozostali sobie wierni, w czym – jej zdaniem – należy upatrywać przyczyny wszystkich dramatów. Na dobrą sprawę o ich związku jednak nic nie wiadomo, poza tym, że zaciążył na relacji Stefanii z mamą. I że Misza nie był w stanie zapewnić Eleonorze finansowego bezpieczeństwa; i że to z reguły ona utrzymywała ich wspólny dom.

W Berlinie, gdy tylko fortuna się odmieniła, a małżeństwo pierwszy i ostatni raz w życiu stało się zamożne, dziewczynka została oddana do placówki z internatem, prowadzonej przez siostry zakonne. W jej murach już pięciolatki robiły na szydełku laufry, czyli bieżniki, którymi obdarowywały potem rodziców na Weihnachten, Boże Narodzenie. Odbywały się w niej też zajęcia baletowe, których Stefcia była najbardziej wytrwałą uczestniczką.

Nie udało się odnaleźć żadnych zapisów o trójce emigrantów Grodzieńska/Ney/Volpe ani w Bundesarchiv, ani w Landesarchiv Berlin. Z uzyskanych informacji wynika, że wymienionych osób nie ma w dawnym rejestrze meldunkowym mieszkańców Berlina, który z powodu wydarzeń wojennych nie jest kompletny. Pobyt całej trójki w niemieckiej stolicy nie przypadł na spokojny czas. Przez miasto przeszła rewolucja, stary porządek obrócił się w perzynę, cesarstwo upadło. Rewolucyjna lewica została jednak rozbita, a w republice zaczęły narastać siły, z których później wyłonił się nazizm wraz ze swoim systemowym antysemityzmem.

Pobyt w Berlinie trzeba zatem zrekonstruować z opowieści Stefanii, a tam, gdzie brakuje faktów, oprzeć się na pojedynczych obrazach, symbolach i śladach dziecięcej pamięci.

Znów jest więc sceniczny wieczór i jak zwykle kilkulatki nie ma gdzie zostawić, kiedy przychodzi pora wyjścia. Stefcia trafia

na występ rosyjskiego emigranckiego teatrzyku, którego nazwę warto zapamiętać: Niebieski Ptak. Podobnie jak po moskiewskim balecie – tej nocy nie zasypia. Dziecko chłonie piosenki, w których tekst, muzyka i wykonanie łączą się ze scenografią w oszałamiające widowisko. Pieczę nad nim sprawuje konferansjer Jużny, oklaskiwany energicznie za każdym razem, gdy pojawia się na scenie. Grodzieńska zapamięta to na długo.

Raptem raz wspomniała ulicę, przy której mieszkali: Wilmersdorfer Straße. Czyli Charlottenburg, miasto wsiąkające już w tkankę Berlina, z reprezentacyjnym barokowym pałacem letnim cesarskiej dynastii, otoczonym parkiem i ogrodami. Okolica zamożna, burżuazyjna, choć oczywiście nie bez kontrastów. Rozwijały się tu przemysł i przedsiębiorczość, a po rewolucji bolszewickiej do Charlottenburga napływały dziesiątki tysięcy nowych obywateli: rosyjskie elity, żydowscy emigranci, intelektualiści, artyści, przemysłowcy, wygnańcy różnej maści. Naturalnie też arystokracja.

W północnej części Wilmersdorfer Straße do dziś stoi sporo zróżnicowanych historycznie i architektonicznie budynków, nie tylko pochodzących z czasów inwestycyjnego rozkwitu końca XIX wieku. W 1919 otworzono tu słynny sklep z zabawkami – Märklin & Spielwaren. Coś w sam raz dla pięciolatki.

Ale dorosła Stefania wspominała tylko o dwóch przedmiotach z berlińskiego dzieciństwa.

Pierwszy: albumik z wpisami koleżanek z internatu, dziewczynek z niemieckich tak zwanych dobrych domów. Książeczka przetrwała aż do II wojny światowej[8], jednak zapisane przez dziewczynki słowa żyły dłużej. Znacznie dłużej. W latach sześćdziesiątych Grodzieńska cytowała te adresowane do Steffi czułostkowe rymowanki – podarunki na dojrzałe życie:

Margot, Ilse, Hannelore, małe przyjaciółki ze wspólnego pokoju!
Czy chodziłyście po ulicach okupowanej Warszawy obwieszone

futrami, zrabowanymi moim sąsiadom... ? Czy w mundurach służb pomocniczych zarabiałyście na ordery w Oświęcimiu, na Szucha?... W internacie miałyśmy zwyczaj siadać na podłodze w kółko i każda plotła warkoczyki tej, która siedziała przed nią. Twarz matki, której jedyną fotografię ukradziono mi razem z portfelem przeszło dwadzieścia lat temu, zaciera mi się w pamięci, a wasze wierszydła będą zajmowały miejsce w moim mózgu już do końca życia.[9]

Poza albumem drugim istotnym przedmiotem było blaszane pudełko po holenderskim kakao. „Na którym – to rzecz jasna słowa Stefanii – tłusty bachor patrzył spode łba na filiżankę kakao"[10].

Eleonora trzymała w nim biżuterię zdobioną szmaragdami i szafirami, a przede wszystkim brylantową kolię i kolczyki: zestaw, w którym – jak uważała – wyglądała na „operetkową śpiewaczkę będącą utrzymanką carskiego generała"[11]. Od tych wszystkich klejnotów, którymi Stefcia mogła się bawić do woli (oczywiście podczas wizyt w domu), ciekawsze było samo blaszane pudełko. Mama także była odporna na urok brylantów, nawet ich nie lubiła. Dla niej z kolei liczyło się tylko szynszylowe futro – relikwia tego krótkiego okresu zamożności, w którym niejasne dzisiaj interesy Miszy szły tak dobrze, że małżeństwo Volpe mogłoby kupić sobie własne przestronne, wystawnie umeblowane mieszkanie w Charlottenburgu. A jednak zamiast kupić owo mieszkanie, wynajęli jedynie drugi pokój w tym samym lokalu przy Wilmersdorfer Straße, obok tego, który zajmowali już wcześniej. „Mąż mojej matki i moja matka byli zupełnie nieprzygotowani psychicznie do roli ludzi bogatych"[12] – odnotuje Stefania Grodzieńska.

Nadszedł dzień, w którym mama przyszła ją odebrać z internatu – odebrać tak na zawsze, bez opcji powrotu. „Miałam sześć lat, ale nauczona byłam przez życie nie zadawać pytań w kluczowych momentach"[13] – to również praktyczna konstatacja, tym bardziej

że w nawiasie przy niej pojawił się dopisek, iż ta strategia bywała użyteczna w czasie wojny i w relacjach z mężczyznami.

Steffi nie zabrała zbyt wielu rzeczy z internatu. Nie zapomniała jednak albumiku z wpisami Margot czy Ilse. Mama zjawiła się w szynszylowym futrze, robiąc należyte wrażenie na dyrektorce instytucji, zwłaszcza że zakomunikowała w tym stroju bankructwo męża. A potem szły radosne, matka i córka wreszcie razem, przytulając się co chwilę – Stefania zapamięta to miękkie, pachnące futro. Może zdążyło już przesiąknąć zapachem Mitsouko Guerlain – perfumami Eleonory, szyprową, cytrusowo-brzoskwiniową mgiełką, podszytą przyprawami i cierpką ziemistością mchu dębowego. Stefania sięgała po flakon z napisem Mitsouko do najpóźniejszych lat, odkąd tylko mogła sobie na prawdziwą wodę perfumowaną pozwolić[14].

Pani Volpe prosi, żeby dziecko nie okazywało radości z powrotu do domu – bo Misza tego nie zrozumie i tylko się zezłości. Sześcioletnia, a może będąca już w siódmym roku życia dziewczynka*

---

* Nie sposób tej chwili dokładnie określić w czasie. We *Wspomnieniach chałturzystki* artystka pisała, że miała wtedy sześć lat, ale w innych wspomnieniach mówiła, że w Polsce znalazła się w wieku lat siedmiu. W książce *Nie ma z czego się śmiać*, ostatniej autobiograficznej, pisała, że miała lat dziewięć, kiedy przyjechała do Łodzi. Ta hipoteza wydaje mi się najmniej prawdopodobna. Po pierwsze, w tej publikacji – pisanej razem z córką Joanną Jurandot-Nawrocką – jest najwięcej nieścisłości i przesunięć w kwestiach dat (prawdopodobnie w dużej mierze omyłkowych). Po drugie, wiadomo, że 14 września 1920 roku Misza i Eleonora byli, a nawet mieszkali w Kownie, o czym świadczą wyrabiane przez nich wówczas paszporty (zob. *Bibliografia*, sekcja *Archiwalia*...). W paszporcie Eleonory jest informacja, że ma córeczkę z pierwszym mężem: Stefanię Grodzieńską. Ale, co ważne, Grodzieńska nigdy nie wspominała o swoim ewentualnym dziecięcym pobycie w Litwie. Jedynym jej pewnym dokumentem z tego czasu jest spóźniony akt urodzenia, spisany w Łodzi 19 września 1921 roku – czyli najpewniej wtedy dziewczynka była w mieście (i miała skończone

odgrywa przydzieloną przez mamę rolę koncertowo, a jednak nie spotyka jej za to nagroda. Misza sprzedał diamenty, spłacił część długów, a pudełko po kakao wyrzucił. Płacz.

> Nie powinnam była podnieść wrzasku, a jeśli tak się stało, to moja matka powinna była wyrzucić mnie za drzwi, mrugnąwszy po drodze. W ten sposób już nieraz ratowała sytuację. Ale może była jeszcze zanadto pod wrażeniem naszego radosnego powrotu z internatu, bo zrobiła bardzo niedobrą rzecz. Zaczęła mnie ściskać, całować i bronić, a co było najgorsze, sama się rozpłakała.
>
> Mąż mojej matki w najżywszy sposób wyraził zdumienie, że wiadomość o katastrofie finansowej matka przyjęła, jak się wyraził, z idiotycznym uśmiechem, a płacze o blaszane pudełko. Krzyczał przy tym tak głośno, że udawało mu się zagłuszyć moje wrzaski i płacz matki[15]

– pisała dorosła już Grodzieńska we *Wspomnieniach chałturzystki*.

Dziecko przepłakało wiele godzin, matka także, krzykom Mykolasa Volpe nie było końca. A wkrótce postanowiono, że dziewczynka jedzie do babci Franciszki do Łodzi. Sama.

Stefcia znalazła się w kolejnym pociągu zmierzającym w niewiadome do kraju, w którym od urodzenia nie była. W wagonie trzeciej klasy siedziała z zawieszoną na szyi dwujęzyczną tabliczką z informacją, na jakiej stacji powinna wysiąść. Mama żegnała ją w swoim wciąż olśniewającym, choć skróconym już znacznie

---

siedem lat). Krótko mówiąc: kwestii tych już dzisiaj nie rozstrzygniemy ze stuprocentową pewnością, pozostaje akceptacja białych plam i niejasności co do pierwszych lat życia Grodzieńskiej, których przecież sama nie mogła jeszcze dokładnie pamiętać. Próbując ustalić najbardziej prawdopodobny wariant, biorę pod uwagę przede wszystkim istniejące dokumenty i zakładam, że gdy dziewczynka przyjechała do Polski, miała około siedmiu lat.

futrze, bo po spieniężeniu wszystkiego, co do spieniężenia się nadawało, przyszła pora na wycięcie z niego etoli. Eleonora broniła swoich szynszyli zawzięcie, odstępując je przez lata po kawałku. Jak przyznała Stefania, po aferze z pudełkiem coś w niej pękło i pierwszy raz sprzeciwiła się mężowi, nie oddając tak po prostu całego futra na sprzedaż.

Po ponad czterdziestu latach całą scenę pożegnania miała Grodzieńska przed oczami jak film, jakby wydarzyła się przed chwilą. Drewniana ławka w pociągu, pachnące futro mamy, zakaz Eleonory, żeby nie zbliżać się do okna, jej wyjście z przedziału, zastygła poza dziecka, koszyczek jedzenia na kolejne dwadzieścia cztery godziny, wąchanie ręki w poszukiwaniu zapachu mamy, myślenie o jej drodze powrotnej do mieszkania. I jeszcze ten niespodziewany widok: Eleonora stuka w szybę, a Stefania, żeby mama się nie martwiła, bezwzględnie stosuje się do zakazu podchodzenia. „Patrzyła na mnie i ja na nią patrzyłam. I znów bardzo było mi jej żal, że jej jest mnie żal. I to właśnie, dokładnie to odczuwałam w stosunku do mojej matki we wszystkich złych chwilach”[16].

A potem elegancka Eleonora przyciska nos do szyby i pokazuje język, i we dwie zaczynają robić do siebie zabawne miny, i jest wesoło, i cały przedział się śmieje. Pociąg rusza – wtedy pamięć się zatrzymuje, migają tylko pojedyncze klatki.

Nigdy już razem nie zamieszkają, zawsze będą się spotykać w przelocie.

Tułającej się dalej po Europie Eleonorze w kwestiach rodzicielskich sporo można by zarzucić, ciskając w nią garścią freudowskich teorii, ale córka zawsze będzie jej bronić. O niemal nieobecnej w swoim życiu mamie napisze ze współczuciem: „kochała życie z taką radością, a z takim brakiem wzajemności”[17]. Zapamięta miłość matki, jej listy i spotkania z nią.

Wiele lat później, pytana o ulubioną lekturę, Stefania Grodzieńska wielokrotnie będzie wskazywać *Obietnicę poranka* Romaina

Gary'ego. To autobiograficzna książka o relacji matki i syna, jakże innej niż ta Stefanii i Eleonory, choć w bardzo podobnej emigranckiej scenografii, sięgającej również 1914 roku i rozciągającej się od Moskwy po Paryż. Matka Gary'ego: w nieszczęściach budująca dla siebie i dziecka magiczny, teatralny świat, bardzo zaradna, samodzielna, ale też samotna, przelewająca na syna wszystkie swe uczucia i ambicje, oczekuje od niego najwspanialszych osiągnięć. Będziesz jak lord Byron, zostaniesz drugim Victorem Hugo! Jest w tym budująca wiara we własne dziecko, są i opresja, oszustwo, kreowanie rzeczywistości, która dziecko krzywdzi, ostatecznie odbiera mu sprawczość. Przy tym wszystkim jest *Obietnica poranka* książką, co Grodzieńskiej się szczególnie podobało –

> napisaną satyrycznie. Podkreślam – nie książką satyryczną – tylko napisaną satyrycznie. Satyryk widzi inaczej. To wrodzona cecha, jak posługiwanie się lewą ręką. Nie wiem, czy Gary'ego można uważać za satyryka, ale ma tego zeza. Autoironia, a co trudniejsze – ironiczne spojrzenie na uwielbianą matkę i na wszystkie nawet najtragiczniejsze chwile własnego życia przybliża mi specjalnie tę książkę.[18]

Zupełnie niesatyryczna w swym przesłaniu *Obietnica poranka* jest przecież książką o pragnieniu czułości, o jakimś wzajemnym zobowiązaniu do miłości, matki i dziecka, o życiowych rolach, tych narzuconych i tych wyobrażonych. Romain składa tytułową obietnicę: że matka otrzyma od niego nagrodę, że jej całe poświęcenie – mające obronić syna przed draństwem, nienawiścią i dopustami bożymi, których sama padła ofiarą – zostanie przez niego wynagrodzone.

Stefania także chciała matce coś wynagrodzić: ten straszliwy żal, który sama czuła, widząc, że Eleonorze żal jest własnego dziecka.

„Nigdy w życiu nie znałam osoby równie czarującej, łączącej łagodność z poczuciem humoru, urodę z inteligencją, lekkomyślność z wykształceniem, radość życia w najgorszych okolicznościach z nostalgią w najlepszych”[19] – napisała o Eleonorze Ney-Grodzieńskiej-Volpe.

A pudełko po kakao?

„No ale od tego czasu miałam dużo pudełek po kakao, więc już nie żałuję”[20] – skwitowała z uśmiechem kilka dekad później, w 1999 roku.

ROZDZIAŁ III

Łódź 1920/1921–1932

Zatem znowu Łódź. Po wojennych czterech latach i pierwszych kilkunastu burzliwych miesiącach wolności: krajobraz nędzy i boleści.

W wyniszczonym mieście, które do początku Wielkiej Wojny rozwijało się z nadspodziewaną prędkością – tak nadspodziewaną, że włodarze nie nadążali z rozrysowywaniem nowych ulic, które mogłyby spiąć w trzeźwą całość wymurowane już budynki – poważnym problemem pozostaje brak sieci kanalizacyjnej. Dostęp do czystej wody jest utrudniony, tyfus i czerwonka są codziennymi zagrożeniami, na Bałutach roi się od szczurów[1]. W latach dwudziestych Łódź to wielkie przemysłowe miasto bez kanalizacji i wodociągów. Kwestie sanitarne nie zostaną tu całkiem rozwiązane do wybuchu II wojny światowej.

Szczur, na szczęście, to nie wąż – na lęk przed gryzoniami Stefania się nie skarżyła, wspominała za to, że przerażały ją gady. Wystarczyło, by obrzuciła wzrokiem obrazek węża, a już czuła silny strach. Jeszcze w Niemczech Eleonora, korzystając z porady znanego jej psychologa, zaprowadziła córkę do berlińskiego Zoologischer Garten – szok doznany na widok ogromnego terrarium miał, wedle ówczesnej naukowej wykładni zalecającej radykalną konfrontację, pomóc. Dziewczynka przeżyła wstrząs, stawiano ją na nogi silnymi lekarstwami, jednak trwoga pozostała do końca. Nieruchomiała już zawsze na widok węża, również przedstawionego na zdjęciu.

Jakże inna od nowoczesnego, metropolitalnego Berlina musi wydawać się emigranckiemu dziecku ta powojenna Łódź. Gdy



Piętnastoletnia Stefania Grodzieńska od kilku lat
mieszka u babci Frani i dziadka Maksa w Łodzi

do niej przyjeżdża, zna jako tako rosyjski, oczywiście niemiecki, trochę francuski. To w tym mieście pozna, nauczy się i pokocha język polski, i wrośnie w polską historię, co wkrótce ukonstytuuje szkolna patriotyczna edukacja.

Bo przecież poza wszystkimi trudnościami w niepodległym mieście jest dużo wiary w przyszłość, w nowe plany urbanistyczne i nowe życie społeczno-kulturalne. To w Łodzi prezydent miasta Aleksy Rżewski jako pierwszy w kraju zaordynował powszechny obowiązek szkolny[2]. Nie znajduję jednak żadnych informacji o wymaganej edukacji Stefci tuż po przyjeździe do Polski. Niemal od razu trafiła do szkoły baletowej, tak wspominała, uczyła się w niej przez długie lata. Ale zachowane dokumenty pozwalają układać historię jej kształcenia dopiero od 1924 roku. Co oczywiście nie oznacza, że wcześniejszej nauki nie było. Warto pamiętać, że sam moment przyjazdu dziewczynki do Łodzi nie jest jasny: miała około siedmiu lat, a pierwszym formalnym, urzędowym śladem związku Grodzieńskiej z miastem jest jej spisany w 1921 roku akt urodzenia.

Nowy adres? Piotrkowska 175, II oficyna, II piętro, mieszkanie numer 14. Współlokatorzy? Babcia Franciszka, dziadek Maksymilian. Dziadka uwielbiała, babcię mniej. „Chociaż bardzo była dla mnie dobra i odwdzięczyłam jej się za wszystko później, kiedy dziadek umarł. Zajmowałam się nią do śmierci – nie byłam świnią, broń Boże"[3] – zaznaczy po latach Grodzieńska. Przy Piotrkowskiej 175 mieszka wówczas jeszcze Mieczysław Ney, brat mamy, urzędnik prywatny, kolejny w tej historii prawnik, który za kilka lat ożeni się z Marią Hercygierówną, stenotypistką z Będzina.

– Dziadek Maks to jeden z trzech najważniejszych mężczyzn w życiu Stefanii Grodzieńskiej, obok Jerzego Jurandota i wnuka Michała – podkreśla zaprzyjaźniona z nią Krystyna Gucewicz. Co wracało w opowieściach Stefanii z łódzkiego dzieciństwa? – Dziadek w proporcji dziewięćdziesiąt dziewięć na sto. Najmądrzejszy, inteligent pełną gębą, tolerancyjny wobec żony, którą kochał nad

życie. Zresztą kiedyś byłyśmy w Bibliotece Narodowej na spotkaniu, na którym Stefania wygłosiła krótki, ale treściwy wykład o „de...". Zabawny, językoznawczy, o wielu zastosowaniach tego słowa i jego leksyce. Powiedziała, że właściwie nie powinna w ogóle go wypowiadać, i zaczęła wtedy mówić o dziadku i babci, o wychowaniu w dobrym domu, gdzie obowiązywały zasady, maniery, kultura słowa. Dbał o to dziadek, który twierdził, że babcia nawet nie wie, że istnieje taka część ciała, a co dopiero, żeby wymówiła te cztery litery.

Maks, dający przyszywanej wnuczce poczucie zrozumienia i bezpieczeństwa, przyjaciel, z którym chadzała na piątkowe koncerty do łódzkiej filharmonii, był właścicielem zegarka z dewizką. Nosił go w kieszonce kamizelki, a przy nim – medalionik z rubinkami. Ten przedmiot z długą rodzinną historią ogromnie podobał się Stefanii. Dlatego dziadek obiecał, że kiedy dziewczynka skończy dziesięć lat, przekaże go jej w prezencie. „Ale tak głupio zrobił... to było dzieło sztuki, a dziadek pomyślał sobie: młoda dziewczyna będzie to nosiła, powinna mieć coś nowoczesnego. I dał do przeróbki ten cudowny, prastary klejnot. I takie coś z tego wyszło. Ale ja to zawsze bardzo kochałam. To jest naprawdę jedyne, na czym mi zależy, i pierwsza najwspanialsza i ukochana moja biżuteria"[4] – opowie Grodzieńska, prezentując skarb do kamery po siedemdziesięciu pięciu latach, które miną od przeformowania rodzinnego unikatu w inny unikat z epoki dwudziestolecia: medalionik na złotym łańcuszku z rubinami, o kształcie prostej rozety.

W czerwcu 1924 roku dziewczynka została zapisana przez dziadka do pierwszej klasy prywatnego gimnazjum Janiny Pryssewiczówny, przy ulicy Sienkiewicza. W Łódzkim Archiwum Państwowym zachowały się podanie, wyniki egzaminu do klasy pierwszej i wykaz ocen z kolejnych pięciu lat[5]. Znajomość polskiego na początku edukacji nauczyciele ocenili na „dobry": zarówno w mowie, jak i piśmie. Dobrze poszło też przyrodoznawstwo, najgorzej matematyka i zajęcia artystyczne poza – uwaga! – ćwiczeniami

cielesnymi, z których ocena zdobi druk egzaminacyjny jedynym „bardzo dobry". Z czasem najlepsze oceny zdobywała ze śpiewu i muzyki, języka polskiego, a także rysunku. Poza sprawowaniem się (zawsze bdb) i religią (również bdb), na którą uczęszczała w ostatnim roku szkoły. To lekcje religii katolickiej, nieobligatoryjne. Warto zaznaczyć, że w szkole Janiny Pryssewiczówny było sporo dziewczynek z domów żydowskich[6], które jednak – biorąc pod uwagę tradycje gimnazjum – raczej należały do środowiska młodzieży zasymilowanej lub asymilującej się.

Pensja miała długą, sięgającą epoki powstania styczniowego historię. Potwierdzała ją lista kilku właścicielek, które w czasach, gdy polska państwowość nie istniała, gdy Łódź była ziemią obiecaną, gdzie mieszały się wyznania – głównie katolickie, ewangelickie, mojżeszowe – i języki: rosyjski, niemiecki, jidysz, ale też polski (żywy w mowie i prasie), wykonywały nierzadko pracę ideowo-narodową. Dopiero po rewolucji 1905 roku kształcenie w szkołach prywatnych mogło legalnie odbywać się w języku polskim.

Janina Pryssewiczówna prowadziła tę żeńską szkołę od 1913 roku (jedną z najbardziej znanych absolwentek, uczących się za jej kadencji, była przyszła słynna skrzypaczka Grażyna Bacewicz). Przedstawicielki nowego pokolenia – dziewczęta dojrzewające w II RP – dyrektorka formowała w atmosferze podziwu dla marszałka Józefa Piłsudskiego. Sympatia, która miała podobno wymiar osobisty, gdyż panna Janina trzymała pewne dziecko do chrztu wspólnie z dawnym towarzyszem Wiktorem (jak w czasach PPS-owskiej konspiracji zwracano się do późniejszego autokraty), przełożyła się na to, że Stefania znała na pamięć wszystkie wiersze o Piłsudskim i piosenki legionowe. Propaganda okazała się bezskuteczna, czego dowodem jest cytat z Grodzieńskiej: „Młodzież instynktownie opiera się wszelkim narzuconym kultom, więc moja niechęć do Piłsudskiego wyprzedziła znacznie jakąkolwiek świadomość polityczną i społeczną"[7]. Z polityką będzie jeszcze kłopot, zostańmy więc na chwilę przy szkolnych obyczajach.

Był w nich cały urok tamtych eleganckich czasów, w których – choć miasto nie radziło sobie z odprowadzaniem ścieków – młodzież gimnazjalna zwracała się do siebie per pan i pani. „Czy pani by mi pozwoliła zanieść teczkę do domu?". „Nie trzeba, mam dość sił, sama zaniosę". Jeszcze chwila przekomarzania się. „Ale proszę", „nie", „po co?". W końcu teczka przekazywana jest wyniosłym gestem ręki[8]. I zaczyna się rozmowa, na przykład o radiu, którego historia, to ciekawe, dopiero się pisze. Działalność Polskiego Radia nabrała rozpędu u progu lat trzydziestych, a do wybuchu II wojny rozgłośnia zyskała już ponad milion abonentów. Stefania zapamiętała, że tylko jedna koleżanka z klasy miała w domu odbiornik. Nastawiało się go na Königs Wusterhausen – radiostację pod Berlinem, z której płynęła muzyka rozrywkowa, taneczna. Tak wyglądał Grodzieńskiej najwcześniejszy kontakt z radiem, skutkujący natychmiastową miłością. Przy odbiorniku siedziało się w słuchawkach, cichuteńko, w przejęciu, żeby nie urazić kogoś po drugiej stronie jakimś nietaktem.

W domu Franciszki i Maksymiliana Bujanerów radia nie było. Był za to gramofon z wielką różową emaliowaną tubą, na którym słuchało się ukochanych płyt: przede wszystkim Chóru Dana z Mieczysławem Foggiem, ale też nagrań instrumentalnych. Wyobraźnię piętnastolatków pod koniec lat dwudziestych rozpalały głównie tanga, nie tylko *Milonga*, które stało się wówczas szlagierem. Do przodu: krok, krok, krok, stopa od pięty do palca, od pięty do palca, a potem kroczek w tył, od palca do pięty – przez ciało przechodzi dreszcz napięcia, rośnie fascynacja. Cztery pary tańczą w gabinecie dziadka. Maks wyszedł z domu na preferansa, babcia Franciszka siedzi u siebie w pokoju i nasłuchuje. Napięcie erotyczne rośnie, trwa gra spojrzeń i kroków – jednak nic ponad nią się nie dzieje. Zresztą Stefania Grodzieńska do czasu pierwszego zauroczenia jest „dzikusem" (jak to określi po latach), więc na wieczorkach chłopców boi się panicznie. Nie jest też strojnisią, bo babcia Frania nie uznaje żadnej wymyślności, zatem na domowych

spotkaniach młodzieży dziewczynka pojawia się w białej bluzce i granatowej spódnicy, z której do tego już wyrosła[9]. Jest drobna i starannie uczesana, wygląda na mniej lat niż metrykalne piętnaście–szesnaście.

Owe wieczorki zawsze wyglądają podobnie: są gramofon, taniec, czasem pianino lub nawet fortepian. Są też długie rozmowy o książkach i filmach – i bywa, że pojawia się również przywilej przejścia na „ty". Oto scenka: Stefania siedzi za fortepianem. Wśród przystojnych blondynów i ślicznych brunetów dostrzega dorodnego chłopca z bujną, ciemną grzywą i białymi zębami. Zna go z widzenia: chłopak gra na skrzypcach w czasie wspólnych akademii szkół męskich i żeńskich. A teraz zmierza w jej stronę. „Czy pani lubi tańczyć?" – słyszy pytanie, które cieszy ją, bo jest przekonana, że właśnie otrzymuje zaproszenie do tańca. „Tak, bardzo" – odpowiada, lecz pytający momentalnie smutnieje. „To szkoda, bo ja bardzo nie lubię" – oznajmia. Liczył na rozmowę. „Ależ proszę pana, ja lubię też bardzo rozmawiać, proszę, niech pan siądzie"[10] – mówi więc dziewczyna. I tak Stefania Grodzieńska zaprzyjaźnia się z Aleksandrem Bardinim – wysokim, czarującym młodzieńcem o naturze myśliciela.

Starszy o rok Aleksander Bardini w latach trzydziestych wyruszy do Warszawy studiować aktorstwo i reżyserię. W Łodzi był wcześniej skrzypkiem związanym z żydowskimi instytucjami kultury, teatrem kameralnym Ararat czy towarzystwem kulturalnym Hazomir. Rodzice Bardiniego prowadzili w tym mieście restaurację przy Zielonej.

Choć z czasem lęk przed chłopcami minął Stefanii bezpowrotnie, a na brak zainteresowania z ich strony nie mogła zresztą nigdy narzekać, to właśnie Bardini był pierwszym młodzieńcem, który do Grodzieńskiej zatelefonował, czym wywołał wstrząs u dziadków Bujanerów. Jakiś chłopiec ośmiela się dzwonić, coś podobnego! Ale, ale, telefon – cenna informacja. Pod koniec lat dwudziestych nowoczesne środki komunikacji dopiero się

upowszechniają, a telefony wykorzystuje się głównie w świecie urzędowym, służbowym. Jeśli są obecne w prywatnych mieszkaniach, niewątpliwie mówią coś o zamożności ich lokatorów. Telefon jest dobrem luksusowym.

Wkrótce Aleksander Bardini pojawia się przy Piotrkowskiej 175, o czym opowie po wielu, wielu latach w jednym z programów telewizyjnych, zwracając się do roześmianej Stefanii:

> Publicznie wyznaję, że byłaś pierwszą dziewczyną, z którą byłem na sylwestrze w Łodzi. Wybierałem się na tego sylwestra, przyjechał dobry znajomy do mojego ojca i kiedy widział, że się tak stroję i puszę – a miałem lat około piętnastu – wyciągnął flaszkę wody kolońskiej z wrzosu. Oblał mnie tym gruntownie, ja przyszedłem po ciebie, a twoja babcia, u której mieszkałaś, nie wpuściła mnie do mieszkania, ponieważ takie zapachy rozsiewałem dokoła.[11]

Łódzcy nastolatkowie poza wieczorkami mieli też inny ceremoniał rozrywkowy: niedzielne spacery parzystą stroną Piotrkowskiej, między przecznicami Nawrot i Narutowicza. Idea polegała na przechadzce w kilkuosobowej jednopłciowej grupie, bo w mieszanej parze, jak zaznaczy Grodzieńska, nie byłoby szykownie. „Co innego do kina «Luna» na ulicy Przejazd, na wagary do Helenowa czy gdzieś na wieczorek. Parami, jak najbardziej. Ale nie na niedzielny spacer"[12]. Rzecz jasna i tak o zaloty w tym spacerze chodziło: który chłopiec się ukłoni, w jaki sposób i komu przede wszystkim swoje skłonienie zadedykuje. Przestrzeń do uczuciowych interpretacji długa jak ta najbardziej znana ulica Łodzi.

W czasie spaceru łatwo było rozpoznać, kto jaką szkołę reprezentuje: uczennice i uczniowie nawet w dni wolne od nauki musieli nosić swoje granatowe berety (one) i granatowe rogatywki z daszkiem (oni). Diabeł tkwił w szczególe: znaczku na berecie czy kolorze wypustki na rogatywce – po nich identyfikowało się konkretną

placówkę edukacyjną. Uczniowie niektórych szkół nosili kepi (czapkę w kształcie ściętego walca) lub szafirowe okrągłe czapki, jak uczniowie gimnazjum niemieckiego. Za nienoszenie nakrycia głowy groziły konsekwencje, na przykład zawieszenie, a nawet wydalenie ze szkoły (jeśli sytuacja nie była jednorazowa).

Jednak to nie za brak beretu Stefania zostanie usunięta ze szkoły – a tak w istocie się stanie.

Codzienność młodych Łodzian nie była ani beztroska, ani politycznie obojętna. Zamach stanu z 1926 roku, będący atakiem na polską konstytucję i ledwie zainaugurowaną demokrację, rozpoczął kilkanaście lat autorytarnych rządów sanacji, do 1935 roku pod przewodnictwem Piłsudskiego. Chaos partyjny, rozłamy, kryzysy, rosnąca opozycja (prawicowa, ale też lewicowa, socjalistyczna i komunistyczna), represje wobec przeciwników politycznych, aresztowanie ich w 1930 i osadzenie w twierdzy brzeskiej – to wszystko stało się tłem dla życia rozpolitykowanej łódzkiej młodzieży.

Najbliższe środowisko Stefanii było związane z organizacjami lewicowymi. Z ramienia Polskiej Sekcji Międzynarodowej Organizacji Pomocy Rewolucjonistom, wspierającej więźniów politycznych, gimnazjaliści pomagali rodzinom skazańców, przynosząc paczki z potrzebnymi rzeczami czy oferując opiekę nad dziećmi. A z kolei na polecenie Związku Niezależnej Młodzieży Socjalistycznej roznosili ulotki i organizowali tajne prelekcje dla młodzieży. Związek Niezależnej Młodzieży Socjalistycznej nawoływał do zastąpienia kapitalizmu socjalizmem, ale także bronił praw źle sytuowanych studentów, wstawiał się za mniejszościami narodowymi.

„Wizyty na ubogich robotniczych Bałutach, przyjaźń z rodzinami, których jedyny żywiciel był w więzieniu, to były nasze uniwersytety. One przygotowały nas do najcięższej próby, do okupacji, która pożarła naszą młodość”[13] – napisze Grodzieńska wiele lat później.

To rzeczywiście były uniwersytety sensu stricto. Na inne nie było widoków, odkąd Stefania została wyrzucona ze szkoły, prawdopodobnie właśnie za pomaganie rodzinom więźniów politycznych, przez co straciła szansę na podejście do matury. W którym to było roku? Zachowane dokumenty gimnazjalne Grodzieńskiej kończą się na 1928/1929[14], piątym w szkole Pryssewiczówny – ale może czegoś tu brakuje? Przed reformą szkolnictwa w 1932 roku edukacja średnia, prowadząca do matury, była najczęściej ośmioklasowa – obejmowała trzyletnie gimnazjum niższe i pięcioletnie gimnazjum wyższe. Grodzieńska wspominała, że ze szkoły Pryssewiczówny wyrzucono ją w klasie maturalnej, na początku lat trzydziestych.

U progu dorosłości zostawia za sobą wspomnienia pierwszych znajomości, w daleką przyszłość zabierając najcenniejsze przyjaźnie.

Pierwsza była Krysia Jabłkowska. Siedziały przez lata w jednej ławce. I to ona ruszyła z pomocą, kiedy reszta uczennic zaczęła szykanować Steffi – wychowaną w Berlinie, „Niemrę", która nie mówiła jeszcze dobrze po polsku. Krysia nie dość, że jako jedyna do pastwienia się nie przystąpiła, to jeszcze potrafiła odwrócić układ sił. Chciała iść po wychowawczynię, ale to Stefania zabroniła interweniować. „Zrobiła ze mnie bohaterkę..."[15] – napisze Grodzieńska.

Ale była też druga Krysia, a dla Stefanii zawsze Zosia, chociaż kiedy były dziewczynkami, nazywała się inaczej – Sonia Landau. Po tym, gdy wojna zabrała im młodość, stała się Krystyną Żywulską, tą słynną Żywulską od *Pustej wody* czy *Przeżyłam Oświęcim*. Zosia chodziła do innej szkoły.

Obie, Stefanię i Zosię, w środowisku łódzkiej uczącej się młodzieży wyprzedzała sława pożeraczek chłopięcych serc. Znając wzajemnie swą renomę, trochę się nie lubiły, trochę sobie zazdrościły, ale do czasu. Do czasu pierwszego spotkania. „Ze źle ukrywaną wściekłością spojrzałyśmy sobie w oczy i... od tej chwili,

do jej śmierci zostałyśmy najbliższymi przyjaciółkami, w tę bliskość wciągając całe nasze rodziny"[16]. Zosia była od przyjaciółki starsza – o jeden dzień.

Mama Zosi, pani Landauowa, była położną: ciepłą kobietą i świetną gospodynią. Ojciec Zosi – urzędnikiem, rodzina zaś zasymilowana.

Pani Landauowa, gdy trafi z mężem i córką do warszawskiego getta, nie mając ani warzyw, ani kaszy, ani niczego do jedzenia w ogóle, będzie gotować wrzątek, przelewać go do wazy, wazę stawiać na stole, z wazy rozlewać do talerzy. Żeby było jak w domu[17].

Stefania Grodzieńska stanie się niemal jej trzecią córką. Po latach będzie mówić do niej „mamo" i powie, że mama Zosi to jedyna ze znanych jej osób, którą mogłaby określić słowami „bez wad"[18].

Do Zosi i Krysi trzeba dodać jeszcze trzecią przyjaciółkę – Kamę, obecną w życiu Grodzieńskiej nawet po siedmiu dekadach od gimnazjum. Co roku, latem, przyjeżdżała do Warszawy na trzy–cztery tygodnie, bo już przed wojną wyszła za mąż za Francuza, dzięki czemu jej losy były tak inne.

O pewnej niezręczności związanej z Kamą opowiadała Grodzieńska zabawnie, bo jak inaczej, w pewnym programie telewizyjnym, wspominając po dobrych kilkudziesięciu latach swoją największą gafę z młodości. Mówiła, że przyjaciółka miała chłopaka, ale – tak to czasem bywa – spodobał się on Stefanii i Stefania jemu też. Sama przyznała, że zły duch raz ich ku sobie skłonił, a potem napisała do chłopaka list, który wszystko zdradzał. Był to widomy ślad minionej, choć subtelnej, przygody. I napisała też drugi list – do przyjaciółki. I jak w najmniej mądrej komedii zamieniła te listy i włożyła na opak do kopert, jednak przyjaciółka jakimś cudem nie zorientowała się, o co dokładnie chodzi.

Kiedy będą miały już po osiemdziesiąt kilka lat, zacznie Grodzieńską kusić: „Słuchaj, stara, jak coś ci powiem, to ci wszystko opadnie"[19]. Chłopak miał na imię Lolek[20]. Dla jasności: całowali

się, było już przyjemnie, może aż nazbyt, więc Stefania powiedziała podniosłym tonem: „Pomyślmy o Kamie". Wtedy Lolek przeklął okropnie – a nie były to czasy, w których przy kobiecie wypadało się tak odezwać. I zabrał się do domu, dotknięty odtrąceniem. W końcu Stefa to wszystko Kamie opowie. I co na to Kama? Będzie płakać ze śmiechu.

W tle tych nastoletnich flirtów, czyli na przełomie lat dwudziestych i trzydziestych, zaczął się wielki kryzys gospodarczy, który w przemysłowym mieście potęgował wszystkie zjawiska odczuwalne w całym kraju. Niech za obrazowy przykład posłużą dwie dane: 9388 oraz 1241. Ich różnica pokazuje, jak drastycznie w ciągu zaledwie trzech miesięcy na przełomie 1930 i 1931 roku spadła liczba pracowników w zakładach Karola Scheiblera i Ludwika Grohmana – największym łódzkim przedsiębiorstwie włókienniczym[21].

Kryzys przyniósł lawinowe bezrobocie, ubóstwo, eksmisje, wyrzucanie dzieci ze szkół, bo ich rodziców nie było już stać na edukację. W tej biedzie uwidoczniły się najtrudniejsze problemy społeczne: rosnąca przestępczość, deprawacja, bandytyzm, plaga prostytucji.

Powszechne były też samobójstwa. Życie odbierali sobie ludzie pozbawieni środków na utrzymanie, dachu nad głową – lub ci gwałtownie ubożejący. Dotyczyło to wszystkich klas społecznych: od robotników przez rzemieślników aż po kupców i przemysłowców.

„Szalał światowy kryzys. Łódź każdej nocy się paliła. Miasto fabryk włókienniczych było powiązane z wieloma podobnymi ośrodkami na całym świecie. Fabryki bankrutowały. Co dzień przez Piotrkowską sunął jeden orszak pogrzebowy za drugim"[22] – zapamięta Grodzieńska.

Życie odebrał sobie Maksymilian Bujaner.

„Dziadek był ekonomistą, pracował jako przedstawiciel firmy z Liverpoolu. Transakcje zawierał na własne nazwisko, tak było

ogólnie przyjęte. Teraz odpowiadał na terenie Polski za zbankrutowaną w Liverpoolu angielską firmę. To właśnie samobójców w podobnej sytuacji wieziono w karawanach"[23] – napisze bohaterka tej książki.

W łódzkim archiwum państwowym znajduje się dokument potwierdzający, że Bujaner od stycznia 1927 roku prowadził biuro agenturowo-handlowe, którego przedmiotem było pośrednictwo w handlu surowcami, co potwierdzało stosowne świadectwo przemysłowe. Zaś jego karta cmentarna mówi, że ciało Maksymiliana sprowadzono karawanem na cmentarz 12 sierpnia 1931 roku.

Stefania zapamięta, że były wakacje i jak co roku spędzała ten czas na obozie sportowym w miejscowości Kolumna pod Łodzią. Że stamtąd pociągiem odebrał ją wuj Mieczysław Ney, że dotarli na stację Łódź Fabryczna, że okazało się, iż babcia jest w szpitalu, a dziadek nie żyje. To drugie Stefania przeczuwała od chwili, gdy zobaczyła wujka na letnisku.

Grodzieńska napisze, że dziadek się poświęcił, by mogły z babcią jako tako przetrwać dzięki jego ubezpieczeniu na życie – a dokładnie dzięki temu, że zostało ono wypłacone, bo Maks swoje samobójstwo obmyślił jako upozorowany atak serca i cały ten tragiczny fortel najwyraźniej się udał. Przygotowywał się długo i solidnie. Plan zrealizował – lekarz stwierdził zgon z powodu zawału. I niemal nikt o prawdziwej przyczynie nie wiedział, poza wujkiem Mieczysławem i siedemnastoletnią Stefanią. Brzmi nieprawdopodobnie? Sam mechanizm rozważania samobójstwa jako zabezpieczenia rodziny był znany w prasie i piśmiennictwie dotyczącym ubezpieczeń. Nie były także tajemnicą przypadki prób pozorowania okoliczności śmierci z udziałem osób trzecich – tak żeby nie tracić szans na odszkodowanie[24].

Mimo to po śmierci dziadka Bujanera – w obliczu wciąż panującego kryzysu – standard życia Stefanii i Franciszki znacząco się obniżył. Wkrótce dziewczyna została wyrzucona ze szkoły – tłem było

wspomniane już społeczne zaangażowanie Grodzieńskiej, w tym spacery z dziećmi z Bałut.

Dzieci zawsze były miłością Grodzieńskiej i jakoś wszędzie, w najtrudniejszych nawet chwilach i miejscach, wynajdowała te, którym trzeba było dać choć odrobinę troski. Bałuty były zaś rozległą, chaotycznie rozrośniętą dzielnicą, zamieszkałą w dużej mierze przez żydowski proletariat, której nieobce były przemoc i przestępczość. Różniły się diametralnie od tej części śródmieścia, w której mieszkała Stefania. Piotrkowska 175 to przyjemny punkt, elegancka kamienica – mieściły się tam między innymi skład porcelany, kantor wyrobów bawełnianych, a w podwórzu instytut leczenia radem. Nieruchomość należała do rodziny Zajbertów, której najbardziej znani przedstawiciele – bracia Aron i Hersz – prowadzili fabrykę włókienniczą, zatrudniającą w dwudziestoleciu kilkuset pracowników.

Kiedy Stefania efektownie zakończyła swoją szkolną edukację, stanęła przed pytaniem, co dalej zrobić ze swoim życiem. W czerwcu 1932 roku złożyła wniosek o wydanie dowodu osobistego[25]. Poza niezbędnymi informacjami pojawił się na nim rysopis. Wzrost średni, twarz owalna, włosy: brunetka, oczy piwne, znaków szczególnych brak. Do dzisiaj zachowało się dołączone do formularza zdjęcie, na którym widać szykowną postać, wciąż o dziecięco gładkiej buzi, lecz poważnym wyrazie twarzy i bacznym, nieco melancholijnym spojrzeniu. Wytworność podkreślają starannie ułożona fryzura, miękkie fale z przedziałkiem z boku, a także jasna chusta w grochy odcinająca się od ciemnego stroju. Prawie pełnoletnia, nad wiek poważna panna, wydaje się gotowa na swoją wyczekiwaną oficjalną dorosłość.

Jak dobrze, że przyszłość jest tym, o czym nigdy nie mamy pojęcia.

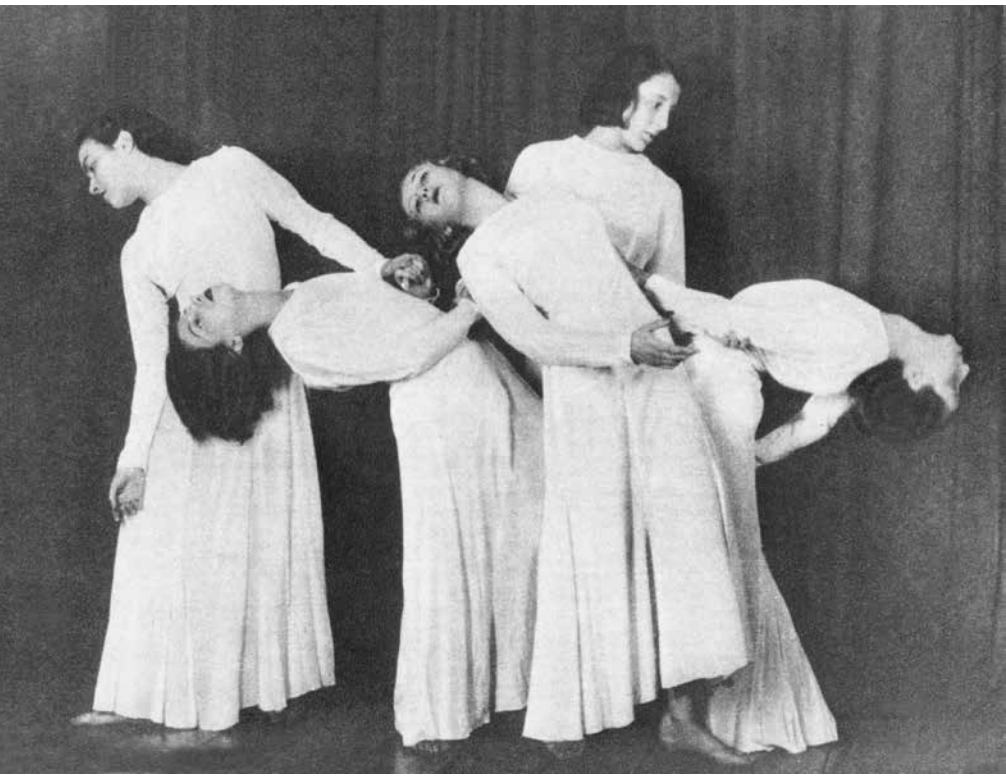
ROZDZIAŁ IV

Warszawa 1932–1939 • Łódź: ciągle w tle • Paryż na chwilę • Zakopane, połowa lat trzydziestych

Przełom 1932 i 1933 roku. Wzrok, który przesuwa się po szeregu kamienic, stojących wzdłuż ulicy Królewskiej w Warszawie, szybko zatrzymuje się na tej pięciopiętrowej, z wielką rzeźbą skrzydlatego geniusza na szczycie. Wygląda luksusowo i bezsprzecznie taka jest. Podobnie jak jej sąsiadki, została skierowana w stronę Ogrodu Saskiego – jednego z najbardziej reprezentacyjnych zakątków stolicy. W parku dostrzec można iglaki i nagie drzewa.

W kamienicy zwieńczonej geniuszem, tej z numerem 31, rezyduje wielu lekarzy, mieszka i prowadzi szkołę nauczycielka tańca Irena Prusicka, a przy parterze Warszawiacy zatrzymują się, żeby odwiedzić jeden ze znanych interesów. Kupi się tu sztucery i rewolwery (w sklepie z bronią, o ile ma się pozwolenie), koperty czy kalki w składzie papieru, etolę z lisa w pracowni futer, łyżwy i narty w sklepie sportowym oraz znany w całym mieście, szeroko reklamowany, zaprawiony zaczynem i kaukaską legendą pochodzenia gęsty sfermentowany napój – w zakładzie kefiru leczniczego Klaudii Sigaliny.

Przez eklektyczną fasadę można wkroczyć do różnej urody światów. Są podwórze przednie, oficyna, a potem drugie podwórze z kolejnymi oficynami. I tam właśnie, w budynku na czwartym piętrze, w wynajętym pokoju mieszka Stefania Grodzieńska z koleżanką ze szkoły baletowej. „Nie miałyśmy pieniędzy. Zarabiałyśmy czasem jako zespół szkoły baletowej, gdzieś tam tańczyłyśmy, ale to były grosze. Poza tym miałam babcię na utrzymaniu. Trudno



Zespół taneczny Ireny Prusickiej. Taniec koi smutki, potęguje radość życia i pozwala tę radość wyrazić, przyzna Grodzieńska – pierwsza z lewej

powiedzieć, że byłyśmy ubogie, bo to się łączy z jakimś smutkiem. Byłyśmy bardzo wesołe, ale po prostu nie miałyśmy pieniędzy"[1] – objaśni swoje położenie.

Strategicznym atutem pokoju jest niska cena najmu. Poważną wadą: wiele obowiązujących w nim i w przestrzeni wokół restrykcji. W kwestiach mycia, prania i gotowania stosuje się surowy regulamin. Żadnych wizyt chłopców, w ogóle najlepiej żadnych gości, w pokoiku nie wolno mówić głośno, preferowane ściszanie głosu do szeptu. Do tej izdebki idzie się przez korytarzyk, z kuchnią po lewej stronie, dalej jest pokój przechodni, w którym leży gospodyni. Oceniając na oko jej stan: nie jest chora ani niepełnosprawna, więc może tylko lubi polegiwać w łóżku? Tancerki zauważają nie raz, jak wstaje i dziarsko maszeruje w stronę łazienki. Często odwiedzają ją księża i siostry zakonne.

Pokój gospodyni ma wytyczoną trasę przelotową do lokum dziewcząt. Centralnym elementem tej infrastruktury jest zawieszona na drucie firana – zamontowana tak, że widać czubki głów przemykających za nią osób, lecz przechodzący nie mogą nawet dyskretnie zbadać, co dokładnie dzieje się za przesłoną. Musieliby podskoczyć.

> Jak to młodzież przekorna, wiedząc, jakie są obostrzenia, z tym większą satysfakcją je przekraczałyśmy. Paczka naszych najbliższych koleżanek ze szkoły baletowej wiecznie u nas siedziała. Chłopcy oczywiście przychodzili. Dziewczyny szły tak, że gospodarze widzieli czubki ich głów, a tuż przy nich, uczepieni kolan, szli w kucki zgięci jak żaby chłopcy[2]

– wyjaśni Stefania. Chłopcy szeptali najciszej, dziewczyny trochę głośniej, żeby było je słychać.

Wśród dziewcząt jest jedna, która uczy się w szkole, chce ćwiczyć, chociaż nie sposób nazwać ją tancerką. „Przeurocza. Bardzo zgrabna, bardzo piękna, o wyjątkowej zupełnie urodzie i miła

strasznie. Przypuszczam, że już było za późno, żeby została zawodową tancerką. Miała 17 lat"[3] – wspomni Stefania. Dziewczyna pochodzi z bardzo ubogiego domu, ma cudowną, jak podkreśli Grodzieńska, mamę i dwie starsze siostry. I jeszcze prześliczny głos. „Otóż ta dziewczyna zmieniła nasze życie"[4] – powie z naciskiem Stefania. Kogo będzie mieć na myśli? Wierę Gran, z domu Dwojrę Grynberg.

Pewnego dnia kontralt Wiery niesie się trochę głośniej, niż należałoby uznać za dozwolone. Ale jest Boże Narodzenie, a Gran śpiewa kolędy. Spokojne, matowe dźwięki dochodzące do uszu towarzystwa sprawiają, że zamiera ono w zachwycie. W pewnej chwili słychać coś jeszcze. Pukanie do drzwi. Stefania prawie mdleje. Wymówią nam pokój przez śpiew Wiery – myśli. Drzwi otwierają się, wchodzi ksiądz. Nie komentuje widoku, choć dostrzega młodych mężczyzn. Mówi tylko: bardzo przepraszam, ale tu któraś z panienek tak pięknie śpiewa. Czy nie mogłaby jeszcze trochę głośniej? Też chętnie posłuchamy. „No więc od tego się zaczęła wielka zmiana w naszym życiu. Dlatego że jeżeli ksiądz pochwalił, no to myśmy były już o trzy stopnie wyżej. Wprawdzie nie zmniejszono nam opłaty, ale już mogłyśmy rozmawiać ludzkim głosem i nawet mogłyśmy czasami sobie zagrzać ciepłą wodę do mycia"[5].

Stefania Grodzieńska znalazła się w Warszawie za sprawą Ireny Prusickiej. Młoda pedagożka tańca jeszcze w Łodzi przyjęła Stefę do swojej szkoły – między innymi na podstawie pisemnej referencji berlińskiego baletmistrza[6]. Ta nauka przyniosła Grodzieńskiej jedyne dowiedzione dyplomem wykształcenie, ale też zapewniła możliwość utrzymania się.

Wszystkie dotychczasowe nieszczęścia w życiu młodziutkiej Stefanii w niewielkim stopniu zrównoważyło to jedno pomyślne wydarzenie: przeniesienie przez Prusicką szkoły z Łodzi do Warszawy w 1932 roku. Oraz chęć zabrania Grodzieńskiej ze sobą

przez nauczycielkę w roli nie tylko uczennicy, ale także pomocnicy. Prusicka zapewniła jej też, ten opisany wyżej, osobliwy dach nad głową. Był to jednak nareszcie jakiś w miarę solidny punkt zaczepienia, a razem z możliwościami zarobkowania i dodatkowego kształcenia się pozwolił jej stopniowo wejść w dorosłość.

No i zaoferował rozwój artystyczny.

Irena Prusicka ukończyła drezdeński instytut Mary Wigman – słynną szkołę tańca wyrazistego, który odchodził od form klasycznych i szukał w ruchu głębi psychologicznej oraz tożsamościowej. Awangardowe odkrycia i ideę tańca zarówno wyrazistego, jak i wyzwolonego Prusicka wniosła stopniowo do swojej szkoły.

Broszura reklamowa placówki, dotycząca jeszcze zajęć w Łodzi, przekonywała, jak wiele można osiągnąć dzięki tańcowi. „Przez radość w ruchu dążymy do zapomnienia o troskach życia codziennego, do wskrzeszenia energji życiowej i sił duchowych”[7] – informowała przy kursie amatorskim. Kto chce się kształcić w tańcu artystycznym oraz pedagogice gimnastycznej, może skorzystać z kursu zawodowego, który trwa minimum trzy lata i kończy się egzaminem.

Grodzieńska już jako piętnastolatka zarobiła na tańcu pierwsze pieniądze – występowała w balecie w Teatrze Miejskim w Łodzi, w blond peruce. Uczyła się też przez pewien czas baletu klasycznego, jednak – ze względu na słabe stopy – taniec na pointach, w którym ciężar ciała opiera się na czubkach palców, był dla niej męczarnią. Pełna partia Odetty/Odylii w *Jeziorze łabędzim* pozostała niespełnioną fantazją, a rozwiązaniem okazał się zaproponowany przez Prusicką taniec wyzwolony.

Artur Andrus, bliska osoba, „bratnia dusza”, z którą wiele, wiele lat później Grodzieńska jeździła po Polsce na spotkania z publicznością, mówi: – Taniec był dla niej na pewno jedną z najważniejszych w życiu rzeczy i kiedy zaczynała o nim mówić, to od razu się rozpromieniała. Myślę, że gdyby jej kazać ułożyć według

ważności wszystkie zajęcia, taniec byłby na pierwszym miejscu. Te wszystkie tam inne: a to scena, a to konferansjerka, a to pisanie, były ważne, ale taniec chyba by wygrał. Kiedy w telewizji transmitowano łyżwiarstwo figurowe, nie było po co dzwonić, bo Stefania była wyłączona, siedziała i oglądała. Pamiętam też, że przy okazji, zdaje się, osiemdziesiątych piątych urodzin pojechała do Skolimowa odwiedzić swoje koleżanki i zebrała kilka z baletu. Odtańczyły razem kawałek *Jeziora łabędziego*.

Szkoła Prusickiej działała w dwóch miejscach: przede wszystkim przy Królewskiej 31 (oficjalny, powtarzający się w reklamach i ogłoszeniach adres), ale także – o czym wspominała bodaj jedynie Grodzieńska – w okazałej kamienicy przy Marszałkowskiej 150, będącej zarazem znanym w całym mieście lokum Domu Mody Bogusława Hersego. Kto się chciał lub musiał dobrze ubrać, zajeżdżał właśnie tutaj: Hanka Ordonówna, pierwsza dama RP Maria Mościcka, żony ambasadorów czy prezesów banków. Budynek witał klientelę i bywalców pokazów mody marmurowymi schodami, których balustradę tworzyły słupki wykonane z seledynowej majoliki.

W tych reprezentacyjnych wnętrzach Grodzieńska okazjonalnie występowała jako modelka, ale przede wszystkim – kilka pięter wyżej – była jedną z asystentek Ireny Prusickiej. A to oznaczało, że uczyła gimnastyki taneczno-rytmicznej dzieci, a panie – gimnastyki higienicznej. Dzieci wyginały się więc przy niej w tył, stawiając mosty od stóp do dłoni. Grały też na bębenkach, opowiadały bajki taneczne, rozwijały rytm i fantazję, bo w zajęciach ani trochę nie chodziło o sztuczne pozy, tylko o wzbudzenie w ciałach naturalnego, niemal instynktownego zamiłowania do ruchu i tańca. Gimnastyka higieniczna dla pań prowadzona przez Stefanię polegała zaś na wzmocnieniu mięśni, zwiększeniu elastyczności kobiecego ciała, pracy z oddechem.

U Hersego była „komercja", przy Królewskiej „uduchowienie"[8] – nazwie sprawy jasno Grodzieńska. W mieszkaniu Prusickiej,

w kamienicy pod geniuszem, odbywały się lekcje klasy mistrzowskiej. Arcytrudne, bo oparte na podwójnej improwizacji na zadany temat: akompaniatora przy fortepianie i tancerki solistki. Musieli się w mig zrozumieć i stworzyć wspólną formę.

Poza pobieraniem i dawaniem lekcji Stefania Grodzieńska brała udział w inscenizacjach Szkoły Gimnastyki i Tańca Artystycznego Ireny Prusickiej, za które także dostawała pieniądze. Przez kilka kolejnych lat w czasie występów w filharmoniach, teatrach, na konkursach dawała popisy w solówkach, ale również reżyserowała i komponowała tańce dla dziewczęcych kwartetów, tworzyła ponadto kompozycje dla siebie. W programach obok jej nazwiska pojawiały się marsze, walce, tanga. Przykłady? Taniec do *Allegro Barbaro* Béli Bartóka, *Valse triste* Sibeliusa, kompozycja własna o intrygującej nazwie *Człowiek pierwotny* (to jej praca dyplomowa z 1936 roku)[9].

Dziewczyna zarabiała też, tańcząc w teatrzykach (o czym szerzej niebawem), ale i zabierając dzieci na spacery (o czym nie wiadomo nic ponad tę zdawkową informację).

Sześćdziesięciokilkuletnia pani Bujaner pozostawała po śmierci męża pod opieką syna Mieczysława i jego żony Marii. „Babcia, ta energiczna, despotyczna babcia, nie lubiąca czułości ani żadnych objawów uczucia, teraz siedziała nieruchomo w fotelu, patrząc przed siebie oczami bez wyrazu"[10] – napisze wnuczka Frani.

Spotykały się w Łodzi w każdą niedzielę. Babcia, ręką troskliwej synowej, odliczała dni na ściennym kalendarzu, żyjąc tylko tymi wizytami. Nie zgadzała się przy tym, by odwiedzali ją jacykolwiek starzy przyjaciele. W niedzielę rano, dzięki pomocy Marysi, Franciszka wkładała najpiękniejszą ze swoich bluzek, a na jej głowie pojawiała się, wykonana według precyzyjnych instrukcji, fryzura. „Na wołanie Marysi albo Mietka «Stefcia przyjechała!» – babcia wyciągała ręce i tak czekała. Wpadałam w te coraz szczuplejsze ramiona i obie płakałyśmy. Całowałam ją, głaskałam po twarzy

i powtarzałam: «Babciu, kochana moja, najukochańsza!». Mietek i Marysia wychodzili z pokoju i zjawiali się tylko, żeby nam przynieść obiad"[11].

Eleonora, wieczna emigrantka, mieszkała z Miszą w Paryżu, w hotelu studenckim przy rue Tournefort 6. Ich zagmatwane losy to opowieść na osobny rozdział (pojawi się), tymczasem wspomnieć należy, że przez te wszystkie lata Eleonora pisała do Stefci listy, że widywały się w Polsce, gdzie matka odwiedzała córkę podczas wakacji. Stefania będzie wspominać też, że jeździła do Paryża, kiedy tylko było to możliwe[12].

To Eleonora, jeszcze pod koniec lat dwudziestych, odwiedzając z córką krewnych w Warszawie, zabrała Stefanię do teatru rewiowego Morskie Oko. Nastolatka nie zapamiętała z tego wieczoru nic – nic poza gwałtownie napływającym uczuciem do teatralnego i filmowego amanta Aleksandra Żabczyńskiego. Zakochanie przyniosło zgryzotę i wyrzuty sumienia, bo wcześniej obiektem westchnień dziewczyny był dwukrotnie widziany na scenie aktor dramatyczny Aleksander Węgierko. „Długo w nocy pocieszała mnie matka, że nie muszę czuć się winna w stosunku do Węgierki, bo przecież można doskonale kochać dwóch mężczyzn jednocześnie"[13] – napisze Grodzieńska. Napisze nie bez praktycznego znawstwa tematu (które wyklaruje się jednak nieco później niż po wizycie w Morskim Oku).

Następnego dnia poszły do Qui Pro Quo, słynnego warszawskiego kabaretu literackiego. I tu nastąpiło jeszcze trwalsze zauroczenie, miłość nawet, i to niejedna. „To chciałabym, to boję się. Próbowałabym i zbroję się" – wyśpiewywała foxtrota aktorka Maria Modzelewska, do słów napisanych przez swojego męża, Mariana Hemara. Hanka Ordonówna i Chór Dana potęgowali napięcie tangiem *Milongera*. Publiczność zaśmiewała się, słuchając szmoncesowego dialogu z udziałem Konrada Toma – jednego z mistrzów gatunku, obok Tuwima i Hemara.

Wśród wielu fantastycznych zjawisk tego pierwszego wieczoru w Qui Pro Quo żadne nie okazało się jednak tak niezwykłe, ba! przełomowe, jak pojawienie się na scenie Fryderyka Járosyego. Teraz przyda się pamięć o Niebieskim Ptaku, teatrzyku, który kilkuletnia Stefcia oglądała z przejęciem w Berlinie. Węgier Járosy do Polski przyjechał w 1924 roku z tym właśnie zespołem, ale zakochał się w Hance Ordonównie, wtedy jeszcze nie gwieździe, i został. Stefania dotychczas o nim jedynie słyszała. „Był taki, jakim go sobie wyobrażałam, tylko o wiele cudowniejszy. Powiedział «prouszi panstwa» i moja matka kopnęła mnie w kostkę"[14].

W lipcu 1932 roku matka, która pomogła Stefanii odkryć miłość do sceny, miała okazję po raz pierwszy zobaczyć swoją córkę w tańcu przed publicznością. W Théâtre des Champs-Élysées odbywał się prestiżowy międzynarodowy konkurs tańca artystycznego, organizowany przez Archives internationales de la danse, podczas którego wystąpił zespół Prusickiej. To pierwszy z dwóch tak wysokiej rangi konkursów z udziałem Grodzieńskiej (na kolejny pojechała dwa lata później do Wiednia). Stefania – u schyłku, lecz mimo wszystko niepełnoletniości – nie miała paszportu zezwalającego na wyjazd. Starcie z machiną biurokratyczną II RP nie byłoby tu szczególnie warte odnotowania, gdyby nie jego finał: paszport z francuską wizą, umożliwiający wyprawę na konkurs, udało się załatwić w jeden dzień przez Jadwigę Beckową, żonę wiceministra spraw zagranicznych, która w domu Hersego ćwiczyła gibkość ciała w jednej z grup gimnastyki higienicznej.

Bilety w teatrze, na balkonie, dla Eleonory i Miszy załatwione, nocleg dla Stefci w hotelu przy rue des Acacias także. A zatem w podróż. Na stacji Gare du Nord Grodzieńska spotkała się z mamą i, po raz pierwszy od lat, z jej mężem. „Z okna wagonu zobaczyłam ich od razu. Jakaż to była piękna para! Jedno drugiemu dodawało urody, jakby reżyser obsadził najlepszych amantów"[15]. Jedynym dostępnym wizualnym dopełnieniem tego opisu są zdjęcia



Fryderyka Járosyego – legendarnego konferansjera, reżysera, twórcę przedwojennych kabaretów – Stefania po raz pierwszy zobaczyła na scenie pod koniec lat dwudziestych. „Był taki, jakim go sobie wyobrażałam, tylko o wiele cudowniejszy. Powiedział «prouszi panstwa» i moja matka kopnęła mnie w kostkę" – zapisze po latach

Mykolasa i Eleonory w ich litewskich paszportach, wydanych w Kownie w 1920 roku. W istocie byli piękni, a do tego niezwykle eleganccy, podobni nawzajem do siebie tym tajemniczym podobieństwem niektórych par.

Powitanie z Miszą Stefania opisze jako bardzo serdeczne. Objęcie, uścisk. Potem przybiegła mama i były bliskość, i łzy, choć nie tak wiele tych łez, bo niedawno widziały się w Warszawie, swoje przy tym wypłakując. W tle na dworcu kłębiła się cała polska delegacja. Przedstawiciele ambasady, kwiaty, przemówienia. Poza zespołem Prusickiej konkurencyjny zespół Tacjanny Wysockiej, wykształconej w Moskwie i Petersburgu tancerki i choreografki, której dziewczęta były świetne w tańcu nowoczesnym i rewiach.

Konkurs okazał się nie tylko prestiżowy, ale też niewątpliwie bardzo ciekawy, a Théâtre des Champs-Élysées stanowił dla takiego wydarzenia idealną scenerię. Betonowy budynek w stylu art déco powstał niespełna dwadzieścia lat wcześniej, w kontrze do tradycyjnych instytucji operowych, wpuszczając do swojego wnętrza muzykę nowoczesną XX wieku. Zespół Wysockiej wykonał w nim *Images polonaises* (Sceny/obrazy polskie) – stroje do tego występu przygotowała między innymi Zofia Stryjeńska. Tancerki Prusickiej przedstawiły zaś *Le Sourire de la poupée* (Uśmiech lalki), balet w trzech aktach, w którym pierwsza z wymienionych na liście ról, Magika, należała do mademoiselle Stephanie Grodzenska. Konkurs wygrał *La Table verte* (Zielony stół), danse macabre niemieckiego tancerza i choreografa Kurta Joossa, balet antywojenny. „Genialny!"[16] – napisze Grodzieńska po latach na odbitce programu.

Ten konkurs i wszystko, co z nim związane, będzie wywoływało silne emocje i zostawi po sobie urzekające wspomnienia. Wyjazd przyniósł przełom w relacjach z mamą i Miszą. Odtąd, także dzięki paszportowi, Stefania mogła Eleonorę odwiedzać w Paryżu[17], kiedy tylko miała chwilę wolnego między występami w teatrach i teatrzykach – no i pieniądze.

W przechowywanych przez lata kopiach programów występów szkoły Prusickiej, które Grodzieńska uzupełniła krótkimi objaśnieniami (co pokazuje, jak były dla niej ważne), wpada w oko nazwisko bardzo zdolnej tancerki, istotne dla tej historii: Franciszka Mannówna. W repertuarach zespołu tanecznego z lat trzydziestych próżno szukać jednak wzmianki o Wierze Gran, która uczyła się u Ireny na kursie amatorskim za darmo. Z konieczności chwytała w tym czasie za przybory do manicure'u i zarabiała po pięćdziesiąt groszy za jeden zabieg, czyli mniej więcej tyle, ile kosztowało wówczas półtora kilograma chleba żytniego[18]. W jej domu panowała ogromna bieda – ten obraz będzie mieć przed oczami Grodzieńska jeszcze po wielu latach, razem z koszerną kuchnią mamy Wiery i czulentem, wykonanym z zastępczych składników, z tego, co akurat pod ręką. Wychowującą samotnie trzy córki Lubę Grynberg Stefa bardzo lubiła – za życzliwość i poczucie humoru[19].

O koleżance powie zaś tak: „Wiera Gran była osobą trochę nie z tego świata. Młodziutka dziewczyna, która nigdy nie miała urody dziewczęcia. Była zawsze młodziutką kobietą"[20]. Stefania zwróci uwagę na to, że w twarzy Wiery zaklęty był paradoks: było w niej coś dziecinnego i dojrzałego. Gran to dla niej uroda, urok, niezwykły wdzięk, ładne ruchy ciała. Ktoś, kogo nie da się nie lubić, kto w sobie właściwy sposób od zawsze jest gwiazdą.

To Irena Prusicka zaprowadziła Wierę do Adrii, największego „przedsiębiorstwa kawiarniano-dancingowo-kabaretowego" w Warszawie, pełnego wytwornych przestrzeni, zdolnych pomieścić tysiąc pięćset osób. Były tam restauracja i sala kawiarniana, wyłożona w części drewnem różanym, ogród zimowy, bar amerykański, a w podziemiu – wielka sala dancingowa, gdzie tańczyło się między innymi na obracającym się ruchem płyty gramofonowej parkiecie. Ponadto znajdował się tam kameralny, choć niezbyt skromny złoty bar[21].

Dyrektor Adrii Franciszek Moszkowicz po sprawdzeniu tanecznych umiejętności Wiery powiedział: chciałbym zobaczyć, jak pani

jest zbudowana. Dziewczyna się rozpłakała, a Prusicka oznajmiła: nie pójdziesz spotkać się z nim na osobności[22].

Irena znalazła więc dla Gran inny kabaret – Paradis przy Nowym Świecie. Prowadził go Ignacy Waksmacher. Lokal był mniejszy niż Adria, ale wciąż pozostawał dancingiem z orkiestrą, migotliwym punktem na mapie miejskiego życia.

Przed pierwszym występem koleżanki w Paradis, w lutym 1934 roku, wszystkie dziewczęta ze szkoły Prusickiej się denerwowały. Dlaczego? „Dlatego że nocny lokal wiąże się z jakimiś tańcami, jakieś pary porozbierane. A ona śpiewała nastrojowe piosenki. I to dziwne: dziewczyna, która nie miała żadnego wykształcenia muzycznego, ale była bezbłędna muzycznie. Przy tym miała cudowną kulturę, nie szła nigdy na żadną łatwiznę"[23].

Gdy zaczęła śpiewać, w lokalu ustało dzwonienie łyżeczkami, grzebanie widelcami w talerzach, rozmowy przygasły. „I odtąd do Paradisu chodziło się nie tylko na nocną zabawę, ale przede wszystkim posłuchać, jak śpiewa Wiera Gran"[24].

Wielka, słynna, potem złamana ludzką podłością Gran. Grodzieńska będzie pamiętać jej wspaniałość i mówić o jej losie z wyraźnym bólem – widząc, jak bardzo Wiera została skrzywdzona przez ludzi pochopnie rzucających i powtarzających oskarżenia, za którymi, jak zaznaczy, nie stały fakty[25].

Stefania będzie też widzieć między sobą a Wierą Gran wyraźną różnicę obyczajową. Gran – mimo jej wielkiego powodzenia u mężczyzn – opisze jako osobę powściągliwą i nieromansową. Siebie samą przeciwnie: jako pannę otoczoną adoratorami, która młodo wyszła za mąż. Zostanie w niej pamięć o tym, że rodzina męża nie zaakceptowała jej w pełni. Była dla nich dziewczyną występującą w teatrzykach, bez rodziców i bez wprawy nawet w gotowaniu[26].

Pierwszy mąż Grodzieńskiej na imię miał Adam. Jego nazwiska Stefania będzie pilnie strzec. Dzisiaj nikt nie potrafi go wymie-

nić, nie został po nim ślad w żadnej z książek, w wywiadach ani w archiwach.

Zanim pojawił się Adam, mężem Stefanii mógł zostać Henryk, kolega z gimnazjalnych czasów – przeżyli wielką, obustronną miłość i planowali ślub, ale mężczyzna wyjechał studiować prawo do Szwajcarii, zresztą razem ze swoim przyjacielem Lolkiem Fokszańskim. Tam, niemożliwy losie, poznali Michela Grodensky'ego, ten zaś zaczął wypytywać o córkę, w pierwszym od lat przypływie ojcowskich uczuć, i postanowił odnowić z nią kontakt. Henryk wrócił do Polski, potem wyjechał na kolejny rok, a w życiu Stefanii – w tym międzyczasie, w którym zwykle dzieje się najwięcej – pojawił się Adam. „Poznałam człowieka, który był dla mnie ważny, a Henryk też wciąż był ważny. Nie wiem, czy państwo to rozumieją: kocha się w różny sposób jednocześnie. Dlaczego mam przestać kochać człowieka, którego kocham, dlatego że mi się akurat ktoś inny podoba?"[27] – będzie tłumaczyć Grodzieńska. Stefania wyszła za Adama, o czym Henryk dowiedział się po powrocie do Polski. Gdy zapytała go, czy chce poznać jej męża, odpowiedział: za żadne skarby. „To był prawdziwy mężczyzna. No i byłam żoną Adama. I Henryk znowu pojechał"[28].

Pojechał do Szwajcarii, potem do Nowego Jorku, został dziennikarzem. Zamieszkał w Meksyku.

Adam – tyle wiadomo – studiował prawo, podobnie jak rodzice Grodzieńskiej, tyle że na Uniwersytecie Warszawskim. Przystojny – to akurat można stwierdzić z jedynego zachowanego zdjęcia. Razem ze Stefanią mniej więcej w połowie lat trzydziestych trafili do Zakopanego, by leczyć chorobę, której epidemia wciąż, do połowy XX wieku, była jedną z głównych przyczyn wysokiej śmiertelności. Gruźlicę. To schorzenie, które rozwija się podstępnie, wyniszcza ciało, odbiera oddech, a w ostrym stadium prowadzi do plucia krwią.

Zastanawiające, jak mocno przez ponad sto lat łączono ją z atrakcyjnym wyglądem, tajemniczą zmysłowością i poetycką,



Z mężem Adamem, który zmarł na gruźlicę. Łódź, lata trzydzieste

wręcz mistyczną aurą. Na gruźlicę zmarli Chopin, Szymanowski, Słowacki, Kafka, zaś Byron fantazjował o gruźliczej śmierci, która zapewniłaby mu, jak uważał, ciekawy wygląd. Bladość, wychudzenie, wypieki, szkliste od gorączki oczy – wszystko to mogło uchodzić za element osobliwego ideału. Choć gruźlica nie oszczędzała nikogo, stworzyła kulturę dla wybrańców: sanatoria, górskie uzdrowiska, osobny rytm życia, znany choćby z *Czarodziejskiej góry* Manna. W Polsce najważniejszym ośrodkiem tej kultury stało się Zakopane[29]. I choć po latach okazało się, że metoda klimatyczna – czyli leczenie gruźlicy górskim powietrzem, innym niż na nizinach ciśnieniem i sanatoryjnym odpoczynkiem – nie ma istotnego wpływu na terapię, ponieważ choroba jest bakteryjna i zwalcza się ją lekami przeciwprątkowymi i antybiotykami (pierwszy skuteczny lek przeciwgruźliczy odkryto w 1943 roku), to skojarzenie gruźlicy i górskich sanatoriów pozostało trwałe.

„Mąż zaraził Stefanię gruźlicą. Oboje doszli do wniosku, że zanim ich życie się zaczęło, to już się skończyło, że są skazani na śmierć. Sprzedali wszystko, co mieli, i wyprowadzili się z Warszawy do sanatorium Sanato"[30] – mówił zaprzyjaźniony ze Stefanią Marcin Szczygielski, wydawca jej dwóch książek[31].

W latach trzydziestych Sanato należało do miejsc, na których widok przystawało się z zachwytem. Lokalizacja: Antałówka, niewielkie wzniesienie, z którego genialnie widać Tatry. Otoczenie: z dala od centrum miasta, zalesione stoki, zapach igliwia i żywic. Projekt budynku: Eugeniusz Wesołowski. Otwarcie: 1915 rok. Przeznaczenie: początkowo luksusowy hotel. Od końca lat dwudziestych sanatorium przeciwgruźlicze, zakupione przez Związek Pracowników Poczt, Telegrafów i Telefonów RP. Styl: murowany zakopiański, wystawny, freski i drewniany wystrój, inspirowany sanatorium Dłuskich w Kościelisku, czyli najdroższym, najbardziej ekskluzywnym i zachodnioeuropejskim – z salą teatralną, witrażami i freskami Henryka Uziembły, meblami Stanisława Wyspiańskiego. Liczba pacjentów w Sanato: do osiemdziesięciu osób.

Wśród różnych metod leczenia gruźlicy – od inwazyjnych chirurgicznych po te oparte na diecie czy wypoczynku – ostatecznie nic nie miało chyba takiego znaczenia jak indywidualne siły, odporność, które pozwalały nielicznym wyzdrowieć. Stefanii udało się wyjść z choroby. Jak opowiadał także Marcin Szczygielski, zdaje się, że jeden z niewielu, z którymi Grodzieńska rozmawiała o tym okresie swojego życia:

> Stefania jechała do Sanato z przekonaniem, że już stamtąd nie wróci. Ona i jej mąż zaprzyjaźnili się na miejscu z grupą innych młodych ludzi, wszyscy pochodzili z podobnych, dość zamożnych sfer, byli dobrze wykształceni i wiedli wcześniej raczej bezproblemowe życie. Paradoksalnie po latach Stefania okres swojego pobytu w Sanato wspominała jako jedne z najbarwniejszych i wolnych od trosk miesięcy w swoim życiu. Ona i jej przyjaciele mieli przeświadczenie, że ich życie niebawem się skończy, a ta świadomość, choć z jednej strony przygnębiająca, z drugiej – zdejmowała z nich odpowiedzialność za swoją przyszłość. Starali się więc korzystać z życia ze wszystkich sił, odrzucili wszelkie konwenanse, potrafili zdobywać się na szczerość, która w ich poprzednich kręgach towarzyskich byłaby niewybaczalnym nietaktem. Choroba ich wyzwoliła. Ze wszystkich tych osób wyzdrowiała tylko Stefania.[32]

Jako młoda wdowa, nie mając właściwie nic poza odzyskanym życiem – choć przecież nic cenniejszego mieć i tak nie można – Grodzieńska wróciła do Warszawy.

Śladów po Adamie zostało niewiele. Nadużyciem byłoby stwierdzenie, że zostały zatarte, ale Stefania zawsze mówiła o nim zdawkowo: że był i zmarł. Najbardziej osobiście chyba w tym fragmencie: „Pierwszego męża – studenta prawa straciłam w wieku dwudziestu dwu lat. On miał dwadzieścia trzy i ciężko, przewlekle umierał na gruźlicę. Innego rodzaju jest ból po śmierci tak młodego

męża: odszedł mój chłopak, wyobrażenie całego mojego przyszłego życia. Inny był mój ból i inna byłam ja"[33].

Inny w porównaniu z – o wiele późniejszym – odejściem męża numer dwa.

Michał Jurandot: – Pierwszy mąż babci zachorował i umarł. Nic więcej nie słyszałem.

Krystyna Gucewicz: – Uważam, że to było po prostu już nieważne. Pojawił się taki mężczyzna, że tamten nie miał znaczenia. Ona czasami *en passant* coś rzucała i chociaż nigdy się nie wywyższała, to było w tym wspomnieniu pierwszego męża takie machnięcie ręką: jakiś taki, no, zdarza się, epizod. Wtedy mówiłam: „Nie przejmuj się, miałam czterech mężów". „No właśnie", odpowiadała.

„Taki mężczyzna" to Jerzy Jurandot. Okazał się materiałem na czterdziestotrzyletnią znajomość i ponadczterdziestodwuletnie małżeństwo – mierzone od 29 maja 1937 roku. Stefania Grodzieńska była wtedy nie tylko młodą wdową, ale też solistką w Cyruliku Warszawskim, kabarecie przy Kredytowej 14, którym kierował Fryderyk Járosy. Kabarecie, który był sukcesorem słynnego, najbardziej wybitnego i eleganckiego Qui Pro Quo. I te wszystkie wydarzenia splatają się razem, i są ważne, i ci ludzie także. Zaczynają nowy, zbyt krótki rozdział w młodzieńczym życiu bohaterki tej opowieści, za to silnie formacyjny.

Magdalena Zawadzka poznała Stefanię Grodzieńską w latach sześćdziesiątych, jeszcze jako studentka szkoły teatralnej, i pozostała z nią w serdecznym kontakcie niemal do końca: – Wydaje mi się, że pani Stefania była – jak na wszystkie czasy, łącznie z naszymi – orędowniczką wolności kobiet. Mówiła to, co myśli. Krytykom potrafiła odpowiedzieć ostrym dowcipem czy żartem. Nie miała w sobie złośliwości, ale taką pogodną, obserwacyjną pobłażliwość. Była otwarta w taki sposób, w jaki nawet ja – od niej tyle lat młodsza – nie byłam otwarta. Pani Stefania – może dlatego, że przeszła traumę wojny, a przed wojną była tancerką – potrafiła



Jerzy Jurandot, pasjonat chemii, trafił do świata kabaretów,
bo musiał utrzymać rodzinę. Od najwcześniejszych szkolnych lat
potrafił wymyślać teksty piosenek

tę otwartość zachować. Taniec artystyczny jej pomógł, wyzwolił śmiałość, otworzył ciało, a za nim psychikę, pogłębił sposób patrzenia na rzeczywistość. Artyści nie są lepsi ani gorsi od innych ludzi, ale niewątpliwie są inni, ponieważ widzą inaczej świat i siebie w tym świecie.

Do artystycznej Warszawy Stefania Grodzieńska nie wchodziła więc jak do zupełnie obcego świata.

Kawiarnie, kabarety i teatry stanowiły dla tancerek oczywiste miejsca związane z zarobkiem. Do 1937 roku Grodzieńska rozwijała swój talent w tańcu artystycznym, pozostając w hierarchii kabaretowej piplają, girlasą, girlsą, girlasem. Czyli jedną z dziewcząt, które kojarzone są głównie z tym, że w czasie rewii zgrabnie, równo tańczą, podnosząc w tym samym tempie nogi.

Głośną powieść o tych tańczących na początku lat dwudziestych dziewczynach, zatytułowaną *Strachy*, napisała Maria Ukniewska[34] – posiłkując się własnym doświadczeniem. Stworzona przez nią fabuła uderza nie blaskiem rewii, lecz portretem nieludzkich warunków życia szeregowych tancerek. Nieskończone bieda i głód, złachmanione palta, zdarte zelówki, dziurawe pończochy – i nie tylko one. Zgubne romanse, brak edukacji seksualnej, więc niechciane ciąże skutkujące pokątnymi aborcjami. Nawet za scenicznym kolorem kryła się bieda: zmieszane ze smalcem pigmenty szminki odciskały się na papierosach, podkradanych dyrektorowi.

Zapytana po latach o realia tej powieści, Grodzieńska przyzna, że jej wspomnienia są pogodniejsze, bo po pierwsze, tańczyć jako girlasa zaczęła dziesięć lat po Ukniewskiej[35]. A po drugie, miała szczęście: trafiała do dobrych teatrów. I bez wątpienia tak było, choć w jej girlasowych czasach zarobki dziewcząt nadal były głodowe, tancerki musiały więc stale dorabiać, na przykład poprzez szydełkowanie „dżemperków"[36], czyli obcisłych bluzek z krótkimi rękawami dla dobrze sytuowanych pań amatorek, dla których

zajęcia baletowe były sposobem na wypracowanie właściwej postawy ciała i kształtowanie atrakcyjności.

Życie piplaj w czasach Grodzieńskiej nie było pozbawione trosk. W radzeniu sobie z nimi pomagało między innymi to, że młode dziewczęta tańczące w rewiach i teatrzykach miały wyrobiony nawyk współpracy. Znały się, potrafiły też szybko zastąpić jedna drugą na scenie, w pół godziny opanowując układ na wieczór i nie gubiąc się w trakcie występu, dzięki życzliwej pomocy koleżanek. „Kiedy któraś musiała sama wystarać się o nagłe zastępstwo w przypadku choroby, czy innej sprawy losowej, jak na przykład skrobanka, zawsze znajdowała chętną, będącą właśnie bez pracy"[37] – napisze wprost Stefania w książce *Urodził go „Niebieski Ptak"*, w której centrum znaleźli się Fryderyk Járosy i kabaretowy świat przedwojennej Warszawy.

Gdzie jako girlsa i stopniowo nie girlsa tańczyła Stefania?

Pierwszym miejscem była Cyganeria – „teatrzyk efemeryda, jakie zwykł zakładać Járosy dla przetrwania między plajtą poprzedniego a założeniem następnego teatru"[38] – jak to rzeczowo określi Grodzieńska. Cyganeria mieściła się na rogu Jasnej i Sienkiewicza, w miejscu, w którym działało zamknięte w 1933 roku Morskie Oko. Tutaj Stefania została zaangażowana w 1934 roku jako piplaja. Tutaj też została ochrzczona przez Járosyego przezwiskiem „szarpió afrikanskie" (szarpió zawsze z akcentem na „ó"[39]). W grupie ośmiu dziewcząt, tańczących wokół amanta Igo Syma, wyróżniała się innym typem urody. Siedem było wysokimi blondynkami – ona jedna „czarnym kurduplem o sylwetce trzynastoletniego chłopca"[40] – jak sama napisze. „Kurdupel", uściślijmy, miał jakieś sto sześćdziesiąt centymetrów wzrostu (dziesięć centymetrów zniknie z wiekiem).

To w Cyganerii Grodzieńska po raz pierwszy zetknęła się z gwiazdami kabaretowymi, a przede wszystkim z geniuszem Fryderyka Járosyego, o którym mówiła, że był człowiekiem przerażająco mądrym, że zawsze wiedział, rozumiał więcej ponad to, co

się do niego w danej chwili mówiło. Podkreślała, że to on dał życie warszawskim teatrzykom, stworzył największe gwiazdy: Ordonkę, Zulę Pogorzelską, Zofię Terné czy Adolfa Dymszę, odbierając im całe to dziewiętnastowieczne wysztafirowanie – przesadnie wysokie obcasy, fałszywe krynoliny, przesłaniające twarz kapelusze – i dając w zamian to, co bezcenne: nagą osobowość.

Także w 1934 roku Grodzieńska trafiła na chwilę do Teatru Kameralnego Karola Adwentowicza, wielkiego aktora tragicznego. Miała awangardową wstawkę taneczną w dramacie *Sygnały* Ewy Szelburg-Zarembiny – trochę solówkę, ale jeszcze bez nazwiska w programie. Za choreografię odpowiadała Irena Prusicka.

> Miałam szczęście, że zaangażował mnie Adwentowicz, chociaż to było jakieś snucie się po scenie, które nie miało wielkiego znaczenia. Ale w Teatrze Kameralnym były bardzo złe warunki w garderobach, wszyscy siedzieliśmy razem i rozmawialiśmy dużo. Adwentowicz powiedział, że widzi we mnie predyspozycje do rozśmieszania, że mam jakąś vis comicę. I powiedział: tylko pamiętaj – bo uważał, że będę aktorką tak czy inaczej – że o wiele trudniej jest rozśmieszyć, niż doprowadzić do łez. Ale też jest to bardzo ryzykowne, dlatego że doprowadzić do łez można w szlachetny sposób – i to jest naturalne. Natomiast rozśmieszyć można nie tylko w szlachetny. Dużo łatwiej rozśmieszyć, kiedy się człowiek wygłupia, kiedy schodzi z poziomu wysokiego na niższy – wtedy ludzie się więcej śmieją. Więc nie daj się. Pamiętaj, nie daj się. Mam to w uszach do teraz[41]

– wspomni Grodzieńska w 1996 roku. Wtedy, w latach trzydziestych, po prostu się ze słów Adwentowicza śmiała, przekonana, że zawsze będzie tańczyć i nigdy nie odezwie się na scenie.

No i wreszcie w 1937 roku – już po gruźliczych przeżyciach i młodym wdowieństwie – otrzymała zaproszenie na przesłuchanie do Cyrulika Warszawskiego, w którym dyrektorem był Fryderyk

Járosy. Konferansjer przywitał ją słowami: „I prouszi, kogóż to widzimy? Szarpió afrikanskie!”[42]. W odpowiedzi otrzymał nieśmiały ukłon i cichym głosem wypowiedzianą zapowiedź dwóch tańców. Jeden był ambitny: *Valse triste* Sibeliusa; drugi mniej: tango *Plegaria*. Jak to w życiu czasem bywa, zainteresowanie zyskał ten niższych lotów, bardziej ekspresyjny. Tymczasem piękny melancholijny walc Sibeliusa dwukrotnie przerwano, co wywołało szloch i błagania tancerki o możliwość zaprezentowania swoich możliwości w pełni. W rozrachunku dręczona jeszcze kilkoma uszczypliwościami ze strony dyrektora („ona nie umalowała rzęs, przewidziała, że będzie płakać”[43]), oponująca przeciwko nim („dlaczego dyrektor jeszcze znęca się nade mną?”[44]) i w odwecie otrzymująca nawet więcej złośliwości („dość tych prywatnych rozmów; nie znoszę, kiedy piplaje się spoufalają!”[45]), odeszła z angażem.

W Cyruliku Warszawskim Stefania poznała Jerzego Jurandota, który z czasem został jej drugim mężem. Była już wtedy nie tylko girlsą, ale też solistką z dwoma tańcami, zarabiającą dwieście pięćdziesiąt złotych miesięcznie, a w ramach gratyfikacji mogła, chodząc po ulicach stolicy, uśmiechać się na widok swojego nazwiska na afiszu.

W kwestii samych zarobków: jeszcze u Adwentowicza było to sześćdziesiąt złotych miesięcznie, z czego połowę kosztowało miejsce w pokoju sublokatorskim dzielonym z koleżanką. Zmiana ekonomiczna stała się więc odczuwalna, choć oczywiście żadne kokosy, jak po latach powie sama Grodzieńska, to nie były. Grube pieniądze zarabiały gwiazdy: od sześciu do dziesięciu tysięcy złotych miesięcznie[46], co zresztą razem z ciągłym podbijaniem przez nie stawek pod groźbą przejścia do konkurencji było głównym powodem plajtowania teatrzyków.

Hierarchia w teatrze była świętością, ale to nie znaczy, że nieubłaganie wiązała się z przemocowymi relacjami. Weźmy taką Ordonkę, w której szaleńczo zakochał się Járosy i dla której – jako



Tango *Plegaria* tańczyła co wieczór przez dwa miesiące.
Przyniosło jej szczęście – i jedno z najsłynniejszych zdjęć

konferansjer i gwiazda numer jeden świetnie przyjmowanego w światowych stolicach Niebieskiego Ptaka – rzucił wszystko inne i został w Warszawie. Z której, z „młodziutkiej tancereczki, dość nieciekawej"[47], jak to określi Grodzieńska, zrobił wielką gwiazdę, sobie właściwą techniką, czyli poprzez wyciągnięcie z aktora tego, co w nim było ukryte, a o czym ta osoba często nie miała nawet pojęcia. Hanka Ordonówna, starsza od Stefanii o dwanaście lat, występowała okazjonalnie w Cyruliku Warszawskim, gdzie oddawała kabaretowej stażystce, jak w tych warunkach można nazwać Grodzieńską, swoje kapelusze. A były to okazy, co zapamiętała Stefania, niezwykłe.

> Ordonka pokazała mi, jak można się zachowywać, będąc taką wielką, niedościgłą gwiazdą. Oczywiście miała osobną garderobę, ja byłam z innymi dziewczętami, ale jak ona się do nas odnosiła, jakie to było miłe. Któregoś dnia przyszła do teatru. Miała srebrno-szary toczek z aksamitu, z brylantowym, oczywiście nieprawdziwym, zapięciem nad czołem. Mówię: pani Haneczko, jak pani pięknie! Jaki cudowny kapelusz pani ma. Wie pani, że jeszcze w życiu nie widziałam takiego pięknego kapelusza? Na co ona zdjęła go z głowy i powiedziała: masz, jest twój. A ja jeszcze wtedy nawet nie byłam solistką. Nie wiem, czy wiedziała, jak mam na imię. Więc taka była Ordonka i nauczyła mnie tego, że naturalność w traktowaniu ludzi, nie pozowanie, życzliwość, pogoda, to coś bardzo, bardzo ważnego.[48]

Teksty dla Cyrulika Warszawskiego pisała kabaretowa elita, sam top: Julian Tuwim, Marian Hemar, Jan Brzechwa, Antoni Słonimski i dynamicznie pnący się w górę Jerzy Jurandot. Co prawda na jednej z prób Stefania, podglądając przez dziurę w kurtynie, któż tam zasiadł na widowni, zachwyciła się fizjonomią Brzechwy, nie wiedząc jeszcze, kto zacz, a już postanawiając się w nim zakochać, to wkrótce jednak inna próba – generalna, na której poznała

Jerzego Jurandota – przyćmiła to potencjalne zauroczenie. Jurandot powiedział po niej: „Podoba mi się ta mała czarna", i za tymi słowami Jerzego stał fakt, który celnie zdiagnozowała Grodzieńska: „Spojrzeliśmy na siebie i sprawa była ugruntowana od razu"[49].

Nieoczywistą drogą dotarł Jurandot, urodzony pod nazwiskiem Gleichgewicht w marcu 1911 roku w Warszawie, do świata kabaretów. Ojciec Tadeusz: doświadczony urzędnik bankowy. Mama Sabina: pani domu. W rodzinie jeszcze siostra Zocha, rok młodsza od Stefanii. Państwo Gleichgewicht mieszkali przy Złotej 75 i – pięknie to napisała ich synowa – „jak dwa ciepłe piecyki w mroźny dzień, ogrzewali całe otoczenie pogodą, serdecznością, dobrocią, współodczuwaniem"[50]. Byli dla niej przeciwieństwem teściów numer jeden. Tadeusz był przez Grodzieńską nazywany Pickwickiem, bo ponoć z wyglądu zupełnie przypominał dobrodusznego bohatera słynnej powieści Dickensa.

Jurandot od dzieciństwa marzył o tym, żeby zostać chemikiem. Upatrzony kierunek skończył na wydziale matematyczno-przyrodniczym Uniwersytetu Warszawskiego, ale pragnienie pracy w zawodzie musiał porzucić, poszukując bardziej atrakcyjnego zarobku. W czasie wielkiego kryzysu bolesne redukcje dotknęły Tadeusza Gleichgewichta, który stracił pracę w banku. Wtedy Jerzemu przypomniało się, że od najwcześniejszych szkolnych lat potrafił wymyślać teksty piosenek. Przekuł więc tę umiejętność w niezły przychód: zaczął kręcić się wokół teatrzyków i oferować bezpośrednio aktorom, którzy zawsze tekstów potrzebowali, swoje dziełka. Ukontentowani, płacili po dwa, trzy złote za utwór, zaś Jurandot – jeszcze student – budował swoją renomę. Wreszcie ośmielił się odwiedzić Qui Pro Quo, gdzie znany z wysokich standardów i surowości dyrektor Jerzy Boczkowski uznał, że cały stos tekstów Jurandota „jest do de..." (jak powiedziała o tym Grodzieńska), ale sam autor bardzo utalentowany. Boczkowski wziął go pod swoją opiekę, głównie teksty Jurandota odrzucając, aż w końcu nie było co odrzucać i teksty zaczęły wchodzić do programu.

Praca wziętego autora była zajęciem tak absorbującym, że nie sposób było jej pogodzić z ukochaną ścisłą dyscypliną. „Ale muszę powiedzieć, że do końca życia był bardzo zainteresowany chemią. Interesował się tym, co się na świecie dzieje, to było jego prawdziwe chyba zamiłowanie i pasja"[51] – powie Grodzieńska w dokumencie poświęconym mężowi. Opowiadał jej o chemii, a ona śmiała się, że jej sceptycyzm nie pozwoliłby się odnieść do nauk ścisłych uczciwie. Po latach przyzna:

> Nie wierzę w matematykę. Ja nigdy tabliczki mnożenia się nie uczyłam, uważam, że to jest zmyślone, mnie się nigdy nie zgadza. Na przykład siedem razy sześć. Jak policzę na palcach, to wychodzi mi inaczej. W rzeczywistości jest tak, jak mnie wychodzi, niż jak jest przyjęte w tabliczce mnożenia. I to jest cały urok humanisty, że nie musi zawsze to samo wychodzić. A w matematyce? W każdym ustroju, w każdym kraju wychodzi to samo. Czy to nie nuda?[52]

Zaś w sprawie Jurandota, który nawiasem mówiąc, swój pseudonim twórczy przyjął jako formalne nazwisko, dodawała: „Został znanym autorem tekstów do tego stopnia, że zaliczano go do wielkiej trójki. Mówiło się: Hemar, Tuwim i Jurandot"[53].

Jurandot nie tylko pisał piosenki, ale także wiersze satyryczne do „Szpilek" – słynnego czasopisma satyrycznego właśnie. Wkrótce wydał też pierwszą książkę: *Niedobrze, panie Bobrze!*. Stefania Grodzieńska:

> To była rewelacja, bo nie drukowano dotychczas tekstów piosenkowych czy satyr, takich małych utworów wesołych [w formie książki – przyp. EP]. To był eksperyment właściwie, książka miała wielkie powodzenie. No i któregoś dnia – zaznaczam, że nasza przyjaźń już była bardzo daleko posunięta – przyniósł tę książeczkę, to był autorski egzemplarz pierwszy, i powiedział:

to jest prezent dla ciebie. No ja się bardzo ucieszyłam, bo wiedziałam, że ta książka ma wyjść. Otwieram i patrzę, dedykacja jest jak najwyraźniej wydrukowana: „Żonie". Odłożyłam i powiedziałam zimno: nie wiedziałam, że jesteś żonaty. Na co Jurandot powiedział: dopiero będę, ale niedługo. „Ciekawe z kim?". „Z tobą". I tak się zaczęły rozmowy na temat poważniejszego związku.[54]

W tym samym czasie zmieniało się nie tylko życie uczuciowe Stefanii, ale też jej pozycja na scenie. W Cyruliku przestawała być jedynie częścią zespołu, coraz wyraźniej wychodząc z tła. Jeszcze przed premierą, przed pierwszym oficjalnym pojawieniem się Grodzieńskiej na scenie w roli solistki, Járosy odtajnił swoje serdeczne oblicze. Po zapowiedzeniu jej występu krzyknął, przechodząc przez kurtynę: „Szarpió! Będzie dobrze!"[55]. Pachniał, jak zawsze, chłodnym aromatycznym English Lavender Yardleya, zmieszanym z dymem papierosowym, bo przed wyjściem do publiczności, również jak zawsze, zostawił na kaloryferze tlącego się papierosa. Tradycją było już, że girlasy korzystały wtedy z okazji: podbiegały, by się zaciągnąć, uważając przy tym, aby nie zostawić po sobie śladów zbrodni, czyli odcisków szminki. Nigdy nie spalały papierosa do końca i odkładały dyrektorowi choćby ogarek. Od czasów Ukniewskiej to akurat się nie zmieniło: piplaj na ogół nie było stać, by palić za swoje. Stefania Grodzieńska tym razem oparła się pokusie, liczyło się tylko to, że jest po raz pierwszy zapowiadana przez Járosyego. No i liczył się występ.

W tangu *Plegaria* stawała na scenie co wieczór przez ponad dwa miesiące 1937 roku. „Ciemna brunetka, smukła, wiotka, o wyrazistych oczach. Cicha i spokojna. Ale gdy dojdzie do tańca, to ta «cicha woda» brzegi rwie. [...] Tak gwałtownie wyładowuje z siebie kipiący nadmiar taneczności, wzbierający w jej duszy. Umie wszakże również – i na tym polega jej kunszt – hamować swe porywy, utrzymywać je w granicach umiaru artystycznego"[56] – pisał

o Grodzieńskiej dziennikarz magazynu kulturalnego. „Chciałabym jeszcze uzupełnić moje umiejętności taneczne i pedagogiczne studjami zagranicznemi. Ma to nastąpić w najbliższym czasie”[57] – wypowiadała się Stefania. Zdradzała przy tym, że zaczęła pisać „teksty piosenkowe” i jej pierwszy utwór wykonała Wiera Gran. Nosił ponoć tytuł *Mgła wokoło mnie*.

Grodzieńska przypomni sobie po latach irytację Wiery, która klęła, uznając słowo „mgła” za wyjątkowo niewygodne na otwarcie piosenki[58].

To właśnie z *Plegarii* i występu w rewii pod tytułem *Słońce* pochodzi jedna z najsłynniejszych fotografii Grodzieńskiej. Ręce szeroko rozłożone, lewa noga wysunięta do przodu. Postać kroczy władczo, jakby u jej stóp spoczywało wiele widoków i szans. Muskularne, choć drobne ramiona, ekspresyjne smukłe palce i głowa z włosami starannie upiętymi w niski kok rzucają na ścianę wielki cień. Siła wyrazu tej fotografii pozostaje ogromna.

Tango *Plegaria* przyniosło jej szczęście.

I tak zaczęły się piękne lata, choć powinno być ich więcej. Radosną, a równocześnie zabawną pamiątką z tego okresu pozostało zdjęcie wycięte z jakiegoś ilustrowanego pisma. Klimat wakacyjny. Stefania w stroju kąpielowym, Jerzy w kąpielówkach. Ona roześmiana, w mocnej, radosnej pozie – on bardziej stonowany, może onieśmielony. Stoją na skale, za nimi tłuką się fale Morza Czarnego. Podpis: „Utalentowana tancerka Stefania Grodzieńska i popularny piosenkarz Jurandot w Carmen Sylva w Rumunii”[59].

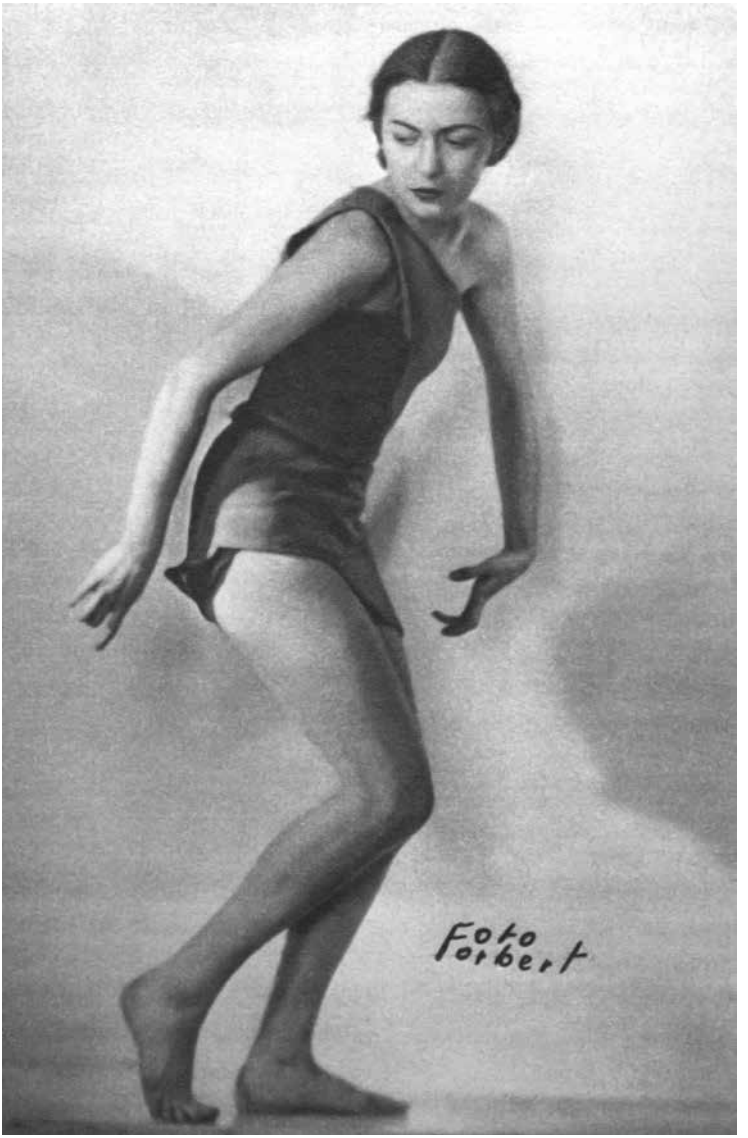
Jerzy Jurandot, popularny autor tekstów piosenek, nie ich wykonawca, uważał, że taniec nie jest zawodem dla inteligentnej kobiety. „Bardzo przepraszam, ja się z tym nie zgadzam”[60] – powie Grodzieńska z uśmiechem dziesiątki lat później. Niemniej Jurandota zapewne ucieszył fakt, że – zaprzyjaźniony z nim zresztą Járosy – dostrzegł w Stefanii konferansjerski, aktorski i autorski potencjał. Najpierw były więc rólki w skeczach, podśpiewywanie

piosenek, a potem Járosy przewidział dla niej nawet rolę w konferansjerce. Rola była niewielka i potraktowana pobłażliwie: młoda dziewczyna, wypłosz, ktoś, kto przeszkadza wielkiemu Járosyemu i coś tam przygaduje.

Stefania Grodzieńska w Cyruliku Warszawskim zaczęła też pisać pierwsze teksty piosenek do programów rewiowych. „Już kilka moich tekstów piosenkowych nagrano na płyty"[61] – mówiła w czasach występów z *Plegarią*. Podkreślała jednak, że pisanie to zamiłowanie poboczne, bo przede wszystkim żyje tańcem i dla tańca. I dodawała, że taniec koi wszelkie jej smutki, potęguje radość życia i pozwala tę radość wyrazić – to „artystyczne przejawianie przeżyć duchowych"[62]. Dwudziestotrzyletnia Grodzieńska potrafi już odtańczyć wszystkie emocje i uczucia: gniew, nienawiść, miłość, strach, zadumę. „To bardzo radosna świadomość"[63] – uważa. W 1937 roku tygodnik „Kino" napisze, że w tańcu Grodzieńskiej, nawet tym porywistym, pełnym pasji, widać „coś idącego bardzo od wewnątrz, coś wielce intelektualistycznego, przemyślanego"[64].

Minie kilka lat, zanim zacznie świadomie pracować nad stylem pisarskim. Ale już przed wojną sprawdza na kartce papieru swoje zdolności. Pisze pierwszy skecz, scenę małżeńską, którą Fryderyk gra z Leną Żelichowską, ukrywając przed światem nazwisko młodej twórczyni. W końcu Cyrulik był, jak podkreśli Stefania, najlepszym i najpopularniejszym teatrzykiem w Warszawie w drugiej połowie lat trzydziestych. To tu można było oglądać nie tylko Ordonównę, ale też Zofię Terné, Żelichowską, Mariana Rentgena czy Ludwika Sempolińskiego. Skecz Stefanii przedstawiano jako dzieło pisarza z dużym nazwiskiem, który tym razem chciał uniknąć rozgłosu[65].

Jeszcze w Cyganerii Stefania Grodzieńska parę razy ukrywała się w ostatnich rzędach, by wbrew zakazowi przyglądać się, jak Járosy pracuje z aktorami i solistami. W Cyruliku robiła to samo, podpatrując nawet największe sławy.



„Cicha i spokojna. Ale gdy dojdzie do tańca, to ta «cicha woda» brzegi rwie. Tak gwałtownie wyładowuje z siebie kipiący nadmiar taneczności, wzbierający w jej duszy", napisze o Stefanii Grodzieńskiej prasa

> Obserwowałam, jak z nieskończoną cierpliwością szukał sposobów wydobycia z wykonawcy dokładnie tego, co chciał. Jego genialność jako reżysera polegała między innymi na tym, że nie pokazywał, nie wychodził na scenę, w zasadzie nie ruszał się ze swego trzeciego rzędu na widowni, a potrafił wszystko przekazać najgorszemu tumanowi. Był nieomylny, z góry wiedział, czego po kim może się spodziewać.[66]

Nauczył ją na przykład tego, jak mając nieduży głos, operować nim nawet w największych salach, aulach – bez mikrofonu, co Grodzieńska wykorzystywała przez kilkadziesiąt lat.

> Járosy nauczył mnie prostego sposobu. Pamiętaj, jeżeli chcesz, żeby to było głośno, żeby wszyscy cię słyszeli, nie musisz podnosić głosu. Kiedy mówisz, patrz w ostatnie rzędy balkonu: jak najdalej, gdzie tylko możesz. I już ludziom się będzie wydawało, że mówisz strasznie głośno. A jak chcesz powiedzieć coś takiego, co niby jest sekretem, coś dyskretnego, poufnego, to nie zmieniaj tembru głosu, tylko spójrz w prawy albo w lewy róg widowni, w pierwsze rzędy. Patrz tam wyraźnie i mów normalnym głosem. I wszystkim będzie się zdawało, że mówisz szeptem.
>
> I takich sposobów było więcej. Na przykład miałam zwrotkę w piosence, coś to nie wychodziło i Járosy powiedział: słuchaj, patrz w lewy reflektor górny, nie ruszając głową. I ja tak zrobiłam, i już wszystko było dobrze, bo to wyglądało na jakąś filozoficzną zadumę.[67]

Z Cyrulika najczulej Stefania zapamięta jeszcze dwóch kolegów.

Marian Rentgen, o dwadzieścia sześć lat starszy piosenkarz z gitarą, nauczył ją, że różnica wieku to iluzja. Z Kredytowej na Poznańską 12, gdzie Grodzieńska mieszkała z Jerzym w kawalerce, często wracali razem (Rentgen zajmował lokum pod numerem trzecim). Było po północy, rozmawiali w najlepsze.

Edmund Minowicz z kolei – zawsze aktor drugiego planu, bardzo muzykalny, nieźle tańczył, śpiewał, ale był „tremiarzem", więc gwiazdorska kariera nie wchodziła w jego przypadku w grę – przekonywał Stefanię, że jest ważniejszy dla teatru niż sama Ordonka. Bo kiedy ona zachoruje, wypadną góra dwa punkty z programu. Kiedy on – wyleci połowa, tyle go w skeczach, piosenkach, półfinałach i finałach rewii.

Wkrótce stworzą ze Stefanią znakomity duet w miejscu, którego szczęśliwie jeszcze nie potrafią sobie wyobrazić.

W 1939 roku Cyrulik Warszawski splajtował, Járosy wymyślił więc objazd po kraju. Pojechali między innymi: Zofia Terné, wówczas towarzyszka życia węgierskiego dyrektora, Marian Rentgen i partnerująca w skeczach Grodzieńska. Były wiosna i lato, trzy i pół miesiąca w podróży, pociągami, w przedziałach trzeciej klasy – całą noc jechało się na drewnianej ławce, by nie tracić czasu, bo każdy dzień to dwa albo i nawet trzy przedstawienia, a potem dalej w drogę. „To było naprawdę bardzo męczące, ale wspaniałe, dlatego że Járosy był w całej Polsce znany i uwielbiany"[68] – opowie Grodzieńska.

Na występ stołecznej trupy przychodziły całe miasteczka, życie w nich zamierało, zamykano sklepy, a aktorów z wielką serdecznością karmiono obiadami, kolacjami lub śniadaniami, w zależności od pory dnia. Stefanii zapadły w pamięć zwłaszcza kresowe miasteczka, tak inne od tych w dawnej Kongresówce. Z ukraińskich Kostopola czy Równego zapamiętała ludzi, którzy kłębili się wokół teatru w nadziei, że w ogóle uda im się choć przez ułamek sekundy dojrzeć aktorów. „To było naprawdę wielkie święto i wspaniałe przeżycie dla nas wszystkich. I dobrze, że było, bo to już był 1939 rok, prawie jesień"[69].



Jedyną fotografię mamy skradziono Grodzieńskiej po II wojnie światowej.
Rozpaczała nad jej utratą. To zdjęcie Eleonory Ney odnalazłam
w 2025 roku w archiwum w Kownie

ROZDZIAŁ V

Moskwa 1919 • Kowno 1920–1922, 1939–1941 •
Paryż 1922 – druga połowa lat trzydziestych • Genewa
1933 • Bruksela 1938 • Nowy Jork 1946

Mapa przodków Stefanii Grodzieńskiej wciąż nie jest w pełni czytelna, pozostało na niej kilka miejsc zatartych, inne nadal domagają się odszyfrowania. Jedna z dróg prowadzi kilkanaście lat wstecz – do chwili gdy Eleonora odesłała dziecko do Łodzi.

14 września 1920 roku matka Grodzieńskiej i jej drugi mąż Misza Volpe byli w Kownie. Małżeństwo otrzymało paszporty wewnętrzne[1], które były dokumentami tożsamości, potwierdzały obywatelstwo i miejsce zamieszkania. Dlaczego ma to znaczenie? Wiosną 1915 roku wielu mieszkańców guberni kowieńskiej żydowskiego pochodzenia zostało zmuszonych przez rosyjskie władze do przesunięcia się w głąb Rosji, być może dlatego państwo Volpe, razem ze Stefcią, znaleźli się w Moskwie.

Kiedy wrócili do nowego kraju, musieli udowodnić swój z nim związek – na tej podstawie otrzymali dokumenty.

Czas był niespokojny. W Polsce trwała jeszcze wojna polsko-bolszewicka, w Litwie – walki o niepodległość i spór o Wilno. Niebawem Wileńszczyzna została przez Polskę zajęta, a Kowno, na czas od 1920 do 1939 roku, stało się tymczasową stolicą Republiki Litewskiej.

W dokumentach Misza i Eleonora zadeklarowali, że są mieszkańcami Kowna. Zawody obojga: prawnicy. Daty urodzenia: 1892 rok (Eleonora, rutynowo, odmłodziła się o pięć lat). W paszporcie pani Volpe ponadto informacja, że jest rozwódką i ma dziecko: Stefanię Grodzieńską.

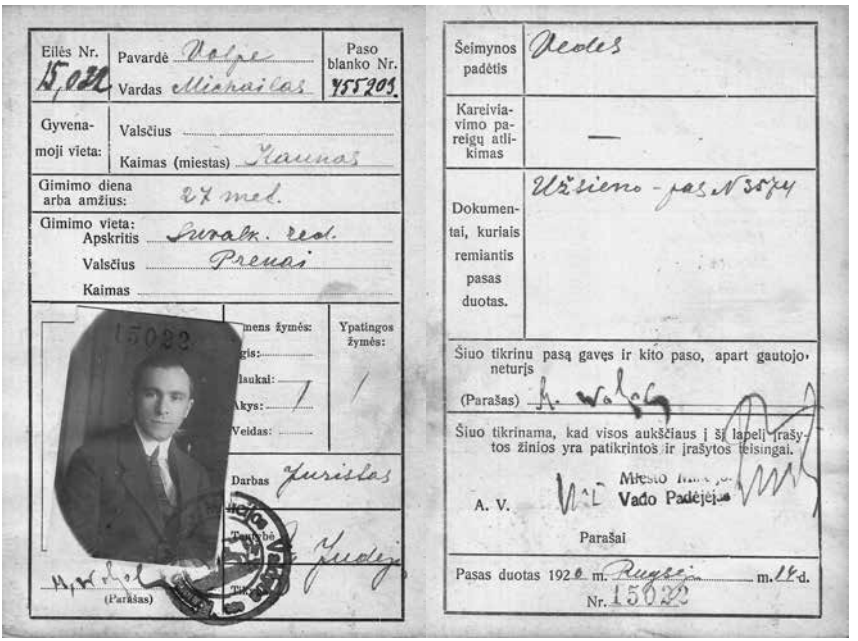
Córka w tym czasie prawdopodobnie była już w Łodzi – a co działo się dalej z Eleonorą?

Jej dziecko będzie pisać w książkach i powtarzać w wywiadach, że mama mieszkała przez szesnaście lat w Paryżu, od 1922 do 1938 roku, w hotelu przy rue Tournefort 6. To 5. dzielnica Paryża, zwana też Łacińską, jedna z najstarszych w mieście. Stefania doda, że potem Eleonora przeniosła się do Brukseli, później znowu do Kowna.

> Moja matka wyglądała na małą niezaradną kruszynkę, a w czasie swojego niedługiego i bardzo ciężkiego życia była krawcową, modystką, urzędniczką w biurze adwokackim, przewodniczką po muzeach paryskich, z Luwrem na czele, nauczycielką trzech języków, tłumaczką z pięciu języków, ale sława jej w łacińskiej dzielnicy Paryża zbudowana została na niskich cenach, które pobierała za nielegalne reperowanie garderoby najbiedniejszym studentom. W tej ostatniej czynności przysłużyła się jej biegłość w pięciu językach, bo przy okazji odbierania pocerowanych skarpetek studenci chętnie z nią gawędzili, a było wśród nich wielu cudzoziemców[2]

– napisze we *Wspomnieniach chałturzystki*.

Grodzieńska prawdopodobnie po raz pierwszy odwiedziła mamę w 1932 roku, przybywszy do Paryża z zespołem Prusickiej na wspomniany konkurs taneczny. Zapamiętała, że telefon był na portierni, a w skromnym pokoju na piątym piętrze bez windy Eleonora i Misza gotowali posiłki na dwufajerkowej kuchence, schowanej za uszytą z kretonu zasłoną. Piąte piętro mogło się zgadzać. Spis paryskich rezydentów z 1931 roku[3] potwierdza, że Michel i Eléonore Volpé, Litwini, zamieszkują lokal numer 31, ostatni na liście. On: reprezentant handlowy. Ona: żona, zawodu brak.



Misza Volpe, drugi mąž Eleonory. Prawdopodobnie jeszcze przed wybuchem II wojny wyjechał do Stanów Zjednoczonych

Spis z 1936 roku już ich obecności w hotelu nie uwzględniał, lokal numer 31 na piątym piętrze zasiedlił pewien Polak, lokaj.

Cały budynek zamieszkiwali emigranci. W drugiej połowie lat dwudziestych najwięcej było wśród nich Rosjan (w spisie między innymi śpiewak, lekarz, studenci), trochę Litwinów (głównie studenci) i Polaków (studenci i ich rodziny). Są i Węgrzy (artyści), jeden Kanadyjczyk (znowu lekarz), osoby pochodzące z Rumunii, jest rodzina kuśnierza z Paryża. No i jeden Belg, kapitan. W spisie z 1931 także sporo Rosjan, Rumunów, kilkoro Polaków i Polek, rodzina z Albanii, artysta Szwajcar, inżynier z Łotwy. Studenci, sprzedawca, lekarz, doktor prawa, doktor medycyny, krawiec[4].

Żadnego pisarza, nie licząc dwóch dziennikarzy, choć wąziutka, brukowana do dzisiaj Tournefort miała swoje literackie powiązania. Działały tu drukarnie i redakcje, mieszkali prozaicy i poeci (po wojnie między innymi Paul Celan). Ulica pojawia się w *Nędznikach* Victora Hugo, a w marnym pensjonacie, także przy Tournefort*, dogasa porzucony przez córki ojciec Goriot, tytułowy bohater wielkiej powieści Balzaka.

Biznes pani Volpe, zbudowany na cerowaniu skarpet, mógł mieć w hoteliku wzięcie, zwłaszcza że Eleonora znała pięć języków i nie naprawiała dziur pobieżnymi szwami. Podarte pięty ozdabiała haftem – pod jej ręką wyrastały starannie wyszywane listki i kwiatki. Nie było to rentowne: za stworzenie różyczki nie płaciło się więcej niż za zwykłe zaszycie dziury, ale może emigrantom z kwiatem na pięcie było przynajmniej trochę milej.

Nie narzekać na nudę, kreować drobiazgi, które są zabawne: tego Stefania uczyła się (choć nie zawsze bezpośrednio) od mamy.

---

* Pensjonat mieścił się przy dawnej rue Neuve-Sainte-Geneviève, czyli dzisiejszej rue Tournefort.

Sama cerowała swoje baletki najładniej ze wszystkich znanych jej tancerek.

Eleonora słynęła też z pięknego głosu. Ciepłym altem wyśpiewywała romanse i ballady Aleksandra Wertyńskiego. Schodzili się jej posłuchać wszyscy mieszkańcy hoteliku.

> Myślę, że każdy ma coś takiego, co pobudza wyobraźnię i pamięć. Niektórzy zapach, niektórzy kolor. A ja piosenki Wertyńskiego, bo słyszę je nie w wykonaniu Wertyńskiego. Tylko jak będę teraz z państwem słuchała tych piosenek, to będę słyszała głos mojej matki, która zginęła w czasie wojny bardzo młodo, i będę słyszała ją. Będę ją widziała w tym maleńkim, obskurnym pokoiku na piątym piętrze bez windy[5]

– powie Grodzieńska w 1993 roku.

Urok Paryża dla Grodzieńskiej uosabiało Café Capoulade (pierwsze miejsce, do którego zabrała ją mama) – słynna kawiarnia, często portretowana na zdjęciach z Panteonem w tle. Przesiadywali tu studenci, artyści i intelektualiści, a pani Volpe przychodziła cerować skarpety. Zaś Romain Gary, jak zdradził w *Obietnicy poranka*, tylko w ciągu dwóch lat 1936–1937 jako głodujący student zjadł tu od tysiąca do tysiąca pięciuset croissantów, nie płacąc za nie ani centyma[6].

„Dodatkowo porusza mnie to, że Gary mieszkał w tym zakątku dzielnicy łacińskiej Paryża, gdzie moja matka: rue Mouffetard, Place Contrescarpe, co rano posyłała mnie tam mama po zakupy"[7] – opowie Stefania.

Kolejne malownicze miejsca: Luwr i Muzeum Rodina, w których, według córki, mama pracowała w czwartki w roli *guide d'un jour*. Przeczesywanie archiwów w 2025 roku nie przynosi w tej kwestii rozstrzygnięcia, ale kartoteki obu muzeów, przekazane do francuskich Archiwów Narodowych, są okrojone. Samo stanowisko „jednodniowego przewodnika" ma status nieokreślony, nie ma

go na liście kadr urzędników państwowych. Był to może kontrakt tymczasowy, jeśli w ogóle ta praca była rejestrowana[8].

„Mama, jak każdy człowiek z wyobraźnią, miała skłonność do mitomanii, co zresztą po niej odziedziczyłam"[9] – podkreśliła Grodzieńska w ostatniej ze swoich autobiograficznych książek, pisanej u schyłku życia wspólnie z córką Joanną: *Nie ma z czego się śmiać*. Najwięcej tu detali, anegdot, opowieści dotyczących dzieciństwa, rodziców. Nie ma podstaw, by je zasadniczo kwestionować, nawet jeżeli ich szwy gdzieniegdzie trzeba rozciąć, usunąć, połączyć na nowo. Tak, tu i ówdzie zetrzeć trochę nadmiarowego koloru z miejsc, w których mapa świeci pustkami. Ale i tak ogrom faktów się zgadza. Udało się je potwierdzić, a tym samym uwiarygodnić opowieści Stefanii Grodzieńskiej, mogące wielu osobom wydawać się nazbyt barwne, by być całkiem prawdziwe.

We *Wspomnieniach chałturzystki* – miejscami melancholijnych, w których jest zdecydowanie mniej żartobliwego dystansu niż w *Nie ma z czego się śmiać* – Stefania Grodzieńska odnotowała swoją pierwszą powojenną wizytę w Paryżu, w 1957 roku.

Natychmiast pobiegła na rue Tournefort 6. Hotelik sprawiał jeszcze wtedy wrażenie niezmienionego, zarządzała nim córka wcześniejszych właścicieli, znana Stefanii sprzed wojny. Ale już w latach sześćdziesiątych hotel zmienił się nie do poznania, stał się elegancki i typowo turystyczny. „Przestało istnieć ostatnie miejsce, gdzie byłam córeczką Eleonory. A sama pani Eleonora istnieje już tylko na tych kartach"[10] – napisała Stefania.

Długo wydawało się, że po matce nie został niemal żaden ślad. Tym lepiej można zrozumieć żal, z jakim Grodzieńska pisała o skradzionej po wojnie fotografii mamy, noszonej w portfelu. O emocjach związanych z tą utratą opowiada mi historyczka sztuki Katarzyna Pawłowska-Horna, której matka Elżbieta Pawłowska przyjaźniła się z Krystyną Żywulską i Stefanią Grodzieńską. Traktowały się jak siostry, najlepiej rozumiały swoje

wojenne doświadczenia. I tworzyły, to wymyśliła Stefania, „rodzinę z wyboru".

Elżbieta Pawłowska, rocznik 1921, była bardzo młodą więźniarką Pawiaka i Oświęcimia. Jej córka mówi: – O swojej mamie Stefcia niechętnie opowiadała, przynajmniej mnie, nie byłam świadkiem tych wspomnień. Raz tylko, pamiętam, bo to była dla niej wielka tragedia, rozpaczała nad ukradzionym zdjęciem matki. Miała jeden jedyny jej portret, nosiła go zawsze przy sobie. Ukradli jej torebkę z portfelem i zdjęciem. Rozmawiałyśmy o tym i mówię: „Stefciu, ale przecież pamiętasz to zdjęcie, no nie takie straty poniosłaś w życiu". Odpowiedziała: „Wiesz, poczułam się tak, jakbym drugi raz straciła matkę". To rzeczywiście była dla niej ogromna tragedia, tym bardziej że nie wiedziała, gdzie ta matka zginęła, jak? Czy w ogóle zginęła, czy zmarła później, co się z nią stało? Nie wiadomo do dziś.

Profesor Barbara Engelking, kierowniczka Centrum Badań nad Zagładą Żydów IFiS PAN, nazywana przez Grodzieńską jedną z bratnich dusz, rozmawiała z nią u schyłku jej życia o sprawach, których bohaterka tej książki nie poruszała z innymi. Dlatego nasza rozmowa dotyczy tylko ogólnych wrażeń z perspektywy biograficznej, nie konkretnych faktów ani emocji, które Stefania powierzała jej z zastrzeżeniem, że nie są przeznaczone do upublicznienia. – Grodzieńska postanowiła, że przeszłość to zamknięty rozdział, ale on oczywiście zamknięty nie był. Kiedy do niej przychodziłam, miałam wrażenie, że otwiera się tama, a ona mówi, mówi, mówi, opowiada te same bardzo dramatyczne historie – zaznacza Barbara Engelking. Były wśród nich historie związane z wojną, gettem, z ukrywaniem się. Ale ta przeszłość, której nie sposób odciąć, to także prawie nieobecna matka i nieobecny ojciec.

Michela Grodensky'ego Stefania Grodzieńska spotkała w życiu raz. Zadzwonił na portiernię hoteliku przy Tournefort 6, kiedy akurat była w Paryżu u matki. Jakieś pół roku po konkursie tańca

artystycznego w Théâtre des Champs-Élysées, a więc na początku 1933 roku. Zaprosił ją do swojego miasta.

> Pobyt w Genewie okazał się bardzo miły. Ojciec był interesującym, pełnym poczucia humoru i bezpośrednim człowiekiem, bardzo lubianym przez studentów. Latem prowadził lektorat z języka francuskiego. Zaprosił mnie na wykład. Sensacja, wywołana pojawieniem się córki znanego samotnika, ładnej i wesołej siedemnastolatki, była tak wielka i absorbująca studentów, że ojciec skrócił zajęcia.[11]

Tak Grodzieńska opisze swoje jedyne spotkanie z ojcem, do którego doszło, gdy była już pełnoletnia – miała niespełna dziewiętnaście lat[12]. Wizyta była krótka, skończyła się na dworcu wręczeniem dziecku zdumiewającego prezentu: dwudziestu pięciu paczek drogich papierosów różnych marek, zamkniętych w gustownym pudle. Zdarzenie zaowocuje trwającym trzydzieści lat nałogiem.

Michel Grodensky, wieloletni wykładowca filozofii prawa na wydziale prawa Uniwersytetu Genewskiego, zmarł 14 kwietnia 1952 roku.

W życiu Grodzieńskiej objawił się dwadzieścia pięć lat później, na zdjęciu przysłanym przez znajomego Stefanii – Francuza polskiego pochodzenia, którego rodzina znała dalszą rodzinę Michela Grodensky'ego. Ów człowiek zapamiętał, że widział fotografię Michela i Eleonory, obiecał ją odnaleźć i przysłać. Tak zrobił (to ta fotografia, której na początku książki się przyglądaliśmy). Ale co tam ojciec – dla Grodzieńskiej najważniejszy był odzyskany wizerunek matki, nawet jeśli zupełnie różnił się od tego zapamiętanego i noszonego przy sobie przez lata, potem ukradzionego i rozpaczliwie szukanego przez ogłoszenia prasowe.

> Moja matka nie wróciła do mojego życia ot tak, zwyczajnie, w przypadkowy sposób. O, nie. Od utraty jej jedynego zdjęcia minęło trzydzieści lat. Od rozmowy ze staruszkiem w Paryżu ponad pięć. A ona pojawiła się w naszym domu dokładnie tego poranka, kiedy rodził się mój wnuk. Rozpakowałam paczuszkę, zobaczyłam starą fotografię i wtedy zadzwonili ze szpitala, że mamy Michała. Wróciła, i to w towarzystwie.[13]

Co stało się z Eleonorą? Mamą, której z berlińskiego szynszylowego futra ostał się w 1939 roku tylko mały wyliniały kołnierzyk? Mamą, która – domykając temat garderoby – w Paryżu szyła córce ubrania, dlatego ta nosiła, jak deklarowała, bardzo ładne rzeczy?

Stefania Grodzieńska napisała, że Eleonora co trzy miesiące musiała się meldować w merostwie, by przedłużyć swoje zezwolenie na pobyt we Francji. W końcu – co także notowała jej córka – w 1938 roku miała zostać zmuszona do opuszczenia kraju w ciągu dwudziestu czterech godzin jako bezpaństwowczyni, legitymująca się jedynie paszportem nansenowskim. Takie wydalenia we Francji zdarzały się jeszcze przed okupacją niemiecką i ustanowieniem rządu Vichy. Krajobraz bowiem, jak zawsze, pozostawał złożony: Francja pod koniec lat trzydziestych zaostrzała już politykę wobec uchodźców i bezpaństwowców, a równocześnie wiele osób żydowskiego pochodzenia z Niemiec czy Włoch Mussoliniego szukało w niej względnego bezpieczeństwa.

Okoliczności wyjazdu Eleonory są więc niejasne.

Kwerenda we francuskich archiwach w 2025 roku nie potwierdziła, by małżeństwo Volpe w czasie pobytu we Francji ubiegało się o azyl, dalszą legalizację pobytu albo obywatelstwo francuskie. Miszy i Eleonory nie udało się również odnaleźć w aktach cudzoziemców, uchodźców i bezpaństwowców[14]. W archiwach francuskiej służby bezpieczeństwa, w tak zwanych zbiorach moskiewskich[15], znajduje się fiszka z nazwiskiem Eleonory, jest na

niej odniesienie do zespołu dokumentów, jednak tu trop się urywa – we wskazanym zbiorze o matce Stefanii Grodzieńskiej ani słowa.

Kolejnych śladów trzeba szukać w Kownie.

Już na początku – zaskoczenie. W styczniu 1939 roku Eleonora rozwiodła się z Mykolasem Volpe. Dokumenty z tej sprawy dostarczają kilku ciekawych informacji[16]: na przykład, że para pobrała się 21 kwietnia 1919 roku w Moskwie, że Eleonora na parę miesięcy przed wybuchem II wojny światowej legitymowała się paszportem wydanym w 1937 roku przez ambasadę Litwy w Paryżu, a Misza miał paszport wydany przez litewską ambasadę w Brukseli, także w 1937 roku.

Co mogło zdarzyć się dalej?

W Wilnie w 1940 roku Eleonorę widział aktor Ludwik Sempoliński, odwiedziła go nawet w teatrze za kulisami[17]. Nie wiadomo dokładnie, skąd się znali. Matka Grodzieńskiej miała jednak łatwość nawiązywania kontaktów z artystami. Podczas jednej ze swoich wizyt w Łodzi, kiedy odwiedzała nastoletnią córkę, zadzwoniła do Tuwima z prośbą o autograf dla Stefanii. Poeta przyjął je w swoim mieszkaniu i wpisał się do tomu wierszy.

W styczniu 1941 roku jej nazwisko było wymienione w dwóch spisach wyborców (głosowania przeprowadzały okupacyjne władze radzieckie). Listy sporządzono pod koniec 1940 roku[18].

Z kowieńskiego getta zachowały się szczątkowe dokumenty. Nie wiadomo, czy Eleonora Ney w ogóle do niego trafiła.

Jak potoczyły się losy Miszy?

Misza miał brata, Siergieja, od dawna mieszkającego w Stanach Zjednoczonych. Po rozwodzie z Eleonorą wyjechał za ocean, prawdopodobnie jeszcze przed wojną. W 1946 roku w Nowym Jorku ożenił się ponownie – z niejaką Sophie Halpern[19]. To pewnie kompletny przypadek, banalna koincydencja, że nazwisko zupełnie to samo co Franciszki Halpern, matki Eleonory. I że podpis

Eleonory – Volpe – na litewskim paszporcie i podpis Sophie – Halpern – na akcie małżeństwa z Miszą mogą wydawać się skreślone ręką tej samej osoby. Litery „p" i „l" wyglądają, jakby wyszły z tej samej grafologicznej foremki.

Stefania Grodzieńska pisała – co prawda nie wspominając słówkiem o rozwodzie Miszy i Eleonory – że mąż matki chciał ją do Stanów ściągnąć, ale formalności trwały długo[20].

Zbyt długo.



Kiedy zaczęła się wojna, Stefania Grodzieńska,
tancerka i początkująca aktorka, miała dwadzieścia pięć lat

ROZDZIAŁ VI

Warszawa • sierpień 1939 – czerwiec 1941 •
miasto podzielone na dwie części

Czwartek, 31 sierpnia. „Wieczór Warszawski”[1], pierwsza strona: „Polska czeka gotowa z bronią u nogi. Hitlerowi pozostaje do wyboru cofnąć się – albo rozpocząć wojnę”. W nagłówkach ponadto: „Pobór koni, wozów i pojazdów mechanicznych”. „Bomby! Gaz! Jak zachować się na ulicy podczas ataku lotniczo-gazowego?”. „Kanarek pomógł wykryć tajną radiostację w grobowcu”. I na stronie czwartej: „Járosy tworzy «Figaro». Nowy teatr w Warszawie”.

Po kilkumiesięcznej trasie przez II Rzeczpospolitą Járosy ze swoimi aktorami zarzucają kotwicę w Warszawie. To znaczy: mają nadzieję zarzucić. Przy Marszałkowskiej 8 Fryderyk zakłada Teatr Figaro. Premiera programu *Żyć nie umierać!* zaplanowana jest na 2 września 1939 roku, akurat w dwudzieste piąte urodziny Stefanii Grodzieńskiej. Járosy i jego „banda wesołków”[2] zaręczają, że elegancka publiczność stolicy wkrótce zyska swoją ulubioną, a na pewno najbardziej oddaną żartowi scenę.

Jest więc czwartek, 31 sierpnia, późny wieczór, może noc. Skończyła się próba generalna, część kolegów Grodzieńskiej przyszła na nią w mundurach, już powołana do wojska[3]. Stefan Starzyński, prezydent Warszawy, postanowił kilka dni wcześniej, że jeśli dojdzie do wybuchu wojny, Figaro stanie się teatrem frontowym, podlegającym władzom wojskowym – i będą w nim występować zmobilizowani aktorzy.

Zespół wychodzi na pogrążone w ciemności ulice. „Państwo sobie nie mogą wyobrazić, co to jest zaciemnione miasto, chyba że

księżyc świeci, ale jak nie, jest naprawdę bardzo ciemno i trudno się poruszać"[4] – zobrazuje to Grodzieńska. Zmęczeni, w nastrojach minorowych, rozchodzą się. „Wiadomo było, na co się zanosi, ale jeszcze mieliśmy nadzieję, no takie głuptaki byliśmy, że to drogą dyplomatyczną załatwią"[5] – doda.

Dotarła do swojej kawalerki przy Poznańskiej 12, urządzonej w nadbudówce modernistycznej kamienicy. Zasnęła.

Stefania i Jerzy wprowadzili się do tego mieszkania półtora roku wcześniej, niemal go nie umeblowali. Gdy weszła do niego wtedy, przed kilkunastoma miesiącami, uklękła i pocałowała podłogę, wzruszona końcem sublokatorstwa, które ciążyło jej od dzieciństwa[6].

W mieszkaniu stały tapczan, krzesło i walizka w funkcji drugiego krzesła. Na wyposażenie Grodzieńska miała zarobić podczas tournée z Járosym, lecz przeszkodą okazał się szeroki gest Fryderyka. Jak o nim napisze: „Był najhojniejszym człowiekiem, jakiego spotkałam. Był rozrzutny, wielkopański, nigdy nie wiedział, ile ma pieniędzy, i nie przywiązywał do tego wagi"[7]. W wypełnionych turystami miejscowościach wypoczynkowych i dużych miastach aktorzy z objazdowej trupy zarabiali nieźle, ale i wydawali pieniądze z rozmachem. Rozrzutność Járosyego była zaraźliwa, dlatego na meble nie udało się odłożyć.

Jurandot tego ostatniego przed wybuchem wojny lata też miał fantazję i gest. Pieniądze, odłożone na pierwszą ratę mebli, wydał w lipcu na suknię i kapelusz, w których Stefania kilka miesięcy wcześniej pokazała się jako modelka. Czarny matowy jedwab, plisowany dół, góra przylegająca do ciała i przykuwający uwagę szczegół: kieszeń na lewej piersi, a w niej zamszowe konwalie na wyhaftowanych łodygach. Kapelusz miał wielkie rondo. Strój uzupełniały białe zamszowe rękawiczki, niemal po łokcie. Siedząc wieczorem w kawiarnianym ogródku jednego z pałacyków w Alejach Ujazdowskich, czuła się ładna, a nawet więcej: wspaniała. „Przez całe życie uważałam się za brzydactwo, tyle że z dobrą figurą.

Po wojnie miałam dużo ładnych sukien na scenę i «na życie», ale taką chwilę przeżyłam tylko raz"[8] – napisze.

Latem był też urlop w Zakopanem we czwórkę, z Jurandotem, Járosym i jego partnerką Zofią Terné. Fiakier wynajęty na noc, zakopiańskie lokale, które „nie były jeszcze zapijaczonymi melinami"[9] (słowa Stefanii), szampan na Gubałówce na porośniętym trawą stoku, pod księżycem, opalanie się w dzień wysoko, na polankach nad zalesionymi reglami. „Naprawdę byliśmy bardzo szczęśliwi, nie ma po co szukać oryginalniejszych określeń"[10] – wspomni prostolinijnie. A potem Zaleszczyki na granicy między II Rzeczpospolitą a Rumunią, drewniany elegancki pensjonat nad szerokim, połyskującym w słońcu Dniestrem, na który wypływali łódką.

1 września nad ranem Stefanię obudziły wybuchy. O poranku w kawalerce przy Poznańskiej wyleciały szyby z okien. Z niewielkim tobołkiem, licząc na rychły powrót do mieszkania, małżeństwo Jurandotów przeniosło się do najbliższych przyjaciół: Fryderyka i Zofii mieszkających przy Placu Zbawiciela, róg 6 Sierpnia (obecnie Nowowiejska). Wielka, reprezentacyjna kamienica w znakomitej lokalizacji, w niej między innymi wojskowi na emeryturze i schron, który w huku bombardowań szybko zaczął zapełniać się ludźmi. Nie tylko mieszkańcami domu czy kilku sąsiadujących kamienic, ale także masą osób, które w pierwszych dniach września uciekały z zachodu i południa miasta na wschód, przed zbliżającymi się oddziałami Wehrmachtu i nalotami Luftwaffe. Leciały bomby, Warszawa płonęła, rozpadała się, ludzie szukali wody i jedzenia, rodziny usiłowały się zgromadzić, odnaleźć. Tak wyglądał *Blitzkrieg*, wojna błyskawiczna: Niemcy chcieli sparaliżować atakowane państwo, zniszczyć drogi i linie kolejowe, odebrać jego mieszkańcom siły i wolę walki.

Komendantami, czyli cywilnymi dowódcami samoobrony, organizującymi wojenną codzienność w swoim otoczeniu, byli

Jurandot i Járosy. Jerzy miał pod opieką kamienicę, Fryderyk – cały blok domów, a więc kilka budynków objętych wspólną obroną przeciwlotniczą. Prezydent Starzyński zaczął przygotowywać miasto do przetrwania wiele miesięcy wcześniej. Schrony, ujęcia wody, zapasy jedzenia i paliwa, wyposażenie gaśnicze i sanitarne w domach, a od września organizowanie pomocy, próby zaradzenia niszczycielskiej batalii. „Jeżeli cokolwiek trzymało się kupy, jeżeli piekarze piekli chleb, była woda, światło, gaz (do czasu porozbijania wszystkich urządzeń przez artylerię), zawdzięczaliśmy to wszystko jednemu jedynemu człowiekowi – Stefanowi Starzyńskiemu”[11] – zapisze Grodzieńska. Starzyńskiemu, który miasta nie opuścił. Został rozstrzelany w grudniu 1939 roku w Warszawie lub jej okolicach. Nic dziwnego, że Stefania będzie przywoływać go wielokrotnie.

Przy Placu Zbawiciela niektórzy tylko w ostateczności decydowali się na zejście do piwnicy, panowały tam ścisk i zaduch, matki tuliły kwilące dzieci, w strachu, że sufit zawali im się na głowę. Stefania i Jerzy starali się pozostawać nad ziemią, chociaż Jurandot dyżurował nocami w piwnicy (zdarzało się, że nad brydżem), a Grodzieńska zgłaszała się do opieki nad schronem. Jak zawsze jej uwaga i troska wędrowały w stronę dzieci, a serce skradło zwłaszcza jedno: Andrzejek. Miał pół roku, jego mama cały czas płakała. „Byłam niesprawiedliwa, jak rozdzielaliśmy kawałeczek masła czy mleko, to kradłam. W życiu nic nie ukradłam, ale kradłam dla Andrzejka, żeby on miał jeszcze łyżeczkę mleka”[12] – będzie opowiadać.

Stefania w środku nocy stawała w kolejce po chleb – gdyby przyszła rano, nie byłoby już po co czekać pod sklepem. Zapamiętała pilotów Luftwaffe, przelatujących w samolotach z czarnymi krzyżami tak nisko, że można było dostrzec ich twarze. Strzelali do kilkuset kobiet, przysuwających się przed karabinem maszynowym jak najbliżej ściany. Grodzieńska skomentuje: „Na szczęście, ostrzeliwanie kolejek było prywatną, choć nagminną zabawą



Nr G/i/67/38

Nazwisko GRABOWSKA

Imię STEFANIA JOANNA

Data urodzenia 9 WRZEŚNIA 1914 r.

Miejsce urodzenia KOWEL

Zawód FRYZJERKA

Wzrost ŚREDNI

Twarz OWALNA

Włosy SZATYNKA

Oczy PIWNE

Znaki szczególne BRAK

Wydany dnia 11 LUTEGO 1938 r.

URZĄD GMINY DZIEWIĄTLICZE POW. OSZMIANA

Grabowska

Stosownie do art. 19 rozp. Prezydenta R. P. z dnia 16 marca 1928 r. o ewidencji i kontroli ruchu ludności (Dz.U.R.P. nr. 32, poz. 309) zaświadczam, że wymieniony(a) w niniejszym dowodzie

p. Grabowska Stefania Joanna

(jest obywatelem(ką) polskim(ką), co zostało stwierdzone

na podstawie Akta p. I Kat. 2 Nr. 1 Akta

90/5 1928 Dz. Urz. [illegible] poz. 94

Urząd

Nr 9 [illegible]

Dnia [illegible] 1938 r.

Jeden z dokumentów Grodzieńskiej,
wystawiony na okupacyjne nazwisko Grabowska

lotników. Z reguły przylatywał tylko raz, a i to w pośpiechu. Temu przypisać należy, że nas ostrzeliwał byle jak, bez większego powodzenia. Kilka razy zdarzyło się, że któraś z kobiet padała ranna, ale tylko dwa razy udało mu się zabić na miejscu"[13].

Gdy w Warszawie niemal wszystko zostało wykupione, a drzwi opróżnionych sklepów stały otwarte na oścież, Jerzy usłyszał na ulicy, że coś można dostać jeszcze w eleganckim niegdyś sklepie kolonialnym Pakulskich przy Brackiej. Coś, czyli ogromne puchy – przy identycznym wyglądzie, nierozróżnialnym nawet dla sprzedawców, miały odmienne zawartości: były w nich albo śledzie, albo ogórki konserwowe. Jurandot toczył blaszaną beczkę przez niemal pół miasta. Na Plac Zbawiciela dotarły ogórki – ku radości ich konsumentów. Ogórków, w przeciwieństwie do śledzi, nie trzeba zagryzać chlebem.

Grodzieńska zgłosiła się do pomocy w szpitalu im. Piłsudskiego przy 6 Sierpnia 37 – obiekt wchodził w skład większego kompleksu (którego część zajmuje dziś Szpital Nowowiejski)[14]. Jeszcze przed wrześniem w tym budynku przygotowano pięćset łóżek (rok wcześniej było sto dwadzieścia). Stefania prowadziła tam rannych, próbowała też pomagać na miejscu. Pewnego dnia zobaczyła światło na niebie, łunę ciągnącą się od szpitala. Z całego zespołu budynków ten został najostrzej zbombardowany. Pożar, ciężkie poparzenia, łóżka z pacjentami wynoszone w pośpiechu, ludzie na noszach upychani po okolicznych bramach. W tym pandemonium biegała Grodzieńska ze swoim chlebakiem z wypraw w Tatry, do którego wcisnęła butelkę waleriany i opatrunki. „Nie bardzo mi się powiodła ta rola siostry miłosierdzia"[15] – opowie po latach o tym, jak poiła poranionych uspokajającym wyciągiem z kozłka lekarskiego.

Ludzie w schronie byli zdemotywowani, przestraszeni, niechętni asystowaniu przy rannych na powierzchni. Szok – nieubłagana reakcja każdego, kto po raz pierwszy widzi śmierć na tak wielką

skalę – miał różne objawy. Pewna kobieta z nastoletnią córką trochę Stefanii pomagały. Któregoś dnia, gdy poszły po jedzenie, matka i córka, ta pierwsza wróciła sama, mimo to bardzo spokojna. Ręce miała owinięte jakimś materiałem, który wszystkim pokazywała. Mówiła: „To mózg mojego dziecka. Pani znała moją córeczkę, tak? Przecież pani ją lubiła. To jest jej mózg. A ona tam leży, ale nie mogę jej teraz ściągnąć, kto jej pomoże?"[16]. „Ale już nie było co ściągać"[17] – skwituje Grodzieńska.

24 września 1939 roku wielu, między innymi Stefanii, wydawało się, że Warszawy już bardziej zniszczyć się nie da. Dzień wcześniej nasilony ostrzał artyleryjski palił szpitale, pałace, kościoły, między innymi ten Najświętszego Zbawiciela, który został bez jednej wieży i dachu.

> Wylegliśmy wszyscy przed dom, było to straszne widowisko. Tłum nie miał się gdzie podziać, to wszystko się wokół siebie tłoczyło, kręciło. I w pewnym momencie wybiegła na środek, na plac przed wejściem do palącego się kościoła, gdzie już było bardzo niebezpiecznie, fanatyczka, bardzo religijna babcia. Rzuciła się na ziemię i zaczęła wrzeszczeć litanie, krzyczeć histerycznie, wywijać rękami. Ogień już się zbliżał. Járosy wyskoczył na środek do tej kobiety, na siłę złapał ją za ramiona i pociągnął w bezpieczne miejsce[18]

– będzie relacjonować Grodzieńska w jednej z audycji radiowych.

W książce *Urodził go „Niebieski Ptak"* napisze, że do tej kobiety dołączyły inne, że było ich więcej[19]. Wspomnienia czasami się przeobrażają, choć nie tracą swojej siły. Może więc Fryderyk powiedział to na koniec o jednej uratowanej kobiecie, a może o kilku uratowanych, ale na pewno zakończył, jak zwykle, żartem: „Wiecie co? Po co ja ją ratowałem! Taka brzydka kobieta"[20].

25 września, w poniedziałek, nazwany potem czarnym lub krwawym, gruzu, pocisków i ognia było jeszcze więcej. Na miasto spadł zmasowany nalot, o skali nieznanej wcześniej mieszkańcom europejskich stolic. Wtedy stało się jasne, że Warszawę – a potem także inne wielkie miasta europejskie, jak Rotterdam czy Londyn – można obrzucić bombami, że roztrzaskiwanie murów się nie kończy, dopóki mieszkańcy nie dadzą się psychicznie złamać. W jednym dniu giną tysiące ludzi, wybuchają setki pożarów, umierają masowo pacjenci szpitali. Nie ma już wody.

Z 25 września 1939 roku Jurandot zapamiętał obraz, który streszcza bezradność miasta lepiej niż niejeden historyczny komentarz: dwóch mężczyzn na dyżurze ochrony przeciwlotniczej, dach wysokiej kamienicy w Śródmieściu, kłęby czarnego dymu i kubełek z piaskiem, którym zgodnie z rozporządzeniem Starzyńskiego mieli gasić bomby zapalające[21].

Nazajutrz, jak zapamiętała to Grodzieńska, przyszła dziwna cisza, mimo że naloty, choć znacznie, znacznie słabsze, wciąż trwały. Towarzyszył temu wyciszeniu bezdenny optymizm – odczuwalny na Marszałkowskiej, na którą wysypali się tłumnie ci, którzy od ponad trzech tygodni siedzieli w schronach.

Obrona miasta nie była już możliwa. 28 września zakończył ją akt kapitulacyjny. Niemcy zajęli Warszawę, od teraz Warschau.

Wrzesień był przesiąknięty swędem spalenizny. Zapach unosił się wszędzie: na każdej ulicy, w każdym domu. I został na zawsze w pamięci emocjonalnej Grodzieńskiej.

> Do dziś, kiedy coś się pali lub dogasa, ten zapach natychmiast przenosi mnie w tamte dni. Nie potrafię wytłumaczyć, dlaczego staję i wdycham. Lubię ten odór. Fascynacja śmiercią? Niebezpieczeństwem? Wspomnienie oblężenia nie jest dla mnie jednoznacznie nienawistne. Może dlatego, że oblężenie, mimo całego koszmaru, to jeszcze była wolność. Bez gazu, bez

elektryczności, a co najstraszniejsze, w ostatnim okresie bez wody. Głodni, spragnieni, otoczeni ludzkim nieszczęściem, pod ustawicznym ostrzałem, ale jeszcze wolni.[22]

Symbolem tej wolności było wrześniowe radio. Stacja Warszawa II, na fali 211, ogłaszała alarmy, informowała o tym, co na świecie, transmitowała przemowy Starzyńskiego, choć Stefania nazwie je raczej rozmowami z tymi, którzy zostali w mieście, rozmowami o bieżących kłopotach. Jurandot pisał do radia wiersze, prezentował je na antenie Fryderyk. Jeden z najbardziej znanych, a zarazem najbardziej wzruszających to *Warszawa druga*.

Halo, tu mówi Warszawa druga
Na fali 211!
Halo, Londyn, Budapeszt, Paryż,
Halo, Madryt, Rzym, Kopenhaga,
Jak ziemia szeroka i długa,
Uwaga:
Tu mówi Warszawa druga!
Tak dotychczas dźwięczące donośnie
Śpią na skali polskie rozgłośnie,
Zamilkł Poznań, Katowice i Kraków,
Milczy Wilno i Łódź, i Lwów,
Woła jeszcze mową Polaków,
Wieje jeszcze sztandarem słów
Ostatnia wyspa na falach potopu,
Warszawa druga.
Warszawa druga.
Nie ta dawna, lekkomyślna, beztroska,
Nie Warszawa kawiarniana ni wiechowska,
Nie ta dawna, szukająca szczęścia
W alkoholu, w piosence i tańcu,
Może dużo, może mało warta,

Ale druga:
Ta o mocno zaciśniętych pięściach,
Warszawa barykad i szańców
Zawzięta, twarda, uparta
I wyniosła jak chorągiew na maszcie.
Halo!
Tu mówi Warszawa druga
Na fali 211!
Ta Warszawa druga, ta nowa,
Którą kiedyś tam, kiedyś tam potem
Będą sławić i opiewać w pieśniach,
Urodziła się z pierwszym nalotem
Pierwszego września.
Urodziła się Warszawa nowa
W ów poranek słońcem roześmiany,
Gdy przez radio padły twarde słowa:
Agresja Niemiec na Polskę stała się faktem dokonanym![23]

Gdy wrzesień się skończył, odbiorniki zaczęto konfiskować. Radio zeszło do podziemia, a słuchanie go stało się zakazane. Ludzie wpadli w panikę, choć jeszcze nie wiedzieli, czego właściwie powinni się bać. Podczas oblężenia zniszczono większość elektrycznej sieci trakcyjnej i autobusów, z rozrąbanego bruku sterczały szyny. Po zrujnowanym mieście ludzie poruszali się furmankami, rikszami, czym bądź. „Widziałam młodą damę, jadącą na platformce do wożenia ciastek, pchaną przez rowerzystę z tyłu. Miasto jest dziwne, jakby wyjęte z innego czasu czy innej części świata"[24] – tak 23 listopada będzie widzieć Warszawę w swoim dzienniku Zofia Nałkowska.

Wkrótce po kapitulacji miasta Stefania i Jerzy musieli opuścić lokal numer 74 przy Poznańskiej 12. W kamienicy pełnej wygodnych kawalerek zamieszkali mężczyźni w mundurach koloru feldgrau,

charakterystycznej szarozielonej barwie Wehrmachtu. Małżeństwo zabrało ze sobą niewiele, bo i mało co w ich domostwie było. Jerzy wrzucił jeszcze na odchodnym do pokoju pieniążek, jak według starej tradycji ciska się do wody fontanny di Trevi, z nadzieją na powrót do Rzymu. Ale powrotów nie będzie. Poznańska to już zamknięty rozdział. Zostają wspomnienia – tego, że pod tym adresem Grodzieńska po raz pierwszy nie musiała pytać nikogo o to, czy może wstawić czajnik z wodą. Albo pamięć o pierwszym małżeńskim obfitym śniadaniu i Jerzym bezradnie siedzącym nad pieczołowicie nakrytym stołem, rozkrojoną bułeczką, jednak niezabierającym się do jedzenia – bo czekającym, aż żona posmaruje mu bułkę masłem.

Jego mama była, zdaniem Stefanii, nadopiekuńcza[25]. Sabcia – tak właśnie kazała do siebie mówić od pierwszego spotkania ze Stefcią, nie „pani".

Jesienią 1939 roku Stefania z mężem trafili do teściów, Sabiny i Tadeusza, na Złotą 75, do mieszkania numer 117[26]. Były w nim dwa pokoje z kuchnią – jeden przypadł młodszej parze, drugi starszej. Zosia, siostra Jurka, mieszkała przy ulicy Humańskiej, blisko Słonecznej. Od najwcześniejszych lat była harcerką. Jako nastolatka pisała też powieści dla młodzieży osadzone w skautowskim anturażu (pod pseudonimem Zofia Bardówna), studiowała malarstwo na ASP. „Była jednostką wybitnie inteligentną, poważnie myślącą. Była bardzo pracowita, bezwzględnie uczciwa w stosunku do siebie i otoczenia, odpowiedzialna, trochę niezaradna życiowo"[27] – tak będą ją wspominać koledzy z Armii Krajowej. W konspirację zaangażowała się od początku. Przy Humańskiej zajmowała pokój w mieszkaniu emerytowanego oficera. Mogli tam przychodzić tylko ludzie z organizacji podziemnej, ale Jurandotowie mieli jej adres, na wypadek gdyby przed godziną policyjną nie mieli się gdzie podziać.

Informacja o numerze mieszkania przy Złotej 75 pochodzi z ksiąg meldunkowych domu przy Poznańskiej 12. Przy nazwiskach



Zosia Wanda Zawadzka, utalentowana artystycznie siostra Jerzego Jurandota. Żołnierka ZWZ-AK. Zginęła w powstaniu warszawskim – w ostatnich dniach obrony Starówki

Stefanii i Jerzego zachowała się też adnotacja o zmianie wyznania. Przy wpisach widnieje data 30 listopada.

Stefania i Jerzy prawdopodobnie byli więc w grupie ponad dwustu warszawskich konwertytów, którzy od początku wojny do lutego 1940 roku przeszli na katolicyzm. W żydowskim środowisku nazywało się takie osoby mechesami, przechrztami, wychrztami[28]. W warszawskim getcie konwertyci stanowili grupę niewielką, nawet nie dwa tysiące – na około czterysta tysięcy osób zamkniętych w listopadzie 1940 roku za murami. W dużej mierze byli to ludzie z rodzin od dawna zasymilowanych, silnie związani z polskością. Ich poczucie polskiej tożsamości nie miało jednak żadnego znaczenia dla niemieckiej polityki rasowej.

O losie ludzi zamkniętych w getcie nie decydowały przecież ani ich wyznanie, ani identyfikacja narodowa, ani nawet wiedza o własnym żydowskim pochodzeniu. Dla Niemców Żydem był ten, kto miał co najmniej troje żydowskich dziadków, a w niektórych wypadkach wystarczało dwoje. To, kim sam się czuł, pozostawało bez znaczenia.

Jeszcze przed wybuchem wojny do Polski docierały wiadomości o narastających prześladowaniach osób żydowskiego pochodzenia w Niemczech. Ich kolejne etapy coraz wyraźniej odsłaniały tę systematycznie prowadzoną politykę wykluczenia i przemocy.

Kampania rasistowska od 1933 roku, antyżydowskie dekrety, pozbawianie obywateli żydowskiego pochodzenia praw do wykonywania kolejnych zawodów, ustawy norymberskie, w tym zakaz małżeństw i kontaktów seksualnych między Żydami a osobami uznawanymi za aryjczyków*, Kristallnacht, noc kryształowa

---

* Określeń „aryjczyk", „aryjski", „aryjska" itd. używam w książce wyłącznie w znaczeniu historycznym, utrwalonym w źródłach i publikacjach dotyczących II wojny światowej i Zagłady. Dalej w tekście będą występować bez cudzysłowu. Przyjmuję zapis „aryjczyk" małą literą, traktując to określenie nie jako nazwę grupy etnicznej, lecz jako nazistowską kategorię rasową.

w listopadzie 1938 roku, naznaczona morderstwami, podpaleniami, niszczeniem sklepów i synagog. Prześladowania, wyrzucanie z kraju, gwałtowny, o ponad połowę w ciągu kilku lat, spadek liczby ludności żydowskiej w Niemczech. Potem kampania wrześniowa, pierwsze akty przemocy i mordy na Żydach, a tych na obszarze Polski w 1939 roku było około 3,3 miliona. Kilkaset tysięcy uciekło na wschód.

Już 8 października 1939 roku w Piotrkowie Trybunalskim powstało pierwsze getto. Od jesieni Żydzi mieli zablokowane konta bankowe i przydzielony limit tygodniowych wypłat. Mężczyzn i chłopców żydowskiego pochodzenia (od czternastego do sześćdziesiątego roku życia, a później także młodszych) od 26 października obowiązywał nakaz przymusowej pracy. Hitlerowcy wyłapywali też kobiety w Warszawie do różnych zadań, jak odgruzowywanie miasta, sprzątanie mieszkań czy urzędów zajmowanych przez Niemców. Były przy tym upokarzane: na przykład kazano im sprzątać własną bielizną[29].

W pokonanym, pogrążonym w chaosie, rozwarstwiającym się mieście Żydów poniżano i bito. Na warszawskich ulicach widywano grupy prowadzonych do pracy. Stołeczny Judenrat – rada żydowska, łącznik między władzami okupacyjnymi a społecznością żydowską, jedno z kilkuset w kraju ogniw zarządzonych przez generalnego gubernatora Hansa Franka – zobligował się bowiem do codziennego doprowadzania określonej liczby robotników, co było próbą minimalizowania przemocy i bezładu.

W listopadzie Niemcy po raz pierwszy zaczęli organizować warszawskie getto. W dzielnicy północnej, historycznie zamieszkałej przez ludność żydowską, pojawiły się druty kolczaste i napisy: „Zaraza, wstęp dla żołnierzy wzbroniony"[30].

Od początku nowego roku nie będzie można zmienić miejsca zamieszkania bez zezwolenia, nie będzie można pójść do bożnicy ani modlić się grupą w domu. W lutym zostaną wprowadzone kartki żywnościowe z gwiazdą Dawida, które będzie można realizować

tylko w żydowskich sklepach. A potem na ulicach dojdzie do antysemickich wystąpień: rozgrabiania sklepów i mieszkań, bicia osób z opaskami przez chuliganów. Następnie kawiarnie i restauracje zostaną zamknięte dla Żydów.

Jesienią i zimą 1939 roku rodzina ze Złotej 75 mierzyła się z ogromnymi trudnościami finansowymi. Jurandot pisał teksty dla kolegów, Stefania przez pewien czas udzielała – dwa razy w tygodniu – lekcji gimnastyki pani Hoffmanowej, właścicielce domu przy 6 Sierpnia, w którym przetrwali oblężenie.

W tym czasie, jak napisze Stefania, pojawiła się propozycja od ojca, Michela Grodensky'ego – i sposobność, żeby wyjechać do Szwajcarii. Jednak ta szansa była tylko dla jego córki. „Odmówiłam z kilku względów, ale głównie dlatego, że nie do pomyślenia było zostawienie Jurka"[31]. Postanowili, że się nie rozdzielą, choćby nie wiem co.

Jak więc żyć? Może grać?

W kolejnych miesiącach, już w 1940 roku, występowanie na scenie zaczęło budzić kontrowersje. Związek Artystów Scen Polskich – instytucja opiekująca się aktorami, ale nakładająca też na nich zobowiązania moralne – potępił granie w legalnych teatrzykach, koncesjonowanych przez Niemców, i zarządził ich bojkot. Artystom zezwolono na występy w kawiarniach – recytację wierszy, śpiewanie piosenek – trwające zresztą już od jesieni 1939 roku. „Coś im trzeba było zostawić – jakieś środki utrzymania. Jakąś formę istnienia półzawodowego"[32] – powie wiele lat później reżyser Bohdan Korzeniewski, historyk i krytyk teatru, ważna postać teatralnego podziemia. Grodzieńska zapamięta jego nieustępliwość, surowość w ocenianiu artystów. O roli Korzeniewskiego w rozliczaniu aktorów występujących podczas okupacji Czesław Miłosz napisze z kolei: „Po wojnie zasłynął jako tropiciel «czarownic», tzn. aktorów, którzy oficjalnie, za zezwoleniem władz niemieckich, grali

lekki repertuar w okupacyjnej Warszawie, przyciągając notabene tłumy publiczności. Sam reprezentował moralność niejako laicką, wysokie wymagania stawiając godności człowieka"[33].

Korzeniewski, pochodzący z drobnej kresowej szlachty, z korzeniami sięgającymi jednego z pierwszych aktorskich rodów Truskolaskich, widział w zawodzie scenicznym tę ważną powinność swojej klasy: z jednej strony pielęgnowanie herbowego etosu, z drugiej – niesienie kaganka oświaty. Działające pod okupacją, od wiosny 1940 roku, teatrzyki oceniał surowo zarówno pod względem artystycznym, jak i moralnym. Zarzuty wobec jawnych teatrów nie były bezpodstawne: wiele z nich rzeczywiście prezentowało repertuar bardzo słaby, wręcz fatalny. Tyle że nie wszystkie były takie same, a nawet najostrzejsza krytyka działalności teatrzyków nie usuwała problemu najbardziej przyziemnego: artyści musieli z czegoś żyć.

Związek Artystów Scen Polskich dopuszczał występy swoich członków w kawiarniach, gdzie pojawiali się niemieccy oficerowie. Właśnie na tym tle wybrzmi dla Grodzieńskiej paradoks okupacyjnych zasad: recytacje w kawiarniach i podawanie Niemcom kawy były dozwolone, za to granie w jawnych teatrach, przeznaczonych dla polskiej publiczności, łamało bojkot ZASP-u i groziło surowymi karami.

Wśród lokali, w których pracowali artyści, były m.in. Café Bodo, a także późniejsza Kawiarnia u Aktorek. Grażyna Barszczewska, zafascynowana Grodzieńską, odwiedzająca ją wiele lat później w domu przy Słonecznej, dobrze znająca też jej książki i teksty, z których stworzyła spektakl *Sceny niemalże małżeńskie Stefanii Grodzieńskiej*, grany nieprzerwanie od 2011 roku w Teatrze Ateneum w Warszawie*, mówi: – Stefania nie wstydziła się prawdy.

---

* *Sceny niemalże małżeńskie* powstały na podstawie scenariusza Grażyny Barszczewskiej i według jej koncepcji. W rolach głównych występują Barszczewska (Ona) i Grzegorz Damięcki (On).

Kiedyś, gdy rozmawiałyśmy o okupacji, wspomniała Kawiarnię u Aktorek. Powiedziała: „A wiesz, kto tam przychodził? No Niemcy, Niemcy przychodzili. I klepali te wielkie aktorki po pupie, ale o tym się nie mówi". Zapamiętałam to dobrze, bo oficjalny przekaz, jaki do nas docierał, był inny: że to była kawiarnia dla polskiej publiczności. Stefania mówiła rzeczy niepopularne.

Więc co zrobić z tym graniem?

Żeby żyć, trzeba grać. Zwłaszcza że przy Złotej mieszkają Jurandot, autor tekstów, i wybitny reżyser kabaretowy – Fryderyk Járosy.

Skąd wziął się pod tym adresem?

Ukrywał się. Mieszkał w pokoju z Jurandotami, a gdy pojawiali się goście – chował w łazience. Był Węgrem, miał obywatelstwo austriackie, a jego pierwszym językiem był niemiecki. Aresztowano go w październiku 1939 roku, pod zarzutem przedwojennej antyhitlerowskiej działalności teatralnej[34]. Grodzieńska zawsze będzie też podkreślać jego status Reichsdeutschera, obywatela Rzeszy, z którym z całych sił nie chciał się utożsamiać. Zofia Terné również została aresztowana, wręczono jej nakaz wyjazdu do okupowanego przez ZSRR Równego, skąd pochodziła. Wyjechała. A Járosy trafił do aresztu centralnego przy Daniłowiczowskiej. Po kilku miesiącach uciekł, gdy przewożono go z siedziby gestapo z powrotem do więzienia. Poszukiwano go, musiał pozostać w ukryciu. Nie było to łatwe: innym fałszywe dokumenty pozwalały zniknąć w tłumie, on jednak miał twarz zbyt znaną. Warszawa dobrze go pamiętała.

Październikowe aresztowanie miało jeszcze jeden skutek: Grodzieńskiej i Jurandotowi, obecnym przy zatrzymaniu Járosyego, zabrano dowody, które mieli wyrobione na fałszywe nazwiska. Żeby je odzyskać, musieli udać się do aresztu śledczego gestapo przy Szucha 25 – wizyta nie miała konsekwencji, choć nie obyło się bez lęku. Stefania, pisząc o niej, będzie skupiać się na jednym

szczególe: za dużych, dziurawych kaloszach, które Jerzy wziął od ojca. Spadały z nóg, przyczepiając się do miękkiego czerwonego chodnika, którym wyłożone były marmurowe schody gmaszyska. Jurandot podnosił je, wzuwał z powrotem, spadały, podnosił, wkładał na stopę. Koniec końców postanowił iść bez butów, wsunął ubłocone kalosze dopiero przed wejściem do pokoju, w którym czekał na nich niemiecki oficer[35].

Tak Járosy, ukrywający się jako Franciszek Nowaczek, trafił na Złotą. Gotował tam ponoć znakomite śmieciowe zupy z resztek dostępnych warzyw, głównie kartofli i brukwi, z dodatkiem kaszy, która jeszcze nie stęchła. Na deser piekł ciastka – także z brukwi. W wannie, w ukryciu, czytał kolejne tomy *Komedii ludzkiej* Balzaka w przekładzie Boya.

> W zupełnie niezwykłych warunkach potrafił zatrzymać nie tylko wszystkie swoje zalety, ale i wady, co było jeszcze trudniejsze. Jego sytuacja skłaniałaby raczej do cichego „udawania, że mnie nie ma": czy nie przeszkadzam? czy można? Tymczasem taka postawa, którą potem nieraz obserwowałam u ludzi ukrywających się w cudzych domach, właśnie utrudniała życie, prowadziła do ciągłego certowania się, zmuszała gospodarzy do zastanawiania się nad każdym słowem i postępkiem: czy nie będzie mu przykro? czy nie pomyśli, że nam przeszkadza? Franciszek został sobą, i to od pierwszego dnia. Brał udział w domowych naradach, żył z nami bez żadnych kompleksów, bywał apodyktyczny, wykłócał się, a do głosu w podejmowaniu ostatecznych decyzji w ważnych sprawach dopuszczał tylko Jurka. Pickwick bywał zawsze wysłuchiwany z szacunkiem i nawet wciskano mu, że jest tak, jak on postanowił. Natomiast mnie i Sabcię zbywał słówkami w rodzaju: „Pan Bóg stworzył piękne kobiety dla naszej przyjemności, a nie nam na złość", mnie zwykle dodatkowo kapnęła „kretinka".[36]

Franciszek zarządził, że nie można osuwać się w narzekania i żale, mimo całej straszności, mimo na przykład pojawiających się chorób, jak ropne czyraki na karku, plecach czy ramionach. Czyraki przecinało się w domu nożyczkami – towarzyszom lub nawet sobie samemu, co robiła Stefania.

Dlatego rozrywki, karmienie „zatrutych nałogiem wiecznego żartowania organizmów"[37] były przy Złotej ważne, przynajmniej tak to opisze Grodzieńska. Przykład? Kasza perłowa schowana specjalnie na urodziny Járosyego stęchła, niestety, wywołując wielki płacz teściowej Stefanii. Solenizant, chcąc załagodzić sytuację, zakrzyknął:

> Mam nareszcie stęchłą kaszę! Ile razy byłem w Paryżu, szedłem do Tour d'Argent na stęchłą kaszę. Pierwszy raz zaprosił mnie książę Jusupow. Od niego dowiedziałem się, że właśnie tamtejszy szef kuchni najlepiej stęcha kaszę. Okazało się, że oni mieli specjalną aparaturę do stęchania kaszy. Dziękuję, Sabciu, nic lepszego nie mogłaś wymyślić na mój urodzinowy obiad![38]

Járosy przy Złotej postanowił pomóc Stefanii w przygotowaniach do występów.

„W owym czasie grupa muzyków organizowała program w jednym z lokali. Miał tam grać dziewięcioosobowy zespół złożony ze świetnych, w tym czasie bezrobotnych, instrumentalistów pod dyrekcją Iwo Wesby'ego"[39] – zapisze Grodzieńska. Dostała propozycję występów z dwoma numerami tanecznymi w programie. „Lokal miał charakter dancingu z alkoholem i befsztykami, co w tych czasach automatycznie wykluczało wszelką lepszą publiczność. W dodatku sala ogromna, zimna i niesympatyczna. Nie było co liczyć na cień choćby zadowolenia artystycznego i nikt na to nie liczył. Dla naszej rodziny jednak mógł to był odpoczynek

od wieczornych narad, skąd jutro wytrzasnąć na obiad"[40] – doda Stefania.

Z czasem okazało się, że musi występować w lokalu w roli refrenistki, piosenkarki śpiewającej razem z orkiestrą. Tu właśnie nieoceniona okazała się pomoc Fryderyka, który powiedział: „Wszystko jedno, czy masz śpiewać, czy myć podłogę. Jeśli podejmujesz się robić coś, co nie jest twoją specjalnością, rozważ, co masz na swoją korzyść". A potem zaczął ją reżyserować, wydobywać jej talent charakterystyczny.

Noce przy Złotej zostały wypełnione atmosferą pracy w teatrze, zaś codzienne wychodzenie z domu, występy poprzedzone wejściem do garderoby, pozwoliły oderwać się choć na chwilę od rzeczywistości. Oczywiście ogromnie ważne było to, że dzięki tej „chałturze", jak sama Stefania napisze, mogła zarobić na utrzymanie rodziny[41].

Getto nie zamknęło się od razu, izolacja była stopniowa. Najpierw, jeszcze w styczniu 1940 roku, powołano wydział przesiedleń dystryktu warszawskiego – tak zaczął się plan stworzenia odseparowanej dzielnicy północnej, zasiedlonej zresztą od XIX wieku przede wszystkim przez społeczność żydowską. Wiosną pojawiły się wokół niej mury, ich stawianie uzasadniano domniemanym niebezpieczeństwem epidemicznym: tyfusem.

Dla domowników ze Złotej decyzja o przeniesieniu się do getta nie była łatwa. Świat, który znali, znajdował się po drugiej stronie Warszawy, w Śródmieściu albo na Mokotowie. Tam byli przyjaciele, znajomi i jedyna zrozumiała przynależność: bycie Polakiem. Cała rodzina przeprowadziła się ze względu na rodziców Jerzego. Sabcia i Pickwick nie byli już młodzi. Pozostanie poza dzielnicą żydowską oznaczałoby konieczność ukrywania się. Złotą opuścili, jeszcze zanim getto zostało zamknięte w listopadzie 1940 roku.

Jurandot, chodząc od drzwi do drzwi po mieszkaniach dzielnicy północnej i proponując zamianę na lokal przy Złotej, trafił w końcu na Leszno 68, niedaleko Żelaznej, bardzo blisko sądów. Wymiana udała się[42]. Pewien aryjczyk, który musiał się stamtąd wyprowadzić, przeniósł się więc na Złotą, a rodzina Jurandota, razem z Fryderykiem[43], przybyła do tego ciemnego mieszkania w nieciekawym domu. Klatka schodowa, o ścianach pokrytych grzybem, miała jednak tę zaletę, że odstraszała Niemców: z bardziej atrakcyjnych kamienic wynosili kosztowne meble, nie oszczędzając przy tym lokatorów.

Mieszkanie znajdowało się na drugim piętrze. Było jednopokojowe i, jak napisze Jurandot, „pozbawione wygód"[44]. Na drzwiach wyjściowych, od wewnątrz, zawiesili kartkę: „Nie zapomnij o opasce"[45].

Na klatce schodowej znajdowała się toaleta – wspólna dla mieszkańców kilku lokali. U siebie rodzina Stefanii miała tylko zlew z zimną wodą. Znali jednak urzędnika, który mieszkał obok kąpieliska na rogu Żelaznej i Leszna. Mogli u niego korzystać z łazienki. Owo kąpielisko przy Żelaznej 86/88 róg Leszna 80/82 było jednym z pięciu w getcie. Na osobę przypadało tam pięć gramów szarego mydła – niewiele wobec epidemii chorób zakaźnych, zwłaszcza tyfusu[46]. Jego pierwsza wielka fala zalała dzielnicę żydowską wiosną 1940 roku – wraz z przybyciem przesiedleńców z ziem wcielonych do Rzeszy. Ludzie napływali. Najwięcej osób było w getcie w marcu 1941 roku: według różnych szacunków od czterystu sześćdziesięciu do czterystu dziewięćdziesięciu tysięcy osób (wyższa liczba pochodzi z danych niemieckich)[47]. Mieszkań zaś zawsze było za mało. Tak dramatycznie za mało, że jeden pokój dzieliło kilka osób.

Prosty podział na nielicznych „wychrztów" i resztę ludności getta zatarłby, jak już wiemy, zróżnicowanie tej społeczności. W dziel-

nicy żydowskiej znalazło się wiele osób podobnych do Stefanii i Jerzego – identyfikujących się jako Polacy, zasymilowanych, świeckich czy niereligijnych.

Początkowo ulice getta mogły dawać poczucie większego bezpieczeństwa niż te po aryjskiej stronie. Wyjście do sklepu nie musiało wiązać się z ciągłym lękiem, że zostanie się napadniętym. W sklepach realizowało się kartki na żywność ze śladowymi przydziałami. Głównym produktem był chleb – brunatny, przypominający glinę, nazywany czarnym.

Kupowało się go między innymi na Karmelickiej. To ważna arteria w getcie, a równocześnie ciasna ulica, na której trzeba było umieć się rozpychać w tłumie. Ją nazywano „wąwozem śmierci"[48].

– Babcia nie chciała rozmawiać o wojnie. Podpytywałem, ale nie dostałem żadnych opowieści. Tylko żarty, że to był najszczęśliwszy okres jej życia. Wiedziałem, że są ukryte sprawy żydowsko-wojenne, ale nikt ze mną o nich nie rozmawiał. Wiedziałem tylko, że chleb jest święty, babcia nigdy go nie wyrzucała, zawsze dojadała stary. Ja robię to samo, nie potrafię wyrzucić chleba – mówi dzisiaj Michał Jurandot.

Chleb Sabcia dzieliła między domowników na porcje. Każdy miał swoją i nie mógł liczyć na część cudzej – taką zasadę przyjęli wszyscy.

Miesięczny przydział czarnego kartkowego chleba w getcie wynosił do dwóch i pół kilograma na osobę (od listopada 1941 roku były to dwa kilogramy)[49]. Kilkadziesiąt gramów dziennie.

Bez dodatkowego jedzenia przetrwanie w getcie okazuje się niemożliwe. Bo getto nie służy wyłącznie izolacji, jest zapowiedzią i początkiem eksterminacji. To obszar wycięty z mapy Warszawy, wyrwa niszcząca tkankę miasta wraz z jego ciągami komunikacyjnymi – przed zamknięciem getta przebiegało przez nie osiem odbudowanych po oblężeniu linii tramwajowych. A potem,

poza liniami „Nur für Juden – Tylko dla Żydów", był jeszcze tramwaj tranzytowy, dla aryjczyków, który wpadał do getta z rekordową prędkością, nie zatrzymywał się na przystankach i miał obstawę granatowej policji, czyli Policji Polskiej Generalnego Gubernatorstwa, której funkcjonariusze nosili granatowe mundury.

> Warszawski tramwaj wjeżdżał w ten inny świat, położony za murami i drutami kolczastymi, strzeżony przez uzbrojonych strażników. [...] Z tranzytowego tramwaju nie wolno było wprawdzie wysiadać, ale można było wyglądać przez okno. Znajdując się w środku getta, było się jednocześnie poza nim, na zewnątrz. Widziało się coś, co zostało zakryte przed wzrokiem wysokimi murami[50]

– napiszą Barbara Engelking i Jacek Leociak w książce *Getto warszawskie. Przewodnik po nieistniejącym mieście*, bezcennej dla tych, którzy chcą zrozumieć, czym było getto. Miejsce stłoczone, zbite, którego topografia, znowu cytat z powyższych autorów, „urągała zdrowemu rozsądkowi. Granice nie tylko odgradzały, lecz były także kolejną szykaną, nękającą żydowską społeczność Warszawy"[51].

Jak więc przekraczać te granice, jeśli chciało się kogoś wspomóc, wesprzeć, uchronić przed śmiercią głodową?

Sposób znaleziono szybko, wykorzystując przejście przez sądy na Lesznie, położone akurat naprzeciwko mieszkania Stefanii i Jerzego.

Od strony aryjskiej do sądów wiodła ulica Biała. Monumentalny – nie ma na to doprawdy lepszego słowa – budynek projektu Bohdana Pniewskiego oddano do użytku na kilka miesięcy przed wybuchem wojny. Modernistyczne gmaszysko z jednej strony rozdzielało dwa światy – a z drugiej stawało się przestrzenią, w której

zasady segregacji rasowej zamazywały się. W budynku załatwiali swoje sprawy mieszkańcy obu Warszaw, spotykali się tu bliscy i znajomi z obu światów. Po opłaceniu łapówkami policjanta granatowego i milicjanta żydowskiego odbywał się szmugiel, od którego zależało życie wielu mieszkańców getta. Można było wreszcie stąd przejść na jedną ze stron: ściągając opaskę z prawego ramienia lub odwrotnie – zakładając ją na nie.

W sądach Stefania Grodzieńska z mężem widywali przyjaciół, którzy przynosili jedzenie, a zabierali pamiątki rodzinne do ocalenia, rzeczy po Eleonorze, które i tak wojny nie przetrwają, bo spłoną w powstaniu warszawskim. Takie wizyty nie mogły być częste i trzeba było je ostrożnie planować.

Do Jurandotów przychodzili też znajomi ze środowiska, z którymi można było porozmawiać o literaturze, poezji, teatrze.

W życiu Jerzego i Stefanii między 1940 a 1942 rokiem teatry były dwa: najpierw Melody Palace, potem Femina.

Co ważne w kontekście wspomnianych już kontrowersji związanych z graniem w czasie okupacji, Jerzy Jurandot wspólnie z kolegami, między innymi Edmundem Minowiczem, Michałem Zniczem i Zygmuntem Regrą, skierował kroki do prezesa ZASP-u, Józefa Śliwickiego, by uzyskać oficjalną zgodę na organizację występów artystycznych w Melody Palace. I, co ciekawe, zarząd ZASP-u nie miał co do sensu ich istnienia zastrzeżeń. Rozumiał, że artyści w getcie muszą z czegoś żyć. Poza tym zarząd miał świadomość, że na występy organizowane przez Jurandota nie będą przychodzić Niemcy, że Jerzy i jego koledzy „nie pójdą na lep propagandy niemieckiej”[52], więc nie będzie w kabarecie ogłupiania „polskich podludzi”[53], pornografii i propagowania pijaństwa, upowszechnianych przez okupanta w polskich teatrzykach.

Wszystko to opisał Jerzy Jurandot we wspomnieniach, które ukazały się dopiero w 2014 roku, dzięki opracowaniu Agnieszki Arnold. Reżyserka późniejszych *Sąsiadów* (2001), dokumentu

opowiadającego o zbrodni w Jedwabnem, odwiedziła Stefanię Grodzieńską pod koniec lat osiemdziesiątych lub na początku dziewięćdziesiątych[54], żeby porozmawiać o getcie. Nie getcie sprowadzonym do wielusettysięcznej, więc niemal anonimowej śmierci. Ale getcie, w którym ludzie się kochali, uprawiali politykę i się o nią ostro spierali, pracowali intelektualnie, znajdowali ujście dla swojej kreatywności, tworzyli sztukę i teatr, dzieląc się też na zwaśnione klany aktorów grających po polsku i w jidysz. O getcie, w którym ludzie robili cukierki i zawijali je w kolorowe papierki, w którym ważne było, kto gdzie mieszkał i jakie miał dzieci. O ludzkim, głęboko ludzkim getcie – takim, w którym realizuje się wszystko to, co jest związane z sensem życia, a nie tylko z samym przetrwaniem. W ten sposób o dzielnicy zamkniętej pisała i opowiadała Ruta Sakowska, wielka historyczka getta, zaprzyjaźniona z Arnold. Ale wtedy, u progu lat dziewięćdziesiątych, Stefania nie chciała rozmawiać o Feminie. Mówiła, że nie ma pojęcia o niczym, że przecież nie jest Żydówką, a potem skierowała rozmowę na inne tory. Jednak na koniec, już żegnając reżyserkę pod furtką...

– Pani Stefania wyjęła plik kartek z zeszytu. Mówi: „Ale jak ja umrę, wtedy może pani z tym zrobić, co chce" – opowiada Agnieszka Arnold. Nigdy później się nie spotkały: – Nie wyobrażałam sobie, że po tym, co mi dała, mogłabym czegoś jeszcze od niej chcieć. To byłoby nie fair. Pani Stefania mogłaby się bać, że o coś jeszcze będę ją pytać.

W brulionach Jerzego znajdowało się *Miasto skazanych*, czyli wspomnienia spisane tuż po ucieczce z getta, a także opowiadania pisane po wojnie. Po śmierci Stefanii Grodzieńskiej okazało się, że istnieją jeszcze dwa bruliony, pisane w ostatnich latach życia Jurandota, po wylewie, kiedy cierpiał na niedowład ręki. Był w nich tekst pod tytułem *Humor w opasce*, skupiony wokół teatru – głównie tego prowadzonego w Melody Palace, czyli w działającym przy Rymarskiej 12 lokalu z dancingiem.

Ręczne, słabo czytelne zapiski Agnieszka Arnold odszyfrowywała długo. Wszystkie materiały opublikowała za zgodą córki Jurandotów – Joanny.

I właśnie w *Humorze w opasce* Jerzy pisał:

> Melody Palace była to olbrzymia, na dwa piętra wysoka nieprzytulna sala, niemająca nic ze zwykłego ciepła i intymności lokali tanecznych. Cały parter zajmował parkiet rozmiarów raczej ślizgawki lub boiska do koszykówki. Wokół ścian na parterze, pierwszym i drugim piętrze biegły galerie zastawione stolikami dla publiczności. Z galerii na galerię prowadziły schodki, z najwyższych wchodziło się do baru, gdzie dotychczas prawie niepijące społeczeństwo ciągnęło wódę jak notoryczne moczymordy, szukając w alkoholu zapomnienia. Dla nas sympatyczna barmanka miała zawsze po szklaneczce gratis, ale nikt nigdy nie był w najmniejszym stopniu wstawiony i przedstawienia odbywały się bez zakłóceń. Na parterze było większe podium dla orkiestry Leopolda Rubinsztajna, która przygrywała do tańca, i drugie, maleńkie, dla nas.[55]

Orkiestra grała w Melody Palace od wczesnych godzin popołudniowych, ale – jak zapamięta Jerzy – na parkiecie przesuwały się z reguły tylko dwie–trzy pary. „Ludzie wyraźnie nie mieli ochoty tańczyć na... (właściwie na czym? na wulkanie? nie, nietrafne, już było po wybuchu i tonęliśmy wszyscy w brudnej i cuchnącej lawie; więc na cmentarzu? jeszcze nie; najcelniej byłoby: w domu przedpogrzebowym, o czym jeszcze nie wiedzieliśmy, ale jakoś się to już czuło w powietrzu)"[56] – doda Jurandot.

Ale ludzie, nawet jeśli nie tańczyli, to słuchali i klaskali, doceniając muzyków.

Jerzy pisał piosenki i kuplety. W programie występowali: Grodzieńska, wspomniani Edmund Minowicz – reżyser i aktor kabaretowy, oraz Michał Znicz – aktor kabaretowy i filmowy, komik,

ale też znakomity tragik. Ponadto: wiedeński komik Symcha Fostel, który śpiewał ludowe piosenki w jidysz, a w finale wykonywał spektakularny, odważny taniec – i zawsze czekał go bis.

Występy miały charakter typowo rozrywkowy, na satyrę gettową przyjdzie pora później, w Feminie. W Melody Palace można było się spodziewać potencjalnej elity, plutokracji getta, jak nazwie ich Jurandot, czyli mieszkańców Siennej, jednego z najlepszych adresów w tak zwanym małym getcie. Lokale przy tej ulicy zajmowali adwokaci, piekarze, szmuglerzy oczywiście też, a za jej murami – zapamięta to dobrze mąż Stefanii – widać było obleczoną czerwoną dachówką wieżyczkę Gebethnera i Wolffa, słynnego wydawcy, gdzie na wystawie przed wojną leżały nuty piosenek Jurandota. „Kto wie, może i teraz leżą?"[57] – będzie zastanawiać się ich autor po ucieczce z getta. Stojąc na Siennej, przeżył największą tęsknotę za miastem, ukłucie w sercu silniejsze niż kiedykolwiek wcześniej czy później, podczas europejskich wojaży. Żal za Placem Teatralnym, Nowym Światem, Marszałkowską, Hożą, Wilczą, Placem Zbawiciela i Placem Unii Lubelskiej. Za swoją Warszawą.

Ale Sienna mieściła się na samym południu getta i nie tak łatwo było dostać się z niej na Rymarską, bo trasa prowadziła przez przepełnioną ludźmi Żelazną, przez trzy wyloty z posterunkami żandarmów, w tym jeden, na którym zbyt często stał Frankenstein – okrutny, terroryzujący mieszkańców niemiecki żandarm, strzelający do nich dla zabawy, także do dziecięcych szmuglerów, przeciskających się przez dziury w murze z łupami z aryjskiej strony.

Na klientów z Siennej w Melody Palace trudno było zatem liczyć.

„Podziałowi między nas podlegał pewien niewielki procent od wpływu za bilety wejścia, na jedną osobę wypadało – wbrew znanemu porzekadłu – za mało, żeby żyć, i wcale nie za dużo, żeby

umrzeć. Trzeba było jakoś się ratować. I wtedy pojawiło się słowo, które znałem tylko z lektury zeszłowiecznych pamiętników aktorskich: benefis"[58] – napisze Jurandot.

Benefisy dla uświetnienia, a przede wszystkim podratowania budżetu każdego z członków zespołu odbywały się cyklicznie. Pozostali muzycy i aktorzy występowali bez wynagrodzenia, dyrekcja nie brała opłat za salę, prąd ani ogrzewanie, więc zyski trafiały w całości do benefisanta lub benefisantki – musieli oni tylko zorganizować zaproszenia i plakaty. Te ostatnie czasem pomagali namalować młodzi plastycy. Żeby to wszystko przyniosło efekt, a zaproszenia rozprowadzane za opłatą wśród majętnych znajomych się rozeszły, konieczne było ściągnięcie artysty z aryjskiej Warszawy. Najczęstszym gościem był Mieczysław Fogg. Jurandot napisze, że piosenkarz – działający zresztą w konspiracji, późniejszy powstaniec warszawski, odznaczony medalem Sprawiedliwy Wśród Narodów Świata za pomoc żydowskim artystom – nigdy nie odmówił[59].

Swój benefis miała też Stefania Grodzieńska. 29 czerwca 1941 roku, czyli tydzień po tym, jak Niemcy napadły na ZSRR. „Młoda ta artystka, obdarzona prawdziwym talentem groteskowym, a przy tym wyjątkowym wdziękiem i urodą, stała się w ciągu kilku miesięcy ulubienicą publiczności, o czym świadczyła wypełniona po brzegi sala i owacja, jaką publiczność zgotowała benefisantce"[60] – pisała „Gazeta Żydowska", jedyna legalna żydowska prasa w języku polskim, wydawana za zgodą niemieckiego okupanta. W benefisie Grodzieńskiej wzięła udział między innymi Wiera Gran, konferansjerkę prowadził Jurandot.

Poza tym, że w Melody Palace odbywały się występy muzyczne, dancingi i występy teatralne, z czasem, również w 1941 roku, organizowano w lokalu wydarzenia charytatywne oraz koncerty powstałej w getcie orkiestry symfonicznej. Niedogodności techniczne i pozostawiająca wiele do życzenia akustyka sali nie powstrzymały łez melomanów, którym muzycy zagrali ekspresyjną,

dynamiczną, huraganową wręcz VI symfonię Czajkowskiego, zwaną „Patetyczną".

Także w czerwcu 1941 roku powstała w getcie Femina, której dyrektorem literackim i artystycznym został Jerzy Jurandot.

Już wtedy całej rodzinie wiodło się bardzo źle.



Przedwojenne Kino Femina. Budynek został włączony do getta, a od czerwca 1941 roku Jerzy Jurandot prowadził tu teatr, którego repertuar był oceniany wysoko. „W naszych warunkach pracy każda dekoracja, każdy kostium były to przeszkody, których przezwyciężenie wymagało więcej wysiłku, niż w normalnych czasach wymaga wystawienie całej sztuki", napisze mąż Grodzieńskiej

ROZDZIAŁ VII

Teatr Femina • warszawskie getto •
czerwiec 1941 – sierpień 1942

Teatralna garderoba. W środku ona. Jej skóra jest sina, ciało wychudzone, suknia z pomarańczowego materiału nie otula sylwetki, lecz z niej zwisa. Nie powstrzyma spadku wagi papierowym tortem czy bananem uformowanym w glinie – dekoracjami do operetki. Nie zapełni żołądka kwiatami, które adorator przyniósł jej dzień wcześniej – zadowolony, że udało mu się dostać pęk czegoś zielonego[1].

„Rzeczywistość była straszna, więc na wszelkie możliwe sposoby szukało się od niej ucieczki. Działał tu najzwyklejszy, głęboko ludzki instynkt samoobrony"[2] – napisze Jerzy Jurandot. Wspominał nie tylko teatr i ogródki, lecz także kilka polnych chwastów, o które pewien znajomy lekarz pieczołowicie dbał na balkonie. Rosły w blaszanym kuble.

W garderobie – właśnie z powodu tej potrzeby ucieczki – kwiaty, dekoracje i adoratorzy pozostają mimo wszystko sprawami ważnymi. Wpływają na nastrój. „Czasem można tym także się najeść"[3] – mówi ona. A potem kwiaty ze wściekłością przelicza na chleb. Na dni życia dla rodziny[4].

Wartość codziennych przydziałów kartkowych w 1941 roku wynosi od stu dziewięćdziesięciu ośmiu do trzystu sześćdziesięciu kalorii[5]. Na kartkę mówi się: „bon" lub „bona", a gdy ktoś umiera, to się mówi, że „oddał bon"[6]. Poza chlebem w kartkowych przydziałach pojawiają się marmolada, cukier, mąka, ziemniaki, kasza, kawa zbożowa. Czasami zdarzają się towary reglamentowane, ryby i warzywa, ale ich ceny i ilość ustalają Niemcy. Albo sztuczny

miód, o ile weźmie się też dwa kilogramy zgniłej kiszonej kapusty, której Niemcy próbują się pozbyć. Sto dziewięćdziesiąt osiem do trzystu sześćdziesięciu kalorii dziennie: nie sposób przeżyć. „Syci właściwie przez całe dwa lata nie byliśmy ani razu"[7] – stwierdzi Jurandot.

Hilary[8], wspomniany adorator od kwiatów, był, jak zaznaczy Jerzy, „dość zamożny; wobec nas, którzyśmy [...] przymierali głodem, mógł uchodzić za krezusa"[9]. Czasami Hilary przynosił do teatru chleb. Wtedy ona dzieliła ten bezcenny dar na części, z namaszczeniem kładąc go na talerze i celebrując moment, w którym można zjeść: zjeść chleb. Ona to Stella – gwiazda oczywiście. „Kocha teatr. I jest po prostu głodna"[10] – napisze Krystyna Żywulska o swojej przyjaciółce Stefanii Grodzieńskiej w opowieści z kluczem *Pusta woda*. To jeden z najlepszych obrazów getta w polskiej literaturze, ale też piękna osobista historia. Prosta, silna, przejmująca.

Żywulska, która w getcie znalazła się razem z ojcem i matką, wspomni wizytę w Teatrze Femina przy Lesznie 35. Za kulisami jest Stefania Grodzieńska, czyli książkowa Stella – w mocno wyciętej i zdecydowanie za obszernej pomarańczowej sukni. Stella w garderobie przed lustrem ćwiczy uwodzicielskie gesty – po czym sama na siebie macha ręką, odpuszcza. Przy słabym oświetleniu niuanse ruchów i tak nie będą widoczne. Co gorsza, scenę przenika dotkliwe zimno, chociaż trwa lato – można to wydedukować, przyglądając się chronologii opisanych zdarzeń. Grodzieńska w książce Żywulskiej gra w *Bajaderze*, operetce Imre Kálmána, węgierskiego Żyda, która miała premierę 26 czerwca 1942 roku – o czym informowała „Gazeta Żydowska"[11].

Czytając zamieszczoną tam relację z premiery, można przez chwilę ulec złudzeniu, że widowisko zostało zainscenizowane z myślą o jednym ze światowych teatrów operowych. Rozmach, orkiestra, dwa chóry, balet w opracowaniu Ireny Prusickiej, dekoracje, kostiumy. Tymczasem artyści grają w podziemiach, w ogromnej sali, w której panują wilgoć i chłód. Ten piwniczny

klimat bijący ze sceny czuje Żywulska, gdy ma przed oczami zaaranżowany bar pełen butelek koniaku i whisky, a także stolik wypełniony „południowymi owocami”[12], szczodrze pomazanymi farbą przez dekoratora. A jednak, mimo całej sztuczności dekoracji, tylko tu, w Feminie, można uwierzyć w prawdziwy tort i w prawdziwe banany – tu, nigdzie indziej, zauważy autorka *Pustej wody*[13].

W garderobie trzęsąca się z zimna Stella wyjaśnia przyjaciółce, co powinna zrobić, żeby dostać posadę kelnerki w restauracji przy Siennej. Żywulska jest blada i spuchnięta z głodu. „Więcej szminki”. „Pójdziesz w kapeluszu, idiotko, bo to twoja jedyna szansa. Czymś musisz się wyróżniać, a na swoją urodę liczyć nie możesz. Taki kapelusz to znak elegancji. Jeśli nawet będzie tysiąc kandydatek, od razu zauważy ciebie”[14] – brzmią zalecenia, jak zwrócić uwagę szefa lokalu. „Mądra i życzliwa”[15] – napisze bez cienia ironii o przyjaciółce Krysia Żywulska/Zosia Landau.

Stefanii nie sposób nie zauważyć. „Arcyzabawna”, „zachwycająca”, „w jej grze było dużo finezji i czaru”, „zawsze pełna wdzięku”[16] – tak o Grodzieńskiej pisze „Gazeta Żydowska”, relacjonując kolejne premiery. „Żonę moją, która była jedną z najbardziej lubianych aktorek w getcie, zatrzymywali obcy ludzie na ulicy, żeby jej podziękować i powiedzieć kilka miłych słów. Dorożkarze i rikszarze nie chcieli często brać od niej pieniędzy za przejazd z jednego występu na drugi, obdarci żebracy uliczni zwracali się do niej po imieniu”[17] – zaznaczy Jurandot, dodając też: „Ci żebracy to do niedawna jeszcze nasza publiczność”[18].

Teatr nie znieczulał na grozę tego, co działo się wokół, ale dawał coś innego. Warto chwilę o tym pomyśleć.

Femina była jednym z sześciu działających w getcie teatrów. Nowoczesny budynek, ozdobiony wielkim semaforowym neonem (a więc przylegającym prostopadle do elewacji), wybudowano tuż przed wojną. W sali i loży balkonowej, „przeważnie pustej,

przeznaczonej dla bliżej nieokreślonych władz"[19] – jak napisze o tym Żywulska – mieściło się nawet ponad dziewięćset osób. Teatr znajdował się w rękach Józefa Hirszfelda (współwłaściciela Melody Palace). Funkcję dyrektora czy kierownika literacko-artystycznego (źródła różnie to określają) pełnił w nim Jerzy Jurandot, zaś pieczę nad muzyką powierzono Iwo Wesby'emu, twórcy kompozycji do wielu przedwojennych polskich filmów, dyrektorowi muzycznemu w teatrach i kabaretach, „kapelmistrzowi z temperamentem"[20].

„W naszych warunkach pracy każda dekoracja, każdy kostium były to przeszkody, których przezwyciężenie wymagało więcej wysiłku, niż w normalnych czasach wymaga wystawienie całej sztuki"[21] – wyjaśni Jurandot. W teatrze, decyzją niemieckich władz, można było sięgać tylko po teksty i muzykę twórców żydowskich, bo w ogóle kultura tworzona przez aryjczyków była dla Żydów zakazana. Z perspektywy repertuarowej szczęśliwym przypadkiem okazało się dla zespołu Feminy żydowskie pochodzenie Kálmána: grywano jego dwie popularne operetki (*Księżniczkę czardasza* i *Bajaderę*). W Feminie odbywały się też poranki Żydowskiej Orkiestry Symfonicznej, którą prowadził między innymi Szymon Pullman, dyrygent i wirtuoz skrzypiec, uczący przed wojną w wiedeńskim konserwatorium.

Zanim jednak repertuar odmieniły operetki, Jurandot pisał programy rewiowe z pozycji kronikarza gettowej codzienności, bo, po pierwsze, to bieżące wiadomości były sednem przedwojennych teatrzyków, a, po drugie, Jerzy uważał, że trudno w tych warunkach nie pisać satyry – nawet jeżeli trzeba być z tym bardzo ostrożnym. Cenzura w gminie żydowskiej obchodziła się z jego tekstami łaskawie, dopuszczając nawet gettową parodię, ale chodziło też o to, żeby nie dostarczać Niemcom argumentów na to, że Żydzi ośmieszają sami siebie.

Przedmiotem satyry mogłyby stać się: fasadowa władza Gminy Żydowskiej i jej dwudziestu czterech wydziałów, Służba Porządkowa, czyli policja żydowska podlegająca gminie (dwa tysiące

osób). No i władza nieoficjalna, czyli Urząd do Walki z Lichwą i Spekulacją, zwany Trzynastką, bo mieszczący się pod adresem Leszno 13. Była to hybryda jednostki policyjnej i administracyjnej, kolaborująca z Niemcami, potrafiąca pozyskiwać od okupanta przywileje czy koncesje. Jej kilkuset funkcjonariuszy nosiło czapki z zielonymi otokami.

Instytucja zajmowała się donosami, szantażami, okupami, szmuglem, a na jej czele stał Abraham Gancwajch. Już samo ścieranie się stref wpływów gminy i Trzynastki było dramatyczne, choć niepozbawione, w oczach Jerzego, elementów humorystycznych. Ze smutnym brakiem złudzeń napisze: „Co prawda byłaby to satyra dość gorzka, ale to jedno potrafili przecież Żydzi zawsze – śmiać się ze swego nieszczęścia"[22].

Pierwsze programy Jurandot faktycznie oparł na aktualiach. *Szafa gra* (lipiec 1941), druga z rewii, nawiązywała do powszechnego w getcie hasła oznaczającego łapówkę. Szafa grała w każdej z instytucji przy okazji szmuglu: przed żandarmami na wylotach ulic i przed polską policją, ale też w kieszeniach żydowskiej Służby Porządkowej, której członkowie pełnili dwunastogodzinną służbę bez wynagrodzenia. „A przecież i oni musieli z czegoś żyć, wielu z nich miało rodzinę na utrzymaniu. Nie zmniejsza to wcale ich zasługi wobec getta, któremu umożliwili przeżycie dwóch lat zorganizowaniem hurtowego szmuglu"[23] – wyjaśni Jurandot.

Rewię *Szafa gra* „Gazeta Żydowska"[24] określała jako „zwierciadło, w którym każdy z nas może się przejrzeć" i „«panneau» okraszone soczyście błyskotliwym i inteligentnym dowcipem". Kontrakt na występ w tym widowisku podpisała Wiera Gran. Poza skeczami i piosenkami Jurandota w programie znalazły się skecze Tuwima. Występowali także śpiewak Niki Lord, obdarzony zachwycającym barytonem, uzdolniona Franciszka Mannówna, Grodzieńska i Minowicz w duecie oraz Diana Blumenfeld, aktorka i pieśniarka wykonująca obszerny repertuar w jidysz i po polsku. Rewię dopełniał balet Femina.

Sierpniowa rewia z 1941 roku, zatytułowana *Od Gminy do Feminy*, również prawie w całości komentowała bieżące wydarzenia. „Gazeta Żydowska" pisała w jej kontekście o:

> wspaniałej pod każdym względem parodii operowej pt. *Ajidysze Kinder* (świetny tekst Jurandota, muz. Iwo Wesby). Ta „ad hoc" skomponowana „opera" (!) na tle miłości Racheli do porządkowego (funkcjonariusza Służby Porządkowej), którego strasznym rywalem jest magnat ostatniej doby – „piekarz", cała ta „heca" nastawiona na „serio" (z chórem i baletem jak na prawdziwej operze) pociąga, bawi i rozśmiesza. Arcyzabawna w roli zakochanej Racheli jest p. Stefania Grodzieńska.[25]

Z gazety dowiadujemy się ponadto, że elementem rewii był celny obrazek zatytułowany *Urząd dla spraw zbytecznych*, a w finale wybrzmiał numer *Osłodźcie sobie życie!*, w którym widzowie zostali obrzuceni reklamowymi cukierkami. Skecze i piosenki powstały do słów: Jurandota, Tuwima i – uwaga – Stefanii Grodzieńskiej.

Wiadomo, że Stefania pisała wtedy jeszcze niewiele. Najwięcej tekstów tworzył jej mąż.

Szybko okazało się, że widownia oczekiwała czegoś innego:

> Po pierwszych kilku programach zauważyłem, że publiczność niechętnie słucha dzielnicowych aktualności. W pierwszej chwili mnie to zaskoczyło, przed wojną przecież aktualia nadawały cały smak teatrzykowi. Potem zrozumiałem. Ci ludzie naprawdę i dosłownie chcieli od nas zapomnienia, zapomnienia na ten krótki czas o wszystkim, co tyczyło obecnego ich życia. Zaczęliśmy więc wystawiać stare komedie muzyczne i operetki. I tak było dobrze[26]

– wyjaśni Jurandot. A jednak repertuar nie został całkiem oderwany od otaczającej rzeczywistości. Teksty komentowały

codzienne życie mieszkańców, ich ludzkie, domowe bolączki. Celem Jerzego nie było jednak ostre krytykowanie gminy. Tak jak jego żona miał świadomość, że wielu urzędników z oddaniem wykonuje swoje obowiązki.

Pod koniec września 1941 roku – tuż po święcie Rosz ha-Szana, przed którym synagogi w getcie usiłowano uczynić możliwie najbardziej wygodnymi i higienicznymi, by ludzie mogli świętować w nich żydowski nowy rok 5702 – odnowę zaproponował też Teatr Femina.

Gdy świątynie wypełniały jasne głosy chórów i kunsztowne śpiewy kantorów, twórcy teatru szykowali się do pierwszego spektaklu scenicznego. Operetka Emmericha Kálmána, *Księżniczka czardasza*, została przemianowana w getcie na *Księżną Czardaszkę*. „Gazeta Żydowska" na początku października pisała, że widowisko, „wystawione z iście przedwojennym przepychem, cieszy się w dzielnicy żydowskiej tak niebywałym powodzeniem, jakim nie cieszyła się jeszcze dotychczas żadna sztuka w jakimkolwiek teatrze dzielnicy"[27].

W adaptacji Jurandota zamiast historii zakazanej miłości austriackiego arystokraty do gwiazdy budapeszteńskiego teatru variété – rozgrywanej, rzecz jasna, w krajobrazie Austro-Węgier – pojawia się getto. Rywalizują ze sobą ulice Sienna i Leszno. Pierwszą zamieszkuje bogaty fabrykant, na drugiej mieści się lokal, w którym występuje kabaretowa śpiewaczka. Syn posażnego przemysłowca zakochuje się w szansonistce i, znowu warto zacytować „Gazetę Żydowską": „Skandal. Kompromitacja. Mezalians. Na Siennej burza. Na Lesznie miłość. Płomienna, żarliwa walka serc. Na tym tle rozgrywa się ta zabawna, operetkowa akcja, dla okrasy przeplatana przysmaczkami aktualnymi"[28]. Główną rolę gra Helena Ostrowska, śpiewaczka o pięknym sopranie koloraturowym, na teatralnej scenie występująca po raz pierwszy – w operetkach od teraz przede wszystkim ona będzie grać główne role.

Grodzieńska gra Stasię Eigenberg, postać wywodzącą się z rodziny bogatego przemysłowca. „Występ tej artystki to prawdziwy koncert gry i humoru"[29] – odnotowała „Gazeta Żydowska". W operetkach Stefania występowała u boku Minowicza jako subretka, tworząc z nim drugą, komiczną parę – obok pierwszej, sentymentalnej. To schemat znany z operetki wiedeńskiej. Subretka jest postacią drugoplanową, żywą i przebojową, która nierzadko staje się sprężyną akcji. Z francuskiego – pokojówka, może być też powierniczką pani domu.

Na scenie Feminy często występowali też amatorzy, na przykład osoby potrafiące grać na instrumentach, był również balet z kilkoma tancerkami, które Stefania przygotowywała do występów. Dla nich wszystkich teatr był szansą na zarobek.

Spektakle w Feminie grano codziennie, najczęściej o siedemnastej trzydzieści lub siedemnastej czterdzieści pięć, a w soboty i święta dwa razy w ciągu dnia. Repertuar zmieniano często. Przez trzynaście miesięcy odbyło się aż czternaście premier. Ostatnią, z 26 czerwca 1942, była *Bajadera* Kálmána, którą opisała Krystyna Żywulska. Pięć dni wcześniej teatr zaprosił widzów na *Sprawę przy drzwiach zamkniętych* – kryminał.

> Dyrekcja teatru „Femina" zrezygnowała tym razem z lekkiego widowiska komedii, rewii czy operetki i wystawiła dramat i to dramat o charakterze sensacyjnym. Przetransponowanie tzw. „kryminału" na scenę było zawsze przedsięwzięciem ryzykownym, tym bardziej w warunkach dzisiejszych, gdy teatr rozporządza bardzo skromnymi środkami materialnymi i technicznymi [...][30]

– pisała „Gazeta Żydowska".

Główną bohaterką sztuki była kobieta oskarżona o zamordowanie przyjaciela – zbrodnia miała się dokonać na tak zwanej bocznej

ulicy. Koleżankę podsądnej zagrała Grodzieńska, wprowadzając do złowróżbnej przestrzeni sali sądowej, jak odnotuje periodyk, niemało wdzięku i humoru.

Jeszcze w styczniu 1942 roku, gdy granice getta po raz kolejny zostały zmienione, teren znowu okrojony, jego ludność stłoczona, bo kilka tysięcy osób nie miało nagle gdzie się podziać, a o zakwaterowanie w lokalach „pożydowskich" starało się wielu mieszkańców Warszawy, wtedy właśnie Femina wystawiła komedię w trzech aktach, zatytułowaną *Miłość szuka mieszkania*. Jej tekst jest do dzisiaj jedynym ocalałym spośród tych, które powstały w getcie dla teatru. Ocalał cudem – i dzięki determinacji tych, którzy z rozpaczliwej potrzeby walki o fakty chcieli zabezpieczyć między innymi jego przetrwanie.

Rękopis sztuki Jurandota trafił bowiem do Archiwum Ringelbluma, czyli Konspiracyjnego Archiwum Getta Warszawy, zainicjowanego przez lewicowego syjonistę, historyka Emanuela Ringelbluma, które od początku istnienia getta dokumentowało to, co działo się na 307 hektarach jego powierzchni[31]. Ponad trzydzieści pięć tysięcy dokumentów, które weszły do zbioru, to niepodważalne dowody na to, jak wyglądało życie w czasach Holokaustu – i jak wielki był opór ludzi, poprzez życie właśnie, wobec machiny Zagłady. Mozaika tysięcy postaw, wyborów, zajęć, prac, uczuć, przeżyć, emocji była katalogowana przez grupę dokumentalistów, naukowców, społeczników z Oneg Szabat (co znaczy Radość Soboty – od dnia, w którym się spotykali).

Choć grupę założono w getcie, świadectwa wykraczają poza jego granice. Są wśród nich dzienniki, dokumenty osobiste, afisze teatralne, poezja, bilety, listy, wycinki prasowe, kartki żywnościowe, teksty religijne, akta instytucji, rysunki, fotografie, akwarele, jest prasa podziemna. Główną część tych bezcennych zbiorów zamknięto w dziesięciu metalowych skrzyniach i ukryto w piwnicy szkoły przy ulicy Nowolipki w sierpniu 1942 roku – gdy trwała wielka akcja likwidacyjna, a do losów mieszkańców getta

Niemcy dopisywali najgorszy z epilogów. Dawid Graber, dziewiętnastolatek z Oneg Szabat, który włożył do jednej ze skrzyń swój testament, pisał:

> Chciałbym dożyć momentu, kiedy będzie można wykopać ten wielki skarb i wykrzyczeć prawdę. Niech świat się dowie, niech się cieszą ci, którzy nie musieli przez to przechodzić [...]. My jednak z pewnością nie dożyjemy tego [momentu] i dlatego właśnie piszę mój testament. Niech ten skarb dostanie się w dobre ręce, niech dożyje lepszych czasów, niech zaalarmuje świat o tym, co się stało w 20 wieku.[32]

Kolejną część ukryto w tym samym miejscu w lutym 1943 roku, w dwóch bańkach po mleku.

„Kapsuły czasu" z konspiracyjnym archiwum odnaleziono i wydobyto z gruzów Warszawy również na raty: skrzynie we wrześniu 1946 roku, a bańki po mleku – znacznie lepiej chroniące dokumenty – po kolejnych czterech latach. Łut szczęścia, bańki odkryli robotnicy w czasie prac budowlanych.

Rękopis komedii Jurandota zachował się właśnie w tych zbiorach. Sztukę *Miłość szuka mieszkania* napisał, kiedy teren dzielnicy żydowskiej po raz kolejny ograniczono. Na jeden pokój w getcie przypadało wówczas nawet siedem osób, a miesięcznie umierało około pięciu tysięcy – nie tylko z głodu, ale też wskutek licznych epidemii[33]. W tym czasie mieszkańcom udostępniono drewnianą kładkę nad aryjską ulicą Chłodną, oddzielającą duże getto od małego. „Ów most niepodobny jest do żadnego w świecie. Nie łączy dwóch brzegów rzeki. Łączy dwa brzegi rozpaczy"[34] – napisze o nim Krystyna Żywulska. Pod mostem znajdował się wąski przesmyk, którym przechodzili mieszkańcy aryjskiej Warszawy. To z tego miejsca, z poziomu Chłodnej, patrzyło się w górę na kładkę. „Wyobrażam sobie, że [most] musiał wyglądać jak olbrzymi wybieg dla zwierząt w ogrodzie zoologicznym"[35] – napisze Jerzy

Jurandot. Tuż obok, na skrzyżowaniu z Żelazną, ustawiono system bram rozdzielających ruch na jezdni – tak żeby światy żydowski i nieżydowski nie mieszały się na przecięciu dróg.

Moment, w którym wystawiono sztukę *Miłość szuka mieszkania*, jest znaczący. Dostrzeżenie go pozwala lepiej zrozumieć to, jak jej twórcy próbowali sobie, ale też widzom, poradzić – przez nomen omen sztukę – ze wszystkim, co dzieje się wokół.

Jest para: Ada i Edmund. I jest ich jeden pokoik – skromniutki, z popiersiem Napoleona, piecykiem z metalową rurą wbitą w ścianę, ale własny. Wiadomo od razu, że rzecz dzieje się w getcie: od pierwszej sceny jest mowa o paltach, na których można przynieść do domu insekty, o wodzie, którą można gotować raz dziennie, bo gospodyni mieszkania ma w pięciu pokojach dwudziestu sublokatorów i jak „każdy mi zacznie z każdą szklanką latać do kuchni, to nie będzie można wytrzymać”[36]. Prać nie wolno, w łazience można przebywać maksymalnie dziesięć minut i to bez wtykania papierosów w umywalkę. Ale własny pokoik, co za szczęście, nieważne, czy od podwórza, czy od frontu, nie ma nic cenniejszego niż własny kąt.

Wtem pojawia się druga para: Marian z żoną Stefcią – o dziwo, także z nakazem kwaterunku w tym skromnym sublokatorskim pokoiku. Wśród problemów codzienności, krzątaniny, zepsutej toalety, rozmów o przyrządzaniu faszerowanego szczupaka z końskiej polędwicy, pokój zostaje podzielony na pół. „A tutaj będzie Żelazna ulica i przejście”[37] – mówi Stefcia, jasno nawiązując do wspomnianych wyżej konstrukcji, rozdzielających świat żydowski i nieżydowski. Lecz okazuje się też, że nie wszyscy z obu par byli sobie obcy, zaś na wspólnej przestrzeni stłumione uczucia odżywają w sercach z nową siłą, a bariery kruszeją. I tak po kupletach o konieczności płacenia obowiązkowych składek na gminę, szpital, pralnię, Centralne Towarzystwo Opieki nad Sierotami i Dziećmi Opuszczonymi czy odwszalnię nagle pojawia się zalotna piosenka o nie tylko niefartownej, ale i nienormalnej sytuacji: „Co tu robić?

Co tu robić? Mieszkam z jedną, kocham drugą..."[38]. Ot, romantyczny ambaras. „Zostać ciężko, odejść – świństwo... Co tu robić? Co tu robić? Rzucić żonę – barbarzyństwo"[39]. Emocjonalne napięcia kończą się, gdy okazuje się, że uczucia w parach rozłożyły się dokładnie tak, by nikt nie czuł się pokrzywdzony. Małżeństwa tworzą się na nowo: tym razem Stefcia z Mundkiem, a Ada z Marianem.

Tekst poza aktualnym kontekstem zawierał też wiele nawiązań do rzeczywistości teatru. Aktorzy nosili swoje prawdziwe imiona: Stefania Grodzieńska, Edmund Minowicz czy Ada Połomska – maleńka i drobna, lecz magnetyzująca publiczność artystka, obdarzona wielkim talentem dramatycznym, przed wojną grająca w Łodzi i Teatrze Węgierki w Grodnie. Przez tekst przewijali się też Iwo Wesby czy Hilary, adorator, dla którego teatr był domem.

Teatr Femina grał prawie do końca. Ostatnie przedstawienie odbyło się na dwa dni przed rozpoczęciem wielkiej akcji likwidacyjnej[40]. Działał przez ponad rok.

Mary Berg, autorka pierwszego w języku angielskim, opublikowanego już w 1945 roku dziennika opisującego codzienność w getcie, kilkukrotnie wspominała w nim swoje wizyty w Feminie. Przy relacji z jednego z przedstawień zwracała uwagę na zbyt gorzką satyrę wymierzoną w gminę i w jej prezesa, Czerniakowa, znajdującego się – jak zauważała Berg – „w sytuacji nie do pozazdroszczenia"[41]. Opisywała też przedstawienie *Miłość szuka mieszkania*. Jego premierowe zakończenie było najwyraźniej inne niż to, które znamy dzisiaj z opublikowanego tekstu sztuki. „Dwie afery miłosne spotyka smutny koniec: czwórka młodych ludzi zostaje wyeksmitowana z powodu niepłacenia czynszu. Sztuka kończy się sceną zbiorową w tramwaju, w którym pasażerowie opowiadają sobie zabawne historyjki o życiu w getcie, zwłaszcza o przeróżnych, wciąż coraz liczniejszych komitetach i komisjach"[42]. Mimo to, jak dodawała Berg: „Publiczność śmiała się serdecznie. Wszyscy spędzili kilka miłych godzin w wygodnym teatrze, całkowicie zapomniawszy

o czyhających na zewnątrz niebezpieczeństwach"[43]. W dzienniku odnotowała też szczelnie wypełnioną salę teatru i koncerty orkiestry policji żydowskiej, na które ludzie przychodzili tłumnie. „W jej skład wchodzi przeszło tuzin najlepszych muzyków z getta"[44].

Bilety do teatru w 1942 roku kosztowały około dwóch złotych, nie były więc drogie – jeśli porównać ich cenę z wartością kilograma chleba, który w obiegu czarnorynkowym kosztował złotych trzynaście[45]. W Feminie można było dostać bilet już za złotówkę, na galerii. Na dole: po dwa, trzy złote[46]. Jednak nie zawsze udawało się zapełnić salę. Były dni, w których na widowni znalazło się tylko dwadzieścia osób, a zespół i tak grał z poczuciem, że dla tej garstki widzów wizyta w teatrze coś znaczy, do czegoś jest potrzebna.

> Za swoją ciężką i zżerającą nerwy pracę aktorzy dostawali z podziału grosze. Tylko nieliczni, najwybitniejsi, zarabiali na bochenek chleba dziennie. Reszta zmuszona była chwytać się każdej dodatkowej pracy, którą można było wykonywać w godzinach między próbami a przedstawieniami; większość członków orkiestry zaś do chwili rozpoczęcia przedstawienia grywała po prostu na podwórzach[47]

– wyjaśni Jurandot.

Wejściówki do teatru można było też dostać. Halina Birenbaum opowie, że jej przyrodni brat otrzymał je w szpitalu, gdzie pracował. Dwunastoletnia Halinka z mamą postanowiły z nich skorzystać, choć ojciec był przeciwny – nie mieściło mu się w głowie pójście do teatru, gdy na ulicach leżą nieżywi. W rozmowie z Moniką Tutak-Goll siedemdziesiąt osiem lat później Birenbaum będzie mówić:

> My żyliśmy z dnia na dzień. Mieliśmy pogrążyć się w tej rozpaczy, w tej śmierci wokół nas? Byłam dzieckiem. I moja matka chciała, bym czuła się jak dziecko. Wiesz, co ja powiedziałam

ojcu? „A jeśli nie pójdę, to oni nie będą leżeli martwi? Ja jeszcze nigdy nie byłam w teatrze. I chcę to zobaczyć. Skąd mam wiedzieć, czy jutro nie umrę? Czy mnie nie zastrzelą na placu Muranowskim, jak innych? Może już nigdy nie dowiem się, jak wygląda teatr?”[48]

I tak zobaczyła na scenie Stefanię Grodzieńską i Helenę Ostrowską w *Księżnej Czardaszce*. Teatr okazał się wielkim emocjonującym przeżyciem. Stefania – w kremowej sukience z odsłoniętymi plecami i z długimi rękawiczkami na dłoniach – była zachwycająca.

Śpiewała: „Mów do mnie, dzióbciu ty mój”. Balet, taniec, inny świat. Byłam w siódmym niebie, słuchaj, to było takie piękne. Pełno ludzi w teatrze. Gdzie getto, gdzie trupy, gdzie ten głód! Ale to się skończyło, trzeba było wracać. Biegiem, żeby zdążyć przed siódmą, przed godziną policyjną. I już się pojawia ten strach, ci żebracy, a tu jeszcze w głowie mi to wszystko gra[49]

– opowie Birenbaum.

Po wielu, wielu latach, gdy się spotkały, Stefania przypomni sobie, że te rękawiczki dał jej ktoś z publiczności, bo bała się, że ochrypnie i spektakl trzeba będzie odwołać. W teatrze panował ciągły chłód. Sala była nieogrzewana, widzowie jesienią i zimą siedzieli w paltach i szalikach. Bicie braw było na ogół bezgłośne, stłumione przez rękawiczki.

Aktorki, jak już wiadomo, występowały w wieczorowych sukniach.

„Trudno, teatr ma swoje prawa, fałszować iluzji nie wolno”[50] – napisze Jerzy Jurandot o tym, że trzeba było grać nawet z czterdziestostopniową gorączką, inscenizując słoneczny ogród i uśmiechając się szeroko.

Jerzy zapamięta odmrożone palce Ady Połomskiej i jej obie ręce w bandażach, które zdejmowała, wchodząc na scenę, i nakładała

zaraz po występie. Ropiejące rany nie chciały się goić, skrajnie niedożywiony organizm nie miał sił na regenerację. Dziewczyna przedzierała się codziennie w mrozach do Feminy[51], a droga nie była prosta, labirynty granic, wyłączonych kawałków ulic, tłok sprawiały, że dystans z małego getta do dużego, który dzisiaj wydaje się krótki, może dziesięciominutowy, zabierał minimum trzy kwadranse. Na ogół czterokrotne w ciągu dnia przemierzenie trasy w cienkim palcie – na próbę i spektakl, tam i z powrotem – było bohaterstwem.

W teatrze można się więc było, mimo wszystko, ogrzać: sceną, wdzięczną publicznością i relacjami między ludźmi, które spajały Feminę. Po latach te wspomnienia dotyczą jednak świata niemal całkowicie unicestwionego. Z około siedemdziesięciu osób tworzących kierowany przez Jerzego Jurandota teatr w największej zamkniętej dzielnicy żydowskiej wojennej Europy – aktorów, tancerzy, tancerek, pracowników fizycznych, technicznych, pomocników – ocalało zaledwie kilka[52].

Ciepłe uczucie.

To na pewno Hilary. Ten adorator o szczerym sercu, gorączkowej energii i ogromnej ekspresji, krótkowidz w okularach, wspierał aktorów nie tylko chlebem, papierosami, ale też ratunkiem w najbardziej kryzysowych sytuacjach*. Jak wtedy, gdy

---

* Postać Hilarego, jak napomknęłam, przewija się przez teksty Krystyny Żywulskiej i Jerzego Jurandota. Nosi cechy wspólne i jest ważna dla funkcjonowania teatru, dlatego konsekwentnie przyjmuję, że chodzi o tę samą osobę. Przy czym warto pamiętać, że skoro Hilary pojawia się w tekstach literackich, jak powieść Żywulskiej i opowiadanie Jurandota, to, rzecz jasna, należałoby uznać granicę między prawdą a fikcją w tych źródłach za, do jakiegoś stopnia, rozmytą. Biorąc jednak pod uwagę specyfikę tego materiału literackiego, będącego wspomnieniami autobiograficznymi, szczególnie nastawionymi na ocalenie pamięci o realiach i osobach, zakładam, że postać Hilarego, jak i inne, w swoim zasadniczym rysie została odtworzona z pamięci autorów. Por. w kwestii Hilarego zwłaszcza

rozwścieczony Jurandot klął jak oszalały z powodu braku trzech adwokackich tóg, które miały być przed premierą dostarczone, a nie były. Odwoływał nieomal tę premierę, zrugał jeszcze Hilarego, który chciał tylko pojąć, co się stało, a gdy zrozumiał, wybiegł z teatru, by po trzydziestu minutach wrócić z brakującymi rekwizytami. „Jak się później dowiedziałem, pędził po prostu od domu do domu, wyszukując na listach lokatorów wszystkich adwokatów..."[53] – wyjaśni Jerzy.

Na terytorium ogrodzonego murem od reszty miasta getta kłębiło się od podziałów, sporów, odmienności, przemocy, zbrodni, oczywistych niesprawiedliwości – tak różnych, jak różni byli ściśnięci we wspólnej rozpaczy ludzie. Trudno dzisiaj tę rzeczywistość pojąć. Jak więc ją uchwycić? Chyba tylko patrząc na nią nieobojętnym spojrzeniem. Ale też: z różnych perspektyw.

Nędza i głód, jakich nie sposób sobie współcześnie wyobrazić, z drugiej – przepych i utracjuszostwo. „Opinia słuszna, ale tylko częściowo"[54] – przyzna Jurandot, pisząc też uczciwie:

> Dwie były w getcie kategorie ludzi, którzy zarabiali ogromne sumy. I jedni, i drudzy nie byli pewni dnia ani godziny, a raczej pewni byli, że nie dziś, to jutro zginą od niemieckiej kuli. Wyrzucali więc pieniądze garściami. To dla nich w restauracyjnych jadłospisach figurowały przedwojenne potrawy i trunki, to oni właśnie zajmowali miejsca w pierwszych rzędach naszego teatru. Byli to konfidenci niemieccy i szmuglerzy.[55]

---

opowiadanie Jerzego Jurandota *Miłość tragiczna*, w: Jerzy Jurandot, Stefania Grodzieńska, *Miasto skazanych. 2 lata w warszawskim getcie. Dzieci getta*, autorska koncepcja dzieła: Agnieszka Arnold, Warszawa 2014. W tym tekście literackim pojawi się jednak największa wątpliwość co do samych losów Hilarego – wrócę do tego w dalszej części tekstu.

Obraz getta jako przestrzeni jaskrawych, moralnie jednoznacznych nierówności, w której luksus rośnie w siłę kosztem głodu i umierania, ukształtował propagandowy film niemiecki z 1942 roku[56]. Rzeczywistość została w nim sfałszowana. Sceny były sztucznie aranżowane: w restauracjach, podczas kąpieli rytualnej, ale także te w teatrze. Nie była to Femina, lecz Nowy Azazel przy ulicy Nowolipie 72 – teatr żydowski, wystawiający, między innymi, klasykę dramatu w jidysz. Aktorzy zostali rano ściągnięci na próby, w tym czasie żołnierze zaczęli łapankę, bijąc spanikowane osoby. Ludzie posadzeni na widowni musieli spędzić tam cały dzień, bez jedzenia i picia, niezależnie od potrzeb fizjologicznych. Mieli za to głośno się śmiać i bić brawo w odpowiednich momentach. Aktorom narzucono także sposób gry – jest sztuczny, karykaturalny. Dziwaczność i groza, ludzki strach przebijający z silnie kontrolowanych, sztywnych ruchów, maleją w kilku ułamkach sekundy – gdy na scenie tańczy Irena Prusicka. Jej twarz ma niezmienny wyraz półprzytomności, może udawanego transu lub uniesienia. I tylko w miękkich, płynnych ruchach rąk i dłoni ujawnia się jej talent. Prusicka ze swoim baletem występowała w licznych spektaklach na scenie Teatru Eldorado (Dzielna 1), w rewiach Teatru na Pięterku (Nowolipki 29) i oczywiście w Feminie, gdzie tańczyła także jako solistka.

Wracając jednak do nazistowskiej propagandy – niestety, wiele kadrów z filmu trafiło jako zdjęcia do publikacji historycznych, albumów[57], utrwalając nieprawdziwy obraz rzeczywistości. O pracy ekipy filmowej pisali Ringelblum czy Adam Czerniaków, ale także Jurandot w *Mieście skazanych*. Jerzy wspominał między innymi o nagich kobietach wpychanych na siłę, także kopniakami, do brudnej, zimnej wody mykwy. „I to byli filmowcy, ludzie, którzy najprawdopodobniej przed wojną również reprezentowali niemiecką sztukę!"[58] – zanotuje , nie kryjąc oburzenia. „Niemcy" lub „szkopy" mówiło się w całej okupowanej Warszawie, więc Jurandot nie napisze nigdy „hitlerowcy" czy „faszyści". Sam będzie

zastanawiać się nad zbiorową, narodową odpowiedzialnością Niemców za Zagładę. W getcie obserwował ich postawy, notując każdą reakcję inną niż systemowe okrucieństwo – zdesperowany w podtrzymaniu swojej wiary w człowieczeństwo. Zapisze:

> Gdyby hitleryzm wraz ze swoim rasizmem i antysemityzmem powstał gdziekolwiek bądź, tylko nie w Niemczech, to, co się stało, nie stałoby się. Tu potrzebna była niemiecka organizacja i systematyczność. Dopiero w połączeniu z nią hitlerowskie szaleństwo stawało się czymś tak groźnym, dopiero to połączenie pozwoliło zabijać ludzi tak okropnie planowo, metodycznie, z taką pedanterią.[59]

Mimo to zaznaczał, że swoich wspomnień nie napisał przeciwko Niemcom: „Do narodu niemieckiego mam tylko tę pretensję, że pozwolił, by jego znane, piękne i pozytywne cechy, takie jak systematyczność, zdyscyplinowanie i zmysł obserwacji, tak łatwo i nierzadko wręcz entuzjastycznie poszły na rękę zbrodni"[60].

Podziały w getcie były ważne – i nie chodzi tylko o podział na Żydów, Polaków i Niemców. Jurandot i Grodzieńska czuli się Polakami, Femina była teatrem polskojęzycznym, a jej twórcy naturalnie sytuowali się w kręgu przedwojennej polskiej inteligencji i środowiska teatralnego. Napięcie między światem ściśle żydowskim a światem Polaków, którzy ze względu na przodków trafili do getta jako symboliczni lub dosłowni mechesi (a czasem jedni i drudzy, jak bohaterowie tej książki), było niezaprzeczalne. Przy czym warto pamiętać, że te podziały były naprawdę złożone. Jurandot pisał o tym w ten sposób:

> Jak nazwać ludzi, którzy tu mieszkają, w odróżnieniu od Żydów? Polakami? I tu wśród nas było wielu, bardzo wielu Polaków, tych, co się zawsze Polakami czuli i czuć się nimi nie

przestali, mimo i wbrew hitlerowskiemu podziałowi. Kryterium wyznaniowe też nie może wchodzić w rachubę. Wśród przymusowych mieszkańców getta bardzo duży procent stanowili chrześcijanie, i to często ludzie w wierze chrześcijańskiej urodzeni i wychowani od dziecka. Dwa pozostałe w obrębie getta kościoły podczas wszystkich nabożeństw były przepełnione. Pozostaje zatem tylko podział rasowy[61]

– zakończy smutną konkluzją, świadomy śmieszności podziału na „aryjczyków" i „niearyjczyków", pełen niechęci do najmniejszego nawet gestu legitymizującego doktrynę rasistowską.

Zarówno Jerzy Jurandot, jak i Stefania Grodzieńska widzieli kulturowe różnice między światami żydowskimi getta. Dostrzegali piękno ich złożoności, ale też rozpoznawali i odczuwali ciemną stronę – potencjał ostrych konfliktów, szowinizm i antysemityzm narastające także wśród mieszkańców dzielnicy zamkniętej.

Jerzy w jednym z opowiadań będzie pisał też szczerze, nie bez uprzedzeń, o widowni Feminy:

O ile w dzień powszedni wśród widowni przeważały inteligentne twarze, o tyle w sobotę daremnie było ich szukać. Sobotnia publiczność to młodzież rzemieślnicza, ekspedienci i ekspedientki z małych sklepików na Gęsiej, Smoczej i Zamenhofa, nierzadko nawet przedstawiciele Krochmalnej, Wołyńskiej czy Ostrowskiej, znanych już przed wojną jako siedlisko złodziejskich i paserskich melin. Zdarzały się typy i typki tego rodzaju, że trudno było uwierzyć, iż trafi do nich ze sceny choć słowo – i to słowo polskie. Jak taka publiczność przyjmie wiersz, poważny wiersz Tuwimowski.[62]

A jednak przyjęła, bo w tym samym opowiadaniu są burze oklasków i artystyczne wzruszenie Jurandota, powracające przez

trzy tygodnie kolejnych przedstawień. Bo właśnie po momentach najbardziej lirycznych w jednym z programów, po recytacjach Ady Połomskiej, publiczność klaskała jak oszalała, ściągnąwszy rękawiczki.

Mimo że Femina była teatrem polskojęzycznym, to przecież jidysz też z jego sceny wybrzmiewał. Sama gra dwóch języków, a więc przeplatanie się dwóch światów, była twórczym tematem, chociażby w tekście *Miłość szuka mieszkania* Jurandota. Jak zauważyła historyczka literatury, tłumaczka z języka jidysz doktor Agnieszka Żółkiewska, badaczka Żydowskiego Instytutu Historycznego im. Emanuela Ringelbluma w Warszawie:

> W sztuce tej zostały ze sobą skonfrontowane dwie grupy językowe – mówiąca w jidysz i po polsku, i został także przeprowadzony „test" na tej mówiącej po polsku ze znajomości jidysz. Jest to humor językowy, ale specyficznie gettowy. Żeby go zrozumieć, trzeba znać realia. Bawić się tym tekstem i zrozumieć go w pełni można pod warunkiem znajomości obu języków. Komedia Jurandota jest również niezwykłym świadectwem stosunków panujących w getcie między zasymilowanymi i niezasymilowanymi Żydami.[63]

Do Archiwum Ringelbluma trafił szczególny tekst, opisujący żydowskie życie rozrywkowe w Warszawie od połowy 1940 roku i pokazujący przy tym, jak w getcie zaczęła się formować rozrywka i jak dramatyczna była sytuacja aktorów. Tekst nosi tytuł *Warszawa się bawi…*[64]. Napisał go artysta żydowski Jonas Turkow – aktor, reżyser, współtwórca przedwojennego teatru jidysz, występujący także w filmach w języku jidysz. W getcie współpracował z Oneg Szabat i kierował Centralną Komisją Imprezową przy Żydowskim Towarzystwie Opieki Społecznej, która, po pierwsze, zajmowała się organizacją imprez, a po drugie, zrzeszała artystów, wspierała ich finansowo – i w poszukiwaniach zajęcia zarobkowego.

Jeśli komitet danego domu, czyli rzutki oddolny samorząd jakiejś kamienicy lub kilku budynków, który dbał o czystość i swoich najuboższych, miał pomysł na imprezę, zgłaszał go do CKI, a komisja kierowała do komitetu danego artystę lub artystkę.

Turkow współpracował z teatrami w getcie, między innymi z Feminą. Jego żoną była wspomniana już Diana Blumenfeld, również występująca w Feminie: znakomita żydowska aktorka. Grodzieńska będzie ją opisywać z sympatią i uznaniem. W 1947 roku Turkow wyjechał do Nowego Jorku, dziewiętnaście lat później – do Izraela, gdzie mieszkał do śmierci. Oskarżał Wierę Gran o współpracę z gestapo, mimo że kolejne postępowania – prokuratorskie, środowiskowe i przed sądem obywatelskim Centralnego Komitetu Żydów w Polsce[65] – w drugiej połowie lat czterdziestych nie potwierdzały zarzutów. Ona także zarzuciła mu kolaborację z nazistami w *Sztafecie oszczerców* (1980)[66], poruszającej, do cna emocjonalnej książce, którą walczyła o swoje dobre imię.

Tekst Turkowa *Warszawa się bawi…* został niewątpliwie napisany z troską o teatr żydowski, o ocalenie jego tradycji, choć nie brakuje w nim jaskrawych rozliczeń. Turkow pokazuje, jak w pierwszych miesiącach okupacji, jeszcze przed zamknięciem getta, artyści występowali w prywatnych mieszkaniach. Z wyraźną niechęcią pisze o tych polskich, zwłaszcza ochrzczonych, „podkreślających swoją aryjskość"[67], którzy musieli zdobyć żydowskie „nie tyle serca, ile… portfele"[68].

> Taki żydowski snob z Franciszkańskiej czy Nalewek czuł się jakby bardziej „arystokratycznie", kiedy w jego domu występował taki Michał Znicz, Minowicz, Grodzieńska, Wiera Gran czy inni. A kto się chwali, że podjął ich także kolacją, ten ma podwójną zasługę i może potem tysiąckrotnie, do znudzenia powtarzać, że Znicz czy Gran są jego „przyjaciółmi", przychodzą do niego do domu, jedzą i śpią u niego, są nawet na „ty".[69]

Warto pamiętać, że nocleg po wieczornym występie mógł być po prostu koniecznością związaną z godziną policyjną.

Następnie Turkow pisze o występach żydowskich artystów na podwórkach; występach, którym przyglądają się wygłodniałe dzieci. Dalej – o koncesjach na występy artystyczne w lokalach, pokazuje, kto za jaką stoi, wylicza publiczność związaną ze szmuglem, suto zastawione stoły i niemieckich pilotów pijących z żydowskimi kolegami i ich kobietami, „jakby żaden aryjski paragraf nie istniał"[70]. Z nietajoną złością pisze też o młodych dziewczynach tańczących z owymi pilotami, nazajutrz zatrzymywanych w łapankach. O ich krótkich rozumach, umalowanych ustach, sztucznych uśmiechach. Opowiada wreszcie o Centralnej Komisji Imprezowej, powołanej z inicjatywy Emanuela Ringelbluma, która miała zapanować nad tym, by imprezy nie tylko nie były niemoralną rozrywką, ale by nie odbywały się również w duchu asymilacji – miało to dotyczyć zwłaszcza imprez organizowanych dla dzieci.

Tymczasem Centralna Komisja Imprez dla Dzieci przygotowywała wydarzenia z myślą o dzieciach mówiących w obu językach: polskim i jidysz. W programie znalazły się teatrzyki kukiełkowe, przedstawienia dziecięce, w których grali najmłodsi, śpiewały chóry, tańczyły balety. Były też artystyczne akademie i tak zwane Miesiące Dziecka, odbywające się dwa razy, w czasie których zbierano pieniądze na ratowanie najmłodszych mieszkańców dzielnicy zamkniętej. Przede wszystkim jednak te wydarzenia były próbami rozświetlenia dzieciom nieludzkiej rzeczywistości[71]. Bo, jak notował Turkow, „człowiek musiał być z żelaza i stali, żeby przejść przez to piekło"[72].

Uroczyste przedstawienia dla dzieci organizowano też w Feminie, koncerty również w Melody Palace. Grodzieńska uczestniczyła w wielu z nich, prowadziła na przykład konferansjerkę, jak w maju 1941 roku w czasie występów śpiewno-tanecznych dzieci pod tytułem *Zaczarowany las* w Melody Palace[73]. Na scenie stanęło wtedy

sześćdziesięcioro małych artystów w wieku od trzech do dwunastu lat. Dochód w całości przeznaczono na najbiedniejsze dzieci.

Turkow pisze także o hucznych imprezach z udziałem niesławnej Trzynastki, o lokalach owładniętych rozpustą i pijaństwem, rozlicza się z urzędnikami administracji gettowej i żydowską policją, która bierze w tej rozrywce udział. O artystach wywożonych na aryjską stronę, grających dla „towarzystwa ze swastykami w klapach”[74], ale też o wysokich urzędnikach niemieckiej policji i gestapo, którzy odwiedzają lokale w getcie. A przede wszystkim pisze o braku miejsca w tym wszystkim na teatr żydowski, na kultywowanie jego najlepszych tradycji. Ocenia przy tym repertuar gettowych teatrów. Co ważne, pozytywnie pisze o Feminie, z którą zresztą współpracował: „Wystawiano tam wiele polskich arii i operetek na odpowiednim, kulturalnym poziomie”[75].

Obraz, jaki wyłania się z tekstu *Warszawa się bawi…*, jest przygnębiający. Nagromadzenie scen zepsucia i nędzy, śmierci i luksusu sprawia, że – zwłaszcza przy pierwszej lekturze – granice pomiędzy różnymi rodzajami rozrywki mogą wydawać się czytelnikowi zatarte. Nie dlatego jednak, że sam Turkow tych różnic nie dostrzega. Przeciwnie. Ale jego sposób opowiadania sprawia właśnie, że ważne dla niego podziały giną pod ciężarem przytłaczającej panoramy gettowego życia.

W tekście Jonasa Turkowa Stefania Grodzieńska pojawia się tylko przelotnie, w zbiorczym i nieżyczliwym passusie o artystach występujących w prywatnych domach „snobów”. Dopiero inne źródła pokazują, jak rozległa była jej działalność artystyczna i dobroczynna.

Oskarżenia formułowane przez Gran pod adresem Turkowa nie zostały potwierdzone.

Oskarżenia wobec Stefanii Grodzieńskiej o kolaborację, bo takie również się pojawiły, nie znalazły potwierdzenia i nie stały się po wojnie podstawą żadnego postępowania – lecz sam temat

doniesień, zarzutów, pomówień wobec niej i jej koleżanek silnie na nią wpłynął.

Po wojnie oskarżenia przychodziły niezwykle łatwo: pozwalały rozładować liczne frustracje. Rzeczywistość po Zagładzie utraciła wszelkie dawne punkty odniesienia. Ludzie byli straumatyzowani – mało powiedziane. Zmaltretowani psychicznie. Świat żydowski i polsko-żydowski doszczętnie zniszczony.

W postępowaniach dotyczących Gran Stefania nie zeznawała. Wiera miała o to do Grodzieńskiej pretensje, mimo późniejszych tłumaczeń Jurandota, że obecność Stefanii była niemożliwa ze względu na pomówienia, którymi i ją próbowano zdyskredytować. W obronie Gran wystąpił właśnie Jerzy – i Wiera była mu bardzo wdzięczna[76]. Pod koniec życia Stefania wracała do tych zdarzeń i z bólem wspominała protesty przeciwko występom Gran w Izraelu w 1971 roku[77]. Artystka wtedy przestała śpiewać.

Niepewność mogła dotyczyć tylko jednej z koleżanek – Franciszki Mannówny, wokół której narosła czarna legenda. Wspominano o jej swobodnym przechodzeniu na aryjską stronę i kontaktach z Niemcami. Oskarżenia o współpracę z gestapo nie zostały jednak jednoznacznie rozstrzygnięte.

Grodzieńska po kilkudziesięciu latach będzie przekonana, że to niemożliwe, by Franka donosiła albo zrobiła coś złego, że najpewniej chodziło o zakochanie. Była kobieta tancerka – i może był Niemiec. I była miłość, albo chociaż zauroczenie, tak się czasem zdarza[78].

Franciszka Mannówna jako jedna z ponad dwóch i pół tysiąca osób trafiła w 1943 roku do Hotelu Polskiego przy Długiej 29 z nadzieją, że dzięki zagranicznym dokumentom będzie mogła opuścić Generalne Gubernatorstwo. Getto było już wtedy zlikwidowane, powstanie stłamszone, a Hotel Polski okazał się zasadzką. Ocalało dwieście sześćdziesiąt osób, pozostałych wywieziono do obozów lub zamordowano jeszcze w Warszawie.

Mannówna trafiła do Auschwitz-Birkenau, gdzie zginęła. Z dużym prawdopodobieństwem przed śmiercią odebrała esesmanowi rewolwer i zaczęła strzelać do strażników.

Występy artystów w getcie przez lata pozostaną sprawą rozpalającą najgorętsze emocje i światopoglądowe spory.

Między skrajnościami getta – plutokracją, szmuglerami, konfidentami trwoniącymi pieniądze w lokalach a ludźmi żyjącymi w krańcowej nędzy, umierającymi z głodu na ulicach – rozciągała się cała drabina społeczna. Za nią zaś poszerzała się otchłań głodu i śmierci, która zagrażała mieszkańcom warszawskiej dzielnicy zamkniętej.

Być może dlatego teatry i kawiarnie pełniły tak ważną funkcję: były miejscem, w którym mogły wybrzmieć potrzeby twórcze, artystyczne i duchowe. Artystom, to jasne, dawały poczucie spełnienia, samorealizacji, uwielbienia, kilka godzin względnej normalności. Dla widzów były może błyskiem w mroku osamotnienia, szansą na krótką wewnętrzną wędrówkę do utraconego świata – świata przyrody, otwartego horyzontu i mimoz, o których Gran śpiewała zamożnym bywalcom kawiarni.

Zamożnym – lub tym, którzy, jak obrazowo nazwie to Stefania – sprzedawali kolejny pierścionek[79], żeby móc zobaczyć i posłuchać przedwojennej gwiazdy: Wiery Gran.

Kawiarnia Sztuka pod adresem Leszno 2 była w getcie miejscem prestiżowym. Działał tam kabaret literacki, do którego program pisali poeci Władysław Szlengel i Leonid Fokszański. Grał duet fortepianowy: przy jednym instrumencie siedział Władysław Szpilman, przy drugim, naprzeciwko – Adolf Goldfeder. Zresztą muzykę na dwa fortepiany wprowadził do przedwojennych kabaretów, jak zaznaczy Stefania, Fryderyk Járosy. I cała atmosfera Sztuki była, jak zapamięta Grodzieńska, przedwojenna, inteligencka, polska. Zauważy przy tym wyraźną różnicę między sytuacją bytową artystów angażowanych regularnie w Sztuce a zespołem

Feminy, gdzie panował chłód i cały zespół trzeba było utrzymać z niewielkich przychodów[80].

Szczęściem jest móc czymkolwiek nakarmić rodzinę.

Pewnego dnia Stefania Grodzieńska dostała od adoratora (nie wiadomo, czy był to Hilary, a może ktoś inny?) pudełko z ciastkami. Niosła je do domu z radością. Gdy była już blisko, podbiegł do niej chłopak i wyrwał paczkę. To był jeden z chaperów, łapaczy, czyli ludzi tak wygłodzonych, że już oszalałych, wydzierających z rąk przechodniom na ulicach wszystko, co być może udałoby się zjeść, i od razu wpychających to do ust. Stefania goniła chłopaka, ale błyskawicznie pochłonął połowę paczki ciastek. Zatrzymała się w bramie i płakała jak dziecko. Bez cienia żalu, bez ani jednej złej myśli do chapera.

Płacz nie był i nie będzie jej sposobem radzenia sobie z emocjami. Gdy czuje przykrość, złości się. Nie umie płakać.

Lecz wtedy płacze[81].

Najbardziej bezbronne były w getcie dzieci. Jerzy Jurandot napisze:

> Tam dzieci nie miały prawa do życia. O ile dla człowieka w pełni sił istniała jeszcze jakaś szansa, że kosztem upokarzającej pracy uda mu się uniknąć śmierci lub przynajmniej odwlec ją na jakiś czas, o tyle na dzieci i ludzi o siwych głowach patrzyło się jak na skazańców, których nic uratować nie może. Szczególnie dzieci tępili Niemcy ze specjalną pasją. Może obawiali się, że wyrośnie z nich pokolenie, które potrafi pomścić tych, co nie umieli się obronić?[82]

To właśnie im Grodzieńska pomagała, zajmowała się nimi, a dziesięcioro opisała w zbiorze wierszy: *Dzieci getta*. Ukazał się po raz pierwszy w 1947 roku pod nazwiskiem Stefanii Ney[83], nieprzypadkowym oczywiście. Wstęp do pierwszego wydania napisała

Maria Dąbrowska, do drugiego, z 1949 roku, Zbigniew Mitzner. Później Stefania Grodzieńska nie zgodziła się na ponowne wydanie tomu[84]. *Dzieci getta* zostały opublikowane dopiero w 2014 roku – jako część *Miasta skazanych*.

W zdaniach poprzedzających wiersze Grodzieńska zaznaczyła: „W tym zbiorku nie ma nic zmyślonego. Wszystko prawda, wszystko rzeczywistość. Dzieci, o których piszę, znałam. Dzieci te zostały zamordowane właśnie tak. W podobny sposób wymordowano setki tysięcy dzieci żydowskich"[85].

Te dzieci to Jankiel, Jurek, Herszek, Abramek, Adzia, Józio, Dawid, Zosia, Rutka i Jola.

Dziesięcioletni Jankiel został pognany do Warszawy pieszo z Radzymina. Miał być felczerem, wybierał obierki ze śmietnika, bijąc się o każdy kawałek do krwi. Zmarł w kącie cichutko.

Jurek patrzył, jak niemiecki żandarm masakruje głowę jego taty, który wcześniej odmówił kłaniania się dla zabawy – miał raz po raz zdejmować kapelusz, coraz szybciej i szybciej. Ojciec zrobił to dla syna.

Herszek miał dwanaście lat i był szmuglerem. Mimo strachu „co dzień w zły i brudny gettowy poranek"[86] szedł do swojej pracy, przeciskając się na aryjską stronę. Zginął, niosąc kilogram chleba.

Abramek był synem rabina z Sobolewa, marzył, by zobaczyć Wisłę. Przeszedł przez druty, pobiegł w stronę rzeki. Został rozstrzelany.

Adzia marzyła, by być jak dziewczynka z zapałkami. Odpalając kolejne, widziałaby niezwykłe obrazy: stół pełen chleba i ogród z kwiatami, po którym można chodzić.

Tatuś Józia był kiedyś profesorem w filharmonii. Józio skrycie zbierał ciskane w tatę groszowe monety, bo tato wstydził się, że jest podwórkowym grajkiem. Zamykał się w domu, choć tam nie było chleba.

Bezdomny Dawid miał jedenaście lat. Spał na chodniku, nie wierzył, że kiedykolwiek mógłby być syty. Nie miał nikogo.

Zosia żyła trzy lata. Nigdy nie dowiedziała się, że są na świecie łąki, lasy i rzeki. Mama otruła ją, zanim sama została wywieziona do Treblinki. Nie chciała, żeby Zosia cierpiała.

Dziesięcioletnia Rutka 5 sierpnia, gdy trwała już w getcie wielka akcja likwidacyjna, skoczyła z okna najwyższego piętra kamienicy.

A Jola...

„Pamięci Jolanty Stokówny, zamordowanej przez Niemców w czwartym roku życia"[87] – to zdanie poprzedza wiersz o Joli. Jola była córką jednego z najbardziej znanych szmuglerów – Szymona Stocka. Została zabrana na Umschlagplatz – bocznicę przeładunkową Dworca Gdańskiego. Tam od 22 lipca 1942 roku z rampy kolejowej odjeżdżały pociągi do obozu zagłady w Treblince. Ojciec nie zdążył jej uratować.

„Jest tak, że gdyby sobie wyobrażać pewne rzeczy, wyglądają one o wiele groźniej, niż kiedy się je w rzeczywistości przeżywa. Stwierdziłem to podczas bombardowania, stwierdziłem podczas epidemii. Tylko nie podczas wysiedlenia. Tu rzeczywistość była straszniejsza niż wszystko, co sobie można wyobrazić"[88] – napisze Jurandot w *Mieście skazanych*. Trudno chyba o prostsze, a zarazem bardziej przejmujące zdania.

Spostrzegawczość Jerzego Jurandota nie ominęła też losów niemieckich Żydów. Gdy wydano rozporządzenie o wysiedleniu na Wschód i nakaz stawienia się na Umschlagplatzu, to właśnie obywatele III Rzeszy – przesiedleni z różnych miast niemieckich do warszawskiej dzielnicy zamkniętej wiosną 1942 roku, a było ich wówczas, w kwietniu, około 3,8 tysiąca, choć pewna grupa w krótkim czasie, jeszcze przed deportacją, została wywieziona do obozu pracy w Treblince[89] – poszli pierwsi na miejsce nieodwołalnego końca. Jak zapamięta Jerzy, poszli obowiązkowo, czwórkami.

„A plecaki ich ważyły ani o gram więcej, ani o gram mniej, tylko dokładnie piętnaście kilo”[90].

Na Umschlagplatz z własnej woli poszedł Mieczysław Ney, który również był w warszawskim getcie. Poszedł, bo osobom zgłaszającym się bez przymusu obiecywano przydział żywności.

Jego żony, Marysi, już wtedy w getcie nie było. Został sam.

Franciszka Bujaner zmarła 7 maja 1940 roku – tuż przed niemiecką ofensywą na Francję i tydzień po zamknięciu łódzkiego getta. Umarła jednak, zanim zostało ono odcięte podwójnymi zasiekami i stało się najbardziej odseparowanym z gett na obszarze Polski. Wyprowadzenie zwłok pani Bujaner – jak wskazuje jej karta cmentarna – odbyło się spod adresu Franciszkańska 55. To była najdłuższa ulica w getcie, z wieloma eleganckimi kamienicami i instytucjami.

Babcię Franię pochowano w grobie z ukochanym mężem Maksymilianem.



Zdjęcie z kenkarty Stefanii Grodzieńskiej z 1943 roku.
Czas od lata 1942 do jesieni 1944 roku to konieczność stałego życia
w ukryciu i trzymania się okupacyjnej tożsamości

ROZDZIAŁ VIII

Warszawa • Gołąbki • Mory •
lipiec 1942 – marzec 1944

Lekarze w getcie prowadzili pionierskie badania nad chorobą głodową, ale nie istniał jeszcze język dzisiejszej neurologii i psychiatrii, pozwalający precyzyjnie rozumieć zachowanie człowieka głodującego. Głód był nieprzerwany, ale ile jeszcze dni, tygodni dzieliło człowieka od tego, by sygnały z wnętrza ciała zaczęły wskazywać na coraz głębsze zmiany w pracy mózgu? Najpierw mogły pojawić się apatia, rozdrażnienie i kłopoty z myśleniem. Potem zaburzenia nastroju, lęki lub depresja, splątanie, osłabienie orientacji czy problemy z koordynacją ruchów. W krańcowych przypadkach przewlekłego niedożywienia, rozległych niedoborów witamin mózg mógł ulec uszkodzeniu. Mogły pojawić się halucynacje, psychozy, czasem także trwałe zaburzenia psychiczne i neurologiczne[1].

29 lipca 1942 roku w getcie rozlepiono plakaty informujące o tym, że osoby, które zgłoszą się dobrowolnie na Umschlagplatz, dostaną trzy kilogramy chleba i kilogram marmolady.

Sytuacja materialna rodziny Grodzieńskiej była krańcowo zła.

Ale żeby wyjść z getta, trzeba było grać.

Od kwietnia 1942 roku strach w dzielnicy zamkniętej stawał się coraz większy. Nocą, najczęściej w piątki, esesmani dokonywali egzekucji na mieszkańcach. Nie omijały one ani szmuglerów, ani zamożnych sklepikarzy, ani osób powiązanych z konspiracją, ani kolaborantów gestapo czy policjantów żydowskich. Choć

ludzie byli rozstrzeliwani na podstawie przygotowanych wcześniej list, nie można było dociec, w jaki sposób ofiary są typowane.

Kilka dni przed akcją dwaj najwięksi niemieccy konfidenci wywieźli poza getto swoje rodziny. „To wywołało już panikę. Ci ludzie byli zawsze najlepiej poinformowani"[2] – zapamięta Jurandot.

Na dzień przed akcją Niemcy zamordowali w mieszkaniu przy Chłodnej pewnego chorego oraz jego bliskich i wezwanego z aryjskiej strony lekarza, profesora Franciszka Raszeję. Osobno wzięli też zakładników: członków Judenratu i inteligencję, sześćdziesiąt osób. Mieli zostać straceni, jeżeli wysiedlenie nie pójdzie zgodnie z planem[3].

W nocy z 21 na 22 lipca mury getta zostały obstawione, co kilkadziesiąt metrów, posterunkami policji granatowej i formacjami pomocniczymi: ukraińskimi, litewskimi i łotewskimi.

22 lipca, w środę, do dzielnicy zamkniętej weszło Vernichtungskommando, oddział unicestwiania – „specjalna formacja zawodowych katów. Nie zawodowych, przepraszam. Katów amatorów, katów z zamiłowania"[4] – napisze Jurandot o jednostce eksterminacyjnej kierowanej przez SS-Sturmbannführera Hermanna Höflego, która ulokowała się przy Żelaznej 103, a od początku akcji całkowicie przejęła dowodzenie w getcie.

Przez Leszno w ową środę, gdy kropił leciutki letni deszcz, przejeżdżały kabriolety i riksze, z których wysuwały się niemieckie pistolety maszynowe. Broń i auta zapamięta Jurandot.

Nazajutrz Adam Czerniaków, przewodniczący Judenratu, połknie kapsułkę cyjanku potasu.

Jerzy, gdy znajdzie się już w aryjskiej Warszawie, zanotuje:

> Spotykam się po tej stronie stale z pytaniem, które jest właściwie zarzutem: dlaczego Żydzi pozwolili się wyrżnąć jak barany, dlaczego się nie bronili? Odpowiedź jest prosta. Nie bronili się, bo nie wiedzieli, że ich wyrżną. Tak jak stosowany przez Niemców dla udaremnienia wszelkiej próby oporu najstraszniejszy

terror z jednej i ich perfidia w przeprowadzaniu planu z drugiej strony to powody drugorzędne. Najważniejsze jest to, że Żydzi nie wiedzieli. Mimo opowiadań uciekinierów, mimo sprawdzonych wiadomości z innych miast nie wierzyli, że ich czeka ten sam los.[5]

W czasie wielkiej akcji likwidacyjnej – pod pozorem przesiedlenia na Wschód, co rezonowało z popularną w getcie pogłoską o relokacji wszystkich warszawskich Żydów na Pińszczyznę – w ciągu czterdziestu sześciu dni zostało wysłanych do obozu w Treblince i zginęło w nim od dwustu siedemdziesięciu pięciu do trzystu dziesięciu tysięcy osób*. Czyli wywożono codziennie od kilku do kilkunastu tysięcy ludzi. Nie licząc tysięcy pomordowanych wewnątrz murów. I tych, którzy cyjanek lub inną truciznę podawali sobie, swoim dzieciom, przyjaciołom, rodzicom.

Oczywiście to nieprawda, że Żydzi się nie bronili. Nie musiałby wtedy narastać terror. Coraz większe grupy esesmanów, niemieckich żandarmów, jednostek pomocniczych, złożonych ze wspomnianych Łotyszy, Ukraińców, Litwinów, nie musiałyby – zamiast Żydowskiej Służby Porządkowej, która odgrywała główną rolę w pierwszym etapie akcji, trwającym do 30 lipca – angażować się w wysiedlenie. Im skuteczniej ludzie się ukrywali, nie chcieli opuszczać swoich mieszkań, wychodzić z pościeli, łóżek, schronień, tym straszliwsza stawała się przemoc.

---

* Wielka akcja była zaplanowaną eksterminacją mieszkańców dzielnicy żydowskiej. W czasie trwających od 22 lipca do 21 września wywózek z Umschlagplatzu do komór gazowych obozu zagłady Treblinka II, zginęło od 275 tys. do 310 tys. osób. Pierwsza liczba pochodzi z raportu żydowskich organizacji podziemnych, druga – z raportu generała SS Jürgena Stroopa. Zob. Jacek Leociak, *Słownik terminów i pojęć*, w: Barbara Engelking, Jacek Leociak, *Getto warszawskie. Przewodnik po nieistniejącym mieście*, Warszawa 2013 [ebook].

O tym, w jakiej sytuacji znalazło się na początku akcji wielu żydowskich policjantów, pisał Jerzy Jurandot:

> Do służby porządkowej wstępowali młodzi ludzie, na ogół po to, żeby się uchronić przed obozami pracy. Uzbrojeni w drewniane pałki, stanowili oni rodzaj policji wewnętrznej, należało do nich utrzymywanie porządku w getcie. Sytuacja ich stała się tragiczna w chwili rozpoczęcia likwidacji getta, kiedy Niemcy postanowili posłużyć się nimi do pomocy w wysiedleniu, w zamian za to obiecując nietykalność ich rodzinom. Wystąpienie ze służby w takich warunkach wymagało, bądź co bądź, wielkiej siły charakteru. Okazali ją niestety nieliczni. Reszta pozostała w szeregach, starając się tylko w miarę możności ratować, kogo się dało. Nie trzeba dodawać, że Niemcy i w tym wypadku słowa nie dotrzymali i upodlenie się policji nie zdało się na nic – rodziny ich zostały wywiezione.[6]

Przed rozpoczęciem wielkiej akcji samo członkostwo w Żydowskiej Służbie Porządkowej nie było powodem społecznego potępienia. Wszystko zależało od tego, jak policjant wykonywał swoją służbę – to jedna z licznych ambiwalencji tamtego świata. Trzeba zaznaczyć, że wielu policjantów żydowskich regularnie bywało w Feminie, a Grodzieńska mówiła o tym, że po jednej z premier dostała od żydowskiego policjanta buty „z lśniącą cholewką. Takie buty kosztowały majątek"[7].

Wszystko zmieniło się 22 lipca 1942 roku, kiedy Żydowska Służba Porządkowa została zobowiązana przez niemiecki „oddział unicestwiania" do dostarczenia „codziennego kontyngentu" wysiedleńców. I wypełniała niemieckie rozkazy, blokując domy oraz ulice, zaganiając na podwórka ludzi do wysiedlenia.

W czasie akcji czapka żydowskiego policjanta mogła być znakiem piętna, bezwzględności, czasem także zwyrodnienia i bestialstwa. Mogła jednak stać się również znakiem heroizmu: gdy ktoś

rzucał ją na ziemię, szedł na śmierć, wyciągał ludzi z Umschlagplatzu albo umożliwiał im ucieczkę z getta.

Początkowo można było mieć nadzieję, że – zgodnie z zapewnieniem na plakatach – przesiedlani nie będą urzędnicy gminy, rzeczeni żydowscy policjanci, lekarze, osoby pracujące w szopach, a więc przedsiębiorstwach niemieckich, które powstawały po przejęciu żydowskich zakładów produkcyjnych czy warsztatów. Bezpieczni mieli być także placówkarze, a więc robotnicy, którzy wychodzili z niemiecką obstawą do aryjskiej Warszawy, gdzie wykonywali najróżniejsze ciężkie prace fizyczne.

> Zaczął się straszliwy run na wszystkie szopy i na Arbeitsamt, który przydzielał placówki. Oddawano cały majątek za przyjęcie do pracy w szopie, przed Arbeitsamtem od piątej rano do późnego wieczora stał kilkumetrowy ogon. Ludzie dusili się, tratowali, mdleli z wyczerpania. Od czasu do czasu część zabierali Niemcy do wywiezienia, reszta nie ruszała się z miejsca.
>
> A wszystko to było zupełnie niepotrzebne. Niemcy wcale nie mieli zamiaru dotrzymywać słowa[8]

– napisze Jurandot, punktując też wszystkie momenty, w których „z braku materiału ludzkiego" do wagonów wpychano osoby uważane za bezpieczne lub ich rodziny.

Dzięki kontaktom w podziemiu, w które zaangażowany był Fryderyk Járosy, ukrywający się już po drugiej stronie muru, dzięki Wacławowi Jasińskiemu, przedwojennemu elektrotechnikowi z Cyrulika Warszawskiego[9], który w dniu rozpoczęcia akcji przedarł się na polecenie Járosyego do getta, odnalazł Jurandota w Feminie i przekazał mu informacje od kolejarzy z Umschlagplatzu oraz listy od Fryderyka i siostry Jerzego – Zosi, żołnierki ZWZ-AK – małżeństwo Jurandotów zostało szybko zaalarmowane, że muszą się ratować ucieczką, bo pociągi jadą do Treblinki.

I że mają przyjaciół, którzy im w tej ucieczce pomogą, załatwią pieniądze, zorganizują życie po aryjskiej stronie.

Zanim zdecydują, kiedy i jak uciec, zostaną w getcie jeszcze jakiś czas, żeby wystarać się o pracę w szopie dla Pickwicka, zabezpieczyć rodziców.

Jurandot przez pierwsze tygodnie akcji jest placówkarzem. Poza zarobkiem i doraźnym poczuciem bezpieczeństwa ma to jeszcze jeden plus: może wnosić za mury jedzenie. Konkretnie bochenek chleba i kartofle, o ile łączna waga produktów nie przekracza pięciu kilogramów[10]. W getcie dostawy zostały wstrzymane, nie ma już szmuglu, ceny żywności są szalone. Mąż Grodzieńskiej zapamięta, że ostatniego dnia sprzedał bochenek chleba za osiemdziesiąt złotych, a na placówce zarabiał tygodniowo złotych dwanaście. Pchał tam pod górę wagonetki z drewnem. W pamięć wryje mu się widok zmęczonych nóg w odkształconych ciężkich butach i mozolnych ruchów kończyn. Zapamięta lęk placówkarzy o to, czy po powrocie do getta zastaną w domach bliskich.

Jerzy przybywał ze świata, który pachniał inaczej, co w getcie nabierało szczególnego znaczenia: w relacjach jego mieszkańców powracała tęsknota za zapachem drzew i świeżym powietrzem.

Z dzielnicy zamkniętej postanowiła wydostać się także Krystyna Żywulska – razem z matką. Jej ojciec, Stefan, utykał, był schorowany. Zostawiły go: wśród jeszcze niewymarłych, bo ledwie opuszczonych mieszkań, pełnych niedopitych szklanek z kawą, niedoczytanych książek, schnącej bielizny[11]. „Dlaczego zostawiłam ojca?" „Czy naprawdę nie zabrałam go dlatego, że utyka?" „Dlaczego tak postąpiłam?"[12] – będzie pytać Żywulska w *Pustej wodzie*. „Ona pisała tę książkę z wielkiego poczucia winy wobec ojca, przedstawiła nagie fakty. Nie upiększała nikogo, zwłaszcza siebie"[13] – powie jej syn, Tadeusz Andrzejewski.

„Czy jestem okrutna, bezwzględna? Ach, nie. Jestem i dobra, i zła. Tchórzliwa i odważna. Zwłaszcza gdy walczę o własne istnienie”[14] – doda Żywulska.

Stefan Landau wszedł na dach domu, w którym mieszkał z żoną i córką – żeby odebrać sobie życie. Lecz tam, na wysokości, zorientował się, że budynek sąsiaduje z ogrodem szpitala ewangelickiego. Skoczył na wielki kasztanowiec, którego najdłuższe gałęzie niemal dotykały dachu. Ze szpitalnego ogrodu wyprowadziła go diakonisa Regina Witt[15]. Wyszedł na aryjską stronę.

Wyjście – to w pewnym sensie zgoda na ostateczność. Czy może mieć to związek z tą „prawdziwą pogardą śmierci”, o której napisze Jurandot, przyznając też, że zawsze był to dla niego tylko górnolotny frazes? Do czasu. „Okazało się, że może ona doskonale wypływać ze zwykłego oswojenia się ze śmiercią, która traci wówczas cały swój koturn”[16].

Krystyna Żywulska w *Pustej wodzie* napisze z kolei:

> Można umierać buntując się lub potulnie.
> Można również przyspieszyć śmierć.
>
> Wybrałam samobójstwo. Z tą małą poprawką, że nie ja będę strzelała. Gdybym miała truciznę, dawno bym ją połknęła. Ofiarowałabym ją ojcu i matce. Jak cenny dar. A jednak najwidoczniej tłucze się we mnie jakaś nadzieja. Gdybym była pewna, że zginę, nie opuściłabym ojca. Moja nadzieja nie ma podstaw. Po prostu trwa. Tak długo, dopóki w żyłach płynie krew. Dopóki bije serce.
>
> Dopóki jeszcze żyję.[17]

Getto jest szczelnie obwarowane, a – jak zanotuje też Żywulska – w czasie trwającej akcji „najcięższe worki złota, drogich kamieni posiadają wartość teatralnego rekwizytu, pozostałego z przedstawienia, które odbyło się w latach niepamiętnych. Życie nie ma tu już wymiernej ceny”[18]. Mimo to mówi mamie, że muszą

natychmiast wyjść z getta, bo czeka na nie przekupiony żandarm. „Przekupiony żandarm jest oczywiście wymysłem”[19] – przyzna po latach. Idą przez rozgrzany bruk, pod błękitnym niebem, wokół łapanki. Muszą przemknąć obok, żeby dotrzeć do bramy przy Lesznie. Idą przed siebie. „Tuż obok trzaskają pejcze, padają przekleństwa, migają trupie czaszki na ss-mańskich czapkach, lśnią oczy morderców. Majaczą udręczone twarze ofiar”[20]. Idą.

Choć oprawcy je widzą, nie łapią kobiet – bo te nie znajdują się bezpośrednio na terenie blokady, z którego zgarnia się ludzi na Umschlagplatz. Pojmanie ich przeszkodziłoby w zadaniach, które mają przede wszystkim wykonać. Minęły pierwszego esesmana, nie zatrzymał ich kolejny – myśląc zapewne, że już zostały skontrolowane. Groza gęstnieje, w końcu docierają do obstawionej żandarmami bramy. Zosia powtarza mamie, by się uśmiechała, że musi ukryć swój strach. „On o nas wie. On na nas czeka”[21].

Nikt nie czeka, nie ma też żadnych dokumentów, które uprawniałyby kobiety do wyjścia. Żywulska pewnym gestem, wzmocnionym głośnym *Bitte*, pokazuje jednemu z wartowników bezużyteczną w tej sytuacji legitymację, upoważniającą ją do jazdy tramwajem konnym w getcie – z symbolem gwiazdy Dawida na środku dokumentu. „Przygląda mi się, jakby ujrzał przed sobą lwa stojącego na dwóch łapach”[22] – napisze przyjaciółka Stefanii. Mężczyzna dopytuje o Ausweis, Zosia odpowiada znowu donośnym głosem: Razem. *Zusammen*. Zgłupiały strażnik przepuszcza je. Nie są pewne, czy za chwilę nie zostaną rozstrzelane. Zresztą jeden strzał pada, ale żadna z kobiet nie zgina się z bólu, nie osuwa na ziemię. Być może był to wystrzał w górę. Trzeba znowu iść przed siebie – tylko i aż tyle. Wychodzą. Jest sierpień, niedziela w wojennej, lecz aryjskiej Warszawie. Nie ma tu potwornego hałasu, wręcz jazgotu, a wokół panuje nadzwyczajna czystość.

Idą.

Droga wyjścia Stefanii z dzielnicy zamkniętej prowadziła przez cmentarz.

W sierpniu* Grodzieńska wsiadła w jeden z tramwajów, które – to może wydawać się zaskakujące – wciąż po getcie kursowały. Zresztą aż do 15 sierpnia przez dzielnicę żydowską jeździły nawet aryjskie tramwaje tranzytowe. Komunikacja tramwajowa nie była popularna, bo nie była też bezpieczna – gestapo zatrzymywało pojazdy, wyciągało z nich pasażerów. Można też było wpaść w blokadę – tak właśnie stało się, gdy Stefania zmierzała tramwajem w stronę skrzyżowania Gęsiej i Okopowej, gdzie znajdowała się brama getta: brama wiodąca na cmentarz, którą można było przekroczyć tylko po okazaniu przepustki. Całą ulicę Smoczą zagrodził szpaler esesmanów i formacji pomocniczych, tramwaje zatrzymywano. Grodzieńska była jedyną pasażerką w wagonie. Uratował ją impet konduktora, który krzyczał do motorniczego, żeby ten gnał przed siebie. A także determinacja motorniczego, który przyspieszył z całych sił, hałasując dzwonkiem alarmowym – i zmusił szpaler do rozstąpienia się. Pojechali dalej.

---

* Po analizie wspomnień Jerzego Jurandota i wszystkich informacji, które udało mi się zebrać na temat wyjścia Stefanii Grodzieńskiej z getta, nie sposób wskazać konkretnej daty. Jurandot przekazał ważne okoliczności dodatkowe, związane z trwającymi na cmentarzu masowymi egzekucjami – zob. J. Jurandot, *Miasto skazanych…*, dz. cyt., s. 163. Źródła historyczne mówią o zabitych w niedzielę 2 sierpnia na cmentarzu 56 Żydach z Gęsiówki – zob. B. Engelking, *Przebieg wielkiej akcji wysiedleńczej dzień po dniu*, w: Barbara Engelking, Jacek Leociak, *Getto warszawskie…*, dz. cyt. Ta masowa egzekucja jest dobrze udokumentowana, lecz było też wiele innych. Niełatwe do rozszyfrowania kalendarium nieco komplikują jeszcze wspomnienia Jurandota, który zapisał: „Trzy tygodnie minęły, nim udało się zdobyć dla ojca pracę w szopie. Wtedy postanowiliśmy uciekać" (zob. J. Jurandot, *Miasto skazanych…*, dz. cyt., s. 163). Jednak nie wiadomo, kiedy dokładnie Jerzy zaczął się starać o pracę dla ojca. Mogło być to jeszcze przed rozpoczęciem wielkiej akcji, choć kontekst jego słów wskazuje raczej na początek akcji.

Cmentarz żydowski graniczył ze światem aryjskim. Od listopada 1941 roku mieszkańcy dzielnicy zamkniętej nie mieli na niego wstępu, nie mogli też osobiście pochować tam swoich zmarłych. Przed akcją cmentarz był miejscem, w którym krzyżowały się trasy przerzutowe, kwitnął szmugiel. Stefania dotarła pod jego bramę.

Próba zrozumienia tego, co działo się potem, wymaga połączenia perspektyw.

Krystyna Żywulska napisze, że Stella przez bramę została wniesiona w trumnie[23].

Jerzy Jurandot: że żona na cmentarz weszła ze sfałszowaną przepustką, kiedy odbywały się tam egzekucje.

Od początku akcji mordowani byli tam między innymi najsłabsi: ludzie starzy, schorowani, zniedołężniali. Jurandot wspomni, że Stefania musiała ukryć się na kilka godzin w kopcu zakrwawionych szmat.

Nic z tego, co o wyjściu Grodzieńskiej z getta mówili Krysia/Zosia i Jerzy, nie musi się wykluczać. Są to raczej ogniwa w łańcuchu tragicznych zdarzeń, które – chyba dopiero po latach – można zacząć próbować trwale łączyć.

Stefania Grodzieńska wydostała się z getta przez cmentarz, w jakiś sposób przekraczając jego mur.

Cała ucieczka była możliwa dzięki kontaktom z konspiracją. I wiadomo, że Stefania musiała dostać się do mieszkania Fryderyka Járosyego. Tyle.

Wcześniej, już poza gettem, jako Franciszek Nowaczek, Járosy przebywał w mieszkaniu Agnieszki i Romualda Rochackich przy Nowym Świecie 22. Wielkoduszność tej pary Stefania i Jerzy zapamiętali zgodnie, Jurandot w swoich wspomnieniach zanotuje, że to Rochaccy „dokonali pierwszego chyba w historii getta przekupienia żandarma na wylocie, w dzień po zamknięciu przesyłając nam pełną furę kartofli i węgla, cały swój zapas na zimę"[24].

Od Rochackich Fryderyka zabrała Janina Rechtleben-Wojciechowska, Żydówka pozostająca po aryjskiej stronie, działaczka polskiego podziemia, księgowa. „Janka była w pełnym znaczeniu tego słowa «z publiczności». Cała jej konstrukcja psychiczna absolutnie odbiegała od ludzi teatru"[25] – napisze o niej Grodzieńska, mając na myśli zupełny brak niefrasobliwości czy niepohamowanego poczucia humoru, ale też najlepsze cechy Janiny: uczciwość, odwagę, uczynność, które wykorzystywała w niebezpiecznej pracy dla Oddziału II Informacyjno-Wywiadowczego Komendy Głównej Armii Krajowej.

To właśnie z Rechtleben-Wojciechowską Járosy spędzi resztę życia.

Stefania wie, że Janka mieszka przy Filtrowej. Numer domu i mieszkania objawił się jej wraz z kartą: dżokerem z talii, którą Járosy otrzymał od Jurandotów jeszcze przy Złotej. W prawym górnym rogu karty zaszyfrowany jest adres: 68/33. Może dżoker trafił do getta razem z pieniędzmi na ucieczkę, które pochodziły od Wandy Baranówny, przyjaciółki Zosi, siostry Jerzego? Nie wiadomo. Dziewczyna, gdy dowiedziała się o początku akcji, sprzedała, co tylko mogła, a pieniądze przekazała dla Stefanii i Jerzego, żeby mogli uciec[26]. Pewne jest jedno: bez pomocy siostry Jerzego, która od początku utworzenia getta przebywała po aryjskiej stronie jako Zofia Wanda Zawadzka, i zaprzyjaźnionych, kochających ludzi, nie sposób wyjść i przeżyć.

Grodzieńska weszła na drugie piętro budynku przy Filtrowej 68, stanęła przed drzwiami numer 33. Zamiast użyć dzwonka lub zapukać w drzwi, wystukała na nich dynamiczny rytm piosenki *Ja jestem pies na to* (do dzisiaj znana w powojennym wykonaniu Stefci Górskiej). Choć Járosy znał kod, przestraszyła się własnego gestu. „Błyskawicznie przygotowałam się do ucieczki, na wyższe piętro, ale nie zdążyłam. W mieszkaniu rozległ się łomot, drzwi otworzyły się i wpadłam w ramiona Fryderyka, nie, Franciszka, już nie wiem czyje, ale najcieplejsze, najserdeczniejsze,

swoje"[27] – napisze w książce *Urodził go „Niebieski Ptak"*. A może jednak zadzwoniła dzwonkiem? Może mniej ważne jest to, jak było, niż to, jak wyobraźnia potrafiła przekształcić wspomnienie.

Pamięć i procesy zapamiętywania są złożone, silnie zależne od emocji, nastroju, samopoczucia, stanu psychicznego. Niepamięć nie zawsze odpuszcza. Czasami jest wybawieniem, najlepszym ze schronień.

W ostatniej ze swoich książek, wydanej w 2007 roku *Nie ma z czego się śmiać*, Grodzieńska wyjaśni element wspólny dla wszystkich swoich autobiograficznych publikacji: niemówienie wprost o dwóch latach w getcie. O wszystkim, co z tym związane, co tam przeżyła i co widziała.

> Nastąpił okres, o którym do teraz staram się zapomnieć, nigdy o nim nie mówię, a jeśli mam najmniejsze podejrzenie (a miewam je często), że może mi się przyśnić – natychmiast zaczynam myśleć o Odetcie-Odylli albo że jestem udomowioną blondynką z piersiami, nucącą sobie *Gdyby rannym słonkiem*. Więc, powodowana bezgranicznym zaufaniem do moich czytelników, proszę Was jak własnych: przyjmijcie, że brakujący okres zgubiłam z powodu należnej sklerozy, odśpiewajcie chórem to ranne słonko i razem ze mną przejdźcie do następnego etapu.[28]

Przez mieszkanie numer 33, w domu Pocztowej Kasy Oszczędności przy Filtrowej, odbywa się tranzyt broni, pieniędzy dla AK, ale też uciekinierów z dzielnicy żydowskiej. Zanim z tego miejsca trafią do kolejnego punktu – bez względu na to, czy będzie to następna kryjówka, czy praca pozwalająca na kontakt z innymi ludźmi – przechodzą przez „szkołę aryjskości" w pokoju Fryderyka Járosyego.

Z tak zwanym dobrym wyglądem łatwiej było znaleźć zajęcie, ale nie chodziło wyłącznie o fizjonomię. Równie ważne okazywały się sposób mówienia, mimika i spojrzenie.

Stefania przygląda się temu, jak Fryderyk przygotowuje inne osoby, które uciekły z getta, do tego, by mogły choć na chwilę wyjść na warszawską ulicę. By łatwiej było im poskromić przerażenie, żeby miały do tego jakiekolwiek narzędzia. Strach, gdy tylko zaczęła się akcja, był większy i większy. Polowania na Żydów po aryjskiej stronie, zaglądanie w oczy, szmalcownicy czekający już za murami getta, odbierający wszystko, co uciekinierzy mieli ze sobą, a potem szantażujący, ustanawiający i podwyższający opłaty za niedekonspirowanie – były przygniatającą codziennością tych, którzy zdołali się wydostać z getta.

Lekcje w pokoju Járosyego obejmowały też szereg spraw drobniejszych: wiedzę o tym, ile kosztuje chleb – i wreszcie – ile kosztuje bilet tramwajowy. A przede wszystkim dawały ludziom najcenniejsze ze wzmocnień: wiarę w to, że sobie poradzą, że przeżyją. „Co wcale nie znaczy, że tak się zdarzy istotnie"[29] – gorzko stwierdzi Grodzieńska.

Fryderyk zorganizował dla niej pracę pod Warszawą. Bardzo dobrą. Dom, dwójka dzieci, właścicielka zaangażowana w konspirację wynajmuje mieszkanie w Warszawie, u siebie zjawia się tylko w weekendy. Trzeba zająć się jej mężem i synami. Nakarmić, oprać, oporządzić.

– Trochę była przerażona – opowiada po ponad ośmiu dekadach Jacek Kijkowski.

Kiedy Stefania Grodzieńska pojawiła się w domu jego rodziców późnym latem 1942 roku, miał osiem lat, a jego brat Piotrek był młodszy o dwa lata. Mieszkali w Gołąbkach przy ulicy Wiejskiej 7 (obecnie to Koronacyjna), dokąd docierało się z Warszawy etapami: linią EKD do Włoch, a stamtąd kilka kilometrów piechotą. – Była przerażona tym, że musiała stać się gospodarzem, naszą opiekunką i nauczycielką, bo mama działała w wywiadzie Komendy Głównej Armii Krajowej i ciągle jej nie było w domu – wyjaśnia Kijkowski.

Zofia Kijkowska, wychowana w Anglii i Francji, dobrze obeznana z kulturą nowożytnej Europy i biegle posługująca się jej dwoma głównymi językami, przyglądała się uważnie Grodzieńskiej, kiedy wieczorem przemierzały trasę do Gołąbek. „Usiłowałam mieć pogodną, naturalną minę i zrobić dobre wrażenie, ale z jej zachowania nic nie mogłam wywnioskować"[30] – napisze Stefania.

Weszły do domu. Kijkowska zawołała dzieci i powiedziała: „To jest Stefa, będziecie ją kochać"[31].

Zofia pracowała w Oddziale II AK – informacyjno-wywiadowczym, działała także w tajnej Radzie Pomocy Żydom – Żegocie. Była świetnie zorientowana w lokalach konspiracyjnych, a w jej domu w Gołąbkach – jak widział to jej mąż, Gabriel – było „wszystko, co niedozwolone, z wyjątkiem niekolczykowanej świni"[32].

Grodzieńska ukrywała się tam przez kilkanaście miesięcy. Nie ona jedna.

Gabriel przed wrześniem 1939 roku był specjalistą od międzynarodowego prawa lotniczego, pracował w Ministerstwie Komunikacji. A w czasie wojny był urzędnikiem na stacji kolejowej Włochy. Matka Gabriela była rzeźbiarką, córką pisarza Teodora Tomasza Jeża, czyli Zygmunta Miłkowskiego. W oczach Stefanii Kijkowscy pozostaną jednak parą skromnych ludzi. To, że trafiła do ich domu, będzie uznawać za wielkie szczęście.

Jerzy Jurandot zapisze: „ludzie o największym sercu, jakich spotkałem w życiu"[33].

Czy ośmioletni Jacek Kijkowski polubił Stefanię od razu?

– Nie za bardzo. Zmuszała nas do różnych rzeczy i robiła to, jak by to powiedzieć, nieudanie. Były dyskusje, a potem się to skończyło.

Dwudziestoośmioletnia Stefania musiała nauczyć się prać i sprzątać, i gotować, i przekazywać wiedzę, a Kijkowski zapamiętał, że początkowo nienajlepiej jej to wychodziło. Ale opanowała

wszystko, zmieniła się i okazała wszechstronnie uzdolniona. Zapytany o to, za co najbardziej ją lubił, Kijkowski odpowiada prosto i ciepło: – Za wszystko. – A pytany dalej o to, czy jego własne serdeczne i wesołe usposobienie, które zauważam, to efekt nauk pobieranych u Stefy oraz Jurka, którego także wspomina jako bardzo pogodnego, odpowiada: – Samo przyszło. Dzięki nim właśnie.

Najweselej było, gdy co jakiś czas pojawiał się w Gołąbkach Fryderyk Járosy, zwany przez chłopców Franusiem, bo niezmiennie ukrywający się jako Franciszek Nowaczek. Wystawiano wtedy domowe przedstawienia, śpiewano piosenki, na fortepianie grała Helena Ostrowska – śpiewaczka operowa z Feminy. Przedzierała się z getta w styczniu 1943 roku, z trzyletnią córeczką Joasią na rękach. Przewodnik wziął pieniądze i zostawił ją w labiryncie kanałów. Błądziła. W końcu cudem trafiła na grupę innych uciekinierów, a potem do kryjówki Fryderyka. Stamtąd do Gołąbek.

– Kiedy zaczęły się te spotkania artystyczne, atmosfera stała się znakomita, było bardzo wesoło. Nie czuło się wojny – podkreśla Kijkowski. – Járosy pokazywał nam różne cuda, sztuczki. Jednej się nauczyłem: wciskania monety w łokieć. Gdy zacząłem chodzić do szkoły, pokazywałem to kolegom.

Chłopcy, ze względu na sytuację w domu, nie spotykali się z rówieśnikami. Stefa uczyła ich polskiego i historii, Jurek – chemik z wykształcenia – przedmiotów ścisłych.

On także był domownikiem w Gołąbkach i podobnie jak Grodzieńską traktowano go jak członka rodziny .

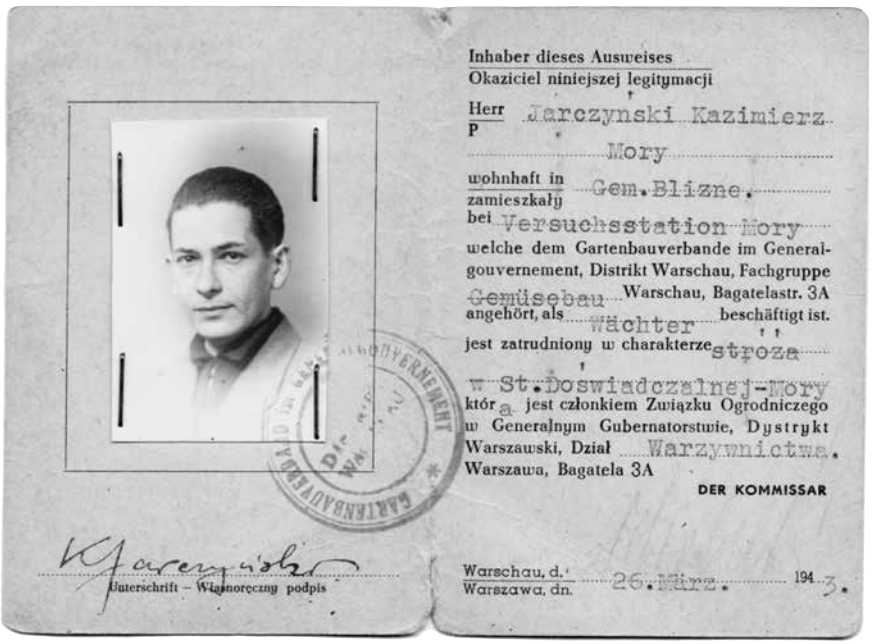
Po ucieczce Stefanii Jerzy Jurandot trafił na Umschlagplatz. W *Mieście skazanych* napisał o Szymonie Stocku, ojcu Joli i słynnym szmuglerze, który najpierw zasymulował bójkę z Jerzym i odciągnął go na bok, a potem błyskawicznie dostarczył mu biały kitel. Dzięki temu Jurandot opuścił miejsce w kostiumie lekarza i wrócił w głąb getta. Ostatecznie udało mu się wydostać na aryjską stronę. Dotarł do mieszkania Járosyego, stamtąd do Mor – leżących około

trzech kilometrów od Gołąbek – gdzie miał zapewnioną pracę nocnego stróża i schronienie.

W Morach wciąż funkcjonowała przedwojenna stacja doświadczalna nasiennictwa i rozpościerało się ogromne pole pomidorów, na którym hodowano dziesiątki różnych odmian. Instytut prowadziła Bronisława Cholewińska, zwana przez chłopców w Gołąbkach, i nie tylko nich, Niusią (zresztą dzieci do wszystkich odwiedzających je dorosłych zwracały się po imieniu). Mniej więcej pięćdziesięcioletnia Niusia była inżynierką rolnictwa, ale też poliglotką, kobietą niezamężną, piszącą wiersze i teksty piosenek. Krzepka i energiczna, wzbudzała respekt wśród niemieckich administratorów, którym podlegał majątek w Morach. Niemniej szanowali ją też pracownicy, z którymi – gdy pojawiała się ku temu okazja, na przykład porażka wroga – potrafiła spędzać długie wieczory przy alkoholu. Hulanki uzupełniał zawsze jakiś program artystyczny, przygotowany przez Niusię. Jacek Kijkowski również zapamięta jej udział w występach w Gołąbkach. A jednak Mory były przede wszystkim komórką zatrudniania i przechowywania ukrywających się ludzi, wydawania fałszywych dokumentów, a także dostarczania warzyw głodującym z całej okolicy[34].

Jurandot w stacji doświadczalnej kamuflował się jako Kazimierz Jarczyński[35]. Był jednym z trzech nocnych dozorców. W Morach zresztą mężczyzn było niewielu, pracowały tam głównie kobiety.

Jerzy bardzo często bywał w Gołąbkach. Rano, po skończeniu nocnej zmiany, przynosił mleko i zostawał do wieczora. Byli więc ze Stefanią blisko. Drzwi do świata ich uczuć, intymności, więzi, poczucia bezpieczeństwa, które nawzajem sobie dawali, uchylają się dzięki dwóm wierszom. Ich kontekst i późniejsze dopiski Grodzieńskiej każą przypuszczać, że oba powstały w okresie Mor/Gołąbek. Przechowywane w domowym archiwum przez blisko siedemdziesiąt lat, musiały być cennymi skarbami[36].



Inhaber dieses Ausweises
Okaziciel niniejszej legitymacji

Herr / P Jarczynski Kazimierz

Mory

wohnhaft in / zamieszkały Gem. Blizne.

bei Versuchsstation Mory

welche dem Gartenbauverbande im Generalgouvernement, Distrikt Warschau, Fachgruppe Gemüsebau Warschau, Bagatelastr. 3A angehört, als Wächter beschäftigt ist.

jest zatrudniony w charakterze stroża

w St. Doświadczalnej-Mory

który jest członkiem Związku Ogrodniczego w Generalnym Gubernatorstwie, Dystrykt Warszawski, Dział Warzywnictwa. Warszawa, Bagatela 3A

DER KOMMISSAR

Unterschrift – Własnoręczny podpis

Warschau, d. / Warszawa, dn. 26. März 1943.

Jerzy Jurandot, czyli Kazimierz Jarczyński – stróż z Mor,
który pisał do gosposi z Gołąbek: „Noc utkana jest z ciszy i woni
(W tym tygodniu dyżuruję w nocy, W środku pola kwitnących lewkonii)"

Lśni ogienek papierosa sierocy,
Noc utkana jest z ciszy i z woni
(W tym tygodniu dyżuruję w nocy
W środku pola kwitnących lewkonii)

Reflektory szukają na niebie
Przegrzmiał szosą niemiecki motocykl
A ja siedzę tutaj pełen Ciebie,
Nieobecny, zagubiony w nocy

Tak Jerzy zaczyna swój wiersz, wzruszający, ale i zabawny. Wspomnienia, nadzieja i tęsknota, marzenia i plany, w których zatopiony jest nocny stróż, tkwiący pośrodku łanów lewkonii, zwiększają szansę złodzieja na kradzież. Ale co tam, o tej porze kradną głównie kwiaty – niech więc kradną. Stróż – „śmieszny facet" – choć minęło już trochę lat od ślubu, wciąż jest zakochany we własnej... żonie. To ostatnie słowo jest pokreślone, a bazgroły ołówka są może listkiem figowym, mającym ukryć prawdę o relacji stróża z Mor i gosposi z Gołąbek.

Stefania odpowiada bardziej retro, sentymentalnie, lecz nastrój, przepływ uczuć, poddawanych przecież stale najcięższym życiowym próbom, są ujmujące.

Moja łza jest jak kula magiczna
Z której przeszłość możesz odczytać
Nasza przeszłość – młoda liryczna –
Bajka, nicią bliskości zeszyta

Każda z chwil naszych w kuli tej błyszczy...
Pierwsze lato – pamiętasz o lecie?
Ty – ze wszystkich na świecie najbliższy!
Ty – co kochasz mnie, jak nikt na świecie!



Piotrek i Jacek Kijkowscy, mali mieszkańcy Gołąbek,
którym Grodzieńska zadedykowała tomik *Dzieci getta*.
„Ukochanej, jedynej Stefie. Nasze Dzieci",
napisali chłopcy na odwrocie tego zdjęcia

Wszystkie długie rozmowy, krótkie rozstania i rozpacze, wspólny głód, strach, cierpienie, dobre chwile, których nikt nigdy nie odbierze, spajają ich więź. „Mój mężu przed Bogiem i sercem", „jedyny, któremu ja wierzę" – zwraca się Stefa do Jurka. I chce się wtulić jak w głęboki fotel: w jego serce, ramiona i myśli.

To przy Wiejskiej 7 Jurandot spisuje swoje wspomnienia z getta.

> Jest jesień.
>
> Prawdziwa złota polska jesień, taka jakiej dotychczas właściwie nie miałem okazji oglądać.
>
> W normalnych czasach o tej porze rozpoczynał się w Warszawie sezon teatralny, na gwałt pisało się program otwarcia, potem przychodziła gorączka prób, wreszcie premiera, recenzje, konkurencje z innymi teatrzykami. I jeżeli nawet napisałem w tym okresie tradycyjną piosenkę jesienną dla programu, to opierała się ona głównie na obserwacjach z Saskiego Ogrodu czy Łazienek.
>
> A teraz siedzę w wygodnym trzcinowym fotelu w ogrodzie podmiejskiej willi, gęstym żywopłotem osłonięty od ulicy, i przed oczyma mam jesień w całym jej kolorowym przepychu. Mógłbym tak siedzieć i patrzeć bez końca.
>
> Od tych drzew, od tego nieba idzie wielki spokój i spokój ten powoli wchodzi we mnie, i ogarnia mnie. Od dwóch lat nie widziałem nieba ani drzew.[37]

„A przecież wystarczyłoby, żeby jakieś niepowołane oko dojrzało przez szparę w żywopłocie mnie lub moją żonę, która obok na trawie czyta książkę, abyśmy to natychmiast przypłacili życiem"[38] – dodaje.

Tekst *Miasta skazanych* zakopie w słoiku w ogrodzie Kijkowskich – razem ze zbiorem wierszy *Dzieci getta* Grodzieńskiej, zadedykowanym Jackowi i Piotrkowi. Oboje więc po wyjściu z war-

szawskiej dzielnicy zamkniętej zaczęli przepracowywać swoje wspomnienia, ale też, jak się wydaje, chcieli je po prostu zachować dla przyszłych pokoleń jako świadectwa.

O tym, co działo się w getcie, gdy Jurandotów już w nim nie było, pisał między innymi Jan Karski – świadek jego końca, który chciał uratować miliony, a, czego był boleśnie świadom po kilkudziesięciu latach, nie mógł uratować nikogo. Pamięć, pamiętanie, świadectwo. To wszystko łączy się z Karskim, lecz sam Karski łączy się zaskakująco ze Stefanią Grodzieńską.

Spotkali się w getcie – w restauracji Adaś przy Lesznie 19, którą Stefania zapamięta jako dobrą, drogą i taką, gdzie jadają gestapowcy[39]. Dla większości mieszkańców dzielnicy zamkniętej było to miejsce, które podziwia się tylko zza witryny, przed którym można stanąć i próbować rozpoznawać potrawy po ich ledwie wyczuwalnym zapachu, niosącym się po ulicy. A były to najlepsze restauracyjne dania, befsztyki, gęsiny czy torty, które zjadało się nad białymi obrusami, przy subtelnym świetle lamp karbidowych i w asyście kelnerów w ciemnych strojach. W menu znajdowały się także francuskie wina[40].

Janina Bauman, która jako nastolatka trafiła do getta, wspominała, że kiedyś poszła do Adasia z mamą i siostrą Zosią. Ceny były zatrważające, ale mama nie chciała sprawić zawodu córkom, „więc zostałyśmy i zamówiłyśmy najtańsze z możliwych dań: rosół z makaronem, czulent i jakiś budyń z sokiem wiśniowym. To była prawdziwa uczta, najlepszy nasz posiłek od lat"[41].

Stefania Grodzieńska spotkała Jana Karskiego przed wejściem do restauracji. „Czy mogę panią zaprosić na obiad?" – usłyszała. Starała się być dystyngowana i nie zdradzić głodu, poprosiła więc, by to on zamówił – nie wiedziała, na co go stać. Podczas posiłku Karski wypytywał ją o realia getta i dał do zrozumienia, że w razie potrzeby może na niego liczyć. Na tym spotkanie się skończyło.

Na tym skończyło się też wspomnienie Stefanii o Karskim, przysłoniły je widmo głodu i pamięć nie samego smaku potraw – lecz tego, jak opowiadała rodzinie o tym, co jadła. A wszyscy słuchali rozpromienieni.

Byli rówieśnikami z wielonarodowej Łodzi: on katolikiem, ona dziewczynką wychowaną w zasymilowanej rodzinie żydowskiej. Ona została tancerką i aktorką, on – prawnikiem i dyplomatą. Po wojnie Karski ożeni się z koleżanką Stefanii, Polą Nireńską, uczennicą, podobnie jak Irena Prusicka, niemieckiej pionierki tańca wyrazistego, Mary Wigman. Grodzieńska zapamięta, że Karski Polę uwielbiał.

Działał w konspiracji, był kurierem Polskiego Państwa Podziemnego. W czasie jednej z misji torturowano go tak bardzo, że z braku sił, z wściekłości i zalewającej go nienawiści próbował podciąć sobie żyły. Stefania była w getcie, cały czas miała kontakty z konspiracją. Karski był autorem licznych raportów dotyczących sytuacji na okupowanych ziemiach Polski, w tym raportu – jeszcze z 1940 roku – o losie polskich Żydów[42]. Grodzieńską – w grudniu 1939 roku – „Nowy Kurier Warszawski", wydawany przez władze okupacyjne, piętnował jako Żydówkę, choć jedną z gwiazd „polskiego tylko z nazwy"[43] baletu. Zresztą nazwisko Glajchgewicht/Grodzieńskiej pojawiło się tam obok Nirensteinówny/Nireńskiej. Cały tekst był poświęcony twórcom, którzy „zażydzili" polski teatr.

Żaden z punktów przecięcia w życiorysach Karskiego i Grodzieńskiej nie wskazuje na to, by mogli się spotkać podczas wielkiej akcji likwidacyjnej, choć z tą właśnie chwilą kojarzy się przede wszystkim obecność Jana Karskiego w getcie, opisana przez niego w *Tajnym państwie*[44].

Takie spotkanie nie byłoby już możliwe: nie tylko faktograficznie – gdy Karski wchodzi na przełomie sierpnia i września 1942 roku do getta[45], Stefanii już w nim nie ma – ale też dlatego, że kurier staje wtedy wobec rzeczywistości zupełnie innej niż ta,

która mogła jeszcze pomieścić obiad w Adasiu. Jego przewodnicy uprzedzili, że do końca życia nie zapomni scen, które zobaczy. Potem powtarzają mu: zapamiętaj, zapamiętaj, zapamiętaj. To obrazy bez białych obrusów i subtelnego światła restauracji przy Lesznie. Obrazy, które Karski nazwie: nie z tego świata. „Oni nie wyglądali jak ludzkie istoty". „Nie mógłbym tego znieść po raz kolejny, ale napisałem raport"[46].

Kurier Polskiego Państwa Podziemnego został poproszony przez dwóch działaczy żydowskiego podziemia, Menachema Kirszenbauma (przedstawiciela syjonistów) oraz Leona Feinera (reprezentanta Bundu), o wejście do getta, w którym trwają deportacje. Zanim 21 września ostatni pociąg odjechał z Umschlagplatzu do Treblinki, Karski miał zobaczyć tę rzeczywistość, by przygotować wiarygodny raport o mordowaniu Żydów i przedłożyć go establishmentowi alianckiego świata. Ani polskie podziemie, ani żydowskie nie było w stanie powstrzymać eksterminacji – mogła ją zatrzymać tylko interwencja sprzymierzonych mocarstw. Lecz w Londynie czy Nowym Jorku nikt nie miał pojęcia o tym, co się dzieje w Warszawie.

Prawdopodobnie Karski wszedł do dzielnicy żydowskiej w czasie krótkiej przerwy w deportacjach, kiedy jej mieszkańcy nie byli wypędzani na Umschlagplatz[47].

> Miałem na sobie stary, podniszczony garnitur, a na głowie czapkę naciągniętą na oczy. Starałem się sprawiać wrażenie bardzo mizernego i chudego. U mego boku szli dwaj typowi mieszkańcy getta: wynędzniali, w łachmanach, wychudzeni i wygłodzeni. Przedostaliśmy się na teren getta potajemnym przejściem, które pewnie zostałoby od razu odkryte, jeśliby ktoś porządnie skontrolował tę dzielnicę.[48]

Karski, notując szczegóły, rejestrując także swoje gesty, reakcje i emocje, opisał w *Tajnym państwie. Opowieści o polskim Podziemiu*: głód, nieszczęście, odór rozkładających się ciał, jęki umierających

dzieci i ciężkie oddechy osób, które na przekór wszystkiemu nie chciały wypuścić życia z rąk.

Poczucie nierzeczywistości – to wybija się na pierwszy plan w jego relacji. Nierzeczywiste wydały mu się nazwy ulic, sklepów i budynków oznaczone „w starym hebrajskim języku"[49]. Nierzeczywiści byli odkarmieni niemieccy żandarmi, odcinający się na tle mieszkańców. Nierzeczywiste było to, że ludzie, gdy umierali, byli wynoszeni bez ubrania na ulice – rodziny nie było stać na podatek pogrzebowy zarządzony przez Niemców, a każdy łach mógł się jeszcze komuś na coś przydać. Nierzeczywisty był system, w którym eliminowało się ludzi, począwszy od tych starych, schorowanych, zniedołężniałych, oszczędzając chwilowo tych, którzy jak placówkarze, robotnicy w szopach pracujący na rzecz niemieckiej gospodarki, jeszcze byli użyteczni.

Paniczny strach poraził wszystkie mięśnie Karskiego, gdy wciągnięty do jednego z domów obserwował przez szybę polowanie na ludzi w wykonaniu dwóch młodych mężczyzn.

> Zerknąłem przez szparę. Pośrodku ulicy stało dwóch wyrostków w mundurach Hitlerjugend. Nie mieli czapek, a ich blond włosy lśniły w słońcu. Ze swoimi pulchnymi, rumianymi twarzami i błękitnymi oczami wyglądali jak okazy zdrowia i żywotności. Rozmawiali, śmiali się, poszturchiwali nawzajem rozbawieni. W pewnej chwili młodszy wyciągnął z kieszeni spodni pistolet i wtedy wreszcie dotarło do mnie, czego będę świadkiem. Tamten rozglądał się, szukał czegoś wzrokiem. Celu. Szukał celu do strzału z beztroskim, radosnym zapałem chłopaka bawiącego się na festynie.[50]

Ulica wyludniła się, lecz młodzieniec znalazł cel. Trafił.

Po pierwszym dniu w getcie Jan Karski był – jak można przypuszczać na podstawie jego wspomnień – skrajnie wyczerpany nerwowo. Z dzielnicy zamkniętej wybiegł w stronę świeżego powietrza

i wody. „Wszystko tam, w getcie, wydawało się skażone śmiercią, odorem rozkładających się zwłok, brudu i zgnilizny. Starałem się tam nie dotykać ścian, nie ocierać się o ludzi. Odmówiłbym wypicia wody w tym mieście śmierci, nawet gdybym umierał z pragnienia”[51].

Dwa dni później wszedł do getta ponownie, żeby móc zapamiętać jak najwięcej i powiedzieć o tym, co dzieje się w Warszawie, elitom wolnego świata. Najbardziej znany emisariusz Polskiego Państwa Podziemnego wszedł też na teren obozu przejściowego w Izbicy, skąd wywożono ludzi na śmierć do obozów zagłady w Bełżcu i Sobiborze. Karski rozmawiał o Holokauście z brytyjskim pisarzem H.G. Wellsem, złożył swój raport u ministra spraw zagranicznych Anglii, spotkał się z prezydentem USA Franklinem Delano Rooseveltem i z amerykańskim sędzią sądu najwyższego Felixem Frankfurterem, który nie mógł uwierzyć w to, że Zagłada dzieje się naprawdę. Wierzył Karskiemu, ale nie mógł uwierzyć w to, co słyszy.

Z braku pomysłu na to, co państwa alianckie właściwie mogłyby zrobić, żeby zatrzymać Zagładę, nie wydarzyło się nic. W listopadzie 1944 roku *Tajne państwo* ukazało się w USA, gdzie stało się bestsellerem. Opinia publiczna dowiedziała się o mordowaniu Żydów, lecz wciąż to, co dotarło do świadomości czytelników, było promilem – promilem całości, która nie mieściła się w żadnej głowie.

O warszawskim getcie Karski opowie w 1985 roku w słynnym dokumencie *Shoah* Claude'a Lanzmanna – dziewięcioipółgodzinnym filmie, który zainicjował dyskusję o Holokauście, zagrzebanym w pamięci wielu od dziesiątek lat, także w pamięci autora *Tajnego państwa*. „Trzydzieści pięć lat po wojnie nie wracam do przeszłości. Jestem wykładowcą od dwudziestu sześciu lat. Nigdy nie wspomniałem moim studentom o kwestii żydowskiej”[52] – powie Karski, nie patrząc w kamerę. Za chwilę doda: „Wracam teraz trzydzieści pięć lat wstecz. Nie, nie wracam. W gruncie rzeczy... Nie!” – te proste słowa wypowiada człowiek, nad którym

zaczynają brać górę gwałtowne, trudne do opanowania emocje. Prawa dłoń unosi się i opada, potem znowu unosi się i drży. Ciało wychyla się do przodu, twarz wykrzywia w grymasie płaczu. Jan Karski, człowiek smukły, dystyngowany, w szarościach garnituru idealnie dopasowanych do karnacji i odcienia siwych włosów, raptownie wstaje, nieomal wywracając się, gdy długimi nogami przekracza meble. Wychodzi. Mówi przy tym: „Dobrze, ja wrócę".

I wróci w *Shoah* do warszawskiego getta, a po policzkach popłyną mu łzy. Przejmująca szczerość jego opowieści i uczuć zostanie doceniona: następnego dnia po emisji dokumentu studenci Uniwersytetu Georgetown w Waszyngtonie nagrodzą go owacjami na stojąco. Film przywróci publicznej pamięci ten wymiar jego biografii, o którym przez lata niemal nie mówił.

Swoją drogę i misję Jan Karski streści w jednej zasadzie: „Kiedy pojawia się możliwość, wykorzystaj ją"[53].

W getcie, już bez Jerzego i Stefanii, stało się to, przed czym nie było ratunku.

Pewnego dnia do Gołąbek przyjechała Zofia Kijkowska i powiedziała Grodzieńskiej, że rodziców już nie ma.

Gdy zakończyła się akcja, jesienią 1942 roku, w getcie zostało jawnie około trzydziestu pięciu tysięcy osób (nielegalnie znacznie więcej), głównie młodych ludzi – większość stanowiły grupy trzydziestolatków, w dalszej kolejności: dwudziesto- i czterdziestolatków[54]. W styczniu 1943 roku przyszła kolejna akcja wysiedleńcza. Do pociągów jadących do Treblinki Niemcy wsadzili pięć tysięcy osób, ponad tysiąc zostało zabitych. Ludzie cały czas uciekali. A potem, 19 kwietnia, ci, którzy to wszystko przetrwali, nie złożyli broni, tylko za nią chwycili. Do getta weszły zwarte oddziały niemieckie wsparte pojazdami pancernymi – zdeterminowane, by szybko rozprawić się z oporem. Naprzeciw nich stanęły oddziały miejskiej partyzantki, młodzi połączeni przyjaźnią, wspólną tożsamością i wspólnym losem. Mieli koktajle Mołotowa,

chałupniczej roboty bomby i zbyt mało pistoletów oraz karabinów. Walczyli jednak do 16 maja. A Niemcy palili dom za domem, o ile nie wysadzili ich już wcześniej w powietrze.

Jacek Kijkowski zapamięta, że Jurek i Stefa, zawsze dobrzy i pogodni, płakali tylko raz.

– Nad Warszawą stał słup dymu. Getto się paliło. I oni płakali.

> Getto płonie. Cała północna strona miasta spowita jest czarnym gryzącym dymem. Z czarnej czeluści dobiegają od czasu do czasu głuche detonacje i strzały karabinowe. Ruch tramwajowy w sąsiedztwie palącej się dzielnicy wstrzymano, kto chce się przedostać z centrum na Żoliborz, czyni to na własne ryzyko. Ściągnięta ze wszystkich stron straż ogniowa dniem i nocą zapobiega przerzuceniu się [ognia] na aryjską stronę, bezczynnie przyglądając się, jak czerwona śmierć zagarnia coraz nowe domy wyklętej dzielnicy[55]

– pisał Jurandot. Nieco dalej dodawał: „Wiatr przynosi do naszego ogrodu zwęglone skrawki papieru. Spoglądając pod światło, widzi się wyraźnie litery hebrajskiego alfabetu. Trudno opisać uczucie, z jakim patrzy się na te strzępy umierającego świata"[56].

Podczas powstania Jurandotowie prawdopodobnie pojechali do Warszawy, co musiało wiązać się z ogromnym ryzykiem.

Grodzieńska, jako gosposia, wychodziła czasami po zakupy, ale starała się robić to jak najrzadziej, choć ukrywała się u Kijkowskich w pewnym sensie legalnie. Jej obecność nie budziła podejrzeń, bo cała okolica wiedziała, że Zofia i Gabriel długo szukali osoby do opieki nad domem i synami. Mimo to Jacek Kijkowski zapamięta, że ze Stefą nie zapuszczali się dalej niż do ogrodu.

W opowiadaniu *Miłość tragiczna*, którego bohaterem jest Hilary, Jerzy Jurandot napisze jednak:

> Drugiego dnia walk w getcie od rana byłem już z żoną w Warszawie. To, co nas tu ciągnęło, było silniejsze niż rozsądek, który nakazywał pozostanie w cichym domku z ogródkiem pod kwitnącą czereśnią, silniejsze niż instynkt, który ostrzega przed śmiercią. Po prostu musieliśmy być blisko tych ludzi, którzy teraz tam ginęli, choć – niestety – nic im nie mogliśmy pomóc...[57]

Getto bohaterowie opowiadania obserwują z okolic Dworca Gdańskiego, z mieszkania znajomych. Nagle przez lornetkę dostrzegają człowieka. Stoi na balkonie jednej z najwyższych gettowych kamienic i próbuje zamontować na ścianie biało-czerwoną płachtę.

Trudno rozsądzić, co w tym opowiadaniu jest prawdą, a co – wytworem pamięci i wyobraźni. Zwłaszcza gdy mowa o losach adoratora Grodzieńskiej.

Krystyna Żywulska w *Pustej wodzie* określi Hilarego słowami „rozpieszczony dobrobytem"[58]. Napisze, że nie rozumiał głodu, nawet gdy go czuł. I że jego rodzice mieli kilka kamienic po aryjskiej stronie, w których Hilary mógłby się ukryć, ale nie chciał tego robić. Bo się bał, bo oznaczałoby to dla niego życie w zamknięciu. Ale w końcu z getta uciekł. O tym pisał już Jurandot. Że Hilary zapłacił gigantyczne pieniądze za to, by zamknięto go w trumnie i dotransportowano na cmentarz. Stamtąd wydostał się przez mur. Nie potrafił jednak żyć po aryjskiej stronie. „Jego wygląd, jego zachowanie, jego sposób bycia zbyt jaskrawo odstawały od otoczenia. To, co było w środku, stawało się nieważne, to, co było na zewnątrz, musiało ludzi razić"[59] – zanotuje Jerzy.

Hilary, według opowiadania Jurandota, wrócił do getta.

„Nagle moja żona chwyciła mnie za ramię i ścisnęła aż do bólu. Spojrzałem na nią, patrzyła na miotającego się z chorągwią człowieka, a w oczach miała wyraz, którego nigdy nie zapomnę. Widziała przy tym, że jest w tym wszystkim coś, czego jeszcze nie rozumiem"[60].

Hilary. To był Hilary. Zamocował polską flagę, a potem trafił w niego pocisk z niemieckiego karabinu.

W Gołąbkach ukrywała się też pewna Natalia. Bała się podchodzić do okien. Grodzieńska zapamięta, że kobieta miała „zły wygląd", co „nie polegało tylko na rysach. Chodziło przede wszystkim o wyraz twarzy i w pewnej mierze o zachowanie. Do tego Natalia była śmiertelnie przerażona, co wykluczało nadzieję, że w razie czego zagra bezczelnością (Niemcy mało się znali na wyglądzie)"[61].

Nie wiadomo, jak długo Natalia przebywała w Gołąbkach. Nie mogła zostać przy Wiejskiej, zresztą Jacek Kijkowski zapamiętał, że od czasu, gdy ukrywała się tam Stefa i przychodził Jurek, poza Heleną Ostrowską i jej córeczką właściwie nie było już miejsca dla nikogo więcej. W końcu Zofia Kijkowska znalazła dla Natalii inne schronienie. A potem dowiedziała się, że Natalia wyszła na ulicę, nikomu nic nie mówiąc.

Nie wróciła.

17 marca 1944 roku przyjechało do Gołąbek gestapo. To była obława, szukano Zofii Kijkowskiej. Wspomnienie tego dnia będzie do Stefanii Grodzieńskiej wracać – jak coś, czego nie da się wymazać, usunąć, zniszczyć[62].

Stefania na strychu przebierała kapustę. Porzuciła kupki ze zwiędłymi liśćmi, założyła chustkę na głowę, a potem jeszcze fartuch, i zbiegła po schodach w pełnym stroju gosposi, mając nadzieję, że Helena Ostrowska, która ukrywała się z córeczką przy Wiejskiej jako Irena Jabłońska, nie zostanie odnaleziona.

W tak niebezpiecznej sytuacji ważne było, żeby każdy zachowywał się „normalnie", został na swoim miejscu, w swojej roli.

Jacek Kijkowski zapamiętał:

– Kiedy Helena ich zobaczyła, zaczęła strasznie krzyczeć: „Ja nie jestem Żydówką!". Wtedy już wiedzieli.



Kenkarta Stefanii Grodzieńskiej z 1943 roku

Stefania Grodzieńska napisze: „Nie, nie mogliśmy mieć za złe Heli, że od razu się złamała. Powtarzała bez sensu swoje: nazywam się Irena Jabłońska, mam dokumenty”[63].

W dużym samochodzie było kilkunastu gestapowców – skala obławy odzwierciedlała zapewne wysoką pozycję Zofii Kijkowskiej w konspiracji. Grodzieńska nie zapomni słów Heleny, która mijając ją, zdążyła jeszcze poprosić, żeby ratowała dziecko. Stefania zapamięta własną daremną próbę zatrzymania Niemców: zaczęła przekonywać ich, że sublokatorki nie są żadnymi Żydówkami, że po co zabierać dziecko.

Helena Ostrowska została rozstrzelana tego samego dnia na Pawiaku. Zginęła pod nazwiskiem Jabłońska, najwyraźniej do końca nie przyznając się do prawdziwej tożsamości. Jej czteroletnia córeczka Joasia, która w Gołąbkach była Zosią, zginęła razem z mamą.

Po niej imię będzie nosić Joanna, córka Stefanii i Jerzego.

Co z obławy zapamiętał jeszcze Jacek Kijkowski?

– Wezwali mnie. Ojca wypytywali, a mnie kazali usiąść obok. Potem mnie też wypytywali. Mówię do ojca: „Przecież miałeś tego nie mówić”. On na to: „Nie, nie, spokojnie, oni już i tak wiedzą”.

Czy się bał?

– Niespecjalnie. Byłem dzieckiem.

Następnego dnia rano chłopcy sami, z kartką od ojca, poszli do zaprzyjaźnionych z rodziną państwa Zuchowczów, którzy także mieszkali w Gołąbkach[64]. Gabriel Kijkowski został przy Wiejskiej. Gestapo wróciło.

„Pozostali tam kilka dni. Niczego się nie dowiedzieli. Zanim opuścili dom, wezwali sąsiadów, aby zakopali zwłoki Gabriela w ogrodzie. Dom ostemplowano”[65] – napisze Grodzieńska.

Atmosferę życia w Gołąbkach, które zakończyło się 17 marca 1944 roku, pomagają uchwycić trzy dokumenty z domowego archiwum Stefanii Grodzieńskiej – tych najbardziej osobistych rzeczy nie ma

w nim wiele, a więc podobnie jak wiersze Jerzego i Stefanii, musiały to być ogromne skarby.

Pierwszy to list Piotrka. „Kochana Stefo – zaczyna kilkulatek – wojna jusz niedługo się skończy. Jesteś miła. Całuję Cię mocno. Piotr"[66]. Liścik został zamknięty w kwadratowej kopercie, wykonanej z ręcznie poskładanego papieru – i z własnoręcznie zrobionym znaczkiem.

Kolejny to wierszyk. W rolach własnych zostali w nim obsadzeni Jacek, Piotrek i Zosia/Joasia. Utwór powstał na urodziny Gabriela.

Cała nasza trójka, którą dobrze znacie,
Przyszła w dniu urodzin
Powinszować tacie

J. A więc Jacek życzy
Tacie w dniu jego urodzin,
Niech się wojna skończy w ciągu paru godzin

P. Piotrek zaś Ci życzy,
Nasz Kochany Tato:
Bimbru, bimbru, bimbru
Z boczkiem lub sałatą

Z. Miej nas wszystkich w sercu,
A H. w nosie
Kochaj swoich synów
I troszeczkę Zosię

A teraz wzruszony
Po naszej oracji
Uściskaj nas mocno
I siądź do kolacji[67]

Jest wreszcie program artystyczny zatytułowany *8 dób*. Język wojennych komunikatów, szczegółowych raportów z każdego z frontów, został w nim wykorzystany do opowiedzenia o tym, co dzieje się w gospodarstwie domowym przy Wiejskiej. Siódma rano: „Dziś we wczesnych godzinach porannych oddział miotaczy ognia do pieca «Stefania» w gwałtownym natarciu zajął Garków. Następnie kontynuował codzienne swe ataki na Zasmoleńsk. W związku z tym miarodajne koła wojskowe stwierdzają największe w dziejach świata zniszczenie cebuli"[68]. Dalej występują między innymi „formacja ciężkiej artylerii «Jacek»"; „eskadra trzech «Maruderów», przeprowadzająca wojnę nerwów"; „lekki transportowiec «Mama», który startuje ze swojej bazy w kierunku Włoch". Są wreszcie ofiary: „Dzieci, bo na czas czytania musiały wyjść z pokoju, i Tata, bo musi nalać po jeszcze jednym kieliszku".

Humor i dystans pozwalają choć na chwilę odsunąć czarne chmury, oswoić pustkę. Czasem to bardzo dużo.

Uciekając z Gołąbek, Stefania zostawiła medalionik z rubinami, pamiątkę po dziadku, której nikt nie odważyłby się spieniężyć nawet wtedy, gdy z domu wyprzedawano wszystko[69].



„Stremowana, trzęsąca się, nie wiadomo, co tu robię.
Tancerka chce w radiu" – wspomni Grodzieńska przesłuchanie,
podczas którego starała się o pracę spikerki Polskiego Radia w Lublinie.
Zdjęcie z legitymacji służbowej

ROZDZIAŁ IX

Mory • Warszawa • Józefów • Otwock •
Lublin • Łódź • wiosna 1944 – wiosna 1945

Był szary marzec, schyłek wciąż nieustępującej zimy 1944 roku. Stefania i Jerzy dotarli do Warszawy piechotą, pokonawszy jedenaście kilometrów. Nie mieli żadnych wątpliwości: gdyby gestapo przyjechało do Mor, lepiej, żeby Jurandota tam nie było.

Ostry chłód przenika przez cienkie płaszcze Stefanii i Jurka, pod stopami czują twardą, nieodmarzniętą jeszcze ziemię. Trzeba wytrzymać zimno, mokry śnieg, deszcz. Kluczą po mieście, nie chcą od razu iść do Járosyego – to byłoby z wielu względów niebezpieczne. Idą więc do mieszkania Zosi, siostry Jerzego, na Humańską – to z kolei ostateczność, kontakt, z którego można skorzystać tylko w patowej sytuacji. Teraz są bez wyjścia.

Wspominając to schronienie w sublokatorskim pokoiku szwagierki, Grodzieńska będzie akcentować jedno zdarzenie: rozmowę z pewnym lokatorem mieszkania, emerytowanym pułkownikiem, także zaangażowanym w konspirację. Mężczyzna mówi jej, żeby – gdyby ktoś przyszedł, a po mieszkaniu pod różnymi pozorami wciąż kręcili się jacyś ludzie – nie podawała swojego nazwiska. Chodziło o personalia z kenkarty i dowodu, o tożsamość Stefanii Grabowskiej[1]. Niech sobie pani wymyśli jakiekolwiek inne nazwisko. „Jak chcę zrobić głupi żart, to nawet śmierć mnie od tego nie powstrzyma. Wobec tego powiedziałam: wie pan co, zaraz sobie coś wymyślę. Może Grodzieńska? O, powiem, że się nazywam Grodzieńska – i niech sobie tak myślą"[2].

Z Humańskiej przenoszą się do Járosyego, skąd Kazimierz Jarczyński, a więc Jerzy Jurandot, wraca do Mor – Niusia Cholewińska uznała, że jego nieobecność będzie podejrzana. Zwłaszcza że Niemcy nie powiązali domu w Gołąbkach ze stacją nasiennictwa w Morach, co zresztą nie zmieni się do końca wojny[3].

Wśród kilkudziesięciu pracowników, selekcjonujących nasiona cebuli, pomidorów czy ziół, można się ukryć – chociaż pieczę nad tym majątkiem sprawują Niemcy, kontrolują, sprawdzają buchalterię. A jednak i tam nocni stróże prowadzą rozpolitykowane dyskusje o tym, jaka ma być Polska, gdy wojna się już skończy. Tam też przez pewien czas ukrywał się Járosy.

Wraz z przyjazdem Jerzego do Mor zaczyna się pierwsze od wyjścia Stefanii z getta dłuższe rozdzielenie małżonków. Jurandot zostaje we względnie bezpiecznej bazie – Stefania rusza w tułaczkę. Nie ma w niej żadnego domu, do którego można powrócić, są kolejne miesiące wojny, zmieniające się dachy nad głową i dorywcze prace.

Najpierw więc, przechodząc przez Plac Narutowicza, nieopodal domu Fryderyka przy Filtrowej, w witrynie u fryzjera dostrzegła kartkę: przyjmę pomoc fryzjerską. Weszła, zgłosiła się, została przyjęta. Zaczęła od podawania fryzjerom akcesoriów, potem – jako szybko ucząca się pomocnica – dopuszczono ją do mycia kobiecych głów. O tym, że szło jej to co najmniej nieźle, świadczą napiwki, *pourboire*, jak wówczas ładnie mówiono. Już pierwszego dnia, kiedy pozwolono jej myć głowy, z tego dodatkowego wynagrodzenia kupiła pędzel do golenia dla Fryderyka. A potem okazało się, że napiwki wsuwane do kieszonki mogą służyć także do przenoszenia konspiracyjnych wiadomości, dołączanych na malutkich karteczkach do drobnych. Był to pomysł Wandy Baranówny, przyjaciółki Zosi – tej samej, która przekazała Jurandotom pieniądze, by mogli wydostać się z getta. Stefania, jedyna kobieta o ciemnych włosach wśród pracujących w zakładzie blondynek, była łatwo rozpoznawalna jako skrzynka kontaktowa. Co znajdowało się na

tych skrawkach papieru? Po prostu lista zakupów: „litr mleka, sześć jajek, dziesięć bułek. Twaróg się kończy. Kaszy nie trzeba”[4]. Kod, którego znaczenia oczywiście nie była świadoma.

W książce *Nie ma z czego się śmiać* Stefania przyzna, że gdy nabrała podejrzenia, że jedna z klientek, która bardzo się jej przyglądała, mogła bywać przed wojną w teatrach, postanowiła do zakładu fryzjerskiego już nie przychodzić.

Ale jeszcze pracując tam, poznała kobietę niezwykłą – Stefanię Pytaszową. Dowiedziała się o niej przez kontakty w Morach: że ta przedwojenna nauczycielka poszukuje kogoś do pokoju, bo nie stać jej na wynajmowanie go samodzielnie. Przyzna, że już po kilku dniach ta kobieta wydała jej się tak wyjątkowa, że uznała, iż nie może jej oszukiwać.

W książce *Urodził go „Niebieski Ptak”* napisze o Pytaszowej: „Okazała się jedną z tych nieprawdopodobnych postaci, które można było spotkać w czasie wojny chyba tylko w Polsce. Naturalność, z jaką podejmowała najbardziej ryzykanckie formy pomocy dla zupełnie obcych ludzi, można porównać z pożyczeniem sąsiadce szklanki mąki”[5]. Czyli przyjmowała w swoim pokoiku bezdomnych, poszukiwanych i uciekinierów różnej maści. „Wtajemniczyliśmy ciocię w nasze prawdziwe personalia i losy”[6] – napisze Grodzieńska, mając na myśli także Jurandota i Járosyego. Pytaszowa kazała do siebie mówić „ciocia”, nigdy „pani”. Gdzie potrzebna była rodzina: dla bezpieczeństwa, potwierdzenia tożsamości, zjawiała się ciocia Funia. Po pracy w zakładzie fryzjerskim czy po dniu spędzonym na Saskiej Kępie, gdzie Grodzieńska zajmowała się dziećmi, odbierała ją Funia – i wracały do pokoiku w mieszkaniu pary masarzy, niedaleko Placu Narutowicza, w którego kuchni trwała nielegalna produkcja kiełbas.

Gdy późną wiosną 1944 roku ziemia zdążyła się już rozluźnić po zimie, nabrała powietrza i można było wysiewać w niej zioła – cząber,

majeranek, tymianek lub melisę – Stefania dostała w Morach pracę jako tak zwana zielarka: sortowała nasiona. Przez kilka tygodni pracowała niedaleko Jerzego, ale oboje zachowywali pełną ostrożność i nie zdradzali, że cokolwiek ich łączy. Ten krótki spokój skończył się, gdy jedna z dziewcząt z majątku zaczęła powtarzać, że Stefcia była widywana w Gołąbkach, choć twierdzi, że jest w tej okolicy pierwszy raz[7].

Lato 1944 roku przyciągnęło Grodzieńską z powrotem na Ochotę do Funi i na wspomnianą Saską Kępę – do pracy u państwa Rubików, pary inżynierów, którzy prowadzili warzywniak. Ruch w interesie był duży, więc małżeństwu potrzebna była całodniowa opieka dla pięcioletniej Krysi i ośmiomiesięcznego Andrzejka[8].

Ochotę od Saskiej Kępy dzieli spory, ponadsześciokilometrowy dystans, a przede wszystkim Wisła, separująca dwa warszawskie światy. Wczesnym latem 1944 roku przebyć można było tę odległość – zresztą tak samo jak dzisiaj – tramwajem linii 25. Tyle że podróż wyglądała inaczej niż współcześnie: wagony były wtedy przepełnione, pasażerowie jechali także na zderzakach i stopniach – uwieszeni na zewnątrz.

Gdy zaczęło się powstanie warszawskie, Rubikowie przenieśli się do Józefowa koło Otwocka. Grodzieńską wzięli ze sobą.

Kolejna fala wielkiego losu podnosi się coraz wyżej, a nurt zdarzeń, które znamy z podręczników historii, staje się coraz gwałtowniejszy. Jeszcze na początku 1944 roku, w trudnych zimowych warunkach, Armia Czerwona przekroczyła granicę, niegdyś, przed wojną, oddzielającą II RP od ZSRR. Ofensywa przeciw Niemcom wezbrała od drugiej połowy czerwca, front przesuwa się przez ziemie polskie. 24 lipca oswobodzony zostaje Lublin. Do walk pod koniec miesiąca dołącza 1 Armia Wojska Polskiego, której udało się sforsować Bug. Kolejna zapora: Wisła. Za nią walcząca stolica, która ruszyła do boju 1 sierpnia, wiedziona przekonaniem, że front na rzece już się

załamuje, że Niemcy zaczynają się wycofywać. Patriotyczna manifestacja, heroizm, nadzieja, przerażenie, trwanie i miasto, które dzień po dniu, tydzień po tygodniu, obraca się w ruinę, stając się pułapką, matnią, z której nie sposób wyjść. „Warszawa bez kropli wody – po gardło w kale i moczu, i plwocinach, Niemcy trzymają swoje pozycje"[9] – zanotuje 17 września osiemdziesięciojednoletnia wtedy Maria Rodziewiczówna. Pozostanie w walczącym mieście było przejmującym dopełnieniem jej życia.

W powstaniu umiera Zosia Wanda Zawadzka, żołnierka ZWZ-AK Oddziału II (Informacyjno-Wywiadowczego) Komendy Głównej w stopniu strzelca. Zginęła 31 sierpnia od pocisku granatnika w czasie walk Grupy AK „Północ" na Starówce, skąd odcięci od reszty miasta powstańcy szukali drogi wyjścia kanałami. Zosia walczyła w grupie tak zwanych straceńców, ochotników osłaniających odwrót powstańców[10].

Jurandot jest wtedy w Morach, spędzi tam zresztą całe powstanie. Dla siostry i jej koleżanek napisze jeszcze w 1944 roku piosenkę *Żołnierzu – panienko*.

Dziewczyny – łączniczki, bez nazwisk dziewczyny
Po prostu – Danuty, Barbary, Krystyny
W swych ładnych sukienkach, tak miło dziewczęce
Ze szminką na ustach, ze śmiercią w torebce
I takie powabne, i takie dziewczęce
Samotnie szły przeciw niemieckiej potędze
Robiły, co mogły, by wygrać swą grę
Czasami wracały, czasami zaś nie[11]

Stefania – odcięta od powstania naturalną zaporą Wisły – obserwuje zupełnie inne wypadki. Do Józefowa i Otwocka na przełomie lipca i sierpnia dociera Armia Czerwona. Zanim żołnierze radzieccy wypchną wojsko niemieckie, mieszkańcy muszą przetrwać na zapleczu frontu. W okolicy pojawiają się

sowieckie wyrzutnie rakietowe, katiusze. Gdy wylatuje salwa pocisków, słychać przerażający tumult. Upiorny szum, przechodzący w wycie, przeszywa człowieka, wprowadzając układ nerwowy w stan alarmu. Dla żołnierzy niemieckich był to szczególnie przerażający dźwięk: wyrzutnie nazwali organami Stalina, a ich dźwięk uznali za jeden z najbardziej zatrważających odgłosów wojny.

Ogień rakiet rozrywa ciemność, okno w pokoju, w którym śpi Stefania, wylatuje razem z futryną na jej łóżko[12]. Tak właśnie, z hukiem, przychodzi do niej wolność.

Z powodu wciąż trwających w okolicy walk Grodzieńska przeniosła się z Rubikami na wschód. Tam, gdzie już byli Rosjanie. We wsi Dobrzyniec w okolicy Kołbieli, nad wijącym się Świdrem, moczyła len, żeby zarobić na utrzymanie – Rubikowie nie mogli jej już dłużej płacić. Snopki lnu, z którego uprzednio zostały wytrzęsione nasiona, moczy się w wodzie przez kilka tygodni, by oddzielić włókno od paździerza, czyli zdrewniałej łodygi. Stefania nie doczeka dalszej obróbki włókien. Nie zobaczy, jak powstaje z nich nić. W stodole, w której śpi, znajduje „Gazetę Lubelską".

To pierwsza polska gazeta, którą trzyma w rękach od 1939 roku. W niej wiersz satyryka Janusza Minkiewicza, przedwojennego kolegi. Wiersz na tematy bieżące. Czyli jest już gdzieś normalne życie, myśli Stefania. Wkrótce się przekona, że (normalne czy nie) przyszło ono ze Wschodu – z ludźmi stamtąd przybyłymi, z Polskim Komitetem Wyzwolenia Narodowego, zależnym od ZSRR organem władzy wykonawczej, zarządzającym wschodnią, wyzwoloną od okupacji niemieckiej częścią Polski. PKWN w sierpniu 1944 roku działał w Lublinie.

Tam powstają też struktury polityczne, służby bezpieczeństwa w bliskiej kooperacji z NKWD – radziecką tajną policją polityczną. Poza instalującą się komunistyczną władzą przybędą także bohaterowie spod Lenino, ludzie, którzy walczyli z Niemcami w polskiej

armii tworzonej w ZSRR, później w szeregach Ludowego Wojska Polskiego, wygnańcy z Kazachstanu, całe rodziny, Żydzi, którzy nie znali getta z własnego doświadczenia.

Gdy widzi tę gazetę z wierszem Minkiewicza, postanawia iść do Lublina. Dosłownie: iść, pieszo. Przed nią ponad sto trzydzieści kilometrów. Sierpień ma się ku końcowi, wrzesień jeszcze się nie zaczął. Słońce łagodnieje, wieczór nadciąga szybciej, a Stefania pokornie idzie w jednym połamanym drewniaku, ze złamaną na domiar złego kością prawego śródstopia, na koniec zaś boso – ze stopą obwiązaną chustką do nosa.

Choć trudności nie brakuje, choć nie wiadomo, co z Jerzym i przyjaciółmi, to jednak „nie ma szkopów, nie ma gestapo, nie ma ss”[13], nie ma też owczarków niemieckich (od czasów wojny będzie się ich bała) – przenika ją więc uczucie, na które nie znajduje słów. To radość. Tak, to radość. Zastanawia się: czy to źle, czy to grzech, że tak czuje? „Jeżeli to rzeczywiście grzech, myślę sobie na tej szosie, to może odpokutowałam go z góry, w czasie poprzednich pięciu lat”[14]. Żołnierze radzieccy podwożą ją na przedmieścia Lublina, wybawiając od nocy spędzonej w rowie lub dalszej wędrówki do utraty tchu. Nie będzie mówić o nich ze strachem.

Artur Andrus: – Pamiętam, jak z okazji jubileuszu radia do Stefanii przyjechał dziennikarz z Lublina. Spotkałem się z nią po tej rozmowie, była wściekła. Mówi: „Słuchaj, on przyjechał do mnie, żebym wspominała radio, i strasznie chciał mnie namówić na to, bym powiedziała, że to niby było wyzwolenie od Niemców, ale od razu wpadliśmy w kolejną okupację. Nie rozumiał tego, że to był pierwszy moment, kiedy ja się nie bałam, że mnie ktoś zastrzeli na ulicy. Nie mogłam mu wytłumaczyć, że nie mogę tak powiedzieć, bo nie traktowałam tego jako kolejnej okupacji. To nie było tak, że myślałam o tym, że przyszli Ruscy i nas teraz będą zabijać”. Pamiętam, była bardzo przejęta tą rozmową z dziennikarzem, który próbował ją namówić właściwie do tego, żeby powiedziała, że źli

Niemcy odeszli, ale przyszli Ruscy, którzy byli jeszcze gorsi. Ona tak tego nie odbierała.

W Lublinie czeka ją noc na klatce schodowej. Trzeba namierzyć taką, na której schodki zawijają, odsłaniając w swoim zakolu szersze stopnie.

> Człowiek śpiący na cudzych schodach nie potrzebuje budzika. Budzi się automatycznie razem z budzącym się świtem. Pokrzepiona paroma godzinami wspaniałego, mocnego snu (ach, gdyby takim snem spało się na własnym tapczanie, chociażby po środkach nasennych!) przyglądam się sobie. Wyjść na ulicę? Boso, z zakrwawionymi stopami, brudna jak niemyty przez całą zimę samochód, z workiem na szelkach z powrozu na plecach?[15]

– wspomni wiele lat później.

Wychodzi. Lublin, ten sam, w którym mieszkała niegdyś kupiecka rodzina Neyów, jest teraz uchodźczym tyglem, miejscem, do którego dryfują wojenni rozbitkowie. Jest też miejscem początku, w którym można nadać życiu nowy kierunek. Od czego zacząć? Grodzieńska, nauczona tego przez ukochanego dziadka Maksa, odpowie: od ruszenia głową. Znajduje skład apteczny. „Przemiły pan magister zaprowadził mnie na zaplecze. Przyniósł miednicę z ciepłą wodą, podarował mydło, zostawił zestaw plastrów różnej wielkości i wrócił do sklepu"[16]. Dokonawszy niezbędnej toalety i opatrzywszy rany, Stefania wyciąga z plecaka pieczołowicie poskładaną, niemal niewymagającą prasowania sukienkę. Łachmany, w których przyszła, wrzuca na jej miejsce. Sukienka należała do Heleny Ostrowskiej. „Grzebień miałam swój, kobieta z długimi włosami nawet wchodząc do piekła, nie zapomni się przyczesać"[17].

Wyrusza do „Gazety Lubelskiej" na poszukiwania Janusza Minkiewicza – kolegi, którego zapamięta jako kogoś z manierami

angielskiego lorda[18]. Przed wojną był autorem dorocznych szopek politycznych, znaną postacią Warszawy, nocnym bywalcem Adrii, beniaminkiem środowiska, które gromadziło się na półpięterku w Ziemiańskiej. Ponadto: dziennikarzem, korespondentem prasowym, który relacjonował nawet igrzyska olimpijskie w Berlinie w 1936 roku. W czasie wojny, w Wilnie, przetrwał dzięki graniu w teatrze i w kabarecie. W Lublinie pisze do pierwszego, choć efemerycznego, pisma satyrycznego w nowej Polsce („Stańczyka").

Stefania nie znajduje w redakcji „Gazety Lubelskiej" Minkiewicza, idzie więc do Domu Żołnierza, gdzie jest on kierownikiem literackim. Nie bez dalszych trudności dociera w końcu do jego mieszkania. Pyta: słuchaj, co ja mogłabym robić? Nie mam pieniędzy, nic. Minkiewicz odpowiada mniej więcej tak: mam wariacki pomysł. W radiu szukają spikerki. Idź, co ci szkodzi[19]. Stefania idzie, gotowa robić cokolwiek, byleby pracować, lecz niekoniecznie zapowiadać program.

> Pracy było dużo, ale [...] ze wszystkich zawodów na świecie mój zawód wyuczony był najmniej odpowiedni do wykonywania w radio, mianowicie byłam tancerką. Proponowano mi kolejno: buchalterię, mycie podłóg, kierownictwo działu gospodarczego, o ile pamiętam, nadzór elektrotechniczny i śpiew, co mi się bardzo spodobało. Z tego wszystkiego chyba mogło wchodzić w rachubę tylko mycie podłóg, ale zaraz się okazało, że już je myje jedna docent. Żeby mnie się pozbyć, przypuszczam, zaproponowano mi jednak próbę głosu na spikerkę. No i okazało się, że słowik przy mnie to pies. I już zostałam[20]

– wspomni ze swadą w 1959 roku.

Kilkadziesiąt lat później, w 2002 roku, w innej rozmowie radiowej z wielkim wzruszeniem wróci do okresu lubelskiego. I nie będzie próbowała tego wzruszenia ukryć, choć przyzna, że mistrzowie od występów publicznych zawsze uczyli ją, że ten stan

intensywnych uczuć można zagrać w teatrze, ale kiedy człowiek jest naprawdę w emocjach, to nie ma prawa tego pokazać. A jednak, poruszona, opowie wtedy, że w dniu przesłuchania była bardzo zdenerwowana. Konkurs na spikerkę okazał się nieoficjalny, trzeba było powiedzieć parę słów do mikrofonu, który widziała po raz pierwszy w życiu. Odezwał się do niej Wilhelm Billig, polonista, przedwojenny działacz Komunistycznej Partii Polski, który wojnę spędził w ZSRR, a od sierpnia 1944 roku miał za zadanie zorganizować polskie radio w Lublinie, został jego pierwszym kierownikiem.

O Billigu Grodzieńska będzie mówić z dużym uznaniem, podkreślając, że nigdy później nie spotkała drugiego takiego szefa.

> Wiem, że pani jest osobą zupełnie dorosłą. Nie biorę pani za żadną smarkatą, ale pani pozwoli, że będę do pani mówił po imieniu, nie wymagając wzajemności. I tak zostało, ja mówiłam „panie dyrektorze", a on mówił do mnie „Stefciu". I to były pierwsze słowa, jakie usłyszałam. Stremowana, trzęsąca się, nie wiadomo, co tu robię. Tancerka chce w radiu. I tego mu nigdy nie zapomnę.[21]

Wszystko to dzieje się w okolicy jej trzydziestych urodzin. Minkiewicz, przesłuchanie, Billig, początek pracy na etacie w radiu. Są pierwsze dni września 1944 roku.

Żeby zrozumieć, czym było radio, do którego weszła Stefania, zresztą jako jego pierwsza spikerka, trzeba cofnąć się o miesiąc[22].

Na początku sierpnia w Lublinie trudno było nawet myśleć o uruchomieniu radia. Dopiero co końskie trupy zalegały na ulicach, dymiły czołgi, a z miejsc, w których jeszcze ukrywali się Niemcy, słychać było strzały. Front przeszedł, ale wojna przecież wciąż trwała. Niemal cały sprzęt Polskiego Radia został skonfiskowany jeszcze jesienią 1939 roku, płyty przejęte lub zniszczone. Niemcy kazali oddać odbiorniki. Za używanie ich groziła kara śmierci.

Nie było więc sprzętu, ale brakowało też ludzi, którzy mieliby jakiekolwiek pojęcie o tym, jak stworzyć w Lublinie rozgłośnię. Pozostawały jednak entuzjazm i wiara w to, że wszystko będzie możliwe. Wilhelm Billig pojechał do ZSRR, dołączając do delegacji PKWN, pertraktującej ze Związkiem Radzieckim. Jednym z omawianych punktów było wsparcie Rosji dla tworzącego się polskiego radia. Billig poszedł też na rozmowę do radzieckiego ministra łączności i przekazał mu wykaz potrzeb technicznych. W ciągu trzech dni aparatura została zgromadzona i przyleciała do Polski w pięciu samolotach (w jednym z nich siedział Billig). Z ZSRR dotarły też między innymi głośniki tubowe i głośniki bateryjne, tak zwane toczki. Najważniejsze były te pierwsze: skoro ludzie nie mają w domach odbiorników, trzeba umożliwić im słuchanie radia na ulicach – przez megafony.

Pierwsza lubelska radiostacja nazywała się Pszczółka. Był to pasażerski wagon klasy drugiej, który stanął na bocznicy stacji kolejowej przy ulicy Cukrowej. Jako tako przystosowany do nadawania, we wnętrzu miał gramofon na korbkę, kilka płyt (repertuar patriotyczny, żołnierski, między innymi *Warszawianka*), maskę przeciwgazową, hełm i menażkę dla spikera. Obok wagonu zainstalowano anteny, rozlokowała się część techniczna, którą obsługiwali żołnierze radzieccy i przybyli do miasta polscy specjaliści. Pierwsza audycja rozpoczęła się hymnem Polski – płytę z *Mazurkiem Dąbrowskiego* udało się zdobyć od jednego z mieszkańców Lublina. „Obserwowałem reakcje ludzi na pierwsze odegranie hymnu: wielki entuzjazm, ludzie pod tymi megafonami płaczący, zdejmujący czapki z głów, coś wspaniałego, wzruszającego, nie da się tego przekazać nawet”[23] – opowie Tadeusz Chabros, pierwszy spiker powojennego radia, który 10 sierpnia 1944 roku odczytał na jego antenie manifest Polskiego Komitetu Wyzwolenia Narodowego.

Historyczną datą ogłoszenia manifestu jest oczywiście 22 lipca – w tym dniu Polska Ludowa przez czterdzieści pięć lat obchodziła

swoje najważniejsze święto. Dlatego właśnie w 1974 roku Stefania Grodzieńska, żartując, zresztą całkiem swobodnie, powie, że nie ma żadnego miesiąca z ostatniego trzydziestolecia, którego można, dla przykładu, „bezkarnie użyć w piosence lirycznej"[24].

> Dlatego że jeżeli dodać słowo „wypadki" i obdarzyć jakimkolwiek miesiącem: grudniowe, marcowe, wrześniowe, październikowe, listopadowe, no to kochani, przecież nie mamy miesięcy. Dlaczego ja o tym mówię? Dlatego, żeby dojść do meritum sprawy. Otóż każdy z takich miesięcy posiada swoją grupę ludzi, których wyjmuje się z szafy i otrzepuje z naftaliny z okazji danego miesiąca. My tu wszyscy zebrani właściwie jesteśmy nie na swoim miejscu, bo nas się odkurza w lipcu. My jesteśmy lipcowi, drodzy koledzy[25]

– opowie w audycji wspomnieniowej o lubelskim radiu, nagrywanej we wrześniu 1974 roku i wprost przecież nawiązującej do manifestu PKWN, który wciągnął ją i jej kolegów w orbitę niełatwej wolności.

Kiedy Grodzieńska dołączyła do radia na początku września, nadawało ono już z mieszkania przy ulicy Chopina 9 (dyrekcja mieściła się przy Spokojnej 4, w gmachu PKWN-u). Rozgłośnia zajmowała dwa pokoje: w jednym aparatura, w drugim studio. W tym pomieszczeniu studyjnym ściany były prowizorycznie wybite kocami wojskowymi i stał mikrofon, który stale się przewracał – miał jedną nogę krótszą od dwóch pozostałych. Pod tę krótszą podkładało się pudełko zapałek. Jeśli puste – była szansa, że trójnóg utrzyma równowagę na dłużej. Jeżeli w pudełku znajdowały się chociaż trzy zapałki – mikrofon był bez szans. Pudełko znikało. Wszyscy w radiu palili, a zapałki kosztowały tyle, że nikogo z młodych nie było na nie stać. Dlatego mikrofon często się przewracał, a nawet gorzej: spadał ze stołu na podłogę z ogromnym hukiem.

Co się działo w słuchawkach radiowca – nie sposób opisać. Co działo się na ulicy Lublina? Straumatyzowani ludzie biegli do bram i schronów, myśląc, że przyszło straszliwe bombardowanie – grzmot słychać było przecież przez megafony na ulicach. „W Chopina trafili, na pewno w Chopina!"[26] – krzyczano na miejskich placach. O Stefanii umykający przechodnie mieli mówić kiedyś: jaka dzielna, jaka odważna, bomba na studio spadła, a ona stoi na gruzach i dalej przemawia[27].

„Co wy tam wyprawiacie z tym mikrofonem?"[28] – dzwoni Billig, który codziennie chodzi na ulicę słuchać radia, obserwuje reakcje i wyłapuje komentarze tłumu. „My nic nie wyprawiamy, panie dyrektorze, mikrofon się przewraca". „Dlaczego się przewraca?" „Dlatego, że ma trzy nogi i jedną krótszą". „Mnie to nie obchodzi, co wy mi opowiadacie o jakichś nogach. Proszę, żeby więcej nie zlatywał". Niby żaden problem dosztukować do tej wadliwej podpory jakiś kawałek patyka, drewna, ale nikt tego nie zrobił. Było jak było. „Zlatujący" mikrofon stał się jednym z pierwszych emblematów lubelskiego radia.

Dla Stefanii symbolem były też wspomniane wojskowe koce, przybite gwoździkami do ściany – jeden pozwolono jej ściągać i otulać się nim w nocy. Akustyka studia była gorsza, ale przynajmniej spikerka, dyktując prasówkę Polpressu, rządowej agencji informacyjnej, nie szczękała zębami. Pierwszy powojenny płaszcz zrobiła sobie z koca: wojskowego, ale z tych ładniejszych, popielatych. Ukradli go dla niej koledzy, wiedzieli, że nie ma okrycia wierzchniego na nadchodzące zimne dni. Płaszcz miał lamówkę „z jakiegoś szczura"[29] – jak nazwie to Grodzieńska. Futrzany element został zwędzony, podobnie jak koc, z magazynów wojskowych. „Wszystko było kradzione, możemy się już przyznać, bo i tak jest przedawniona sprawa, nie ma co się wypierać"[30] – będzie żartować Stefania w 1959 roku.

„Halo, halo, tu Polskie Radio Lublin na fali 224 metry" – mówiło się do mikrofonu, zaczynając od tych słów niemal każdy komunikat. „Halo, halo" – raz wyżej, „halo, halo" – innym razem nisko. Głos nie może być za wątły, próbom i przymiarkom nie ma końca, od tego zależy dobra opinia spikera. Jest jeden spiker z moskiewskiego radia, któremu wszyscy zazdroszczą niskiego, dźwięcznego głosu. Kiedyś Stefania usłyszała też zagraniczną spikerkę, która mówiła niezwykle lekko, intymnie, ale i z pewną zmysłową głębią, co sama próbowała naśladować[31].

Najwięcej głosowej kreatywności można włożyć właśnie w tę frazę: „Halo, halo, tu Polskie Radio Lublin na fali 224 metry". Bo kiedy dostaje się komunikaty czy komentarze do odczytania a vista, na jakichś pokreślonych, zabrudzonych kleksami kartkach wypełnionych lekarskimi charakterami pisma, które – jak uważała Stefania – wszyscy wtedy mieli[32], to należy się po prostu skupić, przeczytać je jak najprościej – uwagi na marginesie reformy rolnej, na przykład. I nie powiedzieć przed tym lub po tym niczego głupiego, jak „uważaj, bo masz spódnicę podartą"[33], co zdarzyło się Grodzieńskiej raz, kiedy wchodziła do studia. Jej słowa poszły w eter, dyrektor Billig nie był zadowolony.

Jesienią i zimą 1944 roku radio to przede wszystkim informacje, sprawozdania, felietony, nawet reportaże – zbierane dzięki wojskowemu Willysowi, amerykańskiej terenówce popularnej wśród aliantów, którą radiowi reporterzy jeździli po Białostocczyźnie, Podlasiu, Lubelszczyźnie. Czasami ktoś za nimi strzelał, czasami usiłował im odebrać auto, ale jakoś umykali tą maszyną. Przy Chopina 9 stałymi gośćmi byli Wanda Wasilewska, wiceprzewodnicząca PKWN, czy Bolesław Bierut.

Stefania Grodzieńska zapamięta jedno z przemówień pełniącego obowiązki prezydenta RP Bieruta. Zapowiadała je. Spikerzy nie zorientowali się, że gość usiadł na złamanym krześle.

> I w pewnym momencie wyłoniła się twarz pobladła Tadzia Chabrosa z amplifikatorni, który mnie straszliwymi ruchami przywoływał. Wstałam, na palcach poszłam, a on mi tragicznym szeptem powiedział: siedzi na złamanym. No więc to był straszny moment zupełnie, czekaliśmy, czy spadnie z tego krzesła – na żywo! Nic się nie stało, tylko potem, kiedy prezydent Bierut nam dziękował, a my jemu – ja nie byłam tak bezczelna, ale Tadzio tak – Chabros powiedział: jak to dobrze, panie prezydencie, że pan nie spadł, bo pan siedział na złamanym krześle. Na wielką korzyść prezydenta Bieruta trzeba przyznać, że się uśmiał razem z nami[34]

– opowie Grodzieńska w 1984 roku.

Najważniejsze wydarzenie, które wywarło ogromny wpływ na wszystkich pracujących wtedy w radiu, jak i zresztą na mieszkańców Lublina: pierwszy proces zbrodniarzy Majdanka, trwający przez kilka dni na przełomie listopada i grudnia. Dzięki szwungowi, grając – czyli pchając się w tłumie i wrzeszcząc, że musi przejść – na salę sądową dostaje się Stefania Grodzieńska. Miasto jest wzburzone: oto pierwsi zbrodniarze wojenni stają przed wymiarem sprawiedliwości, choć na terenie kraju trwa jeszcze wojna, a pełna skala Holokaustu nie jest znana.

Wielkie, choć zupełnie inne uczucia budziła *Skrzynka poszukiwania rodzin*. Tę audycję spikerzy, których przybyło przy Chopina (Igor Sikirycki, Zbigniew Lutogniewski, Ola Nowodworska), wyrywali sobie z rąk, marząc o tym, że bliscy – przebywający być może gdzieś na terenach wyzwolonych, tam, gdzie docierało radio – rozpoznają ich po głosie. Program wywołuje wzruszenie też dlatego, że można pomóc innym. Do radia przychodzą tłumy ludzi, uchodźców, prosząc o zawiadomienie, że dotarli do Lublina, że są tutaj, że czekają, że liczą na kontakt. Program nadawany jest cztery razy dziennie.

Niektórzy przychodzą wiele razy, trudno nie nawiązać z tymi zrozpaczonymi ludźmi osobistego kontaktu – i nie cieszyć się, gdy

rodziny, przyjaciele się odnajdują, bo takich przypadków jest dużo. Stefania dobrze zapamięta zwłaszcza jeden: mamę, która szukała swojej około osiemnastoletniej córki. Zgubiły się w tułaczce, kobieta przychodziła codziennie do radia i codziennie rozpaczliwie płakała – syna już nie miała, zginął, została gdzieś tylko córka, Marysia. „I proszę sobie wyobrazić, że któregoś dnia przyszła ta pani z Marysią. No i wszyscyśmy płakali tak samo jak one"[35] – wspomni w 1994 roku Grodzieńska.

Sama szuka Jurka, ale i mamy, Eleonory Ney.

Ale nigdy się już nie dowie, co się z nią stało.

Gdzie Stefania Grodzieńska nocuje od początku września? Najpierw, dzięki rekomendacji Minkiewicza, na scenie w teatrze miejskim. Kiedy wchodzi tam późnym wieczorem, po pierwszym dyżurze w radiu, widzi, że na deskach śpi już trzydziestu polskich żołnierzy. „Proszę się nie obawiać, tej nocy nic się nie stało... żadnemu z żołnierzy"[36] – zażartuje.

Obudziwszy się o poranku na proscenium, otrzymuje zaproszenie do mieszkania garderobianej. To właściwie służbowy pokój na poddaszu teatru, w nim małżeńskie łoże i dwie kozetki. W mieszkaniu sypiało nawet do dziesięciu osób. W szerokim łóżku: cztery–pięć, różnej płci i wieku, nieznających się, nic o sobie nawzajem niewiedzących. „Tam było na porządku dziennym, że budziłam się nad ranem, przytulony do mnie jak małe dziecko z głową na ramieniu spał jakiś żołnierz czy oficer. Nigdy w życiu żeśmy się nie widzieli – i później też nie. Ona przygarniała wszystkich"[37] – opowie z wdzięcznością o garderobianej. Jak wielu mieszkańców Lublina, niebędącego przecież ogromnym miastem, przyjęła tę hurmę głównie młodych ludzi, którym oddawano łóżka, pościele i ubrania.

Potem Grodzieńskiej pozwolono zatrzymać się przy Chopina, następnie zaś pod adresem Narutowicza 4, dokąd po kilku miesiącach przeniosło się radio. Tam Stefania zasypia na sienniku, kładąc

koło siebie pierwsze powojenne pończochy – zdobycz z magazynów wojskowych, którą przekazali jej pod koniec listopada operator filmowy Stanisław Wohl i jego żona, aktorka Halina Billing-Wohl. Bawełniane, marszczące się, miały kolor „kanarkowo-pomidorowy"[38]. Rano, po przebudzeniu, dotyka ich, by upewnić się, że naprawdę je ma, że to nie sen.

Narutowicza to już poważny gmach, w którym pojawiły się profesjonalne studio i amplifikatornia. Radio od listopada zaczęło się formalizować, stało się przedsiębiorstwem państwowym, podlegającym w kwestiach organizacyjnych i programowych Resortowi Informacji i Propagandy. Skończyły się nowatorski romantyzm, obiecująca przypadkowość – przynajmniej oficjalnie.

Siennik, na którym kładzie się Stefania, leży w tak zwanym pokoju dla radiowych gości. Jak wygląda to pomieszczenie? Stolik kawowy, krzesła, typowa poczekalnia. W dzień maskuje się w nim za kotarą lub pod serwetą pięć posłań (tylu jest wtedy spikerów), na których w nocy radiowcy rozkładają się pokotem. Tak, koledzy śpią w jednym pokoju, dzielą się kurtkami i czasami zdarza się, że ktoś nie może wyjść do miasta, bo nie ma co na siebie włożyć, jest ziąb, a w kurtce poszedł jakiś czas temu ktoś inny.

> Myśmy się [teraz] zrobili strasznymi sobkami, nam zależy na wygodzie – powie Grodzieńska z przejęciem w 1974 roku. – Nam było niewygodnie, ale to nam nie przeszkadzało. Podzielenie się kuponem na obiad w stołówce to nie był żaden wyczyn, to było zupełnie normalne. Wtedy myśmy naprawdę nie byli sobkami. [...] Myśmy cenili to, co naprawdę jest w życiu ważne: życie czy zdrowie naszych bliskich, to, żeby wszyscy dookoła tak samo zjedli, ale żeby nikt nie był głodny i żeby nikt nie został na ulicy. To nas interesowało.[39]

W lubelskim radiu Grodzieńska siadła nad kartką i zaczęła szkicować teksty, wypracowywać styl – pisząc przede wszystkim



Spikerzy Polskiego Radia w Lublinie. Spali w jednym pokoju, dzielili się kurtkami. „Myśmy cenili to, co naprawdę jest w życiu ważne: życie czy zdrowie naszych bliskich, to, żeby wszyscy dookoła tak samo zjedli, ale żeby nikt nie był głodny i żeby nikt nie został na ulicy. To nas interesowało" – przyzna Grodzieńska

dla siebie. „Zanim stałam się felietonistką, której się proponuje współpracę, to wszystko inne [co pisałam] to był repertuar dla siebie. To wszystko jest pisane w pierwszej osobie"[40].

Pisarski debiut – debiut incognito – zaliczyła, o czym była już mowa, przed wojną. Napisała wtedy scenę małżeńską, opartą na prawdziwych dialogach, na stylu rozmów z Jerzym Jurandotem, żarcie, który zawsze się ich trzymał. Była ona pierwszą satyrą na ich małżeństwo, a tekst anonimowej autorki, czy raczej – jak korzystniej było to przedstawiać – autora, zagrali na scenie Cyrulika Warszawskiego Fryderyk Járosy i Lena Żelichowska.

Teraz, w innym świecie, Grodzieńska już za kilka miesięcy, na wiele lat, stanie się felietonistką, której współpracę będą proponować najważniejsze tytuły w kraju. Jej *Żona* będzie literacką klasyczką matrymonialnych incydentów, najdziwniejszych przypadków i kontraktowych ograniczeń, które czasem nijak pasują do tego, jakie okazuje się życie, a co potrafi dostrzec w najdrobniejszych detalach zezowate, choć zawsze pragmatyczne, spojrzenie satyryczki. Stefania będzie pisać teksty w dziesiątkach, setkach. Ale w tym zatrzęsieniu stawianych zdań zawsze znajdą się te pisane dla siebie, najbardziej intencjonalnie w pierwszej osobie, z przekonaniem, że samej jest się tą najśmieszniejszą z postaci[41].

Jesienią 1944 roku miała gotowych już kilka tekstów. Bieżących, o Lublinie. Zadebiutowała na antenie – to znowu zasługa niedostatku. Otóż wśród kilku płyt, którymi dysponowała rozgłośnia, w kółko grany był oberek *Gdzie idziesz, Wojtuś?*. Wojtuś idący do miasta ze skrzypkami w parcianym worku, żeby zagrać na nich pannom przy podwieczorku, pojawiał się w domach słuchaczy w dawkach mogących prowadzić do rozdrażnienia – piosenka była jedną z nielicznych lżejszych, niepatriotycznych przyśpiewek dostępnych na płytach. „W pechowe dni *Wojtuś* chadzał kilka razy na godzinę. [...] No, trudno jednak posługiwać się hymnem narodowym dla zapchania dziury po audycji o hodowli kur na terenie miasta"[42] – przekonująco objaśni to Grodzieńska.

Nadchodzi wielki dzień: Billig pozwala Stefanii przeczytać na antenie coś, co napisała. To felietonik o ówczesnym Lublinie, którego bohaterka próbuje się dowiedzieć, gdzie jest ulica Narutowicza, i zastanawia się, jak tę wiedzę w ogóle może zdobyć. Bo okazuje się, że każdy, którego o adres zagaduje, przebywa w mieście dopiero od dwóch dni albo jest przyjezdnym, ale od miesiąca nie wychodzi z domu, bo się boi bombardowań. Nikt nic nie wie, nikogo to właściwie nie obchodzi.

Tekst *Gdzie jest ul. Narutowicza* ukazał się drukiem w grudniu 1944 roku w „Robotniku"[43]. W tym samym miesiącu PPS-owe pismo opublikowało jeszcze dwa inne teksty „St. Grabowskiej", „St. G." czy „St. Gr.", jak podpisuje się Grodzieńska. Ciekawy jest zwłaszcza ten zatytułowany *Zaradna*[44]. Autorka-narratorka spotyka Lalę, kobietę ubraną ładnie i modnie. „Na nogach miała takie ortopedyczne buciki, jak dla ludzi, którzy mają jedną nogę krótszą. Ale teraz one się nazywają koturny i wygląda się tak, jakby się miało obydwie nogi krótsze"[45]. Do tego kostium: przyciasnawa, przykrótka spódnica i oversize'owa marynarka, jak dzisiaj byśmy ją nazwali. Na głowie Lala nosiła zaś włochacz. „Włochacz, to jest kapelusz, którym odznaczają się panie, które były w Lublinie podczas okupacji"[46].

Lala zwraca uwagę narratorce, mierząc ją wzrokiem od stóp do głów i zauważając jej płaszcz z koca, że zawsze była niezaradna. Zaczynają rozmawiać o wojnie. Lala chwali się swoją operatywnością: pracowała u Niemców i chodziła z nimi do kina, z zastrzeżeniem, że jej przyjaciele to byli Austriacy albo Bawarczycy, twierdzili, że gdyby Polacy nie paskowali, czyli nie spekulowali cenami i nie zarabiali na sprzedawaniu towarów powyżej ich rynkowej wartości, to świetnie by się im żyło w czasie wojny, a obozy koncentracyjne mogą tylko wyjść na dobre, jako środek wychowawczy. W puencie okazuje się, że Lala teraz handluje pończochami, które chodzą po ponad tysiąc złotych za parę. Grodzieńska zarabia wtedy w radiu trzysta złotych miesięcznie[47].



Studio przy Narutowicza 4.
To tu pierwszy raz przeczytała na antenie swój felieton

Lala jest oczywiście prototypem „idiotki" Alicji – najsłynniejszej ze stworzonych przez Grodzieńską postaci. Trudno też w tym tekście nie dostrzec symbolicznej próby mierzenia się z najboleśniejszymi rozliczeniami i oskarżeniami, które już wisiały w powietrzu.

Wtedy, gdy aparat represji dopiero się umacniał, samo podejrzenie o kolaborację mogło wystarczyć, by człowiek został zatrzymany, jeszcze przed wszczęciem śledztwa. Oskarżenie o współpracę z Niemcami mogło prowadzić do więzienia, deportacji w głąb ZSRR, a także do osadzenia w obozie.

Rzeczywistość była rozbita, wyobraźnia zaburzona. Wojna zostawiła wszystkich w stanie podejrzliwości i lęku.

Jedyne, co można było wtedy zrobić, to jak zwykle zakasać rękawy i zacząć działać. Dopiero miało się okazać, dokąd ten wysiłek zaprowadzi: czy pozwoli choć trochę zdystansować się od codzienności i stworzyć lepszy świat mimo nieufności wobec władzy, czy też – żeby zrozumieć, o co w tym wszystkim chodzi – trzeba będzie wejść za kulisy i spojrzeć na rzeczywistość z zupełnie innej strony.

W Lublinie Stefania Grodzieńska żyje przede wszystkim pod okupacyjnym nazwiskiem: Grabowska. Na nie ma swoje jedyne, lecz przecież fałszywe dokumenty. Jako Stefania Grodzieńska będzie legitymować się już niedługo – gdy przeprowadzi się do Łodzi.

Mijają kolejne miesiące, a Stefania od lata nie widziała Jerzego. Jesień, zima, już styczeń, tęgi mróz początku 1945 roku.

„Warszawa wolna. Tu mówi Lublin. Warszawa wolna" – powtarza w eter 17 stycznia Tadeusz Chabros[48]. Ludzie na ulicach rzucają się sobie w objęcia.

Jeszcze tego dnia Jerzy Jurandot wyruszył do obróconej w ruinę, białej od śniegu Warszawy. Chciał, jak dziesiątki tysięcy osób, zobaczyć swoje miasto. Tygodniami z Mor widział tylko dymy nad palącą się stolicą. A przede wszystkim: pragnął odnaleźć żonę.

Najpierw jednak, wiedząc, że Niemców już nie ma, pobiegł do Gołąbek. W rozszabrowanym domu przy Wiejskiej, którego podłogi zasłane były kawałkami rozrąbanych mebli, skorupami wytłuczonych naczyń i strzępami papierów, chciał znaleźć jakąkolwiek pamiątkę po żonie.

Znalazł. Medalionik – „przeoczony przez gestapo, przeoczony przez szabrowników"[49].

> To był pierwszy dzień po zdobyciu, jeszcze całe miasto... to, co zostało, jeszcze się paliło. Miny wybuchały na każdym kroku i tak dalej. No, w miejscu, gdzie przypuszczałem, że znajdę żonę, niestety jej nie znalazłem. Dom był wyburzony. To był dom, gdzie mieszkał nasz przyjaciel Fryderyk Járosy, kiedyś znany aktor, tam bywaliśmy podczas okupacji. To był nasz punkt zborny. [...] Ponieważ wiedziałem, gdzie żona pracuje po drugiej stronie Wisły, jako hochsztaplerka pielęgniarka, postanowiłem sobie przejść przez Wisłę. No i schodząc nad Wisłę już, zobaczyłem dwóch polskich oficerów[50]

– opowie Jurandot w radiu w 1964 roku.

Po ponad pięciu latach oglądania mundurów w kolorze feldgrau wzruszył go widok tych w kolorze khaki. Polskie mundury w tej jednej chwili stały się dla niego tak atrakcyjne, że z uwagą zaczął przyglądać się pewnemu majorowi i pewnemu kapitanowi. Twarz tego drugiego wydała mu się znajoma... Podchodzi, przedstawia się: dzień dobry, Jerzy Jurandot. Kiedy kapitan usłyszał nazwisko Jerzego, mówi: „Proszę pana, pewnie chce się pan dowiedzieć, co z pańską żoną. Otóż żona pańska jest spikerką w Polskim Radiu w Lublinie, dobrze jej się powodzi. Zdrowa, tylko bardzo się o pana martwi. Tydzień temu się z nią widziałem"[51].

Trudno opisać uczucia, jakie ogarniają Jerzego. A jednak coś nie daje mu spokoju: twarz kapitana, której nie potrafi dopasować do nazwiska, a której nie mógłby nazwać obcą. Mówi: „Panie

kapitanie, proszę się na mnie nie gniewać, ale kto pan jest?". „Ja się nazywam Wohl"[52] – słyszy w odpowiedzi.

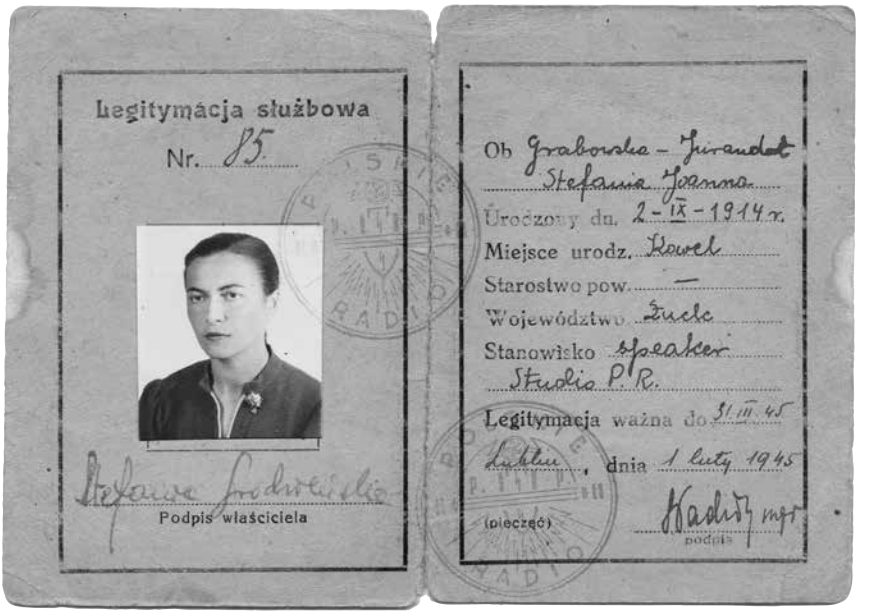
Okazało się, że najpomyślniejsze wieści przekazał Jurandotowi nie kto inny, ale Stanisław Wohl, operator, jego przedwojenny znajomy, bo przecież Jerzy pisał piosenki do filmów, a teraz tego człowieka, po latach wojny, nie poznał. Obok Wohla stoi i przygląda się temu wszystkiemu reżyser Aleksander Ford, który jeszcze w lipcu 1944 roku zrealizował uznawany za pierwszy w dziejach dokument o nazistowskim obozie koncentracyjnym: lubelskim Majdanku.

Wchodząc w ruiny Warszawy, Jerzy natknął się na ekipę filmową, która akurat tego dnia przyjechała z Lublina, ledwie parę dni wcześniej widziała się ze Stefanią, a teraz miała filmować zgliszcza stolicy. Jurandot natychmiast rusza na południowy wschód, po drodze przesiada się z jednej wojskowej ciężarówki do drugiej.

Tymczasem w Lublinie – żałoba. Jerzy jest uznawany za zmarłego, mówi się, że zginął w powstaniu, tylko nie mówi się o tym przy Stefanii. Więc ona, gdy tylko okazuje się, że Warszawa jest już wyzwolona, chce się przedzierać do stolicy, szukać go w Morach. Koledzy postanawiają temu zapobiec. Dyrektor Billig, wciągnięty w spisek, oznajmia Stefanii, że nie dostanie urlopu na podróż. Warunki wciąż są bojowe, więc samowolne opuszczenie stanowiska zostałoby potraktowane jako dezercja wojenna[53].

Lecz to przecież nie wystarczy: ktoś jej musi wreszcie powiedzieć, dlaczego nie ma sensu jechać do Warszawy, że Jurandot nie żyje. Biorą to na siebie koledzy spikerzy.

W trosce o stan psychiczny Stefanii postanawiają uatrakcyjnić moment przekazywania straszliwej wieści. Oto jednak muszą przyspieszyć swój plan, bo Grodzieńska, roztrzęsiona złym snem o mężu, wyrywa się do Warszawy, nic sobie z konsekwencji dezercji nie robiąc. No to koledzy, jeszcze bardziej zmotywowani, wykładają na stół wszystkie pieniądze, nie wahają się nawet



Legitymacja służbowa Stefanii Grodzieńskiej z lubelskiego radia

zapożyczyć, i po tej dobrowolnej zrzutce lecą po zakupy do najdroższego sklepu w ówczesnym Lublinie. Kuszą Stefanię wykwintnym posiłkiem w porze drugiego śniadania. Przekonują, że zanim złapie jakąś ciężarówkę i ruszy w ten mróz do stolicy, musi się posilić. Na zastawionym stole są łosoś, kawior, wędliny, białe bułki niewidziane od czasów niepamiętnych...

Co wtedy u Jerzego? Wojska przesuwają się na zachód, a on – prywatnie, na przekór przesuwającym się kompaniom – uparcie kieruje się w stronę Lublina. Łatwo nie jest. Ratunku postanawia szukać już w Otwocku. Idzie na rozmowę z tamtejszym wojewodą, przedstawia się – i sytuację. „W stosunkowo krótkim czasie autem wojewody, czyli odkrytą ciężarówką, w śnieg zadymkę, dostałem się do Lublina"[54].

Skoro wie, że Stefania jest spikerką Polskiego Radia, wie też, gdzie jej szukać. Szybko dostaje się więc do pokoiku, w którym...

„No, już nie będę wspominała, że alkohol stał w wielkich ilościach, tak jak się wtedy mało nie piło – tylko dużo. I kiedy mieliśmy zasiadać do tej uczty, naprawdę nic nie koloryzuję, nie wymyśliłam tego, pukanie do drzwi"[55] – opowie Grodzieńska.

Tą wódką koledzy chcieli ją znieczulić, uśpić, odwlec na święte nigdy wyprawę do stolicy.

Jerzy Jurandot:

> Zapukałem, otworzyłem drzwi. Jakie było przywitanie, nie muszę mówić, po czym natychmiast mnie zaproszono do wspaniale zastawionego stołu, na którym stała świetna wódka, przede wszystkim wódka, kawior, łosoś wędzony, papierosy Kazbek – do dzisiaj pamiętam. No więc zajadałem, pałaszowałem i mówię: słuchajcie, to wy tutaj tak sobie dobrze żyjecie?! I dopiero wtedy koleżanka żony, spikerka, zdradziła tajemnicę. I jej, i mnie powiedziała: no, szczerze mówiąc, wie pan, to jest właściwie pańska stypa. [...] Jestem chyba jednym z nielicznych ludzi, który brał udział we własnej stypie.[56]

Pierwsze, co kazali mu zrobić, to iść do budynku Polskiego Komitetu Wyzwolenia Narodowego, na ulicę 22 lipca (dzisiaj Spokojną), znaleźć kilka pokoików, w których urzęduje Ministerstwo Kultury i Sztuki (PKWN od końca roku jest już Rządem Tymczasowym RP), z ministrem Wincentym Rzymowskim na czele – i zdobyć jakąś pracę. Bez niej nie będzie mieć kartek na stołówkę, nie dostanie jedzenia.

To zresztą osobny obraz pierwszych powojennych miesięcy w Lublinie: pracownicy lubelskich resortów i urzędów, jak zapamiętają to radiowcy, najpierw jedli głównie kaszę jaglaną[57]. Z czasem pojawiły się na stołówce zupy z dużymi kawałkami mięsa, które trzeba było kroić nożyczkami, żeby dało się je zjeść blaszaną łyżką[58], a także boczek – również jedzony łyżką, bo noży i widelców wciąż nie było.

Jurandot dotarł do gabinetu dyrektora wydziału muzycznego Mieczysława Drobnera. A raczej pod ów gabinet – do biurka sekretarki, z wielką podejrzliwością dopytującej, w jakiej sprawie przybył. „Powiedziałem, że zostałem zaproszony. Wszedłem. W ciągu 10 minut zostałem mianowany naczelnikiem wydziału estrady. Kariera szybka: od stróża do naczelnika wydziału"[59] – opowie Jerzy. I tak przez pewien czas pracował nawet w cyrku, bo podlegały mu wszystkie estrady. Lecz wiadomo było, że stanowisko jest tymczasowe. „Z góry było powiedziane, że będę pracował w ministerstwie po to, żeby zorganizować pierwszy, jak to się wtenczas mówiło, teatr małych form"[60] – wyjaśni Jurandot.

Najlepiej, żeby teatr powstał w Warszawie, ale Warszawa jest przecież zrujnowana. Więc trzeba zorganizować go w mieście, które będzie tymczasową stolicą kraju. Potem teatr przeniesie się do Warszawy. „Czyli: z Lublina miał jechać do Łodzi, żeby założyć teatr dla Warszawy. Tak też zrobił"[61] – podsumuje jego żona.

„Tak też zrobił" brzmi prosto. Tymczasem w warunkach 1945 roku nie można dostać się z Lublina do Łodzi ot tak, nawet

jeśli dla pracowników ministerialnych są przewidziane wielkie ułatwienia: samoloty. Zbyt dużo ludzi próbuje dotrzeć nimi na zachód.

„Codziennie mąż mi wracał z lotniska. Te wszystkie głupie skecze, które napisałam w życiu na ten temat: że mąż wyjeżdża w podróż służbową, a tu żona przyjmuje tak zwanych obcych panów... To dobrze, że nie należę do tak występnych kobiet, bo to by się tragicznie kończyło. I to przez jakieś pięć czy sześć dni"[62] – zażartuje Stefania.

> Codziennie rano żegnałem się z żoną. Codziennie wieczorem ta sama ciężarówka przywoziła nas z lotniska i witaliśmy się z powrotem. Szóstego dnia miałem tego dosyć i wraz z dwoma przyjaciółmi, znaczy ze starym przyjacielem moim Zdzisławem Górzyńskim, znakomitym dyrygentem, i z młodziutkim aktorkiem, którego poznałem w Lublinie, który jakoś mi przypadł do serca i zaangażowałem go do tego przyszłego teatru, który miałem tworzyć, nazywał się Edward Dziewoński, wsiedliśmy w taką małą ciężarówkę i tłukliśmy się z Lublina do Łodzi przez dwie doby[63]

– wyjaśni Jurandot.

Dwie doby, bo w nocy przewidziano postój, nie można było jechać – w lesie wciąż kryli się Niemcy i trwały strzelaniny. A cała droga była niczym innym niż dawnym szlakiem bojowym, zawalonym rozbitymi czołgami niemieckimi, Panterami, i armatami. Jest też puenta tej historii: gdy Jurandot z Dziewońskim dotarli do Łodzi, całe ministerstwo było tam już od półtora dnia. Wystartowali samolotem kwadrans po tym, jak tamci wsiedli w ciężarówkę.

W świecie pełnym nowych możliwości i nowych ograniczeń Jerzy Jurandot stanął przed wyzwaniem zbudowania drugiego, po Feminie, teatru w swoim życiu. Jak znaleźć odpowiednie pomieszczenie? Jak mieszkania dla aktorów? Niby wszystko w opuszczonym przez Niemców mieście jest dostępne, ale trwa walka,

w każdym z resortów ktoś zagarnia coś dla swojego urzędu, dla własnej instytucji, dla własnych ludzi.

> Miałem z tym mnóstwo kłopotów, ale w końcu wylądowała taka bardzo zabawna banda obdartusów, których po kolei angażowałem, obiecując im, że kiedy teatr ruszy, kiedy się teatr zbuduje i kiedy zacznie przynosić dochody, to wtedy zaczną zarabiać jakieś pieniądze. Nie wiadomo jakie. A co będą na razie robili – też nie wiadomo. Teatr ruszył dokładnie 5 lipca 1945 roku. Nazywał się Syrena.[64]

Ruszył w słynnym Grand Hotelu. Na trzecim piętrze.

Na przełomie zimy i wiosny 1945 roku Jurandotowie znowu się rozdzielają – tym razem na kilka tygodni. Stefania nadal jest spikerką Polskiego Radia, występuje w teatrzyku estradowym w Domu Żołnierza w Lublinie. Oboje pieniędzy – gotówki – zarabiają niewiele, ich wynagrodzeniem są na przykład surowy boczek (Stefania), jajka, miód, codzienny bochenek chleba do podziału na pół z Dziewońskim (Jerzy). Wszystkiego jest mało, jedzenie wciąż trzeba zdobywać. Grodzieńska na czarnym rynku w Lublinie, u spekulantów, kupuje tłuszcz czy cukier – i wysyła Jerzemu do Łodzi. Będzie żartować, że żywi swojego przyszłego dyrektora, by zasłużyć na to, żeby i ją zaangażował do swojego rodzącego się właśnie teatru[65].

I tak się, właściwie całkiem szybko, stanie.



Na scenie Teatru Syrena w Łodzi

ROZDZIAŁ X

Łódź 1945–1948 • Warszawa 1948–1950
(i epizodycznie później)

Matka pokazuje dziecku na ulicy jej niezwykłą sylwetkę. Biegną za nią oczy przechodniów. Na uśmiechniętej twarzy zaznaczają się kształtne łuki brwi, zręcznie nałożone plamy różu ożywiają policzki, usta wprawna dłoń pokryła lekko połyskującą szminką.

Włosy zostały zaplecione w niski duży kok, z przedziałkiem pośrodku.

Na ciało postać narzuciła fantazyjną szubę – zapinaną tak, że żaden przechodzień podobnego łączenia na płaszczu czy futrze jeszcze nie widział. A przecież wszyscy wokół prezentują się dziwacznie, żeby nie napisać – są poprzebierani.

Ludzie noszą ubrania z Zachodu, dostarczone przez pomoc humanitarną, UNRRA: choć solidne i niezłe jakościowo, to rzadko bywają dopasowane w rozmiarze, fasonie czy kolorze. Naciągają na siebie farbowane palta – barwione, żeby zamaskować ich zniszczenia albo militarne pochodzenie. Narzucają też na przykład oficerskie mundury po przeróbkach – demobil wojskowy jest jak studnia bez dna, ale umiejętnością jest przemienić jego zasoby w elegancki strój cywilny.

Na łódzkiej powojennej ulicy migają też góralskie kapelusze. Na stopach wielu – buty na drewnianych obcasach. Skóra (poza tą z demobilu) była surowcem rzadkim, a wyroby z niej: bardzo drogie. „I właśnie na tej ulicy pani Stefania wyróżniała się. [...] Szła tą ulicą po prostu tak, jakby przebiegała cały ten dystans czasu, jakby nagle szła ulicą Warszawy przedwojennej. Jakby za chwilę miała

pójść do kawiarni Ziemiańska czy pójść spędzić wieczór w Adrii, w gronie przyjaciół"[1] – wspominał w rozmowie radiowej Ryszard Marek Groński. Grodzieńską, witaną wszędzie z entuzjazmem artystkę Syreny, mało tego: znaną felietonistkę „Szpilek" i „Przekroju", na łódzkiej ulicy pokazała mu właśnie mama.

Stefania szła w pełnym makijażu i fantazyjnej szubie.

Łódź zaczęła się od Syreny i dwóch pokoi z kuchnią, no i szczęśliwie z łazienką, przy Bandurskiego, gdzie Stefa i Jurek dostali mieszkanie, podobnie jak pozostali członkowie Związku Literatów Polskich i Artystów Scen Polskich. To ich pierwsze od czasu warszawskiej Poznańskiej prawdziwe, własne lokum.

> Kiedy wreszcie znalazłam się w moim mieszkaniu, nie potrafiłam cieszyć się z łóżka, z prawdziwej pościeli, z łazienki – to wszystko wydawało mi się tymczasowe, udawane, wypożyczone. Kiedy weszłam do kuchni, otworzyłam kredens i zobaczyłam w nim siedem talerzy, każdy inny, spytałam: czy to są nasze talerze? Dopiero wtedy rozpłakałam się pierwszy raz od lat. To był koniec wojny[2]

– powie prawie trzydzieści lat później. Mieszkanie okazało się w pełni wyposażone, przedmioty z niego zostaną z Grodzieńską na długo: biurko, fotel, zegar, maszyna Erika wyprodukowana w Dreźnie, na której Jurandot napisze wiele tekstów.

Pewnego wieczora słyszą pukanie do drzwi. „Otworzyliśmy je i skamienieliśmy. Gość, nie zwracając na nas uwagi, wszedł pewnym krokiem do pokoju i opadł na krzesło"[3]. Odziany był w płaszcz z wielkim czerwonym krzyżem na plecach.

Ty żyjesz! – krzyczy Stefa, kiedy orientuje się, że ma przed oczami pewną ukochaną twarz, tę z dołeczkami w policzkach, które sygnalizują tak wytęskniony uśmiech. To Krystyna Żywulska, aresztowana w 1943 roku za działalność konspiracyjną – przesłuchiwana



Łódzka ulica, którą – jak wspominała Stefania Grodzieńska – aktorzy Syreny nie mogli przejść niezauważeni. „Wszyscy nas zaczepiali w sklepach, wszyscy pytali, co jeszcze można dla nas zrobić. Tak byli wdzięczni za ten pierwszy uśmiech po tylu latach wojny"



Szeroki, promienny uśmiech, 1947 rok

w siedzibie gestapo przy Szucha, osadzona na Pawiaku, potem deportowana do Auschwitz, choć sama Żywulska nigdy nie zgodziłaby się z tak zapisanym zdaniem. „Byłam w Oświęcimiu"[4] – będzie powtarzać.

Grodzieńska była przekonana, że jej przyjaciółka została zamordowana w styczniu 1945 roku w nazistowskim marszu śmierci. Lecz Krysia/Zosia uciekła. A teraz na zmianę płaczą, śmieją się, ściskają i całują we trójkę w łódzkim poniemieckim mieszkaniu. A Krysia opowiada po kolei: wyjście z getta, konspiracja, Szucha, Pawiak, obóz, jego ewakuacja, wywrócony wóz siana, który szczęśliwym zrządzeniem losu udaje się jej zauważyć, za który wpada, gdy straż odwraca wzrok. Jerzy mówi: „Musisz to opisać. To twój obowiązek"[5]. I Żywulska pisze – *Przeżyłam Oświęcim* (1946), a potem *Pustą wodę* (1963).

Będzie też satyryczką, wyjdzie za mąż za swojego przyjaciela z dzieciństwa, Leona Andrzejewskiego, przedwojennego łódzkiego działacza komunistycznego, powojennego funkcjonariusza aparatu bezpieczeństwa. Polskę opuści w 1968 roku.

Kończą się gorączkowe przygotowania przed pierwszym przedstawieniem w Syrenie – teatrze ulokowanym na trzecim piętrze dawnego Kina Grand, przy ulicy Traugutta 1, róg z Piotrkowską 72. W ostatnich miesiącach udało się wymienić przegniłą podłogę i przeobrazić hotelowy magazyn kartofli, jakim jeszcze niedawno była sala z neorenesansowym kasetonowym stropem, w teatr: z niedużą sceną, oczywiście z reflektorami, foyer, a nawet z garderobami, na które przejęto gabinety. Historia tych ostatnich zachęcała do puszczenia cugli wyobraźni, co też zrobił Jurandot w *Dziejach śmiechu*, opowieści o swojej artystycznej drodze:

> Na wielkich lustrach, oprawionych w złocone secesyjne ramy, zachowały się jeszcze wycięte diamentami imiona pięknych

prawdopodobnie pań, które tu przebywały w towarzystwie bogatych prawdopodobnie panów. Teraz miało się tu wprowadzić towarzystwo, w którym panie wprawdzie były bezspornie piękne, ale diamenty znały co najwyżej ze słyszenia, a co do panów, to nawet sam dyrektor i kierownik artystyczny miał chwilowo na grzbiecie jedną jedyną ocalałą z zawieruchy wojennej koszulę. Kiedy chciał ją sobie wyprać, pożyczał drugą od Dziewońskiego, któremu uchowały się dwie.[6]

Zainteresowanie rewią (jej premierę zaplanowano na lipiec 1945 roku) jest ogromne. Rusza pierwszy w powojennym kraju teatr, w którym będzie można się pośmiać. Publiczność zna już co prawda Teatr Wojska Polskiego, przeniesiony do Łodzi z Lublina, ale wystawiany tam repertuar bywa, owszem, lekki, lecz klasyczny. Na przykład komedie Fredry. W ciągu kilkunastu kolejnych miesięcy, za sprawą Juliusza Osterwy i Leona Schillera, scena ta obrodzi pomnikowymi inscenizacjami: *Fantazym* Słowackiego, *Burzą* Szekspira, a po wielu latach gigantami polskiego dramatu romantycznego: *Kordianem* i *Dziadami*.

Syrena jest więc czymś wyjątkowym, pierwsza premiera już została ogłoszona, ludzie opowiadają o niej z ekscytacją, a tu... nie ma na czym posadzić widowni. Jak opowie Jerzy:

Szukaliśmy tych krzeseł, ale wszystkie, które były do dyspozycji w okolicy, już zostały, używając terminu z tamtych czasów, wyszabrowane. To znaczy zaopiekował się nimi kto inny. Posunąłem się do tego, że pojechałem do Wrocławia, bo mówiono mi: jest wielka hala, w której przemawiał Hitler, ma 10 tysięcy miejsc, wobec tego będzie tam 10 tysięcy krzeseł. Ale okazało się, że z tych 10 tysięcy 9995 już zdążyli zabrać. Zostało tylko jakieś 5 połamanych krzesełek, z których nie skorzystałem i ze smutkiem wróciłem do Łodzi.[7]



Z łopatą przy odgruzowywaniu siedziby
warszawskiej Syreny przy ulicy Litewskiej

Trudno, myśli Jerzy, trzeba będzie ogłosić w „Dzienniku Łódzkim", że każdy, kto wybiera się na spektakl, jest proszony o przyniesienie ze sobą siedziska. No, chyba że zdarzy się cud.

I rzeczywiście się zdarzył.

Krzesełka ogrodowe z wielką uprzejmością zgodził się wypożyczyć Syrenie cyrk z Katowic (to był efekt epizodu zarządzania cyrkami przez Jurandota). Wagon z cennym ładunkiem stanął na bocznicy kolejowej, gdy aktorzy grali próbę generalną, dzień przed premierą.

> Krzesełka zwieziono do teatru w Łodzi na ulicę Traugutta 1. Porzucono, po czym wszyscy poszli do domu i powiedzieli, że jest późna godzina, więcej się tym zajmować nie będą. Wobec tego pan dyrektor, to znaczy ja, w towarzystwie dwóch lojalnych pracowników, którzy pozostali, z których jeden był stary i powłóczył nogami, a drugi bardzo młodziutki, przez całą noc ustawialiśmy krzesła. To nie jest takie proste, jakby się wydawało – ustawić kilkaset krzeseł na sali, na balkonie. Potem ja jeszcze sporządziłem plan, określiłem ceny, wywiesiłem na kasie i o dziewiątej rano poszedłem spać, a o dziesiątej przyszła kasjerka i zaczęła sprzedawać bilety. No i tak się odbyła ta jedna z pierwszych premier teatrów w Polsce Ludowej. Program się nazywał *Inne czasy* i był tam szereg rzeczy, które w normalnym programie satyrycznym nie mają miejsca, bo przepojonych sentymentem, wzruszeniem. No, trudno nam się dziwić[8]

– podsumuje Jurandot.

Wśród aktorów w tym pierwszym programie wystąpili między innymi: Stefcia Górska, Edward Dziewoński, Stefania Grodzieńska, Wacław Jankowski, Wanda Bartówna, a także Alina Janowska. Teksty napisali Jurandot, Grodzieńska, Zdzisław Gozdawa, Wacław Stępień, Krystyna Wolińska.

Najważniejszym akcentem programu była piosenka Stefci Górskiej z refrenem: „Inne czasy, proszę pani, inne czasy. Teraz masy, proszę pani, teraz masy!”[9]. Publiczność zaśmiewała się też z monologu szabrownika, który przedstawiał się jako „likwidator mienia poniemieckiego z własnego ramienia”[10]. Już te dwa elementy rewii pokazują, z jakim humorem zetknęła się łódzka publiczność – i jak wiele łączyło go z gettową satyrą Jurandota. Jako kierownik artystyczno-literacki znowu zaproponował rozbrajanie rzeczywistości, do której trudno się zaadaptować, humorem. Śmianie się, kiedy jest trudno. A jednak twórca Syreny napisze po latach: „Błędem tego naszego pierwszego programu było naciśnięcie kilku klawiszy, nie mieszczących się zasadniczo w rejestrze wesołego teatrzyku. Ale czy można nam się dziwić? Wspomnienia okupacyjne były zbyt świeże, żebyśmy mogli do nich nie wrócić”[11].

> Wszystko się odbyło wspaniale. Naprawdę, to była niezapomniana premiera, dlatego że duża część publiczności była pierwszy raz w teatrze od bardzo długiego czasu. [...] Do 1948 roku graliśmy w Łodzi, a łódzka publiczność była taka, że naprawdę nie potrafię państwu powiedzieć, jak to było. Może jako przykład powiem, że jak urodziła mi się córka [w 1946 roku – przyp. EP], to ją nosiłam pod pachą w beciku, dlatego że nie miałam wózka. No, nie było mowy, żebyśmy sobie pozwolili na wózek. Po jakimś czasie pod drzwiami mieszkania zastałam wózek, taki dla dużej lalki, wyplatany. I w nim była kartka: wszystkiego dobrego. Jakiś widz teatru ofiarował wózeczek, w którym później woziłam moją Joannę. Trudno było przejść po ulicy nam, aktorom Syreny, dlatego że wszyscy nas zaczepiali w sklepach, wszyscy pytali, co jeszcze można dla nas zrobić. Tak byli wdzięczni za ten pierwszy uśmiech po tylu latach wojny[12]

– opowie Grodzieńska o tym pierwszym wieczorze, a także atmosferze wokół występów.

Kolejne łódzkie programy – a było ich łącznie dziewiętnaście, z czego do minimum pięciu teksty napisała także Stefania, a zagrała w co najmniej czternastu[13] – popchnęły teatr w stronę satyry bardziej aktualnej, doraźnej (*Bez żelaznej kurtyny*, *Miłość i propaganda*, *Wgląd w rząd*, *Ambasador*, *Plecy*), ale też ku rewiom wykorzystującym klasyczne symbole, motywy, mity i archetypy kultury (*Trzej muszkieterowie*, *Moja żona Penelopa*).

Dobra passa trwa. Syrena obrasta prestiżem, rośnie w siłę, a bywanie w niej staje się miejskim snobizmem. Zachwyty nie są czcze – jeśli wnioskować po oklaskach. Jurandot zapamięta, że w czasie jednego z wystawień widowiska *Trzej muszkieterowie* braw „przy otwartej kurtynie" było aż sześćdziesiąt osiem[14]; tyle razy widzowie uznali żart, dowcip, puentę za celne. Do teatru dołączają kolejni twórcy. Program *Żołnierz królowej Madagaskaru*, na podstawie farsy Stanisława Dobrzańskiego i Juliana Tuwima, pisze właśnie Tuwim, razem z Tadeuszem Sygietyńskim. Zresztą autor *Kwiatów polskich* staje się duchowym opiekunem Syreny, choć rzadko współautorem tekstów, częściej twórcą pojedynczych pomysłów. A w *Żołnierzu…*, wystawianym w 1946 roku na scenie ogródkowej, czyli letniej scenie w ogrodzie Grand Hotelu, zagrali Mira Zimińska i Ludwik Sempoliński.

W 1947 roku w Syrenie, w programie *Artyści*, występuje też przedwojenna gwiazda kabaretów i kina Adolf Dymsza – co ciekawe, w dramatycznym monologu, wzruszając zaskoczoną publiczność do głębi.

Jedną z części pewnego programu dla Syreny napisał nie kto inny, jak wielki Leon Schiller. Jurandot trafił na bankiet powitalny, który na cześć Schillera – więzionego za działalność konspiracyjną i polityczną – wydał zarząd miejski w Łodzi. „Wszedł do hallu – niski, zwalisty, z nieporadnie wiszącymi, za długimi rękami, jeszcze w oflagowej zielonkawej wiatrówce angielskiego kroju i w olbrzymim berecie z dyndającymi z tyłu tasiemkami. Było w tym coś śmiesznego, coś patetycznego i przede wszystkim



Stefania Grodzieńska i Jan Brzechwa
podczas pochodu 1 maja w Łodzi w 1947 roku

coś wzruszającego"[15]. Zaczepiony przez Jerzego na tym niezwykle uroczystym raucie, gdzie między przemówieniem jednego oficjela a wystąpieniem drugiego można było dyskretnie omówić różne teatralne sprawy, Schiller zgodził się wyreżyserować półgodzinną serię dawnych francuskich piosenek ze słynnego paryskiego kabaretu Le Chat Noir, które sam przetłumaczył. „Był to jeden z najpiękniejszych numerów «Syreny»"[16] – napisze Jurandot w *Dziejach śmiechu*.

Program, którego częścią były piosenki Schillera, nazywał się *Wiosenne rewierendum*, czym nawiązywał do referendum ludowego z 1946 roku, przed którym starły się dwie wizje państwa: komunistyczna i opozycyjna. Przedmiotem referendum były trzy kwestie: zniesienie senatu, utrwalenie wprowadzonych zmian społecznych, w tym reformy rolnej i unarodowienia podstawowych gałęzi gospodarki, a także zachodnia granica na Odrze i Nysie Łużyckiej. „Trzy razy tak" – krzyczała propaganda, społeczne nastroje były jednak bardziej złożone. Wyniki referendum sfałszowano, co pomogło utrwalić władzę komunistyczną w Polsce na kilka dekad.

Łódzka rewiowo-satyryczna scena rozkwitała, teatr było więc wreszcie stać na to, by kupić krzesła. Ten błahy szczegół zasługuje na krótką uwagę. Jurandot wspominał o wygodnych, zamówionych w stolarni fotelach, które firma malarska pomalowała tak źle i tak fatalną farbą, że publiczność się do nich… przyklejała. „Całymi tygodniami płaciliśmy za zniszczone spodnie (rzadziej za suknie, panie jakoś łatwiej dawało się odkleić). W ten sposób część publiczności przylgnęła do «Syreny» aż nazbyt dosłownie"[17].

„No, wie pan, że też im puszczają takie rzeczy"[18] – powtarzali w foyer widzowie. Jurandot napisze, że Syrena wiele zawdzięczała śmiałości cenzorów. Zaś stosunkowo rychłe przenosiny teatru do Warszawy były związane z tym, jak spodobał się na występach gościnnych program *Wgląd w rząd*, z którym Syrena przyjechała do stolicy pod koniec 1946 roku – zresztą zawdzięczając tę wyprawę temu, że w Łodzi w pierwszych rzędach siadali kierownicy różnych resortów. Program *Wgląd w rząd* napisała między innymi

Grodzieńska, która występowała w nim także jako aktorka. Wtedy też po raz pierwszy pokazał się w Warszawie Kazimierz Rudzki, „najlepszy i najdowcipniejszy od czasów Járosyego konferansjer”[19], jak określi go Jerzy. Beczką śmiechu okazała się szopka polityczna, w której wystąpiły kukiełki obecnych na sali ministrów, prezesa Czytelnika Jerzego Borejszy, dygnitarzy różnej rangi, w tym premiera Józefa Cyrankiewicza.

Zanim w grudniu 1948 roku Syrena zainaugurowała swoją obecność w Warszawie przy ulicy Litewskiej, aktorzy sami odgruzowywali otrzymaną od miasta ruderę – podrzucającego cegły Dymszę i Grodzieńską z łopatą uwieczniła nawet Polska Kronika Filmowa[20]. A potem, na otwarcie, teatr również zagrał program z szopką, w której znowu „wystąpił” Cyrankiewicz, a także wiceminister kultury i sztuki Włodzimierz Sokorski. Było to 12 grudnia – trzy dni później powstała PZPR.

Zaczynał się okres stalinizmu.

O tym, jakim dyrektorem był Jerzy Jurandot, wiele mówi już historia inauguracyjnego warszawskiego występu Syreny. Eryk Lipiński, karykaturzysta i wieloletni redaktor naczelny „Szpilek”, zapamiętał, że Jerzy zamówił u niego plakat właśnie na pierwszą warszawską premierę. Zamówił gotowy projekt do druku – i już. Nie chciał wcześniej akceptować szkiców, robić przymiarek i tak dalej. „Takie stanowisko zamawiającego zdarza się bardzo rzadko, a przecież pełne zaufanie klienta do twórcy ogromnie mobilizuje. Toteż przyłożyłem się bardzo do tego projektu i do dziś uważam go za jedną z moich najlepszych prac w tej dziedzinie”[21] – napisze Lipiński we wspomnieniach. Inną ciekawą rzecz o Jurandocie jako dyrektorze ujawni jego żona. „Czy państwo mi uwierzą, że ten człowiek nigdy w życiu nie podniósł głosu? No, już nie mówię, że na aktorów, ale na mnie. A to już jest sztuka”[22].

Jedne z bardziej wyróżniających się, efektownych zdjęć Stefanii Grodzieńskiej w Syrenie pochodzą ze spektaklu *Pan z milionami*[23]

z 1949 roku. Choć sztuka nie zachwyciła Ireny Krzywickiej, jej tekst uznała ona za błahy, a samą inscenizację – za spłyconą i zwulgaryzowaną w porównaniu z filmem z Garym Cooperem, to jednak dostrzegła kunszt aktorów i znakomite prowadzenie przedstawienia. O Stefanii, wcielającej się w postać bezwzględnej dziennikarki, żerującej na naiwności chłopaka, który niespodziewanie dzięki spadkowi stał się milionerem, napisała: „Cyniczna i miła była najdowcipniejsza z moich koleżanek po fachu – Stefania Grodzieńska”[24].

Sam Jurandot, zestawiając dwie Syreny – łódzką i warszawską – przyznawał, że mimo imponującego rozwoju teatru, wielkiej i wygodnej sceny przy Litewskiej 3 w budynku dawnej ujeżdżalni, tak zwanego tatersalu, warszawska Syrena nie była już synonimem tej lekkości, tego dowcipu i tego blasku, które odnajdywał w teatrze łódzkim. Choć oczywiście, spoglądając wstecz, wychwalał wybitnych artystów, kabaretowych pionierów, osobowości, które odznaczały się na warszawskiej scenie: Hankę Bielicką, Irenę Kwiatkowską, Kazimierza Brusikiewicza.

Syrena żyła dalej, z nowymi twarzami i nową legendą. W pamięci kolejnych pokoleń aktorów pozostawała teatrem wybitnym – miejscem, w którym przedwojenny kunszt sztuki estradowej był nadal żywy.

Artyści, którzy ten kunszt nieśli, ruszyli w Polskę: do teatrów, świetlic robotniczych, czasem zwykłych baraków, w których na scenę składały się żarówka na drucie i prześcieradło rozwieszone na sznurku. Na widowni ławki. Znani ze sceny, estrady i radia – najważniejszego medium przed pojawieniem się telewizji – zdobywali wielką popularność, a potem uczyli kolejne pokolenia aktorów zawodu i świadomości sceny. Niektórzy, jak Grodzieńska, robili to wielostronnie. Teatr, konferansjerka, radio, pisanie tekstów satyrycznych, na których uczą się młodzi aktorzy – trudno tę różnorodność zamknąć w jednym zdaniu.



Pochód 1 maja – już w Warszawie,
przełom lat czterdziestych i pięćdziesiątych



Artyści ruszają w Polskę! Grodzieńska
podczas objazdu po Wybrzeżu, 1948 rok

Jeśli życie może być czasem wielopolówką – kulminacyjnym zbiorowym numerem rewii, w którym na scenie, podzielonej na wiele poletek, w symultanicznej grze, tańcu, śpiewie, spełnia się widowisko – to Stefania Grodzieńska od 1945 do około 1966 roku ustawia się w jej centralnym punkcie. Tka liczne sieci relacji, pomnaża swój twórczy potencjał, znowu uczy się przetrwania: przez pracę.

Jej pozycja zmienia się diametralnie, a życie przyspiesza.

W zachowanym *Kalendarzu terminowym z 1945 roku*[25] treści jest niewiele. 17 stycznia mocno wyróżnione „Warszawa", 24 stycznia „Jurek", więc pewnie wtedy Jurandot dotarł do Lublina. A potem ten maleńki terminarz zamienia się w buchalterię, dosyć ścisły, choć często skrótowy, umowny, wykaz przypływów gotówki. Radio, Syrena, teatr, Warszawa, „Szpilki", radio, premiera, Syrena, „Szpilki", tantiemy. Trzy tysiące trzysta, tysiąc osiemset pięćdziesiąt, czterysta, osiemset złotych. Z kalendarza da się wyczytać przynajmniej tyle, że za tekst w „Szpilkach", lewicowym ilustrowanym tygodniku satyrycznym, wydawanym przez spółdzielnię Czytelnik, gdzie Grodzieńska publikuje od wiosny 1945 roku, dostaje osiemset złotych. Naczelnym jest Stanisław Jerzy Lec, a od 1946 roku Eryk Lipiński – ten sam, któremu Jurandot zaufał z plakatem, a który także zapamiętał, jak spotkał Grodzieńską podczas wojny. Znali się jeszcze z wcześniejszych czasów, Stefania na jego widok uciekła w bramę. Dekonspiracja byłaby groźna dla nich obojga[26].

Wpływy z teatru, który działa jako aktorska spółdzielnia, są różne, zależą od liczby występów i podziału między członków zespołu ewentualnych nadwyżek. Niemniej miesięczne zestawienia z końcem roku rosną. To ponad dwadzieścia jeden tysięcy złotych w październiku i listopadzie, a nawet ponad trzydzieści tysięcy w grudniu.

Dopiero zestawione z cenami kwoty te zaczynają mówić coś o życiu, na które mogły pozwolić.

Bilet na listopadowy program Syreny – *Miłość i propaganda* – kosztuje pięćdziesiąt złotych[27].

W 1945 roku kilogram chleba na czarnym rynku w Kielcach wymaga wyciągnięcia od dwunastu do trzydziestu dwóch złotych z kieszeni. Za tę samą ilość mięsa trzeba zapłacić od stu dwudziestu do stu sześćdziesięciu pięciu złotych. Za mąkę czterdzieści pięć do sześćdziesięciu złotych[28]. Wiosną 1946 „Dziennik Łódzki" informował o zarządzonych maksymalnych cenach za mięso w sprzedaży detalicznej. Schab: dwieście osiemdziesiąt pięć, wołowina – dwieście dziesięć złotych[29].

Kierownik wojewódzkiego urzędu bezpieczeństwa publicznego we Wrocławiu w listopadzie 1945 roku otrzymuje płacę w wysokości trzech tysięcy dziewięciuset czterdziestu czterech złotych[30].

Najpewniej Grodzieńska zarabia nieźle, choć warto mieć na uwadze, że w latach 1945–1946 wartość pieniędzy nie jest stabilna. Ceny rosną niesamowicie szybko, produkty kupuje się w dwóch obiegach. Ostatecznie też nie wiadomo, czy Stefania zapisuje tylko swoje przychody, czy może dolicza też wpływy Jurandota. Bez wątpienia jednak już te powojenne zawodowe początki i zarobki pokazują coś, co pozostanie dla niej charakterystyczne do końca: bycie w pełnym sensie kobietą pracującą. Kimś, kto wie, że praca jest znojem, że wymaga dyscypliny, ale w życiu – w którym losowi trudno zawierzyć, bo ten ciągle coś odbiera – praca może być jedynym pewnikiem. Dzięki niej można pokazać światu, kim się jest, wzmacniać poczucie własnej wartości, ale też poczucie niezależności.

„W 1946 roku w Łodzi pochłonęło mnie życie teatralne, nie mogłam pogodzić tego wszystkiego. Pisałam bardzo dużo do trzech tygodników, co tydzień trzy felietony, w radiu stała współpraca, tygodniowy felieton, co miesiąc audycja «Syrena w radiu», tak że nie było już czasu na spikerowanie"[31] – powie w jednej z rozmów o tym, jak zmieniło się w krótkim czasie jej życie. Ze spikerki stała się w radiu osobą, która czyta tam własne teksty.

A przecież jesienią 1945 roku Stefania Grodzieńska zaszła w ciążę, a pod koniec maja 1946 roku urodziła córkę, Joannę – i jej życie zawodowe nie zwolniło.

Może dlatego, że miała wokół siebie kobiety. Żywulska w Łodzi poznała ją z koleżanką, Elżbietą Pańczyszyn, wkrótce żoną powstańca warszawskiego Lecha Pawłowskiego. Elżbieta była pielęgniarką w szpitalu obozowym, tak zwanym rewirze w Oświęcimiu. Po wojnie pracowała jako pielęgniarka na oddziale pediatrii w Szpitalu Anny Marii dla Dzieci w Łodzi, studiowała medycynę, jako specjalizację wybrała pediatrię. Na roku poznała męża. To Elżbieta była przy porodzie Stefanii – a przyjmowała go mama Stasia Kozłowska[32], czyli matka Żywulskiej, która we wspomnianym wyżej szpitalu pracowała jako położna. Poród nie był łatwy, o czym opowiada mi Katarzyna Pawłowska-Horna, córka Elżbiety: – Babcia Stasia krzyczała: „Przyj! Przyj! Jeszcze raz! Jeszcze raz! I nagle zaśpiewała arię Adama z operetki *Ptasznik z Tyrolu* ze słowami: „Jeszcze raz, jeszcze raz, ptaszku mój...". Stefcia tak się śmiała, że natychmiast urodziła.

Dodaje: – Nie miałam innej babci, poza babcią Stasią, mamą Krysi, Stefcia też nie miała innej mamy. Dlatego obie, moja mama i Stefcia, mówiły do babci „mama". Myśmy z Joanną mówiły „babciu". Wtedy Stefcia wymyśliła określenie „rodzina z wyboru". Tak sobie przypadły do gustu, że zostały razem do końca życia. One się z moją mamą bardzo przyjaźniły i rzeczywiście traktowały jak siostry. Każda z nich – Stefcia, Krysia i moja mama – była zupełnie inna, ale miały wspólne poczucie humoru. Z Joanną wychowywałyśmy się razem.

Już na początku rozmowy przypomina jej się pewne zdarzenie, symptomatyczne dla tej potrójnej przyjaźni, choć dotyczące znacznie późniejszych wydarzeń niż te łódzkie.

– Krysia przyjechała do Warszawy po wielu, wielu latach. Spotkały się we trójkę w domu Stefci, buzie im się nie zamykały. Siedziałyśmy z Joanną na schodkach i słuchałyśmy, co mówią. Nagle

dolatuje do nas: „Chyba oszalałaś! Ty miałaś gorzej, bo pracowałaś w Kanadzie*. Przecież wiedziałaś, co się stanie z tymi ludźmi. Ale co ty opowiadasz?! Ty miałaś gorzej, wyszłaś z getta i musiałaś się ukrywać. No ale co ty! Elżbieta miała gorzej, pracowała w rewirze". Stare baby licytowały się o to, która miała gorzej, której należy bardziej współczuć. Płakałyśmy z Joanną ze śmiechu. Kiedy Stefcia szła do kuchni, one za nią tup, tup, tup. To było bardzo wzruszające. Nie rozstawały się.

Pawłowska-Horna zaznacza, że w latach tuż po wojnie, kiedy przyszła na świat, a jej rodzice jeszcze się kształcili, w domu było biednie. Dwójka studentów utrzymywała się ze stypendiów, Elżbieta dorabiała, biegając po Łodzi i robiąc zastrzyki z penicyliną. Podawało się je chorym co kilka godzin, a osób cierpiących na ciężkie zakażenia bakteryjne w trudnych powojennych warunkach – tłoku, niedożywienia, kłopotów z zachowaniem higieny – było wiele. Mieszkanie, w którym żyli Pawłowscy, ogrzewało się, jak w większości domów w Łodzi i w ogóle Polsce, piecami na węgiel. Elżbieta kupowała trzy, cztery worki czarnych bryłek, na więcej jej nie było stać.

– Któregoś pięknego dnia, proszę sobie wyobrazić, przyjeżdża jakiś mężczyzna i mówi: „Pani Pawłowska, przywiozłem pani węgiel". Co się okazało? Stefcia miała występy w Katowicach, gdzieś przy kopalni. Zapytała, czy mogą jej zapłacić w węglu i zawieźć ten węgiel do Łodzi. To były trzy tony węgla – wyjaśnia Pawłowska-Horna. – Ona była tak dobra... To była chodząca dobroć. Pomagała każdemu, kto się nawinął pod rękę. Kiedy byłam malutka, a mama pracowała, przesyłała jej przez lata pieniądze na gosposię. To nie mogły być małe kwoty.

---

* Kanada była w Auschwitz nazwą komanda i baraków, w których sortowano rzeczy odebrane deportowanym.



Z córeczką Joanną, 1946 rok

Od 1946 roku Grodzieńska pisze felietony głównie dla „Tygodnia", „Szpilek" i „Przekroju". Zwłaszcza dwa ostatnie tytuły przynoszą jej ogromną popularność i wierne grono czytelników. „Przekrój" w 1947 roku miał nakład 262 tysiące, w połowie lat pięćdziesiątych, gdy oczywiście Stefania wciąż w tygodniku publikuje – osiągnie liczbę 360 tysięcy[33].

Losy założyciela pisma, Mariana Eilego-Kwaśniewskiego, pokazują, w jak wyjątkowe, szczęśliwe, czasem zupełnie przypadkowe sploty zdarzeń układało się wówczas życie kulturalne i artystyczne. W 1945 roku w Syrenie, gdy jeszcze w dawnej sali kinowej trwały prace budowlane, pojawił się jako utalentowany scenograf, z rekomendacją od dyrektora departamentu teatrów, właśnie Eile. Jerzy z przyjemnością by go zatrudnił, ale miał już dwóch scenografów. „Marian Eile pożegnał się w sposób dość kwaśniewski, wyjechał do Krakowa i tam założył «Przekrój». W ten sposób powstanie «Przekroju» jest jednym z najbardziej bezspornych osiągnięć «Syreny»"[34] – napisze Jurandot. Tak narodził się jeden z najbardziej wyrazistych tygodników społeczno-kulturalnych w historii Polski, kreujący trendy, formujący gusta i estetyczne upodobania setek tysięcy obywateli. Satyra, obok mody, była w tym piśmie niemniej ważna niż publicystyka.

To Eile zadzwonił do Grodzieńskiej i zaproponował cotygodniowy felieton, który Stefania w każdy czwartek musiała dostarczać konduktorowi, czekającemu na dworcu na odjazd pierwszego, porannego pociągu do Krakowa. „Chodziło o aktualność felietonów. Pisałam je w ostatniej chwili, a konduktor był szybszy od listonosza"[35] – wyjaśni Grodzieńska, która na dwie dekady zostanie jedną z gwiazd „Przekroju".

Już w drugiej połowie lat czterdziestych pisze mnóstwo. Teksty są i będą poprawiane w nieskończoność, nawet gdy zostaną już wydrukowane. Pomysły: przetwarzane, wykorzystywane wielokrotnie. Pierwsza wersja felietonu nigdy nie była po prostu włożona

w kopertę, wysłana do redakcji i na tym koniec. „Stąd, że ukończyłam szkołę baletową, wyciągnęłam masę korzyści dla pisarstwa. Po pierwsze: poczucie rytmu. Czytam po dziesięć razy sobie na głos w czasie pisania i poprawiam właśnie rytm, melodię, jak muzyk, przestawiam jedno słowo z drugim. [...] Jako tancerka miałam wpojone, że bez rzemiosła nie ma nic"[36] – powie po wielu latach.

Satyra Grodzieńskiej bierze się z metodycznej, poważnej obserwacji – i z celnie wyłapanego szczegółu. To on staje się pretekstem do rozbudowania nad nim anegdoty, wypowiedzenia ważnej myśli. Co jest tworzywem? To, co najważniejsze: codzienność. Jak się na nią patrzy, poza tym, że poważnie? Z zezem, lecz empatycznie, bezbłędnie wyłapując momenty, w których ludzie stają się dla siebie niemili.

To pisanie daje się zrozumieć, gdy przygląda się mu z kilku stron, z ciekawością.

Katarzyna Pawłowska-Horna o tym, za co jej zdaniem ludzie uwielbiali teksty Grodzieńskiej: – Patrzyła naszymi oczami, bo była jedną z nas. I uczyła, że możemy spojrzeć na siebie z przymrużeniem oka. Pisała zawsze w pierwszej osobie: tutaj ma głupiego męża, tu ma głupich znajomych. No, każdy z nas ma coś, co go wkurza, więc śmiej się z tego, zamiast się wkurzać: to starała się przekazać. Poza tym miała bardzo dużo ciepła, i to ciepło było i w niej, i w jej tekstach.

Warto na chwilę zwolnić biograficzną opowieść i wejść głębiej w teksty Grodzieńskiej – dzisiaj zapomniane i niemal nieczytane. A jednak bez nich trudno zobaczyć, jak Stefania twórczo przetwarzała doświadczenia wojny i powojennego chaosu, przeżycia małżeństwa i macierzyństwa, pracę i codzienne absurdy – jak je rozbrajała, zamieniała w scenę, dialog, puentę.

Teksty, w swoim pierwszym, reprezentatywnym wyborze, czyli w wydanych w 1949 roku *Rozmówkach*[37], Grodzieńska opatrzyła wstępem *Jak zaczęłam pisać felietony*[38]. Znaczące jest już to, że

scenę opowiadającą o „mrokach początków twórczości satyrycznej" ujęła w formę flirtu. Na ławce w parku siedzą kobieta i mężczyzna. Ona opowiada o „myślach, które czasem opadają" i nie można się ich pozbyć. Dotyczą polityki, wojen, ludzi, którzy się „biją o przekonania. Więc trzeba, żeby się wszyscy zdecydowali na jakieś jedno przekonanie". Niechby wskazał to najbardziej odpowiednie Gandhi. Ciągi skojarzeń od ikony pacyfizmu prowadzą do Indian, potem do skalpowania i ludożerstwa. On jest szczerze rozbawiony tym nonsensem, wychwala zmysł satyryczny bohaterki. Sugeruje, żeby zapisywała to, co w tej chwili opowiada. I że najbardziej niezwykła jest ekspresja, z jaką kobieta mówi: ekspresja pełna powagi. W puencie Grodzieńska pisze: „Do dziś zresztą nie mogę zrozumieć, dlaczego moje artykuły społeczno-polityczne są zamieszczane w prasie satyrycznej".

W pierwszej części *Rozmówek* zebrane są teksty sceniczne, złożone głównie z dialogów, opatrzone hasłem *Tragedia w jednym akcie*. Cóż tu można znaleźć? Wiele z tego, co u Grodzieńskiej najważniejsze: absurd, niedorzeczność, groteskę, wielokrotne zapętlenie historii, komedię omyłek, choć purnonsensową, to jednak zawsze rządzącą się własną logiką. Pretekstem są spotkania z ludźmi: w tramwaju, w sklepie, u lekarza. Rodzina, święta, posiłki. Ludzkie przywary: głupota, wścibstwo, próżność, zazdrość. Centralnym punktem – związki, małżeństwa, relacje damsko-męskie, przełożone na przykład na sytuację pary duchów, jak w *Tragedii astralnej*[39].

Jest Duch i Duszyca. Duch dużo pracuje, wraca późno, przynosi grosze. Duszyca dwa lata czeka na kolację, była skłonna czekać jeszcze pół roku – później sama zaczęłaby jeść. W napiętej atmosferze nietrudno o nawarstwianie się żali i eskalację pretensji. Tym razem zapalnikiem jest wieczorne wyjście na „materializację u Paptasińskich z Hożej". Duszyca nie ma co na siebie włożyć. Rozpętuje się „awantura o głupie pięć metrów ektoplazmy na wieczorową suknię", bo żona Ducha martwi się, że „pierwsza lepsza astralucha będzie

lepiej od niej ubrana". Zazdrosna ponadto o Ducha, na potencjalne konkurentki jest gotowa zamachnąć się gromnicą. „Lepiej bym wcale z trumny nie wychodziła. Już mi się nie żyć odechciewa", stwierdza na koniec. I jeszcze podpis pod tekstem: „Autorka (walczy przy okazji na swoim odcinku z propagandą podżegaczy wojennych): No i co, warto umierać?"[40].

Tragedia w jednym akcie to zapis małżeńskich dyskusji, utarczek, których praprzyczyna, czyli związanie się ze sobą dwóch osób o różnych potrzebach, temperamentach, nigdy nie zostanie zniwelowana. Mężczyzna: może sprawiać wrażenie zobojętniałego, koncyliacyjnego, wycofanego, mówiącego wprost, czasami nieporadnego. Kobieta: chce mu dogodzić, wychować go, upomnieć się o jego uwagę, co na ogół skutkuje lawiną gadulstwa, pouczania, doszukiwania się drugiego, trzeciego, czwartego dna w byle zdarzeniu. Już tytuły „tragedii" uruchamiają ciągi skojarzeń: *Trzy tygodnie po ślubie*[41], *Tylko się nie denerwuj*[42], *Co byś zrobił, gdybym umarła?*[43], *Chory mąż*[44], *Rodzinny wieczór*[45].

Pojawia się wśród nich figura kochanka, motyw romansu niemal immanentnie wpisanego w małżeństwo, jak w dialogu *Mąż i kochanek*[46]. Na początku adnotacja: „Dość obgadywania kobiet. Bierzemy się do chłopów, moja pani. Oto historia jednego wieczoru".

MĄŻ. Nie mogę patrzeć, jak chodzisz w tym szlafroku rozmemłana. Ubierz się, nie chodź jak Dulska.

KOCHANEK. Nie, nie ubieraj się jeszcze! Jesteś właśnie najbardziej urocza, kiedy wyglądasz tak intymnie.

MĄŻ. Więc co, mam się przejmować tym, że ci się znów kiecka nie udała. A kiedy ci się udała? Dziury w niebie zresztą nie będzie, jeżeli nawet wisi z jednego boku.

KOCHANEK. Moje ty bidusieństwo malutkie, taka zmartwiona minka! Chodź, zabijemy tę wstrętną krawcową, tego potwora, co tak zmartwił moje nieszczęśliwiątko [...].

MĄŻ. Co? Papierosa? Nie szkoda zmarnować? Przecież ty nawet nie umiesz porządnie palić. Tylko na pokaz.

KOCHANEK. Wiesz, najbardziej mnie wzrusza to, że ty tak nieporadnie palisz. Jak mały uczniak, który chce zaimponować kolegom.

Cały dialog na ponad dwadzieścia kwestii to trafna obserwacja dwóch skrajnych relacyjnych perspektyw: rutyniarskiej, zobojętniałej, krytykanckiej, wypalonej – i tej zakochanej, czułej, wyrozumiałej, ciekawej drugiego człowieka, nieco go idealizującej. Najciekawsze pozostaje jednak to, co Grodzieńska pisze na końcu: że mąż i kochanek to przecież jeden i ten sam chłop. „Ale my na swoje pocieszenie mamy to, że jeśli on właśnie jest naszym mężem, to nasz kochanek nam to wynagradza, odgrywając się znów na swojej żonie, której wynagradza to jej kochanek, który odgrywa się itd. Ach, życie jest łańcuchem, którego ogniwa tworzymy wszyscy".

Do drugiej części książki trafiły tytułowe *Rozmówki* – rozwinięte narracyjnie, z zarysowaną pełniejszą akcją. I tu zalążkiem są przypadkowe spotkania, choćby u dentysty lub w kawiarni. Wielopiętrowo ironicznym, niepozbawionym też aktualnych kontekstów politycznych tekstem jest *Nuda*[47], w której wraca wspomnienie emocji z końca wojny. „Wojna się skończyła. Człowiek się spodziewał Bóg wie czego", mówi kawiarniany bohater. Dodaje: „Zmieniło się. Papierosy do niczego, kawa podła. Tak. Świat się cofa. Nic nowego już nie będzie". Po czym całuje „śnięte powietrze w okolicach ręki" autorki i dryfuje ku następnej kawiarni. Ironia wokół wojny pojawia się też na przykład w tekście *Mydłkówna*[48], której bohaterka jest przekonana, że wkrótce wybuchnie kolejny konflikt zbrojny, wszędzie widzi sygnały ostrzegawcze, dlatego tym razem postanawia się lepiej przygotować.

Trzecia część zbioru to jeszcze bardziej rozbudowane fabularnie *Historyjki*, właściwie bliżej im do krótkich opowiadań. Są osnute

wokół ludzkich losów i przypadkowości powojennego życia. Tłem są tu urzędy, sklepy, towary, poziom życia. „Sanacja sanacją, a ludziom się lepiej powodziło" (*Prześwietlenie*[49]), mówią na przykład bohaterowie. Dodają: „Krótka znajomość z okresu okupacji więcej łączy niż najdłuższa przyjaźń w normalnych czasach" (*List z Wołomina*[50]). Pojawia się tu też głęboko groteskowy tekst *W noc sylwestrową*[51], w którym siedmiomiesięczna Dzidzia rozmawia z nowym rokiem, a raczej „noworoczkiem". Dzidzia zupełnie nie jest zainteresowana tym, co dostanie w nowym roku, na przykład łóżeczkiem, chce... wydłubać mamie oko. Noworoczek konstatuje: „Masz zupełnie takie same marzenia jak dorośli".

Czwarta sekcja to teksty odnoszące się do przeżyć własnych autorki (*Garść przeżyć osobistych*). Faktycznie, znaleźć tu można doświadczenia Grodzieńskiej związane z macierzyństwem, jak na przykład w felietoniku *Racjonalne wychowanie*[52], w którym świeżo upieczona matka staje się niewolnicą poradnika *Pielęgnowanie niemowląt*. Lecz i jej córeczka sumiennie realizuje wszelkie oczekiwania wobec własnego rozwoju. Nagle jednak trzymiesięczny bobas czyta rozdział o dwuletnim dziecku, w które się za chwilę rozwojowo przepoczwarza, i mówi do mamy: „Sału mozna dostać! Juz sama wiem najlepiej, jak się mam lozwijać".

Inne teksty dotyczą, na przykład, szukania tematów do felietonów lub udręki, jaką jest nagabywanie przez ludzi, którzy przychodzą do niej z gotowym pomysłem, żądając na dodatek jego realizacji. Jest tu też nieco o występach przed publicznością, konfrontacjach z ludźmi, którzy mają swoje wyobrażenia o życiu artystów i, jak w każdych czasach, często nierealistyczne oczekiwania wobec nich. Lecz może inny przykład: „Obudziłam się. W skroni miałam gwóźdź, w uchu szpilkę, w gardle kręgosłup szczupaka, a w nosie wszystko. Pomyślałam: «mam katar» i głośno powiedziałam «bab katar», po czym gwałtownie eksplodowałam. Kiedy odzyskałam przytomność i stwierdziłam, że jednak jestem w całości, domyśliłam się, że kichnęłam" – tak zaczyna się *Katar*[53],

kołomyjka, której przedmiotem jest osłabione przeziębieniem ciało, nagle dla wszystkich obce, niewygodne. Studium ludzkich reakcji na chorobę, niedyspozycję.

Piąta część to *Odczyty w związku stanowczych mężatek* – tu między innymi teksty pod tytułem: *Jak zużytkować męża w czasie podróży?*[54], *Co zrobić z mężem w czasie świąt?*[55]. Fragment jednego brzmi tak:

> Męża w czasie przygotowań przedświątecznych wyrzuca się z domu i już. Drogie panie, wierzcie mi, że to przestarzała i zła metoda. Należy się raczej zastanowić, jak wykorzystać męża. Jak wydobyć na światło dzienne jego ukryte możliwości. Jak zmusić pasożyta do służenia ogólnej sprawie. Przecież nawet taki szkodnik jak kret daje ładne futro. Trzeba tylko wiedzieć, czego od kogo wymagać.[56]

Grodzieńska – po swojemu, a więc przewrotnie – uderza w to częste myślenie o mężczyźnie jako domowej zawalidrodze.

Żart zawsze niesie w sobie ryzyko, że ironia nie zostanie przez wszystkich tak samo rozpoznana, wyłapana, podchwycona. Jak pokazuje neuronauka, nasze głowy wiedzą, kiedy ktoś serwuje nam dowcip, bo za rozpoznanie żartów odpowiadają konkretne obszary i sieci mózgu, a sam żart angażuje też układ nagrody[57]. Nie znaczy to jednak, że humor działa automatycznie: odbiorca musi jeszcze rozpoznać podtekst dowcipu. Dla nas dzisiaj to trudniejsze, bo musimy rozumieć też kontekst historyczny – to, że świat był wtedy inny, ludzie myśleli inaczej. Przeżyli wojnę i Zagładę. Bez znajomości specyfiki epoki humorystyczna niespójność może pozostać niewidoczna, mózg nie znajdzie rozwiązania, a my nie pomyślimy: ach, więc o to Grodzieńskiej chodziło. Na to, jak odbierzemy dowcip, wpływają też nasza osobowość, wrażliwość i stopień otwartości. Jeden typ humoru może do nas przemawiać, inny – zupełnie nie.

Interesujące z punktu widzenia neurobiologii jest też spojrzenie na mózgi zawodowych komików[58]. Jak się okazuje, zauważalne są neuroanatomiczne różnice w mózgach profesjonalnych rozbawiaczy, które mogą pomagać im na przykład w budowaniu odległych skojarzeń i znajdowaniu drogi do zaskakującej puenty. Może to mieć związek z latami pracy, treningiem, rozwijaniem neuroplastyczności, niekoniecznie wyłącznie z wrodzonymi skłonnościami. Z biograficznej perspektywy to o tyle ciekawe, że pozwala coś zrozumieć: że ktoś, kto – jak Stefania Grodzieńska – stale pracuje w żarcie, może dostrajać swój mózg do pewnego typu funkcjonowania.

Ostatnia część *Rozmówek, Rok 1945*, zaprasza czytelników do rozgoszczenia się w świecie Alicji. Z jednej strony to najbardziej znana postać z tekstów Stefanii Grodzieńskiej. Z drugiej – najbardziej kłopotliwa, wprowadzająca w konfuzję: idiotka, kretynka, „idiotka dialektyczna", „Dulska nowej epoki, nowej doktryny"[59], jak będzie o niej mówić jej twórczyni. Dzisiaj bawi już słabiej nie tylko dlatego, że mamy inną wrażliwość społeczną, a pisane przez współczesnych satyry, w których koncept byłby oparty na „kobiecej głupocie", zostałyby raczej od razu uznane za wzmacniające dyskryminację, normalizujące uprzedzenia, oceniające wygląd (Alicja jest zawsze niezwykle modnie ubrana). Co jednak wcale nie znaczy, że nie możemy w tych tekstach dostrzec żartu Stefanii. Tylko może lepiej nie czytać go zbyt dosłownie?

Ta postać, o czym często mówiła Stefania, została zainspirowana jedną z koleżanek z lubelskiego radia, ale jest też po prostu nią, Stefą. „Spojrzę w lustro i już mam felieton satyryczny"[60] – powie w jednej z rozmów radiowych. W innej doda:

> Otóż ja byłam tą Alicją. Autorka to jest postać wyimaginowana. W każdej kobiecie drzemie idiotka. Niech pan sobie dobrze pomyśli o swoich znajomych i bliskich. Kobieta, w której nie drzemie ani ćwierć idiotki, jest nie do zniesienia. Bez

wdzięku, bez niczego. [...] Więc ja cieszę się z tego, że we mnie jest przynajmniej 90 procent Alicji i lubię ją. Tylko że już mi się znudziła. Już teraz stara jest. To jak byłyśmy młode, tośmy sobie gadały o różnych głupotach, a teraz to już jestem poważniejsza.[61]

Patrząc z jeszcze innej strony: kobieta, która może powiedzieć największą głupotę, bo przecież jako wzorcowa idiotka jest niemądra, naiwna i niczego nie rozumie, nikt więc nie bierze jej serio, staje się niezwykle skutecznym satyrycznym narzędziem, ale też przewrotną figurą głupiego mędrca. Trochę jak błazen z przywilejem szczerości na królewskim dworze – szczerości ubranej w żart czy alegorię. Alicja odnosi się więc do prawa własności, reformy rolnej czy polityki międzynarodowej, nierzadko zwraca uwagę na polityczne iluzje. Z kolei jej potrzeba modnego wyglądu to przecież pragnienie wielu kobiet, żeby wreszcie wyglądać ładnie, kolorowo, inaczej. Planem Alicji jest walka o nowe życie.

Teksty, które Stefania Grodzieńska po latach wyróżniła wspólnym oznaczeniem *Rok 1945*[62], należą do najciekawszych, układają się też we wciągającą całość, co trudno powiedzieć o wielu późniejszych felietonach Grodzieńskiej, które czytane jeden po drugim mogą po prostu męczyć. Tu jest inaczej. Komedia miesza się z dramatem, wysokie z niskim, a wszystkie sceny, dialogi, historie działają jak katalizator dla doświadczeń trudnego, rozchwianego 1945 roku, które Grodzieńska obudowuje własną refleksją. W tym kontekście w Alicji można widzieć figurę o bezcennej zdolności rozładowywania napięć, racjonalizowania. Jest w niej coś pragmatycznego i pozytywistycznego. W tej roli zresztą nie zawsze występuje Alicja, czasami autorka.

W *Klopsównie*[63] Stefania trafia po latach wojny na fotel dentystyczny. W czasie borowania, pozbawiona szans na skomentowanie czegokolwiek, cierpiąca przy tym, uczestniczy mimo woli

w dialogu, w którym jej przypadkowe pojękiwania są interpretowane jako odpowiedzi na konkretne pytania. Rzecz dotyczy tego, kto był w porządku, a kto nie podczas okupacji. Grodzieńskiej zostają przypisane opinie, których nigdy nie wypowiedziała. „Zerwałam się z fotela, podbiegłam do otwartego okna i ryknęłam na całą ulicę Bandurskiego: – Nie znam Klopsówny! Nic o niej nie mówiłam! Ale było za późno. Już wiedzieli na Cegielnianej".

W tekstach z granicznego 1945 roku sporo jest figur rozmaitych kombinatorów, stale obecny jest motyw szabru, poniemieckiego wyposażenia łódzkich mieszkań, są Ziemie Odzyskane (*Za Odrę tam precz*[64]) i małżeństwa, które nagle się odnajdują po wojnie, lecz już z innymi małżonkami u boku, bo okazuje się, że ktoś, kto był uznany za zmarłego, o którym mówiono, że został zamordowany w obozie, jednak żyje (*Rodzinne grono*[65]). Są wreszcie procesy norymberskie, o których rozmawiają nawet dzieci.

Grodzieńska nie włączyła jednak do tego tomu tekstu *Norymberga* z grudnia 1945 roku, który opublikowała w „Szpilkach"[66]. „Naszym korespondentom w Norymberdze, a szczególnie Erykowi Lipińskiemu i Tadeuszowi Trepkowskiemu ku rozwadze" – brzmi dopisek pod tytułem. Do opowiedzenia o procesach przed Międzynarodowym Trybunałem Wojskowym, gdzie w 1945 roku stanęli między innymi opisywani w tym felietonie Hermann Göring, Rudolf Heß, Hans Frank i nazistowski ideolog Alfred Rosenberg, Grodzieńska wykorzystuje Alicję.

W żółtych pończochach, opowiadając – jak mogłoby się wydawać – największe kocopoły, Alicja wygłasza całkiem trzeźwe osądy. Zwraca uwagę na to, że dziennikarze wyciągają przedpotopowe wypowiedzi Hitlera czy innych zmarłych nazistów, a tylko raz napisali, jak który zbrodniarz na ławie oskarżonych wygląda. „Skąd się między nimi wziął ten Żyd?", pyta nagle Alicja, zwracając uwagę na nazwisko Rosenberga. Między rozważaniami o modzie na norymberskiej ulicy bohaterka Grodzieńskiej pyta też, nawiązując do argumentów obrony, w których oskarżeni powoływali się na

rozkazy, brak świadomości skali zbrodni, a nawet, jak Rudolf Heß, amnezję: „Jak ty myślisz, czy oni dawniej udawali wariatów, czy teraz udają normalnych?". „Hm. Bo ja wiem?", odpowiada autorka.

Jeszcze w Lublinie Stefania Grodzieńska zarejestrowała się w Centralnym Komitecie Żydów Polskich – świeckiej organizacji uznawanej przez władze, reprezentującej Żydów w nowej rzeczywistości i oferującej im socjalne, medyczne, kulturalne wsparcie, a przede wszystkim ewidencjonującej ocalałych. W 1945 roku na listach, na które trafiło nazwisko „Grodzińskiej"[67] (imiona rodziców, data urodzenia się zgadzają, zaś jako adres Stefania podała siedzibę PKWN), było pięćdziesiąt osiem tysięcy nazwisk. Listy zostały opublikowane w Palestynie i w Nowym Jorku – żeby ludzie mogli się odnaleźć.

Jakim miejscem dla Żydów i Polaków żydowskiego pochodzenia, tej garstki ocalałych – bo to niewiele ponad dziesięć procent z przedwojennej społeczności – był ich kraj i na jakich zasadach mogli budować w nim swoją przyszłość?

Manifest PKWN głosił: „Żydom po bestialsku tępionym przez okupanta zapewniona zostanie odbudowa ich egzystencji oraz prawne i faktyczne równouprawnienie"[68]. Jednak domy powracających ze Wschodu (czyli większości ocalałych) były zajęte, synagogi rozgrabione, macewy z żydowskich cmentarzy wyrywane z ziemi, wykorzystane jako bruk czy budulec murów. Wojna zniszczyła i unieważniła niegdyś istniejące sąsiedzkie więzi[69].

W 1945 roku Rachela Auerbach, żydowska historyczka, współtwórczyni Archiwum Ringelbluma, po wojnie biorąca udział w jego wydobywaniu, pisała w prywatnej korespondencji:

> Najwyższy już czas, byśmy wyjechali, wyjechali z tego kraju i strzepnęli kurz z naszych nóg. Niech zostaną tu tylko POP-y [Pełniący Obowiązki Polaka], przeżyją jeszcze niejedno zaskoczenie. Niech prowadzą politykę chowania głowy w piasek,

niech robią, co chcą. Dla nas będzie najlepiej, żebyśmy już oszczędzili sobie wmawiania komuś, że ma nas lubić.[70]

Napięcia powojennych lat skutkują wielką emigracją Żydów na Zachód i do Palestyny. Dziesiątki tysięcy wyjeżdżają zwłaszcza w miesiącach po pogromie w Kielcach w lipcu 1946 roku, gdzie wystarczyła iskra, pogłoska o przetrzymywaniu dziecka w budynku Komitetu Żydowskiego, by część mieszkańców, ze wsparciem milicjantów i żołnierzy, uznała, że ma prawo bić Żydów i do nich strzelać. Zginęło ponad czterdzieści osób.

W 1950 roku Centralny Komitet Żydów w Polsce[71] został rozwiązany. W kraju nie było już miejsca na wcześniejszą instytucjonalną autonomię żydowskiego życia, co wpisywało się w antyżydowską kampanię Stalina, która narastała w ZSRR od końca 1948 roku – wtedy, gdy powstała PZPR, a Syrena przeniosła się do Warszawy.

Z końcem lat czterdziestych różnorodność polityczna i organizacyjna życia żydowskiego została zahamowana przez władze. Partie syjonistyczne musiały zostać zlikwidowane, Bund rozwiązano. Działaczom żydowskiego pochodzenia w kręgach PPR już od wczesnych powojennych lat nadawano nowe, polsko brzmiące nazwiska – zajmowała się tym Zofia (Liwa) Szoken[72], z czasem Gomułkowa, która pracowała w wydziale personalnym partii i z tego powodu zwano ją „Janem Chrzcicielem z PPR".

Tu wraca żywy przez dziesięciolecia antysemicki mit żydokomuny, zbyt gładko stawiający znak równości między społecznością żydowską a ustrojem komunistycznym. Osoby pochodzenia żydowskiego zajmowały wysokie stanowiska w niektórych strukturach powojennej władzy, między innymi w aparacie bezpieczeństwa, a ich odsetek był znacznie wyższy niż udział ocalałych w polskim społeczeństwie*[73]. Nie uprawnia to jednak do wyciągania

* Jesienią 1945 roku, według notatki Bolesława Bieruta, wśród pięciuset osób z kadry kierowniczej resortu bezpieczeństwa sześćdziesiąt

prostego wniosku, że to Żydzi wprowadzili do Polski komunizm ani że cała wewnętrznie, tożsamościowo, politycznie, ideowo zróżnicowana społeczność, która przetrwała Holokaust i chciała żyć w powojennej Polsce, widziała swoją przyszłość w komunizmie[74].

Do tej niespokojnej powojennej scenerii należy dodać próby mierzenia się całych społeczeństw ze skalą niemieckich zbrodni. W latach 1945–1948 w Europie jednym z najważniejszych sposobów opowiadania o nich i objaśniania wagi procesów takich jak norymberskie stały się ekspozycje poświęcone przemocy dotąd niewyobrażalnej[75]. Wystawy okazały się międzynarodowym fenomenem, który przyciągnął setki tysięcy widzów.

Już w maju 1945 roku osłupiali Londyńczycy obejrzeli na *The Horror Camps* zdjęcia z dopiero co wyzwolonych niemieckich obozów. Wielkoformatowe fotografie wywołały złość, odrazę, silny dyskomfort, ale były też impulsem do konfrontacji z prawdą. Na początku zwiedzający nie wiedzieli, że mordowani na zdjęciach to osoby żydowskiego pochodzenia, świadomość budowała się stopniowo. W lipcu 1945 roku w Paryżu podwójna runa SS odznaczała się na czarno-biało-czerwonym plakacie wystawy *Crimes hitlériens* w Grand Palais, prezentującej zdjęcia i dokumenty z obozów. Jeszcze wcześniej, w maju 1945 roku, w zdewastowanej stolicy Polski, masowym grobie tysięcy ciał, zorganizowano wystawę *Warszawa*

---

siedem było pochodzenia żydowskiego (co daje ponad 13 procent). Od 1944 do 1954 roku w gronie najwyższych rangą pracowników MBP tych o żydowskim rodowodzie było 37,1 procent. Lecz gdy w miejsce rozwiązanego Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego pojawił się Komitet ds. Bezpieczeństwa Publicznego, odsetek osób mających żydowskie korzenie na wysokich stanowiskach zmalał o kilka punktów (do 34,5 procent). Podobnie przyglądając się strukturom bezpieki (UB i UDSBP): w latach 1944–1956, wśród najwyższych funkcjonariuszy w wojewódzkiej sieci urzędów, osoby te stanowiły 20,5 procent. Te dane obliczył Krzysztof Szwagrzyk.



Stefania, Joanna, Jerzy, 1948 rok

oskarża – pierwszą powojenną w Muzeum Narodowym. Ponad czterysta tysięcy osób obejrzało w ciągu kilku miesięcy ekspozycję, której punktem centralnym było zrujnowane polskie dziedzictwo kulturowe. W kwietniu 1948 roku w Warszawie Żydowski Instytut Historyczny otworzył wystawę *Martyrologia i walka*, poświęconą Zagładzie, żydowskiemu ruchowi oporu i niemieckim zbrodniom.

W takich złożonych kontekstach, często już dziś nieuchwytnych, trzeba rozpatrywać powojenne życie i twórczość Grodzieńskiej. Przypomnijmy jeszcze: Wiera Gran walczy o swoje dobre imię – kolejne postępowania nie potwierdzają zarzutów, a Sąd Obywatelski przy Centralnym Komitecie Żydów w Polsce ją uniewinnia (1949). W 1947 roku Grodzieńska publikuje pod nazwiskiem matki ogromnie ważne świadectwo, zbiór wierszy *Dzieci getta*. Tomik po raz ostatni za jej życia ukazuje się w 1949 roku.

Słowa „Żyd" i „getto" stopniowo coraz trudniej mieszczą się w codziennym języku. Nie znikają – przesuwają się w sferę przemilczeń. Napięcia, urazy i niechęć pozostają jednak w relacjach międzyludzkich – również tych łączących osoby pochodzenia żydowskiego.

O tym rodzaju powojennej złośliwości ze Stefanią rozmawiała kiedyś Katarzyna Pawłowska-Horna. – Powiedziała mi: „Nie wiesz, co oni przeżyli w czasie wojny". W niej nie było cienia złośliwości, zazdrości, zawiści, w każdym starała się widzieć zalety. – Pawłowska-Horna przyznaje też: – O pochodzeniu Stefci dowiedziałam się bardzo późno. Właściwie dopiero po śmierci Jurka [1979 – przyp. EP], kiedy trzeba było załatwić jego metrykę urodzenia. O tym się nie mówiło. To nie był temat.

Czy jej mama, Stefania i Krystyna Żywulska odnalazły się w powojennych realiach?

– Czy one się odnalazły? Nie wiem. Człowiek jest bestią inteligentną, a inteligencja to jest między innymi przystosowywanie się do warunków. Wszystkie trzy przeżyły wojnę i dzięki swojej

inteligencji potrafiły dostosować się do rzeczywistości. Po wojnie też. Moja mama zawsze mówiła: „Nie można oglądać się wstecz, trzeba pamiętać, ale trzeba patrzeć do przodu".

Esej o najwcześniejszych tekstach Grodzieńskiej (z lat 1944–1955) napisze w 1977 roku Marian Pankowski, pisarz w historii polskiej literatury wyjątkowo odważny, destabilizujący język swoją mięsistą polszczyzną, a wywrotową myślą i obyczajową odwagą – skostniałe gusta. Pisząc o Stefanii w *Teatrze ludzi prawdziwych*, zauważy, że Polska to nie Francja, gdzie mógł rozwinąć się rubaszny humanista Rabelais, naśmiewający się z politycznych i feudalnych praw, ludzkich wad, nadużyć i głupoty. W kraju szarpanym przez zaborców i powstania pisarz humorysta, jak nazywa to Pankowski, „jest raczej intruzem"[76]. Krótko mówiąc, nie odkryliśmy, a więc nie doceniliśmy, tej uzdrawiającej siły śmiechu. A jednak w tym dość monotonnym pejzażu po wojnie pojawił się ktoś osobliwy: Stefania Grodzieńska.

> Jak socjolog obdarzony talentem humorysty, chodzi Grodzieńska po ulicach, „łapiąc" na gorąco ludzką głupotę i prywatę. Już zauważa zatory hamujące nurt nowego. Ciska w nie teksty-granaty, wierząc, że śmiech i głośne nazwanie bolączek pokona egoizmy i utoruje drogę budowie socjalizmu. Wierzy, że prawdzie trzeba pomóc. Zaczyna iście sanitarną akcję wielkiego pokazywania palcem wad i przestępstw. Angażuje się politycznie i kulturalnie po stronie nowego życia. Zdaje sobie sprawę, że walka o jakość obywatelską Polaka toczy się w warunkach trudnych, ale jeszcze nie wie, że front między prawymi a kanciarzami nie pokrywa się bynajmniej z podziałami ideologicznymi.[77]

Doceni jej umiejętność prześwietlania codzienności, dotykania wielu społecznych napięć i konfliktów. Stefania odpisze Pankowskiemu:



Stefania Grodzieńska i Krystyna Żywulska z niewielkim wózeczkiem. Być może to właśnie ten „dla dużej lalki", podarowany Grodzieńskiej przez jednego z widzów teatru – woziła w nim córkę Joannę

Trudno mi wyrazić radość, jaką Pan mi sprawił swoją tak bardzo życzliwą oceną. Osoba Pana jest mi oczywiście dobrze znana, a *Granatowy goździk* kupiłam sobie niedawno, nie przypuszczając, że Autor tej ciekawej i pięknej książki sprawi mi tak wspaniałą niespodziankę.

Sądząc z artykułu, zna Pan moje dawne raczej książki. Od lat już piszę zupełnie inaczej, po prostu z pewnych form się wyrasta i patrzy się na nie jak na stare kiecki, z przykrym zdziwieniem, że się je kiedyś nosiło. Ale może te nowe suknie są jeszcze brzydsze... Ostatnio właściwie przestałam pisać, ponieważ życie moje stało się trudne i smutne (choroba męża).

Boję się, że Pan będzie ponosił winę, jeśli teraz znów zacznę. Pan wie, grafomankę tylko pochwalić i nieszczęście gotowe...[78]

Ale na smutek przyjdzie jeszcze czas. Trzeba wyruszyć w góry.



Stefania Grodzieńska i Wawrzyniec Żuławski na Gerlachu.
„Szczyt moich marzeń" – napisze

ROZDZIAŁ XI

Tatry 1948–1955 • Warszawa 1948–1966 • Czechosłowacja 1955–1958 • Dziesiątki polskich miejscowości (niektóre wielokrotnie): 1948–1966 • Paryż 1957 • Chamonix 1957, 1958 • Londyn 1946, 1958, 1959 • Bułgaria, Słoneczny Brzeg, połowa lat sześćdziesiątych

We wnęce skały, która daje schronienie trzem, może czterem osobom, Stefania lubi spać w samym kącie. Budzi się kilka razy w nocy, tłukąc głową o wystający kamień. W kolebie jest chłodno, ciemno, twardo i pachnie górą – to lekki, mineralny zapach, pozbawiony przytłaczającego ciepła leśnych żywic i igliwia. Gdy wyczołguje się rano razem ze śpiworem, widzi staw. Nad nim stoi mężczyzna i czyści brudny garnek po wieczornym posiłku. Cała Dolina Litworowa w Tatrach Wysokich, po słowackiej stronie, jest ich. „Nigdzie na świecie obudzenie nie może być bogatsze i radośniejsze"[1] – myśli Grodzieńska.

Sierpień, prawdopodobnie 1949 rok[2].

Mężczyzna potrafi całymi godzinami wpatrywać się w urwiste ściany. Szuka wzrokiem kominów, czyli stromych szczelin skalnych, którymi dałoby się przecisnąć. Tropi rysy, a więc pęknięcia, w które można włożyć dłonie. Szuka też zachodów – skośnych półek, którymi można przejść bokiem, łagodniej w górę. Wypatruje nowych dróg[3].

Dzisiaj idą na Wielicki Szczyt. Stefania na razie zamyka go w oczach. Jeszcze nie może powiedzieć, że jest jej.

Ruszają. Najpierw ścieżka, potem kamienne stopnie i skały, coraz bardziej nagie skały. Gdy są już całkiem blisko szczytu, mężczyzna, pierwszy na linie, krzyczy: „Możesz iść!"[4]. „Tam łatwo,

chodź już!"[5] – ponagla ją. Wahanie – ułamek sekundy. Czy lęk przytłoczy ciało? Ten głęboko zaszyty lęk, biorący się z przekonania, że w ciele Grodzieńskiej mieszka „tchórz idealny"[6] – ktoś, kto nie ma żadnych cech taternika, a chodzi na taternickie trasy wyczynowe? Ktoś, kto boi się każdego chwytu, kruchego podłoża, ma poczucie, że byle ruch sprowadzi na niego śmierć?

Nie, nie można wpaść w stupor i potem wysłuchiwać przygadywań mężczyzny, że na początku wieku Jerzy Żuławski szedł na takie trasy z psem w plecaku. Jak zawsze więc Grodzieńska wybiera klasyczną ucieczkę do przodu: im bardziej się boi, tym szybciej biegnie do kolejnego chwytu i kolejnego, i tak dalej, *da capo al fine*. Jeszcze mniej niż dwa wyciągi liny, niecałe dwa odcinki wspinaczki między stanowiskami, potem ostatnie kilka metrów z lotną asekuracją – idą równocześnie, związani liną. „Rozkoszna podszczytowa wspinaczka po wielkich, szorstkich głazach"[7] – nazwie ten etap. A potem ukochany w ustach kompana dowcip: „A to przykra niespodzianka! Góra nam się skończyła"[8]. Uścisk ręki. Siadają. Triumfalny papieros. „Jestem szczęśliwa, szczęśliwa, szczęśliwa"[9] – powtarza sobie Stefania.

Ze szczytu patrzy na Litworowy Staw: stężałą granatową kroplę w stabilnym, surowym krajobrazie. Jest i łączka z kolebą, w której spędziła ostatnią noc.

Wracają. Stefania, w chustce na głowie, siada nad stawem, ściąga buty i skarpety. Wystawia twarz do słońca[10]. Wielicki Szczyt jest jej.

Grodzieńska i Jurandot poznali Wawrzyńca Żuławskiego w powojennej Łodzi. Był nie tylko znakomitym alpinistą, taternikiem, ale także muzykologiem, kompozytorem, dziennikarzem. W czasie wojny: żołnierzem AK, który w swoim mieszkaniu razem z matką udzielał schronienia każdemu, kto go potrzebował. Jego zaangażowanie w pomoc osobom ukrywającym się było bardzo szerokie. Pośmiertnie został uhonorowany tytułem Sprawiedliwy wśród



Odpoczynek nad Litworowym Stawem

Narodów Świata. Brał udział w powstaniu warszawskim. W drugiej połowie lat pięćdziesiątych został prezesem ZAiKS-u[11].

„Jeden z najcudowniejszych, najbardziej czarujących ludzi, jakich znaliśmy w życiu"[12] – opowie o nim Stefania. Mężczyzna, który nie tylko wyznawał, ale praktykował najwyższe wartości, jakie mogą przejawiać się w ramach człowieczeństwa – to zauważał Jerzy, akcentując „niezłomną wierność sobie i koleżeństwo sięgające poza granice naturalnej ludzkiej obawy przed śmiercią. Celowo z wielkim trudem omijam słowo bohaterstwo, bo wszelki patos tak samo nie pasuje do pamięci Wawrzyńca, jak nie pasował do niego za życia"[13] – napisze Jurandot. „Zginął tragicznie, idąc na poszukiwanie zaginionego towarzysza w Alpach"[14] – doda Stefania.

Ponadtrzydziestoletnia Stefania z wielkim zainteresowaniem słuchała historii Żuławskiego o wyprawach w Tatry. Wawrzyniec już przed wojną należał do czołówki polskich alpinistów, w 1946 roku wydał pierwszą książkę o tatrzańskich akcjach ratowniczych (*Niebieski krzyż*), w których regularnie brał udział. To, co mówił, wydawało się Grodzieńskiej zupełnie egzotyczne, a równocześnie zazdrościła mu doświadczeń. Chętnie odwiedzała Zakopane – ta miłość, trwająca od czasów przedwojennych, nie gasła, mimo gruźliczych wspomnień, mimo śmierci pierwszego męża w Sanato. Pewnego razu Wawrzyniec powiedział więc: jak będziesz w Zakopanem, pójdziemy na wspinaczkę. Ciało Grodzieńskiej zmiękło, zrobiło się jej słabo, ale odpowiedziała: dlaczego nie?[15]

Na pierwszą wyprawę poszła w jego starym swetrze, który sięgał jej do kolan. Buty też były pożyczone, ale to, co zapamiętała przede wszystkim, to nie brak wyposażenia, lecz straszne zdenerwowanie.

> Nie mam patologicznego lęku przestrzeni, ale nie lubię na przykład balkonu na wysokim piętrze. Nie lubię windy, przez którą coś widać [...]. Poszliśmy do Morskiego Oka i tam zobaczyłam, jaki cudowny jest nastrój. To była jesień, już nie było wycieczkowiczów wielu, raczej sami ludzie gór się tam

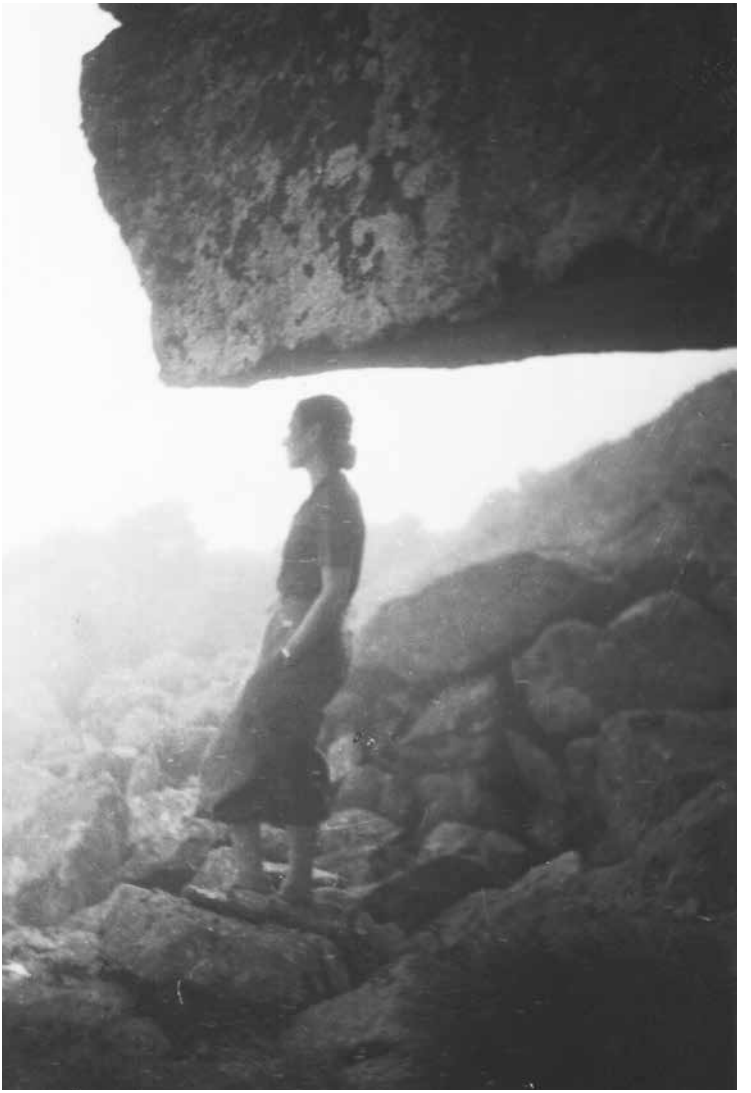
zebrali. Zobaczyłam, jakie to jest cudowne, jak oni wszyscy o tym mówią. Zobaczyłam też różne panie, które nie wyglądały na sportsmenki, a doskonale chodziły[16]

– opowie o pierwszym kontakcie z grupą taterników.

Nie od razu chciała z nimi gdziekolwiek wędrować. Pierwszego dnia siedziała na werandzie schroniska i patrzyła na taflę wody, myśląc o tym, że do wyższego jeziora – Czarnego Stawu nad Morskim Okiem – mogłaby iść co najwyżej na czworakach, czyli z niechęcią i obawą. Mimo to poszła. „Kiedy przewiązaliśmy się liną, to poczułam, że coś się we mnie zmieniło. Wyszliśmy nad Morskim Okiem na taką maleńką wspinaczkę, ale już wspinaczkę"[17].

Z każdym chwytem jaśniała w niej iskra, wypełniało boskie uczucie przezwyciężania potwornego lęku. Od 1948 roku góry stają się pasją, życie zaczyna kręcić się od wyjazdu do wyjazdu – choć przecież zawodowo ani na sekundę nie zwalnia. Grodzieńska wspina się przede wszystkim z Wawrzyńcem Żuławskim. Ich kompanem bywa też wybitny taternik, alpinista, lekarz Tadeusz Orłowski, czasami dołącza do nich dyrygent i pasjonat wspinaczek Witold Rowicki. Rzadziej: pisarz Juliusz Żuławski (brat Wawrzyńca) oraz kompozytor Witold Lutosławski. Grodzieńska doskonale zapamiętała wyprawę do Czarnej Jaworowej – w wymienionym wyżej składzie.

Żeby dostać się na (wówczas) czechosłowacką stronę i swobodnie przekraczać granicę, trzeba było mieć przepustkę, o którą w pierwszej połowie lat pięćdziesiątych zwracano się do Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego. W dokumentach Grodzieńskiej zachowały się takie pisma, składane grupowo przez artystów[18]. Poza pochwałą słowackich Tatr, rozleglejszych i znacznie bardziej wysokogórskich, w piśmie akcentowana jest potrzeba pisarza i artysty, by w okresie urlopu zetknąć się z surową przyrodą, pokonywać trudności terenowe i rozwijać wytrzymałość fizyczną



Od 1948 roku góry stały się największą pasją Stefanii Grodzieńskiej. „Kiedy przewiązaliśmy się liną, to poczułam, że coś się we mnie zmieniło", powie. Wspinaczka była mierzeniem się z własnym, ogromnym lękiem

oraz psychiczną; znajdować w otoczeniu wysokich gór inspirację, a także osiągać stan skupienia umysłu. Miało to – jak można się domyślać – przynieść korzyść pracy artystycznej, może nawet zaowocować ciekawymi książkami. O decyzji w sprawie przepustki należało poinformować obywatelkę Grodzieńską, zamieszkałą przy Filtrowej 83 w Warszawie (od 1951 roku był to jej wspólny adres z Jerzym i Joanną).

Ale żeby biwakować w Czarnej Jaworowej, ciemnej, dzikiej odnodze Doliny Jaworowej, trzeba czegoś jeszcze: pozwolenia od czechosłowackich służb, które mieli tylko zawodowcy – Orłowski i Żuławski.

> No i poszliśmy taką grupą cudowną, nietypową dla gór, bo to był właśnie Orłowski, Żuławski, jego brat Juliusz, Witold Rowicki, Witold Lutosławski i ja. Mieliśmy jeden namiot, w dolinie jest duża koleba – chyba wszyscy wiedzą, to jest taki wielki głaz, pod nim można się schronić i nocować. Tam siedzieliśmy parę tygodni. To jest rezerwat [...]. Zupełnie człowiek jest w nim oddzielony[19]

– wspomni Stefania.

Migawki z tej wyprawy staną jej przed oczami, kiedy w 1991 roku dostanie zaproszenie do radiowej podróży sentymentalnej w Tatry. Przywoła z pamięci staw, nad którym siedziała, wymyślała potrawy i gotowała, czekając na kolegów.

Czasami też z nimi chodziła. Jednak bardzo lubiła zostawać sama: ze świadomością, że w odległości kilku godzin drogi nie ma żywego ducha. Przynajmniej ludzkiego. Bo przychodziły do niej świstaki i łasica, która zuchwale podkradała jabłka.

> Był taki dzień, w którym wszyscy się rozeszli. Ale ja wiem, że wieczorem przyjdą, że będzie wesoło znowu. Jest cisza zupełnie niesamowita, wiatru nie było wtedy. I ta natura. Wtedy sobie

pomyślałam, że nigdy tego nie zapomnę. Taki dzień bezpowrotny, o którym już wtedy wiedziałam, że będą jeszcze inne, też piękne, ale że już nic takiego mnie w życiu nie spotka.[20]

W pudełku z tatrzańskimi skarbami Stefanii Grodzieńskiej[21] przetrwały dziesiątki zdjęć, pojedyncze dokumenty, jeden ważny list, kilka zapisanych kartek pocztowych. Także wyjątkowy okaz – ususzona szarotka alpejska, zawinięta w cienką bibułkę – i rejestr przejść taternickich, a w nim dziesiątki opisanych wspinaczek, w tym wysokie lub wymagające cele: Łomnica, Mnich, Kościelec.

Grodzieńska zaczęła wspinać się niemal zawodowo w wieku trzydziestu czterech lat. Kontynuowała to przez kilka kolejnych, na pewno bardzo aktywnie do 1955 roku. Jest wymieniana obok Żuławskiego przy jego wielu ważnych przejściach tatrzańskich. „Wawrzyniec przekazał mi miłość do gór i patrzenie na góry jako część siebie"[22] – powie. Widziała góry pogodne, nieprzewidywalne, słyszała o tragediach. Stała się częścią tej trudnej do nazwania wspólnoty, zaprzyjaźniła z wieloma osobami, między innymi z botaniczką Zofią Paryską i jej mężem Witoldem, znawcą historii i topografii: ludźmi, którzy opisywali Tatry w swoich kanonicznych publikacjach. Najważniejszym dziełem Witolda H. Paryskiego był wielotomowy *Przewodnik taternicki*, nazywany przez Grodzieńską biblią ludzi gór.

Czy na wyprawy górskie chodził czasami Jerzy Jurandot? „Broń Boże, absolutnie nie!"[23] – zaprotestuje Stefania. Jerzy lubił odwiedzać Zakopane, znajdował nawet przyjemność w wybraniu się na krótki spacer do łagodnej dolinki. Jak podkreśli jego żona: był wysportowany, grał w tenisa, pływał, jednak chodzić po górach nie chciał. Raz wjechali grupą na Kasprowy, mówią mu: jest piękna pogoda, zejdziemy pieszo, wypijemy sobie kawę w schronisku na Gąsienicowej. „Stękając i jęcząc, ale zszedł bardzo sprawnie"[24] – przyzna Stefania. Innym razem, było to już w połowie



Radość wśród ludzi gór



Gotowanie na szczycie

lat pięćdziesiątych, kiedy namówili go na wyjście, grupę złapało urwanie chmury. Ruszyły wszystkie strumienie, pojawiły się te efemeryczne, na ścieżkach, woda spływała z każdej strony, niosąc piach, gałęzie, kamienie. „Mąż nie miał ekwipunku, bo przecież wybieraliśmy się na spacer [...]. Trzeba było po kolana [w wodzie – przyp. EP] przez te strumienie przechodzić. Myśmy się wszyscy martwili: patrz, jak go trafiło. A on się cały czas cieszył: mam to z głowy, mam to z głowy, więcej mnie nikt nie namówi"[25].

– Pamiętam jedną wspólną wycieczkę z bardzo wczesnego dzieciństwa, ze Stefcią i Wawrzyńcem Żuławskim, który wynajął dla nas fiakra z dorożką. Mojej matki na pewno nie byłoby na to stać. Jechaliśmy do Doliny Kościeliskiej i Stefcia z Wawrzyńcem wymyślali piosenki, które razem śpiewaliśmy – opowiada Katarzyna Pawłowska-Horna.

Jak wspomina Wawrzyńca?

– Cholernie przystojny i wysoki. Wie pani, że jego twarz pamiętam do dziś? On miał taką bardzo wyrazistą twarz i może dlatego, że ja mam pamięć do obrazków, pamiętam jego bardzo ciepły uśmiech. Zapamiętałam jako dziecko silne uczucie ciepła i duże przywiązanie do niego. Moja mama miała dużo wspomnień wspólnych z nimi, bo mój ojciec też był taternikiem i razem z Wawrzyńcem chodzili po Tatrach. Jeździli w czwórkę do Zakopanego.

Zresztą Katarzyna Pawłowska-Horna o mały włos urodziłaby się w Zakopanem. Jej mama była w zaawansowanej ciąży, nie chodziła po górach, a Stefania lojalnie zostawała z przyjaciółką w schronisku nad Morskim Okiem. Któregoś dnia, kiedy były same, postanowiły, że zrobią gigantyczne pranie.

– I między innymi wyprały skarpetki panów. A to były prawdziwe wełniane skarpety, które już stały. Panowie, kiedy zobaczyli skarpety rozwieszone na sznurkach, dostali szału. Skarpet wełnianych taternika się nie pierze! Wtedy, w ciężkich buciorach, grube wełniane skarpety, które musiały ułożyć się odpowiednio do stopy i buta, były ochroną przed obtarciami. Wyprane traciły



Ukochana babcia Stasia, czyli mama Krystyny Żywulskiej, z Joanną

właściwości. Zresztą kiedyś trafiłam na fragmenty wspomnień Wandy Łapińskiej, która prowadziła schronisko w tamtym czasie. Mówiła, że były takie dwie, które prały skarpety. To musiał być ewenement – wyjaśnia.

Elżbieta Pawłowska w ostatniej chwili wróciła do Łodzi i tam Katarzyna przyszła na świat. Ale w góry jeździła bez przerwy, zwłaszcza z ojcem. Zapamiętała niezadeptane Tatry i etos tamtego czasu, o którym pisał Żuławski. Na każdym szlaku zatrzymywało się na widok innych napotkanych osób, zamieniało kilka słów.

– Chodziło o wzajemne bezpieczeństwo. Skąd idziecie? Dokąd? Pogoda się może zmienić, czy macie peleryny? Nie potrzebujecie wody, jedzenia? A może czekoladę? Od dziecka byłam takich kontaktów uczona, bardzo z ojcem to lubiliśmy.

Zapamiętała też, że Jerzy Jurandot, jeśli bywał w górach, zostawał na ogół w kawiarniach.

– Nie lubił chodzić, nie lubił ruchu fizycznego – podkreśla.

Czy Jerzy był zazdrosny o góry? – usłyszy kiedyś to pytanie w radiu Grodzieńska.

„Nie, nie, przeciwnie. Bardzo szanowaliśmy nawzajem swoje pasje, swoje miłości”[26] – powie Stefania. „On był pasjonatem podróży. Lubiłam coś zobaczyć, ale na wielką podróż i zwiedzanie jechał sobie sam. Góry bardzo go ciekawiły, pod warunkiem, żeby go nie zmuszać”[27].

Wysyłała do Jerzego kartki z wypraw. Kilka zachowanych[28] zaczyna się zawsze od słów: „Drogi Ojcze!”. Są prostolinijne, niewymuszone. „Było cudnie, wczoraj byliśmy na wspinaczce i przy tej okazji obejrzałam całą resztę Wysokich Tatr. Całuję mocno”[29]. „Wczoraj zrobiliśmy nową drogę na Łomnicę. 4 godziny wspinaczki! Teraz odpoczywam w Smokovcu i stąd mocno ojca całuję. Zaraz będę dzwonić do córki. Jest wspaniale!”[30]. I jeszcze strzałka kierująca do zdjęcia na pocztówce, kolejki liniowej na Łomnicę: „To ładne, prawda?”[31]. „Jutro idziemy na Gerlach, szczyt moich marzeń.

Przed chwilą dzwoniłam do Ciapy [chodzi o Joannę – przyp. EP], wszystko dobrze. Pogoda piękna, tylko śnieg i zimno. Trzymam palce za premierę. Całuję St."[32]. „Jesteśmy tylko bardzo biedni i nie możemy sobie pozwolić na piwo"[33].

Kolejne kartki pełne są zachwytów: jest cudnie, nie możemy się nacieszyć. Regularnie powracają też w nich informacje o telefonach do Joanny oraz zapewnienia, że wszystko co najmniej w porządku, a nawet doskonale.

O tym, jak wyglądały relacje matki i córki, które – mimo łączącej je miłości – z wiekiem stawały się coraz trudniejsze, opowiada Katarzyna Pawłowska-Horna.

– Stefcia, wbrew pozorom, była bardzo apodyktyczna. Była też bardzo zorganizowana: jak coś zaplanowała, to nie było przeproś. Miało być tak ani centymetr w bok. I tak wychowywała Joannę. Stefcia była bardzo ciepłą, wyrozumiałą osobą, ale zawsze miałam wrażenie, że wobec Joanny tego ciepła jej brakowało.

Tłumaczy to w ten sposób:

– Bardzo wcześnie po wojnie ją urodziła. To wszystko było trudne. Myślę, że one, mimo że się bardzo kochały, niewątpliwie nie potrafiły z wiekiem zbudować relacji. Nie były wylewne wobec siebie. I nie były wobec siebie szczere. Joanna była bardzo niecierpliwa, Stefcia była uparta. Stefcia miała empatii po kokardę, Joanna nie. Równocześnie to Stefcia zmuszała Joannę do trudnych dla dziecka prób. Joanna kiedyś mi się żaliła: „Wiesz, jak przyjeżdżałaś, to moja mama dawała ci moje najlepsze zabawki; te, które najbardziej kochałam". Pamiętam też historię ze spódnicą. Joanna dostała jakąś super spódnicę, o której marzyła. Przyszła do niej koleżanka, Joanna miała na sobie tę spódnicę, koleżanka mówi: „Och, jaka piękna spódnica". „Moja matka kazała mi zdjąć spódnicę i oddać koleżance", opowiadała. Bardzo mnie to uderzyło, bo znałam Stefcię jako osobę niezwykle dobrą. Ona była dobra, pomagała każdemu. O co w tym chodzi? Wymyśliłam, że ona uczyła



Stefania i Joanna w Zakopanem

Joannę nie przywiązywać się do rzeczy. Nieważne, że straciłaś rzecz: kieckę, zabawkę, wszystko jedno co. Rzeczy nie są ważne. Kiedy tłumaczyłam to Joannie na stare lata, przyznawała, że o to chodziło. Jestem przekonana, że ona chciała wychować Joannę na twardą babę, bo taka to sobie w życiu poradzi. Na szczęście się to Stefci nie udało.

Joanna była wrażliwa, osobna, nie miała też talentów i pasji, które matka chciała w niej pielęgnować. Grodzieńska zapisała ją na zajęcia baletowe, ale dziewczynka nie znajdowała w nich spełnienia.

– Pchnęła Joannę w stronę tańca. Tylko o ile Stefcia była leciutka, malutka, wygimnastykowana, to Joanna była za duża. Poza tym nie miała głosu, fałszowała, to akurat odziedziczyła po Jurku.

O relacji Joanny z ojcem Pawłowska-Horna mówi:

– Jerzy nie lubił dzieci. Kiedy Joanna była malutka, dla Stefci to był dramat, że Jurandot wracał do domu i nawet nie patrzył na swoje dziecko. Potem to się zmieniło: Joanna mówiła, że z ojcem jej się lepiej rozmawiało, mieli dobry kontakt. Poza tym, umówmy się, oboje, Stefcia i Jurek, ciężko pracowali. Pisali mnóstwo.

Zachowane, choć niekompletne, archiwum Stefanii Grodzieńskiej i, pośrednio, Jerzego Jurandota to kilkadziesiąt teczek[34]. Pękają od tysięcy tekstów, felietonów, ale też wycinków – w dużej części starannie opisanych przez pracownie dokumentacji prasowej, a więc opracowanych na zlecenie Grodzieńskiej. Każdy najdrobniejszy tekścik ze wzmianką jej nazwiska został wycięty ze szpalty. Kalejdoskop zadrukowanych skrawków – choć nieobejmujący nawet wszystkich lat – jest nieogarnialny, na jego analizę potrzeba miesięcy, a kawałki gazet rozłożone na podłodze zajęłyby kilkadziesiąt metrów kwadratowych. To feeria zdarzeń, niekończące się pasmo wspomnień – a przede wszystkim wielka retrospektywa występów, pokazywania się przed publicznością. Zdarzają się lata, w których trudno uwierzyć w to, ile jedna osoba w ciągu dwunastu miesięcy

może napisać tekstów, ile miast zjechać, ile razy stanąć na scenie. Wycinki z lat pięćdziesiątych i sześćdziesiątych są jednak przede wszystkim dowodem na jedno: wyjątkowy status Stefanii, gigantyczne zapotrzebowanie na Grodzieńską, jej wysoką pozycję i rozpoznawalność.

Już w 1950 roku w „Przekroju" ukazał się tekścik *Męki popularności*[35], w którym opisała epizod z wędrówek po Polsce w towarzystwie Minkiewicza, Wiecha i Fogga. Trupa weszła do hotelu jak zawsze z „fałszywie skromnymi" minami i – nie do pomyślenia! – pozostała anonimowa. Nazwiska nic nie mówiły portierowi, nie rozpoznał żadnej gwiazdy, ich urok był mu więc zupełnie obojętny. Śmianie się z własnej sławy, z oczekiwań związanych z popularnością, oczywiście też z siebie, sporo mówi o tym, czego w istocie można było już oczekiwać. A był ledwie 1950 rok. Wielkie polskie tournée Stefanii Grodzieńskiej dopiero się rozpędzało. Podsumuje je w 1966 roku w książce pod mówiącym wiele – bo stawiającym siebie w miejscu centralnym – chociaż autoironicznym tytułem *Spotkanie ze mną*[36]. Syntetycznie zilustruje to też mapa na wewnętrznej stronie obwoluty tej książki. Jej legendę stworzyły: „Miejscowości, w których byłam tylko raz" – zaznaczone na czarno. „Miejscowości, w których byłam wielokrotnie" – wyróżnione kolorem czerwonym.

Czerwień wysiała się w obrysie Polski jak maki na czerwcowej łące.

Punkty na mapie zagęszczają się w ośrodkach przemysłowych – tam, gdzie wielka powojenna industrializacja i plany pięcioletnie organizują ludziom nowe życie wokół fabryk i kopalń. Śląsk, Zagłębie Śląsko-Dąbrowskie, Dolny Śląsk, Polska centralna, Małopolska.

W pierwszej połowie lat pięćdziesiątych występuje w Teatrze Syrena i Teatrze Satyryków, ponieważ pod ten drugi szyld przenieśli się twórcy Syreny w 1952 roku, by w 1955 roku połączyć oba teatry w Teatr Satyryków Syrena. W tym czasie, będąc rzecz jasna cały



Jedna z dwóch najbliższych sercu sukien – zaprojektowana przez Janinę Ipohorską. Czarna



I druga: biała. W tle scenografia jubileuszowego programu Syreny – *Diabli nadali*

czas autorką tekstów i aktorką, debiutuje na powojennej scenie jako konferansjerka. Nie jest to ktoś, kto po prostu zapowiada. Skecze, śpiew, taniec: konferansjerzy dają aktorski popis na całego. Nawet, a może zwłaszcza, jeśli występują w parze, a ich dialog polega na czytaniu etykiet z pudełek od zapałek, które w latach pięćdziesiątych niosły na sobie hasła propagandowe, związane z rolnictwem, zakładami pracy. „Zwalczajmy słodyszka na rzepaku", „przerabiaj len na włókno", „zostań górnikiem" i tak dalej, i tak dalej. Świadkiem tego popisu był kiedyś Ryszard Marek Groński, który zapamiętał też, jak Stefania wylosowała pudełko, na którym nic nie było napisane, a w środku po prostu znajdowało się około czterdziestu zapałek. Spuentowała: „A tego to ja już zupełnie nie rozumiem – czego od nas chcą?"[37].

Jedna z najbardziej znanych ról Stefanii to ta w programie *Diabli nadali*. Zachwycająca także dzięki kreacjom – dwóm sukniom zaprojektowanym przez Janinę Ipohorską, będącym jak awers i rewers, pozytyw i negatyw, wierzch i spód, jasność i ciemność. Jedna: biała z czarnym elementem przy dekolcie, druga – jej odwrotność. Te dwie ulubione sceniczne kreacje Grodzieńskiej pasowały do surrealistycznej scenografii jubileuszowego, bo przygotowanego na dziesięciolecie Syreny, programu.

Warszawski teatr jest miejscem, w którym nie zapomina się o dawnych przyjaciołach. Jurandot zatrudnił Zofię Kijkowską, kiedy ta została zwolniona ze stanowiska sekretarki marszałka sejmu. Przy Litewskiej była na początku pomocnicą magazyniera, odpowiadała za zaopatrzenie. Następnie, jak opowiada jej syn Jacek, znalazła inną pracę, ale w teatrze zajmowała się łagodzeniem konfliktów między aktorami, którzy ponoć stale się kłócili. A kiedy w latach siedemdziesiątych przeszła na emeryturę: wróciła do udzielania lekcji języków obcych.

– Często bywaliśmy w Syrenie. Mama ciągnęła nas za kulisy albo wchodziliśmy z bratem w ostatniej chwili za darmo na miejsca, które były rezerwowane dla ważnych gości, gdyby mieli się zjawić.

Pamiętam Stefę, która była wtedy gwiazdą, ale też innych aktorów: Stefcię Górską, Tadeusza Olszę, Jerzego Bielenię, Leopolda Sadurskiego, Irenę Kwiatkowską – opowiada Jacek Kijkowski.

W Teatrze Satyryków i Syrenie Grodzieńska prowadzi konferansjerkę wspólnie z Januszem Minkiewiczem: kolegą, który pomógł jej znaleźć zawodową drogę w powojennym Lublinie. Minkiewicz jeszcze przed wojną pisał do „Szpilek", co kontynuował także od 1945 roku w Łodzi. Współpracował również z „Przekrojem", gdzie miał swoją rubrykę *Pigułki – organ Janusza Minkiewicza*.

Antoni Marianowicz, jeden z pierwszoplanowych polskich satyryków, poeta, współtwórca programów Syreny i Teatru Satyryków, który ze względu na swoje korzenie był w warszawskim getcie, zapamięta Minkiewicza jako człowieka pełnego sprzeczności. Zauważy, że nie wyglądał on na kogoś łatwego, kordialnego, uśmiechniętego, sprawiał raczej wrażenie groźnego, potrafił zranić słowem w ułamku sekundy. A jednak za tą fasadą był ogromnie miłym i ciepłym człowiekiem[38]. Nierozerwalnych sprzeczności było w Minkiewiczu więcej. Stefania powie o nim: „Był taki niespodziewany. To kobiety uwielbiają"[39]. Marian Brandys: że był męskim wampem. „Coś było w nim takiego, że rzucał urok na kobiety, ale nie tylko na kobiety, na mężczyzn też. Między innymi na mnie"[40].

Grodzieńska napisze ponadto: „Miał cechę, którą odznacza się niewielu mężczyzn (i kobiet, i kobiet!): rozstając się z kolejnymi paniami, pozostawał na zawsze oddanym przyjacielem każdej z nich. Nawiasem mówiąc, uzbierał się takich przyjaźni spory wianuszek"[41].

To Jurandot zobaczył w nich, Stefanii i Januszu, potencjał na parę konferansjerów. Dużo jeździli razem po Polsce z występami. Pewnie nie każda droga zaczynała się tak barwnie, jak pokazał to fragment Polskiej Kroniki Filmowej[42] – tym bardziej warto ulec czarowi tego, co przygotowali montażyści. Dokument zapowiada trasę *Ladacznicy z zasadami* – „proszę nie mylić z Sartre'em". Przez okno w pociągu wygląda „autorka humoresek i aktorka Syreny"



W garderobie, jednym z najważniejszych miejsc

Stefania Grodzieńska. W kadrze pojawiają się też: „cięty satyryk" Janusz Minkiewicz, „poeta i satyryk" Jan Brzechwa, „znakomity poeta" Władysław Broniewski i konferansjer Kazimierz Pawłowski. Wszyscy za chwilę wyruszą przy stukocie kół pociągu, by nawiązać kontakt z czytelnikami. Stefania śmieje się i zaciąga papierosem zatkniętym w fifkę. W tym męskim, jak zawsze przede wszystkim męskim, towarzystwie i ona prezentuje wdzięk dandysa. Jasny kołnierzyk koszuli został wyłożony na klapy szerokiej marynarki. Proste linie stroju, pewne ruchy ręki, fryzura z przedziałkiem pośrodku. „Wasz wkład w odbudowę humoru będzie należycie oceniony" – ocenia lektor kroniki. Jadą.

Głód znanych nazwisk w Polsce był wtedy ogromny, ludzie chcieli zobaczyć, jak wygląda autor słynnych wierszy dla dzieci, twórca *Akademii Pana Kleksa* – Jan Brzechwa. Albo Janusz Minkiewicz, który napisał wiersz o Sambie (*Opowiadanie Samby*), kosmopolitce zagnieżdżającej się w kraju nad Wisłą, z puentą o tym, że lepiej „nie przeginać pały ani wefte, ani wefte"[43].

Pewniakiem, który zawsze rozbawia publiczność, są skecze małżeńskie Grodzieńskiej. Minkiewicz od razu zastrzegł, że nie będzie się ich uczyć na pamięć, niech Stefania zapomni[44]. Ale ona znajduje rozwiązanie, mówi: wlepię ci wszystkie teksty do „Przekroju". W końcu co robi mąż, kiedy jest z żoną sam na sam? Oczywiście czyta gazetę – ze znudzoną miną. Będziesz takim mężem, a ja, żona, będę ci truć. Nie bez oporów, ale na to Minkiewicz przystał. Chociaż Grodzieńska grała skecze z niezrównanymi komikami: Brusikiewiczem czy Dymszą, a oni wyczyniali przy tym na scenie cuda, robili najzabawniejsze miny, wygłupiali się do imentu, nie zagłuszali przy tym tekstu Grodzieńskiej – bo to jej linijki dialogów były nagradzane najgorętszymi brawami – Minkiewicz wywrócił stolik. To on stał się gwiazdą wieczoru. Wypowiadał swoje kwestie z tak naturalną, burkliwą niechęcią, że publiczność nadstawiała uszu. „Wszystkie brawa i śmiechy przeniosły

się na niego. Z dowcipów nikt się nie śmiał, tylko czekali, co on zrobi"[45] – wróci pamięcią Stefania.

Spędzała z Minkiewiczem dużo czasu, zapamiętała masę anegdot. Na przykład taką: siedzą w lokalu, podchodzi do nich jakiś mężczyzna, chce poprosić Stefanię do tańca, więc zwraca się do jej partnera: „można?". Minkiewicz patrzy na mężczyznę i odpowiada: „dziękuję, nie tańczę, jestem w żałobie"[46].

Październik 1955, wielkie czechosłowackie tournée, dwudziestosześcioosobowy zespół Syreny zjednuje serca tysięcy ludzi. Kto między innymi? Minkiewicz, Bielicka, Sztatler, Jurandot, Dymsza, Kwiatkowska. „Kocham cię. Znam cię tak krótko, a już cię kocham. Jestem w tobie zakochana do szaleństwa – wyszeptałam z głębi serca moją potworną czeszczyzną"[47] – tak pisała Grodzieńska o swojej pierwszej wizycie w czeskim radiu. Wyznanie miłosne było zaś kierowane do Pragi. Do Czechosłowacji polska satyra, a przede wszystkim Stefania Grodzieńska, wraca w 1956, 1957 i 1958 roku. Jak wielki był to sukces, najlepiej pokazują wypowiedzi czechosłowackich satyryków, którzy odwiedzając pod koniec 1955 roku Śląsk, na pytanie o to, kto jest najpopularniejszym satyrykiem czechosłowackim, odpowiadali zgodnie i natychmiast: Stefania Grodzieńska[48].

W 1957 roku Stefania Grodzieńska po raz pierwszy po wojnie pojechała do Paryża: w towarzystwie Jana Brzechwy, jego żony Janiny i Wawrzyńca Żuławskiego. Pretekstem były „sprawy ZAIKS-owe"[49]: Brzechwa był radcą prawnym i przewodniczącym rady ZAIKS-u, Żuławski – prezesem. Ta podróż to też pierwsze od lat zajrzenie w przeszłość, w wir, który wciągnął przodków, wobec którego siły było się zupełnie bezradną.

Dzień po przyjeździe do Paryża Stefania pobiegła pod rue Tournefort 6, weszła do holu, gdzie za kontuarem zobaczyła osobę w swoim, mniej więcej, wieku – kogoś po czterdziestce. To córka właścicieli hotelu, z którą przed wojną się zakolegowały. Na miejscu



Słynna para konferansjerów:
Stefania Grodzieńska i Janusz Minkiewicz

był też jej brat, dawny adorator Grodzieńskiej. Tyle ze wspomnień, śladów i powiązań z mamą, Eleonorą.

Towarzystwo spotkało się z Wierą Gran: wojenne oskarżenia podążały za nią jak cień, ale jeszcze nie rujnowały doszczętnie życia. Miała wówczas, i przez kilka kolejnych lat, świetny czas zawodowo – śpiewała w Paryżu, jeździła z występami po świecie. Stefania wspomni, że koleżanka nie miała możliwości, kontaktów środowiskowych, żeby dostać się do teatru czy kabaretu, ale występowała w „ekskluzywnym, drogim lokalu w Paryżu"[50]. Takim, w którym gości z Polski na wizytę nie było stać – jeśli mieliby do niego po prostu wejść z ulicy. Ale Wiera powiedziała: nic się nie martwcie, przyjdźcie. Czekał na nich zastawiony stół, a gdy przy nim usiedli, kelner przyniósł wiaderko do szampana i serwetę. Po występie madame Gran dołączyła do nich. „Spędziliśmy naprawdę wspaniały wieczór, obserwując, jak ona miała tam wielkie powodzenie, jaką sympatią się cieszyła"[51].

Ten lokal to najprawdopodobniej Alhambra-Maurice Chevalier – słynny paryski music-hall z wielką sceną, lożami i balkonami, foyer z barem, o bogato zdobionym, złoconym wnętrzu w duchu art nouveau.

Do Paryża kolejny raz Grodzieńska przyjedzie w 1972 roku.

Wśród tatrzańskich pamiątek Grodzieńskiej przetrwał jeden list. Jest prawie na dnie pudełka*.

„«Góry bywają czasem straszliwie nieubłagane». Tak napisał Wawrzyniec w liście wysłanym z Chamonix w sobotę siedemnastego sierpnia. W niedzielę wieczór przyszła wiadomość o jego śmierci. List dotarł do nas kilka dni później"[52] – zaznaczył Jerzy

---

* *Pamiątki tatrzańskie Stefanii Grodzieńskiej* były przechowywane w osobliwym schowku: bułgarskim pudełku po papierosach lub cygarach, wyprodukowanym na dziesięciolecie władzy komunistycznej.

Jurandot. Kilka dni wcześniej Stanisław Groński, jeden z najbardziej doświadczonych polskich alpinistów, i dwaj Jugosłowianie zaginęli podczas przejścia przez masyw Mont Blanc. W niedzielę 18 sierpnia 1957 roku Żuławski wyruszył na kolejną próbę ich odnalezienia. Na zboczu Mont Blanc du Tacul runęła lawina lodowych bloków , seraków, porywając Wawrzyńca Żuławskiego i jego partnera Stanisława Biela. Żuławski wpadł do szczeliny. Biel przeżył.

Rok później Jurandot, reprezentant ZAIKS-u, wsiada w pociąg – razem z mamą zmarłego alpinisty, Kazimierą Żuławską. Przez dwa dni pokonują trasę Warszawa–Wiedeń–Genewa–Chamonix. Wezmą udział w uroczystości wmurowania tablicy z czarnego marmuru na cmentarzu w Chamonix – ku pamięci Żuławskiego.

Gdy docierają na miejsce, przed wejściem do hoteliku Jerzy odwraca wzrok w stronę ośnieżonego masywu[53]. Jest wieczór i na zalanej światłem księżyca gładkiej białej ścianie Mont Blanc du Tacul widać jedno poszarpane miejsce – tuż pod szczytem. To bryły lodu, które zasypały szczelinę.

Jeszcze tego samego wieczoru Jurandot próbował ustalić, czy ostatnia wyprawa ratunkowa była konieczna. Dowiedział się, że Wawrzyniec Żuławski nie mógł postąpić inaczej. „Z chwilą gdy na skutek nalegań Jugosłowianina, którego obaj towarzysze zaginęli wraz z Grońskim, Francuzi zdecydowali się podjąć jeszcze jedną wyprawę ratowniczą – było nie do pomyślenia, żeby polska grupa odmówiła swego udziału"[54] – zanotuje Jerzy.

W 1958 roku na ekrany wchodzi film *Deszczowy lipiec* według scenariusza Grodzieńskiej i Leonarda Buczkowskiego[55]. To również charakterystyczna dla Stefanii opowieść o relacjach, tocząca się w powolnym, czułym, niepozbawionym ambiwalencji i niedomówień rytmie. Anna, główna bohaterka, to osamotniona emocjonalnie, lekceważona przez męża żona. Przyjeżdża do Zakopanego, żeby spędzić samotny urlop w eleganckim pensjonacie. Poznaje tu

mężczyznę – w którym się zakochuje? Może to za duże słowo: przeżywa drobne zauroczenie. Równocześnie tęskni za mężem, który zresztą pojawia się w finale w tej górskiej scenerii: lecz nie po to, by spotkać się z żoną czy nawet wcześniejszą kochanką, ale z jeszcze inną kobietą. Nie ma w tym filmie nic dramatycznego, żadnej przesady: jego klimat jest sentymentalny, liryczny, choć też lekko komediowy. Równocześnie pokazane jest w nim uczuciowe rozdarcie młodej kobiety i bardzo cichy, wewnętrzny dramat, który przeżywa, mierząc się ze wszystkimi relacyjnymi niejednoznacznościami, a może przede wszystkim ze zrozumieniem własnych potrzeb. Produkcja była realizowana jesienią 1957 roku.

Prasa obszernie recenzowała *Deszczowy lipiec*, odnotowując jego wieloznaczną tonację. W nagłówkach padały frazy[56]: „przyjemny", „chciałoby się czegoś więcej", „wesoły i smutny", „w rytmie deszczu". Grodzieńska będzie myśleć o filmie z niechęcią, nie szczędząc krytyki.

– Strasznie wypowiadała się o nim. Bardzo niedobrze oceniała tę część swojej twórczości. Obejrzałem *Deszczowy lipiec* i nie odniosłem wrażenia, że zasługuje na taką krytykę. Stawiała sobie wysokie wymagania i myślę, że stąd ta ocena – opowiada Artur Andrus.

Mówi też o tym, jak ważne były dla Grodzieńskiej góry i czas wytyczania tatrzańskich szlaków. „Najpiękniejsze chwile mojego życia, najpiękniejsze tygodnie"[57] – zdradzała w jednej z radiowych rozmów. Dlatego tak bardzo Andrus, w ostatnich latach życia Stefanii, chciał pojechać z nią do Zakopanego.

– Marzyło mi się, żeby zabrać ją w Tatry. Chciałem to zrobić, mimo że nie była już w pełni sprawna, miała problemy z poruszaniem się. Pomyślałem, że wjedziemy gdzieś wyżej, żeby mogła sobie z góry popatrzeć na góry. Kombinowałem, jak to zrobić – ale doszedłem do wniosku, że jazda kilka godzin autem będzie dla niej zbyt wyczerpująca. Nie chciałem jej męczyć.



Konferencja prasowa w Czechosłowacji, poświęcona filmowi *Ja i Ty*

Również w 1957 roku Grodzieńska pracowała nad scenariuszem w Czechosłowacji, o czym z entuzjazmem pisała krajowa prasa – ilustrując artykuły zdjęciami z konferencji prasowej, na której Stefania była jedyną kobietą w męskim gronie filmowych twórców[58].

Film *Ja i Ty* nigdy nie doczekał się realizacji. I tutaj ramą opowieści miały być relacje, potrzeby emocjonalne kobiety łaknącej niegasnących uniesień – i świat mężczyzny, który jest zajęty swoim życiem, nie tylko nieskory do wyznań, ale też niepotrafiący znieść intensywności kobiecego uczucia. „Chodzi bowiem o konflikt, który istnieje i istnieć będzie tak długo, jak długo będą istnieć kobiety i mężczyźni"[59] – mówiła Grodzieńska o tej niemądrej, jak sama zauważała, miłości – wybuchającej nad Wełtawą – w wywiadzie z lipca 1957 roku, udzielonym wspólnie z mężem. Materiał pokazuje ludzi sukcesu: Jurandot, jeden z najbardziej popularnych poetów satyrycznych, autor teatralny, który właśnie rusza do Chin, żeby zobaczyć, jak przyjęła się jego sztuka *Takie czasy*, wystawiana wcześniej w Rumunii, Czechosłowacji, Związku Radzieckim, NRD. Grodzieńska – z galopującymi sukcesami na każdym polu. Ten maleńki wyimek z ich ówczesnego życia świetnie pokazuje to, jak od lat wznosili się na odwilżowej fali, korzystali z możliwości międzynarodowej wymiany i względnej swobody twórczej.

– Oni są oboje dla mnie przykładem takiej nieprawdopodobnej miłości. Bo nie oszukujmy się: i jedna, i drugi boki mieli jak stąd do Zakopanego – mówi Katarzyna Pawłowska-Horna podczas naszej rozmowy w Łodzi. – A mimo to tak mocno się kochali. Dla nich ciało nie było ważne, to w ogóle nie była sprawa. To jest niesamowite, ale może właśnie dlatego, że to było takie symetryczne i jakoś sprawiedliwe w tym sensie, że dyskretne. Zwłaszcza u Jurka.

O życiu romansowym Stefanii Grodzieńskiej mówi też Barbara Engelking. Środowisko było otwarte, nie trzymało się sztywnych norm.

– Grodzieńska była bardzo dyskretna i myślę, że to należało do pewnego rysu charakterystycznego tego środowiska, że ludzie ze



Czechosłowackie tournée. Z Jerzym…



… i z Joanną

sobą romansowali, ale dopóki zachowywało się dyskrecję, to było w porządku. Romansowało się po prostu elegancko, z klasą. Nie robiono żadnych afer publicznych, nie wyciągano brudów.

Jeszcze w 1946 roku w „Przekroju" zadebiutowała rubryka *Żona. Dwutygodnik Stefanii Grodzieńskiej*. Wbrew nazwie przez lata ukazywała się sporadycznie, osiągając najbardziej regularną częstotliwość w latach 1954–1955. Były w niej teksty Stefanii, *Żonę* zasilała Alicja, ale także wspierał wierszami Jan Brzechwa, felietonami Antoni Marianowicz, można spotkać w niej też twórczość Sławomira Mrożka. Przede wszystkim jednak współtworzyli ją czytelnicy – listami wnosząc wkład w tę, jak widziała to Grodzieńska, „rodzinę stworzeń kochających śmiech i uśmiech"[60].

Czytelnicy podrzucają tematy, dzielą się zgryzotami, a lejtmotywem rubryki są oczywiście przypadki małżeńskie, scenki podpatrzone na przykład w sklepie, jak ta zaobserwowana przez Brzechwę. Tłok w domu handlowym, ludzie rzucają się na buty z futerkiem, mężczyzna krzyczy, że poprosi jedną parę. Który numer? Wszystko jedno, to dla żony[61]. W innym numerze anegdota czytelnika z Gdańska o Sokratesie zapytanym o to, czy jego rozmówca ma się ożenić, czy nie. „Cokolwiek zrobisz, będziesz żałował"[62], padła odpowiedź.

Przewija się tu masa innych spraw obyczajowych: palenie w autobusach, picie alkoholu przy świątecznym stole (redakcja odpowiedzialnie przez wiele miesięcy podrzuca hasło-akcję „Pijmy o jeden kieliszek za mało"[63]). Jest kącik *Tłumaczymy na język polski*, w którym upraszczane są językowe potwory z napisów na opakowaniach i plakatach oraz urzędniczych żargonów. *Żona* jest zabawna, nowoczesna, nonsensowna, ale też prześmiewcza w sposób prosty. Stefania Grodzieńska zachowała cały notesik z wykazem czytelników rubryki, którzy przysłali jej listy[64]. Są w nim wyszczególnione setki nazwisk, obok nich pojawiają się miasta. Imponująca kronika.

W 1958 roku Grodzieńska i Jurandot są za połową okresu, o którym opowiedzą w 1966 roku – w radiowym dialogu małżeńskim.

Stefania:

> Wydaje mi się, że wspomnienia im cięższe, tym są piękniejsze, bo człowiek wspomina właściwie z przyjemnością ciężkie czasy. To, co było dobre i bez cienia, to wspomina się z jakimś bólem i z melancholią, że przeszło. A to wszystko daje jakiś hart, z tego się składa życie w końcu. Właśnie z tych trudności, które się jakoś czy przewalcza, czy ulega – to jest to falowanie życia – przyzna, by od razu zażartować: – Tu jest chyba jakiś kawałek suchego drzewa: już odpukuję. Uważam, że w ciągu tego dwudziestolecia życie ułożyło mi się tak pięknie, jak tylko mogłam o tym marzyć. Czasami nawet sobie myślę, że jak to dobrze, że podczas wojny i w innych czasach jakoś było mi ciężko, bo uważałabym, że nie zasłużyłam na tę dozę powodzenia przede wszystkim rodzinnego, co jest właściwe być albo nie być człowieka. [...] Mąż siedzi, więc może nie powinnam tego mówić, ale jak na męża to bardzo pozytywny człowiek. Mam córkę, z której ja osobiście jestem bardzo zadowolona.[65]

„Że ja nie?" – wcina się Jurandot. Grodzieńska kończy swoją myśl: skoro przy całej pomyślności rodzinnej może jeszcze pracować zawodowo, to właśnie jest to, co można nazwać w życiu szczęściem.

Na to Jerzy całkiem serio: „Ja mogę tylko potwierdzić to, co powiedziała Stefania. No, ja nie używam takich słów jak szczęście, bo jestem przesądny – i boję się".

„Ja odpukałam".

„A ja podczas wojny ślubowałem, że więcej nie będę pukał, bo już tyle pukałem wtedy, że gdybym dalej pukał, to bym doprowadził się do obłędu. Ale potwierdzam absolutnie to wszystko".

Czy coś chciałby zmienić w swoim życiu? Chciałby wykluczyć wojnę, bo to był koszmarny okres.

> Ale może to, że myśmy przeżywali bardzo ciężkie czasy i przed wojną, i w czasie wojny, jeszcze nam daje dobrą świadomość tego, jak nam jest dobrze. Ja bym nie chciał, żeby to zabrzmiało jakoś propagandowo, to jest naprawdę bardzo, bardzo prywatna odpowiedź: w tym dwudziestoleciu, jeżeli chodzi o moje osobiste losy, no to chyba niewiele bym chciał zmienić, a może nawet nic.

W drugiej połowie lat pięćdziesiątych ożyła korespondencja z Fryderykiem Járosym, która zajmuje ważne miejsce w archiwum Grodzieńskiej[66].

Z powstania warszawskiego, przez obóz przejściowy w Pruszkowie, Járosy trafił jako więzień do obozu w Buchenwaldzie. Uciekł z transportu podczas ewakuacji obozu, jeszcze przed wyzwoleniem, potem zorganizował teatrzyk pod znaną nazwą Cyrulik Warszawski, który w Belgii, Holandii, Francji, Niemczech i we Włoszech dawał występy w obozach dla dipisów, a także tam, gdzie stacjonowały polskie oddziały.

W końcu Fryderyk osiadł w Londynie. Stamtąd napisał do Jurandotów pierwszy list, w 1946 roku[67] – odpowiadając zresztą na ich sygnał. Dzisiaj czytając te sfatygowane kartki, obsiane rdzawymi piegami starości, trudno być obojętnym na bezpośredniość i ciepło, jakie z nich płyną. Odwagę dotykania uczuć i emocji, ale też wracania do najtrudniejszej przeszłości, którą oswaja się śmiechem i głębokim rozumieniem.

> Jestem niezmiernie szczęśliwy, że to, cośmy wspólnie (w najpiękniejszym, nie oklepanym, najistotniejszym, nie frazeologicznym tego słowa znaczeniu) przeżyli, okazało się doprawdy czemś wiecznym – czemś, co nas do siebie zbliżyło i nas ze sobą związało tak, że po przeczytaniu waszego listu miałem wrażenie,

że moja siostra, u której mieszkam, być może nie jest mi tak bliska, jak Wy – kombatanci moi

– zaczyna Fryderyk.

Dalej wspominał rodzinę, której nie widział od ośmiu lat – córkę i syna (ich matką była Natalia von Wrotnowsky), siostrę z Ameryki, brata z Belgradu (który przez dwa lata był więźniem Mauthausen), siostrę z Palestyny – i planowane spotkanie w Londynie, dokąd wszyscy mieli zjechać. Marzył mu się powrót do „mojej rodziny", jak podkreślił długopisem, czyli do Jurka, ale też do Tuwima, „Zosi trojga nazwisk paradegojki"[68] (chodzi o Żywulską) – i do Stefy.

Poprosił o odnalezienie dwóch rękopisów. Jednym z nich miała być powieść detektywistyczna, która została schowana w skrzyni na węgiel, z podwójnym dnem, w mieszkaniu przy Filtrowej 68. Pisząc, miał przed sobą fotografię „Stefi", wspominał jej drogie, bliskie, profesorskie oczy: mrużone, królewskie, beznadziejnie bezradne, braterskie, „sercekrajająco" smutne, gdy pytały „czy to znaczy, że mogę już wyjść na ulicę?"[69]. Fryderykowi przypomniały się pokaleczone nogi Grodzieńskiej i jej spracowane dłonie. Zaznaczał jednak: „I z tego wszystkiego wyszliśmy cało, godni i niezmienieni! Jeszcze jeden z cudów mojego życia!"[70].

Sympatia Járosyego spłynęła też na Jurka: zapamiętał ich pierwsze spotkanie, był dumny z teatru Jurandota. Mówił, że nigdy w niego nie zwątpił.

Nie zmienił się! Trzeba stworzyć order dla stowarzyszenia „Prawdziwych ludzi". Order, który przedstawia ludzkie czoło na czerwonym tle i na czole złotymi literami napis: Nie zmienił się! – W naszych czasach powinien to być najwyższy order, który ludzkość ma do rozdawania. Będzie fabrykowany w bardzo małej ilości. [...] Kocham was z całego serca i całuję was i moją córeczkę bardzo, bardzo czule. Wasz Franuś[71]

„Moją córeczką" nazywał oczywiście maleńką Joannę.

Aktywność zawodowa Fryderyka wygasała stopniowo przez kolejną dekadę. 5 maja 1956 roku wysłał do Stefy i Jurka długi list[72]. Uczucia nie zmieniły się, ślady w pamięci nie zatarły, ale coraz bardziej dokuczały Járosyemu zdrowie, izolacja, przemijanie.

Moi najdrożsi przyjaciele!

Zanim rozpocznę ten list, chciałbym bardzo, żebyście wiedzieli o dwóch rzeczach i czytali moje słowa pod ich kątem widzenia. Po pierwsze: przysięgam, że jesteście poza moimi dziećmi i Janeczką najbliższymi mi ludźmi, których mam na świecie.

Po drugie: przysięgam, że od momentu naszego rozstania nie było ani jednej nocy, żebym przed zaśnięciem nie modlił się o wasze zdrowie i szczęście.

To, co razem przeżyliśmy – od głęboko wzruszającej serdeczności cudownych mamy i taty, poprzez lądowanie wasze w mieszkaniu Janki [...], od dzikiego czosnku żarcia u Kijkowskiej, do schowania się na strychu w Morach, od brydża z Ostrowską do koszmaru śmierci Gabriela, od wizyty Żeromskiego do mądrych proroctw Soni, od bezbrzeżnych fantazji do okrucieństwa przeżytej rzeczywistości, od wrytych w moją pamięć wierszy Jurka, do przedstawień nocnych, pulloverów i lalki Stefi, od bajecznej przyjaźni w jednym pokoju we troje do miłości najszczerszej w kłótniach o byle głupstwo – nic, dosłownie nic nie znikło z mojej pamięci, i tak często w ciągu tych wielu lat o tym i o was mówimy z Janką, że właściwie bez przerwy powinno dzwonić w waszych uszach.

Listy wasze, które wycisnęły niejedną łzę z moich oczu, były tak ogromną radością dla mnie, że znam je już na pamięć i od tygodnia chodzę prawie tanecznym krokiem po tym moście do mojej młodości.

Po powyższych przysięgach nie muszę chyba podkreślać, jak tęsknię za wami, kochane mordy, i z jaką radością przyjąłbym wasze zaproszenie.

Niestety jest jedno „ale". Taka decyzja nie zależy ode mnie, lecz li tylko od mojego lekarza. Bo – aż mi wstyd – muszę się wam przyznać, że przeżycia pod okupacją szwabską, przeżycia podczas powstania i pobyt w Buchenwaldzie, śmierć Ordonki i Tuwima, i siostry, i brata tutaj – w końcu jednak dały się we znaki i rezultat był bardzo ostry atak sercowy. Leżałem długo w szpitalu i tylko wielki talent jednego lekarza i moja chęć zrobienia jeszcze jednego kawału wyrwały mnie tym razem jeszcze z nicości. Ale od tego czasu regulują moje życie tylko pigułki i kardiogramy.

Poza tym – / Stefo, nie czytaj tego ustępu!/ – jednak zbliżam się do... siedemdziesiątki – i z ogromnym bólem i bolesną rezygnacją musiałem sobie zdać sprawę z tego, że wszystko, czego się spodziewacie z mojej strony, jest już niemożliwe dla mnie i mógłbym was i wszystkich tylko rozczarować na każdym kroku!!! Po prostu do wszystkiego, proponowanego mi przez Jurka, brakuje mi już sił, nie mówiąc o tym, że sama podróż byłaby bezwarunkowo zabójcza dla mnie, kiedy mi – z powodu schodów – nawet nie wolno jechać na górnej platformie autobusu!

Ale, najmilsi moi, gdyby było możliwością, że na wizytę przyjechalibyście do Londynu, to nie byłoby na świecie szczęśliwszego człowieka niż ja i nie byłoby lepszego lekarstwa dla mego serca chorego, ale otwartego dla was na oścież.

Pozdrówcie ode mnie jak najserdeczniej wszystkich wspólnych przyjaciół i kolegów – i tę ziemię, która mi przez dwadzieścia lat dała tyle radości życia, tyle uniesień i polotów, i w którą nie będąc Polakiem, tak wrosłem, „zwiciajnie" wzrosłem, że ani kląć, ani kochać już nie potrafię inaczej niż po polsku.

[...]

Janeczka była boleśnie dotknięta, że nawet pozdrowienia dla niej nie było w waszych listach – ale mimo to czule was całuje i życzy wam wszystkiego, co sama sobie życzy. Ja, warszawski cwaniak, naturalnie zrozumiałem, że ominęliście ją, nie mając zbytniego zaufania do mojej męskiej wierności i nie chcieliście popełnić gafy. Lecz i tu macie dowód, jak strasznie się postarzałem, że nawet – horribile dictu – stałem wierny.

Najmilsi moi, całuję was z całego serca i będę niezmiernie szczęśliwy, jeśli wkrótce znowu usłyszę od was.

[...]

Jestem i będę do ostatniego tchu bardzo głęboko kochający was.

Fryderyk

W teczce z pamiątkami po Járosym zachowały się też jego fotografie, również te z dedykacjami dla Joanny; list do dziewczynki (już nastolatki) czy kartki świąteczne. Są też list z października 1958 roku[73], a także niedatowany list do Stefanii[74] – odpowiedź na prezent, który mu wysłała: własnoręcznie wykonaną laleczkę[75].

Ach, jak chętnie bym nie pisał tego listu.

Chciałbym zamiast tego wziąć Twoją rękę, położyć ją na moim sercu, i wtedy wiedziałabyś znacznie lepiej, niż to te niezgrabne i ciężkie słowa mogą wyrazić, jaką ogromną radość mi sprawiłaś swoim podarunkiem!

Ta bajkowa skrzynia – napełniona aż po sam brzeg poezją i wdziękiem – najsubtelniejszą Poezją i najrozkoszniejszym Wdziękiem – jest czemś tak czarującym, że mogę godzinami nad nią siedzieć, jak zamarzona mała dziewczynka i oglądać wszystkie te skarby – jeden po drugim – a potem wszystko akuratnie i starannie włożyć z powrotem, aby po chwili znowu wypakować, bo zdaje się, że czegoś nie dość dokładnie oglądałem lub przeoczyłem czy niedoceniłem.

I mogę w samotną, fantazyjną godzinę rozmawiać z Jej Królewską Mością i znaleźć w niej wszystko – wszystko, co ten schamiały świat nam raz na zawsze chce odebrać.

Chyba już nigdy w życiu się nie rozstanę z tą Królewną – i trudno – och jak trudno!!! – będzie dla jakiejkolwiek kobiety rywalizować z Nią!

Dziękuję Ci bardzo, Stefa – nic milszego nie mogłaś dla mnie zrobić!

[...]

Twój Fr.

Są wreszcie trzy listy z 1959 roku. Pierwszy, z 31 stycznia[76], pisany po nocy, w czasie której Járosy miał kolejny „atak sercowy" i myślał, że to już koniec jego życia. Zapragnął więc raz jeszcze powiedzieć Jurandotom, jak bardzo ich kocha i że dzięki nim najgorszy okres jego życia wydaje mu się najbardziej drogocennym wspomnieniem. Ostatnie życzenia noworoczne, skreślone ręką Stefanii, rozjaśniły bardzo smutne święta, w czasie których zmarł jego brat.

Człowiek robi się taki samotny, że zaczyna zazdrościć każdemu, kto to wszystko już ma za sobą – To jest naturalnie bardzo głupia myśl, ale dlaczego nie miałbym być od czasu do czasu głupim?! To jest cudowny odpoczynek i nawet wielka Honorata Grodzieńska ongiś pozwoliła sobie na takie ekstrawagancje, chociaż miała przecież takie ładne nogi[77]

– komentuje jeszcze w tonie, w którym słychać echo tamtego paternalistycznego przedwojennego żartu. Pobrzmiewa ono jednak słabiej niż dawniej, bo za figurą Grodzieńskiej z ładnymi nogami stoi już ktoś wielbiony w całej Polsce i z pewnością nie do zlekceważenia. Fryderyk czyta jedną z jej książek, nazywa „w móżdżek kopaną" i ma łzy w oczach – ze śmiechu.

Wokół coraz większa pustka i cierpiący ludzie, w tym ukochana Janeczka – która przeszła przez Ravensbrück. „Żyją sobie dziad i baba, bardzo starzy oboje”[78] – kwituje Fryderyk. I jeszcze pozdrowienia dla Stefci Górskiej, a także Krystyny Żywulskiej. Czy widzieli się z Zosią Terné i Lodą Halamą, które były w Polsce? Na koniec zapewnienie o miłości i „wyciu jak pies do księżyca” z tęsknoty.

22 lutego[79]: epidemia grypy w Londynie, Fryderyk też leży „kamieniem w łóżku”. Zaznacza krótko, że na czarujący list Stefy i Jurka, którego ciepło pomogło mu bardziej niż wszystkie lekarstwa, odpowie, gdy wyzdrowieje.

Siłę, żeby odpisać, ma dopiero w marcu. Ostatni raz Stefania widziała się z nim w lipcu 1944 roku, a gdy Fryderyk umrze w sierpniu 1960 roku we włoskim Viareggio, gdzie pojedzie spotkać się z dziećmi, Stefania będzie sobie wypominać, że może niedostatecznie skutecznie starała się we wcześniejszych latach o wizę do Wielkiej Brytanii. W listach stał się dla niej nieosiągalny jak wtedy, gdy zobaczyła go po raz pierwszy na scenie w Qui Pro Quo, gdy poszła na występ kabaretu z mamą. Będzie uważać go za jednego „z najmądrzejszych, najlepszych i najatrakcyjniejszych mężczyzn, jakich można sobie wymarzyć”[80]. Ostatni list, jaki znajduje się w całej kolekcji epistolarnych pamiątek po Járosym, jest datowany na 21 marca 1959 roku[81].

Moi Jurandotowie kochani,

Modląc się co wieczór o zdrowie moich dzieci i najbliższych – kończę zawsze: I trzech Jurandotów.

Jeżeli mój 20-letni pobyt w Polsce i wszystko, co tam przeżyłem, jeżeli męki okupacji i zmartwienia o Jankę i Was, jeżeli powstanie, gonienie po „Germanji” i obóz koncentracyjny ze wszystkimi koszmarami nie dałyby dla mnie innego rezultatu niż wasz wspólny list z 10. lutego, to sądzę, że warto było to wszystko przeżyć i uważam siebie za po królewsku wynagrodzonego! Każde Wasze słowo wzruszyło mnie do



Konferansjerka w domu kultury w Gliwicach, lata sześćdziesiąte

łez i wywołało uczucie wielkiej wdzięczności za Waszą przyjaźń i dobroć.

Dalej Franuś, jak się podpisze, kreśli kilka zdań o swoich kłopotach ze zdrowiem, potem zapewnia, że o żadnej podróży do Polski nie może być mowy.

A mania wielkości kochanej Stefanii, że jest starsza ode mnie – *c'est ridicule, chérie* – jak powiedział Voltaire. List Joanny wisi nad moim biurkiem i jest pierwszym promieniem radości, którym każdy nowy dzień mnie wita. /Całuję cię z całych sił – pisze!!/ – i ostatnim spojrzeniem, zanim gaszę lampę, które biorę ze sobą do snu i snów.

Nie może pisać tekstów, wystąpił niedawno w audycji radiowej, której twórcy odwiedzili go w domu. Dzieli się swoimi kryzysami.

Człowiek z prawdziwego zdarzenia używa energię swego zewnętrznego życia, by stworzyć miejsce i wolność ruchu dla swego życia wewnętrznego... Tragikomedią takiego człowieka jest, gdy dla podtrzymania tego mądrego ujęcia zewnętrznego życia – musi używać coraz więcej sił swojego życia wewnętrznego. W ten sposób wydaje, co chciał oszczędzać – i roztrwoni, co chciał ochronić!

Listy Járosyego Stefania przechowywała w zbiorze najcenniejszych pamiątek, zamknięte razem z cytowanym już kilka rozdziałów temu wierszem miłosnym od pewnego stróża z Mor – w kopercie z napisami „Franuś" i „Jurek". Ta zachowana korespondencja sporo mówi o tym, jak wyjątkowa była więź łącząca Stefanię, Jerzego i Fryderyka.

Katarzyna Pawłowska-Horna: – Stefcia pod koniec życia niszczyła bardzo dużo. Sama byłam świadkiem, jak brała do ręki

dokumenty, listy, patrzyła, co to jest, darła na maleńkie kawałeczki i wyrzucała do kosza. Mówię: „Stefcia, to jest historia literatury, daj spokój". „Nie, nie chcę, żeby to po mnie zostawało". I tak siedziała całymi dniami i darła. Więc co ona wydarła?

Nie wiadomo. Ale chyba tym większą wagę zyskuje to, czego Stefania Grodzieńska nie wydarła.

Gdyby w latach pięćdziesiątych i sześćdziesiątych istniała internetowa wyszukiwarka, hasło „Stefania Grodzieńska" mogłoby pojawiać się na milionach stron. Zamiast tego są archiwalne katalogi i prasowe wycinki, które jak filmowy szybki montaż spadają na każdego, kto próbuje je porządkować. Miga w tych poszatkowanych kadrach tłum postaci – w końcu Grodzieńska funkcjonuje zawodowo dzięki sieci kontaktów, którą bardzo sprawnie buduje. Kompromis, trzymanie się razem, pamiętanie o innych, wręcz umiejętność dawania ludziom poczucia wyjątkowości, połączona z rzadkim wrażeniem, że nie muszą rywalizować o jej uwagę ani wzajemnie sobie zagrażać – to wszystko widać w relacjach prywatnych, w rozbudowanej sieci przyjaźni, ale także w pracy. Ponadto Grodzieńska, jak na lata swojej szczytowej popularności, jest wręcz szalenie nowoczesna.

Kalendarium wybranych wydarzeń z życia Stefanii Grodzieńskiej w latach 1954–1966 mogłoby wyglądać na przykład tak:

1954: Z ramienia Frontu Narodowego zostaje wybrana do Stołecznej Rady Narodowej w Warszawie[82]. Nie sposób jednak ustalić, jak długo faktycznie wykonywała mandat. Wiadomo, że epizod nie przeradza się w dalszą karierę polityczną.

Przed wyborami tak pisała o swoim programie:

> Bardzo dużo zależy od ludzi i to mnie najwięcej interesuje. Czasem, jak się dogadać, to można sobie nawzajem pomóc. Myślę, że człowiek z człowiekiem zawsze w końcu się dogada, tylko



Spotkanie z publicznością na Rynku Starego Miasta w Warszawie

> trzeba mieć do siebie zaufanie. I to jedno uważam za klucz do mojej pracy w Radzie Narodowej – żeby ludzie przychodzili ze swoimi bolączkami i szczerze mówili, co im leży na sercu. Nie zawsze zaraz uda się pomóc, ale co dwie głowy, to nie jedna. [...] Postaram się nie skostnieć i zanadto nie spoważnieć. Skostniały i spoważniały satyryk, to chyba gorsze niż wesoły radny. A nawet jeśli ktoś uważa, że nie, to też nic nie pomoże. Chcę być wesołą radną.[83]

1955: W numerze świątecznym „Sportowca" Grodzieńska, znana automobilistka, mówi, że jej ulubionym sportem jest turystyka wysokogórska, ale największym przeżyciem sportowym była ucieczka autem za kierownicą własnego samochodu przed pijakiem prowadzącym piękną limuzynę.

> Wszystko odbyło się jak w amerykańskim filmie: późny wieczór, mokry asfalt i szaleńczy doprawdy wyścig. Musiałam go wygrać, chodziło o życie Bielickiej, Duszyńskiego i Brusikiewicza – moich pasażerów. Po kilkuminutowej walce w Alejach Niepodległości, umknęliśmy chuliganowi.[84]

1956: Telewidzowie poznają Kardasiów[85], warszawską rodzinę, w której pierwsze skrzypce grają Irena Kwiatkowska i Kazimierz Brusikiewicz. Stworzone przez Grodzieńską postaci można oglądać na ekranie co dwa tygodnie. Audycji będzie tylko kilka – ale koncept nie zginie.

1957: Grodzieńska – jako pierwsza kobieta w historii pisma – udziela wywiadu rubryce *Mówi kibic* w „Przeglądzie Sportowym"[86]. Przyznaje, że podoba jej się akrobatyka sportowa – doprowadzanie ciała do granic ludzkich możliwości. Poza tym akrobatyka, tak samo jak lekkoatletyka, dają satysfakcję estetyczną.



Stefania Grodzieńska i jej pierwszy samochód – dekawka

1958: Polscy artyści jadą do Izraela – pociągiem przez Wiedeń i Wenecję, statkiem przez Ateny i Hajfę. Między innymi Grodzieńska, Hanka Bielicka, Jerzy Duszyński, Jerzy Pietraszkiewicz, Natalia Lerska, Julian Sztatler. „Jak się tu wszyscy czujemy? Jak w Warszawie: wszędzie mówi się po polsku, w radio gra orkiestra Cajmera, a swetry najtańsze są na ciuchach. Czy są jakieś różnice? Tyle że na ulicach rosną palmy, a propozycja wyjazdu na występ jest do Jerozolimy, a nie Skarżyska-Kamiennej"[87] – mówi Grodzieńska w rozmowie z „Expressem Wieczornym". Po powrocie zdradza: „Ludzie zatrzymywali nas na ulicach, przysiadali się do nas w kawiarniach i zarzucali pytaniami tego typu: «A co jest na rogu Chmielnej i Marszałkowskiej? Czy stoi ten dom? Czy jest jeszcze ten sklep?»"[88].

Także 1958: Grodzieńska wydaje *Kieszonkowe tragedie*. W całym tomie widać ogrom relacyjnych doświadczeń – nie zgorzknienie, lecz spojrzenie na życie bez złudzeń. W miejsce socjologicznych obserwacji, typowych dla jej wcześniejszej twórczości, wkracza psychologia. Formy prozatorskie stają się przy tym dłuższe, bardziej złożone. Ich centrum pozostają zaś związki, romanse, sympatie i to, co się z nimi często wiąże. Zazdrosne spojrzenia oszpecające każdą rywalkę. Coś z kimś było, z kimś innym nie, mogło być, stało się. Ktoś chce gdzieś biec, ktoś inny umrzeć, ktoś kogoś zabić. Kogo się kocha, kto jest dla kogo dobry? Komu daje się emocjonalne burze, a od kogo się je bierze? Pomysły na felietony biorą się nieraz ze współczucia, nawet jeśli Grodzieńska nazywa to „żerowaniem profesjonalnym na ludzkich niedolach"[89].

„Przeszłość pamięta się poszczególnymi obrazami, jakby w mózgu leżał zbiór fotografii. Widzę, jak stoisz przede mną i zaciągasz mi ten zamek. Następnej chwili już nie widzę. Nie została sfotografowana i znikła, jak gdyby jej nigdy nie było"[90] – pisze w *Wesoluszkach* (o wizycie w domu wypoczynkowym, gdzie jest jej sympatia).

A z historii *Umiałam żyć*, w której dwie panie siedemdziesiąt plus siedzą na ławeczce w Alejach Jerozolimskich, przekonujemy się, że doświadczenie, jak zawsze, i tak pozostaje bezcenne: „Tak, tak, mogę o sobie przynajmniej powiedzieć, droga Heleno, że potrafię żyć. Żyłam bogato! [...] Brałam z życia wszystko, co się dało"[91].

1959: Syrena wystawia spektakl *Jim strzela pierwszy!*. Tę parodię westernu przekłada i opracowuje Stefania Grodzieńska – to jej pierwsze tłumaczenie dla teatru.

Wciąż 1959: Stefania Grodzieńska w rozmowie z „Urodą" mówi, że jej ulubione potrawy to kapuśniak i czarny kawior[92].

1960: Dialog z dziennikarką „Kobiety i Życia"[93]:

– Czy dużo czasu poświęca pani swojemu makijażowi?

– Półtorej minuty.

– A jakich kosmetyków pani używa?

– Dobrej szminki do ust i jakiegokolwiek pudru. Ale proszę ze mnie nie brać przykładu, bo bardzo źle robię. Prawdopodobnie trzeba używać wielu najlepszych szminek i poświęcać dużo czasu swojej twarzy.

– Więc dlaczego pani tego nie robi?

– Bo do pewnego momentu uważałam, że to mi jeszcze niepotrzebne, a od pewnego momentu doszłam do wniosku, że to mi już nie pomoże. Może pani pytać dalej, przyjęłam, że pani już zaprzeczyła.

– Co pani zdaniem powinno być naczelną dewizą kobiet?

– Starać się być dobrą, mądrą, a pomimo to szczęśliwą.

W sierpniu „Express" odwiedza[94] popularną parę małżeńską – Grodzieńską i Jurandota – w ich domu przy Słonecznej w Warszawie, gdzie mieszkają od kilku lat. Gdy dziennikarze wchodzą do



Znana automobilistka –
tym razem za kierownicą



Uśmiech, Warszawa, koniec lat pięćdziesiątych

ogrodu w pełni letniego rozkwitu, widzą Stefanię trzymającą się kraty okna i układającą dzikie wino. Córka nad morzem, znajomi wyjechali na lato z Warszawy. Wytchnienie.

Grodzieńska zagadnięta przez katowicki „Wieczór" o to, co myśli o mężczyznach, cytuje samą siebie: „W dobie równouprawnienia kobiet mężczyzna może nam się przydać jeszcze tylko do przesunięcia ciężkiej szafy albo do rozmnażania gatunku. Wszystko inne wykona lepiej kobieta"[95].

Koniec 1960: Trwa spis powszechny. „Ilustrowany Kurier Polski" publikuje zdjęcie Grodzieńskiej i Jurandota odpowiadających na pytania z formularza[96].

Jak donosi „Sztandar Młodych"[97], zbiór felietonów *Różowy sweter* Stefanii Grodzieńskiej rozszedł się w ZSRR w nakładzie stu tysięcy egzemplarzy w kilka dni.

1961: Ponownie Izrael. „Haarec", jeden z najważniejszych izraelskich dzienników, recenzuje słuchowisko na podstawie tragedii kieszonkowej Grodzieńskiej – *Ja i Ty* – szczególnie chwaląc jego autorkę[98].

Polska, listopad, łamy „Odry": Grodzieńska po raz pierwszy odpowiada na zarzuty o swoje rzekomo zbyt wysokie wymagania co do honorarium. Zaznacza, że nie widziałaby nic złego w tym, gdyby ktoś faktycznie chciał jej nieźle zapłacić. Tymczasem za dwa występy w Jeleniej Górze i Kamiennej Górze otrzymała wynagrodzenie w wysokości tysiąca czterystu osiemdziesięciu czterech złotych, więc nie tysiąc złotych za występ, jak jej wytknięto w artykule na łamach „Odry"[99]. Niejednokrotnie występowała za trzysta czy pięćset złotych, jeśli instytucje tylko tyle mogły zapłacić. Dodaje: „Nie zdarzyło się jednak jeszcze nigdy, aby moje spotkanie autorskie nie odbyło się z powodów finansowych"[100]. Zaznacza, że



Wakacje 1960. Grodzieńska układa dzikie wino

nie boi się ani trudnych warunków, ani trudnej publiczności, dla której rezygnuje z często bardziej lukratywnych zajęć.

Według GUS-u przeciętne miesięczne wynagrodzenie w Polsce w 1961 roku wynosiło tysiąc sześćset dwadzieścia pięć złotych[101].

1963: Wiosną ukazują się *Wspomnienia chałturzystki*. Książka rozchodzi się w kilka dni, w czerwcu nakład jest już wyczerpany[102]. Powieść jest reklamowana jako „autentyczna"[103], jej bohaterowie to najpopularniejsi aktorzy i satyrycy. Grodzieńska przyzna, że było to epitafium po śmierci jednego z ważnych mężczyzn jej życia (wspomnianego Henryka, za którego prawie wyszła za mąż). *Wspomnienia...* stały się też dokumentem egzystowania w epoce i zapisem codzienności satyryków – budzących się w obcych miastach, chodzących po nich cały dzień z dziwnym, przedwieczornym napięciem w ciele i głowie, a więc nigdy niecieszących się nimi w pełni.

Zimne sale, szczękająca zębami publiczność, która nie reaguje. Jak podać dowcip? Konieczna jest pauza po puencie, żeby „doszło". *Wspomnienia...* pozostają książką ważną biograficznie, obyczajowo i psychologicznie.

1964: Błyskawiczna ankieta „Expressu Wieczornego", tylko jedno pytanie: czego pani nie lubi u mężczyzny? Stefania Grodzieńska, satyryk: „Głupoty – oczywiście"[104]. (Kalina Jędrusik powie, że tchórzostwa, a Agnieszka Osiecka – że w ogóle nie ma serca do mężczyzn).

1965: Stefania Grodzieńska rozwija twórczość telewizyjną. Wprowadza nowy, oryginalny format – emitowaną na żywo *Szklaną niedzielę*. To satyryczne widowisko rozwijające pomysł Kardasiów, a nawet więcej: jeden z pierwszych polskich seriali telewizyjnych. Koncept jest prosty, choć bardzo wymagający: domownicy co dwa tygodnie, w niedzielę, wspólnie oglądają telewizję i komentują to,

co dzieje się na ekranie. Dynamikę wyznaczają emocje i upodobania poszczególnych członków rodziny, a Stefania Grodzieńska na bieżąco dopisuje komentarz do każdego odcinka.

Jeszcze w 1965: Jubileusz Jana Brzechwy, przyjaciela.

> Ton całej uroczystości nadała z miejsca Stefania Grodzieńska, która zagaiła bardzo ładnie, następnie uklękła i zręcznie rzuciła jubilatowi, który na szczęście siedział w pierwszym rzędzie, czerwony goździk. Jubilat chwycił goździk, jak stary sportowiec, gruchnęły pierwsze oklaski i Stefania Grodzieńska zeszła ze sceny. Wróciła jednakże natychmiast po pantofelek, jaki tam zostawiła. Zrobiła to ze śmiechem i taką swobodą, że sala, która się zdążyła jubileuszowo usztywnić, natychmiast odtajała i taka już była do końca[105]

– odnotował 20 czerwca „Przekrój".

Znów połowa lat sześćdziesiątych: w Polskiej Kronice Filmowej relacja z Rybnickich Dni Literatury. Autografy rozdają Jan Sztaudynger, Natalia Rolleczek, Stefania Grodzieńska. Oblega ich tłum[106].

1966: Jan Brzechwa pisze w lipcu w „Przyjaciółce" o *Spotkaniu ze mną* Grodzieńskiej – zbiorze felietonów połączonych intymnym wątkiem relacji z mężczyznami.

> Można by rzec, że książkę tę napisała kobieta o kobietach, dla kobiet. Ale prawda jest trochę inna. Czytając *Spotkanie ze mną* mężczyźni, a więc kobieciarze, będą się zachłystywać, skakać, przytupywać i rechotać z zadowolenia. Albowiem w książce Grodzieńskiej znajdą klucz do serc swoich żon, kochanek, przyjaciółek, do wielu spraw tajemnych i nienazwanych, które

pozwolą im dokonać nader ciekawych odkryć. A kobiety w stronicach tej książki będą mogły przeglądać się jak w rozległej galerii kryształowych luster.[107]

Dodaje, że w książce:

perli się na przemian humor i liryzm, uśmiech i mądrość już nie na miarę kryształu, ale na miarę diamentu. Gdyby autorem tej książki był pisarz z Zachodu, tłumacze wyrywaliby ją sobie z rąk, a krytycy z zachwytu mlaskaliby na całą Polskę. Ale ponieważ nikt nie jest prorokiem we własnym kraju, w prasie literackiej panuje milczenie i obawiam się, że Stefania Grodzieńska będzie chyba musiała zadowolić się tym skromnym felietonem.[108]

W 1966 roku Joanna obchodzi dwudzieste urodziny.

Dziewczynka rosła, stawała się nastolatką, mama często wspominała ją w wywiadach. Miały wspólne sesje, kiedy Joanna miała kilka lat. Potem, już jako wczesna nastolatka, stała z rodzicami przed domem przy Słonecznej, co uchwycił w obiektywie fotoreporter „Życia Warszawy"[109]. Trzymała ojca za rękę, mama – choć stojąc nieco dalej – gładziła ją po włosach. Może to właśnie wtedy Joanna pisała do rodziców taki liścik, „niewydarty" przez Stefanię, zachowany w archiwum? Bez daty:

Drogi TATO!

Sztuka mi się SZALENIE podoba. Mam kilka uwag DODATNICH. Jutro pogadamy.

Jestem zachwycona zakończeniem!

Droga Mamo!

A ty kiedy dasz mi do przeczytania felieton? Ten dzisiejszy?

Drodzy Oboje! (urzędowo)
Zostawcie mi 2 zł, to sobie kupię coś w bufecie!

Drodzy Oboje! (Prywatnie)
CAŁUJĘ![110]

Jakoś w połowie lat sześćdziesiątych Stefania i dorosła już Joanna spotkały na swojej drodze Magdalenę Zawadzką.

– Wszystko zaczęło się przypadkiem, jak wiele spraw w moim życiu, dlatego kocham przypadki. Są pocałunkami losu – zaczyna opowieść aktorka. – Panią Stefanię poznałam dzięki jej córce Joasi: kiedy byłam w szkole teatralnej, studiowałam z jej przyszłym mężem Ryszardem Nawrockim. Bardzo się polubiłyśmy, bo była niesłychanie kontaktowa. Ja byłam skryta i małomówna, dopiero teraz jestem gadułą. A ona od razu otworzyła serce: poczułam, że jest ktoś, kto mi niczego nie zazdrości, nie ma do mnie o nic pretensji, wspiera mnie we wszystkim, co robię, i bardzo mnie lubi. Zaczęłyśmy odwiedzać się nawzajem i spędzać ze sobą czas. Dzięki temu poznałam bliżej państwa Jurandotów. To była para cudownych ludzi, którzy mieli przede wszystkim ogromny dystans do wszystkiego – także do siebie.

Ta znajomość z czasem nabrała też znaczenia zawodowego. Stefania Grodzieńska chciała, żeby Magdalena Zawadzka czytała w Polskim Radiu jej felietony i humoreski, a tym samym miała udział w tym, co tworzyła. I tak się stało. – Była do mnie tak serdecznie nastawiona... Lubiła mnie taką, jaka byłam – dodaje.

Wcześniej jednak było jeszcze niespodziewane spotkanie, scena gotowa do sfilmowania. W drugiej połowie lat sześćdziesiątych Magdalena Zawadzka pojechała po raz pierwszy za granicę: do Bułgarii. Słoneczny Brzeg, plaża, spaceruje w bikini. Naprzeciwko idzie kobieta, bardzo zgrabna, a co ważniejsze: z daleka wydaje się znajoma. Ktoś jej towarzyszy – i również wydaje się znajomy.



„Drodzy Oboje! CAŁUJĘ", pisała Joanna w zachowanym liściku do rodziców. Na tarasie domu przy Słonecznej w Warszawie

To Grodzieńska i Joanna. Stefania obsypuje Zawadzką komplementami, obie zapamiętają tę scenę na lata. Grodzieńska tak będzie mówiła o tym w radiu w 2001 roku:

> Środkiem plaży idzie stworzenie takie, co ja bym się też odwróciła. Wspaniała figurka – szczupluteńka, ale w sam raz. O nogach nie z tej ziemi. Myślę sobie: no, może się okaże, że buzia okropna. Nie, buzia też śliczna. Wszystko to razem to była pani Magda Zawadzka. Widzimy, że ta osoba szybkim, zdecydowanym krokiem zbliża się do nas. No więc, co za tym idzie, wzbudziłyśmy ogromne zainteresowanie pierwszy raz od czasu, jak żeśmy się na plaży pojawiły. Wszyscy się na nas gapili, myśmy się też czuły takie bardzo podniesione.[111]

Stefania mówi, że zamierza poopalać się na hotelowym tarasie, to kilometr dalej plażą. Idą.

Na miejscu można zostać w kostiumie, ale można też go zdjąć. „Czy nie będzie ci przeszkadzać, jeśli rozbiorę się do naga?" – słyszy Zawadzka. Podziwia odwagę kobiet, które – nie zważając na swoje ciała, sylwetki, kształty – leżą bez kostiumów. Tak, to jest odwaga, myśli. – Nagle wchodzi starszy człowiek z wężem do podlewania. Wszystkie te panie zaczęły gwałtownie zakrywać ciała, a pani Stefania spokojnie założyła ręcznik na głowę. Dla mnie to było zjawiskowe. Gołe ciała są gołymi ciałami, nie trzeba ich zakrywać, jeśli nie chcemy zostać rozpoznane – tylko twarz. To było genialne, świadczyło o jej wielkiej inteligencji i ogromnym poczuciu humoru.



Stefania Grodzieńska w latach sześćdziesiątych

ROZDZIAŁ XII

Polska, głównie Warszawa 1968 – początek lat dziewięćdziesiątych • epizodycznie wcześniej • ZSRR 1970 • Paryż 1972

Na mapie życia ponadpięćdziesięcioletniej Stefanii Grodzieńskiej wiele punktów było już wyraźnie zaznaczonych. Powojenny świat potrzebował tego, co mogła mu dać: pracowitości, talentu do tworzenia rozrywki – i do budowania wspólnego języka. Ale część tej mapy pozostawała niewidoczna: przemilczenia, żałoby, straty, najtrudniejsze wojenne przeżycia.

Stefania nie mówiła o tym, że była w getcie. Wiele osób w środowisku wiedziało, że tomik *Dzieci getta* napisała Grodzieńska, a słowniki biograficzne zanotowały jej pseudonim Ney[1]. Co nie zmienia faktu, że o przeszłości mówić było coraz trudniej.

Tuż po wojnie, a potem także w realiach stalinowskiej i poststalinowskiej Polski, żydowskie korzenie wielu osób stawały się tą częścią biografii, o której z ostrożności milczano – publicznie, a nierzadko również we własnej rodzinie. Niezależnie od tego, czy ktoś czuł się Żydem, Polakiem, czy jednym i drugim.

W przypadku Stefanii Grodzieńskiej warto pamiętać o tym, że od dzieciństwa była wychowywana w środowisku doprawdy wielonarodowym, w otwartości na różne kultury, a po przeprowadzce do dziadków w Łodzi uznała polską tożsamość za oczywistą dla siebie, kształciła się w polskiej szkole, czuła się Polką. – Była Polką z krwi i kości – podkreśli Katarzyna Pawłowska-Horna.

W latach trzydziestych odwiedzała mamę w Paryżu, Eleonorę żyjącą i pracującą wśród emigrantów, obywatelkę świata. Ten

kontekst jest ogromnie ważny, bez wątpienia wpłynął na wrażliwość Stefanii Grodzieńskiej, która „czepianie się pochodzenia”[2] nazwała w ostatniej z autobiograficznych książek, jakże słusznie, „dziwnym obyczajem”[3]. „Najbardziej rozśmieszył mnie dziadek z Wehrmachtu. Nie ma z czego się śmiać. A co, mam płakać? Dosyć się napłakano z powodu nietrafnych dziadków”[4], pisała.

Nie oznacza to jednak, że powojenna rzeczywistość, łącząca się z jej rodzinną historią, własnymi przeżyciami i losami ludzi, których znała, na nią nie wpływała.

W 1947 roku, po pogromie kieleckim, w Polsce zostało około stu tysięcy osób pochodzenia żydowskiego[5].

Dziesiątki tysięcy osób wciąż emigrowały: na przełomie lat czterdziestych i pięćdziesiątych do nowo powstałego Izraela, potem też w czasie odwilży 1956 roku, kiedy zostały złagodzone restrykcje wyjazdowe, z czego zresztą w celach turystyczno-zawodowych skorzystała Grodzieńska, podróżując na Zachód. A potem przyszedł marzec 1968 roku. Antysemicka kampania prowadzona przez komunistyczne władze, czystka, nagonka, krótko mówiąc: w pełni zinstytucjonalizowany antysemityzm, który doprowadził do wyjazdu lub wyrzucenia z kraju trzynastu tysięcy Żydów i Polaków, którzy pochodzili z żydowskich rodzin[6]. Ostracyzm spadł między innymi na Krystynę Żywulską, autorkę opublikowanej kilka lat wcześniej *Pustej wody*, ale także satyryczkę, felietonistkę „Szpilek”, autorkę tekstu choćby urokliwej piosenki *Żyje się raz*. Kraj opuszczają synowie Żywulskiej, obaj wyposażeni w druk urzędowy, na którym jest napisane: „posiadacz niniejszego dokumentu podróży nie jest obywatelem polskim”[7]. Krysia/Zosia boi się, że już nigdy ich nie zobaczy. Dlatego wyjeżdża do Düsseldorfu.

Marzec 1968 roku dla rodziny Stefanii to czas bolesnej utraty przyjaciół, którzy wyjechali, ale też wrogości i licznych napięć w środowisku twórców. Warto zaznaczyć, że Grodzieńska nigdy nie zapisała się do partii. Jerzy był członkiem PZPR, ale w latach

sześćdziesiątych pisał głównie sztuki. Od 1957 roku nie był też dyrektorem teatru.

Wspomnianą atmosferę wrogości oddają zachowane dokumenty.

Teczka Stefanii Grodzieńskiej w Archiwum Instytutu Pamięci Narodowej[8] zawiera kilkanaście notatek, zawiadomień, informacji na jej temat z okresu od 1968 do 1972 roku. Jest tam także kwestionariusz sprawy, w którym pada wyjaśnienie sformułowane przez jednego z funkcjonariuszy SB w stopniu kapitana:

> Z dokumentów operacyjnych wynika, że w/w w okresie agresji Izraela na państwa arabskie w czerwcu 1967 roku aktywnie propagowała swoje poglądy syjonistyczne. W marcu 1968 r. popierała wrogie wystąpienia pewnej części młodzieży akademickiej. Z powyższych względów uważam, iż Grodzieńska powinna pozostawać w polu widzenia służby bezpieczeństwa.[9]

Czy są tu jakieś sensacyjne doniesienia? Zupełnie nie. Ale padają przykre frazy. W jednej z notatek na przykład: „Inteligentna, konsekwentna w swoich poglądach i działalności. Uważana w środowisku aktorskim za «cwaną żydówkę», która nie wie, co robi i dlaczego"[10].

W relacji ze spotkania w ZLP na początku kwietnia 1968 roku Grodzieńska została przedstawiona jako osoba, która jawnie mówi o antysemityzmie – i która podkreśla, że odczuwa klimat jak w czasie okupacji. Zaznacza, że instynkt słusznie uchronił ją niegdyś przed wstąpieniem do partii, której teraz musiałaby się wstydzić. Jerzy jest tu przedstawiony jako bardziej umiarkowany i ostrożny, Stefania – jako mówiąca bardziej impulsywnie. Oboje są zmartwieni możliwą eskalacją antysemityzmu.

Grodzieńska zaznacza ponadto, że jej córka przyjęła z entuzjazmem informację o żydowskim pochodzeniu obojga rodziców. Notatka mówi o tym, że Joanna jest autorką piosenek w programach

telewizyjnych Stefanii i asystentką na Wydziale Estradowym PWST, gdzie widzi ostracyzm dotykający studentów pochodzenia żydowskiego. „Oboje Grodzieńska i Jurandot oświadczyli, że słusznym byłoby wypowiedzieć się o pomocy Polaków Żydom podczas okupacji, ale uważają, że nie należy podsycać elementu «żydowskości» obywateli polskich, lepiej poczekać aż ta burza ucichnie"[11]. Osoba, która jest dla SB źródłem informacji w sprawie Grodzieńskiej, spotyka ją też latem 1970 roku w ZSRR. Stefania pojechała tam z mężem, córką i zięciem, Ryszardem Nawrockim. Stefania i Jerzy „ujawnili mimo woli swój duchowy związek z literatami reprezentującymi u nas opozycyjne poglądy polityczne"[12]. Zachwycali się książką Brandysa, a Jurandot chwalił Jerzego Andrzejewskiego jako najwybitniejszego żyjącego pisarza polskiego.

W październiku 1974 roku kwestionariusz Grodzieńskiej zamknięto, przestała być rozpracowywana. Argumentowano: „W chwili obecnej nie prowadzi wrogiej działalności"[13].

W maju 1968 roku w „Expressie Wieczornym" Jerzy opublikował tekst o pomocy udzielanej w czasie Holokaustu. Zaczyna się tak:

> Pracowałem wtedy jako stróż w ogrodniczej stacji doświadczalnej Mory. Gdy się jedzie szosą z Warszawy do Łodzi, tuż za Jelonkami odchodzi w lewo aleja starych lip. To właśnie tam. Dziś stacji już nie ma, stoją tu jakieś transformatory, słupy linii wysokiego napięcia, nie znam się na tym. Ocalał tylko tzw. pałacyk, w którym wówczas mieszkała ze staruszką matką i ukochanymi psami kierowniczka stacji, czterdziestokilkuletnia inż. Bronisława Cholewińska, dla przyjaciół Niusia. Mieszkałem zaś w pobliżu w Gołąbkach, u Zosi K. Poznałem ją przez Jarossego. Powiedział: „Ona zaraz tu przyjdzie. Ma oczy Curie-Skłodowskiej, szczękę Mussoliniego i uśmiech dziecka. – Po chwili dodał: – Ale nie w tym rzecz. Rzecz w tym, że takich ludzi nie ma". Tacy ludzie jednak byli. I o takich ludziach należy pisać.[14]

Ciepłe i obrazowe jurandotowe słowa prowadzą do najtrudniejszych przeżyć: uporczywej obecności wojny, która nie opuszcza ocalałych; doświadczenia bycia kimś zagrożonym i prześladowanym – kimś, kto podlega ustawom norymberskim. A równocześnie tekst opowiada o bohaterstwie tych, którzy pomagali, mimo że ta pomoc potrafiła kosztować życie.

> To chyba Jaracz powiedział w pierwszych miesiącach wojny, że jest ona jak papierek lakmusowy: nikt nie pozostaje szary, musisz być albo bohaterem, albo szują. Dla wszystkich, którzy przeżyli wojnę w kraju, którzy stykali się z takimi domami, jak dom Zosi K. i z takimi miejscami jak Mory, nie ulega wątpliwości, że poza nielicznymi wyjątkami nasz naród przyjął na siebie w tych latach gorzki ciężar bohaterstwa[15]

– kończy tekst Jerzy. Ukaże się on też w 1969 roku w drugim wydaniu tomu *Pieśń ujdzie cało* – zbierającym relacje osób, które pomocy udzielały, i tych, które nie przetrwałyby Zagłady bez szczerego, bezinteresownego ratunku.

Szkic ten opublikowany zostaje w momencie, gdy prasę zasypują podobne komentarze – a nacjonalistyczno-ksenofobiczna propaganda chce wpisać je w wielką opowieść o zbiorowym, niepodlegającym żadnej wątpliwości ratowaniu Żydów w czasie wojny przez polskie otoczenie.

W istocie rację ma jednak Agnieszka Arnold, zauważając, że „Jurandot z mistrzowską precyzją demaskował faszyzującą politykę państwa"[16]. Nagonka, do której dochodzi nawet nie po ćwierćwieczu od końca wojny, jest dla tych, którzy przetrwali, powrotem prześladowania. I to przede wszystkim uświadamia komentarz pisarza – jeśli spojrzymy na niego ze świadomością wszystkich kontekstów.

Trudno widzieć w słowach Jerzego akt koniunkturalizmu. Jeszcze w 1969 roku planował wydanie swoich wspomnień, co

ostatecznie się nie wydarzyło – *Miasto skazanych* ukaże się, jak już wiemy, dopiero w 2014 roku.

Bez wątpienia Jurandotowie ocaleli dzięki bohaterskiej pomocy, o której nigdy nie zapomnieli. Z Zofią Kijkowską przyjaźnili się do końca. Ciocia Funia, która dała Stefanii schronienie i alibi po ucieczce z Gołąbek, a potem brała udział w powstaniu jako sanitariuszka[17], była otoczona jej opieką: kiedy pracowała jako nauczycielka w Zabrzu i później, gdy pod koniec życia potrzebowała wsparcia w Warszawie.

Joanna Jurandot-Nawrocka po latach wspomni, że rodzice nigdy nie próbowali rozstrzygać, czy więcej Polaków ratowało Żydów, czy wręcz przeciwnie – było szmalcownikami. Wiedzieli, jak wiele było odcieni obojętności i nieudzielania pomocy.

> Więc co, potępiać obojętnych? Ale przecież za każdy taki gest mordowano nie tylko tego, kto go wykonał, również całą jego rodzinę – zdaje się, że tylko w Polsce tak było, więc nie potępiajmy obojętnych, bo nie wiemy, jak zachowalibyśmy się w ich sytuacji. Moi rodzice mieli szczęście: każde z nich trafiało na wielu bohaterskich ludzi, którzy im pomagali. I wystarczyłby jeden szmalcownik, żeby popsuć wysiłek – powiedzmy – kilkudziesięciu bohaterów. O jakiej proporcji może być mowa? Było, jak było, trzeba mówić o jednym i drugim, nie dokonując ocen z tyłkiem zanurzonym w miękkim fotelu[18]

– napisze w liście do Agnieszki Arnold, dołączonym do *Miasta skazanych*. Przyzna w nim, że po raz pierwszy o przeżyciach rodziców dowiedziała się jako nastolatka.

> Dopiero kiedy miałam czternaście lat, rodzice zabrali mnie do Treblinki, żeby pokazać miejsce, gdzie prawdopodobnie zamordowano moich dziadków (choć równie dobrze mogli zostać

zamordowani w swoim mieszkaniu w getcie albo umrzeć w pociągu). Ale postanowili, że dla nich Treblinka będzie miejscem pochówku Sabci i Pickwicka, jak mama nazywała teściów. Jechaliśmy samochodem i po drodze opowiadali mi o dziadkach. W ten sposób, zupełnie naturalnie, wypłynął temat tych dwóch lat, bez żadnych szczegółów. Szczegółów nigdy nie poznałam, ale przynajmniej zrozumiałam, dlaczego ojciec jeszcze kilka lat po wojnie krzyczał przez sen – a musiało to być niezłe kilka lat, skoro słyszałam to i zapamiętałam. I dlaczego mama nigdy nie wyrzuciła ani okruszka chleba. Tak, wiem, że chleba nie powinno się wyrzucać, ale ona była zawsze o dzień za nami: kiedy my z ojcem jedliśmy świeże pieczywo, ona żuła wczorajsze resztki.[19]

W domu Grodzieńska i Jurandot zawsze pomijali słowo „getto", zamiast niego pojawiało się „wesołe miasteczko". Joanna szanowała ich milczenie, nie dopytywała o wojnę. „Rozumiałam ich lęk przed rozdrapywaniem wspomnień, nie rozumiałam lęku, że to się może powtórzyć. Ten drugi zrozumiałam dopiero w 1968 roku..."[20]. Doda, że nieprzyjemności w zasadzie ich ominęły, nie licząc osób, które przychodziły, dopytywały o możliwość zakupu domu przy Słonecznej – zakładając, że jego mieszkańcy i tak wyjadą z kraju. „Ale widziałam zbyt wielu rówieśników, którzy dopiero wylatując ze studiów, dowiadywali się tego, czego ja się dowiedziałam jako czternastolatka"[21].

W 1968 roku przeszłość i wszystko, co związane z rodziną, z pochodzeniem, wpłynęło na Stefanię, Jerzego i Joannę. Nawet jeśli o konsekwencjach Marca dla swojego życia nie mówili wiele, nawet jeśli uważali, że na tle represji, których doświadczyli inni, rodzinie Jurandotów nie stała się żadna większa krzywda, to oczywiste, że coś w ich świecie się zmieniło.

Grodzieńska i Jurandot w 1968 roku napisali sztukę. Dali jej tytuł *Ballada o tamtych dniach*, a akcję osadzili od września 1944

do stycznia 1945 roku – w Lublinie. O prapremierę ubiegało się kilka teatrów, zaś z zachowanej korespondencji wynika, że Stefania i Jerzy zgłosili tekst na konkurs organizowany przez Ministerstwo Kultury i Sztuki z okazji obchodów dwudziestopięciolecia Polski Ludowej[22].

Jedna z premier *Ballady...* odbyła się w 1969 roku w Teatrze im. Stefana Jaracza w Łodzi. Muzykę skomponował Jerzy Wasowski. Jerzy Jurandot w programie spektaklu zamieścił fragment ze swojej książki *Dzieje śmiechu*:

> Nie mogę zrozumieć, dlaczego o Lublinie z tamtych dni nie napisano mnóstwa książek, sztuk i scenariuszy filmowych. Przecież w tym niezbyt podłym, ale i niezbyt efektownym mieście działo się wtedy coś bez precedensu, coś jednorazowego i niepowtarzalnego: tworzyło się nowoczesne państwo, ale na razie w pigułce, wykluwały się władze i instytucje, ale na razie na wyrost, formował się nowy model społeczny, ale na razie w miniaturze, na skalę laboratoryjną, stąd też, jak nigdzie, sąsiadowały tu ze sobą patos i powszedniość, wielkość ocierała się o śmieszność.[23]

O premierze spektaklu w 1970 roku w Teatrze Polskim w Warszawie informowała Polska Kronika Filmowa. Pokazany w niej fragment to między innymi scena z mężczyzną w sutannie, który w radiowej skrzynce poszukiwania rodzin zgłasza nazwisko pani Goldman, swojej żony. Rozłączony z nią, uciekł z transportu, pomogli mu zakonnicy. „Oni mnie ukryli. «Pan nie ma wyglądu na Żyda, dlatego można Pana przebrać za księdza». Dlaczego nie? Mogę się przebrać za księdza – mówię. Jako ksiądz – ja mogę zginąć. Jako Żyd – ja muszę"[24].

Wśród zarchiwizowanych w IPN informacji o Stefanii Grodzieńskiej są jej akta paszportowe[25]. Po Marcu ubiegała się o wyjazdy

do: ZSRR, Zjednoczonej Republiki Arabskiej, Włoch (Sycylii) i w 1972 roku do Francji. Ten ostatni wyjazd argumentowała zamiarem zapoznania się z życiem teatralnym. Zaprosił ją znajomy mieszkający w Paryżu.

Z tego wyjazdu zachowały się dwa listy Stefanii do Jerzego i Joanny.

Pierwszy: sobota, 13 maja[26].

> Moi kochani! Piszę ołówkiem, bo kończy mi się długopis, którym ew. napiszę jeszcze kilka kartek i adres do Was, bo innej pisaniny nie przewiduję. Nie wiadomo, od czego zacząć, więc tylko kilka chaotycznych zdań. Kama: cudowna, zawsze ta sama, Robert jej mąż nawet wycieplał z wiekiem. Stefan: j.w., t.j. nie wycieplał, bo nie było z czego, ale od pierwszego słowa było tak, jak gdyby między naszym ostatnim spotkaniem a obecnym nie istniało tych 34 lat (tak, Ciapku!) – jesteśmy sobie bliscy, bezpośredni, z wielką gotowością przyjaźni i ze świadomością, że bliskość nasza jest dożywotnia.

W Paryżu Stefania odnawia kontakty ze szkolnymi przyjaciółmi z Łodzi – tymi, którzy wyemigrowali przed wojną, a więc przeżyli. To właśnie Kama, ale również Stefan, lekarz – a kilkadziesiąt lat wcześniej jeden z chłopców zjawiających się na popołudniowych tańcach w mieszkaniu Maksymiliana i Franciszki Bujanerów. Napisał do Grodzieńskiej w drugiej połowie lat pięćdziesiątych z sentymentem, ona odpisała mu, że wiele zostało w niej z tych lat pierwszych miłości.

Następuje dalsza wyliczanka osób, przy okazji której niepostrzeżenie odsłania się jeden z celów wizyty Stefanii we Francji: nawiązywanie kontaktu z daleką rodziną ojca, Michela Grodensky'ego. Temat nie jest jednak rozwijany w zachowanych listach. Stefania w jednej z książek napisze, że w 1972 roku w Paryżu poznała pewnego starszego mężczyznę, który obiecał odnaleźć fotografię rodziców,

Michela i Eleonory[27]. I to właśnie zdjęcie, jak już wiemy, przyjdzie do niej w grudniu 1977 roku.

„Czy jesteście rozczarowani, że nie opisuję Tour Eiffel lub Étoile? To w domu. I masę oglądam TV – dla siebie i dla Joanny. To temat na długo, długo. Ogólnie – b. dobra!!!"[28] – dodaje Grodzieńska, która od pierwszej połowy lat sześćdziesiątych tworzy scenariusze i teksty do programów. Pracuje w telewizji na etacie i nie zmieni się to do jej emerytury[29].

Telewizja łączy ją też z córką Joanną, która przez kilkadziesiąt lat będzie zatrudniona w TVP między innymi jako asystentka reżyserów przy spektaklach telewizyjnych i wieloletnia realizatorka najważniejszych programów informacyjnych.

W relacji z Paryża Grodzieńska formułuje do córki najważniejszy komunikat: „Joanna, język", przekonując, że bez niego we Francji jak bez ręki, a przecież czeka na nią zaproszenie. „Ściskam, tęsknię, Wasza M" (Matka).

Drugi list: bez daty, ale na pewno późniejszy o kilka dni[30].

Stefania przechorowała wirusa żołądkowego z czterdziestostopniową gorączką.

> Wyobraźcie sobie moją wściekłość. Ale wszystko przeszło i znów biegam po Paryżu. Najważniejsze – co wieczór gdzieś chodzę. Teatry i kina, wszystko b. ciekawe, robię notatki, żeby móc Wam wszystko opowiedzieć. Do Joanny: jeszcze jeden powód konieczności nauki francuskiego. Gdybym nie rozumiała – dosłownie nie ma co tu robić [...]. Mam „swoją" kawiarnię na Place Trocadéro – tam chodzę pieszo. [...] Obserwuję życie tutejsze nie od strony hotelu tym razem i robię dość ciekawe spostrzeżenia. Np. uprzejmość sprzedawczyń jest wprost proporcjonalna do cen w danym zakładzie, oczywiście na ogół. Nawał pięknych rzeczy w sklepach w pierwszej chwili uderza – jeszcze w tej dzielnicy! – teraz już mnie w ogóle nie interesuje, zajmują mnie tylko takie przedmioty, które ew. mam zamiar kupić, t.j. drobiazgi,



Grodzieńska była związana z telewizją aż do emerytury.
Od pierwszej połowy lat sześćdziesiątych tworzyła
scenariusze i teksty do programów

patrzę na ceny, żeby kupić tanio, ale nie z większym szałem, niż np. w domach Centrum, kiedy przychodzą swetry z Jugosławii

– relacjonuje skrupulatnie.

Co ważnego jeszcze? Sklep firmowy Diora pozostawia ją „w zupełnej obojętności", staje za to z zachwytem przed wystawą z kolorowymi gąbkami, a w 16 dzielnicy, w której mieszka i po której się przechadza, jej płaszczyk z Niemiec i garnitur okazują się wielkim szykiem. Francuzki są „uczesane na nieuczesane", a o pięćdziesięcioośmioletniej Stefanii noszącej krótkie włosy mówią *très Rive Gauche*, a więc dostrzegając jej paryską lewobrzeżną aurę, może nawet pewien chłopięcy sznyt. „Co?..." – zażartuje w liście Grodzieńska.

Stefania pisze o królowej Elżbiecie II, która zakorkowała miasto, utrudniła życie Paryżanom i przyjezdnym. Faktycznie, oficjalna wizyta monarchini Zjednoczonego Królestwa odbyła się między 15 a 19 maja 1972 roku.

Grodzieńska notuje ponadto: „Brakuje mi sukienki do teatru, ale gwiżdżę i chodzę w czarnej biurowej". Przesyła gratulacje dla dwudziestosześcioletniej Joanny z powodu jakiegoś wyróżnienia. Ujmujący jest też jej dopisek u dołu pierwszej strony dotyczący nauki języków, do której Stefania wraca w obu listach z Paryża. Miękko zaznacza tym razem: „Nie bój się, nie będę piłować, dlatego właśnie teraz tyle o tym piszę, żebyś sobie obmyśliła jak i u kogo chcesz się uczyć – w domu nie mówimy o tym".

Listów i zaproszeń, będących śladem prowadzonego życia towarzyskiego na przełomie lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych, zachowało się w archiwum Stefanii Grodzieńskiej niewiele, tym bardziej zwraca uwagę kilka uroczystych druków związanych z Jarosławem Iwaszkiewiczem[31].

W lutym 1969 roku Jerzy Jurandot, członek Zarządu Głównego Związku Literatów Polskich, dostał zaproszenie do Belwederu

na śniadanie z okazji siedemdziesiątych piątych urodzin Iwaszkiewicza. W menu krem z selerów, sandacz na białym winie z ryżem, zaś do polędwicy po angielsku z jarzynami i sałatą po francusku – ziemniaki drążone opiekane. Na deser krem z owocami. Wrzesień 1972 roku – zaproszenie na podwieczorek w Stawisku. Anna i Jarosław obchodzą pięćdziesiątą rocznicę ślubu. Na zdjęciu obok jubileuszowej pary: Stefania i Jerzy, ceniony przez Iwaszkiewicza, co można wnioskować z listu nadanego w Stawisku kilka miesięcy wcześniej. „Wzruszyłeś mnie swoim listem. Żeby to się tak z wszystkimi pracowało jak z tobą! Mam niezmienny szacunek dla twej kompetencji, spokoju i równowagi. Szkoda, że wszystko przemija, czasem tylko trwa za długo – względnie za krótko. Odwiedź mnie w Stawisku w niedzielę 20-go (ze Stefanią) [...]. Ściskam twą dłoń"[32].

– Jurek mnie trochę onieśmielał – mówi Katarzyna Pawłowska-Horna. – Był dostojny, zawsze pachnący i elegancki. Nawet w domu nie chodził w zwykłych kapciach, tylko miał takie skórzane pantofle męskie.

Jerzy, co odnotowywały jego żona i córka, nigdy nie podniósł głosu, konflikty ucinał lub „załatwiał spojrzeniem", które było najgorsze, jak zapamięta Joanna. Nie karał i nie strofował, więc zwierzała mu się częściej z tego, co przeskrobała. Prosiła, by nie mówił mamie. Jurandot odpowiadał: nie możesz wymagać, żebym ją okłamywał. „A jednak, co zauważyłam dużo później – nie mówił mamie. Był lojalny wobec obu. To była dla mnie bardzo ważna lekcja, ważna do dziś"[33].

Jego więź z córką zaczęła się budować dopiero z wiekiem, przede wszystkim na wakacjach, na które Joannę rodzice zaczęli zabierać, gdy podrosła (czyli w wieku ośmiu–dziewięciu lat). Wcześniej zajmowała się nią opiekunka albo wysyłano ją ze znajomymi, którzy wyjeżdżali z dziećmi. Kiedy przyszedł czas na wyjazdy z rodzicami, ten wspólny wakacyjny rytuał utrzymał się zaskakująco długo – aż do jej dorosłości. Córka Stefanii zapamiętała dwa rodzaje wakacji:



Złote gody Jarosława i Anny Iwaszkiewiczów.
W tle, po lewej: Jerzy Jurandot i Stefania Grodzieńska

te według scenariusza mamy, w górach – i te zagraniczne, nawet lekko egzotyczne: Bułgaria, Jugosławia, Krym, Kaukaz, które wybierał tata. Zresztą wolała spędzać czas podobnie do ojca, jeśli Zakopane, to kawiarnia. „Zapach ciastek z kremem, kawy, dymu papierosowego i koniaku – oto moje najpiękniejsze wspomnienia z wakacji w górach"[34].

Ojciec to także „dorosła przyjaźń", czyli taka, w której nie ma tematów tabu, nawet jeśli, co jasne, nie wszystkie porusza się w pełni otwarcie.

> Był kobieciarzem. Nie „dziwkarzem", bo jego kobiety zawsze były w dobrym stylu. Mamie to nie przeszkadzało, wiedziała, że nigdy jej nie skrzywdzi, a jeśli ma takie potrzeby, to trudno, w końcu niczego jej nie odbiera. Nigdy nie doszło do żadnych przykrości, zresztą jego panie również pozostawały z nim zaprzyjaźnione i nikt nie zgłaszał pretensji. W domu się o tym nie mówiło, ale nie jak o mrocznej tajemnicy, tylko byłby to temat w złym guście. Przeważało poczucie bezpieczeństwa: jesteśmy dla niego najważniejsze i nigdy nie zrobi nic przeciwko nam[35]

– napisze Joanna.

Był bez wątpienia człowiekiem dystyngowanym, mógł peszyć, onieśmielać.

– Choć nie moją matkę – zaznacza Pawłowska-Horna. – Zresztą ona mu mogła wszystko powiedzieć, mogła z nim dyskutować. Tak, różnili się ze Stefcią: ona była „swój człowiek", w Jurku tego nie było. Zastanawiałam się nad tym czasami, przecież on miał takie straszne przeżycia wojenne... Pamiętam jedną sytuację w kuchni przy Słonecznej, jeszcze byłam szczeniakiem, ale zrobiło to na mnie wrażenie. Moja mama ze Stefcią robiły herbatę, Jurek stał obok, rozmawiali. Mama i Stefcia wzięły do ręki każda własną zaparzoną herbatę. Jurek nie. Powiedział do Stefci: „Przyniesiesz mi herbatę?". I wyszedł z kuchni do pokoju.

Joanna z kolei zatrzymała w sobie obraz Jurandota, który zawsze po powrocie do domu, bez względu na samopoczucie czy jakiekolwiek inne okoliczności dotyczące żony lub córki, pytał na wejściu: kto ma ochotę zrobić mi herbatę? „Nie do wiary! Ten facet nigdy, ani razu, nie wziął sobie sam herbaty! Kiedy próbowałam robić mamie wymówki, odpowiadała: – Jeśli ma się do czynienia z takim człowiekiem, to robienie herbaty naprawdę nie jest wysoką ceną"[36].

– Moja matka miała jeszcze jedno wspomnienie, do którego często wracała – uzupełnia opowieść o Jerzym Pawłowska-Horna. – Stefcia i Jurek mieli gosposię. I kiedyś mama, która akurat u nich była, zauważyła, że Jurek przed wyjściem z domu obudził tę kobietę, bo miał przykurzone buty. Gosposia szybko złapała za szmatkę i mu je przetarła. Mamę to wkurzyło, mówi: „Co ty, rąk nie masz?! Nie możesz sobie sam butów wytrzeć?!". Odpowiedział: „Wiesz, mogę, nic mi się nie stanie. Ale widzisz, ja pracuję głową, daję jej pracę i to jest jej odpowiedzialność, żebym ja miał czyste buty. I ja to doceniam. Jeśli ja jej nie dam tych butów do wyczyszczenia, sam je przetrę, to po co ona ma tu być? Wtedy ona straci pracę. Każdy zarabia na tym, co potrafi". Oczywiście Stefcia zupełnie taka nie była.

– Pamiętam też, że w tym domu nie było ważne, co się je. Oni mieli głowy zaprzątnięte czym innym. Od czasu do czasu robili sobie ucztę i szli do restauracji, ale na co dzień wyglądało to tak, że ktoś raz powiedział, że lubi zupę pomidorową, i gosposia gotowała ją przez kilka miesięcy, dopóki ktoś nie powiedział, że już dziękuje. Kiedyś zastanawiałam się, czy to nie jest kolejna odsłona traumy wojennej. Bo normalnie człowiek nie dałby rady jeść przez trzy miesiące zupy pomidorowej, prawda?

Kiedy Pawłowska-Horna przeprowadziła się z rodzicami do kolejnego domu w Łodzi, odkryli w nim maleńki, zamurowany ścianą z cegieł kawałek pomieszczenia. Miał nawet okno.

– Moja matka była zachwycona, mówiła: „Będę miała spiżarnię". Tak też wykorzystała tę przestrzeń. Przyjeżdża Stefcia, mama

jej pokazuje ten schowek, mówi: „Popatrz, cośmy znaleźli". Na co Stefcia: „Ojej, kryjówka na Żydów".

3 marca 1973 roku, w nocy, na kilkanaście dni przed swoimi sześćdziesiątymi drugimi urodzinami, Jerzy Jurandot doznaje udaru mózgu, nazywanego konsekwentnie przez jego bliskich „wylewem", co może sugerować udar krwotoczny – pękło naczynie krwionośne, krew dostała się w głąb mózgu i uszkodziła jego tkankę. Zaczyna się dwa tysiące trzysta pięćdziesiąt osiem trudnych dni. Ale będą wśród nich jeszcze dobre mgnienia.

> Wrócił ze szpitala. Sam usiadł. Samodzielnie przesiadł się na wózek. Piękny moment, kiedy krzyknął: „Precz z tą landarą", i wziął do ręki laskę, a wypożyczony wózek kazał oddać już. Nie za godzinę, tylko już. Przy ciężkim uszkodzeniu mózgu nie zmieniło się jego poczucie humoru, coraz bardziej przypominał prawdziwego Jurka. Zażądał kompletu do brydża. Co wtorek przychodzili wierni przyjaciele. Kiedyś był znakomitym brydżystą. Teraz grał słabo i robił błędy. Miał sparaliżowaną lewą rękę, więc ja mu trzymałam karty. Kiedyś, widząc jego posunięcie, które mi się nie spodobało, pozwoliłam sobie na uwagę. Spojrzał na mnie z obrzydzeniem i powiedział: „Wiem, że mam tylko część mózgu, ale nie ściągaj mnie do swojego poziomu". Miał rację. Pomimo tego braku grał lepiej ode mnie.[37]

Katarzyna Pawłowska-Horna zapamiętała, że rehabilitację po udarze znacząco utrudniła niechęć Jurandota do ruchu fizycznego. Terapia poudarowa była kosztowna, płaciła za nią Stefania.

– Z taką rehabilitacją ludzie wychodzili z cięższych wylewów. A Jurek nie, bo jak Jurkowi kazali podnieść rękę, to byłby w stanie to wytrzymać, gdyby ktoś za niego ją podnosił. Lekarz powiedział: pan Jerzy musi chodzić. Ich domek był malutki, z tego, co pamiętam, może dwanaście metrów od ściany do ściany. Jurek miał trasę:

szedł od okna swojego pokoju przez korytarzyk do okna w pokoju Stefci i wracał. Miał przejść tę drogę dziesięć razy, Stefcia liczyła, że powtarzał to zaledwie kilka. Do końca bronił się, jak mógł.

Dom to szeregówka, przemierza się ją w pionie, góra–dół–góra–dół. Pokój Jerzego jest na pierwszym piętrze, tak samo jak Stefanii, pokój Joanny – na drugim. Kuchnia i tak zwany salon na parterze.

Trzeba było jakoś powstrzymać męża i ojca przed zapadaniem się w chorobę. Może pisaniem. Może wspomnieniami z Feminy. To jedyne, o czym Jurandot z okresu „wesołego miasteczka" czasem chciał coś powiedzieć. Joannę teatr w środku gettowej rzeczywistości nie przestawał dziwić, zdumiewać, ciekawić. Chciała się dowiedzieć o nim jak najwięcej. Stefania podsunęła mężowi bruliony. Obie nie miały wielkich nadziei, czy cokolwiek z tego, co pisze, ma sens. To, jak wiele było znaczeń na zapisywanych kartkach, odkryła dopiero Agnieszka Arnold. Ale odczytanie ich zajęło jej długie miesiące. „Pisarstwo Jurandota ma tak specyficzną melodię i rytm, że najmniejszy błąd natychmiast zgrzytał fałszem. Czekałam wobec tego czasem wiele dni, aż przychodziło odpowiednie słowo i wtedy już wyraźnie potrafiłam dostrzec jego kształt pisany ręką autora"[38] – notowała w zapiskach dotyczących opracowania tekstu pod tytułem *Humor w opasce*, który Jerzy pisał w latach siedemdziesiątych. Prace nad brulionami przekazanymi przez Stefanię na przełomie lat osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych – i tymi, które powierzyła później Arnold Joanna Jurandot, trwały łącznie dwa lata.

– Część *Miasta skazanych* była poprawiana, kiedy Jurandot miał bezwładną rękę. Bez tych poprawek tekst był pisany bardzo pięknym, przedwojennym pismem – takim, że wiadomo: trzeba było znać kaligrafię. A potem to strasznie pokreślił. Chciałam dotrzeć do pierwszej wersji, tej, którą pisał, kiedy jeszcze się ukrywał w Gołąbkach. Chodziło mi o najwcześniejszy zapis – zaznacza Agnieszka Arnold.

Bliskich Jerzego zdziwiło to, z jaką szczegółowością – mimo choroby – po latach potrafił odtworzyć rzeczywistość Feminy, przypomnieć konkretnych ludzi i ich historie. Z jaką wielką świadomością pisał o funkcji teatru w getcie. Joanna zauważy: „Jak głęboki ślad w mózgu mojego ojca odcisnęły tamte niecałe dwa lata, skoro kilkadziesiąt lat później ten mózg, już poważnie uszkodzony, potrafił je odtworzyć! I jak przez całe powojenne życie ojciec musiał nad sobą pracować, żeby nie potykać się o te koleiny”[39].

– Pani Stefania zachowywała się fantastycznie w chorobie męża. To był mężczyzna jej życia – mówi Grażyna Barszczewska.

– Była najczulszą, najbardziej fachową pielęgniarką, opiekunką, lekarzem, wszystkim. I nie zdążyła się z nim pożegnać. Nie pogodzili się wieczorem, Jurek umarł w nocy. To ją gryzło do końca życia – dodaje Katarzyna Pawłowska-Horna.

– To chyba była naprawdę wielka miłość: do Jurandota – podkreśla też Artur Andrus. – Stefania zrezygnowała na parę lat z życia zawodowego, żeby się nim, obłożnie chorym, zajmować. Kiedyś powiedziała: „Latami się nim opiekowałam, po czym w momencie, kiedy powinnam się z nim pożegnać, to się pokłóciliśmy. Ja trzasnęłam drzwiami, wyszłam z domu, on umarł”.

Grodzieńska przyzna: „Ostatnie miesiące były dla niego tak niewyobrażalną męczarnią, że kiedy płakałam po jego śmierci, robiłam sobie wyrzuty za swój egoizm”[40].

Jerzy Jurandot umarł 16 sierpnia 1979 roku. Na świecie był już ponad półtoraroczny Michał, syn Joanny z kolejnego związku. Małżeństwo z Ryszardem Nawrockim, z którym zresztą Stefania pozostawała w ciepłym kontakcie aż do swojej śmierci, trwało trzy lata. Joanna o swoim mężu napisze tak:

> Rysiek był istotnie człowiekiem niespotykanie pogodnym i spokojnym. Kiedy poznało się go lepiej, można było z czystym sumieniem dodać określenie „nieskazitelnie dobrym”. Prawdo-

podobnie dlatego rozpadło się nasze małżeństwo: ja byłam szczeniarą, która potrzebowała uniesień i dramatów, a dramaty były tym jednym, czego Ryszard nie był w stanie zapewnić.[41]

Michał dziadka, co oczywiste, nie pamięta, ale warto odnotować, że jeszcze w marcu 1978 roku – na pięćdziesięciolecie pracy twórczej – Jerzy Jurandot mówił w rozmowie z „Expressem Wieczornym": „Największym moim zainteresowaniem w tej chwili jest praca nad książką wspomnień z czasów wojny, a największą radością – uśmiech mojego trzymiesięcznego wnuka Michała"[42].

Ta zgodność szybko uderza: większość osób, z którymi mam okazję rozmawiać przy pracy nad tą książką, kiedy tylko temat schodzi na Michała, mówi o tym, jak bardzo babcia go kochała, uwielbiała. Grodzieńska niejeden raz podkreślała, że dostrzegała w jego charakterze jakieś echo swojej matki i siebie. Zaś śmiejąc się z własnej nowej roli, w latach osiemdziesiątych chętnie puszczała w eter następujący bon mot: „Co to jest geniusz? Geniusz to jest głupie dziecko, które ma babcię. Mój wnuk też jest właśnie takim geniuszem, przypuszczam"[43].

Dla Michała Grodzieńska była babcią, dziadkiem, ojcem, także matką. Joanna dużo pracowała, jej relacja z synem była niełatwa.

Tak bywa. Reszta należy do sfery ściśle prywatnej.

– Matki zwykle nie było. Pracowała, odsypiała, nie wychodziła ze swojego pokoju. Babcia była zawsze – mówi Michał, kapitan samolotów pasażerskich. Ich więź była przez lata bardzo silna. Na pytanie o pierwsze wspomnienie związane z babcią Jurandot odpowiada: – Nie mam jednego wielkiego, tylko kilka mniejszych, różnych. Nie wiem, czy to normalne, ale nie pamiętam nic z połowy przedszkola. Dlatego nagrywam synka, Jaśka, żeby wiedział, jak wyglądały jego pierwsze lata. Co do babci: pamiętam wakacje w Bułgarii, na które pojechaliśmy we trójkę, babcia się mną zajmowała. Pamiętam, jak chodziłem z nią po zakupy do Supersamu

na Placu Unii Lubelskiej. Stało się tam w długiej kolejce po koszyk. No i pamiętam, jak pracowała nad książką, *Niebieskim ptakiem*. Potwornie się nudziłem. Babcia pisała na maszynie, a ja siedziałem na fotelu i cały czas kręciłem się obok niej.

Przeszkadzało jej to?

– Coś tam mówiła, że musi pracować, ale nigdy mnie nie wyrzuciła. Jak myślę o tym dzisiaj, to sam bym siebie natychmiast wyrzucił do łazienki, zamknął drzwi i przystawił jakimś biurkiem. A ona nie. Nie pamiętam, żeby kiedykolwiek powiedziała do mnie, że mam wyjść. Godzinami siedziałem jej na głowie.

Urodził go „Niebieski Ptak" to pierwsza przekrojowo autobiograficzna opowieść Grodzieńskiej. Książka ukazała się w 1988 roku i choć jej tytułowym, okładkowym, pierwszoplanowym bohaterem jest Fryderyk Járosy, w istocie ta licząca trochę ponad dwieście stron swobodna, w jakimś sensie gawędziarska narracja jest rodzajem podwójnego portretu, autobiografii maskowanej, pretekstowej. Stefania zeszła w niej pod powierzchnię, ku mniej widocznym warstwom własnej przeszłości.

Tej pięknej, przedwojennej – i tej późniejszej.

Niebieski ptak wydaje się książką wymagającą uważnego czytania, wrażliwości na to, co autorka odsłania pośrednio, umiejętności wyłapywania subtelnych sygnałów. To książka, od której nie warto oczekiwać „całej prawdy" – lepiej docenić, w ilu miejscach Grodzieńska dotyka wojny i swoich przeżyć, mówi o nich coś ważnego. Bo faktycznie mówi: na tyle, na ile może; na tyle, na ile czuje się bezpiecznie.

Są tu więc Sabcia, Pickwick, Gołąbki, Mory, Natalia, Helena Ostrowska i Joasia, Krysia/Zosia Żywulska, Zofia i Gabriel Kijkowscy, ciocia Nusia, Zosia Gleichgewicht, Żydzi „kaput" w Treblince. Są zdania o getcie: „dno okupacyjnego upadku"; „w tej dzielnicy nie istniały granice pogarszania się warunków życia"; „Franuś nie był jedynym, który poszedł tam dobrowolnie". „Niemcy wiedzieli

od początku, że całe to półmilionowe miasto zostanie wkrótce hurtowo zlikwidowane, więc nie zadawali sobie trudu tępienia pojedynczych mieszkańców, zresztą pracę detaliczną pełniły na razie tyfus i głód"[44].

Getto jest opowiedziane przez ochronną fasadę doświadczenia Fryderyka/Franusia, a rozdział mu poświęcony zajmuje trzy strony. Grodzieńska zostawia jednak w tej części znaczące powtórzenie – dotyczące właśnie tego, że nie tylko Járosy był dobrowolnym mieszkańcem dzielnicy żydowskiej. Stefania skupia się też na sytuacji osób takich jak ona i Jurandot, będących Polakami, a mimo to nieuchronnie objętych paragrafami aryjskimi. Po kilkudziesięciu stronach przyzna: „Umówiłam się, że piszę o Járosym, choć coraz trudniej mi ukryć, że opowiadam o sobie"[45].

Jest przy tym coś uniwersalnie ciekawego w ewolucji pisarskiej Grodzieńskiej, której twórczość od lat siedemdziesiątych znów stała się inna. Sama Stefania zauważyła to już w liście do Pankowskiego, a po latach tak sama nazwała:

> Im późniejsze lata, tym więcej tych... nazwijmy je smutnymi. Te są zresztą najbliższe mojemu sercu. [...] Nie znoszę i nigdy nie znosiłam dowcipnisiów, cenię prawdziwych humorystów. Rzadko zdarza się, żebym przeczytała lub usłyszała coś, co mnie śmieszy. Należę do tych strasznych czytelników i słuchaczy, którzy pozostają w całości, kiedy wszyscy pękają ze śmiechu. Nasuwa się więc pytanie, jak to się stało, że napisałam tyle kawałków, które miały być śmieszne? Czyżby mnie śmieszyły tylko własne żarty? Otóż wcale mnie nie śmieszą. Po prostu tak jak Kaj z „Królowej Śniegu" mam kawałek lustra w oku. Widzę inaczej i tak opisuję, jak widzę. Z tego wszystkiego najbardziej niespodziewanie nazwano mnie humorystką. Jednak w miarę upływu lat mądrzałam i to lustro w oku się rozpływało. Na szczęście poczucie humoru mi zostało. Najukochańszy mój pisarz to Czechow, który swoje przesmutne sztuki nazywał komediami.[46]



Stefania Grodzieńska z wnukiem, lata osiemdziesiąte.
„Babcia była zawsze", mówi dzisiaj Michał Jurandot,
kapitan samolotów pasażerskich

Urodził go „Niebieski Ptak” jest w jakimś sensie kulminacją tego „smutku”, ale też otwarciem na coś nowego, co dojrzeje w latach dziewięćdziesiątych i będzie związane z gotowością coraz dłuższego, coraz bardziej wnikliwego patrzenia na swoje życie z lotu ptaka.

Jaką babcią była Stefania Grodzieńska?

– Nie wiem, czy to jest wystarczająco kolorowe. Sugeruję, polecam, zachęcam podkolorować – śmieje się Michał, komentując swoje wspomnienia i to, jak zostaną wykorzystane w książce.

Nie trzeba niczego podkolorowywać. Wystarczy przyjrzeć się scenom.

Stefania z Michałem często spędzali czas, po prostu jeżdżąc autobusami. Stosiedemdziesiątkapiątka wiozła ich na przykład na lotnisko Okęcie, ale tras było więcej.

– Babcia dość szybko się zorientowała, że kiedy coś przesuwa się za oknem, to mnie to ciekawi. Nie trzeba się mną aktywnie zajmować, wystarczy mnie posadzić przed telewizorem okiennym. Tak jeździliśmy po całej Warszawie, najczęściej na Starówkę, na bułkę z pieczarkami przy Nowomiejskiej. Ten punkt działa do tej pory: przechodzisz przez rynek, wchodzisz w ulicę, która prowadzi na Barbakan i tam zaraz na rogu masz „bułkę z pieczarkami”. Tak mi świta, że wysiadaliśmy na Placu Zamkowym. Na zapiekanki jeździliśmy też w niedzielę po kościele – mówi Michał, a w jego wspomnieniach ożywa topografia Warszawy lat osiemdziesiątych, liczne ulice i trasy przemierzane z babcią; pomniki, przystanki, budynki. No i lodowisko na Stegnach. – Babcia z baletu, matka z baletu, jedna spełniona, druga mniej, no to mnie zapisały na łyżwy figurowe. Na szczęście najpierw złamałem rękę, a potem mnie wyrzucili z tej sekcji, więc trafiłem na tor Stegny. To było odkryte lodowisko. Zimno, zwłaszcza jak się stoi dwie godziny na trybunach. Tyle trwała sesja i pamiętam, że babcia cały czas stała. Nie że siedziała w środku i piła herbatkę, tylko stała na tych trybunach. Co przejeżdżałem, to albo machałem do niej, albo na nią patrzyłem.

Michał rósł, dopytywał. Babcia nie chciała opowiadać ani o pierwszym mężu, ani o wojnie.

– Natomiast o górach dużo mówiła. Zresztą jeździliśmy z babcią wagonem sypialnym do Zakopanego i spaliśmy w Halamie, legendarnym pensjonacie ZAIKS-u, ale to miejsce akurat słabo pamiętam.

Święta? Symboliczne. Każdy jadł to, co lubił. Michał zresztą zaznacza:

– U nas kulinarnie to słabo było w domu.

Nie potrafi powiedzieć, kiedy dokładnie dowiedział się o żydowskiej historii swojej rodziny, ale nigdy nie czuł się z tego powodu źle, nie odczuwał też antysemityzmu.

– No nie wiem, na podwórku to tak, jakby ktoś mi powiedział, że mam przodków z Bułgarii. Nie czułem, że to coś złego, chociaż przecież dorastałem w czasach, kiedy ciągle się słyszało, że Żydzi są wszędzie, w rządzie i że w ogóle rządzą światem. Babcia nigdy nie mówiła o swoim pochodzeniu, zupełnie nie mówiła też o antysemityzmie. To nie był temat. Aż do czasu nagrań. Ale wiedziałem, że one są utajnione i koniec*.

Czy Stefania nigdy nie była zniecierpliwiona, niezadowolona, że gdzieś musi z nim być? Nie robiła mu wyrzutów?

– Absolutnie nie. Chociaż potrafiła się zezłościć, bo ja byłem naprawdę koszmarnym bachorem, nadaktywnym gnojkiem. Ale ona wtedy mówiła tylko, że jestem „ordynus", i dodawała: „Nie komenderuj".

Po chwili Michał uzupełnia:

– Babcia nie miała w sobie agresji. To niesamowite, ale dzisiaj naprawdę wspominam ją jako pogodną staruszkę. I pamiętam ten kontrast, kiedy widziałem ją w telewizji, zwłaszcza w programach sprzed lat. Myślałem sobie: ta sławna, egzaltowana pani. Opakowanie to moja babcia, ale ktoś podmienił mi środek.

---

* O wspomnianych nagraniach piszę w *Posłowiu*.



Zjawiskowa Stefania Grodzieńska na bankiecie

ROZDZIAŁ XIII

Warszawa, połowa lat dziewięćdziesiątych XX wieku – początek XXI wieku • liczne pomieszczenia studiów radiowych i telewizyjnych • trasy po Polsce • Skolimów: jesień 2008 – 28 kwietnia 2010 roku

Czarna welurowa suknia z kołnierzykiem to kostium idealny. Ciało, które go nakłada, prostuje się jak strzała. Spojrzenie wielkich brązowych oczu mierzy przestrzeń. W twarzy, którą obramowują włosy, gładko uczesane w niski koczek, z przedziałkiem pośrodku, jest coś bardzo miłego, dworskiego, ale też nieznoszącego sprzeciwu.

Na gęstej, nasyconej czerni materiału iskrzy się jedyna rodowa biżuteria – wisiorek z elementów zegarka Maksymiliana Bujanera, zawsze na długiej, podwójnej pętli złotego łańcuszka. Do tego eleganckie, smukłe klipsy w odcieniach złota. W tym zestawie Stefania jest fotografowana i siada przed kamerą na tyle często, że trudno go przeoczyć[1].

Jeszcze w kwietniu 1995 roku bierze udział w *Godzinie szczerości*, pionierskim talk-show emitowanym w nowej polskiej telewizji. Na widowni Joanna i Michał, do tego mnóstwo znajomych i przyjaciół: Hanka Bielicka, Alina Janowska, Krystyna Gucewicz, Danuta Szaflarska, Grażyna Torbicka, długo by wymieniać.

A jednak prowadzący Krzysztof Turowski zauważa, że Stefania nie jest przesadnie wzruszona. „Jestem profesjonałem i jak chcę, to gram wzruszoną, a jak nie chcę, to gram niewzruszoną"[2] – mówi bohaterka.

Program jest przyspieszoną autobiograficzną opowieścią, ekspresowym przeglądem całej jej drogi zawodowej. Dużo tu śmiechu,

lekkości, choć pojawiają się tematy trudne. „Jeśli chodzi o wojnę, to najatrakcyjniejsze rzeczy mi uciekają”[3] – przyznaje Grodzieńska, skupiając się na zawodach, które w czasie okupacji przyszło jej wykonywać. Jest połowa lat dziewięćdziesiątych, klimat rozmowy, do której dołączają różni dziennikarze, schodzi na czarno-białe rozliczenia z komunistyczną przeszłością. „Czy nie ma pani takiego uczucia, że nie wykorzystała pani swojego talentu do samego końca, do dna z tego powodu, że tworzyła pani w okresie totalitaryzmu?”[4], słyszy bohaterka i odpowiada: „Nie no, ja tworzyłam w okresie totalitaryzmu, ale sięgnęłam szczytu swoich możliwości, swoich zdolności. Więcej nie potrafię”[5]. Za chwilę:

> Przecież nie byłam idiotką i jak dawałam do cenzury, to wiedziałam z góry, co mi skreślą, i zwalniałam ich z tego. Pisałam tak, że miałam nadzieję, że to przejdzie. Często mi skreślano: no to trudno, to wymyśliłam inny dowcip. [...] Wiodło mi się pod względem zawodowym bardzo dobrze przez cały czas. Nie będę teraz biadała, jaka byłam nieszczęśliwa. [...] Kto był kretynem i pisał rzeczy, które nie mogły się ukazać, no to chował do szuflady. Ja nie mam szuflad, nie mam gdzie chować.[6]

Dlaczego pisała satyrę obyczajową, a nie polityczną? „Piszę, mówię o tym, co mnie zajmuje naprawdę. Mnie polityka nie zajmuje absolutnie”[7].

Temat narzuca się sam: mijają pierwsze tygodnie rządu z premierem SLD, Józefem Oleksym. Lech Wałęsa potwierdza, że będzie ubiegał się o drugą kadencję. Grodzieńska śmieje się, że wie, kto jest premierem i prezydentem, ale z gracją i inteligencją umyka przed rozprawianiem o takich oczywistościach.

Jej recepta na dobry humor? „Nie przejmować się sobą i lubić ludzi. A najważniejsze: nie martwić się tym, co jest powodem do zmartwienia, tylko cieszyć się z tego, co jest powodem do radości”[8].

W latach dziewięćdziesiątych i na początku nowego wieku Stefania Grodzieńska była bohaterką co najmniej dwunastu programów telewizyjnych i kilkunastu audycji radiowych w mediach publicznych. Działo się coś zaskakującego: Stefania coraz chętniej, coraz mniej oszczędnie mówiła o swoim życiu. Przyglądając się jej wszystkim wypowiedziom, do których dołączyło też kilka książek autobiograficznych, pisanych wspólnie z Beatą Kęczkowską, a także z córką Joanną Jurandot-Nawrocką, można zobaczyć w tych gestach powracającą próbę integracji swoich doświadczeń, ale też, może, uwalniania się od przeszłości.

W opowieści publicznej Grodzieńska pozostawała fascynującą dla mediów figurą – kimś, kto znał Ordonkę i Járosyego i mógł gościć w programach jako bezpośredni łącznik ze światem, który w latach dziewięćdziesiątych zyskiwał na atrakcyjności. Mitycznym światem przedwojennej Polski. Opowiadała dużo o Łodzi, tańcu, teatrach, Jurandocie, ale też o swojej karierze, stracie matki; o Wawrzyńcu Żuławskim, Brzechwie, nawet Minkiewiczu, który wyzwolił ją od trwającego trzydzieści lat nałogu nikotynowego, bo chciała mu udowodnić, że skoro ona może rzucić palenie ot tak, to on może też mógłby przestać pić. W tej sferze znaczeń wojna to przede wszystkim role, w które się wchodzi, czyli zajęcia, których się podejmuje: bycie sprzątaczką, zielarką, służącą, fryzjerką.

Obok tej opowieści publicznej istniała jednak sfera zastrzeżona dla nielicznych. Stefania Grodzieńska przekazała Agnieszce Arnold bruliony Jurandota, zaznaczając, że po jej śmierci może z nimi zrobić, co zechce. Rozmawiała z wybranymi osobami o tym, że przeżyła getto i współtworzyła w nim teatr. Czytała bardzo dużo książek o II wojnie światowej i Holokauście, zgromadziła ich ogromny zbiór. Pod koniec życia ogromnie zależało jej na spotkaniu z Markiem Edelmanem – i w końcu się spotkali[9].

W swoim otoczeniu miała prawdopodobnie tylko jedną zaufaną osobę, z którą wracała w najtrudniejszą przeszłość, mówiła inaczej

o stracie matki i ojca, o getcie, Gołąbkach, śmierci Heleny Ostrowskiej, o Krysi Żywulskiej.

– Grodzieńska dojrzewała do tego, żeby tę przeszłość wypuścić, ale najbardziej bała się antysemityzmu w Polsce. Bała się o Michała – mówi Barbara Engelking. – Myślę też, że Grodzieńskiej bardzo zależało na tym, żeby nie być ofiarą Holokaustu. Boleję nad tym, że nasz dyskurs wokół Zagłady jest, po pierwsze, dyskursem traumy, a po drugie, dyskursem z perspektywy doświadczenia osób młodych. Mało wiemy o ludziach, którzy przeżyli II wojnę światową jako drugą wojnę w swoim życiu, którzy byli wtedy całkiem dorośli lub starzy. Cała nasza wiedza z ostatnich dwudziestu lat to wspomnienia ludzi bardzo młodych i dzieci. Z badań psychologicznych nad stresem traumatycznym wiemy także, że nie wszyscy doświadczają go tak samo, on jest zależny od różnych czynników. Nie wszyscy są załamani, smutni i nieszczęśliwi do końca życia. Niektórzy po prostu żyją, więc dlaczego mamy im narzucać tożsamość ofiary Holokaustu? Skala traumy jest różna, tak samo jak różne są mechanizmy przystosowawcze, dzięki którym ludzie radzą sobie z trudnymi doświadczeniami. Nasza opowieść o Holokauście od lat koncentruje się na cierpieniu i nieszczęściu, a nie na tym, jak ludzie sobie radzili, jak byli pomysłowi, energiczni, jak sobie nawzajem pomagali, wspierali się. Jak starali się być samowystarczalni – i często byli w ogromnym stopniu.

Może więc niektórzy nie analizowali tak bardzo swoich uczuć, nie trzymali się obsesyjnie tylko tych złych. Może po prostu żyli?

– Może rzeczywiście byłam wentylem bezpieczeństwa. Ona miała w swoim życiu różnych ludzi; różnych ludzi od różnych rzeczy. Ja byłam od rozmawiania o wojnie. Więc może kiedy wracałam do domu, ona nie musiała już o tym myśleć? Mogła dalej żyć, jeść jajka na twardo i czasami popijać je wódeczką? – kończy Engelking.

O tym, że Stefania Grodzieńska nie chciała być ofiarą wojennej tragedii, mówi też Krystyna Gucewicz:

– Wątek żydowski w jej przypadku nie ma absolutnie wymiaru holokaustowego cierpienia. Wiedziała, że jest bardzo cienka granica pomiędzy prawdą a wyłudzaniem współczucia. Poza tym Stefania wiedziała, jakim jesteśmy społeczeństwem, do bólu antysemickim, czego nie przyjmujemy do wiadomości. Bała się od zawsze o córkę, o to, żeby Joanna nie miała kłopotów, nieprzyjemności, kompleksów. – Za chwilę podkreśla: – Gdy przejeżdżałyśmy koło sądów na Lesznie, Stefania opowiadała mi o tym, jak Jurandot chciał ocalić swoich rodziców, co się nie udało, i o tym, jak dzieci z getta były ratowane przez sądy.

Grodzieńska była osobą, która po wojnie chciała pokazać, że potrafi wypracować w swoim życiu dobre – wzmacniające, konstruktywne – rzeczy. Praca była jej najważniejszym dziełem. W kraju, w którym pamięć o żydowskiej historii natrafia na opór, mówienie o swoich żydowskich korzeniach i o getcie pozostawało szczególnie trudne. Zwłaszcza dla osoby od dzieciństwa zasymilowanej.

Jeśli dołożymy do tego warstwę artystyczną, czyli to, że Stefania współtworzyła teatr, grała, śpiewała, tańczyła, wchodzimy w rejestr, którego po prostu nie sposób pojąć bez szerokiej uczciwej dyskusji, wielogłosu, wnikliwej analizy. Temu powoli zaczęła torować drogę historia Wiery Gran, opisana przez Agatę Tuszyńską, i *Miasto skazanych*, wspomnienia Jurandota opracowane przez Agnieszkę Arnold.

Opowieść zasymilowanych artystów z getta nie była wspomnieniem, które dałoby się wpisać w szeroką dyskusję w latach dziewięćdziesiątych czy w początkach nowego stulecia. Ani po stronie polskiej, ani żydowskiej.

– Miałam kiedyś bardzo długą kłótnię z profesorem Israelem Gutmanem*. On uważał to za skandal, że w getcie ktoś w ogóle

---

* Israel Gutman – żydowski historyk, działacz Żydowskiej Organizacji Bojowej, więzień Majdanka i Auschwitz.

grał w teatrze, że nie wypada, nie wolno. Potępiał to z pozycji ideologicznych. A ja bardzo dobrze rozumiem Grodzieńską. Z jednej strony ludzie potrzebowali i chcieli teatru, a z drugiej: artyści w ten sposób po prostu pracowali – podkreśla Barbara Engelking.

Jak mówić prawdę, żeby nie tylko nie zostać ukaraną, lecz także zostać jakkolwiek zrozumianą? W latach 1995–2010 wcale nie było to proste. Wystarczy spojrzeć na kilka znaków tamtego czasu.

Kiedy w połowie lat dziewięćdziesiątych Aleksander Kwaśniewski startował w wyborach prezydenckich, mierząc się z legendą „Solidarności" Lechem Wałęsą, negatywna kampania przeciwko młodemu politykowi z obozu „postkomunistycznego" była między innymi oparta na antysemityzmie. Rzekome żydowskie pochodzenie miało dyskredytować kandydata. To jeden z bardziej wymownych dowodów na powszechność, ale i przyzwolenie na antysemityzm w ówczesnej Polsce. Kto dorastał w latach dziewięćdziesiątych, może pamiętać wyrysowane na murach, bramach garażowych czy śmietnikach gwiazdy Dawida na szubienicach – wszechobecny wtedy symbol, którego upiornego znaczenia przeciętny kilku-, kilkunastolatek często zupełnie nie rozumiał. I raczej nie mógł liczyć na to, że zostanie mu rzetelnie wyjaśniony. Na przykład w szkole.

W lipcu 2001 roku Kwaśniewski, urzędujący drugą kadencję prezydent, wstrząśnięty lekturą *Sąsiadów* (2000) Jana Tomasza Grossa – książki o pogromie w Jedwabnem – pojechał na obchody upamiętniające zbrodnię. Jako głowa państwa wygłosił jedno ze swoich najbardziej znanych przemówień, w którym przeprosił za mord: w imieniu swoim i „tych Polaków, których sumienie jest poruszone tamtą zbrodnią". „Uznałem, że mogę przemówić w imieniu tej części społeczeństwa, która miała poczucie winy"[10] – powie w 2023 roku.

Od tego przemówienia minie kilkanaście lat, zanim do szerokiego grona odbiorców w Polsce – dzięki m.in. pracom badacza Mirosława Tryczyka – dotrze informacja, że pogrom w Jedwabnem nie

był pierwszy czy najbardziej okrutny, że latem 1941 roku, kiedy front przesuwał się na wschód, w próżni władzy na terenach miejscowości pogromowych przemoc rozlała się na znacznie większą skalę[11].

W 2002 roku premierę miał *Pianista* Romana Polańskiego, film wyróżniony wieloma nagrodami, między innymi trzema Oscarami. Przedstawia historię Władysława Szpilmana, który przetrwał Zagładę w getcie, a potem ukrywając się, jako jeden z robinsonów warszawskich, w ruinach aryjskiej części stolicy.

Na seans wybrała się Grodzieńska, o czym opowiada Beata Kęczkowska, współtowarzyszka wyprawy na film:

– Umówiłyśmy się ze Stefą, że pójdziemy do Kina Silver Screen przy Placu Unii. Pamiętam, przybiegam na miejsce i widzę Stefę, która przycupnęła na jednym z lwów, które do dzisiaj są na placu przed miejscem, w którym kiedyś było Kino Moskwa, potem Silver Screen. Obejrzałyśmy film, wyszłyśmy na ulicę. Stefa była potwornie przygnębiona, powtarzała: „To nie tak, to nie było tak". Głównie chodziło jej o to, jak zostało pokazane getto, ludzie, opaski z gwiazdą Dawida. Według niej w *Pianiście* wszystko było nie tak. Było mi żal ją zostawiać. Dodam, że bardzo chciała zobaczyć ten film, dlatego obejrzała go do końca.

W pierwszych latach trzeciego milenium polska humanistyka zauważyła rozwój nowej dyscypliny badawczej, która zarazem stała się jednym z najistotniejszych wielkich zwrotów w humanistyce w ogóle. Jednym z impulsów do tej zmiany był film *Shoah* Claude'a Lanzmanna, przywoływany już w tej opowieści przy okazji Jana Karskiego. W centrum nowej dyscypliny stanęła problematyka Zagłady, przede wszystkim jako „doświadczenie, którego nie ma"[12], jak trafnie określał to teoretyk, historyk literatury i kultury profesor Ryszard Nycz. „Poszukiwania te zwracają się w stronę: natury i granic samego doświadczenia, możliwości jego opisu czy reprezentacji oraz tożsamości podmiotu będącego po tej i po tamtej stronie istnienia, poznania, znaczenia"[13] – pisał.

Czym jest samo doświadczenie Zagłady? Co oznacza dla kontaktu ze światem, w którym żyjemy? Czym było dla ludzi, którzy Holokaust przeżyli – a czym jest dla nas, którzy mają o nim pamiętać? Jak można, a jak nie można o Zagładzie pisać? Jak ją przedstawiać? Jakim językiem? Czy są granice stosowności i formy w opowiadaniu o niej? W jakich rejestrach ta pamięć w ogóle żyje, którędy się przenosi i skąd? Jak ją zapożyczamy? Jaki mamy do niej dostęp?

Coraz liczniejsze pytania, które zaczęli stawiać humaniści, przede wszystkim ci młodszych pokoleń, przyczyniły się do rozwoju tak zwanych badań nad postpamięcią. Jako pierwsza tego terminu użyła na początku lat dziewięćdziesiątych literaturoznawczyni Marianne Hirsch. Dotyczy on tego, jak kolejne pokolenia: dzieci, wnuki ocalałych, niosą pamięć o przeszłości, która jakoś została im przekazana, nawet jeśli przez milczenie. To wszystko zaowocowało refleksją, która coraz głośniej wybrzmiewała w aulach polskich uniwersytetów dopiero u schyłku życia Stefanii Grodzieńskiej. Stamtąd zaś zaczęła przenikać do sztuki, literatury, teatru jako tak zwany zwrot pamięciowy.

> To, że chcemy do tamtego czasu sięgać, może też być elementem naszego wyboru, podyktowanego czystą ciekawością, a nie tylko empatią lub osobistym cierpieniem. Może właśnie w ten sposób uwalniamy postpamięć od niepokojącego aspektu martyrologicznego, który dochodzi do głosu, gdy np. mówimy o Holokauście głosem ofiary *by proxy* – zastępczej, która jednak ma takie roszczenia, jakby sama była ofiarą. Tymczasem nie chodzi o produkcję następnych ofiar, o powtórkę z rywalizacji ofiar, tylko o uwalnianie pamięci[14]

– mówiła w 2009 roku profesor Joanna Tokarska-Bakir w wywiadzie dotyczącym właśnie zwrotu pamięciowego.

Jeśli nie można powiedzieć swojej prawdy za życia – bo ludzie wokół jeszcze nie mają zasobów i instrumentów, by ją przyjąć – to co pozostaje? Może samo życie?

– Odnoszę wrażenie, że dlatego się tak lubiłyśmy, bo obydwie żyłyśmy jednakowo. To znaczy obok normalnego życia. Musi się coś dziać, musi być jakaś fantazja, jakieś jajo. I Stefania też się tym żywiła. Wiedziała, gdzie są w życiu konfitury, że nie wolno traktować wszystkiego zbyt realistycznie. Chociaż ona równocześnie mocno stała na ziemi, bo utrzymywała dom – podkreśla Krystyna Gucewicz.

Jajka na twardo, podjadane jak cukierki, krzyżówki, które rozwiązuje się pasjami, a jeśli nie zna się hasła, to dzwoni się do Władysława Kopalińskiego, przyjaciela jeszcze z czasów lubelskiego radia.

– Pamiętam, kiedyś przyszedłem do Stefanii, która mówi mi, że przed chwilą dzwoniła do Kopalińskiego, bo nie potrafiła znaleźć hasła do krzyżówki. Mówi: słuchaj, on właśnie podpisał umowę na nowy słownik i powiedział mi, że się dziwi, że chcą z nim, który ma dziewięćdziesiąt dziewięć lat, jeszcze podpisywać umowy. Odpowiedziałam mu: „Ty sobie się dziw, że tobie się jeszcze chce pisać słowniki w takim wieku" – opowiada Artur Andrus. – Polubiliśmy się dosyć szybko – dodaje. – A potem przyszedł taki etap, że ona rzeczywiście wiedziała, że może się oddać pod moją opiekę, że jakby co, to ja ją podniosę, przytrzymam i wszędzie dotrzemy. Najbardziej polegała na pomocy wnuka, Michała, czyli Misia. Ja otrzymałem zaszczytny tytuł wicemisia. Stefania co prawda do końca dbała o to, żeby nie robić sobą kłopotu, sama, nawet o kuli, chciała dotrzeć do sklepu, mówiła: „Jak odłożę kulę i się położę, to już nie wstanę". Ale na spotkaniach, na które jeździliśmy dużo, wiedziała, że ma we mnie oparcie, nawet takie dosłowne.

Opowieść Artura Andrusa jest ciepła i pełna wdzięczności – to jedno z tych wspomnień, w którym bez trudu można dostrzec człowieka i dzięki któremu rozumie się znacznie więcej.

– Przeżyłem dwa zawodowe powroty do życia: Marysi Czubaszek i właśnie Stefanii. Kiedy ludzie zobaczyli, że ona może jeździć po Polsce, brać udział w spotkaniach w bibliotekach, to zaczęli ją zapraszać. I to było fenomenalne. To był czas, w którym pisała z Beatą Kęczkowską króciutkie felietony do „Gazety Stołecznej", pojawiała się w radiu, w telewizji. Na spotkaniach opowiadała, czytała teksty, publiczność świetnie na nią reagowała. Także wtedy, gdy miała już dziewięćdziesiąt trzy lata. Moją rolą było tylko wyprowadzić ją z dygresji, w które często wpadała. Poza tym radziła sobie świetnie. Pamiętam, jechaliśmy do Katowic, cztery godziny w jedną stronę, dwie godziny spotkania, powrót, a ona cały czas gadała, gadała, gadała. Była niezwykła. Nic nudnego w niej nie było, naprawdę. To nie była nudna osoba. Czuło się, że to była bardzo barwna i kolorowa postać. Ktoś, kto miał niebanalne życie.

– Bardzo lubiła się spotykać z ludźmi i zawsze zwracało moją uwagę to, jak wchodziła na scenę. Wchodziła jak aktorka, wyprostowana, nawet jeśli o kuli. Wiedziała doskonale, gdzie jest granica, którą się przekracza, za którą zaczyna się scena. Kiedyś trafiliśmy do biblioteki imienia Broniewskiego, a był to czas, w którym Władysław Broniewski był uważany głównie za komunistycznego poetę i likwidowało się ulice jego imienia. Pamiętam, że właśnie od tego zaczęła to spotkanie. Mówiła, jak się cieszy, że jest w bibliotece imienia Broniewskiego, bo to dla niej bardzo ważna postać, jeździła z nim we wspólne trasy.

– Pamiętam też, że była bardzo związana z plebiscytem Mistrz Mowy Polskiej. To było dla niej ważne nie tylko dlatego, że sama ten tytuł dostała w 2001 roku, ale cieszyła się, że coś takiego w ogóle powstało, że zwraca się uwagę na język. Dla mnie to było tym bardziej wzruszające, bo wiem, że mnie również nominowała do tego tytułu, jako laureatka. Byłem nominowany dwa razy, za pierwszym nie dostałem tytułu, ale przyszedł do mnie w roku jej śmierci i to było dla mnie też jakieś metafizyczne przeżycie. Też,

bo po jej śmierci okazało się, że zostawiła mi swoją statuetkę. Tak że mam teraz dwie statuetki, swoją i jej, ale ta jej jest ważniejsza.

– W chwilach kłopotów finansowych ucinała krótko: „Ale o czym ja mówię, przecież wojna była, na co ja będę narzekać?". „Przecież wojna była", i to natychmiast kończyło jakiekolwiek narzekania, zastanawiania się, że jest trudno. Ale myślę, że ona nie uważała za stosowne, żeby wracać do czasów wojennych. Getto nigdy się nie pojawiło w naszej rozmowie. Ja też nigdy o to nie zapytałem.

– Lubiła używać określenia „bratnia dusza". Początkowo miałem do niego dystans, no bo jak to, taka postać, różnica wieku. Kiedy pierwszy raz do niej przyszedłem, to oczywiście z kwiatami. I pewnie byłem bardzo zestresowany. Ale ona szybko pokazywała, myślę, nam wszystkim, którzy byliśmy blisko, z którymi chciała mieć kontakt, że chce, żeby był on normalny, ludzki. To było takie mrugnięcie okiem, żeby już dobra, już ta pierwsza dama polskiej satyry to nie ona, nie teraz. Zresztą ten tytuł ją śmieszył. Pamiętam, jak na jubileusz Wojtka Młynarskiego, którego uwielbiała, napisała dla niego laurkę, którą zakończyła słowami: „Panie Wojtku, jest pan dla mnie pierwszą damą polskiej satyry". Chętnie z tej własnej roli żartowała. Stefania nie była „panią profesor", nie nauczała, nie groziła palcem, nie powtarzała, że tak wolno mówić, a tak nie.

– Lubiła jeździć do Skolimowa, odwiedzać znajomych. Parę razy ją tam zawiozłem i zawsze wracała zachrypnięta. Mówi mi: „Słuchaj, oni wszyscy mają aparaty słuchowe, ale nikt ich nie nosi". Uwielbiała tam jeździć. Sądzę, że myślała, że kiedyś tam trafi. Zawsze miała do obejścia parę pokoi. Zawsze też była przejęta wizytami u swojego przyjaciela tancerza. Sam mam przed oczami taki obrazek, kiedy ten wielki artysta siedzi na wózku przed swoim pokojem i widać, że chce, żeby ktoś przechodzący korytarzem zamienił z nim chociaż słowo. A to słowo to był żal, że zmarła jego mama, zmarł jego przyjaciel, że już jest na świecie sam. Stefania zawsze go odwiedzała. Ona była bardzo wrażliwa na podejście do

osób nieheteronormatywnych. W 2008 roku dostała Nagrodę Hiacynt, przyznawaną przez Fundację Równości; i to była dla niej ważna nagroda. Denerwowało ją słowo „tolerancja". Mówiła: „Co to znaczy, że ludzi trzeba tolerować? Oni są dokładnie tacy sami jak ja". Pamiętam, zawsze była tym bardzo przejęta, ilekroć ten temat gdzieś się pojawiał.

Sama zaznaczała, że była przez całe życie „niewątpliwą heteroseksualistką". Bliskie było jej jednak francuskie określenie *l'amitié amoureuse*, oznaczające przyjaźń o zabarwieniu romantycznym. Grodzieńska więź, która łączyła ją z niektórymi przyjaciółkami, określała „«miłosną przyjaźnią», która nie ma nic wspólnego z jakąś praktyczną erotyką, wtedy to się nazywa zupełnie inaczej"[15]. Przyznawała, że w przyjaźni liczy się także wygląd – nie w sensie olśniewającej urody, lecz tej prostej przyjemności, jaką daje patrzenie na kogoś.

Zawsze starała się wyglądać dobrze i to nie zmieniło się po dziewięćdziesiątce. W telewizji ważne były korzystne ujęcia, czasem, kiedy nagranie było realizowane w domu, przychodziła Joanna i szepnęła operatorom czy realizatorom, jak filmować mamę:

– Ale w tym nie było żadnej przesady i nigdy nie było tak, że Stefania, nie wiem, autoryzowała nagrania czy wściekała się o to, że ktoś ją źle pokazał – zauważa Andrus.

Makijaż na co dzień?

– Nie, nie, ale w sytuacjach zawodowych prosiła, żeby ktoś ją pomalował. Nawet jeśli spotkanie odbywało się w domu – dodaje.

Kiedyś Stefania Grodzieńska została zaproszona do Wydawnictwa Muza na nagranie materiału wideo o Marianie Hemarze. Było to przy okazji premiery książki Anny Mieszkowskiej *Ja, kabareciarz* (2005). Krótki zapis miał trafić do jednego z programów telewizyjnych, dlatego w siedzibie wydawnictwa był umówiony operator kamery i... tylko on.

– Zadzwoniliśmy do pani Stefanii przed nagraniem, żeby upewnić się, czy wszystko jasne, potwierdzić, że przyjedzie po

nią taksówka. Ale pani Grodzieńska była doskonale zorganizowaną osobą i w rozmowie też postanowiła się upewnić, czy pamiętamy o tym, że w wydawnictwie powinna być obecna makijażystka, bo inaczej nie wystąpi: musi mieć makijaż – przypomina sobie tę emocjonującą, jak się za chwilę okaże, historię Hanna Mirska-Grudzińska, redaktorka naczelna Wydawnictwa Marginesy, wówczas promotorka książek w Muzie. – Krew odpłynęła nam z twarzy, ale ponieważ byłyśmy profesjonalnymi promotorkami, to szybko podjęłyśmy decyzję, co w tej sytuacji robić. Powiedziałam mojej koleżance, Oli Ławniczak: „Olu, wyglądasz poważniej ode mnie, właściwie wyglądasz na makijażystkę. Lecisz do drogerii i kupujesz wszystko do makijażu, co się tylko da. Będziemy udawać, że jesteś ekspertką. Ja cię zawołam, wejdziesz, pomalujesz ładnie panią Grodzieńską, bo przecież sama się świetnie malujesz". Naprawdę, nie miałyśmy wyjścia, to nie były czasy, w których można było szybko zorganizować specjalistkę od make-upu. Ola kupiła nawet pelerynę, żeby ochronić ubranie pani Stefanii, pamiętam, to była przepiękna suknia w intensywnych kolorach, żółte, duże kwiaty na niebieskim tle. Szczupluteńka, drobniutka, z urzekającymi siwymi włosami zaczesanymi do tyłu w koczek, Stefania Grodzieńska była po prostu zjawiskowa. Paraprofesjonalny makijaż Oli wypadł idealnie. Ale do dzisiaj pamiętam tę pierwszą chwilę, kiedy pani Stefania na nas popatrzyła, i wciąż nie wiem, czy odkryła od razu naszą tajemnicę... Może po prostu nam zaufała, dała szansę, żebyśmy wybrnęły, zagrały tę rolę?

– Pani Stefania otworzyła mi horyzonty literackie, życiowe i światopoglądowe. Wierzyła w ludzką dobroć, inteligencję, poczucie humoru, przyjaźń, miłość. W podstawowe, najważniejsze więzi, które trzeba pielęgnować i w które trzeba wierzyć – wierzyć, że mogą stać się naszym udziałem – mówi Magdalena Zawadzka.

Wiosną 2008 roku Stefania Grodzieńska spadła ze schodów w domu przy Słonecznej. Po upadku okazało się, że miała wylew.



Ulubiona suknia i wisiorek z elementów zegarka dziadka Maksa.
Nie wszystko musi zostać wyjaśnione

Jej stan wymagał opieki, której bliscy nie mogli już udźwignąć sami. Jesienią Stefania trafiła do Domu Artystów Weteranów Scen Polskich w Skolimowie. Tam kontakt z nią odrobinę się polepszył, ale już nigdy nie odzyskała dawnej sprawności. Pamięć okazała się nieprzewidywalna. Skolimów czasami stawał się rosyjskim pensjonatem, a czasami Michał, Joanna i Stefania byli studentami tego samego kierunku, tylko Michał rok niżej, tak to zapamiętał.

W tle przez większość czasu leciał telewizor, pewnego dnia Stefania oglądała z Michałem skoki narciarskie, swego czasu w Polsce sport bardzo ważny. W czasie powtórki w zwolnionym tempie Stefania mówi: „Temu panu to się nie za bardzo spieszy".

Grażyna Barszczewska, która kilkukrotnie odwiedziła Grodzieńską w Skolimowie, zapamiętała, że mimo poważnych luk w pamięci poczucie humoru jej nie opuściło. Były żarty, nawet jeśli za moment przychodziło zdanie: „Wiesz, wczoraj była u mnie moja babcia".

– Starość nie jest piękna – dodaje Katarzyna Pawłowska-Horna, która pamięta chwile ciepłych rozmów, ale też to, że Stefania zupełnie nie rejestrowała tego, że matka Katarzyny, a jej najserdeczniejsza przyjaciółka Elżbieta, nie żyje.

– Zdarzało się, że mnie nie poznawała – mówi Andrus. – Myślała, że jestem lekarzem, na przykład. Ale czasami, kiedy chwilę z nią posiedziałem, nagle sobie przypominała, kim jestem. Ten ostatni etap był bardzo trudny. Przy czym miała tam naprawdę dobrą opiekę. Zresztą wcześniej, kiedy jeździliśmy do Skolimowa odwiedzać jej znajomych, wielokrotnie mówiła, że patrzy na ludzi, którzy opiekują się tymi starymi artystami, i jakoś jej lżej na sercu, bo to nie są przypadkowi ludzie, wiedzą, kim się zajmują. Są uważni. Stefania uświadomiła mi też, że nie ma czegoś takiego w życiu jak wiek. Ona była poza wiekiem. Kiedy ktoś ją odrobinkę poznał, natychmiast przestawał się zastanawiać nad tym, co to znaczy, że ktoś ma osiemdziesiąt czy dziewięćdziesiąt lat. Ale powtarzała, że nie chce dożyć do setki, i dzięki niej zrozumiałem, że w życiu

każdego człowieka może przyjść moment, w którym stwierdzi, że jego życie trwa już wystarczająco długo, że już się nażył. I to nie jest związane z jakąś rozpaczą – myślę, że raczej z tęsknotą za ludźmi, których nie ma. Ona miała świadomość, że przeżyła duże życie. Setka nie byłaby ważna symbolicznie, to nie chodziło o to, że to coś zmienia. Uznała, że jej życie długo trwało.

Nie wszystko musi zostać wyjaśnione, żeby można było już nie oglądać się za siebie.

Co jest ważne z perspektywy końca?

Może mapa, a na niej zarys trasy, dzięki któremu wiadomo, że ktoś naprawdę umiał żyć?

POSŁOWIE

Ta książka ma tajemnicę.

W lutym 1998 roku Stefania Grodzieńska nagrała wywiad dla Survivors of the Shoah Visual History Foundation, którą cztery lata wcześniej założył Steven Spielberg. Instytucja – już od lat działająca pod nazwą USC Shoah Foundation – powstała, by rejestrować świadectwa ocalałych z Holokaustu i świadków Zagłady.

Po zakończeniu nagrywania rozmowy Stefania Grodzieńska podpisała dokument: *Oświadczenie o ograniczeniu publicznego dostępu do wywiadu* (*Declaration Regarding Restriction of Public Access to the Interview*). Jego nazwę i najważniejsze ustalenia poznałam, korespondując z fundacją. Zgodnie z oświadczeniem kopia audiowizualnego wywiadu, przechowywana przez USC Shoah Foundation, pozostaje publicznie niedostępna do 2060 roku.

Dowiedziałam się też, że Grodzieńska otrzymała własną kopię nagrania – bo bez względu na to, czy rozmówcy decydują się udostępnić od razu swoje świadectwo, czy chcą je zastrzec na określony czas, z reguły dostają jego zapis od fundacji.

Sam wywiad nie był tajemnicą absolutną – Stefania Grodzieńska powiedziała o nim swoim bliskim. Jeszcze za życia Grodzieńska zdecydowała się pokazać świadectwo przynajmniej jednej osobie. Kopia nagrania jest w posiadaniu rodziny. Splot okoliczności sprawił, że kopia wywiadu została udostępniona w ograniczonym zakresie badaczom, a materiał stał się dostępny między innymi dla mnie. Specjalnie pomijam szczegóły, bo nikt tu nie zawinił, nie miał złej woli. Status wywiadu, kiedy otrzymałam go do obejrzenia, nie był jasny.

Dokument podpisany przez Stefanię Grodzieńską w 1998 roku nie odpowiadał wprost na pytanie, czy i w jakim zakresie można sięgnąć po informacje z rodzinnej kopii nagrania. Bohaterka tej książki nie pozostawiła też żadnych innych dyspozycji związanych z tym wywiadem, nie wspomniała o nim w testamencie. Uznałam jednak, że zastrzeżenie dotyczące dostępu do świadectwa nie jest tylko kwestią techniczną, problemem dwóch kopii.

Tak stanęłam wobec konfliktu wartości: między szacunkiem dla doświadczenia bohaterki, odpowiedzialnością wobec prawdy historycznej o warszawskim getcie i Zagładzie a decyzją Stefanii Grodzieńskiej o ograniczeniu publicznego dostępu do wywiadu.

Ten konflikt nie wydał mi się łatwy do rozstrzygnięcia. Kosztował mnie wiele i prawdę mówiąc, mierzę się z nim do teraz. Wiedziałam, że jako biografka znalazłam się w sytuacji, z której nie mam prostej drogi wyjścia. Kluczowe było dla mnie stanowisko wnuka i spadkobiercy Stefanii Grodzieńskiej, Michała Jurandota, któremu dziękuję za niemałe zaufanie i wszystkie rozmowy.

Mój dylemat nie sprowadzał się do decyzji o wykorzystaniu lub niewykorzystaniu jednego źródła. Niósł ogrom problemów etycznych i metodologicznych. Nie sposób przecież zatrzeć w sobie czegoś, co się widziało, zapomnieć o wiedzy z wywiadu w czasie zbierania dalszej dokumentacji. Nie sposób wyrzucić z pamięci doświadczenia bohaterki.

Ostatecznie zdecydowałam się przeciąć węzeł gordyjski i rygorystycznie ograniczyć w tekście wykorzystanie informacji z wywiadu. Świadectwo Stefanii Grodzieńskiej nie jest źródłem cytatów ani jakichkolwiek rozbudowanych scen lub wspomnień. Zaczerpnęłam z niego jedynie śladowe informacje – te, które uznałam za kluczowe elementy przekazu pamięci rodzinnej i które korespondowały z tym, co mogły mi powiedzieć osoby bliskie Grodzieńskiej lub inne materiały źródłowe. Warto bowiem pamiętać, że – w jakiejś części – kontekst zastrzeżenia wywiadu zmienił się od 2010 roku. Pewne informacje, których bohaterka tej książki nie

chciała ujawniać za swojego życia, stały się znane. Zmieniła się więc pamięć o niej.

Decyzja, którą podjęłam, wpłynęła na formę tej biografii. Skoro uznałam za wykluczone sięganie po głos bohaterki z zastrzeżonego przez nią świadectwa, musiałam znaleźć własną technikę, by móc opowiedzieć jej życie. Dlatego perspektywy i sposoby prowadzenia narracji zmieniają się w kolejnych rozdziałach. Najsilniej: w częściach wojennych. Szukałam różnych dróg do pokazania doświadczenia Grodzieńskiej, tworząc opowieść wielogłosową, pełną kontekstów, akcentując to, co dzieje się wokół bohaterki. Czasami wymagało to przejścia przez białe plamy, niedopowiedzenia, niejasności, skróty.

Była to żmudna praca, ale uznałam tę metodę za najbardziej uczciwe z rozwiązań, które potrafiłam znaleźć.

Zobaczyłam też znacznie ostrzej to, co Stefania Grodzieńska próbowała przekazać w swoich książkach autobiograficznych i co powtarzała osobom, które ją znały. Ile informacji przeciekało przez ten, jak mogłoby się na pierwszy rzut oka wydawać, mur milczenia o wojnie i getcie. Wreszcie z wdzięcznością przyglądałam się każdemu dokumentowi, wycinkowi, wszystkim skrawkom zapisanych papierów, które ocalały w archiwum Grodzieńskiej, udostępnionym mi przez Beatę Kęczkowską i Michała Jurandota. Ogromnie pomogły mi zapisy rozmów ze Stefanią Grodzieńską, które przekazała mi pani Agata Tuszyńska – bardzo za nie dziękuję.

Jeśli w 2060 roku będę mogła, uzupełnię tę książkę o cytaty, wspomnienia i nieznane nadal informacje pochodzące ze świadectwa Stefanii Grodzieńskiej. Do tego czasu częścią jej biografii będzie także to, czego nie można wciąż opowiedzieć.

PODZIĘKOWANIA

Opowieść się kończy, mam 3200 znaków – czas na podziękowania.

Dziękuję Michałowi Jurandotowi – człowiekowi, bez którego nie mogłabym napisać tej książki. Michał chciał ocalić pamięć o babci, a dla mnie jego szczerość, humor i serdeczność były podporami w czasie pracy. Każdej biografce życzę takich spadkobierców.

Dziękuję Beacie Kęczkowskiej za przekazanie mi dwóch wiklinowych koszy z bezcennymi archiwaliami – no i bułgarskiego pudełka z górskimi pamiątkami. Bez tych materiałów nie zaczęłabym zszywać historii Stefanii Grodzieńskiej. Dzięki też za wszystkie rozmowy i podrzucane tropy.

Dziękuję Katarzynie Pawłowskiej-Hornie, która podzieliła się ze mną historiami tak cennymi, że dzięki nim mogłam napisać o Stefanii Grodzieńskiej i Jerzym Jurandocie jako ludziach z krwi i kości. A mnie, dzięki wizytom u pani Katarzyny, Łódź stała się szczególnie bliska.

Dziękuję wszystkim moim pozostałym rozmówcom: Barbarze Engelking, Grażynie Barszczewskiej, Magdalenie Zawadzkiej, Krystynie Gucewicz, Agnieszce Arnold, Arturowi Andrusowi, Jackowi Kijkowskiemu, Agacie Tuszyńskiej. Każde ze spotkań z Państwem pozwoliło mi zobaczyć coś nowego w bohaterce tej książki, dało mi też energię do działania. Dziękuję za zgodę na wykorzystanie wypowiedzi lub materiałów – i za zaufanie.

Dziękuję mojej wydawczyni, Hannie Mirskiej-Grudzińskiej, za wsparcie w wielu sytuacjach i dyskretną obecność w chwilach, w których stawałam przed wyborem drogi lub szukałam pomysłu

na rozwiązanie któregoś z problemów. Ta książka musiała ukazać się w Marginesach!

Ogromne podziękowania należą się Idzie Świerkockiej, redaktorce *Umiałam żyć*, która wielokrotnie przeszła ze mną przez ten tekst – a było przez co, bo materiał nie dość, że potężny, to jeszcze się przeobrażał, razem z moją podróżą przez życie Stefanii Grodzieńskiej. To była wielka praca.

Dziękuję Klementynie za całą francuską kwerendę i wspólne rozwiązywanie zagadek związanych z losami Eleonory, Miszy i Michela. Dziękuję Aleksowi za tłumaczenia wielu dokumentów dotyczących przodków Stefanii Grodzieńskiej. Sylwia – dziękuję za dyskusje, wsparcie i nasze roztrząsania warsztatowych problemów.

Dziękuję wszystkim osobom, które spotkałam w czasie pracy nad tą książką, które powiedziały mi cokolwiek o Stefanii Grodzieńskiej, były jej historii ciekawe albo po prostu dodały mi otuchy.

Bardzo dziękuję też wszystkim pracownikom i opiekunom archiwów: państwowych, radiowych, telewizyjnych, teatralnych, bibliotecznych. Co tu dużo mówić: bez Państwa pomocy ta książka nie miałaby tak obszernej bibliografii.

Dziękuję moim bliskim: Marysi, mojej Mamie, Tacie, moim braciom, Kubie i Filipowi, i mojej siostrze Magdzie za opiekę, zrozumienie i zawsze największą wiarę we mnie. Marysiu! Dziękuję za Twój optymizm i przypominanie mi, że patrzeć trzeba do przodu, ku przygodzie. Mamo – po Tobie mam to, że nie potrafię się poddać. Całe szczęście.

No i oczywiście ogromnie dziękuję wszystkim osobom, z którymi dowiozłam *Umiałam żyć* do szczęśliwego wydawniczego finału. Przede wszystkim Adamowi Pluszce – za rzetelne prowadzenie i cierpliwość na trudnych odcinkach.

Zmieściłam się. Teraz można się uśmiechnąć – do zobaczenia!

BIBLIOGRAFIA

Archiwalia (dokumenty urzędowe, metryki, akta, archiwa teatralne)

„Deszczowy lipiec". Scenopis: Leonard Buczkowski, Stefania Grodzieńska, Warszawa 1957, sygn. akc. 16856, Zakład Rękopisów Biblioteki Narodowej

Akt urodzenia Abrama Icka Neja, syna Mejera, zespół nr 1753: Akta stanu cywilnego Okręgu Bożniczego w Lublinie, Archiwum Państwowe w Lublinie

Akt urodzenia Eleonory Naj z 1887 roku, Archiwum Państwowe w Kielcach, Oddział w Sandomierzu

Akt urodzenia Michała Grodeńskiego, syna Nochuma i Baszy z Gincburgów z 1887 roku, sygn. 70, nr 19, Archiwum Państwowe w Łodzi

Akt urodzenia Stefanji Niny Grodzieńskiej, córki Michała i Eleonory z domu Neu, Akta stanu cywilnego gminy żydowskiej w Łodzi, sygn. 156, nr 1283a z 1921 roku, Archiwum Państwowe w Łodzi

Akt urodzenia Szoela Mordki Bujanera z 1875 roku, Archiwum Państwowe w Kielcach, Oddział w Sandomierzu

Akta paszportowe: Grodzieńska-Jurandot Stefania, Archiwum Instytutu Pamięci Narodowej w Warszawie, sygn. IPN BU 1005/26879

Akta uczennicy Stefanji Niny Grodzieńskiej z lat 1917–1939, zespół archiwalny Prywatne Gimnazjum i Liceum Żeńskie Janiny Czapczyńskiej w Łodzi, sygn. 132, Archiwum Państwowe w Łodzi

Cholewińska Bronisława, Teczka P. 1063, Archiwum Instytutu Pamięci Narodowej w Warszawie, sygn. IPN BU 392/948

Dokument ślubu Mieczysława Neya i Marii Hercygierówny, Dowody metrykalne stałych mieszkańców m. Łodzi nr domu 543–544 z lat 1903–1931, sygn. 10594, Archiwum Państwowe w Łodzi

Dokumenty biura agenturowo-handlowego z 1928 roku przy ul. Piotrkowskiej 175, właściciel Szoel Mordka Bujaner, zespół Akt miasta Łodzi, Zarząd Miejski w Łodzi, Wydział Przemysłowy, sygn. 131061, Archiwum Państwowe w Łodzi

Dokumenty do rejestru mieszkańców m. Łodzi, komisariat X, nr 2001–3000, sygn. 25643, nr 2418, informacje o Franciszce Bujaner w wyciągu ksiąg

ludności stałej Sandomierza, w wyciągu ksiąg ludności stałej Łodzi, wypis aktu małżeństwa z Szoelem Mordką Bujanerem, Archiwum Państwowe w Łodzi

Dokumenty dotyczące budowy przez Nachuma i Baszę Grodzieńskich kamienicy na rogu ulic Zawadzkiej i Wólczańskiej w Łodzi (dzisiaj Próchnika 18), Archiwum Państwowe w Łodzi, szukajwarchiwach.gov.pl, bit.ly/4dYuOgE, dostęp: 22.03.2026

Dokumenty dotyczące unieważnienia małżeństwa Franciszki Bujaner i Abrama Neja oraz wyciąg z aktu zejścia Abrama Icka Neja, *Dowody metrykalne stałych mieszkańców m. Łodzi nr domu 543–533 z lat 1903–1931*, Archiwum Państwowe w Łodzi

Dokumenty rozwodowe Miszy Volpe i Eleonory Volpe, sygn. F.70, ap.1, b.154, l.65; F.70, ap.1, b.154, l.66; F.70, ap.1, b.154, l.67; F.70, ap.1, b.154, l.68, Kaunas Regional State Archives

Domowa książka meldunkowa. Miejscowość Warszawa. Ulica Poznańska Nr domu 12. Kom. XI P.P. Właściciel domu Adam Tuszyński, Nazwiska Glajchgewicht Jerzy oraz Grodzieńska/Glajchgewicht Stefania, nr hip. 1477B, Archiwum Państwowe w Warszawie

Dowód osobisty wystawiony na nazwisko Stefania Joanna Grabowska, archiwum rodzinne.

Formularze rejestracyjne i formularze dyplomów Michała Grodzieńskiego i Eleonory Ney, Archives administratives et patrimoniales (AAP), Université de Genève

Grodzieńska-Jurandot Stefania, Stołeczny Urząd Spraw Wewnętrznych w Warszawie [1944] 1983–1990, Archiwum Instytutu Pamięci Narodowej w Warszawie, sygn. IPN BU 0224/610

Informacja o Mieczysławie Neyu, Akta miasta Łodzi, Wydział Ewidencji Ludności, [Spis ludności Łodzi] Nawrot – Nicin, sygn. 24910, Archiwum Państwowe w Łodzi

Informacje o Eleonorze Ney i Michale Grodzieńskim na listach studentów i w wykazie dyplomów Uniwersytetu Genewskiego, Archives administratives et patrimoniales (AAP), Université de Genève, unige.ch, bit.ly/4wIkcKd, dostęp: 22.03.2026; unige.ch, bit.ly/42JRCKZ, dostęp: 22.03.2026

Informacje o Franciszce Bujaner i Szoelu Mordce Bujanerze w *Księdze stałej ludności miasta Sandomierza, tom 4, z 1924 roku*, Archiwum Państwowe w Kielcach, Oddział w Sandomierzu

Informacje o grobach Bujanerów i Grodzieńskich na łódzkim cmentarzu żydowskim i wgląd w karty cmentarne – dzięki uprzejmości Fundacji Monumentum Iudaicum Lodzense

Informacje o mieszkańcach adresu Piotrkowska 175, m. 14 w *Księdze kontroli ruchu ludności Łodzi (rejestr osób przybywających do gminy), komisariat X, ks. 1, nr 1-3153 z 1931 r.*, sygn. 25375, s. 153–154, Archiwum Państwowe w Łodzi

Informacje o rodzinie Nej/Naj w *Księdze ludności stałej m. Łodzi guberni piotrkowskiej nr domu 544-552*, sygn. 10092, nr 544, Archiwum Państwowe w Łodzi

Informacje o rodzinie Neü, *Akta miasta Lublina, zespół nr 22*, Archiwum Państwowe w Lublinie

Informacje o rozwodzie Mykolasa Volpe i Eleonory Volpe w 1939 roku, My Heritage, myheritage.pl, bit.ly/4dpbCzn, dostęp: 23.03.2026

Informacje o ślubie Michaela Volpe i Sophie Halpern w 1946 roku, My Heritage, myheritage.pl, bit.ly/4nH4N8Z, dostęp: 23.03.2026

Legitymacja potwierdzająca zatrudnienie w stacji doświadczalnej „Mory", wystawiona na nazwisko Kazimierz Jarczyński, archiwum rodzinne

List Stefanii Grodzieńskiej do Mariana Pankowskiego, 15 marca 1977, sygn. rękopisu: 19442/23, Zakład Rękopisów Biblioteki Narodowej

LitvaksIG (Lithuanian-Jewish Special Interest Group; bit.ly/433KI3l), informacje o Mikhailu Volpe (Lithuania Births, Applications for Passports and Personal IDs, Lithuania Marriages and Divorces) i Eleonorze Volpe (Applications for Passports and Personal IDs, Lithuania Marriages and Divorces)

Małżeństwo Volpe w spisach rezydentów Paryża: Archives de Paris, Recensement de population, 1926, Population de résidence habituelle, 1926, 05, Val de Grâce – D2M8 231 oraz Archives de Paris, Recensement de population, 1931, Population de résidence habituelle, 1931, 05, Val de Grâce – D2M8 375

Materiały do historii Gimnazjum J. Prysewiczówny, zespół Prywatne Gimnazjum i Liceum Żeńskie Janiny Czapczyńskiej w Łodzi, sygn. 10, Archiwum Państwowe w Łodzi

Nazwisko Eleonory Ney w spisach wyborców z 1940/1941 roku, sygn. F.R-292, ap.5, b.12, l.34 a.p; F.R-292, ap.5, b.12, l.35, Kaunas Regional State Archives

Odpis zupełny aktu małżeństwa sporządzonego na nazwiska Stefania Grodzieńska i Jerzy Gleichgewicht, nr 1465011/00/AM/1979/246421, Urząd Stanu Cywilnego m.st. Warszawy, Wydział Archiwalnych Ksiąg Stanu Cywilnego

Paszport Eleonory Ney, sygn. F.66, ap.1, b.15023-1920, Kaunas Regional State Archives

Paszport Mykolasa Volpe, sygn. F.66, ap.1, b.15022-1922, Kaunas Regional State Archives

Podanie o dowód osobisty Stefanii Niny Grodzieńskiej, Podania o dowody osobiste z załącznikami od nr 3401 do 3600, t. 18, Archiwum Państwowe w Łodzi

Poszukiwania informacji o możliwym statusie obywatelskim Eleonory i Mikhaila Volpe we francuskich archiwach: Archives nationales, Service actif des étrangers Paris; notifications des procès-verbaux et des arrestations pour situation irrégulière: registres [289 W 1-2, 290 W 1-33]; Délégation à l'immigration; dossiers de demande d'asile et de titres de séjour [491 W 1-330; 492 W 1-600; 493 W 1-84], dossiers de naturalisation [IA 1-231]; Intérieur ; Archives de la sous-direction des étrangers et des passeports (1925–1970) [F/7/16029-F/7/16126; 1892-1983]; OFPRA (Office français de protection des réfugiés et apatrides) archiwa dot. bezpaństwowców

Poszukiwanie informacji o Eleonorze Ney/Volpe w aktach Luwru i Muzeum Rodina między innymi w zbiorach: Archives nationales, versement 20150497: archives des musées nationaux. Personnel et administration générale (Série O). Gestion du personnel, administration des musées nationaux (20150497/14-20150497/18); Liste et état de personnel (conservateurs, gardiens, restaurateurs); Cotes: 20150497/561933-1939; Commission d'examen d'aptitude physique; Candidatures, demandes d'emploi (20150497/83-20150497/101); Gardiens (20150497/97-20150497/100); Cotes: 20150497/113-20150497/4751793-1986; Dossiers individuels des personnels administratifs et scientifiques des musées nationaux

Programy łódzkich spektakli Teatru Syrena, Archiwum Teatru Syrena w Warszawie

Prywatne Gimnazjum i Liceum Żeńskie Janiny Czapczyńskiej w Łodzi, Rejestracja uczennic z lat 1919–1929, sygn. 76, poz. 883, Archiwum Państwowe w Łodzi

Raport z bazy STAR 1 na hasło „Stefania Grodzieńska", Archiwum Telewizji Polskiej w Warszawie

Raport z bazy STAR 2 na hasło „Stefania Grodzieńska", Archiwum Telewizji Polskiej w Warszawie

Relacje. Jurandot Jerzy, Grodzieńska Stefania, Archiwum Żydowskiego Instytutu Historycznego, sygn. 301/6305, 6311

Spektakle Teatru Syrena grane w Warszawie, ul. Litewska 3 (obecna siedziba), Archiwum Teatru Syrena w Warszawie

Spis ludności Łodzi z lat 1916-1921, karta Szoela Mordki Bujanera, sygn. 24506, s. 287, Archiwum Państwowe w Łodzi

Spis łódzkich premier Teatru Syrena – spektakle grane na scenie przy ul. Traugutta 1, skrzyżowanie z ul. Piotrkowską (sala Grand Hotelu), Archiwum Teatru Syrena w Warszawie

Stefania Grodzieńska w Bazie Archiwa Arolsen – Międzynarodowe Centrum Badania Prześladowań Nazistowskich (wydruki, 19 kart), w tym m.in. *Akta Centralnego Komitetu Żydów Polskich*: *Wykaz alfabetyczny Żydów Polskich* (Warszawa), a także zapisy na listach *Surviving Jews in Lublin* (Nowy Jork) oraz *Register of Jewish Survivors* (Jerozolima), Archiwum Instytutu Pamięci Narodowej w Warszawie

Zgłoszenie prowadzenia biura agenturowo-handlowego przy ul. Piotrkowskiej 175 z 1928 roku, właściciel Szoel Mordka Bujaner, sygn. 131061, Archiwum Państwowe w Łodzi

Archiwa prywatne Stefanii Grodzieńskiej, jej wnuka Michała Jurandota i innych osób (wybrane dokumenty i materiały)

Broszura programowa do spektaklu „Ballada o tamtych dniach", Teatr im. Wandy Siemaszkowej w Rzeszowie, 1971

Grodzieńska Stefania, *Druga na linie*, „Przekrój" 1963, nr 960, wycinek z odręcznymi poprawkami, Archiwum Stefanii Grodzieńskiej w posiadaniu Beaty Kęczkowskiej

–, *Mój pierwszy bal*, maszynopis z odręcznymi notatkami, Archiwum Stefanii Grodzieńskiej w posiadaniu Beaty Kęczkowskiej

Kalendarz terminowy Stefanii Grodzieńskiej, 1945 rok, Archiwum Stefanii Grodzieńskiej w posiadaniu Beaty Kęczkowskiej

Kartki pocztowe, Pamiątki tatrzańskie Stefanii Grodzieńskiej, Archiwum Stefanii Grodzieńskiej w posiadaniu Beaty Kęczkowskiej

List Fryderyka Járosyego do Stefanii Grodzieńskiej i Jerzego Jurandota, Londyn, listopad 1946, Archiwum Stefanii Grodzieńskiej w posiadaniu Beaty Kęczkowskiej

List Fryderyka Járosyego do Stefanii Grodzieńskiej i Jerzego Jurandota, Londyn, 5 maja 1956, Archiwum Stefanii Grodzieńskiej w posiadaniu Beaty Kęczkowskiej

List Fryderyka Járosyego do Stefanii Grodzieńskiej i Jerzego Jurandota, Londyn, 31 stycznia 1959 roku, Archiwum Stefanii Grodzieńskiej w posiadaniu Beaty Kęczkowskiej

List Fryderyka Járosyego do Stefanii Grodzieńskiej i Jerzego Jurandota, Londyn, 22 lutego 1959 roku, Archiwum Stefanii Grodzieńskiej w posiadaniu Beaty Kęczkowskiej

List Fryderyka Járosyego do Stefanii Grodzieńskiej i Jerzego Jurandota, Londyn, 21 marca 1959 roku, Archiwum Stefanii Grodzieńskiej

List Fryderyka Járosyego do Stefanii Grodzieńskiej, 30 października 1958 roku, Archiwum Stefanii Grodzieńskiej w posiadaniu Beaty Kęczkowskiej

List Fryderyka Járosyego do Stefanii Grodzieńskiej, bez daty, z dopiskiem Grodzieńskiej: „Odpowiedź na prezent: własnoręcznie wykonaną laleczkę z całą wyprawą – bielizna, stroje. Stefania", Archiwum Stefanii Grodzieńskiej w posiadaniu Beaty Kęczkowskiej

List Jarosława Iwaszkiewicza do Jerzego Jurandota, Stawisko, 10 lutego 1972 roku, Archiwum Stefanii Grodzieńskiej w posiadaniu Beaty Kęczkowskiej

List od czytelnika z Izraela z wycinkiem z „Haarec", 16 marca 1961 roku, Archiwum Stefanii Grodzieńskiej w posiadaniu Beaty Kęczkowskiej

List Stefanii Grodzieńskiej do Jerzego i Joanny Jurandotów, Paryż, 13 maja 1972 roku, Archiwum Stefanii Grodzieńskiej w posiadaniu Beaty Kęczkowskiej

List Stefanii Grodzieńskiej do Jerzego i Joanny Jurandotów, Paryż, bez daty, Archiwum Stefanii Grodzieńskiej w posiadaniu Beaty Kęczkowskiej

Listy. „Żona", notes, Archiwum Stefanii Grodzieńskiej w posiadaniu Beaty Kęczkowskiej

Liścik Joanny Jurandot do rodziców, bez daty, Archiwum Stefanii Grodzieńskiej w posiadaniu Beaty Kęczkowskiej

Liścik Piotra Kijkowskiego do Stefanii Grodzieńskiej, Gołąbki, Archiwum Stefanii Grodzieńskiej w posiadaniu Beaty Kęczkowskiej

Pismo do Ministra Spraw Wewnętrznych z 30 czerwca 1955 roku, *Pamiątki tatrzańskie Stefanii Grodzieńskiej*, Archiwum Stefanii Grodzieńskiej w posiadaniu Beaty Kęczkowskiej

Pismo z podziękowaniem Obwodowego Komitetu Frontu Narodowego nr 92 do Stefanii Grodzieńskiej-Jurandot z 7 grudnia 1954 roku, Archiwum Stefanii Grodzieńskiej w posiadaniu Beaty Kęczkowskiej

Programy występów Szkoły Gimnastyki i Tańca Artystycznego Ireny Prusickiej, Archiwum prywatne Michała Jurandota

Wywiad Stefanii Grodzieńskiej dla Survivors of the Shoah Visual History Foundation, 1998, kopia rodzinna

Rejestr przejść taternickich Stefanii Grodzieńskiej, *Pamiątki tatrzańskie Stefanii Grodzieńskiej*, Archiwum Stefanii Grodzieńskiej w posiadaniu Beaty Kęczkowskiej

Teczka „Ballada o tamtych dniach", zawierająca wycinki prasowe, korespondencję z teatrami i broszury programowe do spektaklu, Archiwum Stefanii Grodzieńskiej w posiadaniu Beaty Kęczkowskiej

Tekst Jacka Kijkowskiego o Stefanii Grodzieńskiej, udostępniony EP 4 sierpnia 2025 roku

Wiersz Jerzego Jurandota do Stefanii Grodzieńskiej, Mory, Archiwum Stefanii Grodzieńskiej w posiadaniu Beaty Kęczkowskiej

Wiersz Stefanii Grodzieńskiej do Jerzego Jurandota, Gołąbki, Archiwum Stefanii Grodzieńskiej w posiadaniu Beaty Kęczkowskiej

Wierszyk na urodziny Gabriela Kijkowskiego, Gołąbki, Archiwum Stefanii Grodzieńskiej w posiadaniu Beaty Kęczkowskiej

Zaproszenie dla Jerzego Jurandota na śniadanie wydane z okazji 75-lecia urodzin Jarosława Iwaszkiewicza, Warszawa, 24 lutego 1969 roku, Archiwum Stefanii Grodzieńskiej w posiadaniu Beaty Kęczkowskiej

Zaproszenie na otwarcie wystawy poświęconej Jarosławowi Iwaszkiewiczowi w Muzeum Literatury w Warszawie, 18 lutego 1974 roku, Archiwum Stefanii Grodzieńskiej w posiadaniu Beaty Kęczkowskiej

Zaproszenie w pięćdziesiątą rocznicę ślubu. Anna i Jarosław Iwaszkiewiczowie proszą uprzejmie p. Jerzego Jurandota z Małżonką na podwieczorek w Stawisku, 12 września 1972 roku, Archiwum Stefanii Grodzieńskiej w posiadaniu Beaty Kęczkowskiej

Zdjęcia, Pamiątki tatrzańskie Stefanii Grodzieńskiej, Archiwum Stefanii Grodzieńskiej w posiadaniu Beaty Kęczkowskiej

Programy TV i nagrania wideo z udziałem Stefanii Grodzieńskiej lub jej poświęcone

Czajkowska Barbara, *Muzyka i okolice. Glenn Miller*, program TV, rok produkcji: 1986, Archiwum Telewizji Polskiej

Godzina szczerości. Widowisko artystyczne, prowadzenie Krzysztof Turowski, program TV, emisja: 16.04.1995, Archiwum Telewizji Polskiej

Grodzieńska Stefania, *Kieszonkowa tragedia*, teatr TV, rok produkcji: 1964, Archiwum Telewizji Polskiej

–, *Szklana niedziela*, kameralno-studyjne widowisko sceniczne, rok produkcji: 1966, Archiwum Telewizji Polskiej

Horodniczy Janusz (scenariusz i reżyseria), Wojciechowski Krzysztof (scenariusz i reżyseria), *Gwiazdy tamtych lat: Stefania Grodzieńska*, dokument TV, emisja: 23.02.1999, Archiwum Telewizji Polskiej

Jagielski Wojciech (scenariusz i prowadzenie), Chmiel Maciej (reżyseria), *Wieczór z Jagielskim*, program TV, emisja: 29.05.2001, Archiwum Telewizji Polskiej

Jantos Henryk, *Młodziutka staruszka*, program TV, rok produkcji: 2008, Archiwum Telewizji Polskiej

Kaczoń Anna (realizacja), Kęsicki Bogdan (zdjęcia), *Wspomnienia teatralne Stefanii Grodzieńskiej*, program TV, rok produkcji: 1987, Archiwum Telewizji Polskiej

Ładnych parę lat życia, program TV z wywiadem Moniki Jóźwik, emisja: 10.09.2004, Archiwum Telewizji Polskiej

Miroszowa Halina (scenariusz i realizacja), *Mój mały świat... – Stefania Grodzieńska*, program TV, emisja: 2.11.1994, Archiwum Telewizji Polskiej

Notacje – Stefania Grodzieńska, program TV, emisja: 7.12.2007, Archiwum Telewizji Polskiej

Nowińska Jolanta (scenariusz i realizacja), *Mój ślad w telewizji – Stefania Grodzieńska*, program TV, emisja: 9.04.2002, Archiwum Telewizji Polskiej

Pegaz: Wawrzyniec Żuławski, program TV, emisja: 23.08.1987, Archiwum Telewizji Polskiej

Sobol Katarzyna (realizacja i scenariusz), *Wspomnienie o Jerzym Jurandocie*, cz. 1, film TV, emisja: 1.01.1998, Archiwum Telewizji Polskiej

–, *Wspomnienie o Jerzym Jurandocie*, cz. 2, film TV, emisja: 2.01.1998, Archiwum Telewizji Polskiej

Umer Magda, *Ich pierwsze miłości: Stefania Grodzieńska*, program TV, emisja: 2.03.1999, Archiwum Telewizji Polskiej

Audycje radiowe z udziałem Stefanii Grodzieńskiej lub jej poświęcone

Andrus Artur, *Ludzie radosnej piosenki: Stefania Grodzieńska (część 1)*, audycja radiowa, emisja: 11.09.1994, Archiwum Polskiego Radia

–, *Ludzie radosnej piosenki: Stefania Grodzieńska (część 2)*, audycja radiowa, emisja: 25.09.1994, Archiwum Polskiego Radia

Chabros Tadeusz, *Kawiarnia pod Koziołkiem*, audycja radiowa, Radio Lublin, emisja: 19.11.1959, Archiwum Polskiego Radia Lublin

Czajkowski Bogusław, *Polskie Radio Lublin 1944*, audycja radiowa [materiał roboczy], nagranie: 1974, Archiwum Polskiego Radia

Dzięgielewska Barbara (opracowanie), Grządziela Janusz (realizacja), *Goście muzycznej jedynki: Stefania Grodzieńska (część 1)*, audycja radiowa, emisja: 12.11.1993, Archiwum Polskiego Radia

Dzięgielewska Barbara (opracowanie), Kamińska Łucja (realizacja), *Goście muzycznej jedynki: Stefania Grodzieńska (część 5)*, audycja radiowa, emisja: 18.03.1994, Archiwum Polskiego Radia

Dzięgielewska Barbara (opracowanie), Wojtulanis Magdalena (realizacja), *Goście muzycznej jedynki: Stefania Grodzieńska (część 3)*, audycja radiowa, emisja: 14.01.1994, Archiwum Polskiego Radia

Dzięgielewska Barbara (opracowanie), Złomski Andrzej (realizacja), *Goście muzycznej jedynki: Stefania Grodzieńska (część 2)*, audycja radiowa, emisja: 10.12.1993, Archiwum Polskiego Radia

Dzięgielewska Barbara (opracowanie), Złomski Andrzej (realizacja), *Goście muzycznej jedynki: Stefania Grodzieńska (część 4)*, audycja radiowa, emisja: 11.02.1994, Archiwum Polskiego Radia
Fornal Stanisław (autor audycji), Kanadys Wojciech (realizacja), *Kiedy mówiła „Pszczółka"*, audycja radiowa, emisja: 16.10.1982, Archiwum Polskiego Radia
Fornal Stanisław, *„Pszczółka" nasza antenatka*, audycja radiowa, Radio Lublin, emisja: 1.08.1987, Archiwum Polskiego Radia Lublin
–, *Profesje i pasje pani Stefanii*, audycja radiowa, emisja: 9.10.1994, Archiwum Polskiego Radia Lublin
Grębacka Barbara, *Diamentowy mikrofon Stefanii Grodzieńskiej*, audycja radiowa, emisja: 3.02.1995, Archiwum Polskiego Radia
Grębecka Barbara (autorka audycji), Walewicz Agnieszka (realizacja), *Już nic nie muszę – świąteczne spotkanie ze Stefanią Grodzieńską*, audycja radiowa, emisja: 23.03.2008, Archiwum Polskiego Radia
Grodzieńska Stefania (autorka tekstu), Szewczak Renata (realizacja), Szopska Halina (autorka audycji), *Ludzie radia: Stefania Grodzieńska*, audycja radiowa, emisja: 2.12.2000, Archiwum Polskiego Radia
Grodzieńska Stefania (tekst), Pruski Andrzej (realizacja), Piasecki Jan (opracowanie), *Lubelskie dni – proszę mówić, słuchamy*, audycja radiowa, emisja: 20.07.1974, Archiwum Polskiego Radia w Warszawie
Jankowska Katarzyna, *Naukowy zawrót głowy: Wspomnienia Stefanii Grodzieńskiej i Jerzego Jurandota*, audycja radiowa, emisja: 16.02.2015, Archiwum Polskiego Radia
Janowicz Lechosław, *25-lecie redakcji „Na warszawskiej fali"*, audycja radiowa, emisja: 4.09.1977, Archiwum Polskiego Radia
Jurandot Jerzy (tekst), Grodzieńska Stefania (tekst), Malesa Witold (opracowanie), *Zapiski ze współczesności: Stefania Grodzieńska*, audycja radiowa, emisja: 11.03.1996–15.03.1996, Archiwum Polskiego Radia
Kotowicz Krystyna, Jurkiewicz Barbara, *Lublin słowem malowany. Wywiad z uczestnikami I Zjazdu Związku Literatów Polskich*, audycja radiowa, emisja: 6.09.1974, Archiwum Polskiego Radia Lublin
Kotowicz Krystyna, *Po prostu Grodzieńska*, audycja radiowa, Radio Lublin, emisja: 1.04.2002, Archiwum Polskiego Radia Lublin
–, *Ze wspomnień Stefanii Grodzieńskiej*, audycja radiowa, Radio Lublin, emisja: 10.08.1984, Archiwum Polskiego Radia Lublin
Malesa Witold (autor audycji), Złomski Andrzej (realizacja), Grodzieńska Stefania (autorka tekstu), *Kawałki Stefanii Grodzieńskiej*, audycja radiowa, emisja: 29.04.2001, Archiwum Polskiego Radia

Marczyk Wojciech, *Poznajmy się: Spotkanie ze Stefanią Grodzieńską*, audycja radiowa, emisja: 10.11.1985, Archiwum Polskiego Radia
Michalska Kinga, *Rozmowy po zmroku: Stefania Grodzieńska*, audycja radiowa, emisja: 14.05.2020, Archiwum Polskiego Radia
Retmaniak Anna, *Kulturalny wieczór z Jedynką: Gdy zgasną światła rampy – Stefania Grodzieńska*, audycja radiowa, emisja: 28.11.2011, Archiwum Polskiego Radia
Rotter Iwona (autorka audycji), Grodzieńska Stefania (autorka tekstu), *Prywatnie u Stefanii Grodzieńskiej*, audycja radiowa, emisja: 30.04.1989, Archiwum Polskiego Radia
Szczęsna Mili, *Ich warto poznać: Stefania Grodzieńska i Jerzy Jurandot*, audycja radiowa, emisja: 8.07.1964, Archiwum Polskiego Radia
Szopska Halina, *Prywatnie u Stefanii Grodzieńskiej*, audycja radiowa, emisja: 10.01.1988, Archiwum Polskiego Radia
Tłuczkiewicz Tadeusz, *Wspomnienia Stefanii Grodzieńskiej*, audycja radiowa, data nagrania: 22.07.1985, Archiwum Polskiego Radia Lublin
W stołecznym Lublinie, audycja radiowa, data nagrania: 6.11.1959, Archiwum Polskiego Radia Lublin
Wielowieyska Grażyna, *Podróże sentymentalne: Stefania Grodzieńska*, audycja radiowa, emisja: 20.10.1991, Archiwum Polskiego Radia
Wróblewski Andrzej, Żabicka Maria, *Monografie: Stefania Grodzieńska*, audycja radiowa, emisja: 8.09.1985, Archiwum Polskiego Radia
Zdanowski Andrzej, Janicki Jerzy, Kudelski Andrzej, Zadrowski Witold, *Parnasik*, audycja radiowa, emisja: 16.11.1959, Archiwum Polskiego Radia
Zdanowski Andrzej, Kudelski Andrzej, Janicki Jerzy, Orliński Jan (realizacja), *Małżeński Parnasik*, audycja radiowa, data nagrania: 16.05.1958, Archiwum Polskiego Radia

Książki Stefanii Grodzieńskiej

Grodzieńska Stefania, *Dzionek satyryka*, Warszawa 1953
–, *Felietony i humoreski*, Warszawa 1955
–, *Jestem niepoważna*, Warszawa 1994
–, *Już nic nie muszę. W ścisłej współpracy z Beatą Kęczkowską*, Łódź 2000
–, *Kawałki męskie, żeńskie i nijakie. W serdecznej współpracy z Beatą Kęczkowską i Joanną Jurandot-Nawrocką*, Łódź 2001
–, *Kieszonkowe tragedie*, Warszawa 1958
–, *Kłania się PRL*, Michałów-Grabina 2008
–, *Nie ma z czego się śmiać*, współpraca autorska Joanna Jurandot-Nawrocka, Michałów-Grabina 2007

–, *Plagi i plażki*, Warszawa 1951
–, *Rozmówki. Ilustrowała Ha-Ga*, Poznań 1949
–, *Spotkanie ze mną*, Warszawa 1966
–, *Urodził go „Niebieski Ptak"*, Łódź 1999
–, *Wspomnienia chałturzystki. Uzupełnione prologiem, słowem przedwstępnym, słowem wstępnym do antysłowa wstępnego i antysłowem wstępnym*, Łódź 1999
–, *Żabka oraz Kieszonkowe tragedie*, Warszawa 1961
Grodzieńska Stefania, Jerzy Jurandot, *Ballada o tamtych dniach*, Warszawa 1969
–, *Ni psy, ni wydry, czyli wcześni my*, Warszawa 1990
Jurandot Jerzy, Grodzieńska Stefania, *Miasto skazanych. 2 lata w warszawskim getcie. Dzieci getta*, autorska koncepcja dzieła: Agnieszka Arnold, Warszawa 2014
Ney Stefania, *Dzieci getta*, rysunki Roman Kramsztyk, przedmowa Maria Dąbrowska, Warszawa 1947

Wybrane wywiady i materiały w prasie na temat Stefanii Grodzieńskiej

8 razy dieta, „Uroda" 1959, październik – na podstawie wycinka z Archiwum Stefanii Grodzieńskiej w posiadaniu Beaty Kęczkowskiej
Błyskawiczna ankieta. Tylko jedno pytanie, „Express Wieczorny", 27 grudnia 1964
Brzechwa Jan, *Obserwatorium bywalca. Dla kobiet i kobieciarzy*, „Przyjaciółka" 1966, nr 27
Budkiewicz Jan, *Chciałoby się czegoś więcej*, „Głos Pracy" 1958, nr 48
Dobry wieczór! Dziś pozdrawia Was Stefania Grodzieńska, „Wieczór", 18 grudnia 1960
Fogiel Lucjan, *Nasz fotoreporter u S. Grodzieńskiej i J. Jurandota*, „Życie Warszawy" 1958, nr 37
Grodzieńska Stefania, *Mój program wyborczy*, „Express Wieczorny", 2 listopada 1954
„Ja i Ty". Grodzieńska kręci film w Czechosłowacji, „Express Wieczorny" 1957, nr 43
Jackiewicz Aleksander, *Przyjemny, chociaż deszczowy lipiec*, „Trybuna Ludu", 26 lutego 1958
Janicki Stanisław, *Wesoły i smutny, czyli „Deszczowy lipiec"*, „Żołnierz Wolności" 1958, nr 49
Jurandot i Grodzieńska. Rozmawiamy z „satyrycznym małżeństwem", „Ilustrowany Kurier Polski" 1957, nr 156

Łodygowski Aleksander, *Listy do redakcji: Wspomnienia czy... złudzenia*, „Polityka" 1963, nr 25
Łubaszewska Irena, *Jak Arab mówił... po polsku. Opowiada po powrocie Stefania Grodzieńska*, „Express Wieczorny", 26 lutego 1958
Mówi kibic: Pierwsza kobieta w naszej rubryce, „Przegląd Sportowy" 1957, nr 185
Odpowiedź Stefanii Grodzieńskiej, „Odra" 1961, nr 9
Przed kamerą telewizyjną, „Radio i Sztuka" 1956, nr 43
„Różowy sweter" w ZSRR, „Sztandar Młodych" 1960, nr 288
Różycka Krystyna, *Kobieta w „Kobiecie": Stefania Grodzieńska*, „Kobieta i Życie" 1960, nr 34
Rutkowska Jadwiga, *Stefania Grodzieńska, Jerzy Jurandot*, „Ty i Ja. Magazyn Ilustrowany" 1965, nr 9
Stefania Grodzieńska o Pradze, „Nowa Czechosłowacja" 1955, nr 12
Stefania Grodzieńska: wyścigi samochodowe, Moje największe tegoroczne przeżycie sportowe, „Sportowiec" 1955, numer świąteczny – na podstawie wycinka z Archiwum Stefanii Grodzieńskiej w posiadaniu Beaty Kęczkowskiej
Sylwetki tancerek: Stefania Grodzieńska (autor H.L.), „Sztuka i film" 1937, nr i s. nieustalone, Archiwum Stefanii Grodzieńskiej
Taniec jako przejaw radości życia, „Kino" 1937, nr 15
Tel-Aviv–Warszawa. Telefoniczny wywiad „Expressu" ze Stefanią Grodzieńską, „Express Wieczorny", 8 lutego 1958
Top o Janie B., „Przekrój", 20 czerwca 1965
W rytmie deszczu, „Głos Robotniczy" 1958, nr 55
„Wspomnienia chałturzystki" są autentyczne, „Sztandar Młodych", bez daty, Archiwum Stefanii Grodzieńskiej
Zapert Zbigniew, *Lato w Warszawie: Stefania Grodzieńska podlewa... kwiatki, a Jerzy Jurandot odrabia zaległości w lekturze czasopism*, „Express", 6 sierpnia 1960

Wybrane teksty Stefanii Grodzieńskiej, ukazujące się w prasie

Czytelnicy współpracują, „Żona", 1 stycznia 1995
Drodzy Czytelnicy!, „Żona. Dwutygodnik Stefanii Grodzieńskiej", 26 lutego 1955
G. St., *Gdzie jest ul. Narutowicza*, „Robotnik", 8 grudnia 1944
Gr. St., *Zaradna*, „Robotnik", 20 grudnia 1944
Grabowska St., *„Pan pozwoli ognia"*, „Robotnik", 10 grudnia 1944
Grodzieńska Stefania, *Druga na linie*, „Przekrój" 1963, nr 960
–, *Katar*, „Szpilki" 1945, nr 28

–, *Klopsówna*, „Szpilki" 1945, nr 16
–, *Męki popularności*, „Przekrój" 1950, nr 272
–, *Norymberga*, „Szpilki" 1945, nr 42
–, *Nuda*, „Szpilki" 1945, nr 23
–, *Tragedia astralna, z cyklu: „Któż tego nie zna"*, „Przekrój" 1948, nr 183
Kącik małżeński, „Żona", 12 lutego 1955
Rozstrzygnięcie „konkursu dla trzeźwych", „Żona", 9 lipca 1955

Rozmowy

Rozmowa z Agnieszką Arnold (EP), 8 lutego 2024
Rozmowa z Arturem Andrusem (EP), 22 stycznia 2024
Rozmowa z Beatą Kęczkowską (EP), 3 października 2025
Rozmowa z Grażyną Barszczewską (EP), 31 marca 2025
Rozmowa z Jackiem Kijkowskim (EP), 4 sierpnia 2025
Rozmowa z Katarzyną Pawłowską-Horną (EP), 26 stycznia 2024
Rozmowa z Krystyną Gucewicz (EP), 9 lutego 2025
Rozmowa z Magdaleną Zawadzką (EP), 5 marca 2025
Rozmowa z Michałem Jurandotem (EP), 14 kwietnia 2025
Rozmowa z prof. Barbarą Engelking (EP), 18 grudnia 2024
Zapis rozmów Stefanii Grodzieńskiej z Agatą Tuszyńską z 30 października 2000 i 5 stycznia 2008 [nie do publikacji, przekazany EP 9 stycznia 2025]

Pozostałe publikacje książkowe, artykuły naukowe, prasowe i internetowe

„Archives internationales de la danse" 1933, nr 1, mediatheque.cnd.fr, bit.ly/4gEwei7, dostęp: 27.03.2026
„Dziennik Łódzki", 18 maja 1946
„Gazeta Żydowska" 1941–1942. Numery z rocznika II (1941): 34, 48, 49, 58, 65, 72, 76, 91, 94 i numery z rocznika III (1942): 3, 10, 13, 28, 39, 43, 49, 73, 75, 84
„Monitor Polski. Dziennik Urzędowy Rzeczypospolitej Polskiej", 25 lipca 1933 roku
„Wieczór Warszawski", 31 sierpnia 1939
1 sierpnia w Otwocku, Otwock-history, facebook.com, bit.ly/4v2nnL5, dostęp: 16.04.2026
100 lat temu rozpoczęła się historia łódzkiej kanalizacji, ZWIK Łódź, 15 stycznia 2024, zwik.lodz.pl, bit.ly/4wIkCjL, dostęp: 25.03.2026
1945. Nie koniec, nie początek, wystawa Anny Bikont w Muzeum Historii Żydów Polskich POLIN, 2025

3 Grandes Épreuves Internationales de Danses Artistiques, Théâtre des Champs-Élysées, programme, 2–4 juillet 1932, Paris, „Archives internationales de la danse", 1932, gallica.bnf.fr, bit.ly/3RqrRga, dostęp: 27.03.2026
70. rocznica likwidacji Hotelu Polskiego, Żydowski Instytut Historyczny, jhi.pl, bit.ly/3PSNK7u, dostęp: 9.04.2026
Aktorzy i literaci udają się w podróż po Polsce, Polska Kronika Filmowa 28/48, Repozytorium Cyfrowe Filmoteki Narodowej, fn.org.pl, bit.ly/4wIOVJ3, dostęp: 17.04.2026
Archiwum Ringelbluma, Żydowski Instytut Historyczny, jhi.pl, bit.ly/3PEdrbR, dostęp: 3.04.2026
Archiwum Ringelbluma. Antologia, oprac. Marta Janczewska, Jacek Leociak, Wrocław 2020
Archiwum Ringelbluma. Konspiracyjne Archiwum Getta Warszawy, t. 26, oprac. Agnieszka Żółkiewska, Marek Tuszewicki, Warszawa 2017
Berg Mary, *Pamiętnik Mary Berg. Relacja o dorastaniu w warszawskim getcie*, przeł. Adam Tuz, Warszawa 2007
Bikont Anna, Kijek Kamil, *1945. Nie koniec, nie początek*, Warszawa 2025
—, *Nie koniec, nie początek. Powojenne wybory polskich Żydów*, Wołowiec 2025
Borszyńska Sylwana, *Życie kobiet w Łodzi 1908–1914*, Łódź 2023
Bożyk Izabela, *Funkcjonowanie i kadry Miejskiego Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego w Kielcach (1945–1946)*, „Studia Muzealno-Historyczne" 2024, t. 16, mhki.kielce.eu, bit.ly/4ur5HJu, dostęp: 16.04.2026
Brak skóry i jej marnotrastwo, „Głos Wielkopolski", 10 listopada 1946
Brawer Jacob, Amir Ori, *Mapping the 'funny bone': neuroanatomical correlates of humor creativity in professional comedians*, „Social Cognitive and Affective Neuroscience" 2021, nr 16 (9), academic.oup.com, bit.ly/4tMHLiw, dostęp: 16.04.2026
Bujard Eugène, *Allocution du recteur au Dies Academicus le 5 juin 1952*, Université de Genève, Archives administratives et patrimoniales, unige.ch, bit.ly/42KsDqT, dostęp: 31.03.2026
Buszkiewicz Milena, *Inne oblicze horroru. Wywiad z Marcinem Szczygielskim, autorem „Sanato"*, Booklips, booklips.pl, bit.ly/3RDC4uu, dostęp: 29.03.2026
Chan Yu-Chen i in., *Amygdala-frontoparietal effective connectivity in creativity and humor processing*, „Human Brain Mapping" 2023, nr 44 (6), pubmed.ncbi.nlm.nih.gov, bit.ly/4ag7tEX, dostęp: 16.04.2026
Charlottengrad, berlin.de, bit.ly/4wDmkmx, dostęp: 24.03.2026

Chmielewska Lucyna, *Kulturalny Lublin, czyli o działalności Resortu Kultury i Sztuki* PKWN *pod kierownictwem Wincentego Rzymowskiego*, „Dzieje najnowsze" 2003, nr 4, rocznik XXXV
Choroba głodowa. Badania kliniczne nad głodem wykonane w getcie warszawskim z roku 1942, red. Emil Apfelbaum, Warszawa 1946
Czocher Anna, *Dekret sierpniowy i sąsiedzkie porachunki. Przykłady wnoszonych spraw z terenu Małopolski*, „Prace Historyczne" 2025, nr 3
Ciarkowski Błażej, *Łódź. Ziemia wymyślona*, Warszawa 2024
Cyrulicza 1 w Lublinie, Ośrodek „Brama Grodzka – Teatr NN", teatrnn.pl, bit.ly/4usXLHF, dostęp: 22.03.2026
Dąbrowska Maria, *Pisma rozproszone*, t. 2: *Rozprawy i polemiki. O pisarzach. O własnej twórczości*, red. i oprac. Ewa Korzeniewska, Kraków 1964
Death March from Auschwitz, Holocaust Encyclopedia, United States Holocaust Memorial Museum, encyclopedia.ushmm.org, bit.ly/4nJ8Ubl, dostęp: 16.04.2026
Death Marches from Auschwitz via Wodzisław Śląski and Gliwice, podcast, Auschwitz-Birkenau. German Nazi Concentration and Extermination Camp (1940–1945), auschwitz.org, bit.ly/3Rk1Pva, dostęp: 16.04.2026
Dhir Shibani i in., *Neurological, Psychiatric, and Biochemical Aspects of Thiamine Deficiency in Children and Adults*, „Frontiers in Psychiatry" 2019, t. 10, https://bit.ly/4xhOeUd, dostęp: 14.09.2026.
Dudek Justyna, *Uposażenie funkcjonariuszy aparatu bezpieczeństwa w latach 1944–1956 – wybrane zagadnienia i problemy*, „Aparat represji w Polsce Ludowej 1944–1989" 2024, nr 22, czasopisma.ipn.gov.pl, bit.ly/4dVzmVc, dostęp: 16.04.2026
Dzięciołowska Karolina, *Janina Rechtleben-Wojciechowska: nie poszła do getta*, Muzeum Historii Żydów Polskich POLIN, Polscy Sprawiedliwi, sprawiedliwi.org.pl, bit.ly/4eVvRix, dostęp: 10.04.2026
Encyklopedia getta warszawskiego, Żydowski Instytut Historyczny, dostęp Delet.jhi.pl w 2025 roku. Obecnie, dostęp: 2.04.2026, strona delet.jhi.pl/pl/encyklopedia jest nieaktywna
Engelking Barbara, Leociak Jacek, *Getto warszawskie. Przewodnik po nieistniejącym mieście*, Warszawa 2013
Fuks Marian, *Polihymnia w getcie warszawskim*, Żydowski Instytut Historyczny, jhi.pl, bit.ly/4v1zKak, dostęp: 9.04.2026
Gary Romain, *Obietnica poranka*, przeł. Jerzy Pański, Warszawa 2004
Gleichgewicht Zofia, w: Internetowa baza danych i mapa getta warszawskiego, Centrum Badań nad Zagładą Żydów, getto.pl, bit.ly/4eWxeJ7, dostęp: 9.04.2026

Gran Wiera, *Sztafeta oszczerców. Autobiografia śpiewaczki*, Paryż: wydane kosztem autorki, 1980
Grodensky Michel, *Le droit sur une chose non physique*, Genève 1919
Grodzieńska Stefania, w: Internetowa baza danych i mapa getta warszawskiego, Centrum Badań nad Zagładą Żydów, getto.pl, bit.ly/43miGA1, dostęp: 9.04.2026
Grodzieńska Stefania, w: *Polscy pisarze i badacze literatury XX i XXI wieku*, Instytut Badań Literackich PAN, pisarzeibadacze.ibl.edu.pl, bit.ly/4v1Jwt0, dostęp: 16.04.2026
Groński Ryszard Marek, *Humorystka*, „Polityka" 2010, nr 19
–, *Proca Dawida. Kabaret w przedsionku piekieł*, Warszawa 2007
–, *Satyryk patrzy na getto*, „Polityka" 2014, nr 21; wersja online: Encyklopedia Teatru, encyklopediateatru.pl, bit.ly/4fzUTUA, dostęp: 9.04.2026
Grünberg Sławomir, *Karski i władcy ludzkości*, 2015 [film]
Gucewicz Krystyna, *Notes Krystyny Gucewicz, czyli Fołtyn w śmietanie*, Warszawa 2018
Gwiazdy, których nie znacie: Zofia Terne, program TV, emisja: 20.06.1996, Archiwum Telewizji Polskiej
Hersonski Yael, *Niedokończony film*, 2010 [film]
Historia Jana Karskiego, Fundacja Edukacyjna Jana Karskiego, jankarski.net, bit.ly/3PwAvcy, dostęp: 13.04.2026
Historia tego Niemcom nie wybaczy. Polskie Radio ograbione ze skarbów, polskieradio.pl, bit.ly/4nNHGKa, dostęp: 16.04.2026
History, The Bolshoi Theatre, bolshoi.ru, bit.ly/4e1z91, dostęp w 2025 roku
International Military Tribunal at Nuremberg, Holocaust Encyclopedia, United States Holocaust Memorial Museum, encyclopedia.ushmm.org, bit.ly/43jgM3c, dostęp: 16.04.2026
Iwanicka Monika, *Azyl. O ulicy Koronacyjnej w Gołąbkach*, „Tłomackie 3/5" 2024, nr 1
Jan Karski i jego czasy – serwis Muzeum Historii Polski poświęcony życiu kuriera Polskiego Państwa Podziemnego, Muzeum Historii Polski, karski.muzhp.pl, bit.ly/4ur7Vsk, dostęp: 13.04.2026
Janicki Kamil, *Przedwojenna Polska w liczbach*, Warszawa 2020
Jastrzębski Jakub i RM, *Kamienica Hersego*, Fundacja Warszawa 1939, warszawa1939.pl, bit.ly/4wJOw7q, dostęp: 30.03.2026
Jerzy Jurandot opowiada „Expressowi" o chemii, prozie, komedii i piosenkach, „Express Wieczorny", 24 marca 1978
Jurandot Jerzy, w: *Internetowa baza danych i mapa getta warszawskiego*, Centrum Badań nad Zagładą Żydów, getto.pl, bit.ly/42QIeVT, dostęp: 9.04.2026

Jurandot Jerzy, *Dzieje śmiechu*, Warszawa 1965
–, *W Chamonix po roku*, „Taternik" 1959, nr 4
Jurandot-Nawrocka Joanna, *Wspomnienie. Ryszard Nawrocki (1940–2001)*, „Gazeta Wyborcza – Poznań" 2011, nr 168; Encyklopedia Teatru, encyklopediateatru.pl, bit.ly/4dCCfZQ, dostęp: 21.04.2026
Kaczmarek Ryszard, *Historia Polski: 1914–1989*, Warszawa 2010
Kalendarzyk-notatnik Marii Rodziewiczówny z 1944 r., sygn. 13 5499/I, Dział Rękopisów Ossolineum
Karski Jan, *Tajne państwo. Opowieść o polskim Podziemiu*, przeł. Grzegorz Siwek, Kraków 2014
–, *Zagadnienie Żydowskie w kraju (1940)*, Jan Karski i jego czasy, karski.muzhp.pl, bit.ly/43rzplq, dostęp: 11.04.2026
Kasperski Wojciech, *Przestępstwa ubezpieczeniowe w międzywojennej Polsce*, „Biuletyn Stowarzyszenia Absolwentów i Przyjaciół Wydziału Prawa Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego" 2016, t. 11, nr 13, ojs.academicon.pl, bit.ly/4uUPNH4, dostęp: 25.03.2026
Kijek Kamil, *Between Ethnic Democracy, Authoritarianism and Violence: Inter-War Experiences and Jewish Socio-Political Stances in Early Post-War Poland*, „Contemporary European History" 2025, t. 34, nr 3
Kowalczyk Janusz R., *Wiera Gran – życie i twórczość*, Culture.pl, bit.ly/465CusO, dostęp: 16.08.2026
Krupa Maciej, Mazik Piotr, Szpilka Kuba, *Nieobecne miasto. Przewodnik po nieznanym Zakopanem*, Wołowiec 2016
Krzywicka Irena, *„Wydźwięk" amerykański*, „Rzeczpospolita", 27 września 1949
Kucharski Szymon i RM, *1. Szpital Okręgowy im. marszałka Józefa Piłsudskiego, Szpital Mokotowski, Mikołajewski Przytułek dla Dzieci Żołnierskich. 6 Sierpnia róg al. Niepodległości*, Fundacja Warszawa 1939, warszawa1939.pl, bit.ly/49iGyYW, dostęp: 31.03.2026
Kucharski Szymon, *1. Szpital Okręgowy im. marszałka Józefa Piłsudskiego Wojskowy Instytut Chirurgii Urazowej. 6 Sierpnia 37*, Fundacja Warszawa 1939, warszawa1939.pl, bit.ly/4wJhrse, dostęp: 31.03.2026
Lanzmann Claude, *Shoah*, 1985 [film]
Lewandowski Rafael, *Bojowniczki! One walczyły w getcie warszawskim*, 2023 [film]
Leyko Małgorzata, *„Tańcz, opowiedz im wszystko…". Losy tancerek żydowskich w czasach Holokaustu*, „Pamiętnik Teatralny" 2024, t. 73, nr 1
Lipiński Eryk, *Pamiętniki*, Warszawa 2016
List Hanny Langner-Matuszczyk z wierszem Jerzego Jurandota „Żołnierzu – panienko", „Pruszkowskie Wieści" 2023, nr 8, mbc.cyfrowemazowsze.pl, bit.ly/4dXyOy4, dostęp: 14.04.2026

Lithuania Internal Passports Database, 1919–1940, JewishGen, JewishGen.org, dostęp: jewishgen.org, bit.ly/3RefPXn dostęp: 30.03.2026
Łódzkie getto – największy obóz pracy niewolniczej, Żydowski Instytut Historyczny, jhi.pl, bit.ly/4nENN3a, dostęp: 9.04.2026
Łódź w Europie. Europa w Łodzi. Ziemia obiecana wczoraj i dziś, wystawa stała Muzeum Miasta Łodzi – Pałac Rodziny Poznańskich
Łódź. Historia społeczności, Wirtualny Sztetl, sztetl.org.pl, bit.ly/4f6i88N, dostęp: 23.03.2026
Majchrowska Anna, *Nad jednym słowem siedzieć całymi dniami. Rozmawiamy z tłumaczami Archiwum Ringelbluma. Część pierwsza*, Żydowski Instytut Historyczny, jhi.pl, bit.ly/42SFgAa, dostęp: 8.04.2026
–, *Zakończenie wielkiej akcji likwidacyjnej w getcie warszawskim*, Żydowski Instytut Historyczny, jhi.pl, bit.ly/4upZZrd, dostęp: 13.04.2026
Majewski Jerzy S., *Królewska 31*, „Gazeta Wyborcza" (Warszawa), 8 stycznia 2004, wyborcza.pl, bit.ly/4ujdKYC, dostęp: 30.03.2026
Majewski Jerzy S., *Szlakiem modernizmu. Warszawa, Poznańska 12. Architektura tła*, Miasta Rytm, miastarytm.pl, bit.ly/3ReK1BE, dostęp: 9.04.2026
Majuk Dominika, *Ludzie lubelskiego radia*, Ośrodek „Brama Grodzka – Teatr NN", teatrnn.pl, bit.ly/4dzktGD, dostęp: 16.04.2026
–, *Radio w Lublinie 1944-1945 – „Pszczółka"*, Ośrodek „Brama Grodzka – Teatr NN", teatrnn.pl, bit.ly/4tT7QMO, dostęp: 16.04.2026
Malec Daniela, *Helena Ostrowska (1902–1944)*, Muzeum Getta Warszawskiego, 1943.pl, bit.ly/4tRq1Tb, dostęp: 13.04.2026
Manifest PKWN z 22 lipca 1944 roku
Marcinkowska Karolina, Puchała Dominik, Bilewicz Michał, Bulska Dominika, Winiewski Mikołaj, Górski Maciej, *Śmiech a Auschwitz, czyli o tym, w jaki sposób psychologia może pomóc zrozumieć łamanie tabu w miejscu pamięci Zagłady*, w: „Teksty Drugie" 2003, nr 5 (*Beletrystyka z Auschwitz*)
Michalska Iwonna, *Życie łódzkich rodzin w czasach kryzysu ekonomicznego lat trzydziestych XX wieku w przekazie gazety „Ilustrowana Republika"*, „Wychowanie w Rodzinie" 2016, t. 14, nr 2, cejsh.icm.edu.pl, bit.ly/49zqIt9, dostęp: 25.03.2026
Mieszkowska Anna, *Biograficzny romans, czyli cuda życia emigranta z wyboru: Fryderyk Járosy (1889–1960) – autor nie napisanych wspomnień z życia wśród polskiej emigracji w Londynie*, „Archiwum Emigracji: studia, szkice, dokumenty" 2009, nr 1
Miłosz Czesław, *Człowiek teatru*, „Tygodnik Powszechny" 2004, nr 20, tygodnikpowszechny.pl, bit.ly/4tRq55n, dostęp: 2.04.2026
Mówię przepraszam, ale nie za siebie – za dziadka, Mirosław Tryczyk w rozmowie z Emilią Padoł, onet.pl, bit.ly/4uotXeZ, dostęp: 21.04.2026

Niemieccy Żydzi w getcie warszawskim, informacja o wykładzie dr Marii Ferenc, Żydowski Instytut Historyczny, jhi.pl, bit.ly/4ujeuwS, dostęp: 9.04.2026
Nojszewska Joanna, *Zawsze była*, „Twój Styl" 2015, nr 2, Encyklopedia Teatru, encyklopediateatru.pl, bit.ly/3PwfqyY, dostęp: 21.04.2026
Nycz Ryszard, *Jak opisać doświadczenie, którego nie ma?*, „Teksty Drugie" 2004, nr 5
O marce, Fundacja Domu Mody Herse, herse.pl, bit.ly/49dUkfg, dostęp: 30.03.2026
On Displaying Violence: First Exhibitions on the Nazi Occupation in Europe 1945–1948, Deutsches Historisches Museum in cooperation with the Documentation Centre „German Occupation of Europe in the Second World War" (ZWBE), Berlin 2025 [wystawa]
Ostrowska Helena, w: Internetowa baza danych i mapa getta warszawskiego, Centrum Badań nad Zagładą Żydów, getto.pl, bit.ly/3RpSwd1, dostęp: 9.04.2026
Ośrodek wypoczynkowy dla pocztowców, Muzeum Poczty i Telekomunikacji w Warszawie, muzeum.wroclaw.pl, bit.ly/4nKrn0w, dostęp: 29.03.2026
Polscy pisarze współcześni. Informator 1944–1970, opracował Lesław M. Bartelski, Warszawa 1972
Padoł Emilia, *Rodziewicz-ówna. Gorąca dusza*, Kraków 2023
Pankowski Marian, *Stefania Grodzieńska, czyli teatr ludzi prawdziwych*, „Oficyna Poetów" 1977, nr 1
Persak Krzysztof, *Historia Jana Karskiego (w świetle najnowszych badań)*, Muzeum Historii Żydów Polskich POLIN, Polscy Sprawiedliwi, sprawiedliwi.org.pl, bit.ly/4v7oYQa, dostęp: 11.04.2026
Pogrom Żydów w Kielcach, Polin, https://bit.ly/4h01Eyc, dostęp: 14.09.2026
Polska Kronika Filmowa 65/43B, 35mm.online, bit.ly/3PwDVfo, dostęp: 15.04.2026
Polska Kronika Filmowa 65/45A, 35mm.online, bit.ly/4nNR05G, dostęp: 15.04.2026
Polska Kronika Filmowa 70/10A, 35mm.online, bit.ly/4a53Kdl, dostęp: 15.04.2026
Prezydent. Aleksander Kwaśniewski w rozmowie z Aleksandrem Kaczorowskim, Kraków 2023
Procesy, Państwowe Muzeum na Majdanku, majdanek.eu, majdanek.eu, bit.ly/4u77yls, dostęp: 22.03.2026
Przeciętne miesięczne wynagrodzenie w gospodarce narodowej w latach 1950–2024, Główny Urząd Statystyczny, stat.gov.pl, bit.ly/4nNL47Q, dostęp: 19.04.2026

Ratcliff Marc, Jaccard Camille, *La Société romande de philosophie de sa création à son institutionnalisation. Interdisciplinarité, fédéralisme et valeurs protestantes*, „Studia Philosophica" 2020, nr 79
Redzik Adam, *Kobiety w adwokaturze – kalendarium*, „Palestra. Pismo adwokatury polskiej", palestra.pl, bit.ly/3PVcewP, dostęp: 22.03.2026
Rochacki Jacek A., *Romuald Rochacki mniej znany*, Muzeum Warszawy, muzeumwarszawy.pl, bit.ly/4f6koNj, dostęp: 9.04.2026
Rodak Wojciech, *Żydzi i mechesi*, Muzeum Getta Warszawskiego, 1943.pl, bit.ly/4tIeIfP, dostęp: 31.03.2026
Rogut Dariusz, *Nieznana historia. Obóz NKWD nr 515 w Północnoosetyjskiej Autonomicznej Socjalistycznej Republice Sowieckiej dla internowanych obywateli polskich (kwiecień–wrzesień 1945 roku)*, „Pamięć i Sprawiedliwość" 2022, nr 2
Rubinstein Leopold, w: *Internetowa baza danych i mapa getta warszawskiego*, Centrum Badań nad Zagładą Żydów, getto.pl, bit.ly/4ut30aj, dostęp: 31.03.2026
Satyrycy czechosłowaccy na Śląsku, „Trybuna Robotnicza", 6 grudnia 1955
Semiccy „bogowie" na polskim Olimpie. Teatry warszawskie były polskie tylko z nazwy, „Nowy Kurier Warszawski" 1939, nr 58, academica.edu.pl, bit.ly/3RSVp6e, dostęp: 11.04.2026
Sesja popularnonaukowa: O badaniach nad chorobą głodową w getcie warszawskim, Polin, bit.ly/4xvbHld, dostęp: 15.09.2026
Sławiński Jerzy, *Kamienica Oppenheimów. Królewska 31*, Fundacja Warszawa 1939, warszawa1939.pl, bit.ly/3RSVvuC, dostęp: 30.03.2026
Słownik współczesnych pisarzy polskich, opracował zespół pod redakcją Ewy Korzeniewskiej, t. 1: A-I, *Bibliografia literatury polskiej „Nowy Korbut"*, Warszawa 1963
Sosnowski Jerzy, *Klub Trójki: O życiu kulturalnym w getcie we wspomnieniach Jurandota*, trojka.polskieradio.pl, bit.ly/4nNLN94, dostęp: 14.04.2026
Spettigue Wendy i in., *The Psychological, Cognitive, and Behavioural Effects of Starvation in Humans: A Scoping Review*, „European Eating Disorders Review" 2025, onlinelibrary.wiley.com, bit.ly/4ul918J, dostęp: 9.04.2026
Spis linii komunikacji miejskiej w 1944 roku w Warszawie, Trasbus.com. Historia warszawskiej komunikacji miejskiej, trasbus.com, bit.ly/43m7qDI, dostęp: 16.04.2026
Spis powszechny trwa, „Ilustrowany Kurier Polski" 1960, nr 294
Stosowność i forma. Jak opowiadać o Zagładzie?, red. Michał Głowiński, Katarzyna Chmielewska, Katarzyna Makaruk, Alina Molisak, Tomasz Żukowski, Kraków 2005

Sulej Karolina, *Manicure na ruinach. Polska moda po II wojnie światowej…*, Culture.pl, https://bit.ly/4cJd6Nm, dostęp 14.09.2026
Swan Lake, The Bolshoi Theatre, volshoi.ru, bit.ly/4fBDPXT, dostęp w 2025 roku
System edukacyjny II RP, Wirtualny Sztetl, sztetl.org.pl, bit.ly/42Kz3X1, dostęp: 25.03.2026
Szczepański Ignacy, *Minio*, 2000 [film]
Szczygielski Marcin, *Sanato*, Warszawa 2014
Szejnert Małgorzata, *Sława i infamia. Rozmowa z prof. Bohdanem Korzeniewskim*, cz. 1, Warszawa 1988, niniwa22.cba.pl, bit.ly/4tR7Htl, dostęp: 2.04.2026
Szkoła Gimnastyki i Tańca Artystycznego Ireny Prusickiej w Łodzi: kurs ogólny (amatorki), kurs kształcący (zawodowy), lekcje zbiorowe i solowe, Biblioteka Narodowa, polona.pl, bit.ly/4fGfWEW, dostęp: 27.03.2026
Szuchta Robert, *1000 lat historii Żydów polskich. Podróż przez wieki*, Warszawa 2015, polin.pl, bit.ly/4tIfAB7, dostęp: 21.04.2026
Szumiło Mirosław, *„Żydokomuna" w aparacie władzy „Polski Ludowej". Mit czy rzeczywistość?*, „Pamięć i Sprawiedliwość" 2018, nr 2
Szumiło Mirosław, *Kobiety jako „szare eminencje" w komunistycznej elicie władzy w Polsce*, „Res Historica" 2018, nr 45
Szwagrzyk Krzysztof, *Żydzi w kierownictwie UB. Stereotyp czy rzeczywistość?*, „Biuletyn Instytutu Pamięci Narodowej" 2005, nr 11
Teatr Wojska Polskiego (Lublin), w: *Encyklopedia Teatru Polskiego*, „Pamiętnik Teatralny" 1991, nr 3–4
Ten jest z ojczyzny mojej. Polacy z pomocą Żydom 1939–1945, oprac. Władysław Bartoszewski i Zofia Lewinówna, Kraków 1969
The Kielce Pogrom: A Blood Libel Massacre of Holocaust Survivors, Holocaust Encyclopedia, United States Holocaust Memorial Museum, encyclopedia.ushmm.org, bit.ly/4a4blsC, dostęp: 16.04.2026
To nie deszcz, to ludzie. Halina Birenbaum w rozmowie z Moniką Tutak-Goll, Warszawa 2019
Tryczyk Mirosław, *Drzazga. Kłamstwa silniejsze niż śmierć*, Kraków 2020
–, *Miasta śmierci. Sąsiedzkie pogromy Żydów*, Warszawa 2015
Turkow Jonas, *Warszawa się bawi…*, Centralna Biblioteka Judaistyczna, jhi.pl, bit.ly/4uUTDzY, dostęp w 2025 roku
Tuszyńska Agata, *Oskarżona: Wiera Gran*, Kraków 2010
Tuwim Julian, *Kwiaty polskie*, Wolne Lektury, wolnelektury.pl, bit.ly/4umfQH9, dostęp: 25.03.2026
Tyszkiewicz Jakub, Czapiewski Edward, *Historia Powszechna. Wiek XX*, Warszawa 2012

Ukniewska Maria, *Strachy. Ze słowem wstępnym Barbary Kosmowskiej*, Warszawa 2016
Ulica Franciszkańska (Franzstrasse), Kronika getta łódzkiego / Litzmannstadt Getto, lodzgetto.pl, bit.ly/3RV3ZBq, dostęp: 9.04.2026
Ulica Piotrkowska 175, piotrkowska-nr.pl, bit.ly/4wK90Sa, dostęp: 25.03.2026
Unikalne warunki życia w getcie łódzkim, Yad Vashem, yadvashem.org, bit.ly/42Phjtv, dostęp: 9.04.2026
Urbanek Mariusz, *Brzechwa nie dla dzieci*, Warszawa 2013
Uśmiech na małym ekranie, wybór i układ Witold Filler, Warszawa 1971
White Anita, *Relacja Wiery Gran dla USC Shoah Foundation*, 1995, Visual History Archive, United States Holocaust Memorial Museum, collections.ushmm.org, bit.ly/4upobH0, dostęp: 27.03.2026
Witkowska-Krych Agnieszka, *Kawiarnia „Sztuka" – Leszno 2* (*Smak gettowego życia 21*), Muzeum Getta Warszawskiego, 1943.pl, bit.ly/4fzjusz, dostęp: 7.04.2026
–, *Smak gettowego życia 13. Kwarantanna – Leszno 109*, Muzeum Getta Warszawskiego, 1943.pl, bit.ly/4WKIT8Z, dostęp: 7.04.2026
–, *Smak gettowego życia 14. Restauracja „Adaś" – Leszno 19*, Muzeum Getta Warszawskiego, 1943.pl, bit.ly/4dIpdKd, dostęp: 11.04.2026
Wołczyńska Małgorzata, *Ciemne miejsca*, *Seria III*, *odc. 6: Sanato. Złoto dla piersiowo chorych*, podcast TOK FM z udziałem Marcina Szczygielskiego, audycje.tokfm.pl, bit.ly/4wQbB8D, dostęp: 27.03.2026
Woźnicki Stanisław, *Wnętrza kawiarni „Adria"*, „Architektura i budownictwo" 1931, nr 4
Wrona Katarzyna, *Zmiana formuły „Przekroju" w latach 2000–2013*, „Acta Universitatis Lodziensis" 2015, nr 2 (28)
Wróbel-Best Jolanta, *Palimpsest pamięci lub Wiera Gran jako artystka i kobieta w książce „Oskarżona: Wiera Gran" Agaty Tuszyńskiej*, repozytorium.uwb.edu.pl, bit.ly/4f10YJI, dostęp: 9.04.2026
Wójciak Michał, *Fashion Hunger PL – dziedzictwo polskiej mody XX wieku*, Instytut Badań Organizacji Kultury, Kraków 2024, bit.ly/4Ad8Xv3, dostęp: 15.09.2026
Z Eryniami w zmowie, Joanna Tokarska-Bakir w rozmowie z Weroniką Szczawińską, „Didaskalia" 2009, nr 90
Zdeptane dzieciństwo. II wojna światowa i jej wpływ na los dzieci, redakcja naukowa Alicja Bartuś, Piotr Trojański, Oświęcim 2017
Zofia Gleichgewicht, Muzeum Powstania Warszawskiego, 1944.pl, bit.ly/4tRX75s, dostęp: 14.04.2026
Zofia Kijkowska, Muzeum Powstania Warszawskiego, 1944.pl, bit.ly/49KCOiU

Żbikowski Andrzej, *Jan Karski – bohater polskiego podziemia*, Żydowski Instytut Historyczny, jhi.pl, bit.ly/4vl0S4e, dostęp: 11.04.2026
Żuławski Wawrzyniec, *Trylogia tatrzańska*, wstęp Janusz Kurczab, Warszawa 2015
Żywulska Krystyna, *Przeżyłam Oświęcim*, Warszawa 2012
–, *Pusta woda*, Warszawa 1963
–, *Pusta woda. Z przedmową Stefanii Grodzieńskiej i posłowiem Julii Pańków*, Michałów-Grabina 2008

PRZYPISY

[1] Krystyna Kotowicz, *Ze wspomnień Stefanii Grodzieńskiej*, audycja radiowa, Radio Lublin, emisja: 10.08.1984, Archiwum Polskiego Radia Lublin. (Wszystkie cytaty w książce są podane z zachowaniem oryginalnej pisowni. W wypowiedziach z nagrań radiowych czy telewizyjnych wprowadzono drobne korekty redakcyjne – dla zachowania jasności i płynności lektury, bez ingerencji w sens wypowiedzi. Ewentualne uzupełnienia, skróty oraz komentarze w nawiasach kwadratowych pochodzą od autorki).

[2] Stefania Grodzieńska (tekst), Andrzej Pruski (realizacja), Jan Piasecki (opracowanie), *Lubelskie dni – proszę mówić, słuchamy*, audycja radiowa, emisja: 20.07.1974, Archiwum Polskiego Radia.

[3] Tamże.

ROZDZIAŁ I

[1] Wszystkie ustalenia biograficzne dotyczące przodków Stefanii Grodzieńskiej są wynikiem moich długotrwałych poszukiwań archiwalnych. Sama Grodzieńska w swoich książkach, programach TV czy audycjach radiowych, mówiąc o dziadkach, wspominała tylko Maksa i Franciszkę. Nazwisko Bujaner nie było znane bliskim mojej bohaterki. Również postać ojca artystki pozostawała wielką tajemnicą – nawet dla najbliższych Grodzieńskiej nie było jasne, że nosi ona nazwisko odziedziczone po urodzonym w 1886 roku w Łodzi Michale Grodzieńskim. Droga poszukiwań była długa, całe szczęście wielokrotnie udawało mi się łapać trop – dzięki życzliwej pomocy pracowników archiwów. Szczegółowy wykaz dokumentów potwierdzających wyniki moich badań genealogicznych i archiwalnych, które pozwoliłam sobie zagęścić w tym rozdziale do wartkiej opowieści, znajduje się w *Bibliografii*, w sekcji *Archiwalia*. Dalej w przypisach przywołam tylko najważniejsze z dokumentów dotyczące przodków.

[2] Zob. *Dokumenty do rejestru mieszkańców m. Łodzi, komisariat X, nr 2001–3000*, sygn. 25643, nr 2418, informacje o Franciszce Bujaner w wyciągu ksiąg ludności stałej Sandomierza, w wyciągu ksiąg ludności stałej Łodzi, wypis aktu małżeństwa z Szoelem Mordką Bujanerem, Archiwum Państwowe w Łodzi.

[3] *Akt urodzenia Abrama Icka Neja, syna Mejera*, zespół nr 1753: Akta stanu cywilnego Okręgu Bożniczego w Lublinie, Archiwum Państwowe w Lublinie.

[4] Krystyna Kotowicz, *Ze wspomnień Stefanii Grodzieńskiej*, audycja radiowa, Radio Lublin, emisja: 10.08.1984, Archiwum Polskiego Radia Lublin.

[5] Dokumenty dotyczące unieważnienia małżeństwa Franciszki Bujaner i Abrama Neja oraz wyciąg z aktu zejścia Abrama Icka Neja, w: *Dowody metrykalne stałych mieszkańców m. Łodzi nr domu 543–533 z lat 1903–1931*, Archiwum Państwowe w Łodzi.

[6] *Akt urodzenia Szoela Mordki Bujanera z 1875 roku*, Archiwum Państwowe w Kielcach, Oddział w Sandomierzu.

[7] *Akt urodzenia Michała Grodeńskiego, syna Nochuma i Baszy z Gincburgów z 1887 roku*, sygn. 70, nr 19, Archiwum Państwowe w Łodzi.

[8] *Akt urodzenia Eleonory Naj z 1887 roku*, Archiwum Państwowe w Kielcach, Oddział w Sandomierzu.

[9] Zob. Formularze rejestracyjne i formularze dyplomów Michała Grodzieńskiego i Eleonory Ney, Archives administratives et patrimoniales, Université de Genève.

[10] Stefania Grodzieńska, *Nie ma z czego się śmiać*, współpraca autorska Joanna Jurandot-Nawrocka, Michałów-Grabina 2007, s. 60.

[11] *Akt urodzenia Stefanji Niny Grodzieńskiej, córki Michała i Eleonory z domu Neu*, Akta stanu cywilnego gminy żydowskiej w Łodzi, sygn. 156, nr 1283a z 1921 roku, Archiwum Państwowe w Łodzi.

ROZDZIAŁ II

[1] Magda Umer, *Ich pierwsze miłości: Stefania Grodzieńska*, program TV, emisja: 2.03.1999, Archiwum Telewizji Polskiej.

[2] Zob. Barbara Dzięgielewska (opracowanie), Andrzej Złomski (realizacja), *Goście muzycznej jedynki: Stefania Grodzieńska (część 2)*, audycja radiowa, emisja: 10.12.1993, Archiwum Polskiego Radia.

[3] Jerzy Jurandot (tekst), Stefania Grodzieńska (tekst), Witold Malesa (opracowanie), *Zapiski ze współczesności: Stefania Grodzieńska*, audycja radiowa, emisja: 11.03.1996–15.03.1996, Archiwum Polskiego Radia.

[4] Zob. Stefania Grodzieńska, *Nie ma z czego się śmiać*, współpraca autorska Joanna Jurandot-Nawrocka, Michałów-Grabina 2007, s. 10.
[5] Tamże.
[6] Zob. tamże, s. 9.
[7] Zob. informacje o Mykolasie Volpe w formularzach wyszukiwania Lithuanian-Jewish Special Interest Group (litvaksig.org), w zbiorach Kaunas Regional State Archives, a także w serwisie MyHeritage. Szczegółowy wykaz pozycji związanych z ojczymem Grodzieńskiej – zob. *Bibliografia*, sekcja *Archiwalia*.
[8] Jak zaznaczała Grodzieńska: „albumik był jedyną rzeczą z dzieciństwa, jaką przechowałam, a zginął dopiero podczas którejś przymusowej i nagłej przeprowadzki w czasie okupacji". Cyt. za: Stefania Grodzieńska, *Wspomnienia chałturzystki. Uzupełnione prologiem, słowem przedwstępnym, słowem wstępnym do antysłowa wstępnego i antysłowem wstępnym*, Łódź 1999, s. 17.
[9] Stefania Grodzieńska, *Wspomnienia chałturzystki…*, dz. cyt., s. 18.
[10] Tamże, s. 17.
[11] Tamże.
[12] Tamże, s. 16.
[13] Tamże, s. 17.
[14] Zob. Stefania Grodzieńska, *Już nic nie muszę. W ścisłej współpracy z Beatą Kęczkowską*, Łódź 2000, s. 93.
[15] Stefania Grodzieńska, *Wspomnienia chałturzystki…*, dz. cyt., s. 20.
[16] Tamże, s. 26.
[17] Tamże.
[18] Stefania Grodzieńska, *Już nic nie muszę…*, dz. cyt., s. 110.
[19] Taż, *Wspomnienia chałturzystki…*, dz. cyt., s. 15.
[20] Magda Umer, *Ich pierwsze miłości…*, dz. cyt.

ROZDZIAŁ III

[1] Por. Błażej Ciarkowski, *Łódź. Ziemia wymyślona*, Warszawa 2024, s. 297. O bałuckim, ale też szerzej łódzkim pejzażu nędzy sanitarnej, w tym o szczurach, pisał również Julian Tuwim, poetycko przetwarzając te obrazy w *Kwiatach polskich*.
[2] Zob. Błażej Ciarkowski, *Łódź…*, dz. cyt., s. 29.
[3] Magda Umer, *Ich pierwsze miłości: Stefania Grodzieńska*, program TV, emisja: 2.03.1999, Archiwum Telewizji Polskiej.
[4] Tamże.

[5] Zob. *Akta uczennicy Stefanji Niny Grodzieńskiej z lat 1917–1939*, zespół archiwalny Prywatne Gimnazjum i Liceum Żeńskie Janiny Czapczyńskiej w Łodzi, sygn. 132, Archiwum Państwowe w Łodzi.

[6] Por. *Prywatne Gimnazjum i Liceum Żeńskie Janiny Czapczyńskiej w Łodzi, Rejestracja uczennic z lat 1919–1929*, sygn. 76, poz. 883, Archiwum Państwowe w Łodzi. W tabeli obok imienia i nazwiska każdej uczennicy widnieje wyznanie. W przypadku Stefanii Grodzieńskiej, jak i wielu uczennic, które razem z nią uczęszczały do szkoły – mojżeszowe.

[7] Stefania Grodzieńska, *Wspomnienia chałturzystki. Uzupełnione prologiem, słowem przedwstępnym, słowem wstępnym do antysłowa wstępnego i antysłowem wstępnym*, Łódź 1999, s. 22.

[8] Zob. Jerzy Jurandot (tekst), Stefania Grodzieńska (tekst), Witold Malesa (opracowanie), *Zapiski ze współczesności: Stefania Grodzieńska*, audycja radiowa, emisja: 11.03.1996–15.03.1996, Archiwum Polskiego Radia.

[9] O samych wieczorkach Grodzieńska opowiadała w licznych programach radiowych i telewizyjnych. Jednak informację o szczegółach stroju bohaterki znalazłam w tekście Grodzieńskiej *Mój pierwszy bal*, który – zdaje się – nigdy nie został opublikowany. Powołuję się tu na maszynopis z odręcznymi notatkami, który znajduje się w Archiwum Stefanii Grodzieńskiej w posiadaniu Beaty Kęczkowskiej (dalej: ASG).

[10] Jerzy Jurandot (tekst), Stefania Grodzieńska (tekst), Witold Malesa (opracowanie), *Zapiski ze współczesności…*, dz. cyt.

[11] Archiwalna wypowiedź Aleksandra Bardiniego wykorzystana w filmie Henryka Jantosa, *Młodziutka staruszka*, dokument TV, emisja: 2.10.2009, Archiwum Telewizji Polskiej.

[12] Stefania Grodzieńska, *Wspomnienia chałturzystki…*, dz. cyt., s. 23.

[13] Tamże, s. 24, 25.

[14] Zob. *Akta uczennicy Stefanji Niny Grodzeńskiej…*, dz. cyt.

[15] Stefania Grodzieńska, *Nie ma z czego się śmiać*, współpraca autorska Joanna Jurandot-Nawrocka, Michałów-Grabina 2007, s. 24.

[16] Taż, *Posłowie*, w: Krystyna Żywulska, *Przeżyłam Oświęcim*, Warszawa 2012, s. 354.

[17] Pisała o tym Stefania Grodzieńska: „W wazie był sam wrzątek. Pusta woda. Czasem trafiał się kartofel, burak czy cokolwiek, co wrzuca się do zupy. Matka kroiła te zdobycze na drobne kawałki, żeby każdemu coś w talerzu pływało". Zob. Stefania Grodzieńska, *Przedmowa*, w: Krystyna Żywulska, *Pusta woda. Z przedmową Stefanii Grodzieńskiej i posłowiem Julii Pańków*, Michałów-Grabina 2008, s. 10.

[18] Zob. Jacek Andrzejewski, Tadeusz Andrzejewski, *Do czytelników*, w: Krystyna Żywulska, *Przeżyłam Oświęcim…*, dz. cyt. s. 361. Jacek Andrzejewski napisał dokładnie: „Kiedy Stefa już była chora, powiedziała mi, że jedyną osobą, jaką znała, a o której mogłaby powiedzieć, że jest bez wad, to byłaby babcia".

[19] Wojciech Jagielski (scenariusz i prowadzenie), Maciej Chmiel (reżyseria), *Wieczór z Jagielskim*, program TV, emisja: 29.05.2001, Archiwum Telewizji Polskiej.

[20] Charakterystyczny dla wspomnień Grodzieńskiej był brak wymieniania nazwisk. Dlatego nie wiemy dzisiaj, o jakiego Lolka chodzi. Opowiadając o swoim młodzieńczym środowisku, wspominała na ogół o jednym Lolku – Fokszańskim, późniejszym poecie i satyryku, który zresztą, co wiadomo z jednej z rozmów Grodzieńskiej z 2000 roku, był chłopakiem Kamy. Leonid był też wspominany przez nią jako najbliższy przyjaciel Henryka, chłopca starszego o klasę gimnazjalną, za którego prawie wyszła za mąż – zob. S. Grodzieńska, *Nie ma z czego…*, dz. cyt., s. 148. Nie ma jednak wystarczających przesłanek by stwierdzić, że bohaterem wspomnianej anegdoty także był Fokszański.

[21] Zob. Iwonna Michalska, *Życie łódzkich rodzin w czasach kryzysu ekonomicznego lat trzydziestych XX wieku w przekazie gazety „Ilustrowana Republika"*, „Wychowanie w Rodzinie" 2016, t. 14, nr 2, s. 196.

[22] Stefania Grodzieńska, *Nie ma z czego…*, dz. cyt., s. 28.

[23] Tamże.

[24] Por. tamże, s. 31 i Wojciech Kasperski, *Przestępstwa ubezpieczeniowe w międzywojennej Polsce*, „Biuletyn Stowarzyszenia Absolwentów i Przyjaciół Wydziału Prawa Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego" 2016, t. 11, nr 13, bit.ly/4dwTtBd, dostęp: 25.03.2026.

[25] Zob. *Podanie o dowód osobisty Stefanii Niny Grodzieńskiej*, Podania o dowody osobiste z załącznikami od nr 3401 do 3600, t. 18, Archiwum Państwowe w Łodzi.

ROZDZIAŁ IV

[1] Barbara Dzięgielewska (opracowanie), Magdalena Wojtulanis (realizacja), *Goście muzycznej jedynki: Stefania Grodzieńska (część 3)*, audycja radiowa, emisja: 14.01.1994, Archiwum Polskiego Radia.

[2] Tamże.

[3] Tamże.

[4] Tamże.

[5] Tamże.

[6] Zob. Stefania Grodzieńska, *Nie ma z czego się śmiać*, współpraca autorska Joanna Jurandot-Nawrocka, Michałów-Grabina 2007, s. 32.

[7] *Szkoła Gimnastyki i Tańca Artystycznego Ireny Prusickiej w Łodzi: kurs ogólny (amatorki), kurs kształcący (zawodowy), lekcje zbiorowe i solowe*, s. 3, Biblioteka Narodowa, polona.pl, bit.ly/4fGfwew, dostęp: 27.03.2026.

[8] Zob. Stefania Grodzieńska, *Nie ma z czego…*, dz. cyt., s. 37.

[9] Powołuję się tu na programy występów Szkoły Gimnastyki i Tańca Artystycznego Ireny Prusickiej, których kserokopie przechowywała Stefania Grodzieńska, a dzisiaj znajdują się one w archiwum prywatnym Michała Jurandota.

[10] Stefania Grodzieńska, *Nie ma z czego…*, dz. cyt., s. 40.

[11] Tamże, s. 41.

[12] Motyw wzajemnych podróży na trasie Paryż–Łódź/Warszawa przewija się przez różne książki i wspomnienia Grodzieńskiej. Jako pierwszy pewny wydaje mi się jednak dopiero pobyt niespełna osiemnastoletniej Stefanii w Paryżu w lipcu 1932 roku – o jego okolicznościach piszę za moment. Czy bywała wcześniej w stolicy Francji? To ustalić bardzo trudno – jej wspomnienia, zwłaszcza te związane z mamą, często nakładają na siebie kilka planów czasowych – por. np. Barbara Dzięgielewska (opracowanie), Andrzej Złomski (realizacja), *Goście muzycznej jedynki: Stefania Grodzieńska (część 2)*, audycja radiowa, emisja: 10.12.1993, Archiwum Polskiego Radia.

[13] Stefania Grodzieńska, *Urodził go „Niebieski Ptak"*, Łódź 1999, s. 11.

[14] Tamże.

[15] Stefania Grodzieńska, *Nie ma z czego…*, dz. cyt., s. 49.

[16] Powołuję się tu na kopię programu konkursu, z odręcznymi notatkami Grodzieńskiej, która znajduje się w archiwum Michała Jurandota. Sam program można przeanalizować tutaj: *3 Grandes Épreuves Internationales de Danses Artistiques, Théâtre des Champs-Élysées, programme, 2–4 juillet 1932*, Paris, „Archives internationales de la danse", 1932, bit.ly/4e18QbP, dostęp: 27.03.2026. Informacje o konkursie por. „Archives internationales de la danse" 1933, nr 1, mediatheque.cnd.fr, bit.ly/4tmlfys, dostęp: 27.03.2026.

[17] Zob. przypis 12 w rozdziale IV.

[18] W 1933 roku w Warszawie chleb żytni pytlowy kosztował 40 groszy za kilogram, a żytni razowy – 30 groszy. Zob. „Monitor Polski. Dziennik Urzędowy Rzeczypospolitej Polskiej" z dnia 25 lipca 1933 roku.

[19] Powołuję się tu m.in. na: *Zapis rozmów Stefanii Grodzieńskiej z Agatą Tuszyńską z 30 października 2000 i 5 stycznia 2008* [nie do publikacji, przekazany EP 9 stycznia 2025].

[20] Barbara Dzięgielewska (opracowanie), Magdalena Wojtulanis (realizacja), *Goście muzycznej jedynki…*, dz. cyt.

[21] Zob. Stanisław Woźnicki, *Wnętrza kawiarni „Adria"*, „Architektura i budownictwo" 1931, nr 4.

[22] Zob. Anita White, *Relacja Wiery Gran dla USC Shoah Foundation*, 1995, Visual History Archive, United States Holocaust Memorial Museum, collections.ushmm.org, bit.ly/4up0bH0, dostęp: 27.03.2026.

[23] Barbara Dzięgielewska (opracowanie), Magdalena Wojtulanis (realizacja), *Goście muzycznej jedynki…*, dz. cyt.

[24] Tamże.

[25] Powołuję się tu m.in. na wspomniane już źródło: *Zapis rozmów Stefanii Grodzieńskiej z Agatą Tuszyńską…* Do kwestii oskarżeń wobec Gran wrócę w dalszej części książki.

[26] Tamże.

[27] Magda Umer, *Ich pierwsze miłości: Stefania Grodzieńska*, program TV, emisja: 2.03.1999, Archiwum Telewizji Polskiej.

[28] Tamże.

[29] Zob. Maciej Krupa, Piotr Mazik, Kuba Szpilka, rozdział *Gruźlica. Zapoznany czynnik rozwoju Zakopanego*, w: *Nieobecne miasto. Przewodnik po nieznanym Zakopanem*, Wołowiec 2016.

[30] Małgorzata Wołczyńska, *Ciemne miejsca*, *Seria III*, *odc. 6: Sanato. Złoto dla piersiowo chorych*, podcast TOK FM z udziałem Marcina Szczygielskiego, emisja: 04.12.2024, audycje.tokfm.pl, bit.ly/4fTD1nP, dostęp: 27.03.2026.

[31] Chodzi o tytuły *Nie ma z czego się śmiać* (2007) i *Kłania się PRL* (2008). Książki ukazały się nakładem Instytutu Wydawniczego Latarnik, założonego przez Tomasza Raczka i Marcina Szczygielskiego.

[32] Milena Buszkiewicz, *Inne oblicze horroru. Wywiad z Marcinem Szczygielskim, autorem „Sanato"*, Booklips.pl, booklips.pl, bit.ly/3RDC4u, dostęp: 29.03.2026.

[33] Stefania Grodzieńska, *Już nic nie muszę. W ścisłej współpracy z Beatą Kęczkowską*, Łódź 2000, s. 66.

[34] Maria Ukniewska, *Strachy. Ze słowem wstępnym Barbary Kosmowskiej*, Warszawa 2016.

[35] Zob. Barbara Czajkowska, *Muzyka i okolice. Glenn Miller*, program TV, rok produkcji: 1986, Archiwum Telewizji Polskiej.

[36] Stefania Grodzieńska, *Urodził go…*, dz. cyt., s. 20.
[37] Tamże.
[38] Tamże, s. 13.
[39] Tamże, s. 15.
[40] Halina Szopska, *Prywatnie u Stefanii Grodzieńskiej*, audycja radiowa, emisja: 10.01.1988, Archiwum Polskiego Radia.
[41] Jerzy Jurandot (tekst), Stefania Grodzieńska (tekst), Witold Malesa (opracowanie), *Zapiski ze współczesności: Stefania Grodzieńska*, audycja radiowa, emisja: 11.03.1996–15.03.1996, Archiwum Polskiego Radia.
[42] Stefania Grodzieńska, *Urodził go…*, dz. cyt., s. 22.
[43] Tamże.
[44] Tamże, s. 23.
[45] Tamże.
[46] Informacje o zarobkach zob. Barbara Czajkowska, *Muzyka i okolice…*, dz. cyt.
[47] Tamże.
[48] Jerzy Jurandot (tekst), Stefania Grodzieńska (tekst), Witold Malesa (opracowanie), *Zapiski ze współczesności…*, dz. cyt.
[49] Wypowiedź archiwalna wykorzystana w: Anna Retmaniak, *Kulturalny wieczór z Jedynką: Gdy zgasną światła rampy – Stefania Grodzieńska*, audycja radiowa, emisja: 28.11.2011, Archiwum Polskiego Radia.
[50] Stefania Grodzieńska, *Nie ma z czego…*, dz. cyt., s. 44.
[51] Katarzyna Sobol (realizacja i scenariusz), *Wspomnienie o Jerzym Jurandocie*, cz. 1, film TV, emisja: 1.01.1998, Archiwum Telewizji Polskiej.
[52] Wojciech Marczyk, *Poznajmy się: Spotkanie ze Stefanią Grodzieńską*, audycja radiowa, emisja: 10.11.1985, Archiwum Polskiego Radia.
[53] Katarzyna Sobol, *Wspomnienie o Jerzym…*, dz. cyt.
[54] Tamże.
[55] Stefania Grodzieńska, *Urodził go…*, dz. cyt., s. 24.
[56] *Sylwetki tancerek: Stefania Grodzieńska* (autor H.L.), „Sztuka i Film" 1937, nr i s. nieustalone. Bazuję na wycinku prasowym odnalezionym w ASG.
[57] Tamże.
[58] *Zapis rozmów Stefanii Grodzieńskiej z Agatą Tuszyńską…*, dz. cyt.
[59] Cyt. za: Stefania Grodzieńska, *Już nic nie muszę…*, dz. cyt., s. 45.
[60] Katarzyna Sobol, *Wspomnienie o Jerzym…*, dz. cyt.
[61] *Taniec jako przejaw radości życia*, „Kino" 1937, nr 15, s. 12.
[62] Tamże.
[63] Tamże.
[64] Tamże.

[65] Ta *Scena małżeńska* została przedrukowana w książce Grodzieńskiej o Járosym. Zob. Stefania Grodzieńska, *Urodził go…*, dz. cyt., s. 27, 28.
[66] Tamże, s. 17.
[67] Jerzy Jurandot (tekst), Stefania Grodzieńska (tekst), Witold Malesa (opracowanie), *Zapiski ze współczesności…*, dz. cyt.
[68] Tamże.
[69] Tamże.

ROZDZIAŁ V

[1] Zob. *Paszport Eleonory Ney*, sygn. F.66, ap.1, b.15023–1920, Kaunas Regional State Archives i *Paszport Mykolasa Volpe*, sygn. F.66, ap.1, b.15022-1922, Kaunas Regional State Archives.
[2] Stefania Grodzieńska, *Wspomnienia chałturzystki. Uzupełnione prologiem, słowem przedwstępnym, słowem wstępnym do antysłowa wstępnego i antysłowem wstępnym*, Łódź 1999, s. 15.
[3] Por. Małżeństwo Volpé w spisach rezydentów Paryża: Archives de Paris, Recensement de population, 1926, Population de résidence habituelle, 1926, 05, Val de Grâce – D2M8 231 oraz Archives de Paris, Recensement de population, 1931, Population de résidence habituelle, 1931, 05, Val de Grâce – D2M8 375.
[4] Informacje przywoływane na podstawie analizy nazwisk, narodowości i profesji mieszkańców przy rue Tournefort 6 – na podstawie spisów z przypisu wyżej.
[5] Barbara Dzięgielewska (opracowanie), Andrzej Złomski (realizacja), *Goście muzycznej jedynki: Stefania Grodzieńska (część 2)*, audycja radiowa, emisja: 10.12.1993, Archiwum Polskiego Radia.
[6] Zob. Romain Gary, *Obietnica poranka*, przeł. Jerzy Pański, Warszawa 2004, s. 148.
[7] Stefania Grodzieńska, *Już nic nie muszę. W ścisłej współpracy z Beatą Kęczkowską*, Łódź 2000, s. 110.
[8] Wykaz wszystkich archiwów i zbiorów, w których poszukiwałam informacji o Eleonorze i Miszy Volpe, znajduje się na końcu tej książki – zob. *Bibliografia*, sekcja *Archiwalia*.
[9] Stefania Grodzieńska, *Nie ma z czego się śmiać*, współpraca autorska Joanna Jurandot-Nawrocka, Michałów-Grabina 2007, s. 52.
[10] Taż, *Wspomnienia chałturzystki…*, dz. cyt., s. 16.
[11] Taż, *Nie ma z czego…*, dz. cyt., s. 60.

[12] O przesunięciach faktograficznych w książce *Nie ma z czego się śmiać* – zob. przypis na s. 20.

[13] Stefania Grodzieńska, *Już nic nie muszę…*, dz. cyt., s. 150.

[14] Poszukiwania informacji o możliwym statusie obywatelskim Eleonory i Mikhaila Volpe we francuskich archiwach w 2025 roku: Archives nationales, Service actif des étrangers Paris; notifications des procès-verbaux et des arrestations pour situation irrégulière: registres [289 W 1-2, 290 W 1-33]; Délégation à l'immigration; dossiers de demande d'asile et de titres de séjour [491 W 1-330; 492 W 1-600; 493 W 1-84], dossiers de naturalisation [IA 1-231]; Intérieur ; Archives de la sous-direction des étrangers et des passeports (1925–1970) [F/7/16029-F/7/16126; 1892-1983]; OFPRA (Office français de protection des réfugiés et apatrides) archiwa dot. bezpaństwowców.

[15] Fiszka *Eleonora Ney née le 27 septembre 1892 à Sandomir*, Fichier central de la Sûreté nationale (Fonds de Moscou), sygn. 19940508/656.

[16] Zob. *Dokumenty rozwodowe Miszy Volpe i Eleonory Volpe*, sygn. F.70, ap.1, b.154, l.65; F.70, ap.1, b.154, l.66; F.70, ap.1, b.154, l.67; F.70, ap.1, b.154, l.68, Kaunas Regional State Archives.

[17] Zob. Stefania Grodzieńska, *Już nic nie muszę…*, dz. cyt., s. 148.

[18] Nazwisko Eleonory Ney na spisach wyborców z 1940/1941 roku, sygn. F.R-292, ap.5, b.12, l.34 a.p; F.R-292, ap.5, b.12, l.35, Kaunas Regional State Archives.

[19] Zob. Informacje o rozwodzie Mykolasa Volpe i Eleonory Volpe w 1939 roku, myheritage.pl, bit.ly/4dpbCZn, dostęp: 23.03.2026; Por. także: Informacje o ślubie Michaela Volpe i Sophie Halpern w 1946 roku, myheritage.pl, bit.ly/3PPRu9U, dostęp: 23.03.2026.

[20] Zob. Stefania Grodzieńska, *Nie ma z czego…*, dz. cyt., s. 41.

ROZDZIAŁ VI

[1] „Wieczór Warszawski", 31 sierpnia 1939, nr 246.

[2] *Járosy tworzy «Figaro». Nowy teatr w Warszawie*, tamże, s. 4.

[3] Zob. Jerzy Jurandot (tekst), Stefania Grodzieńska (tekst), Witold Malesa (opracowanie), *Zapiski ze współczesności: Stefania Grodzieńska*, audycja radiowa, emisja: 11.03.1996–15.03.1996, Archiwum Polskiego Radia.

[4] Tamże.

[5] Tamże.

[6] „Wieczna sublokatorka", pisała o sobie Grodzieńska, zwracając uwagę na sublokatorskie pokoje zamieszkiwane z mamą, ale dodając też:

„[…] potem wzięła mnie babcia i znów to nie był dom, jaki mają inne dzieci". Zob. Stefania Grodzieńska, *Urodził go „Niebieski Ptak"*, Łódź 1999, s. 109.

7 Tamże, s. 39.

8 Tamże, s. 57.

9 Tamże, s. 50.

10 Tamże, s. 51.

11 Tamże, s. 72.

12 Jerzy Jurandot (tekst), Stefania Grodzieńska (tekst), Witold Malesa (opracowanie), *Zapiski ze współczesności…*, dz. cyt.

13 Stefania Grodzieńska, *Urodził go…*, dz. cyt., s. 73.

14 Por. Szymon Kucharski, *1. Szpital Okręgowy im. marszałka Józefa Piłsudskiego Wojskowy Instytut Chirurgii Urazowej. 6 Sierpnia 37*, Fundacja Warszawa 1939, warszawa1939.pl, warszawa1939.pl, bit.ly/4wJhrse, dostęp: 31.03.2026; Szymon Kucharski i RM, *1. Szpital Okręgowy im. marszałka Józefa Piłsudskiego, Szpital Mokotowski, Mikołajewski Przytułek dla Dzieci Żołnierskich. 6 Sierpnia róg al. Niepodległości*, Fundacja Warszawa 1939, warszawa1939.pl, warszawa1939.pl, bit.ly/49iGyywco, dostęp: 31.03.2026.

15 Jerzy Jurandot (tekst), Stefania Grodzieńska (tekst), Witold Malesa (opracowanie), *Zapiski ze współczesności…*, dz. cyt.

16 Tamże.

17 Tamże.

18 Tamże.

19 Stefania Grodzieńska, *Urodził go…*, dz. cyt., s. 86.

20 Jurandot Jerzy (tekst), Grodzieńska Stefania (tekst), Malesa Witold (opracowanie), *Zapiski ze współczesności…*, dz. cyt.

21 Zob. Jerzy Jurandot, *Humor w opasce*, w: Jerzy Jurandot, Stefania Grodzieńska, *Miasto skazanych. 2 lata w warszawskim getcie. Dzieci getta*, autorska koncepcja dzieła: Agnieszka Arnold, Warszawa 2014, s. 413, 414.

22 Stefania Grodzieńska, *Urodził go…*, dz. cyt., s. 85.

23 Cyt. za: tamże, s. 79, 80.

24 Cyt. za: Jacek Leociak, *Topografia i komunikacja*, w: Barbara Engelking, Jacek Leociak, *Getto warszawskie. Przewodnik po nieistniejącym mieście*, Warszawa 2013 [ebook].

25 Zob. Stefania Grodzieńska, *Już nic nie muszę. W ścisłej współpracy z Beatą Kęczkowską*, Łódź 2000, s. 88.

26 Tę informację potwierdza zapis w księgach meldunkowych z adresu Poznańska 12, lokal 74. Zob. Nazwiska Glajchgewicht Jerzy oraz

Grodzieńska/Glajchgewicht Stefania, *Domowa książka meldunkowa. Miejscowość Warszawa. Ulica Poznańska. Nr domu 12. Kom. XI P.P. Właściciel domu Adam Tuszyński*, nr hip. 1477B, Archiwum Państwowe w Warszawie.

27 Zob. Stefania Grodzieńska, *Nie ma z czego się śmiać*. Współpraca autorska Joanna Jurandot-Nawrocka, Michałów-Grabina 2007, s. 47.

28 Zob. na ten temat: Wojciech Rodak, *Żydzi i mechesi*, Muzeum Getta Warszawskiego, 1943.pl, bit.ly/4tIeIfP, dostęp: 31.03.2026.

29 Zob. Barbara Engelking, *Instytucje i urzędy*, w: Barbara Engelking, J. Leociak, *Getto warszawskie…*, dz. cyt.

30 Zob. Barbara Engelking, Jacek Leociak, *Kalendarium*, w: tychże, *Getto warszawskie…*, dz. cyt.

31 Stefania Grodzieńska, *Urodził go…*, dz. cyt., s. 149.

32 Małgorzata Szejnert, *Sława i infamia. Rozmowa z prof. Bohdanem Korzeniewskim*, cz. 1, Warszawa 1988, niniwa22.cba.pl, bit.ly/4tR7Htl, dostęp: 2.04.2026.

33 Czesław Miłosz, *Człowiek teatru*, „Tygodnik Powszechny" 2004, nr 20, bit.ly/4tRq55n, dostęp: 2.04.2026.

34 Por. własna relacja bohatera, przytoczona w: Anna Mieszkowska, *Biograficzny romans, czyli cuda życia emigranta z wyboru: Fryderyk Járosy (1889–1960) – autor nie napisanych wspomnień z życia wśród polskiej emigracji w Londynie*, „Archiwum Emigracji: studia, szkice, dokumenty" 2009, nr 1. Por. także Stefania Grodzieńska, *Urodził go…*, dz. cyt., s. 115.

35 Por. Stefania Grodzieńska, *Urodził go…*, dz. cyt., s. 112, 113.

36 Tamże, s. 118, 119.

37 Tamże, s. 120.

38 Tamże.

39 Tamże, s. 131.

40 Tamże.

41 O tym, jak wyglądały te aktorskie próby, o krytycznych uwagach i celnym spojrzeniu Járosyego pisała Grodzieńska w książce *Urodził go „Niebieski Ptak"*, w rozdziale *Noce przy Złotej*. Dzięki temu rozdziałowi można zrozumieć, jak wiele znaczyła dla niej ta szansa na zarobek, ale też możliwość wyjścia z domu na występy. Zob. Stefania Grodzieńska, *Urodził go…*, dz. cyt., s. 128–138.

42 O szczegółach zob. Jerzy Jurandot, *Humor…*, dz. cyt., w: Jerzy Jurandot, Stefania Grodzieńska, *Miasto skazanych…*, dz. cyt., s. 427–428.

43 Źródła nie są zgodne co do tego, jak długo Járosy ukrywał się w getcie. Anna Mieszkowska, badaczka jego życia, wskazywała na kilkanaście

miesięcy w getcie: od jesieni 1940 roku do wiosny 1942 roku. Por. Anna Mieszkowska, *Biograficzny romans…*, dz. cyt. Z kolei w jednym z przypisów do opowiadań Jerzego Jurandota znalazłam informację o tym, że Járosy przebywał w getcie przez blisko miesiąc. Zob. Jerzy Jurandot, *Krawiec Segał*, w: Jerzy Jurandot, Stefania Grodzieńska, *Miasto skazanych…*, dz. cyt. s. 263.

[44] Jerzy Jurandot, *Humor…*, dz. cyt., w: Jerzy Jurandot, Stefania Grodzieńska, *Miasto skazanych…*, dz. cyt., s. 428. O mieszkaniu pisała też Grodzieńska w książce *Urodził go „Niebieski Ptak"*. Zob. Stefania Grodzieńska, *Urodził go…*, dz. cyt., rozdział *Reichsdeutsch w getcie*.

[45] Zob. Jerzy Jurandot, *Humor…*, dz. cyt., w: Jerzy Jurandot, Stefania Grodzieńska, *Miasto skazanych…*, dz. cyt., tamże, s. 446. Białą opaskę z niebieską gwiazdą Dawida Żydzi mieli obowiązek nosić na prawym ramieniu. Jurandot pisał o tym: „Widziałem po wojnie kilka filmów, w których pokazywano grupy Żydów w opaskach na lewym ramieniu. Otóż nieprawda. Opaskę z niebieską gwiazdę Dawida zgodnie z zarządzeniem należało nosić na prawym ramieniu. Była to dodatkowa celna szykana niemiecka. Opaska na lewym ramieniu jest czymś w pewnym sensie naturalnym, tak noszą opaski zawsze kluby, organizacje czy partie, natomiast idąc z opaską na prawym ramieniu wśród ludzi bez opasek przed powstaniem getta, ja osobiście miałem stale poczucie nieporządku w garderobie, jakbym włożył spodnie tyłem do przodu. Albo krawat zawiązał na brzuchu, a skórzany pasek na szyi". Tamże, s. 445.

[46] Zob. Jacek Leociak, *Służba zdrowia*, w: Barbara Engelking, Jacek Leociak, *Getto warszawskie…*, dz. cyt.

[47] Barbara Engelking, *Dane demograficzne o mieszkańcach getta*, w: Barbara Engelking, Jacek Leociak, *Getto warszawskie…*, dz. cyt.

[48] Zob. Jacek Leociak, *Topografia…*, dz. cyt., w: Barbara Engelking, Jacek Leociak, *Getto warszawskie…*, dz. cyt.

[49] Dane za: Barbara Engelking, *Zaopatrzenie*, w: Barbara Engelking, Jacek Leociak, *Getto warszawskie…*, dz. cyt.

[50] Jacek Leociak, *Topografia…*, dz. cyt., w: Barbara Engelking, Jacek Leociak, *Getto warszawskie…*, dz. cyt.

[51] Tamże.

[52] Jerzy Jurandot, *Humor…*, dz. cyt., w: Jerzy Jurandot, Stefania Grodzieńska, *Miasto skazanych…*, dz. cyt., s. 424.

[53] Tamże, s. 425.

[54] We *Wstępie* do wydanej w 2014 roku książki *Miasto skazanych* Agnieszka Arnold pisała: „Rękopisy blisko ćwierć wieku temu zostały mi

podarowane w dwu pożółkłych brulionach przez żonę autora, Stefanię Grodzieńską, z zastrzeżeniem, że nie wolno ich upowszechniać w jakiejkolwiek formie za jej życia. Roztrząsanie przyczyn, dla których Stefania Grodzieńska podjęła tak radykalną decyzję, wydaje mi się niestosowne i na pewno nie czuję się do tego uprawniona". Agnieszka Arnold, *Wstęp* w: Jerzy Jurandot, Stefania Grodzieńska, *Miasto skazanych…*, dz. cyt., s. 11.

55 Jerzy Jurandot, *Humor…*, dz. cyt., w: Jerzy Jurandot, Stefania Grodzieńska, *Miasto skazanych…*, dz. cyt., s. 428, 429.

56 Tamże, s. 430.

57 Jerzy Jurandot, *Miasto skazanych. 2 lata życia w warszawskim getcie*, w: Jerzy Jurandot, Stefania Grodzieńska, *Miasto skazanych…*, dz. cyt., s. 50.

58 Tenże, *Humor…*, dz. cyt., w: Jerzy Jurandot, Stefania Grodzieńska, *Miasto skazanych…*, dz. cyt., s. 433.

59 Zob. tamże, s. 435.

60 *Benefis Stefanii Grodzieńskiej*, „Gazeta Żydowska" 1941, nr 58, 14 lipca 1941.

ROZDZIAŁ VII

1 Symboliczny obraz Stefanii Grodzieńskiej w Teatrze Femina buduję tutaj z opisu Stelli (będącej w istocie zaszyfrowaną Stefanią) z powieści Krystyny Żywulskiej *Pusta woda*. Wyjaśnienie dalej w tekście.

2 Jerzy Jurandot, *Miasto skazanych. 2 lata w warszawskim getcie*, w: Jerzy Jurandot, Stefania Grodzieńska, *Miasto skazanych. 2 lata w warszawskim getcie. Dzieci getta*, autorska koncepcja dzieła: Agnieszka Arnold, Warszawa 2014, s. 68.

3 Krystyna Żywulska, *Pusta woda*, Warszawa 1963, s. 15.

4 W tym zdaniu z kolei powołuję się na zapis rozmów Stefanii Grodzieńskiej z Agatą Tuszyńską. *Zapis rozmów Stefanii Grodzieńskiej z Agatą Tuszyńską z 30 października 2000 i 5 stycznia 2008* [nie do publikacji, przekazany EP 9 stycznia 2025].

5 Zob. Barbara Engelking, *Życie gospodarcze*, w: Barbara Engelking, Jacek Leociak, *Getto warszawskie. Przewodnik po nieistniejącym mieście*, Warszawa 2013 [ebook]. Powołuję się tu na tabelę z dzienną wartością przydziałów kartkowych, przywołaną za Tomaszem Szarotą (*Okupowanej Warszawy dzień powszedni. Studium historyczne*, Warszawa 1988). Według tabeli w III i IV kwartale 1941 roku przydziały wynosiły odpowiednio 198 i 360 kcal. Brakuje danych dotyczących roku 1942 roku.

[6] Krystyna Żywulska, *Pusta woda…*, dz. cyt., s. 14.
[7] Jerzy Jurandot, *Miasto skazanych…*, dz. cyt., w: Jerzy Jurandot, Stefania Grodzieńska, *Miasto skazanych…*, dz. cyt., s. 87.
[8] O Hilarym pisała Żywulska w *Pustej wodzie*, osobne opowiadanie poświęcił mu Jerzy Jurandot. Por. tenże, *Miłość tragiczna*, w: Jerzy Jurandot, Stefania Grodzieńska, *Miasto skazanych…*, dz. cyt.
[9] Jerzy Jurandot, *Miłość tragiczna…*, dz. cyt., w: Jerzy Jurandot, Stefania Grodzieńska, *Miasto skazanych…*, dz. cyt., s. 287.
[10] Krystyna Żywulska, *Pusta woda…*, dz. cyt., s. 16.
[11] *Dzisiejsza uroczystość w teatrze „Femina”*, „Gazeta Żydowska”, nr 75, 26 czerwca 1942.
[12] Krystyna Żywulska, *Pusta woda…*, dz. cyt., s. 17.
[13] Tamże, s. 15. Żywulska pisze: „Nigdzie poza tym gmachem nie wierzę w prawdziwe torty. Tutaj nie wątpię w autentyczność bananów”.
[14] Tamże, s. 16.
[15] Tamże.
[16] Por. artykuły z „Gazety Żydowskiej”, w których pisano o występach z udziałem Grodzieńskiej. Numery z rocznika II (1941): 48, 49, 58, 65, 76, 91 i numery z rocznika III (1942): 3, 10, 13, 28, 39, 43, 49, 73, 75, 84.
[17] Jerzy Jurandot, *Miasto skazanych…*, dz. cyt., w: Jerzy Jurandot, Stefania Grodzieńska, *Miasto skazanych…*, dz. cyt., s. 84, 85.
[18] Tamże, s. 85.
[19] Krystyna Żywulska, *Pusta woda…*, dz. cyt., s. 16.
[20] Autorem tego określenia był aktor, reżyser i komik Ludwik Lawiński.
[21] Jerzy Jurandot, *Miasto skazanych…*, dz. cyt., w: Jerzy Jurandot, Stefania Grodzieńska, *Miasto skazanych…*, dz. cyt., s. 79.
[22] Tamże, s. 81.
[23] Tamże, s. 91, 92.
[24] *Z życia kulturalnego Warszawy: „Szafa gra!” – Premiera w „Feminie”*, „Gazeta Żydowska”, nr 65, 30 lipca 1941.
[25] *Z teatru „Femina”. „Od Gminy do Feminy”. Wielkie widowisko w 2-ch częściach*, „Gazeta Żydowska”, nr 76, 25 sierpnia 1941.
[26] Jerzy Jurandot, *Miasto skazanych…*, dz. cyt., w: Jerzy Jurandot, Stefania Grodzieńska, *Miasto skazanych…*, dz. cyt., s. 71.
[27] *Niebywałe powodzenie operetki „Księżna Czardaszka” w teatrze „Femina”*, „Gazeta Żydowska”, nr 94, 5 października 1941.
[28] *„Księżna Czardaszka” w dzielnicy żydowskiej (Premiera w „Feminie”)*, „Gazeta Żydowska”, nr 91, 28 września 1941.
[29] Tamże.

[30] *Sprawa przy drzwiach zamkniętych*, „Gazeta Żydowska", nr 78, 21 czerwca 1942.

[31] Informacje o Archiwum Ringelbluma por. *Archiwum Ringelbluma*, Żydowski Instytut Historyczny, JHI.pl, jhi.pl, bit.ly/3PEdrbR, dostęp: 3.04.2026; Rafael Lewandowski, *Bojowniczki! One walczyły w getcie warszawskim*, 2023 [film]; Jacek Leociak, *Wstęp*, w: *Archiwum Ringelbluma. Antologia*, oprac. Marta Janczewska, Jacek Leociak, Wrocław 2020.

[32] David Graeber, *Kilka wrażeń i wspomnień. Mój testament*, w: *Archiwum Ringelbluma. Antologia…*, s. 231.

[33] Zob. Barbara Engelking, *Dane demograficzne o mieszkańcach getta*, dokładnie *Wykres 2. Śmiertelność w getcie warszawskim – średnia liczba zmarłych miesięcznie*, w: Barbara Engelking, Jacek Leociak, *Getto warszawskie…*, dz. cyt.

[34] Krystyna Żywulska, *Pusta woda…*, dz. cyt., s. 19.

[35] Jerzy Jurandot, *Miasto skazanych…*, dz. cyt., w: Jerzy Jurandot, Stefania Grodzieńska, *Miasto skazanych…*, dz. cyt., s. 76. Jurandot pisał o systemie kontroli ruchu w tym miejscu: „Do tego jeszcze dwie specjalnego systemu obrotowe bramy żelazne, obsługiwane przez żydowską policję pod kierunkiem żandarma, regulowały ruch kołowy, nie dopuszczając do zetknięcia aryjskich i żydowskich pojazdów. Oto co znaczy organizacja i brak poczucia śmieszności"; tamże.

[36] Jerzy Jurandot, *Miłość szuka mieszkania*, w: Jerzy Jurandot, Stefania Grodzieńska, *Miasto skazanych…*, dz. cyt., s. 308.

[37] Tamże, s. 325.

[38] Tamże, s. 379.

[39] Tamże, s. 379, 380.

[40] Zob. Jerzy Jurandot, *Miasto skazanych…*, dz. cyt., w: Jerzy Jurandot, Stefania Grodzieńska, *Miasto skazanych…*, dz. cyt., s. 141.

[41] Mary Berg, *Pamiętnik Mary Berg. Relacja o dorastaniu w warszawskim getcie*, przeł. Adam Tuz, Warszawa 2007 [ebook]. Cytowane słowa zanotowane zostały pod datą 20 kwietnia 1941.

[42] Tamże, 29 października 1941.

[43] Tamże.

[44] Tamże, 5 lipca 1942.

[45] Dane z zimy 1942. Zob. Barbara Engelking, *Kultura i rozrywka*, w: Barbara Engelking, Jacek Leociak, *Getto warszawskie…*, dz. cyt.

[46] Powołuję się tu na informacje z *Zapisu rozmów Stefanii Grodzieńskiej z Agatą Tuszyńską…*

[47] Jerzy Jurandot, *Miasto skazanych…*, dz. cyt., w: Jerzy Jurandot, Stefania Grodzieńska, *Miasto skazanych…*, dz. cyt., s. 71.

[48] *To nie deszcz, to ludzie. Halina Birenbaum w rozmowie z Moniką Tutak-Goll*, Warszawa 2019 [ebook]. Cytat pochodzi z rozdziału *Piwnice i strychy*.

[49] Tamże.

[50] Jerzy Jurandot, *Miasto skazanych…*, dz. cyt., w: Jerzy Jurandot, Stefania Grodzieńska, *Miasto skazanych…*, dz. cyt., s. 84.

[51] O Adzie Połomskiej zob. opowiadanie Jerzego Jurandota *Ada*, w: Jerzy Jurandot, Stefania Grodzieńska, *Miasto skazanych…*, dz. cyt.

[52] Zob. Dorota Sajewska, *Fałszować iluzji nie wolno*, w: Jerzy Jurandot, Stefania Grodzieńska, *Miasto skazanych…*, dz. cyt., s. 463. Warto przytoczyć dokładny cytat z tekstu, dotyczący Jerzego Jurandota: „W końcu z niemal siedemdziesięcioosobowego zespołu oprócz jego żony, Stefanii Grodzieńskiej, łódzkiego adwokata, jednej młodej aktorki i jednej tancerki, kierownika baletu Feminy, piosenkarki Wiery Gran oraz aktora Zygmunta Regry, przeżył jeszcze tylko autor tych wspomnień".

[53] Jerzy Jurandot, *Miłość tragiczna*, w: Jerzy Jurandot, Stefania Grodzieńska, *Miasto skazanych…*, dz. cyt., s. 290.

[54] Jerzy Jurandot, *Miasto skazanych…*, dz. cyt., w: Jerzy Jurandot, Stefania Grodzieńska, *Miasto skazanych…*, dz. cyt., s. 85.

[55] Tamże.

[56] Por. Yael Hersonski, *Niedokończony film*, 2010 [film]. Dokument bada materiały propagandowe nakręcone przez Niemców w getcie w maju 1942 roku, a także pokazuje fragmenty z filmu nakręconego w getcie w innej porze roku (prawdopodobnie zimą) – por. *Od Autorów*, w: Barbara Engelking, Jacek Leociak, *Getto warszawskie…*, dz. cyt.

[57] Zob. *Od Autorów*, dz. cyt., w: Barbara Engelking, Jacek Leociak, *Getto warszawskie…*, dz. cyt.

[58] Jerzy Jurandot, *Miasto skazanych…*, dz. cyt., w: Jerzy Jurandot, Stefania Grodzieńska, *Miasto skazanych…*, dz. cyt., s. 67.

[59] Tamże, s. 127.

[60] Te słowa Jerzy Jurandot pisał w połowie lat 70. Są fragmentem przedmowy do wspomnień z getta. Zob. Jerzy Jurandot, *Od Autora*, w: Jerzy Jurandot, Stefania Grodzieńska, *Miasto skazanych…*, dz. cyt., s. 30, 31.

[61] Tenże, *Miasto skazanych…*, dz. cyt., w: Jerzy Jurandot, Stefania Grodzieńska, *Miasto skazanych…*, dz. cyt., s. 53, 54.

[62] Jerzy Jurandot, *Ada*, w: Jerzy Jurandot, Stefania Grodzieńska, *Miasto skazanych…*, dz. cyt., s. 246, 247.

[63] Anna Majchrowska, *Nad jednym słowem siedzieć całymi dniami. Rozmawiamy z tłumaczami Archiwum Ringelbluma. Część pierwsza*, Żydowski Instytut Historyczny, jhi.pl, bit.ly/42sFgAa, dostęp: 8.04.2026.

[64] Jonas Turkow, *Warszawa się bawi…*, Centralna Biblioteka Judaistyczna, jhi.pl, bit.ly/4uUTDzY, dostęp w 2025 roku. Tekst jest też dostępny w tomie: *Archiwum Ringelbluma. Konspiracyjne Archiwum Getta Warszawy*, t. 26, oprac. Agnieszka Żółkiewska, Marek Tuszewicki, Warszawa 2017, s. 4–28.

[65] Odbywały się one kolejno w 1945, 1946 i 1949 roku. Por. np. Janusz R. Kowalczyk, *Wiera Gran – życie i twórczość*, Culture.pl, bit.ly/465CusO, dostęp: 16.08.2026.

[66] Wiera Gran, *Sztafeta oszczerców. Autobiografia śpiewaczki*, Paryż: wydane kosztem autorki, 1980.

[67] Jonas Turkow, *Warszawa się bawi…*, dz. cyt.

[68] Tamże.

[69] Tamże.

[70] Tamże.

[71] O imprezach dla dzieci zob. Jacek Leociak, *Opieka nad dziećmi*, w: Barbara Engelking, Jacek Leociak, *Getto warszawskie…*, dz. cyt.

[72] Jonas Turkow, *Warszawa się bawi…*, dz. cyt.

[73] Zob. *Festiwal dziecięcy*, „Gazeta Żydowska", nr 34, 29 kwietnia 1941.

[74] Jonas Turkow, *Warszawa się bawi…*, dz. cyt.

[75] Tamże.

[76] *Zapis rozmów…*, dz. cyt.

[77] Tamże.

[78] Powołuję się tu na moją rozmowę z osobą, z którą Stefania Grodzieńska poruszyła ten temat.

[79] *Zapis rozmów…*, dz. cyt.

[80] Tamże.

[81] *Zapis rozmów…*, dz. cyt.

[82] Jerzy Jurandot, *Miasto skazanych…*, dz. cyt., w: Jerzy Jurandot, Stefania Grodzieńska, *Miasto skazanych…*, dz. cyt., s. 45.

[83] Stefania Ney, *Dzieci getta*, rysunki Roman Kramsztyk, przedmowa Maria Dąbrowska, Warszawa 1947. W tekście będę odnosić się do wydania wierszy z tomu *Miasto skazanych*. Por. Stefania Grodzieńska, *Dzieci getta*, w: Jerzy Jurandot, Stefania Grodzieńska, *Miasto skazanych…*, dz. cyt.

[84] O historii *Dzieci getta* – zob. tekst Moniki Szabłowskiej-Zaremby, *„Dzieci getta" Stefanii Ney – historia pewnego tomiku wierszy*, w: *Zdeptane dzieciństwo. II wojna światowa i jej wpływ na los dzieci*, redakcja naukowa Alicja Bartuś, Piotr Trojański, Oświęcim 2017. Autorka analizuje w tekście oba wstępy do tomu, pokazując, jak ich autorzy – ze swoich

perspektyw – mierzyli się z próbą opisu doświadczenia Zagłady, kierując swoje rozważania ku szerszym problemom politycznym, narodowym i moralnym. Pomijam w tekście analizę tych wstępów, ponieważ nie znalazłam nigdzie informacji, jak Stefania Grodzieńska je odbierała – a to wydaje mi się w ich kontekście kluczowe.

85 Stefania Grodzieńska, *Dzieci getta*, rysunki Roman Kramsztyk, przedmowa Maria Dąbrowska, Warszawa 1947, s. 19.

86 Stefania Grodzieńska, *Dzieci getta…*, dz. cyt., w: Jerzy Jurandot, Stefania Grodzieńska, *Miasto skazanych…*, dz. cyt., s. 201.

87 Tamże, s. 214.

88 Jerzy Jurandot, *Miasto skazanych…*, dz. cyt., w: Jerzy Jurandot, Stefania Grodzieńska, *Miasto skazanych…*, dz. cyt., s. 126.

89 Por. *Niemieccy Żydzi w getcie warszawskim*, informacja o wykładzie dr Marii Ferenc, Żydowski Instytut Historyczny, jhi.pl, bit.ly/4ujeuwS, dostęp: 9.04.2026.

90 Jerzy Jurandot, *Miasto skazanych…*, dz. cyt., w: Jerzy Jurandot, Stefania Grodzieńska, *Miasto skazanych…*, dz. cyt., s. 130.

ROZDZIAŁ VIII

1 Por. *Choroba głodowa. Badania kliniczne nad głodem wykonane w getcie warszawskim z roku 1942*, red. Emil Apfelbaum, Warszawa 1946. Por. też np.: Wendy Spettigue i in., *The Psychological, Cognitive, and Behavioural Effects of Starvation in Humans: A Scoping Review*, „European Eating Disorders Review" 2025, onlinelibrary.wiley.com, bit.ly/4ul918J, dostęp: 9.04.2026. Por. też np. Dhir.

2 Jerzy Jurandot, *Miasto skazanych*, w: Jerzy Jurandot, Stefania Grodzieńska, *Miasto skazanych. 2 lata w warszawskim getcie. Dzieci getta*, autorska koncepcja dzieła: Agnieszka Arnold, Warszawa 2014, s. 131. Więcej na ten temat zob. tamże, s. 130, 131 i 137, 138.

3 Zostali osadzeni na Pawiaku. „Część zakładników zwolniono po paru godzinach, niektórych – po miesiącu, pozostałych – dopiero we wrześniu", napisze Barbara Engelking. Zob. taż, *Przebieg wielkiej akcji wysiedleńczej dzień po dniu*, w: Barbara Engelking, Jacek Leociak, *Getto warszawskie. Przewodnik po nieistniejącym mieście*, Warszawa 2013 [ebook].

4 Jerzy Jurandot, *Miasto skazanych…*, dz. cyt., w: Jerzy Jurandot, Stefania Grodzieńska, *Miasto skazanych…*, dz. cyt., s. 131.

5 Tamże, s. 139.

6 Tamże, s. 90–91.

[7] Zob. Ryszard Marek Groński, *Humorystka*, „Polityka" 2010, nr 19.
[8] Jerzy Jurandot, *Miasto skazanych…*, dz. cyt., w: Jerzy Jurandot, Stefania Grodzieńska, *Miasto skazanych…*, dz. cyt., s. 134.
[9] O roli Jasińskiego w przetrwaniu Jurandotów i jego wielokrotnej pomocy, w każdych okolicznościach – por. *Relacje. Jurandot Jerzy, Grodzieńska Stefania*, Archiwum Żydowskiego Instytutu Historycznego, sygn. 301/6305, 6311.
[10] Zob. Jerzy Jurandot, *Miasto skazanych…*, dz. cyt., w: Jerzy Jurandot, Stefania Grodzieńska, *Miasto skazanych…*, dz. cyt., s. 154.
[11] Zob. Krystyna Żywulska, *Pusta woda*, Warszawa 1963, s. 61.
[12] Tamże, s. 71.
[13] Julia Pańków, *Powiedz mi, jak się nazywam* w: Krystyna Żywulska, *Pusta woda. Z przedmową Stefanii Grodzieńskiej i posłowiem Julii Pańków*, Michałów-Grabina 2008, s. 192.
[14] Krystyna Żywulska, *Pusta woda…*, dz. cyt., s. 78.
[15] Zob. Jerzy Jurandot, *Miasto skazanych…*, dz. cyt., w: Jerzy Jurandot, Stefania Grodzieńska, *Miasto skazanych…*, dz. cyt., s. 165.
[16] Tamże, s. 170.
[17] Krystyna Żywulska, *Pusta woda…*, dz. cyt., s. 63, 64.
[18] Tamże, s. 63.
[19] Tamże.
[20] Tamże, s. 64, 65.
[21] Tamże, s. 67.
[22] Tamże.
[23] Krystyna Żywulska, *Pusta woda…*, dz. cyt., s. 119.
[24] Jerzy Jurandot, *Miasto skazanych…*, dz. cyt., w: Jerzy Jurandot, Stefania Grodzieńska, *Miasto skazanych…*, dz. cyt., s. 164.
[25] Stefania Grodzieńska, *Urodził go „Niebieski Ptak"*, Łódź 1999, s. 150.
[26] Pisał o tym Jerzy Jurandot. Zob. tenże, *Miasto skazanych…*, dz. cyt., w: Jerzy Jurandot, Stefania Grodzieńska, *Miasto skazanych…*, dz. cyt., s. 164.
[27] Stefania Grodzieńska, *Urodził go…*, dz. cyt., s. 151.
[28] Taż, *Nie ma z czego się śmiać*, współpraca autorska Joanna Jurandot-Nawrocka, Michałów-Grabina 2007, s. 65.
[29] Cyt. za: Karolina Dzięciołowska, *Janina Rechtleben-Wojciechowska: nie poszła do getta*, Muzeum Historii Żydów Polskich POLIN, Polscy Sprawiedliwi, sprawiedliwi.org.pl, bit.ly/4nNO6sM, dostęp: 10.04.2026.
[30] Stefania Grodzieńska, *Urodził go…*, dz. cyt., s. 158.
[31] Tamże.

[32] Tamże, s. 159.

[33] Jerzy Jurandot, *Miasto skazanych…*, w: Jerzy Jurandot, Stefania Grodzieńska, *Miasto skazanych…*, dz. cyt., s. 189.

[34] O Cholewińskiej obszernie pisała Stefania Grodzieńska w książce *Urodził go „Niebieski Ptak"*. Ratowanie życia osobom pochodzenia żydowskiego, a także działalność, którą prowadziła, narażając własne życie, potwierdza również teczka Cholewińskiej w Instytucie Pamięci Narodowej w Warszawie. Por. *Cholewińska Bronisława, Teczka P. 1063*, Archiwum Instytutu Pamięci Narodowej w Warszawie, sygn. IPN BU 392/948.

[35] Zob. *Legitymacja potwierdzająca zatrudnienie w stacji doświadczalnej „Mory", wystawiona na nazwisko Kazimierz Jarczyński*, archiwum rodzinne.

[36] Dwie pożółkłe kartki z wierszami – jedną gładką, drugą w linię, bez dat – znalazłam w teczce, w której przechowywane były także listy i materiały związane z Fryderykiem Járosym. Autorów i adresatów każdego z utworów rozpoznałam po kontekście i charakterze pisma Grodzieńskiej i Jurandota. Roboczo nazywam te teksty: *Wiersz Jerzego Jurandota do Stefanii Grodzieńskiej, Mory*; *Wiersz Stefanii Grodzieńskiej do Jerzego Jurandota, Gołąbki*, ASG.

[37] Jerzy Jurandot, *Miasto skazanych…*, dz. cyt., w: Jerzy Jurandot, Stefania Grodzieńska, *Miasto skazanych…*, dz. cyt., s. 39.

[38] Tamże.

[39] O spotkaniu z Janem Karskim opowiadała Stefania Grodzieńska Agacie Tuszyńskiej. *Zapis rozmów Stefanii Grodzieńskiej z Agatą Tuszyńską z 30 października 2000 i 5 stycznia 2008* [nie do publikacji, przekazany EP 9 stycznia 2025].

[40] Zob. Agnieszka Witkowska-Krych, *Smak gettowego życia 14. Restauracja „Adaś" – Leszno 19*, Muzeum Getta Warszawskiego, 1943.pl, 1943.pl, bit.ly/4dFernW, dostęp: 11.04.2026.

[41] Cyt. za tamże.

[42] Por. Jan Karski, *Zagadnienie Żydowskie w kraju (1940)*, Jan Karski i jego czasy, karski.muzhp.pl, bit.ly/43rzplq, dostęp: 11.04.2026.

[43] *Semiccy „bogowie" na polskim Olimpie. Teatry warszawskie były polskie tylko z nazwy*, „Nowy Kurier Warszawski" 1939, nr 58.

[44] Por. Jan Karski, *Getto*, w: *Tajne państwo. Opowieść o polskim Podziemiu*, przeł. Grzegorz Siwek, Kraków 2014 [ebook].

[45] Według ustaleń historyków przyjmuje się, że Karski wszedł do getta na przełomie sierpnia i września 1942 – por. Krzysztof Persak, *Historia*

Jana Karskiego (w świetle najnowszych badań), Muzeum Historii Żydów Polskich POLIN, Polscy Sprawiedliwi, bit.ly/401In2h, dostęp: 11.04.2026; Andrzej Żbikowski, *Jan Karski – bohater polskiego podziemia*, Żydowski Instytut Historyczny, jhi.pl, bit.ly/4x14biR, dostęp: 11.04.2026.

46 Zob. Sławomir Grünberg, *Karski i władcy ludzkości*, 2015 [film].

47 Por. Krzysztof Persak, *Historia Jana Karskiego…*, dz. cyt. i Andrzej Żbikowski, *Jan Karski…*, dz. cyt.

48 Jan Karski, *Getto*, w: tegoż, *Tajne państwo…*, dz. cyt.

49 Tamże.

50 Tamże.

51 Tamże.

52 Claude Lanzmann, *Shoah*, 1985 [film]. Powołuję się na fragmenty wykorzystane w dokumencie *Karski i władcy ludzkości* – zob. Sławomir Grünberg, *Karski i władcy…*, dz. cyt.

53 Sławomir Grünberg, *Karski i władcy…*, dz. cyt.

54 Por. Barbara Engelking, *Dane demograficzne o mieszkańcach getta*, w: Barbara Engelking, Jacek Leociak, *Getto warszawskie…*, dz. cyt. *Wykres 3* w tym rozdziale pokazuje ludność getta wg płci i wieku na koniec października 1942. Por. także Barbara Engelking, *Zaopatrzenie i handel po akcji*, w: Barbara Engelking, Jacek Leociak, *Getto warszawskie…*, dz. cyt., gdzie autorka pisze: „W getcie oficjalnie zostało ok. 35 tys. «użytecznych» Żydów, pracujących dla Niemców (*de facto* niemal 2-krotnie więcej). Zmieniła się struktura społeczna, a przede wszystkim atmosfera w getcie. Nikt nie miał już złudzeń co do zamiarów Niemców".

55 Jerzy Jurandot, *Miasto skazanych…*, dz. cyt., w: Jerzy Jurandot, Stefania Grodzieńska, *Miasto skazanych…*, dz. cyt., s. 180.

56 Tamże, s. 189.

57 Jerzy Jurandot, *Miłość tragiczna*, w: Jerzy Jurandot, Stefania Grodzieńska, *Miasto skazanych…*, dz. cyt., s. 295.

58 Krystyna Żywulska, *Pusta woda…*, dz. cyt., s. 91.

59 Jerzy Jurandot, *Miłość tragiczna…*, dz. cyt., w: Jerzy Jurandot, Stefania Grodzieńska, *Miasto skazanych…*, dz. cyt., s. 294.

60 Tamże, s. 296.

61 Stefania Grodzieńska, *Urodził go…*, dz. cyt., s. 176. Natalii poświęciła Grodzieńska osobny rozdział w tej książce (*Natalia*).

62 Wydarzeniom z marca Grodzieńska poświęciła osobny rozdział w książce *Urodził go „Niebieski Ptak"* (*17 marca 1944*). Zob. Stefania Grodzieńska, *Urodził go…*, dz. cyt., s. 185–190.

[63] Tamże, s. 188.

[64] Wydarzenia z 17 marca 1944 roku i dnia następnego opisuję na podstawie rozmów z Jackiem Kijkowskim, który uzupełnił je o nieodnotowane we wspomnieniach Grodzieńskiej informacje. Pan Jacek nie pamięta obecności Jerzego Jurandota w tym czasie w Gołąbkach. Dlatego – mimo że Grodzieńska wspominała odwiedziny męża w tle wydarzeń (w książce *Urodził go „Niebieski Ptak"*) – w tekście pomijam wątek Jurandota.

[65] Stefania Grodzieńska, *Urodził go…*, dz. cyt., s. 190.

[66] *Liścik Piotra Kijkowskiego do Stefanii Grodzieńskiej*, Gołąbki, ASG.

[67] *Wierszyk na urodziny Gabriela Kijkowskiego*, Gołąbki, ASG.

[68] *8 dób*, ASG.

[69] Zob. Stefania Grodzieńska, *Już nic nie muszę. W ścisłej współpracy z Beatą Kęczkowską*, Łódź 2000, s. 96.

ROZDZIAŁ IX

[1] *Dowód osobisty na nazwisko Stefania Joanna Grabowska*, archiwum rodzinne. W tym konspiracyjnym dokumencie jako miejsce urodzenia wpisano ukraiński Kowel, a jako miejsce wydania miasteczko Dziewieniszki w powiecie Oszmiana. Dowód był antydatowany na 1938 rok.

[2] Wojciech Marczyk, *Poznajmy się: Spotkanie ze Stefanią Grodzieńską*, audycja radiowa, emisja: 10.11.1985, Archiwum Polskiego Radia.

[3] Powołuję się tu na tekst Jacka Kijkowskiego o Stefanii Grodzieńskiej, udostępniony mi 4 sierpnia 2025 roku.

[4] Stefania Grodzieńska, *Nie ma z czego się śmiać*, współpraca autorska Joanna Jurandot-Nawrocka, Michałów-Grabina 2007, s. 77.

[5] Stefania Grodzieńska, *Urodził go „Niebieski Ptak"*, Łódź 1999, s. 195.

[6] Tamże, s. 196.

[7] Wspominała o tym Grodzieńska m.in. w książce *Nie ma z czego się śmiać*. Zob. Stefania Grodzieńska, *Nie ma z czego…*, dz. cyt., s. 81–82.

[8] Zob. tamże, s. 82.

[9] *Kalendarzyk-notatnik Marii Rodziewiczówny z 1944 r.*, sygn. 13 5499/I, Dział Rękopisów Ossolineum.

[10] Informację podaję za przywoływanym przez Grodzieńską w jej książkach wspomnieniem, które za pośrednictwem Jerzego Ficowskiego przekazało jej Biuro Studiów Wojskowych Komendy Głównej Armii Krajowej. Por. np. Stefania Grodzieńska, *Już nic nie muszę. W ścisłej współpracy z Beatą Kęczkowską*, Łódź 2000, s. 87, 88.

[11] Fragment piosenki cytuję za: *List Hanny Langner-Matuszczyk z wierszem Jerzego Jurandota „Żołnierzu – panienko"*, „Pruszkowskie Wieści" 2023, nr 8, mbc.cyfrowemazowsze.pl, bit.ly/4dXyOy4co, dostęp: 14.04.2026.

[12] Zob. m.in. Stefania Grodzieńska (tekst), Andrzej Pruski (realizacja), Jan Piasecki (opracowanie), *Lubelskie dni – proszę mówić, słuchamy*, audycja radiowa, emisja: 20.07.1974, Archiwum Polskiego Radia.

[13] Stefania Grodzieńska, *Nie ma z czego…*, dz. cyt., s. 83.

[14] Tamże.

[15] Tamże, s. 84.

[16] Tamże, s. 85.

[17] Tamże.

[18] Zob. Ignacy Szczepański, *Minio*, 2000 [film]. Dalsze informacje o Januszu Minkiewiczu w tym akapicie pochodzą także głównie z tego filmu.

[19] Tę scenę przywoływała Stefania Grodzieńska wielokrotnie w swoich wspomnieniach mówionych i pisanych. W tym miejscu czerpię z rytmu i słów, którymi Grodzieńska opowiadała o tym wydarzeniu w audycji radiowej *Zapiski ze współczesności* w 1996 roku. Zob. Jerzy Jurandot (tekst), Stefania Grodzieńska (tekst), Witold Malesa (opracowanie), *Zapiski ze współczesności: Stefania Grodzieńska*, audycja radiowa, emisja: 11.03.1996–15.03.1996, Archiwum Polskiego Radia.

[20] Tadeusz Chabros, *Kawiarnia pod Koziołkiem*, audycja radiowa, Radio Lublin, emisja: 19.11.1959, Archiwum Polskiego Radia Lublin.

[21] Krystyna Kotowicz, *Po prostu Grodzieńska*, audycja radiowa, Radio Lublin, emisja: 1.04.2002, Archiwum Polskiego Radia Lublin.

[22] Odtworzone przeze mnie początki historii lubelskiego radia i tło historyczne zapamiętane przez mieszkańców ówczesnego miasta – por. m.in. następujące audycje radiowe: Tadeusz Chabros, *Kawiarnia pod…*, dz. cyt.; Krystyna Kotowicz, Barbara Jurkiewicz, *Lublin słowem malowany. Wywiad z uczestnikami I Zjazdu Związku Literatów Polskich*, audycja radiowa, emisja: 6.09.1974, Archiwum Polskiego Radia Lublin; Stanisław Fornal, *„Pszczółka" nasza antenatka*, audycja radiowa, Radio Lublin, emisja: 1.08.1987, Archiwum Polskiego Radia Lublin; Tadeusz Tłuczkiewicz, *Wspomnienia Stefanii Grodzieńskiej*, audycja radiowa, data nagrania: 22.07.1985, Archiwum Polskiego Radia Lublin; Krystyna Kotowicz, *Ze wspomnień Stefanii Grodzieńskiej*, audycja radiowa, Radio Lublin, emisja: 10.08.1984, Archiwum Polskiego Radia Lublin; Stanisław Fornal, *Profesje i pasje pani Stefanii*, audycja radiowa, emisja: 9.10.1994,

Archiwum Polskiego Radia Lublin; Krystyna Kotowicz, *Po prostu Grodzieńska…*, dz. cyt.

[23] Stanisław Fornal, *„Pszczółka" nasza antenatka…*, dz. cyt.

[24] Krystyna Kotowicz, Barbara Jurkiewicz, *Lublin słowem malowany…*, dz. cyt.

[25] Tamże.

[26] Krystyna Kotowicz, *Po prostu Grodzieńska…*, dz. cyt.

[27] *W stołecznym Lublinie*, audycja radiowa, data nagrania: 6.11.1959, Archiwum Polskiego Radia Lublin.

[28] Krystyna Kotowicz, *Ze wspomnień…*, dz. cyt. Dalsze cztery cytaty, będące kontynuacją tego samego dialogu, także pochodzą z tej audycji.

[29] *W stołecznym Lublinie…*, dz. cyt.

[30] Tamże.

[31] Zob. tamże.

[32] Tamże.

[33] Tamże.

[34] Krystyna Kotowicz, *Ze wspomnień…*, dz. cyt.

[35] Stanisław Fornal, *Profesje i pasje pani Stefanii…*, dz. cyt.

[36] Stefania Grodzieńska (tekst), Andrzej Pruski (realizacja), Jan Piasecki (opracowanie), *Lubelskie dni…*, dz. cyt.

[37] Krystyna Kotowicz, *Ze wspomnień…*, dz. cyt.

[38] Stefania Grodzieńska (tekst), Andrzej Pruski (realizacja), Jan Piasecki (opracowanie), *Lubelskie dni…*, dz. cyt.

[39] Bogusław Czajkowski, *Polskie Radio Lublin 1944*, audycja radiowa [materiał roboczy], nagranie: 1974, Archiwum Polskiego Radia w Warszawie.

[40] Krystyna Kotowicz, *Po prostu Grodzieńska…*, dz. cyt.

[41] Por. Stanisław Fornal, *Profesje i pasje pani Stefanii…*, dz. cyt.

[42] Tadeusz Tłuczkiewicz, *Wspomnienia Stefanii…*, dz. cyt.

[43] Stefania Grodzieńska, *Gdzie jest ul. Narutowicza*, „Robotnik", 8 grudnia 1944.

[44] Taż, *Zaradna*, „Robotnik", 20 grudnia 1944. Trzeci z tekstów, które ukazały się w grudniu w „Robotniku" to: St. Grabowska, *„Pan pozwoli ognia"*, „Robotnik", 10 grudnia 1944.

[45] Stefania Grodzieńska, *Zaradna…*, dz. cyt.

[46] Tamże.

[47] Dane o zarobkach zob. Stanisław Fornal, *Profesje i pasje pani Stefanii…*, dz. cyt. Dla porównania: Stanisław Jerzy Lec, major Ludowego Wojska Polskiego, w grudniu 1944 roku zarobił 700 złotych za jeden radiowy występ.

[48] Zob. Krystyna Kotowicz, *Po prostu Grodzieńska…*, dz. cyt.
[49] Stefania Grodzieńska, *Już nic nie muszę…*, dz. cyt., s. 96.
[50] Mili Szczęsna, *Ich warto poznać: Stefania Grodzieńska i Jerzy Jurandot*, audycja radiowa, emisja: 8.07.1964, Archiwum Polskiego Radia.
[51] Tamże.
[52] Tamże.
[53] Zob. tamże.
[54] Tamże.
[55] Jerzy Jurandot (tekst), Stefania Grodzieńska (tekst), Witold Malesa (opracowanie), *Zapiski ze współczesności…*, dz. cyt.
[56] Mili Szczęsna, *Ich warto…*, dz. cyt.
[57] Por. Stanisław Fornal, *„Pszczółka" nasza antenatka…*, dz. cyt.
[58] Zob. Stefania Grodzieńska, *Już nic nie muszę…*, dz. cyt., s. 39.
[59] Mili Szczęsna, *Ich warto…*, dz. cyt. W czasie swojej wizyty w Ministerstwie Kultury i Sztuki Jurandot został także przedstawiony Wincentemu Rzymowskiemu, o czym pisał w książce *Dzieje śmiechu*. Zob. Jerzy Jurandot, *Dzieje śmiechu*, Warszawa 1965, s. 70. Notował to spotkanie również w tekście *Lublin w „tamtych dniach"*, opublikowanym w broszurze programowej do spektaklu Stefanii Grodzieńskiej i Jerzego Jurandota, *Ballada o tamtych dniach*, wystawianego w Teatrze im. Wandy Siemaszkowej w Rzeszowie (premiera 17 lipca 1971 roku).
[60] Mili Szczęsna, *Ich warto…*, dz. cyt.
[61] Tamże.
[62] Tamże.
[63] Tamże.
[64] Tamże.
[65] Tamże.

ROZDZIAŁ X

[1] Barbara Grębecka (autorka audycji), Agnieszka Walewicz (realizacja), *Już nic nie muszę – świąteczne spotkanie ze Stefanią Grodzieńską*, audycja radiowa, emisja: 23.03.2008, Archiwum Polskiego Radia. To właśnie Groński zapamiętał niecodzienną i oryginalnie zapinaną szubę Grodzieńskiej, jej pełen makijaż i uśmiech. Wspominał też o góralskich kapeluszach, butach na drewnianych obcasach, problemach ze skórą, ubraniach z UNRRY, paltach przerabianych z mundurów żołnierskich i farbowanych płaszczach. Punktem wyjścia do mojego opisu łódzkiej ulicy są więc zapamiętane przez niego migawki, które

pogłębiam zgodnie z informacjami historycznymi. Makijaż Grodzieńskiej opisałam na podstawie jej zdjęcia w pierwszych programach Syreny.

[2] Stefania Grodzieńska (tekst), Andrzej Pruski (realizacja), Jan Piasecki (opracowanie), *Lubelskie dni – proszę mówić, słuchamy*, audycja radiowa, emisja: 20.07.1974, Archiwum Polskiego Radia.

[3] Stefania Grodzieńska, *Przedmowa*, w: Krystyna Żywulska, *Pusta woda. Z przedmową Stefanii Grodzieńskiej i posłowiem Julii Pańków*, Michałów-Grabina 2008, s. 10.

[4] Na tę ostatnią informację uwrażliwiła mnie pani Katarzyna Pawłowska-Horna, jedna z osób, z którymi rozmawiałam w czasie pracy nad tą książką.

[5] Stefania Grodzieńska, *Przedmowa…*, dz. cyt., w: Krystyna Żywulska, *Pusta woda…*, dz. cyt., s. 11.

[6] Jerzy Jurandot, *Dzieje śmiechu*, Warszawa 1965, s. 102.

[7] Mili Szczęsna, *Ich warto poznać: Stefania Grodzieńska i Jerzy Jurandot*, audycja radiowa, emisja: 8.07.1964, Archiwum Polskiego Radia.

[8] Tamże.

[9] Cyt. za: Jerzy Jurandot, *Dzieje śmiechu…*, dz. cyt., s. 104.

[10] Tamże, s. 105.

[11] Tamże.

[12] Jerzy Jurandot (tekst), Stefania Grodzieńska (tekst), Witold Malesa (opracowanie), *Zapiski ze współczesności: Stefania Grodzieńska*, audycja radiowa, emisja: 11.03.1996–15.03.1996, Archiwum Polskiego Radia.

[13] Dane wynikają z mojej kwerendy w Archiwum Teatru Syrena w Warszawie i z opracowania o udziale Stefanii Grodzieńskiej w spektaklach w Łodzi i w Warszawie, przygotowanego dla mnie przez pana Łukasza Barszcza, kierownika działu administracji teatru, któremu serdecznie dziękuję za pomoc. Zob. w *Bibliografii*: *Spis łódzkich premier Teatru Syrena – spektakle grane na scenie przy ul. Traugutta 1, skrzyżowanie z ul. Piotrkowską (sala Grand Hotelu)*, Archiwum Teatru Syrena w Warszawie i *Spektakle Teatru Syrena grane w Warszawie, ul. Litewska 3 (obecna siedziba)*, Archiwum Teatru Syrena w Warszawie.

[14] Jerzy Jurandot, *Dzieje śmiechu…*, dz. cyt., s. 113.

[15] Tamże, s. 113–114.

[16] Tamże, s. 114.

[17] Tamże, s. 113.

[18] Tamże, s. 117.

[19] Tamże, s. 121.

[20] *Polska Kronika Filmowa 65/45A*, 35mm.online, bit.ly/4nnro5G, dostęp: 15.04.2026.
[21] Eryk Lipiński, *Pamiętniki*, Warszawa 2016 [ebook].
[22] Iwona Rotter (autorka audycji), Stefania Grodzieńska (autorka tekstu), *Prywatnie u Stefanii Grodzieńskiej*, audycja radiowa, emisja: 30.04.1989, Archiwum Polskiego Radia.
[23] Spektakl według tekstu Roberta Riskina, w opracowaniu Łukasza Kobrzyńskiego i Jerzego Jurandota – i reżyserii Kazimierza Pawłowskiego, miał premierę 17 września 1949 roku.
[24] Irena Krzywicka, *„Wydźwięk" amerykański*, „Rzeczpospolita", 27 września 1949.
[25] *Kalendarz terminowy Stefanii Grodzieńskiej, 1945 rok*, ASG.
[26] Zob. Eryk Lipiński, *Pamiętniki…*, dz. cyt.
[27] Dane z reklamy w archiwalnym programie teatru – *Programy łódzkich spektakli Teatru Syrena*, Archiwum Teatru Syrena w Warszawie.
[28] Zob. Izabela Bożyk, *Funkcjonowanie i kadry Miejskiego Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego w Kielcach (1945–1946)*, „Studia Muzealno-Historyczne" 2024, t. 16, mhki.kielce.eu, bit.ly/4ur5hJu, dostęp: 16.04.2026.
[29] *Ile należy płacić za mięso, tłuszcz i wędliny*, „Dziennik Łódzki", nr 136, 18 maja 1946.
[30] Justyna Dudek, *Uposażenie funkcjonariuszy aparatu bezpieczeństwa w latach 1944–1956 – wybrane zagadnienia i problemy*, „Aparat represji w Polsce Ludowej 1944-1989" 2024, nr 22, czasopisma.ipn.gov.pl, bit.ly/4dVzmVc, dostęp: 16.04.2026.
[31] Barbara Grębecka (autorka audycji), Walewicz Agnieszka (realizacja), *Już nic nie muszę – świąteczne spotkanie ze Stefanią Grodzieńską*, audycja radiowa, emisja: 23.03.2008, Archiwum Polskiego Radia.
[32] Nazwisko okupacyjne mamy Krystyny Żywulskiej, przy którym została po wojnie.
[33] Dane dotyczące nakładów – zob. Katarzyna Wrona, *Zmiana formuły „Przekroju" w latach 2000–2013*, „Acta Universitatis Lodziensis" 2015, nr 2 (28).
[34] Jerzy Jurandot, *Dzieje śmiechu…*, dz. cyt., s. 97.
[35] Stefania Grodzieńska, *Nie ma z czego się śmiać*, współpraca autorska Joanna Jurandot-Nawrocka, Michałów-Grabina 2007, s. 117.
[36] Barbara Grębecka (autorka audycji), Walewicz Agnieszka (realizacja), *Już nic nie muszę…*, dz. cyt.
[37] Stefania Grodzieńska, *Rozmówki. Ilustrowała Ha-Ga*, Poznań 1949.
[38] Tamże, s. 7. Przy omawianych i cytowanych tekstach satyrycznych podaję jedynie numer strony otwierającej dany utwór w tomie.

[39] Tamże, s. 116.
[40] Utwór pierwotnie ukazał się w „Przekroju". *Tragedia astralna*, „Przekrój" 1948, nr 183.
[41] Stefania Grodzieńska, *Rozmówki…*, dz. cyt., s. 77.
[42] Tamże, s. 80.
[43] Tamże, s. 88.
[44] Tamże, s. 96.
[45] Tamże, s. 108.
[46] Tamże, s. 114.
[47] Tamże, s. 134.
[48] Tamże, s. 136.
[49] Tamże, s. 153.
[50] Tamże, s. 155.
[51] Tamże, s. 183.
[52] Tamże, s. 200.
[53] Tamże, s. 187.
[54] Tamże, s. 241.
[55] Tamże, s. 233.
[56] Stefania Grodzieńska, *Co zrobić z mężem w czasie świąt?*, w: tejże, *Rozmówki…*, dz. cyt., s. 233.
[57] Zob. Chan Yu-Chen i in., *Amygdala-frontoparietal effective connectivity in creativity and humor processing*, „Human Brain Mapping" 2023, nr 44 (6), bit.ly/4ag7tex, dostęp: 16.04.2026.
[58] Zob. Jacob Brawer, Ori Amir, *Mapping the 'funny bone': neuroanatomical correlates of humor creativity in professional comedians*, „Social Cognitive and Affective Neuroscience" 2021, nr 16 (9), academic.oup.com, bit.ly/4tmhLiw, dostęp: 16.04.2026.
[59] Oba określenia zob. *Godzina szczerości. Widowisko artystyczne*. Prowadzenie Krzysztof Turowski, program TV, emisja: 16.04.1995, Archiwum Telewizji Polskiej.
[60] Halina Szopska, *Prywatnie u Stefanii Grodzieńskiej*, audycja radiowa, emisja: 10.01.1988, Archiwum Polskiego Radia.
[61] Andrzej Wróblewski, Maria Żabicka, *Monografie: Stefania Grodzieńska*, audycja radiowa, emisja: 8.09.1985, Archiwum Polskiego Radia.
[62] Stefania Grodzieńska, *Rozmówki…*, dz. cyt., s. 247.
[63] Tamże, s. 265.
[64] Tamże, s. 280.
[65] Tamże, s. 294.
[66] Stefania Grodzieńska, *Norymberga*, „Szpilki" 1945, nr 42.

[67] Zob. Stefania Grodzieńska w Bazie Archiwa Arolsen – Międzynarodowe Centrum Badania Prześladowań Nazistowskich (wydruki, 19 kart), w tym m.in. *Akta Centralnego Komitetu Żydów Polskich*: *Wykaz alfabetyczny Żydów Polskich* (Warszawa), a także zapisy na listach *Surviving Jews in Lublin* (Nowy Jork) oraz *Register of Jewish Survivors* (Jerozolima), Archiwum Instytutu Pamięci Narodowej w Warszawie.

[68] Manifest PKWN z 22 lipca 1944 r.

[69] Por. *1945. Nie koniec, nie początek*, wystawa Anny Bikont w Muzeum Historii Żydów Polskich POLIN, 2025, a także: Anna Bikont, *Nie koniec, nie początek. Powojenne wybory polskich Żydów*, Wołowiec 2025.

[70] Cytat przywołuję za wystawą: *1945. Nie koniec, nie początek…*, dz. cyt.

[71] Tak brzmiała ostateczna nazwa instytucji od maja 1946 roku.

[72] Zob. Mirosław Szumiło, *Kobiety jako „szare eminencje" w komunistycznej elicie władzy w Polsce*, „Res Historica" 2018, nr 45.

[73] Dane za: Mirosław Szumiło, *„Żydokomuna" w aparacie władzy „Polski Ludowej". Mit czy rzeczywistość?*, „Pamięć i Sprawiedliwość" 2018, nr 2; Krzysztof Szwagrzyk, *Żydzi w kierownictwie UB. Stereotyp czy rzeczywistość?*, „Biuletyn Instytutu Pamięci Narodowej" 2005, nr 11.

[74] Por. jako pogłębiony kontekst historyczny: Kamil Kijek, *Between Ethnic Democracy, Authoritarianism and Violence: Inter-War Experiences and Jewish Socio-Political Stances in Early Post-War Poland*, „Contemporary European History" 2025, t. 34, nr 3.

[75] Pisząc o wystawach, powołuję się na informacje z obejrzanej przeze mnie ekspozycji, która bardzo ciekawie pokazała ten temat – *On Displaying Violence: First Exhibitions on the Nazi Occupation in Europe 1945–1948*, Deutsches Historisches Museum in cooperation with the Documentation Centre „German Occupation of Europe in the Second World War" (ZWBE), Berlin 2025.

[76] Marian Pankowski, *Stefania Grodzieńska, czyli teatr ludzi prawdziwych*, „Oficyna Poetów" 1977, nr 1.

[77] Tamże, s. 13–14.

[78] *List Stefanii Grodzieńskiej do Mariana Pankowskiego*, 15 marca 1977, sygn. rękopisu: 19442/23, Zakład Rękopisów Biblioteki Narodowej.

ROZDZIAŁ XI

[1] Stefania Grodzieńska, *Druga na linie*, „Przekrój" 1963, nr 960. Cała scena otwierająca rozdział jest symboliczna. Budując ją, opierałam się właśnie na tym felietonie i na opisanym w nim sposobie przeżywania

wspinaczki. Znalazłam go w archiwum Stefanii Grodzieńskiej (zob. *Bibliografia*, Grodzieńska Stefania, *Druga na linie*, wycinek z odręcznymi poprawkami, ASG) – zawierał skreślenia i poprawki Grodzieńskiej, zaś imię mężczyzny, które w druku brzmi Marek, zostało konsekwentnie zmienione na Wawrzyniec. Traktuję ten oparty na grotesce felieton jako ważny materiał osobisty, dlatego ocalam z niego możliwą warstwę autobiograficznych doświadczeń. W samym tekście wspinaczka okazuje się snem – łączę ją z udokumentowanym wejściem Grodzieńskiej na Wielicki Szczyt. W scenie posiłkuję się też informacjami o Wielickim Szczycie i Dolinie Litworowej m.in. z książki Wawrzyńca Żuławskiego *Trylogia tatrzańska*, Warszawa 2015 [ebook], a także z własnego researchu na temat krajobrazu i ścieżek wokół doliny. Wreszcie opieram się na analizie zachowanych w archiwum zdjęć z wypraw górskich.

2 W rejestrze przejść taternickich Stefanii Grodzieńskiej znalazłam tylko jeden zapis o zdobywaniu Wielickiego Szczytu – z 10 sierpnia 1949 roku. Pozwalam sobie więc osadzić akcję tej sceny w sierpniu. Zob. *Rejestr przejść taternickich Stefanii Grodzieńskiej*, *Pamiątki tatrzańskie Stefanii Grodzieńskiej*, ASG.

3 Opis mężczyzny wpatrującego się w ściany i szukającego kominów itd. opieram na obserwacjach Żuławskiego dot. Doliny Litworowej i Litworowych Turni w *Trylogii tatrzańskiej* Wawrzyńca Żuławskiego. Zob. Wawrzyniec Żuławski, *Skalne lato*, w: tegoż, *Trylogia…*, dz. cyt.

4 Stefania Grodzieńska, *Druga na linie…*, dz. cyt.

5 Tamże.

6 Tamże.

7 Tamże.

8 Tamże.

9 Tamże.

10 W pudełku z tatrzańskimi pamiątkami Stefanii Grodzieńskiej, w którym zachowało się kilkadziesiąt zdjęć, rejestr przejść taternickich i pojedyncze dokumenty, znalazłam zdjęcie bez daty, które przedstawiało Grodzieńską w takiej właśnie pozie. Na jego odwrocie był podpis: „Nad Litworowym Stawem" – zob. *Zdjęcia*, *Pamiątki tatrzańskie Stefanii Grodzieńskiej*, ASG.

11 Zob. *Pegaz: Wawrzyniec Żuławski*, program TV, emisja: 23.08.1987, Archiwum Telewizji Polskiej. W filmie wypowiadała się Stefania Grodzieńska; korzystam między innymi z informacji przez nią podawanych.

12 Grażyna Wielowieyska, *Podróże sentymentalne: Stefania Grodzieńska*, audycja radiowa, emisja: 20.10.1991, Archiwum Polskiego Radia.

[13] Jerzy Jurandot, *W Chamonix po roku*, „Taternik" 1959, nr 4, s. 42.
[14] Grażyna Wielowieyska, *Podróże sentymentalne…*, dz. cyt.
[15] Tamże.
[16] Tamże.
[17] Tamże.
[18] Zob. np. *Pismo do Departamentu Ogólno-Administracyjnego* MBP *z 22 maja 1954 roku*, *Pamiątki tatrzańskie Stefanii Grodzieńskiej*, ASG. W piśmie jest mowa o przepustkach otrzymanych w latach 1953 i 1952. W 1955 roku pismo zostało skierowane do Ministra Spraw Wewnętrznych (MBP już nie istniało).
[19] Grażyna Wielowieyska, *Podróże sentymentalne…*, dz. cyt.
[20] Tamże.
[21] *Pamiątki tatrzańskie Stefanii Grodzieńskiej…*
[22] *Pegaz: Wawrzyniec Żuławski…*, dz. cyt.
[23] Grażyna Wielowieyska, *Podróże sentymentalne…*, dz. cyt.
[24] Tamże.
[25] Tamże.
[26] Tamże.
[27] Tamże.
[28] *Kartki pocztowe*, *Pamiątki tatrzańskie Stefanii Grodzieńskiej*, ASG.
[29] *Kartka pocztowa Stefanii Grodzieńskiej do Jerzego Jurandota*, data stempla pocztowego nieczytelna, na awersie widok: Vysoké Tatry – Vých. Vysoká 2429 m, Svišťový štít 2380 m, Sesterské plesa, ASG.
[30] *Kartka pocztowa Stefanii Grodzieńskiej do Jerzego Jurandota*, 1949, na awersie widok: Vysoké Tatry – Stanica lanovky na Lomnickom štíte 2634 m n. m., ASG.
[31] Tamże.
[32] *Kartka pocztowa Stefanii Grodzieńskiej do Jerzego Jurandota*, data stempla nieczytelna, na awersie widok: Vysoké Tatry – Sliezsky dom, 1678 m n. m., ASG.
[33] *Kartka pocztowa Stefanii Grodzieńskiej do Jerzego Jurandota*, data stempla nieczytelna, na awersie widok: Vysoké Tatry – Oľgin štít 2212 m s Mengusovským hrebeňom a Mengusovským štítom 2437 m., ASG.
[34] Mowa tu oczywiście o *Archiwum Stefanii Grodzieńskiej w posiadaniu Beaty Kęczkowskiej* (ASG), do którego się cały czas odnoszę.
[35] Stefania Grodzieńska, *Męki popularności*, „Przekrój" 1950, nr 272.
[36] Taż, *Spotkanie ze mną*, Warszawa 1966.
[37] Barbara Grębecka (autorka audycji), Walewicz Agnieszka (realizacja), *Już nic nie muszę – świąteczne spotkanie ze Stefanią Grodzieńską*, audycja radiowa, emisja: 23.03.2008, Archiwum Polskiego Radia.

[38] Zob. Ignacy Szczepański, *Minio*, 2000 [film].
[39] Tamże.
[40] Tamże.
[41] Stefania Grodzieńska, *Już nic nie muszę. W ścisłej współpracy z Beatą Kęczkowską*, Łódź 2000, s. 156.
[42] *Aktorzy i literaci udają się w podróż po Polsce*, Polska Kronika Filmowa 28/48, Repozytorium Cyfrowe Filmoteki Narodowej, repozytorium.fn.org.pl, bit.ly/4wIovJ3, dostęp: 17.04.2026.
[43] Janusz Minkiewicz, *Opowiadanie samby*, „Przekrój" 1954, nr 18, s. 7.
[44] Zob. Ignacy Szczepański, *Minio…*, dz. cyt.
[45] Tamże.
[46] Stefania Grodzieńska, *Już nic nie muszę…*, dz. cyt., s. 157.
[47] *Stefania Grodzieńska o Pradze*, „Nowa Czechosłowacja" 1955, nr 12.
[48] *Satyrycy czechosłowaccy na Śląsku*, „Trybuna Robotnicza", nr 290, 6 grudnia 1955.
[49] Powołuję się tu na wypowiedź Stefanii Grodzieńskiej z audycji radiowej – Barbara Dzięgielewska (opracowanie), Magdalena Wojtulanis (realizacja), *Goście muzycznej jedynki: Stefania Grodzieńska (część 3)*, audycja radiowa, emisja: 14.01.1994, Archiwum Polskiego Radia.
[50] Tamże.
[51] Tamże.
[52] Jerzy Jurandot, *W Chamonix po roku…*, dz. cyt., s. 40.
[53] Tamże.
[54] Tamże.
[55] Scenopis znajduje się w zbiorach rękopisów Biblioteki Narodowej: *„Deszczowy lipiec". Scenopis: Leonard Buczkowski*, Warszawa 1957, sygn. akc. 16856, Zakład Rękopisów Biblioteki Narodowej.
[56] Por. Aleksander Jackiewicz, *Przyjemny, chociaż deszczowy lipiec*, „Trybuna Ludu", 26 lutego 1958; Jan Budkiewicz, *Chciałoby się czegoś więcej*, „Głos Pracy" 1958, nr 48; Stanisław Janicki, *Wesoły i smutny, czyli „Deszczowy lipiec"*, „Żołnierz Wolności" 1958, nr 49; *W rytmie deszczu*, „Głos Robotniczy" 1958, nr 55.
[57] Grażyna Wielowieyska, *Podróże sentymentalne…*, dz. cyt.
[58] Por. np. *„Ja i Ty". Grodzieńska kręci film w Czechosłowacji*, „Express Wieczorny" 1957, nr 43.
[59] *Jurandot i Grodzieńska. Rozmawiamy z „satyrycznym małżeństwem"*, „Ilustrowany Kurier Polski" 1957, nr 156.
[60] *Drodzy Czytelnicy!*, „Żona. Dwutygodnik Stefanii Grodzieńskiej", nr 5, 26 lutego 1955.
[61] *Kącik małżeński*, „Żona", nr 4, 12 lutego 1955.

[62] *Czytelnicy współpracują*, „Żona", nr 1, 1 stycznia 1955.

[63] Zob. np. *Rozstrzygnięcie „konkursu dla trzeźwych"*, „Żona", nr 18, 9 lipca 1955.

[64] *Listy. „Żona"*, notes, ASG.

[65] Mili Szczęsna, *Ich warto poznać: Stefania Grodzieńska i Jerzy Jurandot*, audycja radiowa, emisja: 8.07.1964, Archiwum Polskiego Radia. Wszystkie cytaty – do końca dialogu z 1966 roku o minionych dwudziestu latach życia Stefanii Grodzieńskiej i Jerzego Jurandota – pochodzą z tej rozmowy radiowej.

[66] Fragmenty tej korespondencji publikuję za zgodą wnuka i spadkobiercy Stefanii Grodzieńskiej, Michała Jurandota, a także Beaty Kęczkowskiej, która dysponuje archiwum Grodzieńskiej. Nie udało mi się ustalić, kto mógł odziedziczyć autorskie prawa majątkowe do utworów Járosyego. Jego spuścizna znajduje się w zbiorach PAN. Anna Mieszkowska, biografka Fryderyka Járosyego, która zmarła w 2025 roku, podkreślała w jednej z rozmów, że nikt nie ma praw majątkowych. Dzieci Fryderyka zmarły bezpotomnie, a potomkowie jego braci i sióstr żyją w wielu krajach. Zob. Mirela Tomczyk, *Jak to z tablicą pamiątkową poświęconą Fryderykowi Járosyemu będzie?* stare-kino.pl, https://bit.ly/4wom5iQ, dostęp: 23.08.2026.

[67] *List Fryderyka Járosyego do Stefanii Grodzieńskiej i Jerzego Jurandota*, Londyn, listopad 1946, ASG.

[68] Tamże.

[69] Tamże.

[70] Tamże.

[71] Tamże.

[72] *List Fryderyka Járosyego do Stefanii Grodzieńskiej i Jerzego Jurandota*, Londyn, 5 maja 1956, ASG.

[73] *List Fryderyka Járosyego do Stefanii Grodzieńskiej*, 30 października 1958 roku, ASG.

[74] *List Fryderyka Járosyego do Stefanii Grodzieńskiej*, bez daty, z dopiskiem Grodzieńskiej: „Odpowiedź na prezent: własnoręcznie wykonaną laleczkę z całą wyprawą – bielizna, stroje. Stefania", ASG.

[75] Motyw lalki, widoczny też w liście z maja 1956 roku, jest elementem wewnętrznego kodu i silnie wiążących wspomnień.

[76] *List Fryderyka Járosyego do Stefanii Grodzieńskiej i Jerzego Jurandota*, Londyn, 31 stycznia 1959 roku, ASG.

[77] Tamże.

[78] Tamże.

[79] *List Fryderyka Járosyego do Stefanii Grodzieńskiej i Jerzego Jurandota*, Londyn, 22 lutego 1959 roku, ASG.

[80] Stefania Grodzieńska, *Urodził go „Niebieski Ptak"*, Łódź 1999, s. 201.

[81] *List Fryderyka Járosyego do Stefanii Grodzieńskiej i Jerzego Jurandota*, Londyn, 21 marca 1959 roku, ASG.

[82] *Pismo z podziękowaniem Obwodowego Komitetu Frontu Narodowego nr 92 do Stefanii Grodzieńskiej-Jurandot z 7 grudnia 1954 roku*, ASG.

[83] *Mój program wyborczy*, „Express Wieczorny", 2 listopada 1954.

[84] *Stefania Grodzieńska: wyścigi samochodowe, Moje największe tegoroczne przeżycie sportowe*, „Sportowiec" 1955, numer świąteczny – na podstawie wycinka z ASG.

[85] Zob. np. *Przed kamerą telewizyjną*, „Radio i Sztuka" 1956, nr 43.

[86] *Mówi kibic: Pierwsza kobieta w naszej rubryce*, „Przegląd Sportowy" 1957, nr 185.

[87] *Tel-Aviv–Warszawa. Telefoniczny wywiad „Expressu" ze Stefanią Grodzieńską*, „Express Wieczorny", 8 lutego 1958.

[88] Irena Łubaszewska, *Jak Arab mówił... po polsku. Opowiada po powrocie*, „Express Wieczorny", nr 49, 26 lutego 1958.

[89] Stefania Grodzieńska, *Tajemnica pralni nr 981*, w: tejże, *Kieszonkowe tragedie*, Warszawa 1958.

[90] Taż, *Wesoluszki*, w: tejże, *Kieszonkowe...*, dz. cyt.

[91] Taż, *Umiałam żyć*, w: tejże, *Kieszonkowe...*, dz. cyt.

[92] *8 razy dieta*, „Uroda" 1959, październik – na podstawie wycinka z ASG.

[93] Krystyna Różycka, *Kobieta w „Kobiecie": Stefania Grodzieńska*, „Kobieta i Życie" 1960, nr 34.

[94] Zbigniew Zapert, *Lato w Warszawie: Stefania Grodzieńska podlewa... kwiatki, a Jerzy Jurandot odrabia zaległości w lekturze czasopism*, „Express", 6 sierpnia 1960.

[95] *Dobry wieczór! Dziś pozdrawia Was Stefania Grodzieńska*, „Wieczór", 18 grudnia 1960.

[96] *Spis powszechny trwa*, „Ilustrowany Kurier Polski" 1960, nr 294.

[97] *„Różowy sweter" w ZSRR*, „Sztandar Młodych" 1960, nr 288.

[98] Powołuję się na list od wieloletniego czytelnika z Izraela, który wysłał wycinek „Haarec" z recenzją słuchowiska „Ja i Ty", zresztą w jego reżyserii i opracowaniu. „To po prostu pean, przede wszystkim na Pani cześć", pisze ów czytelnik. *List od czytelnika z Izraela z wycinkiem z „Haarec"*, 16 marca 1961, ASG.

[99] Grodzieńska powołuje się na artykuł Elżbiety Drzewińskiej pt. *W kręgu Kwadratu i Trapezu*, numer nieustalony.

[100] *Odpowiedź Stefanii Grodzieńskiej*, „Odra" 1961, nr 9.

[101] *Przeciętne miesięczne wynagrodzenie w gospodarce narodowej w latach 1950–2024*, Główny Urząd Statystyczny, stat.gov.pl, bit.ly/4nNL47Q, dostęp: 19.04.2026.

[102] Por. Aleksander Łodygowski, *Listy do redakcji: Wspomnienia czy... złudzenia*, „Polityka"1963, nr 25.

[103] Podkreślał to już „Sztandar Młodych", zapowiadając druk powieści w odcinkach – powołuję się na wycinek prasowy: *„Wspomnienia chałturzystki" są autentyczne*, „Sztandar Młodych", bez daty, ASG.

[104] *Błyskawiczna ankieta. Tylko jedno pytanie*, „Express Wieczorny", 27 grudnia 1964.

[105] *Top o Janie B.*, „Przekrój", 20 czerwca 1965.

[106] *Polska Kronika Filmowa 65/43B*, 35mm.online, bit.ly/3PwDVfo, dostęp: 15.04.2026.

[107] Jan Brzechwa, *Obserwatorium bywalca. Dla kobiet i kobieciarzy*, „Przyjaciółka" 1966, nr 27.

[108] Tamże.

[109] Lucjan Fogiel, *Nasz fotoreporter u S. Grodzieńskiej i J. Jurandota*, „Życie Warszawy" 1958, nr 37.

[110] *Liścik Joanny Jurandot do rodziców*, bez daty, ASG.

[111] Witold Malesa (autor audycji), Andrzej Złomski (realizacja), Stefania Grodzieńska (autorka tekstu), *Kawałki Stefanii Grodzieńskiej*, audycja radiowa, emisja: 29.04.2001, Archiwum Polskiego Radia.

ROZDZIAŁ XII

[1] Por. np. *Słownik współczesnych pisarzy polskich*, opracował zespół pod redakcją Ewy Korzeniewskiej, t. 1: A-I, *Bibliografia literatury polskiej „Nowy Korbut"*, Warszawa 1963; *Polscy pisarze współcześni. Informator 1944–1970*, opracował Lesław M. Bartelski, Warszawa 1972.

[2] Stefania Grodzieńska, *Nie ma z czego się śmiać*, współpraca autorska Joanna Jurandot-Nawrocka, Michałów-Grabina 2007, s. 15.

[3] Tamże.

[4] Tamże.

[5] Zob. Anna Bikont, Kamil Kijek, *1945. Nie koniec, nie początek*, Warszawa 2025, s. 128. Informacje o liczbie Żydów w Polsce w pierwszych powojennych latach por. także Anna Bikont, *„My, przypadkowo ocaleli"*, w: tejże, *Nie koniec, nie początek. Powojenne wybory polskich Żydów*, Wołowiec 2025 [ebook]. Pod koniec czerwca 1946 roku w Polsce żyło

około 220 tys. Żydów. Około 100 tys. wyjechało po pogromie. Zob. Anna Bikont, Kamil Kijek, *1945. Nie koniec, nie początek…*, dz. cyt., s. 199.

6 Zob. Anna Bikont, Kamil Kijek, *1945. Nie koniec, nie początek…*, dz. cyt., s. 224.

7 Jacek Andrzejewski, Tadeusz Andrzejewski, *Do czytelników*, w: Krystyna Żywulska, *Przeżyłam Oświęcim*, Warszawa 2012, s. 361.

8 *Grodzieńska-Jurandot Stefania*, Stołeczny Urząd Spraw Wewnętrznych w Warszawie [1944] 1983–1990, Archiwum Instytutu Pamięci Narodowej w Warszawie, sygn. IPN BU 0224/610.

9 Tamże.

10 Tamże.

11 Tamże.

12 Tamże.

13 Tamże.

14 Cytuję przedruk tekstu z książki *Ten jest z ojczyzny mojej*. Zob. Jerzy Jurandot, *Trzeci klimat*, w: *Ten jest z ojczyzny mojej. Polacy z pomocą Żydom 1939–1945*, oprac. Władysław Bartoszewski i Zofia Lewinówna, Kraków 1969, s. 673–675.

15 Tamże, s. 675.

16 Agnieszka Arnold, *Wstęp*, w: Jerzy Jurandot, Stefania Grodzieńska, *Miasto skazanych. 2 lata w warszawskim getcie. Dzieci getta*, autorska koncepcja dzieła: Agnieszka Arnold, Warszawa 2014, s. 13.

17 Tę informację przywołuję za książką *Urodził go „Niebieski Ptak"*. Zob. Stefania Grodzieńska, *Urodził go „Niebieski Ptak"*, Łódź 1999, s. 196.

18 Joanna Jurandot-Nawrocka, *List*, w: Jerzy Jurandot, Stefania Grodzieńska, *Miasto skazanych…*, dz. cyt., s. 21.

19 Tamże, s. 21, 22.

20 Tamże, s. 22.

21 Tamże.

22 *Teczka „Ballada o tamtych dniach"*, zawierająca wycinki prasowe, korespondencję z teatrami i broszury programowe do spektaklu, ASG.

23 Jerzy Jurandot, *Lublin i Łódź w „tamtych dniach"*, broszura programowa do spektaklu *Ballada o tamtych dniach*, Teatr im. Stefana Jaracza w Łodzi, sezon 1968/1969, w: *Teczka „Ballada o tamtych dniach"…*, dz. cyt.

24 Zob. *Polska Kronika Filmowa 70/10A*, 35mm.online, bit.ly/4a53Kdl, dostęp: 15.04.2026.

25 *Akta paszportowe: Grodzieńska-Jurandot Stefania*, Archiwum Instytutu Pamięci Narodowej w Warszawie, sygn. IPN BU 1005/26879.

[26] *List Stefanii Grodzieńskiej do Jerzego i Joanny Jurandotów*, Paryż, 13 maja 1972, ASG.

[27] Stefania Grodzieńska, *Już nic nie muszę. W ścisłej współpracy z Beatą Kęczkowską*, Łódź 2000, s. 149.

[28] *List Stefanii Grodzieńskiej do Jerzego i Joanny Jurandotów*, Paryż, 13 maja 1972, dz. cyt.

[29] Archiwum TVP w 2025 roku zapisze aż 179 programów, w których Stefania miała swój udział w różnych funkcjach – z czego większość to nie rola uczestniczki. Powołuję się tu na kwerendę własną i zamówione w TVP dwa *Raporty z bazy STAR*.

[30] *List Stefanii Grodzieńskiej do Jerzego i Joanny Jurandotów*, Paryż, bez daty, ASG.

[31] M.in. *Zaproszenie dla Jerzego Jurandota na śniadanie wydane z okazji 75-lecia urodzin Jarosława Iwaszkiewicza*, Warszawa, 24 lutego 1969, ASG; *Zaproszenie w pięćdziesiątą rocznicę ślubu. Anna i Jarosław Iwaszkiewiczowie proszą uprzejmie p. Jerzego Jurandota z Małżonką na podwieczorek w Stawisku*, 12 września 1972, ASG; *Zaproszenie na otwarcie wystawy poświęconej Jarosławowi Iwaszkiewiczowi w Muzeum Literatury w Warszawie*, 18 lutego 1974, ASG.

[32] *List Jarosława Iwaszkiewicza do Jerzego Jurandota*, Stawisko, 10 lutego 1972, ASG.

[33] Joanna Jurandot-Nawrocka, *Wypracowanie Joanny*, w: Stefania Grodzieńska, *Już nic nie muszę…*, dz. cyt., s. 50.

[34] Tamże, s. 51.

[35] Tamże, s. 55.

[36] Tamże, s. 56, 57.

[37] Stefania Grodzieńska, *Już nic nie muszę…*, dz. cyt., s. 47.

[38] Agnieszka Arnold, *Wstęp…*, dz. cyt., w: Jerzy Jurandot, Stefania Grodzieńska, *Miasto skazanych…*, dz. cyt., s. 14.

[39] Joanna Jurandot-Nawrocka, *List…*, dz. cyt., w: Jerzy Jurandot, Stefania Grodzieńska, *Miasto skazanych…*, dz. cyt., s. 26.

[40] Stefania Grodzieńska, *Już nic nie muszę…*, dz. cyt., s. 47.

[41] Joanna Jurandot-Nawrocka, *Wspomnienie. Ryszard Nawrocki (1940–2001)*, „Gazeta Wyborcza – Poznań" 2011, nr 168; Encyklopedia Teatru, bit.ly/43c27H4, dostęp: 21.04.2026.

[42] *Jerzy Jurandot opowiada „Expressowi" o chemii, prozie, komedii i piosenkach*, „Express Wieczorny", 24 marca 1978.

[43] Wojciech Marczyk, *Poznajmy się: Spotkanie ze Stefanią Grodzieńską*, audycja radiowa, emisja: 10.11.1985, Archiwum Polskiego Radia.

[44] Wszystkie cytowane zdania o getcie pochodzą z rozdziału *Reichsdeutsch w getcie*. Zob. Stefania Grodzieńska, *Urodził go „Niebieski Ptak"*, Łódź 1999, s. 139–141.

[45] Tamże, s. 195.

[46] Stefania Grodzieńska, *Kawałki męskie, żeńskie i nijakie. W serdecznej współpracy z Beatą Kęczkowską i Joanną Jurandot-Nawrocką*, Łódź 2001.

ROZDZIAŁ XIII

[1] Por. np. *Godzina szczerości. Widowisko artystyczne*. Prowadzenie Krzysztof Turowski, program TV, emisja: 16.04.1995, Archiwum Telewizji Polskiej; Magda Umer, *Ich pierwsze miłości: Stefania Grodzieńska*, program TV, emisja: 2.03.1999, Archiwum Telewizji Polskiej; Barbara Czajkowska, *Muzyka i okolice. Glenn Miller*, program TV, rok produkcji: 1986, Archiwum Telewizji Polskiej.

[2] *Godzina szczerości…*, dz. cyt.

[3] Tamże.

[4] Tamże.

[5] Tamże.

[6] Tamże.

[7] Tamże.

[8] Tamże.

[9] Opowiedziała mi o tym Katarzyna Pawłowska-Horna.

[10] *Rozdział 5*, w: *Prezydent. Aleksander Kwaśniewski w rozmowie z Aleksandrem Kaczorowskim*, Kraków 2023 [ebook].

[11] Por. Mirosław Tryczyk, *Miasta śmierci. Sąsiedzkie pogromy Żydów*, Warszawa 2015 i Mirosław Tryczyk, *Drzazga. Kłamstwa silniejsze niż śmierć*, Kraków 2020.

[12] Ryszard Nycz, *Jak opisać doświadczenie, którego nie ma?*, „Teksty Drugie" 2004, nr 5.

[13] Tamże, s. 5.

[14] *Z Eryniami w zmowie*, Joanna Tokarska-Bakir w rozmowie z Weroniką Szczawińską, „Didaskalia" 2009, nr 90.

[15] Stefania Grodzieńska, *Już nic nie muszę. W ścisłej współpracy z Beatą Kęczkowską*, Łódź, s. 23.

WYKAZ ŹRÓDEŁ ILUSTRACJI

s. 8, 84, 89, 161, 163, 248, 251, 254, 257, 344 – archiwum rodzinne Michała Jurandota
s. 26, 40, 53, 57, 62, 69, 96, 144, 174, 178, 196, 199, 203, 208, 211, 212, 215, 219, 223, 224, 229, 243, 246, 259, 262, 265, 268, 271, 275, 277, 287, 290, 292, 297, 302, 304, 315, 327, 330 – fot. Archiwum Stefanii Grodzieńskiej / East News
s. 48 – ze zbiorów Narodowego Archiwum Cyfrowego
s. 72, 75 – ze zbiorów Archiwum Państwowego Obwodu Kowieńskiego
s. 114 – ze zbiorów Archiwum Państwowego w Warszawie, sygn. 4232
s. 295 – fot. Lucjan Fogiel / East News
s. 318 – fot. Danuta B. Łomaczewska / East News

Wydawnictwo Marginesy dołożyło należytej staranności w rozumieniu art. 335 par. 2 kodeksu cywilnego w celu odnalezienia aktualnych dysponentów autorskich praw majątkowych do zdjęć i korespondencji opublikowanych w książce. Z uwagi na to, że przed oddaniem niniejszej książki do druku nie odnaleziono niektórych autorów zdjęć, wydawnictwo Marginesy zobowiązuje się do wypłacenia stosownego wynagrodzenia z tytułu wykorzystania zdjęć aktualnym dysponentom autorskich praw majątkowych niezwłocznie po ich zgłoszeniu do wydawnictwa Marginesy.

INDEKS

Indeks zawiera nazwiska i imiona osób występujących w tekście, przypisach dolnych i podpisach pod ilustracjami (numery tych stron są wyróżnione). W indeksie zostały użyte następujące skróty: d. – domu, pseud. – pseudonim, v. – voto, właśc. – właściwie, zw. – zwana/zwany.

Abramek, dziecko żydowskie 141
Adam, pierwszy mąż 51, 55 · *53*
Adwentowicz Karol 60, 61, 214
Adzia, dziecko żydowskie 141
Andrus Artur 43, 185, 274, 323, 339, 342, 345
Andrzejek, mieszkaniec schronu 88
Andrzejewski Jerzy 308
Andrzejewski Leon 213
Andrzejewski Tadeusz 150
Arnold Agnieszka 108–110, 310, 322, 333, 335
Auerbach Rachela 240

Bacewicz Grażyna 29, 56
Balzac Honoré de 76, 102
Baran Wanda 155, 180
Bardini Aleksander 31, 32
Bardówna Zofia, *patrz* Zawadzka Zofia Wanda
Barszczewska Grażyna 100, 323, 345
Bart Wanda 216
Bartók Béla 45
Bauman Janina, z d. Lewinson 165
Beck Jadwiga 47
Berg Mary 126
Biel Stanisław 273
Bielenia Jerzy 267
Bielicka Hanka (właśc. Anna Weronika) 222, 270, 291, 293, 331
Bierut Bolesław 192, 193
Billig Wilhelm 188, 189, 191, 192, 198, 202
Billing-Wohl Halina 195
Birenbaum Halina 127, 128
Blumenfeld Diana 119, 135
Boczkowski Jerzy 64
Borejsza Jerzy 221
Boy-Żeleński Tadeusz, *patrz* Żeleński Tadeusz
Brandys Marian 267, 308
Broniewski Władysław 269, 340
Brusikiewicz Kazimierz 222, 269, 291
Brzechwa Jan (właśc. Jan Wiktor Lesman) 63, 269, 270, 278, 299, *333 · 219*
Brzechwa Janina, 1° v. Serocka, z d. Magajewska 270

Buczkowski Leonard 273
Bujaner Frajda (Franciszka), *patrz* Halpern Frajda
Bujaner Szoel Mordka (zw. Maksymilianem) 10, 11, 27, 28, 30, 31, 36, 37, 143, 186, 313, 331 · *26*, *344*
Byron George 23, 54

Celan Paul 76
Chabros Tadeusz 189, 193, 200
Cholewińska Bronisława (zw. Niusią) 160, 180, 308, 325
Chopin Fryderyk 54
Cooper Gary 222
Cyrankiewicz Józef 221
Czajkowski Piotr 15, 113
Czechow Anton 326
Czerniaków Adam 126, 131, 146
Czubaszek Maria 340

Damięcki Grzegorz 100
Dawid, dziecko żydowskie 141, 142
Dąbrowska Maria 141
Dickens Charles 64
Dobrzański Stanisław 218
Drobner Mieczysław 205
Duszyński Jerzy 291, 293
Dymsza Adolf (właśc. Adolf Bagiński) 60, 218, 221, 269, 270
Dziewoński Edward 206, 207, 214, 216

Edelman Marek 333
Eile-Kwaśniewski Marian 230
Elżbieta II, królowa Wielkiej Brytanii 316
Engelking Barbara 79, 107, 276, 334, 336

Feiner Leon 167
Fogg Mieczysław 30, 112, 264
Fokszański Leonid (zw. Lolkiem) 52, 139
Ford Aleksander 202
Fostel Symcha 111
Frank Hans 98, 239
Frankfurter Felix 169

Gancwajch Abraham 119
Gandhi Mahatma 232
Gary Romain (właśc. Roman Kacew) 23, 77
Gielcer Jekaterina 16
Gleichgewicht Sabina (Sabcia) 64, 95, 102–104, 106, 311, 325
Gleichgewicht Tadeusz (zw. Pickwickiem) 64, 95, 102, 104, 150, 311, 325
Gleichgewicht Zofia *patrz* Zawadzka Zofia Wanda
Goldfeder Adolf 139
Gomułkowa Zofia (Liwa), z d. Szoken 241
Göring Hermann 239
Gorski Aleksander 15
Gozdawa Zdzisław 216
Górska Stefania 155, 216, 217, 267, 286
Górzyński Zdzisław 206
Graber Dawid 124
Grabowska Stefania Joanna, *patrz* Grodzieńska Stefania
Gran Wiera (właśc. Dwojra Grynberg) 42, 50, 51, 67, 112, 119, 135, 137–139, 244, 272, 335
Grodensky Michel, ojciec 11–14, 52, 79, 80, 99, 313, 314 · *8*
Grodzieńska Basza, z d. Gincburg, babka 11

Grodzieńska Eleonora, *patrz* Ney Eleonora
Grodzieńska Stefania (pseud. Jolanta Stefania Grabowska, Stefania Ney) *passim*
Grodzieński Michał, *patrz* Grodensky Michel
Grodzieński Nuchim, dziadek 11
Grohman Ludwik 36
Groński Ryszard Marek 210, 266
Groński Stanisław 273
Gross Jan Tomasz 336
Grynberg Dwojra, *patrz* Gran Wiera
Grynberg Stefa 50
Gucewicz Krystyna 27, 331, 334, 339
Gutman Israel 335

Halama Loda (właśc. Leokadia Leoniłła) 286
Halpern Frajda (zw. Franciszką), 1° v. Ney, 2° v. Bujaner, babka 9–11, 21, 27, 30, 31, 37, 45, 82, 143, 313 · *26*
Halpern Sophie 82, 83
Hannelore, koleżanka z internatu 18
Hemar Marian 46, 63, 65, 342
Henryk, kolega z gimnazjum 52, 298
Hercygier Maria, *patrz* Ney Maria
Herse Bogusław 44, 47
Herszek, dziecko żydowskie 141
Hess Rudolf 239, 240
Hilary, adorator 116, 126, 129, 130, 140, 171–173
Hirsch Marianne 338
Hirszfeld Józef 118
Hitler Adolf 85, 214, 216, 239
Hoffmanowa, właścicielka domu 99
Höfle Hermann 146
Hugo Victor 23, 76

Ilse, koleżanka z internatu 18, 20
Ipohorska Janina 266 · *265*
Iwaszkiewicz Anna 317 · *318*
Iwaszkiewicz Jarosław 316, 317 · *318*

Jabłkowska Krystyna 34
Jabłońska Irena, *patrz* Ostrowska Helena
Jankiel, dziecko żydowskie 141
Jankowski Wacław 216
Janowska Alina 216, 331
Jaracz Stefan 309
Jarczyński Kazimierz, *patrz* Jurandot Jerzy
Járosy Fryderyk (pseud. Franciszek Nowaczek) 47, 56, 59, 61, 66–68, 70, 71, 85–88, 91, 93, 101–104, 139, 149, 154–157, 159, 179–181, 197, 201, 221, 280–282, 284–286, 288, 308, 325, 326, 333 · *48*
Jasiński Wacław 149
Jeż Teodor Tomasz, *patrz* Miłkowski Zygmunt
Jędrusik Kalina 298
Joos Kurt 49
Józio, dziecko żydowskie 141
Jurandot Jan 324
Jurandot Jerzy (właśc. Jerzy Gleichgewicht, pseud. Kazimierz Jarczyński), mąż 27, 56, 61, 63–65, 67, 70, 86–88, 90, 92–95, 97, 99, 101, 102, 104–113, 115–121, 123–125, 127–134, 138, 140, 142, 146, 148–151, 153, 154, 158–160, 162, 164, 165, 170–173, 176, 179–181,

183, 185, 194, 197, 200–202, 204–207, 210, 213, 214, 216–218, 220–222, 225, 226, 230, 244, 250, 252, 255, 256, 260, 263, 266, 267, 270, 273, 276, 279–283, 285, 286, 288, 294, 296, 301, 306–313, 316, 317, 319–324, 326, 333, 335 · *57, 96, 114, 161, 243, 277, 318*
Jurandot Michał, wnuk 27, 56, 81, 106, 323, 324, 328, 329, 331, 334, 339, 345, 348, 349 · *327*
Jurandot-Nawrocka Joanna, córka 20, 78, 110, 175, 217, 227, 228, 255, 261, 263, 282, 284, 288, 300, 301, 303, 307, 310, 311, 313, 314, 316, 317, 319, 320, 322–324, 331, 333, 335, 342, 345 · *229, 243, 246, 259, 262, 277, 302*
Jurek, dziecko żydowskie 141
Jusupow Feliks, książę 103
Jużny, konferansjer 18

Kafka Franz 54
Kálmán Emmerich (Imre) 116, 118, 121, 122
Kama, przyjaciółka 35, 313
Karski Jan (właśc. Jan Romuald Kozielewski) 165–170, 337
Kęczkowska Beata 330, 337, 340, 349
Kijkowska Zofia 158, 164, 170, 171, 173, 175, 266, 282, 308–310, 325
Kijkowski Gabriel 158, 164, 171, 175, 176, 282, 325
Kijkowski Jacek 157–160, 164, 171, 173, 175, 176, 266, 267 · *163*
Kijkowski Piotr 157, 164, 176 · *163*
Kirszenbaum Menachem 167
Kopaliński Władysław 339
Korzeniewski Bohdan 99, 100
Kozłowska Stanisława (właśc. Stanisława Landau) 35, 227 · *259*
Krzywicka Irena 222
Kwaśniewski Aleksander 336
Kwiatkowska Irena 222, 267, 270, 291

Landau Sonia (Zofia), *patrz* Żywulska Krystyna
Landau Stanisława, *patrz* Kozłowska Stanisława
Landau Stefan 150, 151
Lanzmann Claude 169, 337
Lec Stanisław Jerzy 225
Leociak Jacek 107
Lerska Natalia 293
Lewinson Zofia 165
Lipiński Eryk 221, 225, 239
Lolek, sympatia 35
Lord Niki 119
Lutogniewski Zbigniew 193
Lutosławski Witold 253, 255

Łapińska Wanda 260
Ławniczak Aleksandra 343

Mann Franciszka 50, 119, 138, 139
Mann Thomas 54
Margot, koleżanka z internatu 18, 20
Marianowicz Antoni 267, 278
Marysia, córka słuchaczki 194
Mieszkowska Anna 342
Miłkowski Zygmunt (pseud. Teodor Tomasz Jeż) 158
Miłosz Czesław 99
Minkiewicz Janusz 184–188, 194, 264, 267, 269, 270, 333 · *271*

Minowicz Edmund 71, 108, 110, 119, 122, 126, 135
Mirska-Grudzińska Hanna 343
Mitzner Zbigniew 141
Młynarski Wojciech 341
Modzelewska Maria 46
Moszkowicz Franciszek 50
Mościcka Maria 44
Mrożek Sławomir 278
Mussolini Benito 81, 308

Nałkowska Zofia 94
Natalia, mieszkanka Gołąbek 173, 325
Nawrocki Ryszard 301, 308, 323
Neü Abram Icek, dziadek 9, 10
Ney Eleonora, 1° v. Grodzieńska, 2° v. Volpe, matka 11–14, 16, 17, 19, 20, 22–25, 46, 47, 49, 73–78, 80–82, 108, 194, 272, 305, 314 · *8*, *72*
Ney Frajda, *patrz* Halpern Frajda
Ney Maria, z d. Hercygier, ciotka 27, 45, 46, 143
Ney Mieczysław, wuj 27, 37, 45, 46, 143
Ney Stefania, *patrz* Grodzieńska Stefania
Ney, rodzina 186
Nireńska Pola 166
Nowaczek Franciszek, *patrz* Járosy Fryderyk
Nowodworska Aleksandra 193
Nycz Ryszard 337

Oleksy Józef 332
Olsza Tadeusz 267
Ordonówna Hanka (właśc. Marianna Tyszkiewicz) 44, 46, 47, 60, 61, 63, 68, 71, 283, 333
Orłowski Tadeusz 253, 255
Osiecka Agnieszka 298
Ostrowska Helena (pseud. Irena Jabłońska) 121, 128, 159, 173, 175, 186, 282, 325, 334
Ostrowska Joanna (zw. Zosią) 159, 175, 176, 325

Pakulscy, właściciele sklepu 90
Pankowski Marian 245, 326
Pańczyszyn Elżbieta, *patrz* Pawłowska Elżbieta
Paryska Zofia 256
Paryski Witold H. 256
Pawłowska Elżbieta, z d. Pańczyszyn 78, 79, 227, 228, 260, 345
Pawłowska-Horna Katarzyna 78, 227, 228, 231, 244, 258, 260, 261, 263, 276, 288, 305, 317, 319–321, 323, 345
Pawłowski Kazimierz 269
Pawłowski Lech 227
Pietraszkiewicz Jerzy 293
Piłsudski Józef (pseud. Wiktor) 29, 33
Pniewski Bohdan 107
Pogorzelska Zula 60
Polański Roman 337
Połomska Ada 126, 128, 134
Poznański Izrael 11
Prusicka Irena 39, 42–45, 47, 49–51, 60, 74, 116, 131, 166 · *40*
Pryssewicz Janina 28, 29, 34
Pullman Szymon 118
Pytaszowa Stefania (zw. Funią) 181, 182, 310

Rabelais François 245
Raszeja Franciszek 146

Rechtleben-Wojciechowska Janina 155, 282, 284, 286
Regro Zygmunt (właśc. Salomon Regirer) 108
Rentgen Marian (właśc. Marian Güntner) 68, 70, 71
Ringelblum Emanuel 123, 131, 136
Robert, mąż przyjaciółki 313
Rochacka Agnieszka 154, 155
Rochacki Romuald 154, 155
Rodziewiczówna Maria 183
Rolleczek Natalia 299
Roosevelt Franklin Delano 169
Rosenberg Alfred 239
Rowicki Witold 253, 255
Rubik Andrzej 182, 184
Rubik Krystyna 182, 184
Rubinsztajn Leopold 110
Rudzki Kazimierz 221
Rutka, dziecko żydowskie 141, 142
Rzymowski Wincenty 205
Rżewski Aleksy 27

Sadurski Leopold 267
Sakowska Ruta 109
Sartre Jean-Paul 267
Scheibler Karol 36
Schiller Leon 214, 218, 220
Sempoliński Ludwik 68, 82, 218
Shakespeare William 214
Sibelius Jean (właśc. Johan) 45, 61
Sigalina Klaudia 39
Sikirycki Igor 193
Skłodowska-Curie Maria 308
Słonimski Antoni 63
Słowacki Juliusz 54, 214
Sokorski Włodzimierz 221
Sokrates 278
Spielberg Steven 347
Stalin Józef 241
Starzyński Stefan 85, 88, 92, 93
Stefan, przyjaciel z młodości 313
Stępień Wacław 216
Stock (Stok) Jolanta 141, 142, 159
Stock Szymon 142, 159
Stroop Jürgen 147
Stryjeńska Zofia 49
Sygietyńki Tadeusz 218
Sym Igo 59
Szaflarska Danuta 331
Szczygielski Marcin 54, 55
Szekspir William, *patrz* Shakespeare William
Szelburg-Zarembina Ewa 60
Szlengel Władysław 139
Szoken Liwa, *patrz* Gomułkowa Zofia
Szpilman Władysław 139, 337
Sztatler Julian 270, 293
Sztaudynger Jan 299
Szymanowski Karol 54

Śliwicki Józef 108

Terné Zofia 60, 68, 71, 87, 101, 286
Tokarska-Bakir Joanna 338
Tom Konrad 46
Torbicka Grażyna 331
Trepkowski Tadeusz 239
Truskolascy, rodzina 100
Tryczyk Mirosław 336
Turkow Jonas 134–137
Turowski Krzysztof 331
Tuszyńska Agata 335
Tutak-Goll Monika 127
Tuwim Julian 46, 63, 65, 82, 119, 120, 218, 281, 283

Ukniewska Maria 58, 66
Umer Magda 15
Uziembło Henryk 54

Volpe Eleonora, *patrz* Ney Eleonora
Volpe Mikhail (Mykolas, Misza) 16, 17, 19–21, 46, 47, 49, 73, 74, 81, 82 · *75*
Volpe Siergiej 82
Voltaire (właśc. François-Marie Arouet) 288

Waksmacher Ignacy 51
Wałęsa Lech 332, *336*
Wasilewska Wanda 192
Wasowski Jerzy 312
Wells Herbert George 169
Wertyński Aleksander 77
Wesby Iwo (właśc. Ignacy Singer) 103, 118, 120, 126
Wesołowski Eugeniusz 54
Węgierko Aleksander 46, 126
Wiechecki Stefan (pseud. Wiech) 264
Wiewiórska Helena 12
Wigman Mary 43, 166
Witt Regina 151
Wohl Stanisław 195, 202
Wolińska Krystyna 216
Wrotnowsky Natalia von 281
Wysocka Tacjanna 49
Wyspiański Stanisław 54

Zajbert Aron 38
Zajbert Hersz 38
Zajbertowie, rodzina 38
Zawadzka Magdalena 56, 301, 303, 343
Zawadzka Zofia Wanda, z d. Gleichgewicht (pseud. Zofia Bardówna) 64, 95, 149, 155, 179, 180, 183, 325 · *96*
Zimińska Mira 218
Znicz Michał 108, 110, 135
Zosia, dziecko żydowskie 141, 142
Zuchowczowie, mieszkańcy Gołąbek 175

Żabczyński Aleksander 46
Żeleński Tadeusz (pseud. Boy) 102
Żelichowska Lena 68, 197
Żeromski Stefan 282
Żółkiewska Agnieszka 134
Żuławska Kazimiera 273
Żuławski Jerzy 250
Żuławski Juliusz 253, 255
Żuławski Wawrzyniec 250, 252, 253, 255, 256, 258, 260, 270, 272, 273, 333 · *248*
Żywulska Krystyna (właśc. Sonia Landau, zw. Zosią) 34, 35, 78, 116–118, 122, 124, 129, 150–152, 154, 172, 210, 213, 227, 244, 281, 282, 286, 306, 325, 334 · *246*, *259*

SPIS TREŚCI

ROZDZIAŁ I • **9**
Lublin 1861 • Stołpce 1868 • Sandomierz 1887 • Łódź 1886, 1914 • Genewa 1907

ROZDZIAŁ II • **15**
Moskwa 1917 • Berlin-Charlottenburg 1917–1920/1921

ROZDZIAŁ III • **25**
Łódź 1920/1921–1932

ROZDZIAŁ IV • **39**
Warszawa 1932–1939 • Łódź: ciągle w tle • Paryż na chwilę • Zakopane, połowa lat trzydziestych

ROZDZIAŁ V • **73**
Moskwa 1919 • Kowno 1920–1922, 1939–1941 • Paryż 1922 – druga połowa lat trzydziestych • Genewa 1933 • Bruksela 1938 • Nowy Jork 1946

ROZDZIAŁ VI • **85**
Warszawa • sierpień 1939 – czerwiec 1941 • miasto podzielone na dwie części

ROZDZIAŁ VII • **115**
Teatr Femina • warszawskie getto • czerwiec 1941 – sierpień 1942

ROZDZIAŁ VIII • **145**
Warszawa • Gołąbki • Mory • lipiec 1942 – marzec 1944

ROZDZIAŁ IX • **179**
Mory • Warszawa • Józefów • Otwock • Lublin • Łódź • wiosna 1944 – wiosna 1945

ROZDZIAŁ X • **209**
Łódź 1945–1948 • Warszawa 1948–1950 (i epizodycznie później)

ROZDZIAŁ XI • **249**
Tatry 1948–1955 • Warszawa 1948–1966 • Czechosłowacja 1955–1958 • Dziesiątki polskich miejscowości (niektóre wielokrotnie): 1948–1966 • Paryż 1957 • Chamonix 1957, 1958 • Londyn 1946, 1958, 1959 • Bułgaria, Słoneczny Brzeg, połowa lat sześćdziesiątych

ROZDZIAŁ XII • **305**
Polska, głównie Warszawa 1968 – początek lat dziewięćdziesiątych • epizodycznie wcześniej • ZSRR 1970 • Paryż 1972

ROZDZIAŁ XIII • **331**
Warszawa, połowa lat dziewięćdziesiątych XX wieku – początek XXI wieku • liczne pomieszczenia studiów radiowych i telewizyjnych • trasy po Polsce • Skolimów: jesień 2008 – 28 kwietnia 2010 roku

Posłowie • **347**
Podziękowania • **350**
Bibliografia • **352**
Przypisy • **375**
Wykaz źródeł ilustracji • **414**
Indeks • **415**

WYDAWCA, REDAKTOR PROWADZĄCY Adam Pluszka
REDAKCJA Ida Świerkocka
KOREKTA Jędrzej Szulga
INDEKS Urszula Drabińska
PROJEKT OKŁADKI I STRON TYTUŁOWYCH Anna Pol
ŁAMANIE Anna Hegman
KOORDYNATORKA PRODUKCJI Paulina Kurek

ZDJĘCIE NA OKŁADCE Archiwum Stefanii Grodzieńskiej / East News

ISBN 978-83-68944-09-9

Wydawnictwo Marginesy Sp. z o.o.
ul. Mierosławskiego 11a, 01-527 Warszawa
tel. 48 22 663 02 75
redakcja@marginesy.com.pl
www.marginesy.com.pl

Warszawa 2026
Wydanie pierwsze

ZŁOŻONO KROJAMI PISMA Edita i Scala Sans

KSIĄŻKĘ WYDRUKOWANO NA PAPIERZE
Munken Print White 90 g vol 1.5

DRUK I OPRAWA Abedik S.A.